

GORDON R. DICKSON



SMOK
W
LIONES

GORDON R. DICKSON
Smok w Liones

Przełożył Zbigniew A. Królicki



DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ 2000

Tytuł oryginału

The Dragon in Lyonesse

Copyright © 1999 by Gordon R.

Dickson

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition

by REBIS Publishing House Ltd.

Poznań 2000
Redaktor
Anna Poniedziałek
Opracowanie graficzne okładki
Jacek Piętrzyński
Ilustracja na okładce
Keith Parkinson
Wydanie I

ISBN 83-7120-957-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171
Poznań
tel. 867-47-08, 867-81-40;
fax 867-37-74

e-mail: rebis@pol.pl

www.rebis.com.pl

Książkę tę dedykuję Joemu i Gay Haldemanom

Rozdział 1

„Moi cni przyjaciele” – pisał sir John Chandos do pana i pani zamku Malencontri drobnym, pajęczym pismem, lecz przynajmniej w zrozumiałej angielszczyźnie i bez zawijasów, jakimi zazwyczaj skrybowie ozdabiali takie listy, zmieniając je w istne łamigłówki, które lord Malencontri, baron sir James Eckert, z trudem rozwiązywał. „Kreślę te słowa w sekrecie i własnoręcznie, znać wam dając, iakoż królewski nakaz pojmania za zdradę was oraz bliskich wam osób w końcu cichaczem zniesion zostaje. Takóż znając to, wjęcei niepokoić się nie musicie. Niechaj Bóg mądrością was darzi. Jon Chandos, rycerz”.

–Na końcu trochę się pogubiłem – rzekł sir James. Oddał list lady Angeli Eckert i ponownie przeczytał go, zerkając jej przez ramię. – Mimo to sens jest jasny. Chociaż earl Cumberland zdołał w jakiś sposób uzyskać podpis króla, teraz nakaz został wymazany z rejestrów – albo coś w tym stylu. Jak myślisz? No, powiedz coś, Angie!

Angie, czyli lady Angela, podeszła trochę bliżej okna w słonecznym pokoju na szczycie zamkowej wieży, tak by światło pogodnego jesiennego poranka padło na rozwinięty rulonik grubego, szarawego papieru.

–Bardzo dobrze napisane jak na kogoś z czternastego wieku, piszącego osobiście – orzekła. – Jimie, czy poznajesz charakter pisma Chandosa?

–Hm, nie – odparł Jim. – Jednak jeszcze nigdy nie otrzymałem od niego wiadomości, której nie napisałby skryba. Jeśli chwilę zastanowić się nad tym, czym on się zajmuje, będąc kimś w rodzaju nieoficjalnego szefa królewskiej służby wywiadowczej, to staje się oczywiste, że musi mieć wprawę we własnoręcznym pisaniu listów. Ponadto któż poza nim napisałby w czternastym wieku list, aby uśmierzyć nasze obawy, a nawet kto by pomyślał, że możemy się niepokoić? Nie

– Sądzę, żeby przyszło to do głowy Brianowi, chociaż dobry z niego przyjaciel. Lepiej spalmy ten list, dla dobra Chandosa.

– Jeszcze nie – powiedziała Angie, ostrożnie zwijając pergamin i chowając go do jednej z cienkich drewnianych szkatulek przymocowanych do stolika, przy którym prowadziła rachunki. Zamkowy cieśla nie był w stanie zrobić niczego, co bardziej przypominałoby biurko. – Przechowam go w bezpiecznym miejscu, a jeśli mowa o sir Brianie Neville'u-Smythe, ostatnio ma dość własnych zmartwień z powodu ojca Geronde.

Jim musiał przyznać jej rację. Brian – czyli pan małego i zrujnowanego zamku Smythe – rycerz i mistrz turniejów, był zaręczony z lady Geronde Isabel de Chaney z dobrze utrzymanego Malvern, od czasów kiedy oboje byli jeszcze dziećmi. Pomimo to nie mogli wziąć ślubu bez oficjalnego przyzwolenia jej ojca. Z tego powodu Jim i Brian na początku roku wyruszyli do wschodnich krain, dokąd przed laty udał się w poszukiwaniu przygód ojciec Geronde, zdołali go odnaleźć i sprowadzić do domu.

Ich powrót powinien być początkiem szczęśliwych chwil, ale tak się nie stało. Okazało się, że Geronde w żadnej sprawie nie zgadza się z ojcem, a on z nią – tak samo jak wówczas, kiedy miała jedenaście lat.

– No cóż – rzekł Jim – miło usłyszeć z rana dobre wieści. To ważne. Sądzę, że ten dzień będzie przyjemny. Dlaczego nie zapomnimy o całym świecie i nie pójdziemy na przechadzkę po lesie? W końcu to nasz las.

– Zawsze to proponujesz i nigdy tego nie robimy – zauważyła Angie. – Ponadto nie jest to świat, na którym należy kusić los, przepowiadając przyszłość.

– To do ciebie niepodobne, żeby przeceniać rolę tutejszej magii – rzekł Jim.

– Przemawia przeze mnie zdrowy rozsądek, to wszystko.

– Zdrowy lub nie. Staniemy się równie przesądni jak wszyscy tutaj, a oboje wiemy, że to zwyczajna ignorancja. Wszystko, nawet magia, ma logiczne i racjonalne przyczyny. Ponadto ja tylko powiedziałem...

Usłyszeli ciche skrobanie do drzwi przestronnej komnaty, jaką był ich słoneczny pokój. Początkowo zajmował cały szczyt zwieńczonej blankami wieży zamku Malencontri, ale później przedzielili go przepierzeniem, tworząc oddzielne pomieszczenie dla dziecka, Roberta Falona, nad którym obecnie sprawowali opiekę.

Spojrzeli po sobie.

– Wejść! – zawołał Jim.

Wszedł John Steward, wyprostowany, trochę osowiały i jak zwykle nieco pompatyczny, ale z dziwnie niepewną miną.

– Milordzie, milady – rzekł sztywno – mistrz łucznictwa Dafydd ap Hywel czeka w wielkiej sali i pragnie z tobą porozmawiać, milordzie.

– Sali? Jakiej sali? – powtórzył Jim, chociaż była tylko jedna, jeśli nie liczyć dużego pomieszczenia ukrytego na parterze wśród kwater służby i zbrojnych, którzy tam jadalili posiłki, spędzali wolny czas i wiedli życie towarzyskie. – Od jak dawna tam jest? Kiedy przybył?

Na szerokim, bladym, ale starannie ogolonym obliczu Johna Stewarda natychmiast pojawił się lęk i zmieszanie.

–Nikt nie wie, milordzie. Siedział przy stole, strugając łuk, kiedy podkuchenna Mary przyszła rozpaścić ogień na kominku.

–Dlaczego nikt go o to nie zapytał?

–Nikommu nie przyszło to do głowy, milordzie. Oczywiście, było to kłamstwo. Albo spytali Dafydd, ale nie chcieli ujawniać odpowiedzi, albo z jakiegoś powodu bali się go indagować. Nie było sensu przyciskać Johna. Zapewne znów jakieś przesady, pomyślał Jim.

–Od jak dawna tu jest? Dowiedzieli się?

–Nie, milordzie.

–A jak dostał się do zamku?

John zrobił tylko bezradną minę.

Nie było sposobu na bezradnego majordomusa. W przypadku mniej ważnego sługi można było zwrócić się do jego przełożonego i powiedzieć: „Może ty zdołasz znaleźć jakąś sensowną odpowiedź”, po czym odejść. Jim nigdy tego nie robił, jedynie w nadzwyczajnych sytuacjach, gdyż następujące po tym przesłuchanie mniej ważnego sługi bywało przykre dla delikwenta.

–Magia – orzekła Angie. – Mogę się założyć.

–Na pewno nie! – zaprzeczył Jim. – Dafydd nie jest magiem, a poza tym po co miałyby używać magii, aby się tu dostać, skoro wystarczyłoby mu zakrzyknąć na strażnika przy głównej bramie? Wszyscy go tu znają.

–W tym świecie magia zapewne ma z tym coś wspólnego – stwierdziła ponuro Angie. – Gdybyś się nią nie zajmował...

–Zrobiłem to tylko dlatego, żeby uwolnić cię z wieży Loathly, pamiętasz?

–Racja – przyznała Angie. – Przepraszam, Jim. Wybacz mi. Przed śniadaniem często mam zły humor. Zejdźmy na dół i zjedzmy coś. Sami dowiemy się wszystkiego od Dafydd.

Wzięła go pod rękę i razem ruszyli do drzwi. John Steward otworzył je im i usunął się na bok.

–Zdaje się, że miał wziąć udział w turnieju łuczniczym gdzieś na północy – powiedział Jim, gdy wchodzili do sali, a John dostojnie stąpał pięć kroków za nimi.

Honorowy stół, ustawiony na podium końcu sali, nakryto obrusem i zastawiono półmiskami. Dafydd już nie zajmował się łukiem, tylko jadł, ale na widok wchodzących Jima i Angie uprzejmie przerwał i podniósł się, jak przystało zwykłemu łucznikowi.

–Dafyddzie! – zawołał Jim. – Jak ci poszło na tym turnieju na północy?

Angie ucałowała gościa, korzystając z ówczesnie przyjętego zwyczaju, nie zważając na to, że formalnie ona była damą, a on tylko łucznikiem – choć niezwykle biegłym. Zgodnie z tym zwyczajem, szlachetnie urodzeni panowie mogli całować szynkarki i służące – co też często robili – lecz damy wcale nie musiały się do tego zniżać.

Jim natomiast powstrzymał się od całowania. Dafydd był jego przyjacielem, niemal równie bliskim w tym czternastowiecznym świecie jak Brian, który od czasu bitwy pod wieżą Loathly był mu jak brat. Dafydd, oczywiście, też tam wtedy był. Co

więcej, jako gościa należało go serdecznie obcałować. Jednak Brian nie uważał, by Dafydd – czy jakiś inny łucznik – oczekiwał takiej kurtuazji, a ponadto Jim nie mógł się przyzwyczaić do tej formy powitania. Odchrząknął i usiadł za stołem.

Angie i Dafydd również siedli.

–Było tam wielu dobrych łuczników, James – rzekł Dafydd. – Widziałem kilku godnych podziwu.

Co oznaczało, oczywiście, że Dafydd wygrał wszystko, co było do wygrania. Nigdy nie krytykował kolegów po fachu, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy któryś z nich go pokonał (nigdy więcej niż raz), męczyło go to, dopóki o tym nie opowiedział. Mimo rozwlekłego, niemal ospałego sposobu mówienia, nie mógł znieść myśli, że ktoś mógłby uznać, że boi się przyznać do porażki.

–Moi słudzy – zaczął Jim, chcąc zmienić temat, ale przerwał mu jeden z nich, nalewając wino do jego kubka i na chwilę zasłaniając Dafydda – zdziwili się, zastając cię tutaj, w sali.

–Istotnie, tak było – przytaknął Dafydd – lecz przybyłem tu po cichu nie bez powodu. Zamierzałem sprawdzić, jak dobrze jesteście strzeżeni.

–Przecież główna brama w murze była zamknięta i zaryglowana.

–Owszem – rzekł Dafydd. – Do świtu. Jednak o wschodzie słońca otworzyli ją zaspani wartownicy, którzy najpierw uchylili jedno, a potem drugie skrzydło. W ten sposób człowiek nawykły do lasów i gór, taki jak ja, bez trudu mógł się niepostrzeżenie wślizgnąć do zamku. A potem pozostało mi tylko minąć kolejnych sennych wartowników i przejść kilka kroków do tej sali i stołu. To nie było trudne. Nie należę do tych, którzy mówią innym, jak powinni żyć, ale chyba przydałoby się upewnić, że pod twoją nieobecność zbrojni będą lepiej pełnić służbę.

–Teraz, kiedy to powiedziałaś, na pewno się tym zajmę – odrzekł Jim. – Tylko dlaczego nagle zainteresowało cię to, jak jest strzeżona nasza brama?

–A więc nie słyszeliście? – zapytał Dafydd. – W całej Anglii powiadają, że Cumberland zbiera najemną armię, przyjmując pod swoje skrzydła wszystkich zbójów, banitów i łobuzów, którzy ciągną do niego wiedzeni żądzą zysku. Podobno ma już dwie lub trzy setki. Nie zdziwiłbym się, gdyby mając takie siły, spróbował wyrównać stare porachunki. A on nie należy do twoich przyjaciół.

–Można tak powiedzieć – zgodził się Jim. – Nienawidzi nas jak... chciałem powiedzieć, że masz rację. Nie znosi mnie i Angie, a jego popleczniczka, Agatha Falon, jeszcze bardziej... Nienawidzi nas wszystkich, włącznie z tobą, Brianem i wszystkimi waszymi krewnymi. Jeśli jednak myślisz, że z tak licznym wojskiem pociągnie na Malencontri,...

–Widzisz, wcale nie musi ich być tylu. Jeden człowiek, który wślizgnie się do zamku, tak jak zrobiłem to ja, może zakłuć wartownika i wpuścić tuzin innych, którzy wejdą po sznurze lub przez boczną furtkę. Ten tuzin mógłby opanować bramę, otworzyć ją i wprowadzić do uspiętego zamku nie więcej niż trzydziestu ludzi, którzy zabiliby większość obrońców, zanim ci zdążyliby się obudzić. Potem wszyscy zniknęliby jak dym i nikt by nie wiedział, kto jest odpowiedzialny za zamordowanie lub porwanie ciebie i lady Angeli.

–Ha! – mimowolnie zawołał Jim i zobaczył, że zarówno Dafydd, jak i Angie szeroko otworzyli oczy ze zdziwienia, słysząc w jego ustach ten średniowieczny, powszechnie używany okrzyk. Spojrzał na Angie.

–Tak przypuszczałem, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, kiedy ktoś taki jak Chandos zadaje sobie trud pisania do nas prywatnego listu z wieścią, że unieważniono nakaz naszego aresztowania.

Angie w zadumie pokiwała głową.

–Masz rację – rzekła. – On musiał wiedzieć, że usłyszymy wieści, które przekazał nam Dafydd, i powiążemy je z tym, co nam napisał.

Łucznik obserwował ich z miną wyrażającą umiarkowane zainteresowanie tym, co mówili, ale oboje wiedzieli, że ta maska skrywa głębokie zaciekawienie.

–Widzisz, Dafyddzie – wyjaśnił Jim – dziś rano dostaliśmy list...

–Pozwól, że ja to powiem – przerwała mu Angie. – Będzie szybciej.

Było.

–Widzisz, Dafyddzie – rzekł Jim, kiedy Angie, zgodnie z obietnicą, poinformowała gościa o wszystkim, używając dwa razy mniej słów, niż potrzebowałby jej małżonek – jaki sprytny jest Chandos? W tym liście nic nie ma, ani słowa, które mogłoby go narazić na przykrości, ale on dobrze wiedział, że wieści, które właśnie przyniosłeś, dotrą do nas prędzej czy później, a wtedy stanie się jasne, co chciał nam powiedzieć.

–Wybacz mi moją niewiedzę, James – mruknął Dafydd – ale o czym ty mówisz?

–No cóż, jest oczywiste, że jedynym człowiekiem mogącym bezkarnie zebrać tak liczny oddział zbrojnych będzie przyrodni brat króla, lord Cumberland. Ponadto król nie tylko o tym wie, ale przyzwala na to – a może mieć po temu tylko jeden powód. Jeżeli naprawdę planuje inwazję na Francję, działania Cumberlanda są pierwszym, cichym krokiem w kierunku zebrania potrzebnej armii.

–Przecież wasz król Edward jest w zbyt podeszłym wieku, żeby walczyć w polu – przypomniał Dafydd.

–Właśnie! Dlatego Cumberland ma go zastąpić. Jednak w tym liście od Chandosa jest coś więcej niż wiadomość o inwazji. On nas ostrzega – mnie, ciebie i Briana – przed pochopnym podjęciem walki z siłami, którymi dowodzi Cumberland.

–Ja niczego takiego nie zamierzam – rzekł Dafydd. – Mam wcześniejsze zobowiązania. Wynikające z obowiązków wobec tych, których kocham, i niebezpieczeństwa, jakie grozi ich ziemi – zatopionej krainie moich przodków. Właśnie to mnie tu sprowadza, gdyż rzecz dotyczy magii.

–Magii? – powtórzył Jim. Nagle podejrzliwie zerknął na Angie. Żona pytająco uniosła brwi.

–Magii? – zadziwiła się.

–Powiedziałabym, że to magia im zagraża – odparł łucznik – a jak wiecie, ja nie mam o niej pojęcia.

Spojrzeli na niego.

–Magia? – jeszcze raz powtórzył Jim, starając się wymawiać to słowo tak, jak wszyscy tutaj. – Czyja?

–Tych, którzy władali wieżą Loathly i stworami, które tam napotkaliśmy.

–Ciemne Moce?

–Czy można bezpiecznie wymawiać tę nazwę? Bardzo dobrze, mówię o Ciemnych Mocach. Sądzę, że polecisz mi poradzić się w tej sprawie Carolinusa, ale jak wszyscy wiemy, jeszcze nie doszedł do siebie po niewoli u poprzedniego króla sękatych. Pomyślałem, że najpierw porozmawiam z tobą, milordzie.

–Daj spokój z tym „milordem”, Dafyddzie – rzekł Jim. – Nikogo tu nie ma, a my jesteśmy przyjaciółmi i wiemy, że gdybyś przeniósł się do krainy twoich przodków, na dno oceanu, byłbyś tam królem.

–Ty też o tym wiesz – dodała Angie.

Łucznik uśmiechnął się do nich ze smutkiem.

–Nie zapomniałem o tym – odparł. – Jednak choć postanowiłem zostać zwykłym łucznikiem, musicie pamiętać, że odebrałem staranne wychowanie.

–No dobrze – powiedział Jim. – Tylko skąd to wzburzenie kolejną ingerencją Ciemnych Mocy w ludzkie sprawy? Carolinus twierdzi, że one robią to przez cały czas, usiłując wpłynąć na przypadek albo historię, żeby wywołać powszechny chaos lub stagnację.

–Cokolwiek to oznacza – odparł Dafydd – Moce nigdy nie robiły niczego takiego od czasu potyczki przy wieży Loathly i najstarsi ludzie nie pamiętają, by kiedykolwiek podjęły równie groźne działania. Jak już powiedziałem, może powinien się tym zająć Carolinus.

–Nie znajdziesz go – powiedział Jim. – KinetetE trzyma go u siebie i pewnie tak jest najlepiej. Carolinus potrzebuje opieki maga równie potężnego jak on sam, aby dojść do siebie po tym, co przeszedł – i co przecierpiał.

–Może zatem minąć wiele czasu, zanim w pełni wróci do sił – rzekł Dafydd – a KinetetE ma nie tylko moc, ale i magiczną mądrość.

–Słuszna uwaga – przytaknęła Angie.

–Mimo to potrzebuję pomocy.

–Wiem – rzekł Jim. – Nie mogę zabrać cię do niej, nie zapytawszy ją najpierw o zgodę. Jednak mogę spróbować porozmawiać z nią o tym. Może będzie ci trochę trudno skontaktować się z nią... Co miałeś na myśli, mówiąc, że Ciemne Moce „nigdy nie robiły niczego takiego” i „najstarsi ludzie nie pamiętają”?

Słyszając te słowa, Jim natychmiast się jeżył. Nazbyt często słyszał je z ust dzierżawców i zamkowej służby, kiedy jakieś jego polecenie budziło ich sprzeciw. Każde z tych stwierdzeń było powszechnie uważane za ostateczny i miażdżący argument dowodzący absurdalności jego żądań. Coś, czego nigdy nie robiono, nie mogło być zrobione, i nie było sensu o tym rozmawiać.

–Namyśliłem się – dodał pospiesznie, gdyż te słowa zabrzmiały nieco zbyt szorstko nawet w jego własnych uszach. – Dajmy temu spokój. Zastanawiałem się tylko, dlaczego to nas dotyczy.

–To nie dotyczy was – odparł Dafydd, kładąc lekki nacisk na ostatnie słowo – a jedynie mnie i mojego ludu, Jamesie. Przybywam tu prosić o twoją łaskawą radę i pomoc.

–Wcale nie musisz prosić! Zrobię wszystko... – Angie dawała mu rozpaczliwe

znaki, ule Jim zignorował je. – Słuchaj, może po prostu wszystko nam opowiesz, zanim znów zacznę snuć błędne domysły?

–Z miłą chęcią – odparł Dafydd. – No cóż, dwa tygodnie temu nadeszły wieści z zatopionej krainy. Zawiadomiono mnie, iż mój król, którego kiedyś poznałeś, pilnie chce się ze mną spotkać. Tak więc zszedłem pod fale i porozmawialiśmy na osobności. Musisz wiedzieć, że ci spośród nas, którzy pochodzą z Dawnej Krwi, wyczuwają rzeczy, jakich nie zauważają inni. I nie tylko on wyczuł jakąś dziwną obecność – jeszcze nie w samej zatopionej krainie, ale rzucające na nią cień niczym burzowa chmura, zanim przesłoni słońce.

–Czy ty też to czułeś, kiedy zszedłeś na dół? – zapytała Angie. Dafydd posłał jej zaskoczone spojrzenie.

–Tak – odparł – w tej samej chwili, gdy stanąłem na tej pradawnej ziemi. Od tego czasu ten cień mnie nie opuścił. Towarzyszy mi nawet tutaj, w twoim domu.

Zamilkł, spoglądając na nich.

Jim i Angie bezmyślnie patrzyli na siebie. Jeszcze przed chwilą Jim mógłby przysiąc, że nie wyczuwa wokół żadnej zmiany. Teraz jednak było inaczej, i on, i Angie wiedzieli, że coś się stało.

Nie dało się tego dostrzec ani usłyszeć. Przez wąskie okna sali poranne słońce nadal sączyło z bezchmurnego nieba swój wrześniowy blask. Świeżo podsycony ogień na trzech wielkich kominkach wciąż buchał płomieniami, usiłując przepędzić nocny chłód z wielkiej i pustej kamiennej sali, lecz Jim i Angie mieli wrażenie, jakby wokół nich zaciskały się niewidoczne palce mroku.

Buntowniczy duch Jima, zazwyczaj uśpiony, obudził się nagle i niespodziewanie. Często spierał się z Angie i karmił służbę za wiarę w nadprzyrodzone siły. Jednak tym razem było inaczej.

To coś nieproszone wtargnęło do miejsca, które należało wyłącznie do niego i Angie! Jim dał upust prymitywnej i niepohamowanej furii, równie instynktownej jak wściekłość Aargha, angielskiego wilka.

–Wynocha! – ryknął w otaczającą go pustkę, nie zważając na konsekwencje. – Wynos się z tej sali i z mojego domu! Pod tym dachem nie masz żadnej mocy! Won!

Wykrzykując te słowa, nie zastanawiając się, ile magicznej i życiowej energii może go to kosztować, całą nabytą mocą swej magii pchnął to coś, co nad nimi zawisło, a ono natychmiast zniknęło. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą tkwiło pod sklepieniem, teraz, nie było już nic. Zupełnie nic.

Rozdział 2

Jak wilk, który z głębi swej nory szczyrzy kły i warczy na wroga, Jim jeszcze przez moment spoglądał na puste miejsce pod ostro sklepionym sufitem.

Potem poczuł w ustach smak krwi, dotknął dziąseł językiem i stwierdził, że go sobie przygryzł. Mimo woli uśmiechnął się i odprężył. Płomień gwałtownej, niepohamowanej wściekłości zaczął przygasać, migotać, aż wreszcie zgasł jak ogień trawiący kłodę, kiedy spali całe drewno. Znowu skierował wzrok na stół.

Angie i Dafydd spoglądał na niego w milczeniu.

–Mów dalej – rzekł lekko ochryplym głosem do łuczника. Język już zaczął mu puchnąć, ale niezbyt mocno. Angie wyraźnie się uspokoiła. Dafydd spoglądał na niego nieco dłużej, z niewzruszoną jak zawsze miną. Potem podjął opowieść, jakby nic się nie stało.

–Nie wiem nic więcej. Jednak mój król, jak wszyscy członkowie mego ludu mieszkający teraz na dnie oceanu, spędził tam całe życie i nie tylko ma, ale i rozumie takie przecucia lepiej, niż dane jest to nam, pochodzącym z Dawnej Krwi. Widzi cień rosnący na zachód od naszej zatopionej krainy, za naszą granicą, gdzie leży baśniowa, starożytna kraina starej magii – Liones. Ten cień wznosi się nad nią aż po urwistą skałę, o której wiem, iż jest to tylko szczyt podwodnej góry, w której znajduje się królestwo sękatych. Tam, gdzie tak niedawno był więziony Carolinus i skąd przynieśliśmy jego oraz waszego małego podopiecznego z powrotem do tego zamku.

–W urwisku znajduje się wejście. Może ten cień dotarł i tam, gdzie wasz lud nie może go zobaczyć ani wyczuć?

–Nie, Jamesie. On kończy się tam, przy wejściu do tej krainy. Ten cień spowił tylko Liones. Ciemne Moce nigdy dotychczas nie próbowały niczego takiego i jedynie one wiedzą, dlaczego to robią. Niewątpliwie z czasem poznamy ten powód – kiedy całkowicie zdobędą Liones – gdyż mój król uważa, iż będzie to ostateczną próbą ich siły. Pamiętaj, że Liones jest krainą starej i dziwnej magii – może nawet starszej i dziwniejszej, niż są w stanie pojąć same Ciemne Moce. Lecz te powody nie mają znaczenia dla moich krewniaków pod wodą. Liczy się tylko to, że jeśli ciemność zwycięży, będzie ich najbliższym sąsiadem.

Jim nie wiedział, co powiedzieć. Angie najwidoczniej także.

–Przybyłem do ciebie, James – ciągnął Dafydd – gdyż moje strzały nie sięgną tego wroga, a mój władca jest stary, starszy niż wygląda, i nie będzie żył wiecznie, nawet jeśli uda mu się uniknąć niewoli i udręk, jakie spotkały Carolinusa za sprawą króla sękatych. Rozumiesz, on obawia się o zatopioną krainę, nie o siebie.

–Oczywiście, pojmujemy to – powiedziała Angie. – Martwi się o to, co się z nią stanie, jeśli jego zabraknie i nie będzie komu przejąć władzy.

–Tak – potwierdził Dafydd. – Widzę, że ty też to rozumiesz, Jamesie. Wiem, że to nie twoja sprawa. To ja mam zobowiązania i na mnie spoczywa odpowiedzialność za los zatopionej krainy.

–Nieważne. Mów dalej – zachęcił Jim.

Wejściowe drzwi sali otworzyły się z trzaskiem i – idąc bokiem ze względu na oprawionego i wypatroszonego jelenia, którego niósł na ramionach – do środka

wszedł Brian, z mieczem u pasa, w kolczudze oraz nieco poplamionym i znoszonym codziennym stroju. Obrócił się twarzą do podium i pomaszerował ku niemu przejściem między stołami. Na biodrze kołysał mu się kołczan ze strzałami, a między lewą łopatką a upolowanym zwierzęciem sterczał koniec łuku.

–Hej-ho! – powiedział wesoło. – Postanowiłem się przejść i pobawić łukiem, postrzelać do dzikich gołębi, wiecie – i niech mnie licho, jeśli nie trafił mi się ten jeleń. Udało mi się położyć go jedną strzałą. Wprawdzie miałem zapasowego konia, ale nagle przyszło mi do głowy, że głupio byłoby wieźć mięso aż do mojego zamku, kiedy Malencontri jest tuż obok. Pomyślałem sobie, że sprezentuję wam go jako skromny wyraz wdzięczności za te wszystkie wspaniałe obiady i inne posiłki, jakimi mnie raczyliście.

Przy ostatnich słowach zdjął trofeum z ramion i położył je na stole, rozpryskując wino z pucharów i niemal zrzucając niektóre z nich. Niezły wyczyn, pomyślał Jim, gdyż rogacz, nawet wypatroszony, ważył zapewne niemal tyle samo co Brian.

Siedzący za stołem, którzy dobrze znali nowo przybyłego, natychmiast zrozumieli, że od świtu lub jeszcze wcześniej był na nogach, najprawdopodobniej polując pieszo, gdyż jego psy były za stare i zbyt nieliczne, aby mógł pędzić po lesie konno, jak przystało na rycerza, a tego jelenia ustrzelił specjalnie, usiłując dowieść, że stara się spłacać swoje długi towarzyskie i wszystkie inne. Chciał również pokazać, że w zamku Smythe nie brakuje żywności, co – jak wszyscy wiedzieli – nie zawsze było prawdą.

–Skoro tu jesteś, z pewnością siądziesz i wypijesz z nami szklaneczkę wina, a może i coś zjesz? – spytała Angie, która najszybciej otrząsnęła się z zaskoczenia.

–Cóż, takiego zaproszenia nigdy nie odrzucam!

Brian obszedł stół, wkroczył na podium i zdjąwszy z ramienia łuk z poluzowaną cięciwą, odstawił go na bok. Potem usiadł.

–Sir Brianie, czy będziesz tak uprzejmy i pozwolisz mi obejrzeć twój łuk i strzały?

–Oczywiście – odparł lekko zmieszany Brian, podając je łucznikowi. – Są bardzo toporne. Sam je zrobiłem, z pomocą starego Neda z mojego zamku. Naprawdę, nie ma na co patrzeć. Nie świadczą najlepiej o moich umiejętnościach...

–Dziękuję za uprzejmość – rzekł Dafydd, biorąc je od niego. – Zawsze uczę się czegoś ze sposobu, w jaki inni ludzie sporządzają swój oręż. Często zachęcam młodych łuczników, by czynili tak samo, lecz wielu z nich nie zdaje sobie sprawy z tego, że niezależnie od posiadanych umiejętności, mogą nauczyć się czegoś od człowieka, który obrabia nożem drewno – choćby robił to dopiero od wczoraj.

–Ha! Tak, w istocie! – rzekł Brian, kryjąc twarz za pucharem wina, który właśnie podała mu Angie. Do tego czasu służba już zdążyła się zjawić i zabrać jelenia, zręcznie wymienić poplamiony krwią oraz innymi płynami obrus na czysty, a także przynieść dodatkowe półmiski. Brian niezwłocznie zabrał się do jedzenia.

Szczęśliwy traf, pomyślał Jim, spoglądając na niego. Brian z pewnością zechce wziąć udział w takiej wyprawie, jaką proponował Dafydd, a w ten sposób nie trzeba go będzie zawiadamiać – co przypomniało Jimowi, że nie zaważyłoby poprosić Aargha, angielskiego wilka, by miał oko na Angie. i Malencontri pod jego

nieobecność.

–Tak przy okazji – powiedział do Briana – czy będąc w lesie, nie widziałeś czasem Aargha?

Brian przełknął.

–O tak. Zawsze go spotykam – albo on mnie. Od dawna chciałem go zapytać, czy magia ma jakiś zapach. Tak też zrobiłem, niecałą godzinę temu, a on odrzekł, że owszem, ma cały szereg różnych woni, lecz jako dwunożnemu stworzeniu nie spodobałaby mi się żadna z nich, nawet gdybym zdołał je wyczuć. Potem rozdziawił pysk, tak jak zawsze, kiedy się śmieje, nie wydając głosu.

Przerwał, by popić kolejny kęs potężnym łykiem wina.

–Najdziwniejsze – jest to – ciągnął – że tak przyzwyczałem się do tego zwierza, że coś, co w ustach innego stworzenia, bestii czy człowieka uznałbym za zniewagę, spływa po mnie jak woda po kaczce, ledwie zauważone, kiedy on to mówi. Tylko dlaczego zawsze jest taki zgryźliwy i ponury? Może ty wiesz, Jamesie? Albo ty, Dafyddzie?

–Sądzę, że to z powodu życia, jakie wiecie – odparł Jim. – Musi zabijać albo sam zostanie zabity.

–Cóż, my też... – Brian urwał. – Wybacz mi, Jamesie. Takie porównanie nie uchodzi. Muszę powiedzieć, jak jestem rad z tego, że widzę ciebie i Angelę. Oraz Dafydda, którego nie spodziewałem się tu zastać.

–Rzecz w tym – wyjaśnił Jim – że Dafydd ma pewien problem, o którym niedawno się dowiedział, i sądzę, że pragnie omówić go nie tylko ze mną, ale i z tobą.

–Ach tak? – rzekł Brian, odstawiając puchar i spoglądając na Dafydda z troską i zaciekawieniem. – Cóż to takiego, Dafyddzie?

Łucznik opowiedział mu całą historię, a Jim i Angie wtrącali swoje uwagi.

–Następna okazja zmierzenia się z Ciemnymi Mocami? – rzekł Brian, kiedy skończyli. – Co za radosna nowina!

Jednakże jego głos wcale nie brzmiał radośnie, lecz głucho. Jim, Angie i Dafydd z niepokojem spojrzeli na rycerza.

–Nie musisz się tym kłopotać, Brianie – rzekł łagodnie Dafydd, pomijając „sir” przed imieniem, co w kontaktach z rycerzem czynił znacznie rzadziej niż w rozmowie z Jimem, i tylko podczas nieformalnych spotkań. – Nie proszę cię o pomoc.

–Ależ udzieliłbym ci jej z ochotą! – zawołał Brian. – Gdyby nie ten przekłęty ślub... a raczej ten przekłęty ojciec Geronde... Chciałem powiedzieć, gdyby nie niefortunna sytuacja, w jakiej znalazł się teraz mój teść, nieszczęsny człowiek.

Jim usiłował zrozumieć coś z tego potoku słów i w końcu wybrał najłagodniejszy fragment wypowiedzi.

–Czy będę niegrzeczny – w końcu przyswoił sobie kilka kurtuazyjnych zwrotów przyjętych w czternastowiecznym społeczeństwie – jeśli spytam, na czym polega ta niefortunna sytuacja?

–Och, chodzi o to, że rzekomo jest winien pieniądze. Jakiś stary dług, o którym zdążył już zapomnieć. Jednak jego wierzyciel, dowiedziawszy się że sir Geoffrey powrócił do Anglii, zagroził mu ogniem, żelazem, powieszeniem, włóceniem końmi i

ćwiartowaniem, jeśli natychmiast nie dostanie pieniędzy. Geronde i ja nie mieliśmy o tym pojęcia, dopóki nie wyznał nam wszystkiego, pokazując list od tego człowieka.

–Przecież kiedy znaleźliście go w Ziemi Świętej, miał ogromny pałac i bogactwa – przypomniała Angie. – Czy niczego nie zdołał przywieźć do domu?

–To wszystko nie należało do niego – odparł Brian. – Wrócił do Malvern z Geronde i z nami ubogi jak wędrowny mnich.

–A teraz, kiedy ma Malvern, wierzyciel oczekuje zwrotu długu?

–Gorzej – rzekł Brian. – Poszedł z tym prosto do sędziego, żądając natychmiastowej spłaty w ruchomościach i ziemi Malvern, co obróciłoby wniwecz wszystko, co Geronde wypracowała przez te lata, kiedy jej ojciec pojechał na tak zwaną krucjatę. Nie mówiąc już o tym, że zamek zostałby niemal bez służby, bydła, koni i wszelkich narzędzi, a Geronde nie miałyby nic prócz dwóch sukien i kilku kobiecych drobiazgów.

Jim i Dafydd milczeli. Angie zadawała bardziej osobiste pytania, niż oni mogliby zadać, nawet w rozmowie w cztery oczy, a bardzo chcieli poznać odpowiedzi. Między dżentelmenami godnymi tego miana obowiązywała zasada delikatnego sugerowania pożądanых tematów rozmowy i czekania, aż rozmówca sam udzieli informacji. Jednak Brian z ulgą zrzucał ciężar z serca, a oni byli bardziej niż skorzy go wysłuchać.

–Nie możemy na to pozwolić... – Angie spojrzała na Jima, ale Brian przerwał jej.

–Nie, nie – rzekł. – Wszystko w porządku. W najzupełniejszym. Zająłem się tym. Wystawiłem skrypt dłużny przed sądem.

Jim miał już zamiar przerwać Angie, powstrzymując ją od dalszych pytań. Był prawie pewny, że posunęła się znacznie dalej, niż w tym społeczeństwie było przyjęte, nawet między najlepszymi przyjaciółmi. Jeśli Brian naprawdę chciał im jeszcze coś powiedzieć, powinien to zrobić, zanim Angie podejmie indagację. Jednak ona okazała się szybsza.

–Chyba nie zastawiłeś wiana od earla Cumberlanda...

–Nie, nie – zapewnił Brian. – Geronde je ma i nie oddałyby go nawet, gdyby rozebrali Malvern i wynieśli kamień po kamieniu na poczet długu. Nie, zastawiłem na dworze część... część mojej własności.

–Angie – rzeki Jim. – Chyba nie powinniśmy pytać Briana o szczegóły...

–Wszystko w porządku, Jamesie – uspokoił go Brian. – W rzeczy samej, dziś rano zapolowałem na tego jelenia, by mieć pretekst do przyjścia tu i powiedzenia wam, iż – przynajmniej na razie – nie będę w stanie spłacić innych długów honorowych, jakie u was zaciągnąłem. Jako zastaw dałem zamek Smythe i przychody z moich włości, z których niektóre dają dobre zbiory lub paszę i mogą zostać wydzierżawione. Rzecz jasna, przypadną mojemu najstarszemu synowi, kiedy będę go miał, a w swoim czasie jego pierworodnemu i tak dalej... Tylko ja nie będę mógł korzystać z nich do końca życia lub dopóki dzierżawa i inne przychody nie pokryją długu.

Urwał i odkaslnął, nie patrząc na obecnych.

–Tak się złożyło – dodał – że sędzia nie obejrzał zamku Smythe, zatwierdzając mój skrypt. Wierzyciel też nie.

Zapadła chwila ciszy, w której wszyscy przetrawiali tę wiadomość – Brian z wyraźnym zadowoleniem.

–Teraz rozumiem – powiedział w końcu Dafydd – dlaczego nie możesz pojechać z nami do Liones.

–Jim... – zaczęła Angie i urwała. Wszyscy trzej spojrzeli na nią badawczo, lecz ona tylko popatrzyła na nich tak, jakby głos, który właśnie usłyszeli, należał do jednego z nich.

–Zaiste – ciągnął Dafydd – nie było moim zamiarem namawiać cię do tej wyprawy. Po prostu pomyślałem – i jestem pewien, że James też – iż chciałbyś zostać zaproszony.

–I przydałoby mi się trochę ruchu, zapewniam was! – odparł Brian. – Nie macie pojęcia, jak codzienne domowe kłopoty...

Teraz on urwał, spoglądając na obu swych przyjaciół, z których każdy był żonaty i miał co najmniej jedno dziecko pod opieką.

–Cóż, może macie – dodał, kończąc swoją wypowiedź tęgim łykiem wina.

–Czy Geronde wie o tym? – spytała Angie, nie zważając na marsową minę Jima.

–Oczywiście – odpowiedział rycerz, odstawiając puchar i patrząc na nią ze zdziwieniem. – A właściwie o wszystkim poza tym, o czym mówiliśmy przed chwilą: o zobowiązaniach Dafydda wobec rodziny w zatopionej krainie i o tym, że wyjaśniłem mu, dlaczego – niestety – nie mogę mu teraz pomóc.

–No cóż, sądzę, że powinna wiedzieć i o tym. Ściągniemy ją tutaj albo pojedziemy do Malvern, jeśli tak będzie szybciej, i omówimy to razem. Ta sprawa dotyczy także i jej.

–Dobra myśl! – zawołał Jim, który właśnie wpadł na pewien pomysł. – Może natychmiast pošlesz do niej gołębia, Angie, a tymczasem ja sprawdzę, czy nie znajdzie się ktoś, kto pomógłby nam podjąć decyzję w sprawie Liones.

–Cóż – mruknęła Angie – być może. Tylko dlaczego nie...

–Niebawem wrócę – zapewnił Jim; wyobraził sobie miejsce, które miał na myśli, i w magiczny sposób przeniósł się tam.

Rozdział 3

I znowu znalazł się w salonie KinetetE. Komnata wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał, jakby opuścił ją zaledwie przed sekundą. Ten sam przytulny pokój, z wygodnymi miękkimi fotelami umieszczonymi w tych samych miejscach, te same lampy ze stonowanymi abażurami i wesola, czerwono-biała tapeta w kwiatuszki – a na ścianie makatka, na której zielonymi i czerwonymi nitkami wyhaftowano sentencję: „MAJĄC BUTY NA NOGACH, MOŻESZ DEPTAĆ PO CIERNIACH”.

Jedyną różnicą była obecność sporej, prawie półtorametrowej rośliny o owalnych liściach, stojącej na środku pokoju. Pośród listowia miała trąbkowatą wypustkę, która przypominała kwiat, ale była w istocie sporym, zwiniętym liściem. Tę roślinę można by uznać za półtorametrową ozdobę, gdyby stała w jakiejś donicy.

–Wybacz, że ośmielam się do ciebie zwrócić – niespodziewanie powiedziała do niego piskliwym głosem. – Jestem Dieffenbachią seguine cantans, śpiewająca roślina. Nie należy mnie mylić ze zwyczajną Dieffenbachią seguine albo tępolistną, jak powiadają w wielu królestwach takich jak te, z którego niewątpliwie przybyłeś. Kiedyś usypiałam słodką kołysanką samego Merlina; teraz ty posłuchaj.

Zaczęła nieznośnie piszczeć i zawodzić, tak że tylko heroicznym wysiłkiem woli Jim powstrzymał chęć zatkania uszu rękami w rozpaczliwej próbie uchronienia się przed głuchotą.

Zdawało mu się, że minęły wieki, zanim roślina przestała śpiewać.

–Tak – rzekł Jim w cudownej ciszy, jaka nagle zapadła – rzeczywiście kiepsko. Rozumiem, że chcesz prosić maga o pomoc?

–Znasz maga? – Dieffenbachia cantans nagle ściszyła głos i nieśmiało opuściła liście. – A może przypadkiem sam jesteś magiem, szlachetny panie?

–Tylko bardzo niskiej klasy.

–Ach, może mimo to wiesz, co stało się z moim cudownym głosem? Kiedyś syreny brały u mnie lekcje. Słowiki regularnie wpadały, by podszlifować swe trele. Może...

–Obawiam się, że nie.

–No tak – powiedziała Dieffenbachią cantans, jeszcze niżej opuszczając swój trąbkowaty liść. – Wybacz mi, magu...

–Nie przysługuje mi tytuł maga – rzekł Jim.

–Och, wybacz. Jak sam słyszałeś, potrzebuję pomocy. Może jednak KinetetE...

–Nic nie mogę dla ciebie zrobić – oznajmiła KinetetE, nagle pojawiając się w pokoju. Wysoka i chuda, miała surową, a nawet groźną minę, ale Jim natychmiast przypomniał sobie, że zawsze tak wyglądała. – Jedynie Wielki Czyn może przywrócić ci dawny głos. Cierpliwości, a może kiedyś to nastąpi.

–Przecież kraina Liones jest w niebezpieczeństwie! – pisnęła Dieffenbachią cantans. – Muszę pomóc jej i tym szlachetnym rycerzom, którzy jej bronią. Mój śpiew jest im potrzebny, doda im odwagi, inaczej Liones może wpaść w...

–Wątpię, by twój głos był aż tak ważny – ucięła KinetetE. Machnęła ręką, aż załopotał szeroki rękaw jej długiej, wyglądającej na wygodną ciemnozielonej sukni. Spod rąbka szaty pokazały się czubki brązowych pantofelków. – W każdym razie ja i

mnie podobni podejmujemy próby zapobieżenia utracie Liones – dodała. – W rzeczy samej, właśnie w tej sprawie przybył tutaj Smoczy Rycerz z Malencontri, z którym muszę pilnie porozmawiać. Tak więc znikaj stąd.

–Jesteś smokiem, panie? – zapytała z zaciekawieniem Dieffenbachia cantans, zwracając się do Jima.

–Znikaj! – warknęła KinetetE. I tak się stało.

–Czy nie byłaś trochę zbyt surowa dla tej... dla tego... czymkolwiek to jest?

–Są rzeczy ważne i ważniejsze – odparła KinetetE – a fakt, że śpiewał Merlinowi i innym, nie czyni go dla mnie najważniejszym, gdyż jego kłopoty osobiste są tylko częścią większego problemu, który przybyłeś ze mną omówić.

–A więc ta roślina to „on”?

–Tak się składa – odparła KinetetE. – Kobięce osobniki Dieffenbachia cantans nie są takie aroganckie. Odpowiadając na twoje najważniejsze pytanie – tak jak podejrzewałeś, Carolinusa nie można na razie niepokoić. Dlatego też postąpiłeś najzupełniej słusznie, zwracając się do mnie.

–Jeszcze o nic nie pytałem.

–Nie musiałeś. Ty, Brian i Dafydd chcecie wyruszyć do Liones, by nie dopuścić do podboju tej krainy przez Ciemne Moce. Po prostu przybyłeś do mnie, zamiast do Carolinusa, z prośbą o pomoc i niezbędne zwiększenie twoich zasobów magii.

–Zaczekaj chwilę – rzekł Jim, kiedy nabierała tchu. Przerwanie mówiącej KinetetE graniczyło z cudem. Dopóki nie skończyła, każde z wypowiedzianych przez nią zdań przybijało słuchającego do ściany milczenia. – Wyciągasz pochopne wnioski. Przede wszystkim Brian nie może...

–Nonsens! – powiedziała KinetetE, wchodząc Jimowi w słowo. – Powinieneś wiedzieć lepiej. Prawdę mówiąc, wiesz. Znalazłeś się w naszym świecie i stwierdziłeś, że możesz rozmawiać i porozumiewać się z każdym, kogo napotkasz, dlatego jesteś przekonany, że wszyscy czują i myślą tak samo jak ty i Angie, Tak jednak nie jest i powinieneś o tym pamiętać. A teraz wyobraź sobie, że jesteś Brianem. Czy będąc na jego miejscu, zostałbyś w domu, kiedy przyjaciele ruszają na wyprawę?

–Przecież nie robi tego z własnej woli – odparł Jim. – Z powodu tej historii z zastawem nie ma wyboru.

–Wyboru! – KinetetE nie prychnęła wzgardliwie. Nie musiała. Ton jej głosu mówił wszystko. – Postaw się na jego miejscu, mówię. Jesteś sir Brianem Neville'em-Smythe'em. Jesteś pierwszą kopią na turniejach i w bitwach. Znanym jako jeden z bohaterów, którzy pokonali Ciemne Moce przy wieży Loathly. Pozostali dwaj wyruszają do boju, a ty nie. Co powiedzą inni rycerze – i cała Anglia?

Jim prawie się zaczerwienił. Poczucił się jak trzecioklasista, który wpadł w werbalną pułapkę zastawioną przez nauczyciela.

–Powiedzą, że unika walki – odrzekł. Teraz, kiedy powiedział to głośno, był całkowicie pewien, jak ludzie czternastego wieku, szczególnie rywale Briana, skwitowałiby taki postępek. – Że stracił odwagę.

–Widzisz? Potrafisz dostrzec prawdę, musisz tylko chwilę pomyśleć. Od tej pory staraj się to robić.

–Ale jak on może pojechać, jeśli podpisując zastaw, obiecał być w każdej chwili do dyspozycji?

–Znasz odpowiedź na to pytanie i gdybyś tylko się zastanawiał, wpadłbyś na to, że Brian może w każdej chwili poprosić cię, żebyś skorzystał ze swoich magicznych umiejętności i przeniósł go z powrotem, jeśli będzie potrzebny na zamku. Możesz to zrobić w mgnieniu oka. Jeszcze o tym nie wspominał, gdyż nie chce cię wykorzystywać. Oczywiście, to drugi powód tego, że stoisz tutaj, udając, że przybyłeś prosić tylko o radę, podczas gdy naprawdę chcesz, bym użyła ci nie tylko rady i więcej magicznej mocy, ale zdradziła sposób korzystania z niej w Liones, wbrew wszystkim prawom tej krainy i wszystkich nieludzkich królestw.

Jim spadł we własnej ocenie do poziomu przedszkolaka.

–W porządku – rzekł. – Chciałem, abyś poradziła mi, w jaki sposób mógłbym użyć magii w Liones – jeśli sam tam pojedę. Angie pewnie będzie temu przeciwna. Również Geronde może nie puścić Briana, ponieważ dali już na zapowiedzi i chcą pobrać się najszybciej, jak to możliwe.

–Sądysz, że ona spróbuje go powstrzymać? – odparła KinetetE. – Angie może coś ci powie, kiedy będziecie o tym rozmawiać, lecz Geronde pochodzi ze świata, w którym w takich sprawach ma się wybór. Geronde ma swoje życie, a Brian swoje. Każde z nich ma własne obowiązki. Główną powinnością Briana jest walczyć i zwyciężać, a Geronde – pilnować domu. Obowiązki są na pierwszym miejscu. Ona nie może mu powiedzieć, że nie chce, aby jechał, i tak by to zrobił, gdyż nie ma innego wyjścia. Byłby nieszczęśliwy, ale tylko dlatego, że ona jest nieszczęśliwa. Myślę, że Geronde nic nie powie i oszczędzi mu przykrości. Jim poddał się.

–W porządku – rzeki. – Załóżmy, że obaj pojedziemy z Dafyddem do zatopionej krainy i dostaniemy się do Liones. Jak mogę – nawet razem z Dafyddem i Brianem, jeśli ten się z nami uda – liczyć na to, że coś zdziałam przeciwko obecnym w Liones Ciemnym Mocom?

–Nie mam zielonego pojęcia – odparła KinetetE, – Ani żaden inny dobry mag z tego świata. Ciemne Moce, okropność!

Przez chwilę wyglądała jeszcze groźniej niż zwykle, a jej twarz stanowiła niezwykle kontrast z elegancką suknią i przytulnym wnętrzem salonu.

–Chaos zagraża nam – ciągnęła – w nowy i bardziej niebezpieczny sposób, więc historia liczy na to, że ty, Brian i Dafydd przywrócićie równowagę. Tak też twierdzi Carolinus, który lepiej niż ktokolwiek z nas rozumie odwieczne zmagania tych dwóch sił. Żaden z członków Zgromadzenia Magów nie ma pojęcia, w jaki sposób powstrzymać nadciągający Chaos. Jednak Carolinus uważa, że ty możesz tego dokonać dzięki swym szalonym pomysłom nie z tego świata.

–A jeśli nie wyruszymy?

–Wtedy wszyscy ucierpimy – odparła zimno KinetetE. – Za każdym razem, gdy zwycięża któraś z tych dwóch sił, równowaga zostaje naruszona. Zwycięzca staje się silniejszy i bliższy ostatecznego zniszczenia przeciwnika. To wpływa na każdego z nas. Także i na ciebie, i każdego, kogo znasz. Jeśli zwycięży Chaos, nie będzie żadnych reguł. Ty i Angie niemal na pewno zostaniecie rozdzieleni. Tak samo

Geronde i Brian, Dafydd, Danielle oraz ich dzieci. Czy chcesz, żebym teraz udzieliła ci wszelkiej potrzebnej pomocy – a dam ci wszystko, co mogę dać z czystym sumieniem maga – czy wpadniesz tu, kiedy będę ci potrzebna?

Jim gorączkowo się namyślał. Nadal nie zamierzał nigdzie jechać, ale tę sprawę mogli omówić później. Na razie drzwi uchylone na stałe będą lepsze od otwartych na oścież, ale jedynie na chwile.

–Wpadnę tu.

–Rozumiem. Razem ze wszystkimi innymi. Carolinus zaprzyjaźnia się z każdym i wszystkim, co napotka, a potem cały świat chce go widzieć. No cóż, na starość już się nie zmieni. Zatem żegnaj. W porządku, ty tam! Driada z trzeciego dębu od chatki Carolinusa. Jesteś następna...

Jednak Jim był już z powrotem w Malencontri. Wszystko wyglądało tak samo, ale jakby inaczej. Nadal był ranek, lecz wielka sala była inaczej oświetlona. Sączące się przez wysokie okna promienie słoneczne były mniej jasne i padały pod innym kątem niż wtedy, kiedy ją opuścił. Brian, Dafydd i Angie siedzieli przy stole, przy którym ich zostawił, lecz w nieoczekiwanym towarzystwie Geronde, która, gdy Jim udał się na rozmowę do KinetetE, przebywała w odległym o dzień jazdy zamku Malvern.

–Geronde! – zadziwił się Jim. – W jaki sposób dotarłaś tu tak szybko?

W samą porę przypomniał sobie o zwyczajowym pocałunku. Dopiero kiedy ją puścił, Geronde zdołała odpowiedzieć:

–Jestem tu od wczoraj wieczór, Jamesie!

–Och – mruknął. – Od wczoraj?

–Przyleciała gołąb z wiadomością od Angie, więc natychmiast przyjechałam tu konno. Jadąc szybko, zdążyłam przed zmrokiem – odparła, spoglądając na niego ze zdumieniem.

–Przecież... zaczął Jim, ale urwał. – Oczywiście! Zapomniałem poprosić KinetetE, żeby odesłała mnie do tej samej chwili, w której stąd wyruszyłem! Założę się, że zahibernowała mnie w poczekalni, rozmawiając z tuzinem innych gości, takich jak ta driada!

Geronde, Brian i Dafydd spoglądali na niego z uprzejmymi, zgodliwymi minami ludzi, którzy są zbyt dobrze wychowani, by przyznać, że nie mają pojęcia, co oznacza słowo „zahibernować” – na wypadek, gdyby było to coś kłopotliwego lub wstydlivego.

–Jim – powiedziała delikatnie Angie – może zechcesz nam wyjaśnić, o czym mówisz? Widziałeś się z KinetetE?

–Tak, ona przyjmuje wszystkich, którzy chcą odwiedzić Carolinusa, który najwidoczniej jeszcze nie jest w stanie udzielać się towarzysko – odparł Jim.

Wszyscy czekali na jego następne słowa.

–No cóż – dodał. – Pomyślałem, że dowiem się, co Carolinus lub ona sądzą o tej sytuacji i Ciemnych Mocach usiłujących zawładnąć Liones. Społeczność magów powinna mieć więcej informacji niż my.

–I dowiedziałeś się? – spyła Angie.

–Tak i nie – odparł Jim. – Uprzedzili moje pytania, a przynajmniej KinetetE, bo

Carolinus...

Zamilkł, usiłując przypomnieć sobie rozmowę, którą niedawno przeprowadził z KinetetE. Ocknął się i zobaczył wyczekujące miny towarzyszy.

–Najwidoczniej Carolinus sądzi, a KinetetE zgadza się z nim – wypalił – że ty, Dafyddzie, a także Brian i ja jesteśmy jedynymi, którzy mogą powstrzymać Ciemne Moce przed zajęciem Liones, a jeśli nie zdołamy tego dokonać, ucierpi na tym nie tylko zatopiona kraina, ale cały świat.

Wszyscy czworo – nawet tak opanowany zazwyczaj Dafydd -zaczęli mówić jednocześnie.

–Zaczekajcie – rzekł Jim. – Najpierw pozwólcie mi skończyć. Zamilkli i czekali.

–Widzicie – rzekł – KinetetE nie powiedziała mi nic więcej. Nie dopuszcza nikogo do Carolinusa, który podobnie jak ona nie ma pojęcia, w jaki sposób mógłbym... jak możemy tego dokonać. Tylko tyle mi powiedziała i to jest wszystko, co wiem. Na razie nie mówmy o tym. Zastanówmy się nad całą tą sytuacją, może naradzimy się z najbliższymi, a potem spotkamy się tu wszyscy na kolacji i przedyskutujemy to.

–A co z obiadem? – zapytał Brian.

Jim sklął się w myślach. Chociaż spędził tu już kilka lat, wciąż mieszały mu się te dwa posiłki. Tutaj, rzecz jasna, obiad spożywano w południe, natomiast kolację o zmroku, latem czy zimą, po czym wszyscy szli spać i wstawali o świcie – mniej więcej.

–Każe służbie zastawić stół – powiedział Brianowi. – Każdy, kto zechce, będzie mógł się pożywić w dowolnej porze.

–Jamesie. – rzekł Brian – jesteś najlepszym z gospodarzy. Zawsze myśli mi się lepiej z pełnym brzuchem.

Wstał. Pozostali także. Angie wzięła Jima pod rękę.

–Chodź – powiedziała. – Pójdźmy na ten spacer, o którym wspomniałeś wcześniej i na który nigdy nie możemy się wybrać.

Mamy teraz okazję wykorzystać bodaj najpiękniejszy jesienny dzień w tym roku.

Rozdział 4

Kiedy przechadzali się między wysokimi wiązami, suche liście cichutko szeleściły im pod stopami, a następne opadały, wirując w powietrzu.

–Wiesz... – zaczęła Angie. Trzymała go pod rękę i mocno przyciskała do siebie. – Kiedy postanowiliśmy tu pozostać, z początku chciałam tylko, żebyś przeżył w tym czternastowiecznym świecie. Za każdym razem, gdy wyjeżdżałeś, bałam się, że mogę cię już nigdy nie zobaczyć. Miałam poczucie winy, że zostaję...

–Nie powinnaś – rzekł Jim. – Bardzo chciałem tu być. Jak chłopiec, który nagle znalazł się w krainie baśni – tylko prawdziwej, realnej.

–Ale gdybym powiedziała ci, że chcę wrócić, przynajmniej najpierw zastanowiłbyś się. A tak... Chodzi mi o to, że po pewnym czasie zobaczyłam, jak dobrze dajesz sobie tu radę, chociaż nie uczyłeś się posługiwać bronią od dziecka, tak jak na przykład Brian. Przestałam się o ciebie bać. Jednak wtedy pojawił się inny lęk. Chyba nie spodobało ci się tu za bardzo, co? Mówię o tych wszystkich przygodach. Nie polubiłeś walki i zabijania?

Jim stanął jak wryty. Obrócili się twarzami do siebie.

–Nie! – zaprzeczył. – Jak mógłbym, zważywszy na to, skąd pochodzimy i kim byliśmy? Czy mógłbym zmienić się teraz, po tylu latach? Może i tak, ale wcale tego nie pragnę. Nie, po prostu zacząłem to akceptować, tak jak... Jak deszcz, mróz – i ludzi. Mówię o tych dobrych.

Angie uścisnęła go.

–Tak bardzo cię kocham – powiedziała. – Wcale nie uważam, że się zmieniłeś. I nie chciałabym tego.

–Ja też cię kocham! – odrzekł. – Mamy szczęście, to wszystko. Czasem dwoje ludzi wygrywa los na loterii. Nam się to przydarzyło.

–Tak – przyznała Angie. Poszli dalej, blisko siebie.

–Nie – rzekł po krótkim milczeniu Jim. – To, co podobało mi się tutaj od początku, z powodu czego tak bardzo chciałem tu pozostać, obywając się bez, dentysty, lekarstw i wszystkich zdobyczy cywilizacji, to niewiarygodna wola życia tych ludzi. Usiłują żyć godnie w rzeczywistości, w której w każdej chwili można zostać zabitym bez ostrzeżenia i często nie sposób temu zapobiec. Tak już tu jest.

–Wiem, co masz na myśli – powiedziała Angie, patrząc, jak jej stopy depczą grubą warstwę liści.

–Teraz zrozumiałem – ciągnął Jim. – Uświadomiłem sobie, że to samo i równie często zdarzało się w naszym świecie i czasach, lecz urodzeni i wychowani w nich, mogliśmy tego nie dostrzegać. Gdybyśmy wrócili... ale zostaliśmy i nadal się z tego cieszę. Taka szansa... niewielu jest dana. W każdym razie, jesteśmy tutaj i nie możemy wrócić, nawet jeśli przyjdzie nam stawić czoło magii i siłom takim jak Ciemne Moce.

–Tak – potwierdziła Angie. Wyciągnęła rękę i złapała liść, który wirując, opadał ku niej z jednego z olbrzymich drzew. Oglądała go przez kilka sekund, a potem z uśmiechem wręczyła Jimowi. – Ode mnie dla ciebie – powiedziała. – Na szczęście. Zachowaj go i dobrze wykorzystaj.

Głęboko poruszony, Jim wziął go od niej.

–Angie! – rzekł. Liść był zupełnie żółty, lecz jeszcze nie wyschnięty i nic kruchy. Jim ostrożnie trzymał go w dłoni. – Dziękuję – powiedział. Od chwili, gdy z uśmiechem mu go wręczyła, nie odrywał od niej oczu. – Martwisz się o mnie i boisz tej wyprawy z Dafyddem.

Jej uśmiech zgasł.

–Tak – przyznała. – Przepraszam, ale tak jest.

–To nie będzie nic poważnego ani niebezpiecznego, Angie. Nie może być. Ochroni mnie magia KinetetE, a Dafydd chce mnie tam zabrać, ponieważ sądzi, iż zdołam rozeznąć się w sytuacji. Traktuje mnie jak coś w rodzaju króliczej łapki. Sama słyszałaś, że gdyby mógł, porozmawiałby z Carolinusem. Czy pamiętasz, żeby on kiedyś narażał się na jakieś niebezpieczeństwo?

–Carolinus wychował się w tym świecie. Zna jego zagrożenia... Przepraszam, Jim. Nie mówmy już o tym. Wiem, że potrafisz zadbać o siebie. Wiedziałam to już od dawna, a wczoraj, kiedy Ciemne Moce pojawiły się w zamku, byłeś wspaniały.

„Wspaniały” było ostatnim słowem, jakim określiliby swój wyczyn Jim.

–Byłem wściekły. Angie, i o wszystko. Wściekły jak diabli! Gdybym dostał je w moje ręce...

–Spójrz na nie teraz.

Spojrzał. Miał je zaciśnięte w pięści, a ramiona lekko uniesione, równoległe do ziemi.

–Gdybyś mógł się teraz zobaczyć – powiedziała Angie. Położyła dłoń na jego bicepsie. – Jim, nie rób tak.

Rozluźnił mięśnie ramion, dłoni i szczęk. Jakimś cudem nie zgniótł liścia, który trzymał w ręce. Sięgnął po sakiewkę – niewielki skórzany mieszek, w którym trzymał monety i klucze – rozwiązał ją i ostrożnie umieścił w niej liść, a potem ponownie zaciągnął rzemyki.

–No tak – rzekł. – Będę nosił go przy sobie, a on pomoże mi zachować rozwagę. Zdenerwowało mnie to, że Ciemne Moce weszły do naszego domu, naszego zamku. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie! Myślałem, że jesteśmy w nim bezpieczni.

–Ja też – powiedziała Angie. – Teraz już nigdy nie będę czuła się bezpieczna.

–Postaram się, żebyś była! – powiedział Jim. – Angie, im chodziło o mnie. Kiedy pojedę z Dafyddem, już tu nie wrócę. A ja dam sobie z nimi radę.

–Jesteś tego pewny?

–Tak! Wiem, że zacznę powoli orientować się w zasadach działania magii. W istocie nie jest to takie skomplikowane. Jeśli pewne rzeczy są możliwe, to inne nic. Ciemne Moce są potężne w tym sensie, że posiadają ogromne zasoby magicznej energii, lecz mogą ją wykorzystywać w ograniczony sposób. My, ludzie, nie mamy takich ograniczeń.

–Na pewno nie wmawiasz tego sobie?

–Nie. Ich moc musi mieć pewne granice – podobnie jak u naturalnych. Same nie potrafią poruszyć nawet słomki. Mogą to zrobić, jedynie skłaniając jakąś żywą istotę, żeby je wręczyła. Natomiast magowie tacy jak ja potrafią wykorzystać swoją moc do

przesuwania przedmiotów, choć przyznaję, że i nasze możliwości w tym względzie są ograniczone. Nasza magia nie leczy chorób, lecz może goić rany, szczególnie odniesione w walce. Z drugiej strony, możemy używać lekarstw, jeśli je znajdziemy, do leczenia chorób. I każdy z nas jest w stanie przenieść cały stóg słomy, posługując się wyłącznie siłą mięśni... Działamy na oba sposoby.

–A więc dlaczego Ciemne Moce i demony wydają się potężniejsze od nas?

–Ponieważ magia zdaje się być czystą energią, o czym już wspominałem.

Nieważne, ile masz surowca, lecz jak go wykorzystasz. – Po chwili milczenia dodał: – Ujmijmy to tak. Magia KinetetE będzie mnie dobrze strzegła, a jednocześnie pozwoli mi atakować Ciemne Moce, gdyż jestem od nich sprytniejszy. Nie sądzę, aby posiadały intelekt większy niż najprymitywniejsze formy zwierzęcego życia.

Zamilkł. Z początku wydawało mu się, że wygłosił bardzo dobrą przemowę, ale potem, dzięki intuicji doświadczonego męża (choć się pobrali z Angie dopiero po przybyciu do tego średniowiecznego świata), nagle uzmysłowił sobie, że wcale nie zdołał jej przekonać.

–Posłuchaj – dorzucił pospiesznie, zanim zdążyła coś powiedzieć – ludzie dysponują zaledwie odrobiną magicznej energii. Królestwa, czy to Króla i Królowej Śmierci, czy samo Liones, posiadają jej mnóstwo. Diabły takie jak demon Ahriman mają jej pod dostatkiem.

Angie zmarszczyła brwi.

–Myślę – dodał szybko Jim – że ludzie z początku nie mieli jej wcale, ale z czasem zdobyli troszeczkę. Ja uzyskałem mój pierwszy zapas, przybywając tu z naszego świata w poszukiwaniu ciebie. Potem moja moc stała się potężniejsza – chociaż Ciemne Moce nawet by tego nie zauważyły – wygrywając bitwę pod wieżą Loathly. Zwyciężałem je za każdym razem, jednocześnie gromadząc magiczną moc i doświadczenie. Jednak dopiero od niedawna zacząłem rozumieć, jak to wszystko działa. Mam nad nimi przewagę, gdyż ty i ja wychowaliśmy się w czasach, w których wszystko musi mieć swoją przyczynę. Większość ludzi tutaj nic myśli w ten sposób.

Znów zamilkł. Ta gadanina wcale nie poprawiała sytuacji. Poddał się i nastawił na słuchanie.

–A zatem powiedz mi prawdę – odezwała się łagodnie Angie. – Tak naprawdę, z czym będziesz walczył? Jakie grozi ci niebezpieczeństwo? Nie tylko ze strony Ciemnych Mocy.

Jim spojrział na nią czule.

–Nie masz powodu do obaw.

–Wolę wiedzieć, czego powinnam się obawiać, niż siedzieć tu i wyobrażać sobie niestworzone rzeczy.

W głosie Jima nie było już śladu dotychczasowego rozbawienia:

–Prawda wygląda tak, Angie, że istnieje tak zwana Stara Magia Liones. Niewiele o niej wiem, ale wydaje się różnić od tej, której działanie znamy. Sądzę, że pomaga tamtejszym rycerzom, ale nie mam pewności, czy okaże się pomocna dla mnie. Poza tym nie boję się żadnej magii... nie, wróć. Chcę powiedzieć, że nie boję się wykorzystać tej magii, którą dysponuję, oraz wszystkiego, co wiem jako urodzony

sześćset lat później, przeciwko każdej magii tego świata. Dotychczas, ilekroć stawałem przed taką koniecznością, zawsze wygrywałem. Nie potrafię ująć tego w słowa, ale mam przewagę, coś, czego nie ma tutaj nikt inny.

–Przewagę – powtórzyła Angie.

–Dobrze, tylko przewagę, nie pewność. Jednak tej nigdy się nie ma. Od kiedy zacząłem wykorzystywać moje umiejętności, idzie mi coraz lepiej. Zaufaj mi, Angie.

–Zawsze ci ufam.

–A mimo to będziesz się denerwowała.

–Będę czy nie, to moja sprawa. Przy wieży Loathly nie korzystałeś z tej przewagi ani wiedzy z dalekiej przyszłości.

–Nie – odparł ponuro Jim. – I zwyciężyłem tylko dlatego, że byłem w ciele Gorbasha. Wtedy nic nie wiedziałem o magii.

–Posługiwałaś się nią, kiedy stawiliśmy czoło Ahrimanowi, a i tak tylko magiczna różdżka pozwoliła ci go pokonać.

–Nie tylko. Także wy, którzy tworzyliście ze mną ludzki łańcuch, aby zapędzić go z powrotem do Królestwa Diabłów i Demonów. Jednak to...

–Też było coś innego. Wiem – powiedziała. – No dobrze, może porozmawiamy teraz o tym, że możesz utknąć w Liones i nigdy nie wrócić?

–Ach, o tym... – rzekł Jim. – Masz na myśli to, przed czym przestrzegali Dafydd mieszkańcy zatopionej krainy?

–Tak.

–Wiesz, że zanim do tego dojdzie, zostaniemy ostrzeżeni. Dopóki cała kraina wydaje się czarno-biała lub srebrzysta, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Dopiero jeśli człowiek pozostanie tam dostatecznie długo, żeby zacząć dostrzegać naturalne barwy, zostanie uwięziony i nie zdoła się stamtąd wydostać.

–A wtedy będzie za późno. Nie powrócisz.

–Powinniśmy zauważyć to w porę. Kiedy czarno-białe zmieni się w... Będę musiał mieć oczy szeroko otwarte i tyle.

–Powinieneś zrobić coś więcej – stwierdziła Angie. Wyciągnęła rękę, chwyciła następny spadający na ziemię liść i przyglądała mu się przez kilka sekund, po czym upuściła na ziemię. – Dlaczego nie wykorzystasz wiedzy z przyszłości? Potrzebne ci jakieś urządzenie ostrzegawcze... na przykład... Mam! Okulary! Okulary, przez które zauważyłbyś, kiedy zacznie się zmiana!

–Okulary? – powtórzył Jim, ze zdziwieniem patrząc na Angie. – Dziwnie wyglądałbym z okularami na nosie w arturiańskich czasach, a nawet tutaj. A poza tym, co bym z nimi robił?

–Byłyby magiczne, oczywiście! Przecież nie dbasz o to, jak wyglądasz!

–Ha!

–Poza tym, mag powinien dziwnie wyglądać.

–Hm, być może. Mimo to...

–Ponadto mówię o okularach, które pozwoliłyby ci zauważyć, że zaczynasz inaczej widzieć. Na przykład w chwili, gdy pojawiłyby się pierwsze kolory, twoje szkła mogłyby ukazać ci wszystko w jaskrawych barwach. Czyżby wymagało to

magicznych umiejętności, jakich jeszcze nie posiadasz?

–Nie sędę – odparł Jim. – Prawdę mówiąc, wiem, że wyprzedzam większość praktykantów klasy C+ – przynajmniej tych, z którymi miałem do czynienia. Zwykle żadnemu z nich nie pozwala się samodzielnie rozwijać zdolności, tak jak Carolinus zezwolił mi. Poprosiłbym go, żeby awansował mnie do klasy B, gdyby nie był taki zmęczony i słaby po tym, przez co przeszedł w królestwie sękatych.

–A więc postaraj się o te okulary.

–Nie mogę ich zrobić od ręki – rzekł. – Zanim się do tego zabiorę, muszę mieć jasną koncepcję tego, co chcę uzyskać. I wymyślić sposób.

–Ale zrobisz je?

Jim spojrzał na nią. Miała poważną minę.

–Jeśli nie okaże się to niewykonalne z jakiegoś powodu, którego teraz nawet nie potrafię sobie wyobrazić, obiecuję ci, że je zrobię.

–I będziesz, je nosił.

–Będę – powiedział zrezygnowanym głosem.

–Naprawdę wcale się nic przejmujesz tym spotkaniem z Ciemnymi Mocami?

–Nie. Jak już powiedziałem, nie mogą uczynić mi fizycznej krzywdy. Potrafią działać tylko przez innych ludzi lub przedmioty. Mogę przewidzieć ich posunięcia i unikać niebezpieczeństwa.

–I nic... nic innego...?

–Nic.

–Co was niepokoi? – odezwał się niespodziewanie szorstki, lecz znajomy głos za ich plecami.

Odwrócili się i zobaczyli jedyne stworzenie, do którego ten głos mógł należeć: Aargha, angielskiego wilka, który był jednym z towarzyszy i sprzymierzeńców Jima podczas bitwy pod wieżą Loathly – chociaż Aargh nigdy nie przyznałby, że był czyimś towarzyszem. Jak zwykle, pojawił się znienacka i cichaczem, więc być może już od kilku minut podążał za nimi i słuchał ich rozmowy.

–Dlaczego sądzisz, że coś nas niepokoi? Aargh obrócił pysk do Jima.

–Stałeś gotowy do walki – odparł. – Masz jakiegoś wroga? Jim otworzył usta, by powiedzieć, że ma ich wielu: Agathę Falon, earla Cumberlanda... i tak dalej. Potem zrozumiał, o co pyta Aargh. Obserwował ich przez chwilę, jak zawsze, zanim się pokazał, tak więc był tu i widział, jak Jim rozgniewał się, kiedy Angie przypomniała mu o wtargnięciu Ciemnych Mocy do zamku Malencontri.

Wilczy język był głównie mową ciała, chyba że – jak Aargh – zwierzę znało ludzką mowę, co być może nie zdarzało się tak rzadko. Jim spotkał co najmniej jeszcze jednego wilka, który mówił ludzkim językiem. Wszystkie jednak doskonale znały mowę ciała. Aargh dobrze zinterpretował wściekłość, jaką wzbudziła w Jimie inwazja na jego dom.

–Ciemne Moce.

–Nie ma sensu się teraz jeżyć – rzekł Aargh. – Zaczekaj na odpowiednią chwilę, kiedy będziesz mógł się odgryźć.

–One wtargnęły do Malencontri!

–Nie musisz mi o tym mówić – odparł wilk. – Wiedziałem. Jelenie to wiedzą, i ptaki, i cały las – a więc i ja wiem. No cóż, tym razem poradzisz sobie sam. To nie moja sprawa.

–Nie prosiłem cię o pomoc.

–Może zrobiłbyś to, gdybyś mnie znalazł.

Na podstawie wielu wcześniejszych doświadczeń Aargh miał prawo to podejrzewać. Olbrzymi wilk zawsze udawał, że nie zależy mu na nikim i niczym. Jim milczał przez chwilę, usiłując znaleźć jakąś miazdzącą odpowiedź. Żadna nie przychodziła mu do głowy.

–One zagrażają zatopionej krainie, ale ty pewnie nie wiesz, gdzie...

–Wiem – przerwał mu Aargh. – Znam wszystkie miejsca, które mogę odwiedzać. I wiem, że zagrażają również Liones.

–A zatem ujmijmy to w ten sposób – powiedział Jim. – Oczywiście nie obchodziłoby cię, gdyby Chaos zapanował nad całym światem, włącznie z twoim terytorium w Somerset?

–To nam nie grozi. Mogłoby się tak stać z tym, co wy, dwunodzy, uważacie za wasz świat, ale my ledwie zauważylibyśmy, że coś się zmieniło. Dla nas ważna jest ziemia, niebo, wiatr i drzewa – a te mamy zawsze. Ciemne Moce nie mogą ich tknąć. Gdyby próbowały, wszyscy stanęliby przeciwko nim. Inaczej nie.

–Skąd masz taką pewność? – spytał Jim.

–Dlaczego twoja magia nie działa na mnie ani na innych, których nazywasz zwierzętami – tylko na dwunogich i naturalnych?

Jim poczuł się jak szachista na widok zbijanego przez gońca hetmana, którym w następnym posunięciu zamierzał zamatować króla przeciwnika.

–Tak po prostu jest. Nie ma żadnego „dlaczego”...

–Jasne, że jest. Wasze kłopoty nic dla nas nie znaczą. Dla nas nie ma historii, a dopóki żyjemy, nie ma też przypadku.

–Dlaczego nie? – zapytała Angie.

Jim z trudem znalazłby odpowiedź na to pytanie. Aargh nie miał z tym problemu.

–Chaos nie jest pustką. Panuje wtedy, kiedy wszystko zmienia miejsce i traci związek z tym, co istniało przedtem. To, co ludzie nazywają magią, nie dotyczy nas i naszego świata. Ci wrogowie, którzy sprowadzają Chaos, mogliby posługiwać się tylko magią, a więc nie mogliby nas skrzywdzić.

–Hm – mruknął Jim.

–Gdybym jednak w czasie twojej nieobecności był potrzebny w Malencontri – dodał Aargh – Angie może zostawić dla mnie znak w lesie, tak jak zawsze.

Odwrócił się, popatrzył na nią przez chwilę, obszedł ją i zniknął.

Jim spoglądał na gęstwinę w siad za wilkiem. Aargh musiał po cichu podążać za nimi i podsłuchiwać dłużej, niż przypuszczali.

–Zastanawiam się, czy nie pokpiłem sprawy – powiedział głośno do siebie.

–Staraleś się – powiedziała Angie, biorąc go pod rękę. – Chodź, popatrzymy na bazie nad jeziorem. Zostało jeszcze trochę tego pięknego dnia, a zanim wrócisz do domu, będzie już zima. Przejdźmy się jeszcze i nacieszmy oczy widokiem naszej

ziemi w jesiennej szacie, a potem pójdziemy na zamek.

Rozdział 5

Cienie rosnących na skraju lasu wysokich wiązów padały już na otwartą przestrzeń, dotykając szarego zamkowego muru, gdy Jim i Angie przeszli z powrotem po zwodzonym moście na pogrążony już w mroku dziedziniec.

W wielkiej sali płonęły drwa na kominkach i pochodnie w kagańcach na ścianach, rozświetlając całe pomieszczenie i emanując przyjemnym ciepłem. Zapalone na cześć gości świece jeszcze mocniej oświetlały stół, przy którym zasiedli już Dafydd z Brianem i Geronde.

Kiedy Angie i Jim weszli drzwiami z dziedzińca, ich goście byli pogrążeni w rozmowie, ale przerwali ją na widok wchodzących. Gospodarze usiedli w milczeniu; jeden ze sług nalał im wina, a drugi postawił przed nimi półmiski z przekąskami, od których zaczęli kolację. Poczęstowali się, popili, a potem wyczekująco popatrzyli na towarzyszy.

–Muszę... Nie, nie mogę – wybuchnął Brian, jakby kontynuując rozpoczętą rozmowę. – Jestem między młotem a kowadłem, James.

Geronde zmierzyła go bystrym spojrzeniem. Światło świec prawie zupełnie skrywało bliznę, którą pozostawił na jej twarzy Hugh de Bois, rozcinając jej policzek, gdy nie chciała wyjść za niego pod przymusem. Nagle Jim przypomniał sobie, że zamierzał zapytać Carolinusa, gdy tylko mag wyzdrowieje, czy nic można by w magiczny sposób usunąć tej szramy. Jednakże nawet z nią Geronde była śliczna.

–Poprzysiągłem – ciągnął Brian – być w zamku Smythe, kiedy tylko moi wierzyciele zechcą tu przyjechać, aby zobaczyć mnie, zamek i ziemię, które dałem pod zastaw długu!

–Czy pamiętasz – zapytał spokojnie Jim – w jakich dokładnie poprzysiągłeś to słowach?

–Oczywiście! „Solennie przysięgam przed Bogiem, iż każdy przedstawiciel sądu czy wierzyciel, który zjawi się w zamku Smythe, ujrzy mnie tam w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili przybycia”.

–A zatem nie sądzę, abyś miał się czym przejmować. Jak wiesz, Carolinus nadal jest u KinetetE i dochodzi do siebie po tym, co zrobił mu król sękatych. Mógłbym porozmawiać z nim lub z nią... W rzeczy samej, i tak muszę pomówić z KinetetE. Zaczekaj...

Odchylił głowę do tyłu i powiedział do ciemnych krokwi sufitu:

–KinetetE...

–Poszukaj mnie na zwykłej wysokości, Jim – usłyszał jej głos. – Jesteśmy tutaj, tuż przed twoim nosem.

Spojrzał w dół; rzeczywiście, przy stole siedziała z nimi KinetetE – co wcale go nie zdziwiło, natomiast zaskoczył go widok Carolinusa. Przed obojgiem stały już puchary z winem i półmiski z przekąskami.

–Chciałeś ze mną pomówić? – spytała KinetetE. – Carolinus uparł się, żeby przyjść ze mną. Nie męcz go.

–Ba! – prychnął mag.

–Oczywiście – rzekł Jim. – No cóż... Brianie, może wyjaśnisz KinetetE sytuację i

spytasz o radę?

–To dla mnie zaszczyt – zaczął rycerz – znów z tobą rozmawiać, pani KinetetE. Magu Carolinusie, twój widok szczerze mnie raduje. Hm, chodzi o to, że...

Opowiedział im wszystko, tak jak przedtem przyjaciołom.

–To poważna sprawa, Brianie – rzekł Carolinus ochryplym głosem. – Ja...

–Nic z tego – przerwała mu KinetetE. – Ja to zrobię. Brianie, gdybyś musiał szybko wrócić do domu, niech ktoś wypowie moje imię...

–Ja się tym zajmę – powiedziała Geronde.

–Bardzo dobrze. A więc skontaktuję się z tobą, Geronde. Ty wyjaśnisz mi sytuację. Następnie porozumiem się z tobą, Brianie, gdziekolwiek wtedy będziesz, i powiem ci, że masz wracać. Może nie będziesz w stanie tego zrobić natychmiast w tej samej chwili, kiedy cię wezwę, ale to bez znaczenia. Wystarczy, że trzykrotnie stukniesz obcasami...

Jim i Angie, którzy właśnie przepijali do siebie, jednocześnie zakrzusili się winem.

–Stukniesz obcasami i powiesz trzy razy „Smythe, Smythe, Smythe”. Mogę spytać, co w was wstąpiło, Jimie i Angie? – dodała KinetetE stalowym głosem.

–Słudzy nalali nam nie tego wina – odparła Angie, która doszła do siebie szybciej niż Jim. – To nie był ten trunek, którym spełniamy toasty, więc nie chcieliśmy go wypić.

–Aha – skwitowała KinetetE z wyraźnym niedowierzaniem i irytacją, których nie była w stanie ująć w dostatecznie uprzejme słowa. – W każdym razie, Brianie, natychmiast znajdziesz się z powrotem w zamku.

–Zawsze będę twoim dłużnikiem, pani.

–Wpadliśmy tu tylko na chwilę – ciągnęła KinetetE – by pokazać, że Carolinus ma się lepiej. Powiedz coś do nich, Carolinusie!

–Co, do diabła, mam rzec? – odparł mag ochryplym głosem, przypominającym jego dawne, zgryźliwe wypowiedzi, ku wielkiej uciechu pozostałych. – Czuję się już znakomicie. Jutro wracam do mojej chaty!

–Powiedzmy raczej pod koniec tygodnia – wtrąciła KinetetE. – A teraz musimy już iść. Aha, Jimie, Brianie, Dafyddzie – niech szczęście sprzyja wam wszystkim, w zatopionej krainie i w Liones.

I zniknęła wraz z Carolinusem.

Zapadła długa cisza, w której wszyscy pozostali przy stole spoglądali po sobie z zadowoleniem.

–A więc! – rzekł Brian, przerywając ciszę i tak gwałtownie podnosząc swój kielich, że wino o mało nie wylało się na blat stołu. – Wyruszę do zatopionej krainy i do Liones z tobą, Jim, i z Dadyddem! Trzeba to uczcić!

–W granicach rozsądku – mitygowała Geronde.

–Oczywiście. Któż chciałby podejmować taką podróż, jaka nas czeka, z głową jak bania i oczami podkrążonymi z niewyspania?

–A co z waszym ślubem, Brianie? – zapytała Angie.

–Och, to nie spowoduje większej zwłoki. W końcu bitwa pod wieżą Loathiy trwała tylko jeden dzień..

–Hobie! – zawołał Jim.

–Tak, milordzie? – rozległ się cienki głosik z najbliższego kominka i pod okapem pojawiła się twarzyczka wiszącego głową w dół skrzata.

–Albo wyjdź zupełnie – rzekł zirytowany Jim – albo odejdz, ale przestań pojawiać się i znikać. Wszyscy wiemy, że słuchałeś każdego słowa, jakie tu powiedziano od chwili, gdy przybył Dafydd.

–Milordzie...

–Nie, tym razem nie możesz jechać ze mną. Masz obowiązki tutaj, na zamku.

Każdy argument przemawiający za pozostaniem skrzata w Malencontri był dobry, gdyż doszło do tego, że Hob uznał, iż może towarzyszyć Jimowi, ilekroć ten gdzieś wyjeżdża.

–Ponadto – dodał Jim – zapewne nie mógłbyś się tam dostać. Pamiętasz, że Rrrnlf musiał zostawić nas przy granicy zatopionego królestwa. Naturalnym chyba nie wolno wejść do zatopionej krainy i do Liones.

–Wiem, milordzie – odparł Hob. – Tylko że morskie diabły różnią się od innych naturalnych. Oni nie mają swojego miejsca w realnym świecie i to jest jedyny, w którym mogą przebywać. Natomiast my, skrzaty, możemy towarzyszyć ludziom. A takie demony jak Aroman...

–Ahriman – poprawiła Angie.

–Dziękuję, milady. Ahriman, milordzie. Jego ktoś musi przywołać, żeby mógł przejść do realnego świata. Większość naturalnych, które nie mają tam swojego miejsca, może przechodzić do rzeczywistego świata, lecz nie do królestw innych naturalnych. Mogą to robić tylko tacy jak ja, których miejsce jest przy ludziach i...

Hob przełknął ślinę.

–Na przykład trolle. Ich miejsce jest tam, gdzie mogą pożerać ludzi – i inne stworzenia – w realnym świecie, tak więc wszędzie tam, gdzie wy. Ponadto, milordzie, ja już byłem tam z tobą.

Jim zupełnie już o tym zapomniał. Przypominał sobie tylko wtedy, kiedy rozmawiał ze skrzatem, tak jak teraz. Jednakże ignorował to wspomnienie w nadziei, że Hob ma równie krótką pamięć.

Nadszedł czas, by odwołać się do swojego autorytetu. Ten spór do niczego nie prowadził.

–Hobie – powiedział – rozkazuję ci zostać tutaj. Hob ponownie przełknął ślinę.

–Tak, milordzie. Bardzo dobrze, milordzie. Czy mogę jednak zapytać, kto wyjaśni milordowi, co mówi TB, kiedy szczeka?

Jim otworzył usta i znów je zamknął. TB, oczywiście, to Tropiąca Bestia z arturiańskich legend, przyjacielskie stworzenie, które uratowało im życie, kiedy poprzednio podróżowali przez Liones. Później podeszło do Jima i zaszczekało – nie tym słynnym poszczekiwaniami czterdziestu ogarów – lecz jak jeden pies, ale Jim nie rozumiał, co chciało mu powiedzieć, dopóki nie przetłumaczył mu tego Hob.

Skrzat miał rację. Mogli natknąć się po drodze na jakąś osobę lub stworzenie, z którym tylko Hob będzie w stanie się porozumieć.

–TB? TB? – rzekł Brian, zapelniając przerwę w rozmowie. – Och, mówisz o tej

krzyżowce siedmiu bestii z głową węża, ciałem lamparta i ogonem lwa? Nigdy nie sądziłem, że ją spotkam. To na nią polował król Pellinor, prawda, Jamesie?

–Tak – przytaknął Jim. – Pamiętasz, jak najmłodszy sir Dinedan powiedział nam, że oni lubili razem polować? Tylko że żaden z nich nie był dobrym myśliwym, więc wciąż się gubili i częściej tropili siebie nawzajem niż zwierzynę...

Jim urwał w pół zdania. Niewiele brakowało, a zaczęliby snuć miłe wspomnienia z równie chętnym do tego Brianem. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że siedzące przy stole kobiety złowieszczo milczą.

–W zasadzie masz rację, Brianie – dorzucił pospiesznie, wracając myślami do tego, o co pytał skrzat. – No cóż, Hobie – rzekł uspokajająco z wymuszonym uśmiechem – rad jestem, że mi o tym przypomniałeś. Może jednak będziesz musiał pojechać.

–Och, wspaniale! – ucieszył się Hob i jak rakietą śmignął w górę komina.

–Powiedziałem „może”., – zaczął Jim i poddał się. Przypominając skrzatowi warunkowy tryb obietnicy, wprowadziłby tylko małego naturalnego w przygnębienie. Niech się cieszy, dopóki może. Ponadto Hob i tak był już prawdopodobnie poza zasięgiem jego głosu.

–James! – powiedziała ostro Geronde. – Jeśli mag może sprowadzić tu Briana z powrotem na spotkanie z asesorem lub wierzycielem, czy nie mógłbyś przysłać go tu na ślub i wesele? To zajęłoby tylko trzy dni.

–Kiedy ma odbyć się ślub? – spytał Jim, gdyż datę zmieniono na późniejszą, potem na wcześniejszą i znów na późniejszą ze względu na ojca Geronde. Ten nalegał na jak najszybsze załatwienie formalności, gdyż chciał ruszyć na następną wyprawę, lecz Geronde uparła się, że uroczystość ma odbyć się jak należy i dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie gotowe – włącznie z jej suknią ślubną.

–Za trzy tygodnie i dwa dni od dziś – odparła.

–W takim razie – stwierdziła Angie – może powinniście wyruszyć jak najszybciej.

–Też tak pomyślałem – przytaknął Jim. – Lepiej od razu zapytam KinetetE.

Postaram się wrócić tu prawie w tej samej chwili... Chciałem powiedzieć, że mam nadzieję, że zaraz będę z powrotem.

–To znowu ty? – powiedziała KinetetE, gdy Jim ponownie pojawił się w jej salonie. Siedziała sama na jednym z miękkich foteli, szyjąc coś, co wyglądało na następną makatkę.

Rozdział 6

Jim patrzył, zafascynowany.

–Na co się gapisz? – warknęła KinetetE. – Nigdy nie widziałeś, jak się szyje?

–Co? Och, widziałem – odparł Jim. – Po prostu nie sądziłem, że ty to robisz.

–Każdy może robić to, co chce – chociaż większość ludzi nie ma na to odwagi – odrzekła KinetetE, odkładając materiał, igłę i nici na maleńki, filigranowy stoliczek. – Ja szyję. Niech ktoś spróbuje mi tego zabronić. Siadaj.

Jim usiadł.

–Tak sądziłem, że będziesz oczekiwała mojego szybkiego powrotu – powiedział. – Cóż to, nie ma już kolejki gości?

–Przesunęłam cię na początek – odparła KinetetE. – Ponadto potrzebowałam czasu do namysłu. Odpowiadając na twoje pytanie, to i owszem, znając cię, spodziewałam się, iż niebawem wrócisz.

–To dobrze. Powiedz mi, jaka magia będzie mi...

–Równie dobrze jak ty albo i lepiej wiem, jakiej magii będziesz potrzebował. Najpierw jednak chcę, żebyś zrozumiał, że nie będzie to magia z konta Carolinusa, lecz z mojego kredytu w Wydziale Kontroli.

–Bardzo dobrze.

–Co więcej – ciągnęła KinetetE – nigdy nie zapominaj, że ci ją pożyczyłam. Nie dałam. Ta, której Carolinus użyczył ci dotychczas, pochodziła z jego konta i również została pożyczona...

–Nic mi o tym nie wspominał.

–Niewątpliwie dlatego, że jako twój mistrz miał kontrolę nad twoim kontem i mógł odebrać dług z tego, co zarobiłeś w wyniku takich działań jak bitwa pod wieżą Loathly lub wyprawa na koniec świata, by zbudzić Feniksa. Oczekuję, że będziesz pamiętał – jeśli przeżyjesz – iż to, co ode mnie otrzymałeś, tylko ci pożyczyłam. Będziesz musiał porozmawiać z Wydziałem Kontroli, żeby uregulować dług. Mogę na to liczyć?

–Oczywiście – rzekł Jim. Gdy usłyszał wypowiedziane obojętnym tonem słowa „jeśli przeżyjesz”, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Od kiedy przybył do tego świata, wielokrotnie groziło mu niebezpieczeństwo. Dotychczas udawało mu się wyjść cało z opresji. Jednak Carolinus nigdy nie przemawiał do niego z taką powagą, jak teraz KinetetE. Nagle Jimowi przypomniały się chwile, kiedy w ciele smoka Gorbasha walczył ze śmiercią, mając lancę Hugh'a de Bois w piersiach albo nóż wbity w plecy przez Edgara de Wiggina.

Może nieświadomie przyjął za pewnik, że nic nie może mu się stać. Teraz zimny ton głosu KinetetE mówiącej o jego ewentualnym przeżyciu... Odsunął od siebie tę myśl.

–Dobrze. A co do magii, jakiej potrzebuję... – zaczął, lecz gospodyni już się tym zajęła.

–Wydział Kontroli? – powiedziała w głąb pustego pokoju. – Czy zanotowaliście treść umowy, jaką zawarłam z praktykantem Jimem Eckertem?

–Tak – odparł basowy głos, jak zwykle z powietrza, jakieś dwa metry nad podłogą.

I jak zawsze, chociaż spodziewał się, że go usłyszy, Jim podskoczył.

–Duplikat umieścić w wykazach Carolinusa.

–Tak jest.

KinetetE przeszła przestrzeń groźnym spojrzeniem.

–I kopia do archiwum. Jeśli dobrze pamiętam, kiedyś za króla Tuta...

–To była niefortunna pomyłka. Jedna na milion...

–Postaraj się, żeby nie było drugiej na milion. Teraz możesz już odejść.

–Tak jest.

–Powiedz – rzekł Jim, nie mogąc się powstrzymać, kiedy basowy głos zamilkł – dlaczego zawsze tak ostro traktujecie z Carolinusem Wydział Kontroli?

–Już go nie ma? – KinetetE uważnie przyjrzała się miejscu, z którego przed chwilą dobiegał głos. – Tak. Dobrze. To trzyma ich w ryzach. Piecza, jaką sprawują nad stanem naszych kont, nie daje im żadnej władzy nad nami – raczej odwrotnie. A teraz, kiedy wszystko ustaliliśmy, mam ci wiele do powiedzenia o Liones.

–Czy nie mógłbym – zaczął Jim – po prostu wyjaśnić ci, czego potrzebuję...

–Sama ci to powiem. Kiedy porozmawiamy o Liones. A teraz siadaj i słuchaj.

–Nawiasem mówiąc, muszę wrócić tam, skąd przybyłem, zaledwie minutę czy dwie po tym, jak opuściłem to miejsce. Czy odsyłając mnie, mogłabyś...

–Mogłabym i tak zrobić. Siadaj.

Jim zajął miejsce w fotelu naprzeciw niej.

–Przy okazji – rzekł – ostrzeżono mnie przed niebezpieczeństwem związanym ze zbyt długim przebywaniem w Liones. Jeśli zostanę tam na tyle długo, że wszystko przestanie być czarno-białe, jakby widziane w blasku księżyca, nigdy nie zdołam opuścić tej krainy. Tak więc zdaję sobie z tego sprawę.

–Naprawdę? Mam nadzieję. Niewątpliwie ten, kto ci o tym mówił, powiedział ci również, iż jest to kraina Starej Magii?

–Skoro o to pytasz, tak – odparł Jim, przypominając sobie słowa Carolinusa, wypowiedziane przez jego projekcję, na którą Jim natknął się podczas poprzedniej wyprawy do Liones. – Powiedział.

–A zatem oprzemy się na tym i rozwiniemy temat. Stara Magia... Czy wiesz, co to oznacza?

Jim w samą porę powstrzymał cisnącą się na usta odpowiedź: „Oczywiście. Magię, która jest stara”.

–Nie – rzekł. – Wyjaśnij mi to.

–Stara Magia – zaczęła KinetetE – jest naprawdę bardzo stara. Pochodzi z czasów, zanim Liones zostało wyniesione przez ogień z otchłani, aby znów w nią zapaść...

–O – zdziwił się Jim – dokładnie w tych słowach opisał to Tennyson.

–Kto?

–Alfred, lord Tennyson. Dziewiętnastowieczny poeta, którego wiersze są znane tam, skąd pochodzę.

–Musiał tam być. W każdym razie rzecz w tym, iż Stara Magia jest tak stara, że nikt ze Zgromadzenia Magów nigdy w pełni jej nie zrozumiał. – Po krótkiej przerwie

mówiła dalej: – Gdy król Artur przybył z armią do Liones na ostatnią bitwę ze swym synem Modredem, zapobiegł ponownemu zapadnięciu się tej krainy w otchłań, co w innym wypadku nastąpiłoby już dawno temu. Jednakże kiedyś musi do tego dojść. Miejmy nadzieję, że nie wtedy, kiedy będziesz tam ty i twoi przyjaciele.

–Dlaczego miałyby się to stać właśnie wtedy?

–Ponieważ – odrzekła KinetetE – Ciemne Moce są prymitywne i bezmyślne. A w porównaniu ze Starą Magią to zaledwie zapalczywe młodziki nie wiedzące, na co się porywają. Próbując opanować Liones, igrają z ogniem, i nie mają o tym pojęcia. Może uda im się osiągnąć cel, lecz w ten sposób zniszczą nie tylko tę krainę, ale i siebie.

–Jak mogą być tak zadufane w sobie, żeby o tym nie pomyśleć? – zapytał Jim.

–Nie mają naszych umiejętności, uczniu. Ich moc obejmuje tylko teraźniejszość, tak więc w niej żyją. Z ich punktu widzenia nie było żadnej przeszłości, a słowo „przyszłość” to pusty dźwięk. To chyba oczywiste?

–Owszem – rzekł Jim i zanotował w myślach, żeby więcej się nie odzywać.

–One myślą, że jedynym sposobem na opanowanie Liones jest zdobycie bazy wypadowej w realnym świecie, gdzie nigdy jej nie miały. Jakiegoś miejsca. Ha! Nie zdają sobie sprawy, przez co muszą przejść, żeby je zdobyć. A my nie zdajemy sobie sprawy, przez co musielibyśmy przejść, gdyby im się udało...

–Czy to by coś zmieniło? – spytał Jim, łamiąc postanowienie, że zachowa milczenie.

–A nie? Najpierw niech dokończę to, co chciałam powiedzieć. Ciemne Moce rozumieją, że aby zwyciężyć, będą musiały pokonać tych rycerzy Okrągłego Stołu, którzy pozostali wierni Arturowi, i uważają, że jeśli im się to uda, dopną swego. Nie mają świadomości, że Stara Magia nie pozwoli im utrzymać Liones – być może nawet nie wiedzą o jej istnieniu. Chociaż mogą zdobyć tę krainę, nie zdołają nad nią zapanować bez zgody mieszkających tam ludzi i naturalnych. Bezcielesne siły nie mogą posiadać ziemi.

–To ma sens – rzekł Jim, ponownie zapominając, że obiecał sobie milczeć.

–Miło mi to słyszeć. Gdyby jednak Ciemne Moce z pomocą wiernych im ludzi zdołały utrzymać Liones, miałyby solidne oparcie w realnym świecie i mogłyby przypuszczać ataki na historię i przypadek. Krótko mówiąc, przestałyby być tylko Mocami, a upodobniłyby się do istot rozumnych, i dzięki temu mogłyby myśleć tak jak my, którzy przeciwstawiamy się im, tworząc historię. Stracilibyśmy przewagę.

Zamilkła i przeszła Jima wzrokiem.

–No tak, rozumiem – rzekł Jim, gdyż najwidoczniej w końcu oczekiwano, że coś powie.

–Zdajesz więc sobie sprawę – powiedziała KinetetE – że wtargnięcie do Liones magii pochodzącej z zewnątrz zwiększa to niebezpieczeństwo. Nie tylko może doprowadzić do nie kontrolowanych reakcji i obniżenia magicznych zasobów, ale w wyniku przejścia ziemi króla Artura i jego rycerzy – legendarnych Rycerzy Okrągłego Stołu – Ciemne Moce mogą zakłócić delikatną równowagę magii, która nie pozwala temu królestwu ponownie zapaść się w ognistą otchłań.

–Aha – mruknął Jim.

–Nie tylko to, lecz również niewłaściwe użycie magii przez kogoś innego może zaburzyć tę równowagę, z tym samym rezultatem.

KinetetE ponownie zamilkła i obrzuciła Jima srogim spojrzeniem.

–Wszelkie nieodpowiedzialne zastosowanie magii przez kogoś takiego jak ty.

–Tak, rozumiem – zapewnił Jim.

–Oczywiście – ciągnęła KinetetE jeszcze bardziej mentorskim tonem – to wszystko poważnie ogranicza ilość i rodzaj magii, jakiej mogę ci użyczyć. Sądzę, że zamierzasz zabrać ze sobą tych dwóch twoich przyjaciół – i pewnie tego głupiutkiego Hoba – oraz konie, broń i tym podobne rzeczy. Ponadto myślę, że musimy się spodziewać co najmniej paru niebezpiecznych sytuacji, w których będziesz zmuszony dwukrotnie posłużyć się magią. Muszę cię ostrzec – mówiła surowym tonem – że jeśli będąc tam, wykorzystasz cały zapas magii, będziesz musiał natychmiast opuścić Liones, żeby zdobyć nowy. Pozostając tam, nie ryzykuj próby jej odzyskania. Jeśli jednak pożyczę ci taką ilość magii, jaka jest potrzebna do tego, o czym mówię, powinno ci to wystarczyć.

–Gdyby nie jedna sprawa – wtrącił Jim.

–Jaka?

–No, może raczej dwie. Wiem, że już zgodziłaś się przenieść Briana do zamku Smythe, kiedy poprosi o to Geronde, lecz być może i ja będę musiał odesłać jednego albo obu moich towarzyszy do realnego świata, a potem przenieść ich z powrotem. A może siebie również.

–Po co?

Nagle Jim ujrzał oczyma wyobraźni obrazek ze swego dwudziestowiecznego świata: telewizyjny reportaż ukazujący przesłuchiwaną ludzi, którzy powoływali się na piątą poprawkę do konstytucji. Oczywiście, tutaj było to niemożliwe. Jednak...

–Z całym szacunkiem odmawiam odpowiedzi – rzekł.

KinetetE wytrzeszczyła oczy.

–Co? – zapytała.

–Zdaję sobie sprawę – ciągnął sztywno Jim, przybierając ton kogoś, kto twardo obstaje przy swoich racjach – iż w rezultacie mojej odmowy możesz nie pożyczyć mi potrzebnej magii, Co więcej, może to oznaczać, że wszelkie moje próby jak najszybszego dostania się do Liones okażą się wówczas daremne. Oczywiście, masz pełne prawo odmówić mi tej pożyczki. Powiem tylko, że ten rodzaj magii, jaki wykorzystałem przy kilku okazjach, dotychczas zawsze z sukcesem, wymaga jej sporych zasobów i całkowitej swobody w ich używaniu. Oceniam, że będę potrzebował co najmniej dwa razy tyle, ile zamierzałaś mi pożyczyć – albo więcej. Przypomnę także, iż był czas, kiedy dysponowałem nieograniczonym kontem, a Carolinus, powierzając mi je, nie poczynił żadnych zastrzeżeń co do sposobu korzystania z niego.

Złożył ręce na piersi i siedział, starając się zachować kamienny wyraz twarzy.

–Jeszcze nigdy... – zaczęła KinetetE i zabrakło jej słów. Przez długą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

–Czy wiesz, co oznacza status terminatora? – zapytała wreszcie KinetetE.

–Chyba tak – odparł Jim. – Sądzę też, że sam najlepiej ocenię niebezpieczeństwa, na jakie się natknę.

Czuł się trochę głupio, siedząc tak z założonymi rękami, lecz nie przychodził mu do głowy żaden pretekst, pod jakim mógłby je rozpleść, nie sprawiając jednocześnie wrażenia, że jest skłonny do ustępstw.

–Zapomniałeś, z kim rozmawiasz?

–Nie.

–I nadal żądasz – żądasz, powiadam – magicznego kredytu dwa razy większego niż ten, który zamierzałam ci dać, nie uzasadniając tego żądania?

–Tak – potwierdził Jim. – Zgadza się. Zapadła długa, niezręczna cisza.

–Gdyby istniała najmniejsza szansa, że to wyjaśnisz – powiedziała KinetetE – chociaż absolutnie niczego ci nie obiecuję, może, tylko może, zechciałabym wysłuchać...

–Obawiam się, że nie mogę tego wyjaśnić – rzekł Jim.

–Gdybyś tylko wyjawiał mi jakiś powód takiej prośby i zachowania...

–Nie – odparł Jim. – To również nie jest możliwe.

–A zatem nie mam wyboru i tym razem muszę ci odmówić wszelkiej pomocy.

–Rozumiem – powiedział, rozplótł ramiona i wstał.

–Siadaj! – warknęła KinetetE. Usiadł. Odwróciła głowę, patrząc w kąt pokoju. – Nie chodzi o kredyt, tylko o zasadę... – powiedziała cicho, jakby do siebie.

Jim nadal siedział w milczeniu. Po chwili znów spojrzała na niego.

–Powiedz mi jedno – mruknęła. – Czy Carolinus naprawdę nigdy, nawet po wszystkim, nie zażądał od ciebie uzasadnienia wydatków?

–Nigdy.

Westchnęła.

–Cóż – powiedziała. – Gałąź się gnije, ale drzewo rośnie. To cały Carolinus, cały on. Bardzo dobrze. Nadal tylko pożyczam ci tę magię, pamiętaj o tym, ale możesz sobie wziąć tyle, ile potrzebujesz, i zrobić z nią, co chcesz. A ten chłopak jest dopiero uczniem, na wszystko, co magiczne!

Ostatnie słowa skierowała w przestrzeń. Jim rozpaczliwie szukał w myślach słów, które w tych okolicznościach mógłby bezpiecznie powiedzieć.

–Dziękuję – rzekł.

–Bardzo dobrze – powiedziała KinetetE. – Zrobię to, o co prosiłeś, kiedy odsyłałam cię z powrotem do królewskiej jaskini sękatych: wyślę cię do Liones z ochronnym zaklęciem, obejmującym również część tego, co otacza cię tutaj.

–Taką miałem nadzieję – powiedział Jim.

–I będę cię chronić najlepiej jak potrafię. Musisz jednak pamiętać, że to zaklęcie będzie skuteczne tylko dopóty, dopóki będziesz miał zapas magii, a jeśli ktoś lub coś w Liones wyczuje to, może zdjąć ten czar równie łatwo, jak stopić oddechem płatek śniegu. Pamiętaj również o tym, co ci mówiłam: nikt, włącznie ze mną, nie wie wszystkiego o Starej Magii. Może wiedział to Merlin, lecz dziś nie ma nikogo takiego jak on. Tak więc twoja moc może zniknąć bez ostrzeżenia.

–A... tak – rzekł Jim. – Zapamiętam wszystko. Może jednak już czas, żebyś dała

mi tę magię i odesłała mnie z powrotem?

–Dobrze – odparła. – Tylko zapamiętaj jeszcze coś. Mam dobrą pamięć i biada ci, jeśli zmarnujesz lub roztrwonisz magię, którą ci pożyczam!

–Będę miał to na uwadze – mruknął Jim.

–Doskonale. A zatem jesteś już zaopatrzony i przygotowany. Ach, przy okazji, zapewniłam ci bezpieczną podróż oraz możliwość odsyłania i sprowadzania przyjaciół z powrotem, ale chyba rozumiesz, że zakłęcie chroni cię tylko przed czarami. Powodzenia.

A jednak zemściła się. Jim zakładał, że zakłęcie będzie go chroniło przed wypadkiem i niespodziewanym zranieniem. Tak zazwyczaj działały zakłęcia ochronne, nie mówiąc o innych, dodatkowych działaniach. Był trochę zdziwiony tym, że tak gładko udało mu się nakłonić ją do szybkiego przeniesienia Briana w razie potrzeby. Słusznie się dziwił.

–Dziękuję – powtórzył, akceptując swoją porażkę. Nic innego mu nie pozostało.

W następnej chwili znalazł się w wielkiej sali zamku Malencontri, przed spoglądającymi na niego Dafyddem, Angie, Geronde i Brianem.

–Czy coś się stało? – zapytał, siadając.

–Nie było cię zaledwie minutę, Jim! – zdziwiła się Angie.

–Istotnie – przytaknął Dafydd – szybko wróciłeś. Czy coś poszło nie tak?

–Och nie! – zawołał Jim. – Wszystko poszło znakomicie. Bułka z masłem. Teraz w mgnieniu oka możesz wrócić do domu, Brianie. Wszyscy możemy, w razie potrzeby. Nie było mnie tu tak krótko, gdyż był to jeden z tych przypadków, kiedy magia działa dokładnie tak, jak powinna.

Uśmiechał się, lecz zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, Tylko udawał beztroskę. Zgodnie z tym, co usłyszał od KinetetE, w Liones groziły im liczne niebezpieczeństwa.

Zaśmiał się, podziwiając precyzję, z jaką KinetetE przeniosła go z powrotem w czasie, tak jak prosił. Nie przesadzała, mówiąc, że nigdy o niczym nie zapomina. Ten fakt budził też nieprzyjemne skojarzenia. Jim przypomniał sobie jej pożegnalne słowa. Jeśli zawsze dotrzymywała obietnic, to spełni również swoją groźbę, jeśli Jim zmarnuje lub roztrwoni pożyczoną od niej magię. No cóż...

Nadal uśmiechał się, stanowczo odpychając od siebie wspomnienie wątpliwości, jakie KinetetE żywiła w kwestii jego przetrwania. Wszystko w swoim czasie.

Tego wieczoru, tuż przed tym zanim poszli spać, pokazał Angie magiczne okulary, które sobie sporządził. Uważał, że wyglądały całkiem nieźle – z tymi cienkimi złotymi oprawkami. Jak na okulary, prawie nie rzucały się w oczy, a zakłęcie chroniło je przed stłuczeniem.

–Jim, wyglądają szalowo! – orzekła Angie, przymierzając je. – Och, przecież chyba nie potrzebujesz dwuogniskowych, prawda? A widzę jakąś cienką linię dzielącą szkła na dwie połowy.

–Sam to wymyśliłem – wyjaśnił z lekką wyższością Jim. – Wiesz, że one powinny reagować na wszelkie zmiany kolorów wokół mnie, czy ja to zauważę, czy nie – a mógłbym nie dostrzec tej reakcji, gdyby, na przykład, słońce świeciło mi prosto w

oczy. Dlatego dolne połowy szkła pokazują zmiany barw wyraźniej, niż zaobserwowałbym to gołym okiem.

Wskazał palcem na szkło okularów, które nadal miała na nosie.

–Natomiast – ciągnął – górne połowy nadal będą ukazywać czerń i biel, a zarazem trochę osłaniać oczy przed blaskiem, na podobnej zasadzie jak okulary przeciwsłoneczne, przyciemniające się tym mocniej, im jaśniej świeci słońce.

–Bardzo sprytnie – pochwaliła Angie. Zdjęła okulary i trzymając je w wyciągniętej ręce, spojrzała przez nie na płomień świecy, która stała w lichterzu na nocnym stoliku. – O, rzeczywiście! To był dobry pomysł. Teraz będę się martwiła tylko tym, że może ci grozić jakieś niebezpieczeństwo.

A także o to, co mi zrobi KinetetE, jeśli wykorzystam jej magię w niewłaściwy sposób, pomyślał Jim. Jednak nie było powodu, żeby Angie miała się tym kłopotać.

Pochylił się nad nią i zdmuchnął płomień świecy.

Rozdział 7

–Chciałbym pójść tam z wami – rzekł z żalem diabeł morski, spoglądając na zalaną słońcem zieloną krainę, która znajdowała się tuż za czymś, co wyglądało jak urwista skała złożona ze zwykłego powietrza.

–Możemy zabrać go ze sobą, prawda, milordzie? – zapytał Hob, który w tym momencie siedział na karku Jima. Ważył tyle co piórko.

–Obawiam się że nie – rzekł Jim, – Nie wolno mu tam wejść.

–To prawda, bardzo mały Hobie – powiedział Rrmtf. – My, diabły morskie, możemy bywać wszędzie – oprócz tych miejsc, gdzie nie wolno nam wchodzić. Takich jak ta zatopiona kraina.

Właśnie przemierzali kilkadziesiąt ostatnich metrów, jakie dzieliły ich od morskiego dna znajdującego się na głębokości prawie kilometra. Cztery konie – Gorp, Blanchard, lekki, lecz dzielny kasztanek Dafydd oraz juczna klacz Jima – były pod wpływem uspokajającego czaru, zamknięte w ogromnej dłoni diabła morskiego. W drugiej ręce Rrrnlf trzymał Jima, Briana i Dafydd, otoczonych innym zaklęciem, jednak nie uspokajającym, gdyż miało otępiające działanie uboczne. Obie grupki pasażerów były całkowicie zabezpieczone przed miażdżącym ciśnieniem na tej głębokości. Konie obojętnie spoglądały na otoczenie, Brian i Dafydd też udawali spokój, ale Jim wiedział, że zachowywaliby się tak w każdym niezwykłym miejscu i okolicznościach.

Natomiast on sam był na to zbyt zajęty.

Oczywiście wiedział, że właściwie rzucone zaklęcie jest niezniszczalne, był więc równie spokojny jak konie, a ponadto w tym momencie zbyt interesował go sposób, w jaki mieli pokonać ścianę powietrza między morzem a zatopioną krainą. Kiedy podążali tędy poprzednio, zmierzając do królestwa sękatych, nie zwrócił na to uwagi. Teraz całkowicie skupił się na polach zatopionej krainy i stopach przeszło dziesięciometrowego Rrrnlfa, żwawo kroczących po dnie morza. „Jeśli będę uważnie patrzył...” – powiedział sobie w duchu Jim.

Rrrnlf pochylił się i ujął oba zaklęcia – niewidzialne, rzecz jasna, ale namacalne – po czym przycisnął ją do powierzchni ściany w miejscu, gdzie woda stykała się z powietrzem. Wszyscy znieruchomieli.

–Dalej nie mogę was zanieść, mali ludzie – oznajmił.

Obrócił dłonie w przegubach – w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, zauważył Jim – i zaklęcia zaczęły przechodzić przez ścianę, Rrrnlf puścił je i cofnął się.

–To wystarczy, niczego więcej nie chcieliśmy, zacy Rrrmlfie! – odparł Jim. Diabeł morski tylko pozdrowił go uniesioną ręką i zniknął.

Jim był zadowolony. Uważnie patrząc oczyma nawykłymi do oglądania magii, dostrzegł widoczne zaledwie przez chwilę zawirowanie powietrza – jak wir wytworzony tuż pod powierzchnią jeziora przez rybę, w nagłym przestrawieniu umykającą od haczyka z przynętą, którą obwąchiwała.

Najpierw ręka Dafydd przesłała przez ścianę powietrza do znajdującej się za nią krainy, polem całe ciało, a za nim Jim z Brianem. Po prawej ich konie podążały w ślad

za kasztankiem łuczniaka.

–Ha! – rzekł na głos uradowany Jim. – Oczywiście! Najprostsza rzecz na świecie. Brama Czarownic!

–Czarownice? – powtórzył Brian, pospiesznie rozglądając się wokół. – Gdzie, Jamesie?

–Nigdzie. Nie ma ich tutaj, Brianie. Tak tylko powiedziałem. Zastanawiałem się nad pewnymi aspektami magii i myślałem na głos.

–Czy możemy dosiąść koni i ruszyć, panowie? – zapytał lekko zirytowany Dafydd. Kiedy Jim i Brian wsiedli na wierzchowce, Dafydd także usadowił się na grzbiecie kasztanka i powiódł ich od brzegu po zielonej murawie.

–Czy wszędzie tutaj są takie łąki? – zapytał go Brian.

–Nie – odparł łuczniak. Od chwili, gdy pozostawili za sobą zakłęcia, wyprostował się i wydawał się Jimowi wyższy niż zwykle. – Są tu kępy drzew, lecz nie ma prawdziwych lasów. Dalej jednak ziemia wznosi się, tworząc niewysokie góry. Jeśli pojedziecie wzdłuż przeciwnego krańca zatopionej krainy, dotrzecie do pogranicza, które jest jej częścią, porośniętą gęstym lasem, który wkrótce staje się lasem Liones.

Dafydd, jak przystało księciu w jego własnym kraju, jechał teraz pierwszy, a za nim Jim i Brian. Ten ostatni na Blanchardzie, który – dziw nad dziwy – tym razem nie próbował wepchnąć się przed kasztanką łuczniaka, jakby znał swoje obecne miejsce w hierarchii. Teraz Brian przywiązał do łąku siodła wodze jucznego konia niosącego bagaże. Była to ta sama klacz, która dźwigała bagaż podczas poprzedniej wyprawy do krainy sękatych. Wszyscy stajenni na zamku Malencontri uważali, że wymiana nadal sprawnej klaczy na innego rumaka mogłaby przynieść pecha, tak więc znowu im towarzyszyła.

Wszystkie konie zachowywały się nadzwyczaj spokojnie. Jim trochę się obawiał, że nagła zmiana scenerii spłoszy przynajmniej Brianowego Blancharda, którego denerwowało wszystko, co nieoczekiwane. Tym razem jednak zupełnie obojętnie przyjął magiczną zmianę otoczenia.

Kasztanek, mniejszy od wierzchowców Briana i Jima, był typowym przedstawicielem koni, jakie widywali podczas poprzedniej podróży przez zatopioną krainę. Najwyraźniej kochał człowieka, który go dosiadał, podobnie jak Blanchard swojego pana. Jim widział kiedyś, jak wielki ogier, zwykle wymagający i humorzasty, nie chciał szukać schronienia w zimną i deszczową noc, tylko został na otwartej przestrzeni przy nieprzytomnym Brianie, podczas gdy Gorp już dawno schronił się pod jednym z pobliskich liściastych drzew.

Dafydd, co Jim z Brianem odkryli jakiś czas temu, w razie potrzeby umiał jeździć i to całkiem dobrze, chociaż wolał podróżować pieszo, jeśli tylko było to możliwe. Prawdę mówiąc, Jim aż do ubiegłego roku nigdy nie widział go w siodle i dopiero kilka miesięcy temu rozmawiał o tym z Dafyddem, kiedy przyszło mu do głowy, by spytać o imię kasztanka. Odpowiedź dała mu sporo do myślenia.

–Owen? – powtórzył Jim, gdyż Dafydd żył teraz w Anglii, a to imię nosił wódz Walijszyków, będący prawdziwym cierniem w boku Anglików, którzy próbowali podbić i podporządkować sobie Walię. – Dałeś mu na imię Owen?

–Tak. Na cześć Owena Glendowera – odparł Dafydd.

–Domyśliłem się. Dlaczego wybrałeś akurat jego?

–Zrobiłem tak, żeby móc powiedzieć, iż mój koń zowie się Owen, jeśli zapyta o to jakiś Anglik. A gdyby pytał dalej, dlaczego wybrałem dla konia takie dziwnie brzmiące imię, mógłbym wyjaśnić, że nazwałem go tak na cześć Owena Glendowera. A jeśli ten człowiek zacząłby dopytywać się, kim był Owen Glendower, wtedy mógłbym odprowadzić go na bok i dokładnie mu to wyjaśnić.

Te wyjaśnienia z pewnością polegałyby na ręcznej perswazji. Dafydd zawsze mówił o sobie jako o człowieku „nie szukającym zwady”, Lecz w przedziwny sposób zwady wiecznie znajdowały go same. Istotnie, był zawsze spokojny i uprzejmy dla wszystkich. Nawet jednak jako łucznik nosił się jak księżę, a to wystarczyło, by czynić go chodzącym wyzwaniem dla zawadiaków.

Najwidoczniej wybierając to imię, Dafydd zamierzał przypomnieć niektórym Anglikom walijskiego bohatera, przywódcę powstania, które wybuchło na początku czternastego wieku. Było ono ostatnią próbą wyzwolenia się spod angielskiego panowania, a przynajmniej tyle zapamiętał Jim z lekcji historii – choć wyniesione z nich wiadomości nie zawsze pokrywały się z prawdą tego średniowiecznego świata.

Koń Dafyddda wyraźnie podzielał poglądy swego pana. Nigdy nic zaczepiał większego od siebie Blancharda czy Gorpa, co czasem robiły przebywające razem ogiery, a szczególnie wierzchowiec Briana. Gdy jednak Blanchard próbował kiedyś go sobie podporządkować, Owen zaatakował ciężkiego rumaka z taką furją i szybkością, że wydawało się, iż to on rozpoczął walkę. Na szczęście stajenni na zamku Malencontri zdołali wówczas umieścić oba ogiery w oddzielnych zagrodach, zanim zrobiły sobie krzywdę.

W każdym razie dotychczas wszystko szło dobrze. Może król zatopionej krainy będzie mógł powiedzieć im więcej o Ciemnych Mocach usiłujących podbić Liones, a także jego królestwo...

Te rozmyślenia przerwał Jimowi jeździec pędzący ku nim tak szybko, że ciągnął za sobą chmurę kurzu podnoszącego się z gruntowej drogi. Dafydd uniósł rękę i ściągnął Owenowi wodze. Jim z Brianem przejechali jeszcze kilka metrów i zatrzymali się w pobliżu – ale nie obok – niego, również czekając na zbliżającego się jeźdźca.

Po krótkiej chwili znalazł się przy nich i wstrzymał spienionego, zmęczonego rumaka. Zwrócił się do Dafyddda w języku zatopionej krainy, którego Jim i Brian nie rozumieli. Jim mógł wykorzystać swoje magiczne zdolności do przetłumaczenia tych słów, ale miał niejasne wrażenie, że byłoby to jak podglądanie przez dziurkę od klucza. Czekał razem z Brianem.

Rozmowa była krótka, Dafydd wysłuchał tego przybyłego i rzucił mu kilka słów. Potem odwrócił się do towarzyszy.

–Ten oto Madog zostanie z wami i bezpiecznie doprowadzi was do granicy Liones. Pokaże wam inne miejsce niż to, w którym kiedyś przekroczyliśmy granicę, by dostać się do królestwa sękatych. Ja muszę was opuścić.

–Nic o tym nie wspominałeś! – rzekł Brian. – Myślałem, że zatrzymamy się na dzień czy dwa, żebyś zobaczył się z waszym królem, a potem pojedziesz z nami.

–Zaszły nowe okoliczności – odparł Dafydd, – Krótco mówiąc, król jest chory. Śmiertelnie chory, a jego jedyny żyjący syn, który ukrywał się dla własnego bezpieczeństwa z powodów znanych najbliższemu otoczeniu władcy, teraz się ujawnił. Jest bardzo mądry jak na swoje lata, lecz zdaniem mojego króla jeszcze za młody, aby wziąć na swe barki odpowiedzialność za los królestwa, szczególnie w obliczu niebezpieczeństwa, jakie nad nami zawisło.

Muszę natychmiast zobaczyć się z królem, dopóki żyje. Madog zaprowadzi was do granicy, a ja dołączę w Liones, gdy tylko będę mógł. A teraz żegnajcie.

Ujął wodze i Owen niemal natychmiast ruszył galopem, z szybkością, jaką z trudem zdołałby rozwinąć ciężki rumak Briana. Jednak Jim nie miał wątpliwości co do tego, który wierzchowiec wygrałby na dłuższym dystansie. Blanchard był znakomitym rumakiem, nie mającym sobie równych. Pomimo ogromnej wagi i rozmiarów, krył w sobie niewyczerpane siły. Patrząc na niego, można było je niemal dostrzec, promieniujące z szerokiej piersi – dlatego też Chandos i inni tak go wychwalali.

Jim siedział na grzbiecie Gorpa, czując się dziwnie samotny i bezbronny po nagłym odjeździe Dafydda. I on, i Brian spojrzeli na Madoga, czekającego na nich na spienionym rumaku.

Mężczyzna miał na sobie taki sam strój, jaki nosiła przyboczna straż króla, którego spotkali podczas poprzedniej wizyty w zatopionej krainie. W rzeczy samej, mógł być jednym z tych, których wówczas widzieli, członkiem eskorty jadącej na pięknych, choć małych gniadoszach, takich jak ten, którego dosiadał teraz. W olstrze przy prawej nodze miał długą włócznię, a na sobie kubrak z wygotowanej skóry wzmocnionej metalowymi płytkami. Na głowie nosił antyczny hełm z ochroną na nos, odsłaniający większą część twarzy. U jego pasa wisiała pochwa z ciemnej skóry, a w niej krótki szeroki miecz ze srebrną rękojeścią. Twarz pod okapem hełmu była ogorziała i wyrazista, a oczy piwne i bystre. Ten mężczyzna miał w sobie jakiś utajony niepokój, grożący wybuchem gniewu.

–Mówisz po angielsku? – zapytał go Jim.

Madog pokręcił głową, obrócił konia i wskazał na drogę, którą podążali. Powiedział coś w tym samym melodyjnym języku, w jakim porozumiewał się z Dafyddem.

–Najwyraźniej – orzekł Brian – oczekuje, że za nim pojedziemy.

Jim skinął głową. Popędzili rumaki, przywiązana do Brianowego siodła klacz niechętnie poczłapała za nimi, i ruszyli w ślad za żołnierzem z zatopionej krainy, przechodząc ze stępa w kłus.

–Zdaje mi się – rzekł kwaśnym tonem Brian – iż ten człowiek chce jak najszybciej spełnić obowiązek nałożony nań przez Dafydda i wrócić tam, skąd przybył.

–Nie wątpię – rzekł Jim.

Przez około godzinę w milczeniu jechali za Madogiem; krajobraz po obu stronach traktu wyglądał identycznie, w końcu dostrzegli jednak na horyzoncie szereg pagórków lub odległych gór. Wkrótce przed sobą i po lewej stronie ujrzeli coś białego, a podjechawszy bliżej, zobaczyli miasto, którego budynki – niektóre

zadziwiająco wysokie – wzniesiono z jakiegoś materiału podobnego do marmuru. Nieco później szeroka droga, którą jechali, rozdzieliła się na dwie równie szerokie, z których jedna wiodła w kierunku miasta.

Madog jednak nadal wiódł ich prosto jeszcze przez jakiś czas, zanim skręcił w boczny trakt po prawej. Jim ze zdumieniem popatrzył przed siebie. Miał wrażenie, że nie ujechali daleko, a tymczasem góry znajdowały się już znacznie bliżej.

Droga zwężała się coraz bardziej, biegła po zboczach najbliższych wzgórz. Wkrótce zmieniła się w wąską ścieżkę, na której z trudem mieściło się dwóch jeźdźców.

Podążali coraz wyżej i góra zaczęła zasługiwać na swoją nazwę. Ziemia pod kopytami koni stała się skalista, z luźnymi czerwono-białymi kamieniami, na których ślizgały się podkowy. Juczny koń, zwykle nie zabierany daleko od Malencontri i dlatego nie podkuty, radził sobie tu lepiej; Jim zauważył, że wierzchowiec królewskiego gwardzisty również. Oczywiście, przypomniał sobie, zatopiona kraina na pewno zapadła się w toń znacznie wcześniej, niż wynaleziono podkowy.

–James! – powiedział cicho Brian za jego plecami.

Jim obejrzał się. Brian ściągnął wodze pnącemu się w górę Blanchardowi, który ciężko dyszał.

–Co się stało? – zapytał Jim również ściszym głosem. Najwidoczniej Brian nie wierzył w to, że żołnierz nie zna angielskiego.

–Zauważyłeś? – rzekł Brian. – Cień. Czy nie wydaje ci się, że podąża za nami?

Zatopiony w myślach Jim nie dostrzegł tego. Teraz spojrzał w niebo, błękitne i czyste, pominąwszy kilka kłębiastych chmur na północnym horyzoncie, oraz na jasno oświetlone popołudniowym słońcem zbocze, usiane głazami i korytami wyschniętych strumieni. Nie ujrzał zwykłego cienia, ale wiedział, co miał na myśli Brian. Teraz, kiedy zwrócił na to uwagę, poczuł obecność mroku, jak wtedy w wielkiej sali. Nie było żadnych wątpliwości.

–Tak – potwierdził.

–Myślisz, że nas obserwuje?

–Może – odpad Jim – a może po prostu podąża za każdym, kto wie, że to tu jest.

–Myślę, że podąża za nami – mruknął Brian. Ujął rękojeść miecza i poluzował go w pochwie. – Chyba powinniśmy przygotować się do odparcia ataku.

–Nie sądzę, żeby to było konieczne – zaprzeczył Jim. – Przecież jesteśmy dopiero w zatopionej krainie, a nie w Lioncs... – Zreflektował się. – Może jednak masz rację.

Teraz, kiedy wyczuł cień Ciemnych Mocy, instynkt nakazywał mu zachować ostrożność. Odruchowo chwycił rękojeść swojego miecza i za przykładem Briana poluzował zaklinowane przez długą jazdę i siłę ciężenia ostrze.

–Mrok i mgła – rzekł do Briana. – Czy pamiętasz tę mgłę, która wisiała nad mokradłami i wieżą Loathly, zanim Carolinus odepchnął ją swoją laską, żebyśmy mogli walczyć z wrogami? Powinniśmy wypatrywać śladu oparów czy mgieł.

–Na razie ich nie widać – mruknął Brian. Spojrzał na pogodne niebo nad ich głowami. – Jednak słusznie prawisz, Jamesie. Od tej pory obaj bądźmy czujni, chociaż nasz przewodnik zdaje się tym nie przejmować.

Marszcząc brwi, spojrzął na jadącego przed nimi żołnierza.

–Jeśli ścieżka stanie się jeszcze bardziej stroma – dodał – będziemy musieli zsiąść z koni i prowadzić je.

Jim pojął, że przyjaciel ma rację. Żołnierz nie oszczędzał swojego rumaka i nic nie świadczyło o tym, że ma taki zamiar. W tym momencie wjechali w szczelinę biegnącą w górę, a kiedy w końcu się z niej wyłonili, droga zaczęła opadać w dół długiego zbocza, u stóp którego majaczył pas drzew. Żołnierz ruszył galopem.

–Stój! – krzyknął gniewnie Brian, wstrzymując Blancharda. – Przeklęte twoje gnaty i bebechy! Człowieku! Wracaj tu!

Jadący przodem żołnierz mógł nie zrozumieć tych słów, lecz ton głosu Briana nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Madog zatrzymał konia i obrócił się w siodle.

–Wracaj tu! – ryknął Brian, przywołując go machnięciem ręki. Żołnierz posłuchał go i podjechał do nich.

–Czy nie masz ani odrobiny rozumu w tym zakutym łbie? – wybuchnął Brian. – Myślisz, że zaryzykuję złamanie nogi rumaka tak cennego jak Blanchard, galopując po stromym stoku dlatego, że ciebie nic nie obchodzi, czy twoja szkapa skręci tutaj kark? Na wszystkich świętych w kalendarzu, prędzej ujrzę cię smażącego się w piekle! Zjedziemy równie powoli, jak tu weszliśmy albo...

W tym miejscu język Briana stał się naprawdę bardzo soczysty. Być może żołnierz nie rozumiał słów, ale gniewna mina, podkreślana gwałtownymi gestami wskazującymi wierzchowca i skalisty grunt mówiły same za siebie. Gwardzista prawie nie zmienił wyrazu twarzy. Bez słowa ponownie skierował rumaka w dół zbocza i powoli ruszył naprzód.

Jim i Brian podążyli za nim w tym samym tempie. Brian, nie mając na kim wyładować gniewu, prychał i złościł się jeszcze przez parę minut, ale w końcu ochłonął.

–Być może – powiedział dyplomatycznie Jim, kiedy przyjaciel w końcu umilkł – jego rumak jest przyzwyczajony do pokonywania takich zboczy galopem.

–Przeklęty głupiec! – mruknął Brian. – Może jednak masz rację, Jamesie. Być może uznał, że podobnie jak jemu nic nam nie grozi.

Przy tych słowach Brian – jak zwykle – zupełnie się uspokoił i zapomniał o incydencie.

Mimo wszystko bardzo szybko dotarli do linii drzew. Tutaj, w zatopionej krainie, wszystkie odległości są mniejsze, niż się wydają, pomyślał Jim. Może taka magia odpowiadała tym, którzy postanowili tu zostać – królestwo wyglądało na większe, niż w istocie było.

Kiedy już to spostrzegł, nie zdziwił się, gdy po krótkiej jeździe między drzewami znaleźli się na trawiastej równinie. Pozornie daleko od nich wznosił się następny gąszcz zielonych drzew, ciągnący się jak okiem sięgnąć i niczym nie różniący od tych, przez które właśnie przejechali.

Ich przewodnik ściągnął wodze rumaka. Kiedy zrównali się z nim, machnął ręką, jakby popychał ich naprzód, po czym okręcił konia, zamierzając wracać.

–Chyba nie chce powiedzieć, że Liones jest tam – rzekł Brian, – James, kiedy to

się skończy, zamierzam porozmawiać sobie z Dafyddem. To samo słońce, świecące nad tym samym lasem? To nie jest ten obłany blaskiem księżycy, czarno-srebrzysty krajobraz, który widzieliśmy poprzednio. Czy możesz jakoś porozumieć się z tym... tym Maggotem*?

–Madogu – rzekł Jim, a żołnierz spojrział na niego, słysząc swoje nazwisko wymówione w prawie zrozumiałym sposób. – Liones? – zapytał Jim, pokazując na trawiastą równinę i rosnące za nią drzewa, przesuwając palcem od lewej do prawej. Madog powiedział coś w swoim języku.

–Liones? – powtórzył Jim, nadał wskazując palcem. Madog energicznie pokiwał głową, przejechał najwyżej cztery metry po równinie, a potem zsiadł i trzymając w rękach wodze, ostrożnie przeszedł kilka kroków naprzód. Stał i powiódł wskazującym palcem od lewej do prawej, tak jak przed chwilą Jim.

–Nie wierzę mu – mruknął Brian. – To nie wygląda jak Liones, wcale nie. Coś tu jest nie tak, Jamesie, poczynając od tego człowieka. Już mu nie ufam.

–Nie mamy wyboru – odparł Jim – jeśli nie chcemy pojechać z powrotem. Nie wierzę, by Dafydd dał nam przewodnika, który nie chce lub nie potrafi zaprowadzić nas tam, dokąd chcemy dotrzeć.

–Trudno – wycedził Brian, gładząc wskazującym palcem szczecinę nie golonego od dwóch dni blond zarostu nad górną wargą. Przeszył wzrokiem żołnierza. – Strzeż się, Maggot! Jeśli wywiodłeś nas na manowce, a mi uda się ująć z życiem, drogo za to zapłacisz!

* Gra stów; ang. maggot = czerw, robak (przyp.tłum.).

Madog odpowiedział mu nieustraszonym, lecz beznamiętnym spojrzeniem, ponownie dosiadł konia i pospiesznie odjechał, zmierzając w górę zbocza, które tylko co przebyli. Teraz Brian popatrzył na Jima.

–Skoro nie mamy wyboru – rzekł – jedźmy dalej.

–Jedną chwileczkę – odparł Jim, zsiadając z konia. – Chcę coś sprawdzić. Brianie, jeśli zniknę, to tylko na moment. Zostań tu, gdzie jesteś. Nigdzie nie odchodź.

–To tylko trzy kroki stad, milordzie! – pisnął cichy głosik za jego plecami.

Jim z Brianem odwrócili się i ujrzeli głowę Hoba wystającą spod brezentowego nakrycia pakunków na grzbiecie jucznego konia.

Skrzat nie odezwał się ani słowem, od kiedy opuścili Maleneondi, być może nie chcąc ryzykować, że Jim rozgniewa się, na niego i w magiczny sposób odeśle do domu. Teraz jednak na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Prawdę mówiąc, Jimowi zupełnie wyleciało z głowy, że malec jedzie z nimi. Podejrzywał, że Brian też o tym zapomniał.

–Mówisz o Liones? – spytał Jim.

–Tak, milordzie. O jej skraju.

–Skąd wiesz?

–Widzę go.

–W jaki sposób?

Uśmiech Hoba ustąpił miejsca grymasowi zdziwienia.

–Nie wiem, milordzie.

–No nic, nieważne.

Jim powiedział sobie w duchu, że to niewątpliwie kolejny przejaw magicznych zdolności, z których naturalni korzystają zupełnie nieświadomie. To oczywiste, że Hob nie potrafił tego wyjaśnić, podobnie jak nie umiał wytłumaczyć, w jaki sposób może pokonywać spore odległości, unosząc się na smużce dymu.

Jim odwrócił się. Zrobił krok po trawie w kierunku odległej linii drzew, dobrze widocznych w słońcu. Potem drugi... i trzeci...

Po tym ostatnim ciepłe słońeczko nad jego głową nagle znikło. Nie było też odległej linii drzew, tylko otaczające go czarne grube pnie o poskręcanych konarach, ogromny biały krąg słońca lub księżycy oblewający ziemię i drzewa jasnym, lecz zupełnie bezbarwnym światłem, oraz niebo blade jak horyzont tuż przed zachodem.

Jim odwrócił się i spojrzał za siebie. Brian zniknął, wraz z normalnym słońcem i zboczem góry, z którego dopiero co zjechali. Tam, gdzie stał, znajdowała się mała polanka lub przesieka, ze srebrzystą trawą porastającą czarną ziemię. Wszystkie cienie były ostro zarysowane i smoliście czarne.

Zrobił długi krok z powrotem i znów ujrzał słońce, błękitne niebo, zieloną roślinność, Briana i konie.

–Jeszcze przez chwilę nie ruszaj się z miejsca, Brianie – poprosił. – To rzeczywiście jest Liones. Muszę tylko coś sprawdzić. Zaraz wracam.

Wyobraził sobie salonik KinetetE, użył magii i po chwili znalazł się tam. KinetetE siedziała w tym samym fotelu co przedtem, tylko tym razem czytała jakiś rękopis na rulonie pergaminu. Uniosła oczy znad lektury i spojrzała na gościa.

–No? – mruknęła. – Co tym razem?

–Dotarliśmy do granicy między zatopioną krainą a Liones -odparł Jim. – Tylko że nie jest to wejście do jaskiń sękatych. Chciałem tylko zapytać cię, czy w tym miejscu możemy bezpiecznie przekroczyć granicę.

–Nie mam zielonego pojęcia – odrzekła.

–Przecież jeszcze ci nie powiedziałem, gdzie jesteśmy...

–Nie musisz. Każdy mag już w dzieciństwie bawi się kryształowymi kulami. Wiem, gdzie teraz jesteście.

–Och – mruknął Jim. – Dafydd musiał nas opuścić i pojechać do króla zatopionej krainy...

–To też wiem. Czy chcesz mi powiedzieć jeszcze coś, o czym już wiem?

–No, przede wszystkim... – zaczął. Tak bardzo przyzwyczał się do ostrego języka KinetetE, że przestał zwracać na to uwagę. Była to po prostu inna wersja impulsywnego sposobu, w jaki wyrażał się Carohnus. Może z czasem wszyscy magowie zaczęli się tak zachowywać. – Cóż, Brian, ja i Hob...

–Jim, pozwalasz temu niesfornemu małemu diablukowi na wszystko...

–Teraz ty mówisz mi o tym, o czym dobrze wiem – odciął się Jim, mimo tolerancyjnego stosunku do sposobu bycia KinetetE nie mogąc się oprzeć pokusie. – Chciałem rzec, że Brian, Hob i ja zamierzamy przekroczyć granicę. Czuję magię, którą mi pożyczyłaś. Czy będę ją czuł też w Liones?

–A czy wyczuwasz magię skierowaną przeciwko tobie?

–Nie wiem – odparł zaskoczony. – Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek...

–Och, na pewno. Najwidoczniej jest to coś, czego dopiero musisz się nauczyć.

Nie wiem, czy kiedy znajdziesz się w Liones, nadal będziesz czuł moją magię. To zależy od ciebie – i od Liones.

–A czy kiedy mówiłaś – ciągnął Jim – że musiałbym opuścić Liones, żeby uzupełnić zasoby magii, oznaczało to, że ktoś, kto by mnie jej pozbawił, nie zdołałby jej zatrzymać lub zniszczyć?

–Nikt – odparła surowo KinetetE – nie może zniszczyć magii. Przywłaszczenie jej również nie jest możliwe, nawet w takim miejscu jak Liones. Nie, kiedy znajdziesz się za jej granicami, magia automatycznie wróci do ciebie, jako do prawowitego właściciela.

–To dobrze – powiedział Jim. Odetchnął z ulgą, – A teraz ostatnie pytanie. Czy masz dla mnie jakąś radę, polecenie, ostrzeżenie... cokolwiek?

–Nie mam.

–Pewnie nie ma sensu pytać o to Carolinusa?

–Odpczywa – odparła KinetetE. – Może minąć trochę czasu, zanim go zobaczysz. W twoim towarzystwie nadmiernie się ekscytuje. Nie powinnam była mu pozwolić iść na ten ostatni obiad u was. kiedy fetowaliście sukces, upijając się.

–Wcale się nie upiłem – rzekł Jim. – To był wypadek...

–Jeśli tak twierdzisz – odparła KinetetE tonem zdradzającym głębokie niedowierzanie. – Czy to już koniec pytań?

–Tak – powiedział nastroszony Jim.

–Żegnaj.

–Żegnaj.

–Och, jesteś – powiedział Brian. – Podprowadziłem konie do miejsca, gdzie zniknąłeś.

–Dzięki – Jim dosiadł czekającego Gorpa. – Jesteś gotowy, Brianie?

–Już od dłuższej chwili. Cóż za dziwny rodzaj zbroi włożyłeś na nos?

–To są okulary – wyjaśnił krótko Jim. – Magiczne i potrzebne. Nie zwracaj na nie uwagi. Jedziemy.

Razem wjechali w srebrno-czarną krainę.

Rozdział 8

Przez jakiś czas podążali przez czarno-białą Liones. Gęsta czarna trawa tłumiała stukot kopyt koni. W konarach drzew nad ich głowami nie słychać było żadnych odgłosów życia. Wszystko było oblane słonecznym blaskiem albo pogrążone w cieniu i nigdzie nie dostrzegli żadnej ścieżki. Jednak drzewa o grubych pniach stały daleko od siebie, tak jak mogłyby rosnąć w znajdującym się na górze świecie, gdzie cień listowia zabija prawie wszelkie roślinne życie w ich cieniu. Tutaj też, chociaż miały mało liści, ich grube pnie i gałęzie skrywały ziemię przed promieniami słońca, pogrążając ją w mroku.

Wyglądało to tak samo jak poprzednim razem, kiedy jechali przez podobny las pod tym samym dziwnym słońcem, ale Jim zdążył już o tym zapomnieć. Zerknąwszy na Briana, zobaczył kamienną twarz przyjaciela i odgadł, że i on tego nie pamiętał.

Nie mieli pojęcia, dokąd powinni się skierować, więc jechali prosto przed siebie. Jeśli ta część Liones nie różniła się od tej, przez którą podróżowali podczas poprzedniej wyprawy, w końcu napotkają jakąś osobę, stworzenie lub znak, który podpowie im, w którym kierunku mają jechać.

Takie milczenie było niepodobne do Briana. Jim obserwował go kątem oka. Teraz rycerz jechał obok, ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w uszy rumaka. Tak już lepiej. W naturze Briana nie leżało długie zamartwianie się, a wspaniale wyczuwający nastrój pana Blanchard, jakby o tym wiedząc, sam odnajdywał drogę po pokrytej czarną trawą ziemi między drzewami.

Jim otworzył usta, by powiedzieć Brianowi coś pokrzepiającego, lecz zanim zdążył cokolwiek rzec, rycerz przemówił.

–Zatrzymaj się, Jamesie – rzekł, ściągając wodze. – Coś uwiera Blancharda w prawą nogę... Hej, chłopcze, stój spokojnie!

Zeskoczył z siodła i wprawnie podniósł prawą nogę wierzchowca, zginając ją w kolanie, żeby obejrzeć kopyto.

–Tak jak myślałem, kamyk... – Mówiąc to, wydłubał kamyczek czubkiem noża, którego używał do jedzenia. Żaden trzeźwo myślący rycerz nie tępiłby w ten sposób swego starannie naostrzonego puginału czy sztyletu. – W miękkiej trawie często kryją się takie...

Siedzący na Gorpie i obserwujący tę scenę Jim nagle zauważył na skraju pola widzenia uginającą się gałąź. Jakieś czarne stworzonko przebiegło po niej i zeskoczyło prosto na łęk jego siodła. Spojrzało na niego. On spojrzał na nie. Wiewiórka – zapewne szara, gdyby mógł dostrzec prawdziwy kolor jej futerka. Patrzyła na niego bez cienia strachu, z lekko rozdziawionym pyszczkiem – jakby się z niego śmiała. Potem zeskoczyła na ziemię i uciekła.

–Dlatego też – ciągnął Brian, z powrotem wsiadając na konia – moglibyśmy znaleźć się w poważnych tarapatach, gdyby w tej obcej ziemi trzeba było podkuć któregoś z naszych wierzchowców. – Usiadł wygodnie i chwycił wodze. – Wiesz co, Jamesie, być może źle osądziłem tego człowieka, którego Dafydd dał nam za przewodnika.

–To przez kłopoty językowe – podsunął Jim.

–Tak uważasz? – rzekł Brian i natychmiast się rozpromienił, a Jim z lekkim przygnębieniem uświadomił sobie, że rycerz wcale nie rozumiał jego słów i uznał je za usprawiedliwienie uwalniające go od poczucia winy z powodu okazanej nieuprzejmości. – Tak to już jest w dzisiejszych czasach, Jamesie. Trudno żyć jak szlachcicowi przystało i pozostać przy życiu.

Nie było sensu wyprowadzać go z błędu. Jim skinął głową.

–Czy spodziewałeś się, że nadejdą takie czasy? – ciągnął Brian i nie czekając na odpowiedź, zaczął rozwijać temat. – Nigdy nie wiadomo, jak taki ktoś – cudzoziemiec i biedak, nie znający angielskiego – zareaguje na najprostsze polecenie, a sądząc po tonie głosu i zachowaniu, można by pomyśleć, że uważa się za równego tobie. Teraz wszędzie jest tak samo: trzy pensy dziennie dla każdego dodatkowego fornała w porze żniw, od kiedy wybuchła zaraza! Nasi ojcowie i dziadowie żyli w istnym raj. Kto by pomyślał, że w ciągu jednego pokolenia zajdą takie zmiany? Za ich czasów życie było takie, jakiego człowiek mógł oczekiwać: jeśli był wierny Kościołowi i żył jak szlachcicowi przystało, mógł się spodziewać, że nic się nie zmieni od narodzin po grób.

–Cóż... – zaczął Jim, lecz Brian nie dał sobie przerwać.

–Och, zdarzały się lata kiepskich zbiorów i surowych zim, kiedy głód zaglądał do zamków i chat. Od czasu do czasu morscy rabusie zapuszczali się w głąb lądu albo zdarzały się inne kłopoty. Jeśli jednak ludzie postępowali tak jak ich dziadowie, wiedzieli, że wszystko będzie w porządku.

–Każde pokolenie... – spróbował ponownie Jim, lecz znów bezskutecznie.

–Oczywiście! – kontynuował Brian. – To prawda, że nic nie wiedzieli o szerokim świecie. Jeśli nie wyruszyli na krucjatę, nigdy nie postawili stopy w Ziemi Świętej. Zamiast zbroi nosili zwyczajne kolczugi, a sam wiesz, Jamesie, że chociaż stalowa kolczuga bez wzmacniających płytek – nie mówię o tych kunsztownie łączonych, tylko o zwykłych – jest w stanie zatrzymać cięcie lub pchnięcie mieczem, to siła ciosu może złamać kości. A staromodny hełm, taki jaki miał nasz przewodnik...

–Briane – powiedział Jim, rozpaczliwie usiłując coś wtrącić – w każdym miejscu i czasie ludzie sądzą, że przodkowie nie mieli ich problemów i trosk. Tymczasem pół wieku później prawnuki śpiewają tę samą piosenkę.

–Śpiewają, Jamesie?

–Miałem na myśli „mówią to samo”.

–A więc ich prawnuki nie mają o niczym pojęcia.

–Właśnie tak. Tak samo jak Angie i ja... – Jim w porę ugryzł się w język. – Rzecz w tym, że naprawdę nie mają pojęcia, ponieważ nie żyli w czasach pradziadów i znają tylko kilka podstawowych faktów. W oparciu o nie zwykle zakładają, że dawne czasy miały same zalety i żadnych wad. Na przykład uważając, iż rycerze w tych czasach nosili pełne zbroje.

–Właśnie o tym mówię, Jamesie! Oni myśleliby, że ich skromne doświadczenia i cierpienia są najlepszym i najgorszym z tego, co się może zdarzyć, że nikt nigdy nie trudził się tak jak oni i nie znosił takich przeciwności losu! Może gdyby żyli w naszych czasach, otworzyłyby im się oczy!

–Z pewnością tak..., Chciałem powiedzieć... – Jim urwał w ostatniej chwili, lecz Brian, podniecony swoim wywodem, nawet go nie usłyszał.

–Byliby zdumieni, widząc to, co potrafimy i czego dokonaliśmy, ale uznaliby, że nadchodzi Sądny Dzień, kiedy dowiedzieliby się o zarazach, napadach, wojnach i podatkach...

–No tak, podatki...

–...wszędzie z ludzi wychodzi diabeł. Ta plaga, o której wspomniałem, słabość naszych władców... Cóż, Edward I był prawdziwym mężczyzną i królem! Natomiast obecny Edward... Ten umie tylko nakładać kolejne podatki, które wszystkich nas puszczą z torbami. Powiadam ci, Jamesie... Hej, zatrzymaj się! Czy słyszysz to co ja?

Brian wstrzymał Blancharda. Jim uczynił to samo ze swoim rumakiem i nasłuchiwał. Teraz, kiedy zamilkli, wyraźnie słyszał to, o czym mówił przyjaciel – chociaż ten dźwięk nie przypominał płaczu dziecka. Raczej kobiecy szloch.

–Jedźmy – rzekł Brian i skierował Blancharda między drzewa po lewej. Jim dogonił go, zamarudziwszy chwilę, żeby chwycić błyskawicznie przecięty przez rycerza sznur jucznego konia.

Ten skorzystał z krótkiej przerwy, chwytając zębami kilku kępek czarnej trawy. Zmuszony do dalszej podróży, z głębokim niesmakiem spojrzał na Jima.

–Mam nadzieję, że się tym nie strujesz – powiedział mu Jim.

–James? – Brian obejrzał się przez ramię.

–Nic, nic – odparł Jim. – Jedź dalej.

Brian usłuchał i zaledwie minutę później wyjechali na polankę oświetloną promieniami białego słońca (lub księżycy), wpadającymi przez lukę w baldachimie listowia. Na porośniętym mchem wzgórkę siedziała kilkunastoletnia dziewczyna w długiej białej sukni i cienkiej także białej chuście, bardziej zdobiącej niż skrywającej jej długie czarne włosy.

Brian podjechał i osadził konia przed nieznajomą.

–Pani – zapytał – czy potrzebujesz pomocy? Jeśli tak, jestem na twoje rozkazy. Uroniła jeszcze kilka łez.

–Och, zacny rycerzu – odezwała się wreszcie. – Szukam mojego ojca, porwanego przez okrutnych nieprzyjaciół, mieszkających w głębi tego lasu. Jednak pewne miłe stworzonko z tej dziczy, które jakimś cudem zdołało do mnie przemówić, właśnie powiedziało w zrozumiałych dla mnie słowach, że ci sami wrogowie w liczbie tuzina czekają tu na mnie. Chcą mnie pojmać i zastawili zasadzkę niedaleko stąd. Dlatego nie śmiem iść dalej, a przecież muszę. Och, czy jakaś panna była kiedy w takich opałach!

Zaczęła szlochać jeszcze głośniejsze, ocierając oczy maleńką chusteczką, która do tego czasu powinna być zupełnie mokra, lecz wyglądała na tak suchą, jakby nie dotknęła jej nawet jedna łza.

–Brianie – rzekł niespokojnie Jim, patrząc na chusteczkę, ale rycerz nie zwrócił na to uwagi.

–Błagam cię, dobra pani, nie smuć się już – mówił. – Ja i mój przyjaciel pojedziemy z tobą. Możesz nie obawiać się tych, którzy tam czyhają.

–Brianie... – zaczął bardziej stanowczo Jim, lecz zanim zdążył dokończyć, czarna trawa skoczyła w górę i spowiła go niczym gruby koc, unieruchamiając i ściskając tak, że nie mógł oddychać. Poczuł, że się dusi i spada, tracąc świadomość.

Odzyskiwał ją najpierw stopniowo, potem coraz szybciej. Znajdował się w jakimś zamku, przywodzącym mu na myśl najstarsze budowle Anglii, ze ścianami z grubo ciosanych kamieni. Jednak łukowate przejście i sufit nadawały wnętrzu obcy wygląd. Nie było przy nim Briana.

Komnata była obszerna, a sklepienie wysokie. Pod ścianami stało kilka krzeseł. Jedno, o rzeźbionych poręczach i wysokim oparciu z wyrytym na nim łbem węża, ustawiono osobno na podium po drugiej stronie sali. Tuż przed nim zobaczył pannę, którą spotkali w lesie, lecz teraz wyglądała na nieco wyższą i starszą – i wcale nie bezbronną.

Suknia tej wysokiej kobiety, choć nadal biała, była uszyta z cieniutkiej koronki i jakiegoś materiału błyszczącego jak jedwab. Włosy nieznanym były kruczoczarne, a oczy tak ciemne, że nie dało się określić ich prawdziwego koloru.

Była niewiarygodnie piękna, lecz emanowała zdecydowaniem i zniecierpliwieniem, zupełnie niepodobna do bezradnej kobietki, jaką Jim i Brian ujrzeli wcześniej.

–A więc – powiedziała – doszedłeś do siebie. Rozumiesz mnie teraz, prawda, mój porywczy młody intruzie? Dlaczego sądziłeś, że możesz wkroczyć do mojego królestwa, jakby mógł tędy przejść każdy, komu przyjdzie na to ochota...

Urwała i pociągnęła nosem.

–Aha! – powiedziała. – Wyczuwam u ciebie magię. A więc wiesz coś o Sztuce i dlatego pomyślałeś, że możesz się tu we drzeć... I osłania cię zaklęcie ochronne, niewątpliwie z paskudną, nikczemną magią w środku. Jak ktoś tak młody może sądzić, że zdołał nauczyć się dość, by stawić mi czoło?

Żadna odpowiedź nie przychodziła Jimowi do głowy. Zbyt przypominało to staromodny melodramat z czarnym charakterem podkreślającym wąs i mówiącym głównej bohaterce: „Ha, ma dumna ślicznotko! A więc ośmieliłaś się stanąć mi na drodze?” itd. Stał, bez słowa spoglądając na nieznaną.

–No cóż, po prostu zdejmę z ciebie to zaklęcie i obejrzę sobie tę żalną namiastkę magii, jaką posiadasz...

Mówiąc to, wyciągnęła ku niemu rękę, lecz zanim zdołała go dotknąć, rozbłysk miniaturowej błyskawicy wystrzelił z piersi Jima na spotkanie jej palców. Z krzykiem cofnęła dłoń.

–Zabezpieczone! – prychnęła wściekle. – Zabezpieczone przede mną! Kto się ośmielił?

Wargi Jima rozchyliły się bez udziału jego woli, a głos, który się z nich wydobył, nie należał do niego, chociaż był mu znajomy.

–Jestem KinetetE.

–Kin... a cóż to za niewymawialne imię? Nigdy o tobie nie słyszałam. Musisz posiadać jakieś zasoby magii, skoro zabezpieczyłaś zaklęcie ochronne tego młodego łotrzyka, w dodatku przede mną! Czy wiesz, kogo obraziłaś, kiedy zrobiłaś to królowej Morgan le Fay?

–Och, zapewniam cię, Morgan, że tym razem miałam właśnie ciebie na myśli.

–O, ty nieznośna krowo! Jak śmiesz mówić mi po imieniu?

–My, magowie, zwracamy się tak do wszystkich ludzi niższego stanu.

–Niższego stanu! Ja nie jestem byle kim! Wszyscy są niżsi stanem ode mnie!

Powiadam ci: jestem Morgan le Fay, królowa Gor! A w tej krainie nie ma nikogo, kto by się mnie nie obawiał!

–Są dwie takie osoby.

–Jakie? Powtarzam ci, że nie ma takich! Wymień je!

–Cóż, ja jestem jedną, a drugą ten młody mag, który stoi przed tobą otoczony moim zaklęciem.

–Nie lubię jej – mruzczał Hob przytulony do pleców Jima, mówiąc to tak cicho, że ledwie można go było usłyszeć. Dopiero teraz Jim zdał sobie sprawę, że mały skrzat niepostrzeżenie wśliznął się na swoje ulubione miejsce.

–A kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że jest co najmniej jeszcze jedna – dodała w zadumie KinetetE.

–Podaj jej imię!

–W tym wypadku jego. Merlin.

Przez chwilę w komnacie panowała cisza jak makiem zasiał i absolutny bezruch – nawet powietrze nie chciało wchodzić do płuc Jima. Potem Morgan le Fay powiedziała:

–Merlin jest na zawsze uwięziony w pniu drzewa. Nikt nie może zagrozić mi w Liones.

–Czas jest silniejszy, niż sądzisz, Morgan – rzekła KinetetE. – Chociaż nie sądzę, aby Merlin kiedykolwiek zniżył się do walki z tobą.

–Męczysz mnie – powiedziała Morgan le Fay. – Muszę się ciebie pozbyć. – Wskazała palcem na Jima. – Chodź tu do mnie, Kin... jakkolwiek się zwiesz! Natychmiast!

Mierzyła w niego palcem. Nic się nie działo.

–Próbowałam ci wyjaśnić, Morgan – dał się słyszeć głos KinetetE – iż ogromnie przeceniasz swoje możliwości i nie doceniasz moich. Nie możesz mnie przemieścić, dopóki tego nie zechcę. Jeśli jednak naprawdę chcesz się ze mną zmierzyć, podejdź tu, gdzie ja jestem.

–Jesteś Gdzie Indziej, w świecie, w którym istniała niegdyś Liones – powiedziała Morgan. – Żaden z tych, którzy żyli tam kiedyś, nie może powrócić. Musisz wiedzieć przynajmniej tyle. Nie można zmienić tego, co było.

–Mogę przenieść cię tutaj, jeśli naprawdę tego chcesz. Tylko powiedz.

–Nie pozwolę, byś przeniosła mnie przeciw Czasowi, łamiąc jego Prawa. I nie możesz zabrać mnie tam wbrew mojej woli.

–Prawdę mówiąc – powiedziała KinetetE – masz rację. Nie mogę.

–A widzisz! – zawołała triumfalnie Morgan. – Przyznajesz się do słabości!

–W przeciwieństwie do ciebie i dlatego ja wiem więcej, i wciąż uczę się nowych rzeczy. Nie wątpię, że Smoczy Rycerz w końcu rozprawi się z tobą. Teraz jednak musi być znużony, stojąc tam i słuchając naszej rozmowy. Proponuję, żebyś

grzecznie umieściła go z powrotem na dawnym miejscu i więcej nie niepokoiła ani jego, ani jego towarzyszy. Może nie będę miała czasu, by znów z tobą porozmawiać, lecz mogę wysłać posłańców. Zapewniam, że z żadnym z nich nie chciałabyś się spotkać.

–Nic nie mogą mi zrobić.

–Ależ mogą. Na razie jednak dość tego. Odeślij Jima natychmiast, dopóki was obserwuję.

–Jim? Smoczy Rycerz? Kim właściwie jest? Jednym czy drugim? Jak brzmi jego imię?

–Chciałabyś wiedzieć, prawda? Co do pozostałych twoich pytań: jest Smoczym Rycerzem, ponieważ może być rycerzem lub smokiem – nawet w Liones.

–Nonsens! Jednak z przyjemnością uwolnię się od waszego towarzystwa. Odejdź, rycerzu-smoku, a z tobą twoje ciała i imiona!

Jim znów siedział na Gorpie, który parsknął ze zdziwienia, gdy niespodziewanie poczuł na grzbiecie jego ciężar.

Niewiele brakowało, a Jim też sapnąłby ze zdumienia. On, Gorp i juczny koń ponownie znaleźli się w lesie Liones, lecz nie na tej polance, z której cienie porwały go od Briana i łkającej panny.

W powietrzu nad jego głową rozległ się gniewny głos Morgan le Fay:

–Bardzo dobrze, mój Smoczy Rycerzu! Zrobiłam to, o co prosiła twoja przyjaciółka, lecz fakt, że nie mogłam zdjąć z ciebie zaklęcia, wcale nie oznacza, że nie zgubisz go po drodze – a wówczas dowiesz się, co spotyka tych, którzy budzą gniew królowej Morgan le Fay. Właśnie posłałam ciebie i twoje zwierzęta do Dedalowego Lasu. Baw się dobrze!

Jim wyraźnie poczuł, że Morgan le Fay opuściła go.

–Do diabła! – zaklął. Odchylił się do tyłu i sprawdził, czy postronek jucznego konia jest dobrze przywiązany do siodła, a potem ruszył. Pojechał przed siebie, być może w złym kierunku, lecz przynajmniej miał wrażenie, że zdobył się na jakieś działanie, za miast siedzieć bezczynnie i bezradnie.

Niezły początek wyprawy trzech bohaterów, którzy wyruszyli z misją ratunkową. Dafydd pozostał w innym królestwie, Brian, usiłując ratować damę w potrzebie, niemal na pewno wpadł w pułapkę, z której nie mógł się uwolnić, a sam Jim zdobył już sobie wroga w osobie najpotężniejszej czarodziejki Liones i nawet nie miał pojęcia, gdzie się teraz znajduje.

Dedalowy Las?

Ta nazwa zdziwiła go, chociaż brzmiała znajomo, tak jakby powinien ją znać. Przypominała jakieś francuskie słowo, tylko co ono oznaczało? Miał złe przeczucia. Morgan le Fay nie przysłałaby go tu, gdyby było to miejsce bezpieczne i przyjemne. Wciąż jednak nie mógł odszukać w pamięci sensu tej nazwy, chociaż budziła jakieś nieświadome skojarzenia... Gdyby tylko zdołał je uchwycić...

–Dedalowy... Dedalowy... – powtórzył na głos i Gorp obejrzał się na niego ze zdziwieniem. Juczny koń zupełnie go zignorował i zajął się skubaniem trawy. Miejmy nadzieję, że ta nie oka że się trująca. Jim rozmyślał dalej.

Francuski, oczywiście, wywodził się z łaciny, tak więc to słowo powinno mieć przodka znanego Rzymianom, a może nawet starożytnym Grekom. Znał trochę łacinę, lecz jakoś nie mógł przerobić tego słowa na łaciński odpowiednik. Prawdopodobnie wywodziło się z klasycznej greki... Tak!

Oczywiście, Dedal! Nagle zrozumiał wszystko. Według legendy, człowiek ten zbudował na Krecie labirynt, w którym zamieszkiwał Minotaur, człekokształtny potwór z głową byka. W końcu heros Tezeusz zabił potwora, a Dedal zginął z rąk córek króla Kokalusa, które oblały go wrzątkiem, kiedy zażywał kąpieli. W dawnych czasach twórcy mitów lubili ponure zakończenia... a jak dobrze się zastanowię, również w tych czasach, które Jim sobie wybrał.

–Oczywiście! – powiedział na głos. – Labirynt!

–Co to jest „labirynt”, panie? – zapytał Hob tuż nad jego prawym uchem. Mały skrzat wdrapał się na ramię Jima.

–Zagadka. Miejsce, które zostało tak zbudowane, żeby trudno było z niego wyjść – odparł Jim. – Oto czym jest Dedalowy Las, do którego odesłała nas Morgan le Fay.

–A więc to niebezpieczne miejsce?

–Nie sądzę – odparł Jim – aby było gorsze od innych w Liones. Po prostu przypomina pudełko mające tylko jeden otwór. Będę musiał go znaleźć, żebyśmy mogli się stąd wydostać.

–Jeśli to pudełko ma tylko jeden otwór – odparł Hob – w mgnieniu oka mogę go odnaleźć, milordzie.

–Ty?

–Tak, milordzie. Wystarczy, że rozpalisz ogień.

–Wystarczy?

–Och tak – odrzekł Hob. – Jeśli będę miał trochę dymu, pojedę na nim i znajdę to wyjście. Jeśli w pudełku jest jakiś otwór, dym go odnajdzie.

Jim ściągnął wodze. Gorp stanął jak wryty, a juczny koń w ostatniej chwili zdołał się zatrzymać i nie wpaść na jego zad, co groziło potężnym kopnięciem. Klacz gniewnie spojrzała na Jima. „I co znowu?” – zdawała się mówić. Jim, przyzwyczajony do jej narowów, zignorował to.

–Hobie – powiedział – jesteś geniuszem.

–Och, dziękuję, milordzie – odparł skrzat i zawahał się. – Hmm, milordzie, czy to dobrze, czy źle być geniuszem?

–Dobrze, bardzo dobrze – mruknął Jim. Pochylił się w siodle, wypatrując na ziemi gałązek i suchych liści, nadających się na rozpałkę.

–Och, dziękuję, milordzie! Dlaczego jestem geniuszem?

–Ponieważ wpadłeś na pomysł wykorzystania dymu do odszukania wyjścia. Wiem, że potrafisz latać w ten sposób, ale nie przyszło mi do głowy, że to może być rozwiązanie.

Mówiąc to, zsiadł, pozbierał trochę gałązek i suchej trawy, po czym nożem i krzemieniem zaczął krzesać iskry. W końcu opanował tę umiejętność, chociaż jeszcze sprawiała mu trudności. Po kilku nieskutecznych uderzeniach iskra trysnęła i kupka suszu, którego użył na rozpałkę, zaczęła dymie. Po kilku sekundach strzelił z

niej jasny płomyk.

–Och, doskonale – powiedział radośnie Hob, wskakując na pierwszą smużkę dymu, jaka uniosła się z ogniska. – Zaraz wracam, milordzie.

W mgnieniu oka zniknął między czarnymi drzewami. Jim usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, zastanawiając się, jak długo potrwa to „zaraz”. Po kilku minutach doszedł do wniosku, iż w tej pozycji byłoby mu trudno odeprzeć nagły atak człowieka czy bestii. Ponownie dosiadł Gorpa i tkwiąc w siodle, zaczął w myślach powtarzać słowa czternastowiecznej, lubianej przez wszystkich piosenki.

–Już jestem! – oznajmił Hob, pojawiając się nagle. – Znalazłem wyjście, milordzie. – Unosił się w powietrzu na wysokości oczu Jima, na mniej więcej półmetrowej smużce dymu. – To łatwe. Najpierw pojedziesz na prawo, potem na lewo, znów w lewo, w prawo, później w lewo i dwa razy w prawo...

–Zaczekaj – przerwał mu Jim. – Może pokażesz mi drogę, zamiast o niej mówić?

–Oczywiście, milordzie. Proszę tędy.

Hob wleciał między drzewa i znów zniknął.

–Przepraszam, milordzie – rzekł, wracając. – Będę leciał tuż przed tobą.

–Tak – mruknął Jim. – Tak będzie lepiej.

Ruszyli. Jim jechał konno, ciągnąc za sobą jucznego konia, a Hob podróżował na smudze dymu, mniej więcej na wysokości oczu Jima, tylko nieco z przodu i z boku.

–Teraz w prawo, milordzie – rzeki, skręcając nieoczekiwanie między dwa pnie. – Dobrze. Teraz znów w prawo... w lewo... znowu w lewo... a teraz w prawo i jeszcze raz...

–No nie! Stój! Wracaj tu! – zawołał Jim, zatrzymując oba konie.

Hob wykonał polecenie i z przeproszącą miną podleciał do niego na smudze dymu.

–Błagam o wybaczenie, milordzie. Nie chciałem za daleko...

–Nie o to chodzi, chociaż wolałbym, żebyś trzymał się blisko mnie. Konie i ja wciąż próbujemy cię dogonić. Zostań za moimi plecami, Jeśli możesz. Chciałem jednak powiedzieć, że tu nie może być aż tylu zakrętów! To nie ma sensu. Jesteś pewien, że to jedyna droga do wyjścia z Dedalowego Lasu?

–Och tak, milordzie. Gdybyśmy wybrali inną, napotkalibyśmy wielki kamienny mur, wysoki jak urwisko, bezdenną przepaść lub zabójcze bagno.

–No cóż – rzekł Jim – jeśli tak twierdzisz.

–Po drodze napotkamy kilka osób, milordzie.

–Naprawdę? No cóż, będziemy się tym martwić, kiedy to nastąpi. Prowadź.

Hob ponownie okręcił swoją smużkę dymu i podążyli razem.

–...a teraz w lewo – mówił Hob, chyba tysięczny już raz. Jim myślami znów był gdzie indziej, zastanawiając się, czy po wyjściu z tego lasu powinien użyć magii do odzyskania Briana. Rycerz mógł wpakować się w poważne tarapaty. Jim skarcił się w duchu za takie czarnowidztwo. Brian na pewno jest cały i zdrowy.

Jednak miał nieprzyjemne wrażenie, że gdy tylko odważy się wyjść spod osłony zaklęcia, aby użyć magii, Morgan le Fay natychmiast dowie się o tym i zaatakuje, zdobywając nad nim przewagę, którą wykorzysta, by pozbawić go magicznych

zasobów lub zrobić coś równie niebezpiecznego przy udziale Ciemnych Mocy – albo w jakiś inny sposób przysporzyć kłopotów jemu i Brianowi.

–Teraz w prawo... i on już tu jest, milordzie.

–Brian? – ożywił się Jim, wracając do rzeczywistości. – Gdzie?

–Nie, milordzie. Pierwszy z tych, których spotkamy.

Jim spojrział przed siebie. Wyjechali na otwartą przestrzeń otoczoną drzewami, dostatecznie dużą, by na jej odległym końcu zmieścić się zamek, a bliżej namiot przed którym stała kolejna młoda panna z bardzo nieszczęśliwą miną. Znajdowała się między dwoma wojami uzbrojonymi w miecze. Jeszcze bliżej siedział potężnie zbudowany rycerz w pełnej zbroi.

Rozdział 9

Jim wstrzymał Gorpa.

–Czy coś się stało? – szepnął Hob, unosząc się tuż obok w powietrzu.

–Może wiesz, co to za jeden?

Hob uważnie spojrział na rzadki parawan ostatnich drzew, które zasłaniały ich przed oczami uzbrojonego męża.

–Sądzę, że... to rycerz, milordzie.

–Naprawdę? Bardzo mi pomogłeś.

–Drobiazg, milordzie – ucieszył się Hob. – Każdy geniusz by to potrafił.

Jim westchnął. Ironia nie docierała do skrzata. Popędził Gorpa i wyjechał na polanę. Na jego widok rycerz zerwał się na równe nogi.

–Ach! – zakrzyknął. – Jakże długo tu czekałem! Teraz umrzesz, chyba że ocalisz życie, popełniając niecny uczynek!

–Niecny uczynek! – powtórzył Jim, osadzając Gorpa. – Jaki?

–Cięży na mnie klątwa. Przyprawdźcie mego rumaka i nie zapomnijcie o kopii – rzekł do najbliższej stojącego sługi, który pobiegł do namiotu. – Rzucono na mnie klątwę, w wyniku której nigdy nie będę miał żony ani dzieci, chociaż bez trudu znajdę pannę, którą pokocham. Znalazłszy ją, będę musiał walczyć z pierwszym rycerzem, który się tu pokaże. Jeśli zwyciężę, mój przeciwnik może uratować życie tylko w jeden sposób. Musi ściąć głowę pannie, którą kocham. Tylko jeśli przejeżdżający tędy rycerz pokona mnie i okaże miłosierdzie, będę mógł ją poślubić i zaznać szczęścia.

–Cóż... – zaczął Jim i zabrakło mu słów. Gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. Aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak niewprawnie włada kopią i innymi rodzajami broni – pomimo wysiłków Briana, który starał się go czegoś nauczyć. Co więcej, nawet jako początkujący mag wiedział, jak skomplikowana jest taka klątwa i ile magicznej energii trzeba zainwestować, by ją przełamać.

Być może, pomyślał, ten rycerz ma urojenia. Tak więc nie da się go przekonać, żeby zmienił zdanie. Tylko zrozumiały dlań wykręt może okazać się skuteczny.

–Jaka szkoda – rzekł Jim – że mam tylko tę jedną kopię. Została poświęcona i może być użyta jedynie w walce z niektórymi przeciwnikami, szczególnie złymi. Na przykład rycerzami, którzy popełnili niewymownie okropny grzech. Nie martw się. Z pewnością pojawi się tu ktoś, kto zdoła cię pokonać.

–Nigdy! – odparł rycerz i ku zakłopotaniu Jima zaczął ronić łzy. – Druga część klątwy mówi, iż może mnie zwyciężyć jedynie człowiek, który nie urodził się na tej ziemi. Tak więc musimy walczyć, potykać się na kopie – a tych mi nie brakuje. Obejrzał się.

–Przynieście jeszcze jedną kopię! – zawołał w stronę namiotu.

–Hobie – powiedział ściszym głosem Jim – czy gdybym szybko postarał się o trochę dymu, mógłbyś mnie stąd zabrać?

–Nie w tym pancerzu i z bronią, milordzie. Jesteś za ciężki. Hmm... milordzie, z całym szacunkiem... Chyba poczekam teraz na jucznym koniu.

–Tak będzie lepiej – odparł ponuro Jim. Wyciągnął rękę, od wiązał sznur i po

prostu pozwolił mu opaść; na ziemię. Gdzie miał rozum? Powinien był znaleźć jakieś wyjście z tej idiotycznej sytuacji.

Sługa powrócił, niosąc dwie kopie i prowadząc osiodłanego wierzchowca barwy szarawej mgły, unoszącej się pochmurnym, wczesnym rankiem nad mokradłem.

Rycerz otarł łzy wskazującym paluchem, strząsnął je i ujął jedną kopię. Potem wgramolił się na siwego rumaka. Sługa przyniósł drugie drzewce Jimowi, ostrożnie wyjął jego kopię z olstra przy siodle i z szacunkiem położył na murawie.

Jim zważył w ręku broń. Sprawiała dziwne wrażenie, gdyż była znacznie lżejsza od tych, których używał podczas ćwiczeń z Brianem. Prawdę mówiąc, była zwyczajną tyczką ze stalowym grotem na końcu. Nie mogąc wymyślić żadnej wymówki, Jim obrócił konia, trzymając drzewce w ręku i stając twarzą do przeciwnika.

W samą porę. Rycerz bez ostrzeżenia popędził rumaka i szybko zbliżał się do Jima. Ten odruchowo ubódł piętami Gorpa. Nie miał dość czasu, by rozpędzić go do galopu, lecz – na szczęście – tak jak kopia okazała się mniej ciężka od tych, do których Jim był przyzwyczajony, tak wierzchowiec rycerza był zarówno mniejszy, jak i lżejszy od Gorpa. Jim stwierdził, że pędzi na rywala z szybkością nieznacznie większą niż piętnaście kilometrów na godzinę. Starał się do ostatniej chwili trzymać kopię luźno, jak uczył go Brian, lecz gdy patrzył wzdłuż niej na nadciągającego przeciwnika, grot zdawał się podskakiwać i tańczyć. Spróbował wycelować, nie ściskając drzewca. Daremnie – a rycerz był już tuż-tuż.

W ostatniej chwili Jim, po raz pierwszy bez napomnień Briana, przypomniał sobie, co przyjaciel zawsze usiłował wbić mu do głowy. Przechylił tarczę! Unosząc ciężki puklerz tak, by osłaniał mu głowę i tułów, lekko przechylił go na lewo.

Z głuchym łoskotem grot kopii przeciwnika ześlizgnął się po tarczy i ominął Jima. Gorp wpadł na lżejszego konia i obalił go na ziemię wraz z jeźdźcem.

Rycerz zdążył wyjąć stopy ze strzemion, unikając przygniecenia, chwiejnie stanął na nogi i chyba zupełnie odruchowo wyciągnął miecz z pochwy.

W wyniku zderzenia Gorp stanął w miejscu i Jim wykorzystał to, szybciej wyjmując miecz. Z wysokości siodła, zawahawszy się tylko ułamek sekundy, niechętnie, lecz nie widząc innego wyjścia, z całej siły ciął mieczem – ponownie tak, jak nauczył go Brian – w skroń przeciwnika, okrytą staromodnym hełmem z okapem chroniącym tylko nos.

Stalowe nakrycie głowy wytrzymało cios, lecz materiał używany jako wyściółka w ówczesnych zbrojach był, łagodnie mówiąc, kiepski. Rycerz padł.

Natychmiast odzyskał przytomność, lecz Jim zdążył już zsiąść z konia i przytknąć koniec miecza do szyi przeciwnika.

–Poddaj się, niech cię szlag! – wysapał, nie zastanawiając się nad tym, że nie jest to zbyt rycerski sposób wzywania do kapitulacji.

Rycerz nagłym, konwulsyjnym ruchem próbował usunąć się w bok, lecz Jim natychmiast przytknął i przycisnął miecz do jego gardła.

–Poddaję się, zacny mężu – rzekł tamten. – Jeszcze nigdy w życiu nie zostałem pokonany równie szybko. Nie sądziłem, że to możliwe. Jesteś wielce zręcznym rycerzem. Choć gdyby mój rumak nie upadł... ale dość tego jałowego gadania.

Łagam o litość, której sam nigdy nikomu nie okazałem, i której i ty również mi odmówisz.

–Niekoniecznie – odparł Jim, wreszcie przypominając sobie, co powinno się mówić w takich sytuacjach – gdyż jesteś lepszy od wszystkich, których dotychczas napotkałem na tym odludziu. Daruję ci życie, lecz pod jednym warunkiem. Masz poprzysiąc na honor, że niezwłocznie pojmiesz za żonę tę pannę, która tam stoi, jeśli to ona jest twoją ukochaną.

–Uczynię to z ochotą – odparł rycerz – gdyż w ten sposób ziszczą się marzenia, których wyzbyłem się już dawno temu. Aczkolwiek wstyd mi, że walczyłem tak kiepsko i zostałem pokonany.

–Nie obwiniaj się – rzekł Jim. – Tak się składa, iż ze wszystkich żyjących rycerzy ja jeden nie urodziłem się na tej ziemi.

–Zaprawdę? – rycerz zerwał się na równe nogi. W ręku nadal trzymał miecz, ale rzucił go i mocno uścisnął Jima, aż zatrzeszczały żebra. – A zatem klątwa straciła moc i będę szczęśliwy do końca moich dni. Jesteś moim zbawcą, więc ja i moja przyszła rodzina nigdy nie przestaniemy sławić twego imienia. Zechciej nam je wyjawić.

Nie wiadomo dlaczego Jim poczuł nagle zimną dłoń strachu ściskającą go za gardło. Z pewnością nic złego się nie wydarzy, jeśli się przedstawi. Mimo to wahał się.

–Niestety – rzekł – nie wolno mi tego uczynić, Możesz jednak myśleć o mnie jako o Smoczym Rycerzu. A teraz muszę ruszać dalej.

–Żegnaj i bądź zdrów, Smoczy Rycerzu – powiedział tamten i pospieszył do panny, która wybiegła mu naprzeciw. Jim podniósł swoją kopię i dosiadł Gorpa. Ponownie poczuł lekki ucisk na plecach.

–Znowu jestem przy tobie, milordzie – poinformował go Hob.

–Witaj z powrotem – rzekł Jim.

Odjeżdżając i ciągnąc za sobą uwiązanego na powrót jucznego konia, obejrzał się przez ramię. Rycerz i panna stali mocno objęci i Jim miał wrażenie, że oboje szlochali. Miał nadzieję, że ze szczęścia.

Dopiero kiedy zasłoniły ich drzewa, Jim doszedł do wniosku, że słusznie postąpił, nie podając swojego imienia. Poznając prawdziwe imię przeciwnika, każdy mag zyskiwał nad nim przewagę, a Morgan le Fay, która na pewno obserwowała go teraz za pomocą jakiegoś tutejszego odpowiednika kryształowej kuli, niewątpliwie była czarodziejką. Dowiedziawszy się, że Jim przybył do Lioness i jest początkującym magiem, i tak wiedziała już zbyt dużo.

Wrócił myślami do innych niebezpieczeństw, jakie mogły mu zagrażać.

–Hobie – zaczął. – Wspominałeś o innych osobach, które napotkamy w tym lesie. Ilu ich jeszcze będzie i kim one są?

–Przed nami jeszcze tylko dwa spotkania, milordzie. A właściwie tylko dwa ważne. Natkniemy się na wielkiego czarnego konia i bardzo nieprzyjemnego człowieka. A potem biednego ptaszka uwiązanego do gałęzi drzewa obok rośliny, która piszczy i skrzeczy tak głośno, że usłyszysz ją wcześniej, niż zobaczysz. Ten krzak twierdzi, że

cię zna, milordzie. Ma wielkie, zwisające zielone liście i mówi, że wyjawiał ci swoje imię, ale byłeś nieuprzejmy i nie przedstawiłeś się. Chciał, żebym ja powiedział mu, jak cię zwa, ale zażądał, zamiast poprosić, więc odmówiłem.

–Dobrze – pochwalił Jim. Uświadomił sobie, że powinien pomyśleć o tym wcześniej. – Dopóki tu będziemy, Hobie, nikomu nie wyjawiaj mojego imienia. Zapamiętasz?

–Och tak, milordzie. Nigdy niczego nie zapominam. Pojechali dalej. A właściwie Jim pojechał, Hob poleciał, a Gorp i juczny koń poczłapali. Jim nie zastanawiał się nad tymi, którzy mu towarzyszyli. Rozmyślał o tym, że miał ogromne szczęście, wychodząc cało z pojedynku z rycerzem – a w dodatku zwyciężając. To, że wyszedł z potyczki bez szwanku, zawdzięczał większym rozmiarom i wadze Gorpa oraz cennym radom Briana, który uczył go posługiwać się czternastowieczną bronią.

Muszę wymyślić jakiś sposób, postanowił, aby w przyszłości unikać takich sytuacji. Dedalowy Las wyglądał na miejsce, w którym łatwo o przygodę rodem z legend o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Niemal każdy, kogo tu napotka, może być doskonale wyćwiczony w posługiwaniu się bronią, a także nadzwyczaj silny w wyniku częstego jej używania. W starciu z takim przeciwnikiem nie miałby zapewne żadnych szans.

Jeśli tylko zdoła pozostać przy życiu do czasu, aż odszuka Briana, może mu się uda. Tymczasem potrzebny mu był dostatecznie przekonujący argument, dzięki któremu mógłby wykręcić się od walki...

–Tam są, milordzie! – zaćwierkał mu Hob do prawego ucha.

–Już?

Właśnie dotarli do rzędu drzew stojących wzdłuż czegoś, co można by nazwać dużym strumieniem lub rzeczką. Jednakże ta niewielka struga miała pewną interesującą cechę – a mianowicie toczyła swe wody z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jak ocenił Jim. W jaki sposób zdołała na tej równinie osiągnąć taką prędkość, właściwą bardziej górskiemu strumieniowi spływającemu po stromym zboczu?

„To znów magia!” – pomyślał podejrzliwie Jim, ale zaraz przypomniał sobie, iż stałe poruszanie takiej masy wody wymagałoby użycia potwornych zasobów magicznej energii. Co innego zmienić krajobraz tak, by stworzyć spadek, lecz taką szybkość można było uzyskać tylko przy znacznej różnicy poziomów. Tymczasem nie dostrzegał żadnych wzgórz ani gór wznoszących się nad wierzchołkami drzew.

Oprócz magii musiało tu działać jeszcze coś, ale postanowił później zastanowić się nad tą zagadką.

Teraz, kiedy zaczął uważnie przyglądać się wartkiemu strumieniowi, jego spojrzenie przyciągnął przerzucony przezeń, nie budzący zaufania, pływający most. Po jednej jego stronie stał namiocik, a przed nim, najwidoczniej nie spętany, największy koń, jakiego Jim kiedykolwiek widział, maści o barwie czarnej, bagiennej wody tuż przed wschodem słońca. Wierzchowiec miał na sobie siodło, derkę i uzdę w tym samym kolorze.

Jim ściągnął wodze. Pochylił się w siodle, aby lepiej widzieć przez zasłonę gałęzi.

–Gdzie ten człowieczek, o którym wspominałeś?

–Sądzę, że w namiocie, milordzie.

–Co on i ten koń tutaj robią? Pilnują mostu?

–Nie wiem, milordzie. Ten człowiek sądził, że jestem jakimś ptakiem. Machał rękami, żeby mnie odgonić.

–No cóż, ruszajmy – rzekł Jim, uderzając piętami w boki Gorpa. Juczny koń ponuro poczłapał za nimi.

Czarny rumak nie zwrócił na nich uwagi, kiedy wyłonili się z lasu. Jim jechał stępa.

–Hobie? – powiedział.

–Tak, milordzie? – usłyszał głos skrzata, tym razem zza pleców. Jim zauważył, że ostatnio Hob zaczął poprawnie wymawiać słowo „milordzie”, nie połykając samogłosek, jak miała w zwyczaju służba w Malencontri. Zastanawiał się, czy spowodował to pobyt w Liones.

–Zostań tam, przez chwilę nie wierć się i nie odzywaj. Jeśli zechcesz, będziesz mógł zeskoczyć niepostrzeżenie. Powiem ci, kiedy będziesz mógł to bezpiecznie zrobić.

W miarę jak zbliżał się do namiotu, który wyglądał na czarno-biały (czarny w miejscu, gdzie padał na niego cień wielkiego drzewa rosnącego na drugim brzegu strumienia, i biały tam, gdzie oświetlało go słońce), był coraz bardziej zdziwiony. Nikt nie wyszedł z namiotu, by powitać nadjeżdżającego, chociaż był już blisko strumienia i na pewno słyhać było podzwanianie końskich uprzęży. Czarny rumak nawet nie spojrzał w kierunku Jima, choć konie zazwyczaj interesuje widok nadjeżdżających pobratymców, a ogiery czujnie obserwują rywali.

Zachowywał się tak, jakby Jima i jego dwóch koni w ogóle tu nie było.

–O co chodzi, milordzie? – zapytał ściszym głosem Hob nad jego uchem.

–Siedź cicho i spokojnie – szepnął Jim. Obrócił Gorpa, przez chwilę dostrzegł zniesmaczony wzrok jucznego konia, mówiący „zdecyduj się wreszcie”, po czym wjechał z powrotem między drzewa.

Ukrywszy się dostatecznie głęboko, aby nie było go widać z namiotu, lecz mogąc go obserwować zza zasłony pni, Jim wstrzymał Gorpa, zawrócił i popatrzył na otwartą przestrzeń.

–Hobie – zapytał – widzisz tego czarnego konia, prawda? Oczywiście, że widzisz, ponieważ mówiłeś mi o nim wcześniej.

–Racja, milordzie. Teraz też go widzę.

–A przecież ty jesteś naturalnym, a ja człowiekiem...

–Racz wybaczyć, milordzie, lecz co rycerz lub mag musi zrobić, żeby stać się człowiekiem?

–Obaj są ludźmi – odparł Jim. – Jak wszyscy ludzie.

–To nie jest specjalny przydomek za jakiś odważny czyn?

–Nie – odpowiedział Jim. – Niestety.

–Och. Milordzie...

–Nie teraz, Hobie. Mamy ważniejsze sprawy. Obaj widzimy tego czarnego konia.

On nie zwraca na nas uwagi. Gdyby był tylko złudzeniem, zwierzęta nie dostrzegłyby go, ponieważ magia nie działa na nie. Nasze konie mogłyby nam powiedzieć, czy go widzą – gdyby umiały mówić. Na razie wszystkie trzy zachowują się tak, jakby się wzajemnie nie dostrzegały. Żałuję, że nie mogą nam niczego wyjaśnić.

–Czy już powiedziałeś to, co chciałeś, milordzie? – spytał nieśmiało Hob.

–Na razie tak. Czy chcesz coś dodać?

–Tylko to, że konie umieją mówić. Chociaż przeważnie robią to, strzygąc uszami i szczerząc zęby. Jeśli myślą o czymś, co można ująć w słowa, czasem je rozumiem. Nie wiem jednak, czy zrozumiałyby pytanie i czy ja zdołałbym pojąć odpowiedź, gdyby zechciały mi jej udzielić. Tego nigdy się nie wie. Czasem wcale się nie odzywają.

–Właśnie tego się obawiałem – mruknął Jim, – Nadal jednak nie wierzę, że widzą lub czują tego konia. Klacz mogłaby go zignorować, ale żeby Gorp nie zwrócił uwagi na innego ogiera... Chciałbym spojrzeć na to ich oczami.

Oczywiście, zaledwie to powiedział, uświadomił sobie, że jest to możliwe – mógłby przynajmniej popatrzeć na tego konia ślepiami smoka, bez ryzykownego korzystania z magii. Dotychczas często używał smoczego wzroku, by dobrze przyjrzeć się odległym obiektom, ale smok właściwie nie był zwierzęciem – choć też nie naturalnym i nie człowiekiem, tylko stworzeniem zupełnie innego rodzaju. Może jednak warto spróbować. Wyobraził sobie siebie ze ślepiami smoka i poczuł lekki ucisk pod czaszką, wywołany powiększaniem się gałek ocznych. Spojrzał na otwartą przestrzeń po drugiej stronie rzeki.

Czarny koń nie poruszył się. Nikt nie wyszedł z namiotu. Nic się nie zmieniło.

Jim przywrócił sobie ludzkie oczy, ale nagle przyszło mu do głowy, że umiejętność przybierania smoczej postaci może pomóc mu jeszcze w czymś. Jeśli mógł patrzeć smoczymi ślepiami, tak jak przed chwilą, to równie dobrze mógł latać na smoczych skrzydłach – nie opuszczając ochronnego zaklęcia.

–Hobie – rzekł – gdybym zmienił się w smoka, mógłbyś polecieć na moim grzbiecie, prawda?

–Tak, milordzie.

–I mógłbyś pokazać mi drogę z powietrza?

–Och, z pewnością, milordzie. Chyba jednak nie powinniśmy tego robić.

–Dlaczego?

–No... – zmieszał się Hob. – Sam też próbowałem, milordzie, kiedy uniósł mnie dym, ale wyjście znikło. Dym musiał odnaleźć je ponownie, w innym miejscu.

–Rozumiem – rzekł ponuro Jim. Ruchome wyjście. Istotnie, powiedział sobie, powinienem był to przewidzieć. Nawet zupełnie zielony uczeń maga powinien na to wpaść.

Jeśli była to jedyna droga na zewnątrz, magia rezydująca w Dedalowym Lesie z pewnością uniemożliwia wydostanie się z niego przez oszustwo. Hob odnalazł drogę w uczciwy sposób, gdyż w naturze skrzatów leży jazda na smużce dymu, a ten ma prawo znaleźć wyjście – jak to dym. Gdyby jednak Jim próbował ominąć pułapki, których zwykły człowiek nie byłby w stanie uniknąć, Dedalowy Las zagroziłby mu

drogę.

–Ponadto, milordzie – dodał Hob – czy konie nie są za ciężkie, żebyś zdołał je unieść?

Naturalnie i w tym miał rację. Było to tak oczywiste, że Jim sam powinien na to wpaść.

„Pomyśl jeszcze raz. Tym razem dobrze się zastanów”.

Tylko w konwencjonalny sposób mógł się wydostać z tej pułapki i wyruszyć na poszukiwanie Briana, To fakt numer jeden. Ponadto było prawie pewne, że magiczne zdolności Morgan le Fay były ograniczone w tym sensie, że mogła go przenieść w miejsce, z którego ucieczka była trudna, ale nie niemożliwa. Na razie nie potrafił tego dowieść, ale nie miał w tym względzie wątpliwości. Lecz jeśli zaplanowała dla niego jakąś niespodziankę już po tym, jak wydostanie się z Dedalowego Lasu?

Na moment przed tym, jak KinetetE włączyła się do rozmowy, Morgan oznajmiła, że zdejmie z niego zaklęcie, żeby przekonać się, jakie Jim posiada zasady magii. Oczywiście, nie dowiedziała się tego – dzięki KinetetE. Nie odkryła nawet, jak ma na imię. Te pułapki w Dedalowym Lesie mogły zostać zastawione po to, by uzyskać o nim jak najwięcej informacji.

Spotkanie z rycerzem, na którym ciążyła klątwa, mogło mieć na celu zebranie informacji. O jego magii? Nie, gdyż to wymagałoby użycia innej magii. Z drugiej strony, może Morgan starała się zdobyć wszystkie dostępne dane na temat Jima, od kiedy okazało się, że jego sprzymierzeńcem jest KinetetE.

W rzeczy samej, to ostatnie spotkanie było bardziej próbą jego odwagi i rycerskich umiejętności niż prowokacją, która miała go skłonić do użycia magicznych mocy – co oznaczałoby zdjęcie zaklęcia ochronnego i odsłonięcie się przed Morgan. Czy zdawała sobie sprawę z tego, w jakim stopniu zwycięstwo w pojedynku na kopie zawdzięczał różnicom wagi wierzchowców i lepszej zbroi? Może nie. Nieważne, powiedzmy, że był to test jego odwagi.

Jednak ten dziwny rumak i wartki nurt wody wyraźnie wskazywały na działanie szczególnych sił. Tym bardziej, jeśli czarny koń był złudzeniem.

Tak więc przynajmniej ten wierzchowiec, jeśli nawet nie namiot, rzeka i widziany przez Hoba karzeł, mógł być częścią następnej próby, jakiej chciała go poddać Morgan le Fay. Może usiłowała zmusić go, by odruchowo zdjął zaklęcie pod wpływem paniki lub roztargnienia? Albo sprawdzić jego umiejętność samokontroli?

No cóż, jeśli po pojedynku na polanie uznała Jima za śmiałego i zręcznego rycerza, mogła popełnić kolejną pomyłkę. Większość magów z górnej krainy dysponowała tylko magią i niczym więcej, Morgan nie mogła wiedzieć ani nawet przypuszczać, iż Jim jest dla niej groźnym przeciwnikiem głównie z powodu wiedzy, jaką posiadał, urodziwszy się kilkaset lat później.

Podjedzie do tego namiotu nad rzeką i tym razem zachowa ostrożność, przez cały czas pamiętając o tym, że czarny rumak może być złudzeniem.

–Hobie – rzekł – zostaw mnie i ukryj się pod plandeką na jucznym koniu.

Świadczący o obecności skrzata lekki ucisk na ramieniu nagle zniknął. Jim ujął wodze Gorpa i ruszył z powrotem do namiociku nad rzeką.

Rozdział 10

Tak jak przedtem, czarny ogier nie zwrócił na nich uwagi, a konie Jima zachowywały się tak, jakby go tam nie było. Tym razem jednak, gdy Jim znalazł się w odległości kilku kroków, z namiotu wyszedł niski mężczyzna, o którym wspominał Hob. Jim nie zauważył żadnych zniekształceń na ciele człowieczka, lecz głębokie bruzdy wokół oczu i ust sprawiały wrażenie szyderczego uśmiechu.

–Panie! – rzekł piskliwym, cienkim głosem, który pasował do jego spojrzenia.

–Dobry człowieku! – odpowiedział wyniośle Jim, przyjmując sposób mówienia podpatrzony u innych rycerzy tych czasów, rozmawiających z pośledniejszymi od siebie. – Czy ten most wytrzyma ciężar dwóch koni, obu obładowanych? Odpowiedz krótko, tak czy nie.

–Nie wytrzyma nawet jednego nie obładowanego – odparł człowieczek i wydawało się, że wykrzywił się jeszcze bardziej, odpowiadając nie tak, jak kazał mu Jim. – Unosi się na wodzie, panie, a pod takim ciężarem zanurzy się tak głęboko, że woda zwali twoje konie z nóg.

–Hmm – mruknął Jim, celowo ignorując prowokacyjne zachowanie tamtego, który teraz gapił się na niego jeszcze bardziej wyzywająco, jakby nawet dziecko wiedziało to, co przed chwilą powiedział. W brytyjskiej armii nazywano to „tępą bezczelnością” już kilkaset lat przed przyjściem Jima na świat.

–No cóż – stwierdził Jim – w takim razie będziemy musieli przepłynąć tę rzekę.

–Nie radziłbym, panie – rzekł człowieczek, unosząc głowę i nieprzyjemnie kurcząc górną wargę. – Prąd jest bardzo silny i żadne zwierzę nic zdoła jej przebyć o własnych siłach. Nurt porwie je i utopi. Tylko mój Pożeracz Chmur jest na tyle silny, żeby mu się oprzeć. Pożyczę ci go, panie, za cztery sztuki złota, a kiedy znajdziesz się na drugim brzegu, gwizdnę i wróci do mnie.

–To bardzo wygórowana cena, człowieku – rzekł Jim, nadal grając rolę rycerza, skoro tamten nie chciał zrezygnować ze swojej. – A ponadto nie podobają mi się twoje maniery. Moje konie przepłyną tę rzekę.

–Mylisz się... panie – usłyszał. – Spójrz na swego konia, a potem na Pożeracza Chmur. Czy twój rumak ma taki wzrost i mięśnie?

Jim obrzucił spojrzeniem czarnego wierzchowca, który nadal nie poruszył się i nie wydał żadnego dźwięku. Miał założone siodło i uzdę, jakby czekał na jeźdźca. Teraz, kiedy Jim podjechał bliżej i oba rumaki dzieliła tylko niewielka odległość, mógł je porównać. Zwierzę dziwaczego człowieczka było znacznie wyższe, lepiej zbudowane i umięśnione od Gorpa, z którym dotychczas pod względem rozmiarów i siły nie mógł się równać żaden koń prócz należącego do Briana Blancharda.

Ponownie spojrział na rzekę. Właśnie niosła ułamaną gałąź, która na chwilę zaczepiła się o krawędź mostu, a potem znikła pod nim, wepchnięta przez prąd. Sekundę później pojawiła się po drugiej stronie i równie szybko została porwana przez nurt, który poniósł ją w dół rzeki, gdzie jej zarys, jakby naszkicowany miękkim czarnym ołówkiem, wtopił się w jednolity mrok rosnących na brzegu drzew.

Ten prąd niewątpliwie był równie wartki jak nurt strumienia spływającego po stromym zboczu góry. Żaden koń nie zdołałby go pokonać. Byłby to cud – lub czary

– gdyby udało się to czarnemu rumakowi.

No cóż, zawsze mógł załatwić tę sprawę po rycersku. Na szczęście w tym świecie widział dość tak zwanych rycerzy i szlachciców, żeby zrozumieć, że ludzie tacy jak Brian i Chandos nie byli typowymi przedstawicielami swej klasy. Tym razem lepiej będzie wziąć przykład z większości stada.

–Chamie! – warknął, dobywając miecza. – Nawet ten twój koń nie zdoła przenieść mnie na drugi brzeg. Z sobie tylko wiadomych powodów pragniesz mojej śmierci, a utrata konia to nie wielka zapłata za zamordowanie rycerza! Za cztery sztuki złota mógłbyś kupić sobie dziesięć takich koni!

Efekt był nadspodziewanie dobry. Człowieczek odskoczył i zasłonił się rękami, gdy ostrze miecza zabłysło srebrzyście w oślepiającym słońcu. Jego twarz wykrzywił grymas strachu.

–Nic podobnego, panie, nie! – krzyknął. – Za całe złoto świata nie kupiłbym drugiego takiego jak on! Przysięgam na mą duszę, że może bezpiecznie przenieść cię na drugi brzeg i w dodatku pociągnąć za sobą oba twoje konie!

Jim opuścił miecz, ale nie wepchnął go do pochwy.

–Zatem dowiedz mi prawdy tych słów! – ryknął, jeszcze bardziej wczuwając się w rolę czternastowiecznego rycerza. – Dosiądziesz tego rumaka i przeprawisz się na drugi brzeg. Już! Ja popatrzę. Słyszysz, co mówię?

–Tak, tak, milordzie! – Człowieczek podszedł do swego wierzchowca, obchodząc Gorpa i przezornie trzymając się poza zasięgiem jego tylnych kopyt. – Ale, milordzie, cztery sztuki złota...

–Śmiesz mówić o zapłacie, kiedy podejrzewam, iż podstępnie dybiesz na moje życie? – wrzasnął Jim. Lekko obrócił Gorpa i ponownie uniósł miecz. – Otrzymasz zapłatę, jeśli ja zechcę. Teraz ruszaj!

Człowieczek wdrapał się na grzbiet czarnego ogiera. Chwycił wodze i nieruchomy rumak ożył. Podjechał na brzeg wartkiego strumienia, tuż obok pływającego mostu, i wkroczył do wody.

Jim schował miecz i przypatrywał się temu, marszcząc brwi. Człowieczek zdawał się nie wątpić w swego konia, a ten nie obawiał się pędzącej wody. Szybko dotarli na drugi brzeg. Czarny ogier płynął potężnymi uderzeniami nóg, aż oparł przednie kopyta o brzeg i podźwignął się ze strumienia. Jego właściciel okręcił go i stanął twarzą do czekającego po drugiej stronie Jima.

–Widzisz, milordzie? – zawołał triumfalnie.

–Teraz wróć tutaj po moście! – krzyknął Jim.

–Ależ, milordzie...

Jim znów wyjął miecz. Człowieczek skłonił się i popędził ogiera, kierując go na most. Ten zapadł się pod powierzchnię wody, gdy tylko rumak na nim stanął. Zanim dotarli na środek, wartki nurt szarpał i popychał nogi zwierzęcia, sięgając aż po pęciny. Jim był przekonany, że każdy inny koń straciłby równowagę, ale ten, nie zatrzymując się, dotarł do brzegu, wyszedł nań i stanął przed siedzącym na Gorpie rycerzem. Nadal wydawał się patrzeć przez Jima, a nie na niego.

–Widzisz, milordzie? – zawołał triumfalnie człowieczek. Owszem, Jim widział. To,

co przed chwilą zobaczył, było poprostu niemożliwe. Czarny koń mógł przepłynąć rzekę, lecz w żaden sposób nie miał prawa utrzymać równowagi na rozkołysanym moście. Mógł tego dokonać tylko dzięki magii – nie było innego wytłumaczenia.

Jeśli kryła się za tym Morgan le Fay – a Jim był coraz bardziej przekonany, że tak jest – umożliwiła jej to magia. Tak więc, skoro pojedynek z tamtym nieszczęsnym, głupim rycerzem był sprawdzianem odwagi i rycerskich umiejętności Jima, nakłaniając go do przejażdżki na grzbiecie czarnego ogiera, zamierzała zapewne poddać go kolejnej próbie.

No cóż, jeśli ona tego chciała, on nie pójdzie jej na rękę.

Ten człowieczek musi być jej sługą. W rzeczy samej, mógł jej służyć nie tylko on, ale także ogier, namiot i sama rzeka. Jeżeli nie były złudzeniem – lecz Jim obejrzał wszystko z bliska, a dostatecznie znał się na magii, by stwierdzić, że tak nie jest.

A zatem można wykluczyć iluzję. Co pozostaje?

–I co, mój potężny panie? – mówił człowieczek, znów uśmiechając się szyderczo i zatrzymując ogiera przed Jimem.

Jim bez słowa zmierzył go przeciągłym spojrzeniem i szyderczy uśmiech znikł z twarzy pytającego, który zbladł jak ściana.

–Milordzie, milordzie... – rzekł drżącym głosem. – Jeśli powiedziałem coś nie tak...

–Nie dbam o to, co mówisz – odparł Jim, powoli i wyraźnie. – A więc twoje zwierzę potrafi poradzić sobie z nurtem rzeki. To wcale nic oznacza, że zdoła przeciągnąć i moje konie, a ja nie zamierzam ryzykować ich utraty. Dowiedz mi, że możesz tego dokonać, a zastanowię się.

–Jak mogę... – zaczął człowieczek, załamując ręce. Nagle urwał i na jego ustach pojawił się chytry uśmieszek. – Dlaczego wasza lordowska mość nie przeprawi się na nim, aby sprawdzić, jaki jest silny? Jest w stanie przenieść ciebie i przeciągnąć konie. Sam zobaczysz.

Jim wahał się. Gdyby koń próbował go zrzucić i utopić, zawsze mógł się uratować, lecz to wymagałoby użycia magii. A ponieważ w tej grze należało unikać takich posunięć, żeby nie wykorzystwała tego Morgan le Fay...

Pomimo to musiał jakoś przedostać się na drugi brzeg. Nie mógł tkwić tutaj w nieskończoność. A skoro tak, to powinien spróbować przeprawić się na tym rumaku i zobaczyć, co się stanie. Ponadto jedną z niewielu cech wspólnych rycerzowi typu Briana i przeciętnemu średniowiecznemu szlachciurze, jakiego udawał teraz Jim, była niechęć do odrzucania jakiegokolwiek wyzwania.

–Dosiądę tego rumaka – rzekł i wzgardliwie machnął ręką. – Przyniesź czystą szmatę i wytrzyj siodło.

–Tak, milordzie. Natychmiast, milordzie! – Człowieczek pobiegł do namiotu i wrócił ze ścierką, która lśniła jak srebro w blasku słońca Liones. Starannie wytarł siodło i cofnął się. – Milordzie...

Jim zsiadł z konia. Gorp obejrzał się, ze zdziwieniem patrząc na swojego pana. Włożywszy lewą stopę w strzemień, Jim dosiadł czarnego ogiera. Zwierzę wydawało się równie materialne i namacalne jak każdy wierzchowiec. Ponadto okazało się

cudownie posłuszne. Za ledwie Jim ściągnął wodze, czarny rumak obrócił się i skierował ku rzece, tuż poniżej mostu. Gdy dotarł do brzegu i wszedł do rzeki, Jim przygotował się na lodowate objęcia fal jak w górskim strumieniu. Tymczasem woda okazała się prawie ciepła. Jim zmarszczył brwi. Już byli na środku i mocniej ścisnął kolanami masywne boki wierzchowca...

A ten zniknął jak pękająca w powietrzu bańka mydlana. Po prostu przestał istnieć. Jim poczuł, że porywa go rwący nurt. Rozpaczliwie usiłował płynąć i utrzymać głowę nad powierzchnią wody, ściągany na dno przez ciężar miecza i zbroi.

Pomimo wysiłków coraz bardziej zapadał się w toń. „W porządku, idioto!...” – powiedział sobie. „Musiałeś się w to wpakować...” Nie zdoła utrzymać się na powierzchni w tej zbroi, a w żaden sposób nie mógł pozbyć się jej, a nawet miecza, nie opadając na dno.

No tak. Tylko magia może mu pomóc, a gdy tylko ustanie moc ochronnego zaklęcia, natychmiast dopadnie go Morgan.

Woda wlewała mu się do ust, a serce przepelniała rozpacz. Brian i Dafydd... Bóg wie, że byli mu potrzebni, a on im. Gdyby teraz wpadł w ręce Morgan, jego przyjaciele mieliby szczęście, gdyby zdołali żywi opuścić Liones, a Brian, ten przeklęty rycerski głupiec, zapewne uznałby za swój obowiązek zostać tu i próbować mu pomóc. Wówczas Dafydd też nie chciałby odjechać i zginęliby obaj.

Lepiej użyć magii i pożyć jeszcze trochę. Może nawet bez magicznych zasobów zdoła jakoś pokrzyżować plany Morgan,,.

Opuszczały go siły. Woda zamknęła się nad jego głową. Zaszumiało mu w uszach i poczuł, że palcami stóp dotyka dna rzeki. Wpadł w panikę. Spróbował odbić się od niego nogami i zaczerpnąć tchu. Zdziwił się, gdy wypłynął na powierzchnię, wystawiając głowę tuż nad fale.

Przez jedną cudowną chwilę spazmatycznie chwycił ustami powietrze, aby nabrać go jak najwięcej, zanim znów pójdzie pod wodę, a potem z rosnącym zdumieniem pojął, że już się nie zanurza. Pływał na powierzchni, unoszony przez rwący nurt. To był cud.

Czy naprawdę?

Nagle poczuł, że nie przebywa już w swoim ludzkim ciele. Przemienił się w smoka. Teraz Morgan mogła dokładnie obejrzeć jego instynktowną umiejętność zmiany postaci. O ile Jim wiedział, w Liones nie było smoków.

Zaraz, chwileczkę... Przecież smoki podobno są cięższe od wody... Dlatego Smrgol i wszystkie inne smoki z Cliffsides Eyrie uważały go za zuchwałego głupca, kiedy latał w nocy. W ciemnościach smok może wylądować w jeziorze i pójść jak kamień na dno.

Tymczasem on nie tonął – z jakiegoś dziwnego powodu. Odetchnął z ulgą... i natychmiast zaczął tonąć. Wiosłował pod wodą na pół rozłożonymi skrzydłami, usiłując wypłynąć.

Pospiesznie znów wciągnął powietrze i ponownie uniósł się na powierzchnię.

To tyle, jeśli chodzi o powszechne wśród smoków przekonanie, że utoną w każdej kałuży, z której nie zdołają się wygrabić.

Rzeczywiście, smocze ciało było cięższe od wody. Jednak smoki mają ogromne płuca. To dlatego ich piersi są wypukłe jak u gołębi. Muszą pompować do ciała niewiarygodną ilość tlenu, kiedy smok niemal pionowo unosi się w powietrze.

Mimo wszystko zmienił swój kształt i jeśli Morgan uważnie go obserwowała, odkryła więcej, niż chciał jej pokazać.

Widocznie zrobił to podświadomie. Bywał smokiem dostatecznie często, by wiedzieć, że wtedy kieruje się zupełnie innymi instynktami. Gdy zmieniał postać, nie tylko wyglądał jak smok, ale stawał się smokiem – emocjonalnie, podświadomie i świadomie. Jako człowiek nie lubił walczyć, w przeciwieństwie do Briana i zdumiewająco wielu innych rycerzy, dobrych i złych. Natomiast jako smok potrafił bez namysłu podjąć walkę i myśleć tylko o zniszczeniu przeciwnika.

Tak więc właściwie nie było niczego dziwnego w tym, że w końcu stał się prawie w takim samym stopniu smokiem, co człowiekiem. Jego smoczemu „ja” nie przyszłoby do głowy użyć magii, by wydobyć się z opresji, wydając się na łaskę Morgan le Fay. Jim-Smok myślał tylko o tym, że jest na dnie rzeki i topi się.

Tak więc nadal osłaniało go zaklęcie ochronne.

Będąc w smoczym ciele, mógł utrzymać głowę nad wodą, czego nie byłby w stanie zrobić jako człowiek. Myśląc o tym, już układał plany. Wystarczy wdrapać się na brzeg, pomagając sobie skrzydłami i łapami, a potem po cichu wrócić przez las lub przelecieć...

Nabrał powietrza, wstrzymał oddech, wyciągnął skrzydła z wody i rozłożył je na całą długość, szykując się do skoku – i nagle zauważył, choć wydawało się to niewiarygodne, że rzeka niesie go z powrotem na polanę, z której go porwała.

Tak, wszystko tam było: polana, most i namiot. Człowieczek spoglądał z przerażoną miną na smoka, który pojawił się tak niespodziewanie. Gorp i juczny koń, które widywały już podobne stwory – a tego zapewne rozpoznały nawet z daleka – obserwowały go ze spokojem. Czarny rumak stał nieruchomo, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Jim ujrzał go po raz pierwszy.

W tym momencie rzeka wpełnęła go pod pływający most. Wynurzył się za nim, a nurt uniósł go i skrył za zakrętem, gdzie kończyła się polana i zaczynał las. Zbliżając się do tamtych, Jim znów złożył skrzydła, gdyż miały ogromną rozpiętość i nie chciał zaczepić nimi o most, a później o masywne pnie rosnących na obu brzegach drzew.

Teraz oddychał już swobodnie i instynktownie znów zaczął planować. Będzie musiał znaleźć kawałek otwartej przestrzeni, na której wydostanie się z wody – i powinien zrobić to szybko, zanim nurt znów zniesie go w gęsty las.

Miał przynajmniej kilka chwil, by pomyśleć i ułożyć plan. Właściwie miał tyle czasu, ile tylko chciał. Rzeka płynęła szybko, lecz on poleciał znacznie szybciej, kiedy uniesie się w powietrze. W mgnieniu oka wróci do koni.

Konie... Nadal musiał rozwiązać problem ich przeprawy przez rzekę. Żaden smok nie może latać, niosąc przedmiot choćby zbliżony ciężarem do ciała dorosłego człowieka. Potężne smocze mięśnie potrafią zadawać miazdzące ciosy skrzydłami, co sam Jim robił, walcząc na łądzie z dziesięciometrowym węzem morskim, lecz nie ma mowy, by przeniosły konia na drugi brzeg.

Jak więc to zrobić?

Nie miał już czasu, żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie. Płynął samym środkiem rzeki, wypatrując otwartej przestrzeni, która pozwoliłaby mu rozłożyć skrzydła i wzbić się w powietrze. Właśnie ją dostrzegł.

Nie taką jednak przestrzeń miał na myśli. Nie polanę z namiotem, pływającym mostem i czarnym ogierem – nie wspominając o Gorpie i jucznym koniu, przywiązany do łąku siodła.

Najwyraźniej – choć wydawało się to niemożliwe – była to ta sama polana i prąd znów niósł go ku niej. Jednak grube pnie drzew nadal wznosiły się zbyt blisko brzegów, by mógł rozwinąć skrzydła i pofrunąć. Kiedy polana, na której zaczął ten rejs, przybliżała się z każdą sekundą, ostrożnie zaczął rozkładać skrzydła, starając się podплыnąć bliżej brzegu.

Ledwie zdołał, pół lecąc, a pół idąc, wygramolić się na stały ląd w miejscu, w którym stał namiot i czekały konie. „No”, powiedział sobie w duchu, „na razie dobrze mi idzie”. Kiedy będzie gotowy, może wejść do wody i pozwolić rzece zanieść się do nich. Najpierw jednak chciał rozwiązać zagadkę rzeki, która pędziła w płytkim korycie, lecz nigdzie nie dopływała i wracała do punktu wyjścia.

Jeśli wzbije się w niebo, będzie mógł obejrzeć całą przebytą trasę i rozwikłać tajemnicę. Rozejrzał się wokół. Najpierw musi znaleźć odpowiednio szeroką polankę, na której da się rozłożyć skrzydła. Pół błyskawicznie wzbije się nad wierzchołki drzew.

Rozmyślając tak, znalazł w głębi lasu nie jedno, ale trzy takie miejsca. Teraz, kiedy znalazł się na brzegu, wyszukał je bez trudu. Poczłapał do najbliższego, bacznie zerknął w górę, upewniając się, że nie zawadzi o gałęzie, po czym w gwałtownym przyplywie energii poderwał się z ziemi.

Nie musiał wlatywać wyżej niż nad wierzchołki drzew, aby odkryć tajemnicę rzeki – niezbyt skomplikowaną. Jak to zawsze bywa w takich przypadkach, rwący nurt przy braku jakiegokolwiek wzniesienia nie był efektem cudu. Po prostu to wcale nie była rzeka.

Jim zobaczył, że jest to jedynie rodzaj fosy o dużej średnicy. Temperatura wody i płytkie koryto powinny były wcześniej podsunąć mu rozwiązanie, które znalazł dopiero teraz. W oparciu o swoją znajomość magii mógł bez trudu zrozumieć, w jaki sposób zrealizowano ten pomysł. Taki rów można było stworzyć za pomocą magii – ale taniej było zlecić jego wykopanie ludziom, jeśli tylko ktoś miał ich wystarczająco wielu na swoje rozkazy.

Oczywiście, wypełnienie rowu wodą wymagało odwołania się do magii, lecz niewiele energii było potrzebna, jeśli w pobliżu znajdowało się jakieś jezioro lub rzeka, a Jim podejrzewał, iż Morgan le Fay dysponowała równie wielkimi zasobami magicznej mocy, jak każdy mag klasy AAA ze świata na górze. Następnie wykorzystala jeszcze trochę energii, by zapewnić ruch wody, ilekroć pojawiał się ktoś, kogo chciała schwytać w pułapkę. Nadal było to kosztowne, ale leżało w możliwościach maga klasy AAA.

Z drugiej strony, Morgan mogły nie krępować magiczne reguły obowiązujące w

świecie na górze. Może dysponowała innym rodzajem magii, którą mogła zużywać, ale była skąpa. Zarówno Carolinus, jak i KinetetE zdradzali czasem skłonność do skąpstwa, a chociaż Jim słabo znał Charlesa Barrona, trzeciego i ostatniego maga klasy AAA+, podejrzewał, że ten również mógł wykazywać takie inklinacje.

W każdym razie, teraz Jim wiedział, iż rzeka nie jest nieprzekraczalną barierą, jaką wydawała się być. Człowieczek, oczywiście, także musiał o tym wiedzieć, ale próba wydobycia z niego informacji byłaby zapewne tylko stratą czasu. Prawdopodobnie nie powiedziałby niczego ciekawego, a nakłaniając go do mówienia, tylko uświadomiłby Morgan, że zbiera informacje – nadal bowiem był przekonany, że czarodziejka go obserwuje.

Nie, najlepiej będzie wejść z powrotem do rzeki, jakby wcale z niej nie wychodził, a później wygramolić się na brzeg i nadal grać rolę aroganckiego i niezbyt bystrego rycerza.

Zanurzył się w rwącym nurcie, nadal w postaci smoka. Prąd szybko zaniósł go na polankę, gdzie stały jego dwa konie i człowieczek. Ten ostatni gapił się na niego, podczas gdy czarny ogier wciąż nie zwracał na nic uwagi.

Jim postarał się utrzymać na powierzchni i wpadł na pływający most, który go zatrzymał. Na szczęście nie złamał się pod uderzeniem gnanego przez silny prąd smoczego cielska. Używając pazurów przednich łap, Jim wygramolił się na ten brzeg, na którym stał namiot.

Człowieczek nadal gapił się jak skamieniały, gdy Jim wyszedł na suchy ląd. Juczny koń, rozpoznając pana w smoczey postaci, znów zaczął gryźć trawę. Tylko Gorp, zawsze uradowany widokiem Jima, czy to w ludzkiej, czy w smoczey skórze, podbiegł do niego ciężkim klusem.

Jim ponownie zmienił się w człowieka, rycerza w zbroi i z mieczem. Człowieczek wytrzeszczył oczy i skurczył się pod jego przeciągłym, nieruchomym spojrzeniem, Jim nie odezwał się słowem. Ze złowrogą miną, patrząc na tamtego, włożył stopę w strzemię i dosiadł Gorpa.

–Ha! – rzekł, spoglądając na człowieczka. Ten skulił się jeszcze bardziej. Nie mówiąc nic więcej, Jim odjechał wzdłuż rzeki w kierunku miejsca, z którego przybył, a juczny koń truchtał za nim, uwiązany do siodła.

–Hobie? – Wjechawszy między drzewa, które skryły go przed oczami człowieczka, Jim obejrzał się przez ramię.

Plandeka zakrywająca bagaże na grzbiecie jucznego konia poruszyła się.

–Tak, milordzie? – powiedział Hob, wychodząc spod niej.

–Możesz teraz wrócić do mnie, jeśli chcesz.

–Tak, milordzie! – odparł uszczęśliwiony Hob, jednym susem przeskakując na Gorpa. Chwilę potem Jim poczuł na ramieniu ciężar ciała skrzata. – Dokąd teraz jedziemy, milordzie?

–Okrążymy rzekę – odparł Jim.

–Okrążymy?

–Zgadza się – rzekł Jim. – Musimy trochę zboczyć z drogi wiodącej do wyjścia, które znalazłeś ty i dym, ale niedługo na nią wrócimy. Myślisz, że zorientujesz się,

kiedy ją przetniemy?

–Och tak, milordzie. Tylko jak przeprawimy się przez wodę?

–Nieważne, Po prostu pojedziemy wzdłuż rzeki, aż mi powiesz, że znów jesteśmy na właściwej drodze.

–A więc ona tam dopływa? No cóż, milordzie, jeśli tak mówisz. Tylko...

Nagle Jim zdał sobie sprawę, że czerpie złośliwą uciechę ze zdumienia Hoba.

–Widzisz, ta rzeka płynie w kółko. Po prostu ominiemy ten krąg – wyjaśnił.

–Och.

–Właśnie.

–Teraz rozumiem, milordzie.

–Byłem pewny, że zrozumiesz.

–Oczywiście, milordzie. Jestem przyzwyczajony do magii.

–Na to liczyłem.

–Bardzo przyzwyczajony.

–Wiem – rzekł Jim. – Wiem.

Ruszyli. Jim nadal miał lekkie wyrzuty sumienia, ale nie aż tak duże, by powiedzieć Hobowi o wszystkim. Obaj byli zadowoleni, każdy z zupełnie innych powodów.

–A teraz zatrzymamy się tylko na chwilę, żeby uratować tego biednego ptaszka. Potem będziemy wolni! – oznajmił radośnie Hob.

Rozdział 11

–Ptaszka? – powtórzył Jim. – Jakiego ptaszka?

–To ostatnie ze stworzeń, które mieliśmy spotkać, pamiętasz...? Och! Jest tam, tam! Między drzewami po prawej! – Hob prawie podskakiwał na ramieniu Jima. – Właśnie tamtędy leciał dym, prosto przez ten las!

–Nie musisz krzyczeć! – rzekł kwaśnym tonem Jim. – Szczególnie kiedy stoisz koło mojego ucha!

–Och, błagam o wybaczenie, milordzie. To jest to, czego kazałeś mi wypatrywać.

–Domyśliłem się.

–A co z rzeką? Wciąż tu jest. Wiesz, milordzie, to dziwne. Nie pamiętam, żebym widział ją, unosząc się na smużce dymu. I jak zdołamy ją przebyć, jeśli wciąż znajdujemy się po tej samej Stronie?

–Magia – odparł zwięźle Jim, nie mając ochoty na długie tłumaczenia. Wciąż dzwoniło mu w uchu.

–Przecież...

–Hobie – uciął Jim – to bez znaczenia. Bądź przez chwilę cicho.

Po chwili skrzat dodał nieśmiało:

–Jesteś wielkim magiem, milordzie.

–Dziękuję – odparł ponuro Jim.

Kiedy przestało mu dzwonić w uchu, doszedł do wniosku, że był zbyt surowy dla Hoba. Istotnie, tak jak skrzat mówił, opodal znajdowała się polanka. Jim stwierdził, że niezbyt cieszy go perspektywa ponownego spotkania ze śpiewającą rośliną, gdyż ta, na którą natknął się Hob, musiała być tą poznaną u KinetetE. I co, do licha, robiła z tym ptaszkiem?

Pewnie nie ma sensu pytać o to Hoba. Lepiej zaczekać i samemu zobaczyć. Już stracili rzekę z oczu.

–Wiesz co, Hobie – rzekł Jim, zmieniając temat. – Zastanawiałem się. Nawet kiedy się stąd wydostaniemy, nie mam pojęcia, jak znajdę Briana. Nie wiem, gdzie teraz jest.

„I czy jeszcze żyje”, dodał w myślach.

–Potrzebuję pomocy, ale jedyną osobą, jaką tu znam z po przedniej wyprawy, jest młodszy sir Dinedan, Być może pochodzi w prostej linii od jednego z rycerzy Okrągłego Stołu, ale nie wydaje mi się, żeby w tej sytuacji mógł się na coś przydać. Jest jeszcze Tropiąca Bestia, o której wspomniałeś w Malencontri. Tylko jak ją znaleźć...?

W końcu Jim zaczął mówić sam do siebie, niemal bezgłośnie. Pomimo to jego głos zagłuszył początek wypowiedzi Hoba. Jim ledwie usłyszał koniec zdania.

–...moglibyśmy je zapytać.

–Kogo? O co?

–Mówiłem, milordzie, że mógłbym zapytać drzewa – rzekł Hob. – Wszystko tutaj zdaje się znać TB.

–Jak można zapytać o coś drzewo?

–Zwyczajnie, milordzie. – Hob spojrział na grube pnie i konary otaczających ich

drzew. – Drzewa, gdzie jest teraz TB?

Zamilkł. Nasłuchiwał. Jim również. Drzewa nie odpowiedziały żadnym dźwiękiem, nawet szmerem liści na wietrze.

–Milczą – rzekł w końcu Hob.

–Zauważyłem.

–Może dlatego, że nas nie znają? – zastanawiał się skrzat. – Powinniśmy kazać koniom, żeby je zapytały.

–Koniom?

–No tak, milordzie. My jesteśmy obcy. Tymczasem konie są końmi... Chciałem powiedzieć, że one są wszędzie, jeśli można tak rzec. Milord rozumie, co mam na myśli.

–Tak. Jednak pytałem o... – Jim urwał. Nie było sensu tego roztrząsać. – Pewnie. W porządku, każ koniom, żeby je zapytały. Nie zaszkodzi spróbować.

–No cóż, milordzie, ja nie umiem rozmawiać z końmi, ale pomyślałem, że mag...

–Ja? – zdziwił się Jim.

Oczywiście, mógł się spodziewać, że pomysły Hoba będą zmierzały w tym kierunku. Jim nigdy w życiu nie rozmawiał z koniem – a jeśli nawet, to był to monolog. Na co przyda się magia...

Nagle znieruchomiał, Carolinus umiał rozmawiać ze zwierzętami i Jim odniósł wrażenie, że nie jest to takie trudne. Kiedyś mag zamienił olbrzymiego odyńca w rumaka bojowego, który niósł na grzbiecie potężnego trolla, w magiczny sposób przemienionego w rycerza w czarnej zbroi, który wziął udział w turnieju podczas bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset.

W tym celu trzeba było nie tylko zmienić postać zwierzęcia, ale też skłonić odyńca, by zachowywał się jak koń, i nauczyć go, co robi rumak podczas turnieju. Carolinus oznajmił, że powiedział to odyńcowi. Jim mógł również spróbować tej sztuczki, ale bez pomocy magii, aby nie naruszać ochronnego zaklęcia.

Przymknął oczy i usiłował myśleć jak koń. Starając się snuć końskie myśli, wyobraził sobie zwierzę, z którym chce porozmawiać, i powtórzył to, co zamierzał mu przekazać... Rzecz jasna, w prostych słowach, gdyż żaden koń nie uznaje niepotrzebnej gadaniny.

Zastanawiał się.

„Spytaj drzewa” – pomyślał, starając się połączyć to pytanie z łańcuchem skojarzeń budzących u konia nadzieję na kawałek świeżego słodkiego jabłka – „jak znaleźć TB?”

Skierował pytanie do Gorpa. Ogier parsknął.

„Co? Co?” – odczytał Jim to prychnięcie na tablicy swoich myśli.

„Powiedziałem...” – zaczął Jim.

„Ogiery głupie” – parsknął nieoczekiwanie juczny koń. – „Ja powiem. Ty, drzewo – gdzie TB?”

Tym razem Jim nie usłyszał ani nie zwiualizował sobie odpowiedzi. Jednak końce najniższych gałęzi drzewa – wspaniałego cisu – pochyliły się niżej nad łbem jucznego konia.

–Słyszalesz coś? – Jim spytał cicho skrzata. Hob przecząco pokręcił głową.

–Juczny koń wciąż czeka – szepnął. – Wiesz co, milordzie? Podobno to pomaga, jeśli obejmie się drzewo.

–Objąć drzewo? – Jim ze zdumieniem obejrzał się na skrzata. Hob poważnie skinął głową. – Chyba nie mówisz poważnie. Koń nie może objąć drzewa.

Hob wiercił się niespokojnie.

–Ty możesz, milordzie.

–Ja? – Jim wytrzeszczył oczy. – Dlaczego nie ty?

–Z twojej strony to będzie... silniejsze, milordzie – wyjaśnił Hob, spuszcżając głowę.

Jim spojrział na cis, którego gałęzie wciąż zwieszały się nad łbem jucznego konia. Wszystko, co robili w tym obcym i pustym lesie, było po prostu śmieszne.

Niewiarygodne. Mimo to... dawało rezultaty. Juczny koń znów zaczął skubać trawę.

Jim powoli zsiadł z Gorpa. Krępowwały go spojrzenia Hoba i obu koni. Dzięki Bogu, że nie widzi go nikt poza nimi – szczególnie niektórzy z przyjaciół. Pomyśleliby, że jest ranny, chory albo szalony, robiąc najśmieszniejszą rzecz, jaką w życiu widzieli.

Mógł sobie wyobrazić, że opowiadano by o tym przez długie lata: „...a słyszeliście historię o tym, jak słynny Smoczy Rycerz zakochał się w drzewie?” (Ryk śmiechu słuchaczy, którzy zmuszają opowiadającego do kilkukrotnego powtórzenia anegdoty.)

Podszedł do cisu. Z bliska drzewo nie wyglądało tak groźnie i obco jak cały ten las. Jim stanął przed nim, zawahał się, zacisnął zęby i objął pień ramionami.

Uścisnął. Chociaż pień wcale nie stał się cieplejszy, a jego kora była nieco szorstka, drzewo wydawało się dziwnie przyjazne w dotyku – jakby dobrze się znali. Jim poczuł, że było spokojnym, dobrodusznym drzewem, solidnym i mocno zakorzenionym... „Tam” – przemówiło bezgłośnie drzewo w jego myślach, Usłyszał cichy szmer nad głową, puścił pień i spojrział w górę w samą porę, by zobaczyć podnoszące się i cofające gałązki. Odwrócił się z powrotem do Hoba siedzącego na grzbiecie Gorpa.

–Tam? – zapytał skrzata, dosiadając ogiera. – Tak mi powiedziało.

Hob kiwnął głową, a juczny koń prychnął twierdząco.

–Tym razem słyszałem, milordzie – rzekł dumnie Hob.

–A co to właściwie miało oznaczać? – dopytywał się Jim. – Tam? Tam w którą stronę? I jak daleko?

–Nie możesz tego sprawdzić za pomocą magii, milordzie?

–Hobie – odparł Jim – jesteś dobrym przyjacielem i lubię, gdy jesteś przy mnie. Tylko że jedno musimy sobie wyjaśnić raz na zawsze. Magia nie załatwia wszystkiego... nie możesz wpływać nią na... hm... – urwał i zamyślił się.

–Hm, milordzie? – powtórzył skrzat.

Nie zaszkodzi spróbować, pomyślał Jim. Mógł przenieść się do zupełnie nieznanego sobie miejsca, jeśli wyobraził sobie, że przebywa tam ktoś, kogo bardzo dobrze znał. W takim wypadku powinien kazać... nie, nie kazać, gdyż już dawno przeszedł na wyższy poziom posługiwania się magią. Musiał wyobrazić sobie siebie

obok tej osoby, kimkolwiek była. A z poprzedniej wizyty w Liones doskonale pamiętał Tropiącą Bestię.

Tak przynajmniej działała jego magia w świecie na górze. Nie wiadomo, czy poskutkuje to tutaj, gdzie wszystko zdawało się być zaczarowane, a przynajmniej pełne magii... Może było bardziej magiczne niż realne.

Nie, zdecydował Jim. Próbując się przenieść, musiałby zrezygnować z ochronnego zaklęcia, a nie odważył się na to z obawy, że obserwująca go Morgan le Fay może natychmiast wykorzystać okazję.

Oczywiście, czarodziejka mogła się już znużyć obserwowaniem Jima... Chociaż nie, na pewno było inaczej, skoro jeszcze nie zdołał wydostać się z Dedalowego Lasu.

Musiał minąć jeszcze dieffenbachię i ptaszka.

Wskoczył na konia.

–Hubie – rzeki. – Kiedy dojeżdżaliśmy do tej polanki, mówiłeś, że przed nami znajduje się śpiewająca roślina i ptaszek, tymczasem nic nie słyszę.

–Racja, milordzie – odparł Hob. – Ja też nie.

I oczywiście w tej samej chwili coś usłyszeli: słodki ptasi trel, a po nim zgrzytliwy i piskliwy głos usiłujący wspiąć się na równie wysokie tony.

–Cóż, jesteśmy na miejscu – mruknął Jim, gdyż dźwięki te dochodziły z polanki widocznej tuż za drzewami. Okazało się, że była naprawdę niewielka, ale dostatecznie słoneczna, by rosnący na jej środku, najwyższej dwumetrowy dębczak odważył się rozpościerać swoje cienkie gałązki niemal równoległe do ziemi, tak jak jego sędziwi pobratymcy.

Na jednej z tych gałęzi przysiadł ptaszek. Przed nim widniała Dieffenbachia cantans.

–Ach, jesteś tu, magu – powiedziała, nie odwracając się. Jim nie miał pojęcia, w jaki sposób patrzyła na świat – może powierzchnią wielkich liści? Jeśli tak, mogła widzieć wszystko dookoła. Odsunął od siebie tę myśl. Postanowił również nie prostować pomyłki, jaką popełniała roślina, nazywając go magiem. Znużyło go wyjaśnianie, że ten tytuł mu nie przysługuje. Ci, którym to mówił, zawsze słuchali, kiwali głowami i uśmiechali się, po czym nadal nazywali go tak samo. Jeśli używał magii, był magiem – to oczywiste.

Właśnie znalazł się tuż przy roślinie. Zatrzymał Gorpa; juczny koń również przystanął.

–Czy słyszałeś, jak ćwiczyłam? – zapytała dieffenbachia, zanim zdążył coś powiedzieć. – Obiecała, że będzie coraz lepiej i jest!

–Ona? – spytał Jim.

–Wielka królowa czarodziejek, Morgan le Fay! – odparła dumnie roślina, potwornie zachrypniętym głosem. – Nie zauważyłeś różnicy?

–Od kiedy widziałem cię ostatnio, nie słyszałem, jak śpiewasz.

–No, możesz uwierzyć mi na słowo. Dzięki magii wielkiej królowej i temu słowikowi, w magiczny sposób przyklejonemu do drzewa, jestem prawie tak dobra jak kiedyś. Może nawet lepsza. Tak, lepsza. W rzeczy samej, na tyle lepsza, że już nie

potrzebuję tego ptaka.

–A więc wypuść go – rzekł Hob.

–Hobie... – zaczął Jim, lecz roślina już odpowiedziała na słowa skrzata, wypowiedziane niemal rozkazującym tonem.

–Och, nie mogę tego zrobić. Umieściła go tu sama wielka królowa. Kiedy stwierdzi, że odzyskałam głos, uwolni go. Być może.

–Ha! – rzekł Hob.

–Ha?

–Hobie! – rzekł stanowczo Jim. – Niczego nie rób – proszę. Pozwól, że sam to załatwię. Najwyraźniej, dieffenbachio, nic nie wiesz o skrzatach.

–Właściwie nie – przyznała roślina. – Wcześniej nigdy o nich nie słyszałam.

–Tak też sądziłem. W przeciwnym razie trzęsłabyś się ze strachu. Tego nazywam w skrócie „Hob”, lecz w rzeczywistości jest goblinem.

–O tych też nigdy nie słyszałam.

–Masz szczęście, że nie. Widocznie w Liones ich nie ma. Istnieje jednak całe królestwo goblinów, które budzą ogromny lęk w świecie na górze i występują w rozmaitych odmianach, lecz tylko jednej z nich obawiają się wszystkie pozostałe – hobgoblinów.

–Czy one... – liście dieffenbachii rzeczywiście zaczęły lekko drżeć – są straszniejsze od innych?

–Nikt nie ma pojęcia – rzekł Jim głuchym i złowieszczym tonem – co w następnej chwili może zrobić hobgoblin. I nikt nie chce ryzykować. Te stworzenia nie znoszą, kiedy odmawia im się tego, czego żądają. Widzisz, ten tutaj Hob zdecydował, że pragnie uwolnić twojego ptaszka, i biada temu...

–Nie mogę. Może mi być potrzebny. A poza tym jest tu uwięziony przez magię wielkiej królowej! Nie mogę go wypuścić! – krzyknęła dieffenbachia.

–Nieprawda! – wrzasnął Hob, głosem nieco zbyt piskliwym jak na hobgoblina. – Magia działa tylko na ludzi i naturalnych. To dlatego twoja królowa nie może wskazać cię palcem i przywrócić ci głosu. Nad innymi stworzeniami – takimi jak ptaki i zwierzęta – magia nie ma władzy i nie można tego zmienić.

–Niemożliwe! – powiedziała dieffenbachia, też bardziej piskliwie. – Jeśli nie więzi go tu magia wielkiej królowej, dlaczego nie odleciał?

–Ponieważ słowiki są cudowne, delikatne i uprzejme! – odparł Hob. – Wyczuwają ból, zarówno ludzi, jak innych stworzeń! Bardzo dobrze go czują. Jednak potrzebują wolności. Twoja królowa na pewno opowiedziała mu o twoich kłopotach i umieściła go tu razem z tobą. W każdej chwili mógł odlecieć, ale sądził, że jest ci potrzebny. Jeśli samolubnie go tutaj zatrzymasz, prędzej umrze z głodu, niż cię opuści!

–Nie wierzę, że wielka królowa nie może mnie uleczyć. Nikt inny nie...

Nagie słowik zaśpiewał krótką, lecz piękną pieśń. Wszyscy spojrzeli na niego.

–Co powiedział? – ściszone głosem zapytał skrzata Jim.

–Ptak? To łatwe, milordzie. Mówi, że mam rację i magia nie wyleczy głosu rośliny.

–Wszyscy jesteście przeciwko mnie. Nikt nie chce mi pomóc.

–Ha! – rzekł ponownie Hob, tak wyzutym ze współczucia głosem, jakiego Jim

jeszcze nigdy nie słyszał z jego ust.

Liście dieffenbachii zaczęły się trząść.

–Przecież już mi lepiej... Posłuchaj, magu!

Zacząła śpiewać – jeśli można to było nazwać śpiewem. „Rzeczywiście”, pomyślał Jim, „Jej głos nie brzmi już tak okropnie jak wtedy, kiedy słyszałem ją u KinetetE i kiedy dojeżdżaliśmy do polanki”.

–No i jak? – zapytała dieffenbachia. – Czy nie lepiej?

–Cóż, z pewnością inaczej niż przedtem.

–Widzisz, hobgoblinie? Jestem prawie wyleczona. Pewnie nie będę już potrzebowała tego słowika. Może odlecieć.

Słowik opuścił gałąź i przysiadł na ramieniu skrzata. Jim ujął wodze Gorpa.

–Dokąd jedziesz? – spytała roślina.

–Opuszczam ten las – odparł Jim i popędził konia.

–Zaczekaj – powiedziała dieffenbachia. – Idę z wami.

Ruszyli razem: słowik nadal na ramieniu Hoba, skrzat na bagażach niesionych przez jucznego konia, Jim na Gorpie, a dieffenbachia obok niego – sunąc w dziwny sposób, zapewne na końcach korzeni, co jednak skrywały przed wzrokiem Jima wielkie zielone liście górnej części rośliny.

–Mi, mi, mi... – nuciła cicho do siebie, przelatując przez połowę skali i okropnie fałszując.

Nagle las wokół nich zmienił się. Trudno było orzec, na czym polegała ta zmiana, lecz niewątpliwie nic wyglądał tak jak dotychczas. Jakby coś wisiało w powietrzu.

–Wiesz – rzekł Jim, który zaczął odczuwać wyrzuty sumienia. – KinetetE nie była w stanie cię uleczyć. Morgan le Fay także.

Gestem powstrzymał protest rośliny, zanim zdążyła wydać z siebie coś więcej niż zduszony pisk.

–Jednak – podjął – ta kraina, w której żyjesz, Liones, jest najbardziej magicznym miejscem na świecie. Magia jest w ziemi, w drzewach, stworzeniach i wszystkim innym. Ty też posiadasz tę magię. To może oznaczać, że ja nie zdołam cię uleczyć, tak samo jak KinetetE i Morgan le Fay, ale bardzo możliwe, że sama możesz to zrobić, korzystając z magii, która cię otacza. Uwierz w tę piosenkę, którą śpiewasz, i postaraj się zrobić to jak należy.

Liście dieffenbachii zaszeleściły, nagle unosząc się w stronę Jima. Potem opadły bezradnie.

–Nie, nic... – powiedziała roślina. – Wielka królowa prawie mnie uleczyła. Za dzień czy dwa zupełnie odzyskam głos. Dlatego teraz muszę was opuścić.

I weszła między drzewa, szybko znikając w oddali, skryta przez grube pnie.

Słowik zaśpiewał dwie nutki, poleciał w przeciwną stronę i również zniknął.

–Teraz jest szczęśliwy, milordzie – rzekł konfidencjonalnie Hob.

–Tak – powiedział Jim, wciąż myśląc o dieffenbachii, która w końcu była myślącą, żywą istotą i niestety nadal łudziła się, że Morgan jej pomoże.

Otrząsnął się z tych ponurych rozważań. Najważniejsze to znaleźć teraz miejscowego przewodnika i doradcę. Niemal machinalnie pociągnął za sznur

jucznego konia. Klacz bez protestu przybliżyła się do Gorpa, chociaż nie chciała wysunąć łba dalej niż do jego łopatki. Jedynym koniem, któremu Gorp pozwoliłby wysforować się przed siebie, był Blanchard – a i to nie zawsze.

–Przemów do drzew – poprosił Jim skrzata. – Spytaj je, w którą stronę mamy jechać, żeby znaleźć Tropiącą Bestię.

–Nie musisz mnie szukać, sir Jamesie – usłyszał głos. – Jestem tu.

I wszyscy byli tutaj – nadal w Liones. Wciąż w lesistej części tej krainy, Jednak nic tam, gdzie znajdowali się zaledwie chwilę wcześniej.

Rozdział 12

Jim ujrzał przed sobą płynący przez polanę strumyczek, przy którym stał Tropiąca Bestia. Wyciągnąwszy węzową szyję, pił czystą, szemrzącą wodę. Na widok nadjeżdżających Bestia – albo „TB”, jak kazał się nazywać podczas poprzedniego pobytu Jima w Liones – uniósł łeb i spojrzął na niego bez cienia zdziwienia.

–Wybacz – powiedział Smoczy Rycerz. – Nie chciałem cię zaskoczyć.

–Nie zaskoczyłeś mnie, sir Jamesie – odezwał się TB przyjemnym tenorem, w pierwszej chwili budzącym zdumienie, gdyż wydawało się niewiarygodne, by mógł dobywać się z gadziej gardzieli. – Po kilku wiekach w Liones nic nie może nas zaskoczyć. Wiele się dzieje, ludzie przybywają i odjeżdżają... Przepraszam na moment. Właśnie przepłukiwałem gardło.

Stwór uniósł łeb i nagle wydał przerażający dźwięk, podobny do ujadania trzydziestu par ogarów. Gwałtowna zmiana natężenia wystarczyła, by Jim zdrętwiał. Co więcej, kilka odgłosów brzmiało tak, jakby zwierzęta płukały sobie gardła.

TB zmarszczył brwi. Jim był zaintrygowany. Nigdy nie przypuszczał, że wąż może marszczyć brwi. Jak robił to TB? Przecież ich nie miał.

–Błagam o wybaczenie, sir Jamesie – powiedział TB, zanim Jim dokończył tę myśl, – To do niczego. Spróbuję jeszcze raz.

Tym razem ujadanie sfory o mało nie zważyło Jima z siodła, ale każdy odgłos brzmiał wyraźnie i czysto.

–Znacznie lepiej – orzekł TB. – Szukałeś mnie? Drzewa mi powiedziały, więc przeniosłem cię tutaj. Tak jest szybciej.

–Umiesz rozmawiać z drzewami? – spytał Jim.

–Tak, to jedna z dwóch użytecznych umiejętności, jakimi był łaskaw obdarować mnie zacny Merlin. Druga to zdolność przemieniania się w czarno-białego psa.

Jim otworzył usta, by zapytać, dlaczego możliwość przybierania postaci psa jest taka cenna, ale zaraz je zamknął. Teraz najważniejszą sprawą było odnalezienie Briana.

–Cóż – oświadczył. – To bez znaczenia. Jesteśmy tu.

–W pewnym sensie – poprawił go TB lekko karcącym tonem. – Ściśle mówiąc, nie jesteście Tutaj, tylko Tam.

–Tam? – wytrzeszczył oczy Jim.

–Spójrz na siebie, sir Jamesie. TB wskazał nosem.

Jim zerknął w dół i ujrzał obie swoje nogi, lecz nie dostrzegł między nimi wierzchowca. Jucznego konia też nie było w zasięgu wzroku.

–Hobie! – powiedział z nagłym przestrawieniem.

–Tak, milordzie?

Jim obejrzał się, lecz nie ujrzał skrzata na ramieniu.

–Widzisz – wyjaśnił TB – w rzeczywistości nadal jesteś tam, gdzie uścisnąłeś drzewo.

–Och, wiesz o mnie i o drzewie?

–Powiedziano mi, że musisz być szlachetny, skoro tak dobrze obejmujesz.

Zakłopotany, a jednocześnie poczuwający się do jakiejś skromnej odpowiedzi, Jim

wyjąkał słowa, których pożałował w tej samej chwili, gdy padły z jego ust:

–No... w końcu jestem baronem.

–Zaiste, to widać – rzekł TB. – Jednak czasami nawet król nie ma szlachetnego serca. Nie wszyscy są tacy jak nasz wielki władca, Artur Pendragon, Co mi o czymś przypomina. Skąd przybywasz i co sprowadza cię tym razem?

–Przybywam z górnego świata, a mój dom to zamek Malencontri w Somerset w Anglii. – TB skłonił się z wężową gracją, pochylając łeb i górną połowę ciała. Jim odpowiedział swoim najdworniejszym ukłonem. – Wiesz co – ciągnął. – Wolałbym, żeby moje konie też tutaj były.

–Zatem tak się stanie – odparł TB. – Chodź za mną, panie.

Ruszył w las. Jim podążył za nim, jadąc na niewidzialnym wierzchowcu i czując się bardzo dziwnie z tego powodu. Przejechali tylko kawałek, potem TB znów przystanął i odwrócił się do niego.

–Stój! – polecił, Jim ściągnął wodze rumaka. – A teraz obróć oba konie.

Jim mógłby przysiąc, że słyszy jucznego konia, prychającego gdzieś w pobliżu.

–Czy tak? – zapytał, okręcając niewidzialnego wierzchowca i stając twarzą w kierunku polanki, z której przyjechali.

–Prawie. Jeszcze trochę w lewo... tak. Jesteście już wszyscy razem.

Jim rozejrzał się i zobaczył samego siebie, a także Gorpa, jucznego konia i obróciwszy głowę, Hoba na swoim ramieniu. Wprawdzie nie pojmował tego, ale postanowił nie zaprzętać sobie teraz tym głowy.

–Byliśmy tak blisko ciebie i nie wiedzieliśmy o tym? – zapytał.

–Och nie – odrzekł TB. – Prawie pół Liones dzieliło mnie od Dedalowego Lasu, z którego chcieliście się wydostać. Tylko że przez cały czas byliście tutaj, a ja potrafię się przemieszczać bardzo szybko, jeśli chcę.

–Rozumiem – powiedział Jim. – A także przenosić innych, jak widzę.

–Každy ma jakiś dar – rzekł niedbale TB. – Jednak w tym wypadku nigdzie was nie przenosiłem, gdyż w rzeczywistości wciąż byliście tutaj.

Jim odchrząknął.

–Zapomnij, że o to spytałem.

–Przyjdzie mi to z łatwością – zapewnił TB. – A teraz, sir Jamesie, w czym mogę ci pomóc?

Jim zawahał się, nie wiedząc, jak uprzejmie poprosić kogoś takiego o pomoc.

–Pozwól, że najpierw zadam ci pytanie – rzekł. – Co wiesz o powodach, które mnie tu przywiodły?

–Zupełnie nic. Tylko tyle, że raz już przechodziłeś przez Liones, zmierzając do królestwa sękatych. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że pobyt tam zaliczasz do przyjemnych?

–Był udany.

–Ach, to była taka wizyta. Wiem także, iż królowa Morgan le Fay z Gor rozmawiała na twój temat z potężną czarodziejką z górnego świata i w rezultacie musiała cię wypuścić i zostawić w Dedalowym Lesie. Dieffenbachia cantans, która straciła głos, a co za tym idzie, zaszczyt występowania przed rycerzami Okrągłego Stołu,

wspominała, że ty również posiadasz magiczne umiejętności i z tego powodu Morgan le Fay jest na ciebie zła. Ponadto przybyłeś tu z jeszcze jednym gościem z górnego świata, który teraz ci nie towarzyszy.

–Sporo wiesz – mruknął Jim. – Ściśle mówiąc, mój przyjaciel nazywa się sir Brian Neville-Smythe i to ze względu na niego proszę cię o pomoc.

–Obawiam się, że nie znam tego szlachetnego rycerza.

–Nie, oczywiście że nie – rzekł Jim. – Jednak to on był ze mną, kiedy przybyliśmy tu poprzednio. Jest mi towarzyszem i najlepszym przyjacielem. Obawiam się, że został uwięziony. Pomyślałem, że ktoś, kto zna Liones tak dobrze jak ty, mógłby pomóc mi go znaleźć.

TB powoli i z żalem pokręcił łbem.

–Wybacz – rzekł trochę sztywno Jim. Nie spodziewał się tak szybkiej i stanowczej odmowy. – Tylko spytałem.

–I bardzo słusznie, sir Jamesie – rzekł TB. – Podziwu godna myśl. Błagam, nie sądz, że mam złą wolę. Po prostu nie będę mógł ci pomóc.

–Och! – jęknął Jim.

–Musisz mnie zrozumieć. Jestem jednym z panów tej krainy, opisywanym w legendach o naszym wielkim królu i Okrągłym Stole. Wiem wszystko, co trzeba wiedzieć o Liones i tym, co się tu znajduje, oprócz tego, co celowo się przede mną ukrywa. Nie wiedziałem, że twój przyjaciel zaginął, a zatem z rozmysłem ukryto przede mną ten fakt. Tak więc nie wiem i nie domyślam się, gdzie może być teraz sir Brian.

Jim pokiwał głową.

–Rozumiem – rzekł. – Jednak dobrze znasz Liones.

–Tak, sir Jamesie.

–A ja nic. Czy mógłbyś podpowiedzieć mi, gdzie powinienem szukać i od czego zacząć?

TB spojrzał na niego nieruchomymi oczami węża.

–Przypuszczam, że został uwięziony przez kogoś lub coś potężnego. Przede wszystkim przychodzi mi na myśl królowa Morgan le Fay. Jednak nie mogę tego sprawdzić i nie znam miejsca pobytu sir Briana.

–No cóż, wymień wszystkie możliwe miejsca, a ja sprawdzę je po kolei.

TB podniósł łeb.

–Sir Jamesie – rzekł stanowczo – mówisz jak prawdziwy rycerz, dobrze przygotowany, by kroczyć po ziemi Liones. Pomogę ci w miarę moich możliwości. Nie mogę jednak wymienić wszystkich możliwych miejsc. Ta lista nie miałaby końca. Poczynając od Starej Magii, w Liones jest wiele, wiele jej rodzajów. Istnieje we wszystkich rzeczach i wszystkich stworzeniach, które tu żyją... Jim skinął głową. Zaczynał rozumieć. Zasady, jakie mu wpojono ponad pięćset lat później, kazały mu doszukiwać się wszędzie prawidłowości. Może tutejsza magia również jakiejś podlega.

–Na przykład – ciągnął TB – bywają tacy, którzy nie są biegli w magii, lecz posiadają jakiś dar. Pamiętasz, jak Gawen, zmusiwszy sir Lancelota do walki

niedługo przed śmiercią naszego władcy, wykorzystał swój dar, dzięki któremu od poranka do południa miał siłę siedmiu ludzi? Lancelot jednak wytrwał na placu boju i pokonał go po południu.

Jim przysięgłby, że zupełnie już zapomniał legendy o królu Arturze, które ostatni raz czytał w dzieciństwie. Teraz jednak słowa TB wywołały w jego umyśle żywy obraz.

Oczyrna duszy ujrzał Gawena – chociaż w jakiś dziwny sposób był to zarazem Brian – który leżał ranny i nie mógł się podnieść, ale krzyczał do Lancelota, żeby wrócił i walczył z nim aż do śmierci, inaczej pewnego dnia znów zmusi go do walki. Usłyszał też przywołaną przez Malory'ego, niezapomnianą odpowiedź Lancelota, który odwrócił się i odszedł, mówiąc: „Nie uczynię nic więcej nad to, co już uczyniłem. Widząc cię na nogach, nie szczędziłbym trudu, aby cię powalić, lecz nikt mi nie zarzuci, iż rannego biłem. Boże, oszczędź mi takiego wstydu!”

Przez chwilę Jim widział tę scenę tak wyraźnie, jakby rozgrywała się tuż przed nim. Potrząsnął głową. Nie. Ludzie mogą oszaleć z nienawiści lub gniewu. Jednak Brian – podobnie jak Lancelot, nie jak Gawen, jeśli wierzyć Malory'emu – był na to zbyt rycerski. Nigdy nie postąpiłby tak jak Gawen. Zaczekałby, aż zagoją się jego rany, a dopiero potem rzuciłby wyzwanie przeciwnikowi.

–No cóż – odezwał się w końcu. – Mimo to wymień te miejsca. Zacznę od Morgan le Fay, a potem zobaczymy.

–Nie – powiedział TB. – Po namyśle stwierdzam, że powinienem zrobić dla ciebie coś więcej. Jesteś dostatecznie dzielny, żebym mógł cię tam zabrać. Jeśli chcesz, przeniosę cię do Merlina, gdy tylko niebo ściemnieje, co nastąpi niebawem.

–Niebawem? – Jim spojrzał w prawo, ponad wierzchołki drzew: rzeczywiście, białe słońce wisiało już tak nisko, że przesłaniały je konary okolicznych drzew. – A więc ono zachodzi? Jak długo trwa noc?

–Tylko chwilę – odparł TB. – Zaledwie zdążysz poprosić Merli na o pomoc – jeśli zechce cię wysłuchać, a ty nie będziesz bał się z nim mówić.

–Dlaczego miałbym się bać?

–On jest potężny – odpowiedział TB. – Zawsze był i nadal jest.

–Czy nie został zamknięty w pniu drzewa przez Nimue?

–Tak było. Nimue czy Vivien – nazywaj ją, jak chcesz, to w żaden sposób nie wpłynie na to, co ci powie. Jednak możesz go odwiedzić tylko w ciemności, gdyż on przebywa w niej przez te wszystkie wieki.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Jima, który mimo to nie zrezygnował.

–Zaprowadź mnie do niego – rzekł.

–Zaczekaj – polecił TB.

Czekali w milczeniu, gdy gwiazda Liones opadała tym szybciej, im bardziej zbliżała się do linii horyzontu. Najpierw pajęczyna czarnych gałęzi przesłoniła słoneczną tarczę, której blask zaraz przygasł, gdy zasłoniły ją pnie drzew. Niebawem zupełnie znikła i tylko jej coraz słabsze światło odbijało się od nieba. Nagle i ono zgasło, po czym wszystko spowiła ciemność.

–Teraz, sir Jamesie – usłyszał w mroku głos TB. – Nie ruszaj się. Ja nas

przeniosę.

Jim siedział nieruchomo na Gorpie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem poczuł na twarzy podmuch powietrza, jakby wychylał się z okna jadącego samochodu. Nagle wiatr ustał.

–Jesteśmy na miejscu – oznajmił TB. – Zsiądź z konia.

W kompletnej ciemności Jim zsiadł z Gorpa i nieco szybciej niż przewidywał, dotknął prawą nogą miękkiej ziemi. Wyjął ze strzemienia drugą stopę i stanął obok konia, trzymając jedną dłoń w wodze, a drugą łęk siodła. Gorp stał nieruchomo jak głaz, jak przystało na dobrze wytresowanego rumaka bojowego.

–Tuż przed świtem wrócę, żeby zabrać cię z powrotem – usłyszał głos TB. – Przemów teraz, by Merlin dowiedział się o twoim przybyciu.

Jim przez chwilę stał w milczeniu. Chociaż zawsze uważał, że nie obawia się ciemności, zimny dreszcz znów przebiegi mu po plecach, a włosy na głowie lekko się zjeżyły.

–Merlinie? – powiedział.

Jego głos brzmiał dziwnie głośno i głucho – jakby pozbawiony normalnej dźwięczności. Nikt mu nie odpowiedział, Jim nie rezygnował. Przybył tu po informacje.

–Merlinie? – powtórzył nieco głośniej.

–Kto mnie woła? – spytał silny głos, bynajmniej nie starczy.

–Sir James Eckert de Malencontri – odparł równie stanowczo Jim, chociaż był dziwnie oszołomiony, na skutek czego odezwał się tak formalnie. – Przybywam prosić cię o pomoc w odnalezieniu przyjaciela sir Briana Neville'a-Smythe'a, którego uwięził ktoś z Lions.

Wypowiedziawszy te słowa, uznał je za nieprzekonujące i pompatyczne.

–Jim, tak? – rzekł głos nieco łagodniej. – Uczeń Carolinusa. Ten młody Carolik zawsze pakuje się w tarapaty, kiedy nie uważa, a nie uważa nigdy.

Jim był zaszokowany. Czuł się tak, jakby przybył do jakiegoś obcego kraju, stanął oko w oko z tubylcem i zwrócił się do niego w łamanym miejscowym języku tylko po to, by krajowiec natychmiast odpowiedział mu płynną, idiomatyczną angielszczyzną.

–Carolinus nie czuje się najlepiej – rzekł Jim, stając w obronie mistrza.

–Przeżyje.

–Mamy nadzieję.

–Tak będzie, skoro mówię – huknął głos, dwukrotnie głośniej niż przedtem. –

Wątpisz w moje słowa?

Nagle Jim przypomniał sobie, że według legend największym talentem Merlina była zdolność przepowiadania przyszłości.

–Nie, magu – rzekł pospiesznie. – Nie to miałem na myśli.

–I nie nazywaj mnie magiem! – rzekł gniewnie głos, ale po chwili opadł do poprzedniego, normalnego poziomu, – Oni mogą tytułować się jak chcą, lecz MERLIN jest tylko jeden.

–Tak, Merlinie.

–No cóż, sir Jimie, dlaczego miałbym ci pomóc?

–Ponieważ sir Brian przybył ze mną do Liones, żeby pomóc temu królestwu...
Chociaż na pewno o tym też już wiesz, Merlinie.

–Prawdę mówiąc tak. To godne pochwały. No cóż, wprawdzie nie dostarczę go, ale mogę ci wyjawić, gdzie został uwięziony. Jak bardzo chcesz go uwolnić?

–Nie mógłbym bardziej – odparł Jim, – I jestem pewien, że sir Brian również bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnie odzyskać wolność.

–Niż czegokolwiek na świecie? – powtórzył Merlin. – To poważny powód, Jim. Jesteś pewny, że twój przyjaciel użyłby takich słów, gdyby tu był?

–Tak – odrzekł Jim, oczyma duszy widząc Briana. – Wierzę, że tak. Wprawdzie nie zaprzedałby swej duszy, ale dałby wiele za to, żeby być wolnym.

–A więc dobrze – powiedział Merlin. – Wiedz, iż jest przetrzymywany w niewoli przez damę rycerza Jaśniejszego Niż Dzień. TB zanieś cię do jej zamku.

–Dziękuję. – powiedział Jim. Usiłował dojrzeć w ciemności TB, lecz oczywiście niczego nie zobaczył.

–Zaczekaj – rzekł Merlin. – Powiem ci jeszcze coś. Gdyby nie twoje słowa, nie wyjawiałbym ci jego miejsca pobytu, bo jeśli tam zostanie, będzie trochę cierpiał, lecz przeżyje. Natomiast jeśli go odnajdziesz i uwolnisz, może stanąć w obliczu strasznej śmierci, i obawiam się, iż nikt nie zdoła go przed nią uchronić, nawet ty.

–Jakiej strasznej śmierci? Dlaczego mówisz, że nawet ja nie zdołam go ocalić?

Jim patrzył w ciemność, w kierunku miejsca, z którego dobiegał głos.

Żadnej odpowiedzi. Zapytał ponownie. Cisza.

–Merlinie – rzekł ponuro Jim. – Możesz się nie odzywać, ale założę się, że mnie słyszysz. W porządku, nie będę prosił o odpowiedź. Jest jednak jeszcze jedno pytanie, które chcę ci zadać. Czy cała magia w Liones jest jedną magią?

Zapadła długa cisza. Nawet ciemność wokół Jima zdawała się wstrzymać oddech. Potem znów rozległ się głos Merlina, dziwnie głuchy i zniekształcony, jakby dobiegał z długiej rury lub korytarza i z bardzo daleka.

–Przez te wszystkie wieki, od kiedy tu przybyłem – rzekł – nigdy nie odezwałem się ponownie, skoro raz postanowiłem zakończyć wypowiedź! Może jednak Carolinus dostrzegł więcej, niż przypuszczałem, i ty także. Tak więc tym razem złamię zasadę. Odpowiadając na twoje pytanie: cała magia i wszystko inne. Tak.

–Dziękuję – powiedział Jim. Nikt mu nie odpowiedział.

Rozdział 13

–Chodź, sir Jamesie – usłyszał nagle głos TB tuż obok. – Chodź. Niebawem znów zrobi się jasno; musimy stąd odejść.

Jim odetchnął.

–W porządku – powiedział. Po omacku ponownie dosiadł Gorpa i znów przez chwilę czuł na twarzy silny podmuch.

I tym razem wiatr nagle ustał. Niemal w tej samej chwili Jim dostrzegł wokół ciemne zarysy drzew, a kilka sekund później niebo pojaśniało po przeciwnej stronie niż ta, gdzie wcześniej zniknęło słońce. Zrozumiał, że wrócili do miejsca, z którego wyruszyli. TB wciąż był przy nim, a lekka niezdarność, z jaką poruszał się Gorp, świadczyła o tym, że juczny koń nadal jest przywiązany do łąku jego siodła.

–Słyszałeś, co powiedział mi Merlin? – zapytał TB.

–Tylko ostatnie słowa, o tym gdzie jest twój przyjaciel.

–Zabierz mnie do tego Jasnego Rycerza, dobrze?

–Tak, sir Jamesie.

–Czy to będzie dla ciebie niebezpieczne?

–Nie. Ścisłe mówiąc, zabiorę cię do zamku owej damy, ponieważ należy do niej, nie do niego. Jednak to z nim musisz walczyć, żeby uwolnić przyjaciela. Jedź tędy...

TB ruszył między drzewa, lamparcim brzuchem niemal ocierając się o ziemię, gdy biegł tym samym lekkim, lecz szybkim kłusem, jakim poruszał się podczas poprzedniej wizyty Jima w Liones. Jim i konie podążyli za nim.

–Dlaczego należy do niej? Czy nie są parą?

–Parą? – TB przez chwilę zastanawiał się nad tym słowem. – I tak, i nie. Są kochankami, ale nie mężem i żoną, gdyż dama Jasnego Rycerza – nawiasem mówiąc, nie mająca innego imienia – splamiła się czarami, a więc Kościół nie może udzielić jej ślubu. Była służką Morgan le Fay i została przez nią wyzwolona w zamian za usługi, wiadome tylko im dwóm i Merlinowi. Co dziwne, rozstała się w przyjaźni z Morgan, która podarowała jej ten zamek i włości.

–A skąd wziął się Jasny Rycerz?

–Mówią, że pojawił się później. Zakochali się w sobie, a dama wróciła do Morgan i uprosiła ją, by wzięła go pod opiekę. Od tej pory broni zamku i owej damy przed wszystkimi – inaczej nazwano by go fałszywym rycerzem. To Morgan le Fay zawdzięcza ten szczególny dar jaśnienia i oślepienia przeciwników.

–Hm – mruknął Jim.

–I nie boisz się teraz, kiedy o tym usłyszałeś?

–Czy się boję? – powtórzył Jim – Nie. Znam się trochę na magii. Jednak jestem żonaty.

–Może ożeniłeś się, zanim zacząłeś zajmować się magią?

–A dlaczego miałyby to sprawiać jakąś różnicę? – spytał Jim.

–Jako kawalerowi wolno by ci było posługiwać się magią. Natomiast po ślubie mógłbyś to robić tylko wtedy, gdyby nie pozbawili cię tej umiejętności wielcy magowie górnego świata, którzy wcześniej przyjęli cię do swego grona.

–Sądzę, że właśnie tak się stało – odparł Jim. – W każdym razie tak jest.

–A zatem udamy się na zamek, do rycerza i tej damy.

–Dobrze.

Jim ocenił, że TB podąża tym samym zwodniczo swobodnym, szybkim kłusem. W mroku niewiele było widać, więc Jim zaczął zastanawiać się nad nowym problemem.

Jeśli chce uwolnić Briana, prawdopodobnie będzie musiał potykać się z doświadczonym rycerzem. Szczęśliwy traf i waga Gorpa – nic więcej – przyniosło mu zwycięstwo nad rycerzem skazanym na starokawalerstwo. Nie mógł oczekiwać, że znów mu się uda. Gorączkowo usiłował znaleźć jakiś sposób, który pozwoliłby mu uniknąć walki.

Nic nie przychodziło mu do głowy. Był w niezłej formie, ale brak snu mógł przytępić jego umysł. Teraz przypomniał sobie, że od kiedy opuścił Malencontri, nie spał już dwie noce – jeśli panujący teraz mrok można było uznać za noc. Był jednak trzeźwy i czujny. Wcale nie potrzebował snu ani odpoczynku. Może tak działała magia tego miejsca? I co miał na myśli Merlin, mówiąc „wszystko inne”? Mówiące drzewa?

Dotarli, pozornie po pokonaniu niewielkiej odległości, na rozległej trawiastej równinę, na końcu której wznosił się solidnie wyglądający zamek z białego kamienia. Teren nie wyglądał na celowo wykarczowany z myślą o lepszej obronie, jak zwykle wokół zamków, ale las nie podchodził pod mury, jakby drzewa nie chciały mieć nic wspólnego z tą budowlą.

Zamek był otoczony zwykłą, wypełnioną wodą fosą, nad którą przerzucono zwodzony most. Wysokie podwójne wrota na końcu mostu były zamknięte na głucho.

Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, TB zatrzymał się. Jim także.

–Musisz zadać w róg, sir Jamesie – powiedział TB.

–Nie... – Jim w porę ugryzł się w język. – Tak się składa, że nie mam przy sobie rogu.

–Ach tak – odparł TB. – Zatem zechciej pokazać swą tarczę i namalowany na niej herb.

Jim sięgnął po tarczę, którą w tej nieznannej krainie miał na podorędziu, zawieszoną na plecach. Przewiesił ją do przodu, zdjął z szyi pętlę i podniósł puklerz wysoko nad głową, w kierunku zamku. Poczul mściwą satysfakcję. Już od kilku lat usiłował zapamiętać tuziny rozmaitych znaków herbowych, które każde wioskowe dziecko rozpoznawało na pierwszy rzut oka. Teraz, w tym obcym królestwie, w którym z pewnością natychmiast poznawano herb każdego miejscowego rycerza uprawnionego do jego noszenia, zobaczą taki, jakiego nigdy nie widzieli.

Czekał razem z TB. Na murach nic się nie poruszyło, Jimowi zaczęła drętwieć ręka, oparł więc dolną krawędź tarczy o gałkę przy łęku siodła.

–Może Jasnego Rycerza nie ma w zamku – powiedział. – Nie wierzę, żeby stąd wyjechał – rzekł poważnie TB. Nagle wszystko stało się jednocześnie. Na szczycie najwyższej wieży pojawił się i załopotał biały proporzec ze znakiem przypominającym zygzakowatą czarną błyskawicę. Zagrało kilka rogów i otworzyły się drzwiczki w jednej połowie wielkich wrót.

–No tak! Teraz, sir Jamesie, musisz radzić sobie sam! – po wiedział TB i zniknął.

Przez wrota wyszła kilkunastoletnia dziewczyna, cała w bieli. Z niezwykłą szybkością przebiegła po zwodzonym moście i wypadła na otwartą przestrzeń, zmierając w stronę Jima, który patrzył na nią z podziwem. Jego Angie potrafiła poruszać się zdumiewająco szybko, ale mała pędziła jak olimpijska sprinterka. Dobiegła do siedzącego na Gorpie Jima, zrobiła kilka głębokich wdechów i przemówiła.

–Panie rycerzu – powiedziała – nie znamy twego herbu. Przesłano mnie, abym zapytała o twoje imię i cel przyjazdu.

Czas wejść w rolę typowego średniowiecznego rycerza. Jim lekko wyprostował się w siodle.

–Cóż to za miejsce, gdzie nie znają Smoczego Rycerza? – rzucił tak szorstko, jak tylko potrafił. – Znanego w całej górnej krainie i wszystkich na dole?

–Błagam o wybaczenie, mój panie – powiedziała dziewczynka. – Jestem tylko zwykłą służką tych, którzy mieszkają w tym zamku, i pytam o to, o co kazano mi zapytać. Może wasza miłość wyjaśni mi cel swojej wizyty, abym mogła zanieść tę wiadomość moim państwu.

–Przybyłem tu – rzekł powoli i groźnie Jim – aby uwolnić zaciego rycerza, który jest więziony w tym zamku, sir Briana Neville'a-Smythe'a. Wyzywam i zabiję każdego, kto niezwłocznie nie uwolni tego dzielnego szlachcica. W swoim czasie walczyłem z ogrami, węzami morskimi, demonami – i pokonałem je wszystkie. Niechaj nikt nie sądzi, iż zawaham się. uczynić to samo z każdym, kto nie wyda mi sir Briana Neville'a-Smythe'a!

Zamilkł i spojrzał, sprawdzając, jakie – i czy w ogóle jakieś – wrażenie wywarły jego słowa na dziewczynce. Czasem takie bombastyczne wypowiedzi sływały po słuchaczach jak woda po gęsi, a czasem ich przerażały. Nigdy nie można było tego przewidzieć.

Tym razem zauważył tylko, że wywołany szybkim biegiem rumieniec na jej twarzy – w tej czarno-białej krainie widoczny jedynie jako ciemniejszy odcień szarości – znacznie ustąpił, chociaż było mało prawdopodobne, by naprawdę pobladła.

–A zatem – powiedziała – mam ci przekazać, panie rycerzu, iż w tym zamku mieszka rycerz Jaśniejszy Niż Dzień, który pokonał i uwięził lub zabił wszystkich., z którymi się potykał. Zostałeś ostrzeżony i możesz się wycofać!

Nie było rady. Takie słowa wymagały gwałtownej reakcji.

–Wycofać! – ryknął wściekle Jim, dobywając miecza i unosząc go w powietrze, jakby zamierzał rozplatać służkę.

Odskoczyła – zapewne mając w tym niezłą wprawę – po czym z zadziwiającą szybkością umknęła z powrotem do zamku. Kiedy wpadła na zwodzony most, otworzono jej drzwi. Jim czekał. Na wieży powiewał proporzec.

–Zamierzają namyślać się cały dzień? – warknął do siebie Jim. Był wściekły i niecierpliwił się.

Z drzwi wyłonił się około dwunastoletni chłopczyk w czarno-białej liberii i powolnym krokiem, dumnie wyprostowany, ruszył w kierunku Jima.

–Panie rycerzu – powiedział wysokim sopranem, stanąwszy parę metrów przed Jimem – wiedz, iż rycerz Jaśniejszy Niż Dzień nie walczy z każdym, kto się tu zjawi. Musisz dać mu jakiś dowód na to, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

–Jaki dowód? – warknął Jim.

–Sam masz zdecydować.

Jim zerwał z nosa okulary i pokazał je chłopcu, który skulił się i cofnął o krok.

–Czy wiesz, co to jest? – ryknął Jim.

–Nie, milordzie – pisnął chłopiec, tracąc poczucie własnej ważności.

–Mam nadzieję, że twój pan nie jest takim ignorantem jak ty! To okulary odwagi, których nigdy nie nosił człowiek, który na to nie zasługiwał!

–Ppowiem mu, mmiłośściwy... ppanie – wyjąkał chłopiec, pragnąc jak najszybciej się oddalić.

–Stój!

Posłaniec zamarł w pół kroku.

–Teraz ja podam moje warunki. Muszę wiedzieć, że ten dzielny rycerz, którego przybyłem uwolnić, jest cały i zdrowy. Macie przyprowadzić go tutaj, tak blisko, żebym mógł się upewnić, że nic mu nie jest. W przeciwnym razie nie skrzyżuję kopii z twoim panem. Słyszysz mnie?

–Tak, milordzie... Chłopiec odwrócił się i uciekł.

Jim i milczący Hob znów czekali. Potem wydarzyło się coś, co zdziwiło Jima. Jedna połowa wierzgi za zwodzonym mostem uchyliła się, na tyle tylko, by mógł przejechać przez nie jeździec na koniu. Jeźdźcem tym był Brian – w pełnej zbroi i na Blanehardzie. Rycerz rozejrzał się wokół, dostrzegł Jima i natychmiast pogalopował do niego.

Ten widok obudził nadzieję w sercu Jima. Czyżby mieszkańcy zamku uznali, że lepiej wydać Briana, niż walczyć z kimś o jego referencjach?

Wcześniej nie miał ochoty potykać się z gospodarzem zamku, lecz teraz nie niepokoila go już myśl o ewentualnym pojedynku. Być może sprawiło to zwycięstwo nad pierwszym rycerzem, a może rozmowa z Merlinem dodała mu pewności siebie.

Mimo wszystko, jak pospiesznie przypomniła mu praktyczna część jego umysłu, niezależnie od tego, jak bardzo pewny siebie jest rycerz, w pojedynku na kopie czy miecze wszystko jest możliwe. Lekkie potknięcie, pęknięty rzemień albo drobna chwila nieuwagi jeźdźca lub wierzchowca w krytycznym momencie starcia może drogo kosztować. Cios miecza lub pchnięcie kopii może trafić akurat w miejsce, w którym wyrządzi najwięcej szkody.

–Ha! – rzekł Brian, osadzając konia przed Jimem. Owinął wodze wokół łęku siodła i wyciągnął ramiona. Przeguby miał zakute w żelazne okowy połączone półmetrowym łańcuchem. – Nie ufali mi! Przeklęci głupcy! Zakuty czy nie, mogę ci opowiedzieć o rycerzu, z którym masz stoczyć walkę – i podszeptać, jak go zwyciężyć. Najwyraźniej nic przyszło im to do głowy. Chcieli się tylko chełpić swoim sukcesem, gdyż są pewni, że zostaniesz pokonany.

–Czy Jasny Rycerz rzeczywiście jest takim groźnym przeciwnikiem? – zapytał Jim i lekko się zaniepokoił, po raz pierwszy od chwili gdy podjechał pod zamek.

–Groźnym? Cóż... – Brian umknął spojrzeniem i Jim wytrzeszczył oczy. Rzadko widywał go tak zakłopotanego. Czuł coraz większy niepokój. Nagle Brian wybuchnął potokiem słów: – Mógłbym tak powiedzieć, ale rzecz w tym, że zważył mnie z grzbietu Blancharda, zanim zdążyłem go dostrzec. Nie szukam wymówek – to wyłącznie moja wina, że tak się stało – ale przede wszystkim chcę ci rzec, że on naprawdę jest Jasny, James. Bardzo, bardzo Jasny.

–No cóż... – Jim zawahał się, szukając słów, w jakie mógłby ująć dręczące go pytanie, tak by nie urazić uczuć Briana, – Hm, zapewne trudno było ci ocenić sposób, w jaki włada kopia.,.

–Och, nie byłem zupełnie bezradny, Jamesie! Słyszałem tętent jego konia, który najwyraźniej nie jest równie wyćwiczonym i utalentowanym rumakiem bojowym jak Blanchard, Co więcej, zwierzę czuło się nieswojo. Albo siedział za bardzo z tyłu siodła – co, jak ci nieraz mówiłem, wskazuje na niezbyt zręcznego jeźdźca – albo zbyt mocno ścisnął kopię, usiłując ją wycelować, co jest częstym błędem popełnianym przez giermków i niedoświadczonych rycerzy. To wiąże się z kwestią, którą chciałem poruszyć.

–Jaką?

–On jest zbyt Jasny, żebyś mógł go zobaczyć. Tak więc celowo omiń go przy pierwszym starciu. Mówiąc inaczej, objeżdż go łukiem. Może tłum okrzyknie ci tchórzem, ale ja, patrząc na to z boku, zdołam przejrzeć jego tajemnicę i przed następnym starciem udzielę ci wskazówek, które zapewnią ci zwycięstwo.

I Brian z promiennym uśmiechem wyprostował się w siodle.

–Rozumiem – rzekł Jim. Tuzin myśli kłębił mu się w głowie. – Sądysz, że zdołam go pokonać, jeśli coś mi o nim powiesz? Nigdy nie ceniłeś moich umiejętności władania kopia.

–Szczerze mówiąc, Jamesie, nadal tak jest. Jeśli jednak nie zwiódł mnie słuch, sądząc po stukocie kopyt jego konia oraz sapaniu jeźdźca, kiedy się do mnie zbliżał, a także kącie, pod jakim jego grot uderzył w cel, którym był praktycznie ślepy w tym momencie człowiek...

Brian urwał i uśmiechnął się do Jima.

–No właśnie! – dodał. – Widzisz mnie właściwie nietkniętego! Wysadził mnie z siodła, to prawda, lecz mając taką przewagę, powinien uderzyć w hełm i złamać mi kark, a nie w moją tarczę, zrzucając mnie z konia. Prawdą jest też – dodał z przygnębieniem, które odbiło się również na jego twarzy – że nie trzymałem nóg w strzemionach tak dobrze, jak powinienem... przez tę jego niezwykłą Jasność. Inaczej nie wysadziłby mnie z siodła. Jednak nie w tym rzecz.

–Oczywiście – rzekł Jim.

–Chodzi o to, że on równie kiepsko włada kopia jak... jak niektórzy, których widziałem. Obserwując starcie z boku, gdzie jego blask nie powinien mnie tak oślepić, zdołam ci może doradzić, jak go pokonać. Zaufaj mi, Jamesie – przy odrobinie zręczności powinieneś wysadzić go z siodła. Kiedy znajdzie się na ziemi, pozostanie wam walka na miecze, a tę... – Brian chrząknął i ponownie się zmieształ. – Masz większą szansę wygrać.

Jim mruknął coś pod nosem. Aż nazbyt dobrze wiedział, że tylko odrobinę lepiej radzi sobie z mieczem niż z kopia – co prawdopodobnie czyniło go najgorszym z rycerzy. Był jednak świadomy, iż w przeciwieństwie do niego Brian jest mistrzem kopii i czarodziejem miecza. Wcale nie wątpił, że przyjaciel może udzielić mu wskazówek pomocnych w pokonaniu Jasnego Rycerza. Rzec w tym, czy on zdoła z nich skorzystać? O czym Brian mógł mu nie powiedzieć?

Jak większość mistrzów w danej dziedzinie, Brian czasem zapominał o tym, iż rzeczy oczywiste dla człowieka mającego wieloletnie doświadczenie, wcale nie muszą być takimi dla innych. Tak więc Brian nie przygotował Jima na to, co ten teraz zobaczył.

Przez drzwi w wielkich wrotach wyszła gromada ludzi, niewątpliwie mieszkańców zamku, chcących obejrzeć pojedynek. Za nimi szła następna kobieta w bieli. Jim spoglądał na tłum przez dolne połowy swoich okularów, a polem uświadomił sobie to i zerwawszy z nosa, schował do futerału przy pasie. Nie dlatego, by źle przez nie widział, ale nie chciał, by w takiej chwili coś mu przeszkadzało. Czuł, jak mocno bije mu serce.

Na zamku zagrały fanfary. Obie połowy wrót rozwarły się na oścież. Wyłoniła się z nich postać na koniu i przejechała po zwodzonym moście.

Jim odruchowo podniósł rękę, by osłonić dłonią oczy. Nie był w stanie dostrzec jeźdźca ani konia. Ten człowiek świecił oślepiającym blaskiem. Próbuąc patrzeć na niego, czuł się tak, jakby spoglądał prosto w rozżarzone słońce Liones.

Rozdział 14

Jim niemal natychmiast zrozumiał, że nie ma w tym niczego dziwnego. Białe słońce Liones zdążyło już unieść się wysoko nad drzewa za jego plecami, a zbroja przeciwnika odbijała je równie silnie jak najlepsze lustro, jeśli nie bardziej. I znowu była to magia, która niewątpliwie odpowiadała i za to, że większość odbitych promieni świeciła mu prosto w oczy.

Spróbował poruszyć głowę. Oczywiście, odbłask przesunął się także. Nie dało się przed nim umknąć. Był znacznie intensywniejszy, niż Jim oczekiwał. Aby bezpiecznie ominąć rycerza, nie krzyżując z nim kopii, musiałby przejechać dobre trzy lub cztery metry od niego.

Jeśli tak zrobi, stanie się tak, jak mówił Brian: tłum zacznie krzyczeć „tchórz”. To, co widział na turniejach i podczas innych potyczek, pozwalało przypuszczać, że gapie natychmiast dadzą upust swoim uczuciom, Brian – przekonany o własnej racji – nie dbałby o to, że cały świat go lży, lecz Jima nauczono brać pod uwagę reakcje innych.

Zdał sobie sprawę, że oczy już mu łzawią od blasku. Przetarł je rękami, na moment zasłaniając światło, i kiedy poczuł dotyk swoich dłoni na zamkniętych powiekach, nagle zrozumiał. Nie tylko nie widział, ale i nie myślał...

–Patrz na przednie kopyta jego konia. Jeśli dopisze ci szczęście, zobaczysz, jak nadjeżdża – usłyszał głos stojącego obok Briana, który dodawał mu otuchy.

–W porządku, Brianie – odparł, nadal osłaniając oczy dłonią. Drugą namacał futerał z okularami, znalazł je i wyjął. – Mam tutaj coś...

W pierwszej chwili zamierzał nieznacznie zmienić właściwości szkła, nadając im przeciwoodblaskowe cechy. Zaraz jednak przypomniał sobie, że nie powinien używać magii, gdyż Morgan le Fay mogła go obserwować – i zapewne robiła to.

Będzie musiał posłużyć się okularami takimi, jakie są. Wciąż osłaniając dłonią oczy, umieścił szkła na nosie. Ostrożnie odsunął dłoń i spojrzał w kierunku Jasnego Rycerza. Okazało się, że niczego nie musiał zmieniać. Okulary działały idealnie. Blask zniknął. Górne połowy szkła całkowicie go wygasily, pozwalając zarazem widzieć wszystko inne. Jim ujrzał przed sobą rycerza w zbroi dokładnie skrywającej całą postać. Przeciwnik był tak idealnie czarny, jakby jego sylwetka była zarysem drzwi do bezgwiazdnej pustki, wyciętym w krajobrazie.

–To, co włożyłem na nos – rzekł ściszym głosem do Briana – to magiczny przyrząd. Jest dobrze. Teraz widzę go wyraźnie.

–Naprawdę? – W głosie Briana nie było powątpiewania. Czarodziejskie słowo „magiczny” rozwiało wszelkie ewentualne wątpliwości. – Mimo to, Jamesie, radziłbym ci ominąć go przy pierwszym starciu, a przy drugim skorzystać z mojej rady.

–Z chęcią – odparł Jim. Już miał spuścić przyłbicę, którą ostatnio kazał zamkowemu kowalowi zamocować do hełmu, gdy uświadomił sobie, że straci okulary z nosa.

Skoro zamierzał ominąć przeciwnika, nie musiał spuszczać przyłbicy. Może sam zdoła dostrzec jakiś słaby punkt przed drugim starciem. Nagle poczuł przypływ irytacji. Niech diabli porwą całą magię, która zawsze jest w jakiś sposób ograniczona,

czy to pod względem swego oddziaływania, czy koniecznych do tego warunków.

Zagrał róg. Jim spojrzął i zobaczył, że ten sam ubrany w liberię chłopiec, którego spotkał wcześniej, odejmuje od ust długi srebrny instrument.

–Ruszył! – powiedział Brian i Jim ujrzał, że Jasny Rycerz już pogonił konia do kłusa, który na moment przed spotkaniem z Jimem miał przejść w pełny galop.

Nie było czasu do namysłu i Jim nawet był z tego rad. Chwycił wodze i pochylił się, Gorp natychmiast ruszył naprzód, zrozumiałwszy, co ich czeka, i niecierpliwie parskając z chęci pokonania nadbiegającego ogiera.

Jasny Rycerz zbliżał się szybko, coraz bardziej przyspieszając. Jim zauważył, że istotnie kiepsko siedział w siodle, przesunięty do tyłu zdecydowanie zbyt daleko. Grot jego kopii, już skierowany na Jima, podskakiwał w powietrzu, dowodząc, że – jak sugerował Brian – rycerz ścisnął ją za mocno i za wcześnie próbował wycelować; zamiast jak najdłużej balansować nią w dłoni. Dopiero w ostatniej chwili powinien chwycić ją z całych sił i wymierzyć w przeciwnika.

Jim czuł rosnącą pokusę. W przeciwieństwie do Briana, nienawidził pojedynków na kopie. W prywatnych rozmowach z Angie nazywał je „rodzajem katastrofy kolejowej”. Rok wcześniej, podczas bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset, zrećnie unikał pojedynku z sir Gilesem de Mer, chociaż ten przyjechał aż z Northumberlandu w nadziei na skrzyżowanie kopii zarówno z Brianem, jak i Jimem. Natomiast Brian przyjął za pewnik, iż Jim zgodzi się potykać z sir Gilesem pod jego krytycznym spojrzeniem, tak by obaj mogli skorzystać z jego uwag. Przyjaciel był szczerze zdziwiony, że jakoś nigdy nie nadarzyła się po temu okazja.

Jednakże teraz Jim po raz pierwszy miał ochotę dobrowolnie wziąć udział w „katastrofie kolejowej”. Jeszcze nigdy nie doświadczał takiego uczucia. Zdał sobie sprawę z tego, iż stoi naprzeciw rycerza, który posługuje się kopią nie lepiej od niego. Istotnie, im dłużej patrzył na tamtego, tym bardziej był tego pewny.

Mógłby powiedzieć Brianowi, że chciał ominąć Jasnego Rycerza, ale niechcący podjechał bliżej... Natychmiast odzyskał rozsądek. Niewątpliwie przyjaciel uwierzyłby we wszystko, co wiązało się z magią, lecz przy jego umiejętności interpretacji każdego ruchu konia i jeźdźca, natychmiast przejrzałby jego zabiegi, a Jim nie mógłby znieść zdumienia, jakie pojawiłoby się na twarzy Briana, gdyby okłamał go w tak dziecinny i nieudolny sposób, szczególnie jeśli Jasny Rycerz jednak zdołałby wysadzić go z siodła.

Nie. Musi zrobić to, co radził mu Brian.

Kiedy o tym myślał, oba galopujące już teraz wierzchowce szybko zbliżały się do siebie i ku swemu ogromnemu zdumieniu Jim ujrzał, że mocno trzymana kopia przeciwnika odchyła się w bok. W pierwszej chwili zdziwiło go to, lecz w następnej zrozumiał wszystko. Uświadomił sobie, że tamten niewątpliwie przypuszcza, że – tak jak wszyscy dotychczasowi rywale – Jim jest całkowicie oślepiiony i nie widzi, co się dzieje.

Jasny Rycerz tak mocno ścisnął kopię, ponieważ wcale nie zamierzał uderzyć jej grotem. Zamiast tego... W tym samym momencie, gdy Jim to pojął, zobaczył, jak tamten obraca drzewce, zagradzając mu nim drogę. W samą porę szarpnął wodze i

skierował Gorpa w bok, omijając kopię, której grot pozostawił krótką ryse na lewej krawędzi jego tarczy.

Parskając i podrzucając łbem, rozzłoszczony na swojego jeźdźca, Gorp pozwolił skierować się do Briana.

–Nędzny podstęp! Płotek! – pieniał się Brian, gdy Jim zatrzymał się przy nim. – To ci parszywy drań! Uderzyłby cię drzewcem, gdybyś nie skręcił w porę. Pokaż mi tarczę. No tak, tutaj jest dowód. Każdy może sobie obejrzeć tę ryse. I pomyśleć, że zapewne w ten sposób strącił mnie z konia... Tak mi się zdawało, że cios spadł z boku, ale byłem oszołomiony upadkiem, a mając go za zacnego rycerza, niczego nie podejrzewałem. Jamesie, nie mógłbyś w jakiś magiczny sposób uczynić mnie podobnym do ciebie, żebym mógł cię teraz zastąpić? Nauczyłbym go, co człowiek umiejący trzymać kopię może zrobić z takim jak on!

–Obawiam się, że to niemożliwe – odparł Jim, po raz pierwszy ciesząc się z tego, że nie może tutaj posługiwać się magią. – Pamiętaj, że jesteśmy w Liones i nie mogę tu wykorzystywać wszystkiego, co umiem.

–Wybacz mi, Jamesie! Oczywiście! – sumitował się Brian. – Tylko ciężko mi... no nic, jakoś się z tym pogodzę. Za chwilę ponownie skrzyżujecie kopie. Pozwól, że szybko powiem ci, co masz robić.

–Tak, Co?

–Pamiętasz, Jamesie, jak usiłowałem nauczyć cię sztuki pochylania tarczy, aby ześlizgnął się po niej grot przeciwnika? Tym razem chciałbym, żebyś zrobił to w nieco inny sposób.

Brian zamilkł.

–Dobra... chciałem powiedzieć, że tak zrobię – pospiesznie poprawił się Jim, ponownie wchodząc w rolę ucznia. Wiedział, że Brian czeka na tę obietnicę.

–Znakomicie. A zatem tym razem, kiedy wpadniecie na siebie – a może moment wcześniej, gdyż nie masz jeszcze należytej wprawy w używaniu tarczy – pochyl się i przyciśnij do końskiego karku. Ponieważ przeciwnik będzie szykował się do zamachowego ciosu, nie zdąży ponownie wycelować.

Brian znów zamilkł.

–Tak zrobię – obiecał Jim.

–Dobrze. Zasłon się tarczą, jak zdołasz najlepiej, a w ostatniej chwili obróć ją, by chronić lewy bok, opierając jej dolną krawędź o brzeg okucia przy siodle Gorpa. Tak żebyście razem przyjęli impet uderzenia. Rozumiesz?

–Tak.

–Doskonale. Pamiętaj, postaraj się schować głowę za tarczą, żeby wystawał zza niej ledwie czubek twojego hełmu. To żaden wstyd, Jamesie, wiesz przecież, że w starciu z takim oszustem zasady nie obowiązują.

–Zrobię, jak mówisz! – odparł Jim, starając się zapamiętać każde jego słowo.

–Zaczekaj. Jeszcze ostatnia rada, gdyż widzę, że on już szykuje się do ataku. Po nieskutecznym ciosie zamachowym straci równowagę i jeśli w tym momencie uderzysz go kopią – drzewcem i w plecy, Jamesie, w plecy! – z pewnością strącisz go z konia. Na turnieju byłoby to niedopuszczalne, lecz tutaj, w starciu z takim

przeciwnikiem, jest w pełni usprawiedliwione. Potem szybko zsiadł i przyłożył mu miecz do gardła. Podda się... No, już czas. Musisz ruszać.

–Dobra! – rzekł Jim, tym razem zupełnie się zapominając. Pospiesznie poprawił okulary, które podczas rozmowy z Brianem lekko zsunęły mu się z nosa, ujął wodze i ruszył.

Jasny Rycerz już pędził na niego, trzymając coś, co przez okulary wyglądało jak biała, lecz zupełnie zwyczajna – może tylko zbyt lekka – kopia. Jego wierzchowiec rozpoczął cwał i chwilę później Gorp z własnej inicjatywy poszedł w jego ślady.

Wtem wszystko stało się aż nadto realne. Nagle Jim zupełnie zapomniał o obawie przed starciem, a także o pokusie zmierzenia się z równorzędnym przeciwnikiem. Pozostał tylko przyływ adrenaliny i świadomość, że ta ziemia była równie twarda jak każda, po której kroczył, a tak czy inaczej Jasny Rycerz zamierzał go zabić albo po strąceniu z konia, albo pokonawszy go i uwięziwszy.

Zbliżali się do siebie znacznie szybciej niż poprzednio. Kiedy zobaczył, że białe drzewce tamtego odchyła się w bok, schował się za tarczę, trzymając ją tak, jak kazał mu Brian, a potem machnął kopią. Uderzył w coś tak mocno, że zaboląła go ręka, jakby spróbował chwycić i zatrzymać ruchomą część jakiejś maszyny.

O mało nie upuścił kopii. Gdy gwałtownie osadził Gorpa i okręcił go, ujrzał Jasnego Rycerza leżącego nieruchomo na trawie. Rumak przeciwnika, najwidoczniej równie nie wyćwiczony jak jego pan, uciekał w kierunku zamku.

Jim podjechał do leżącego i zsiadł z konia, puszczając wodze luzem. Gorp natychmiast stanął jak wryty. Jasny Rycerz nadal leżał, nie ruszając się, z zamkniętymi oczami i pobladłą twarzą. Jim nagle przeraził się, że go zabił – ale nie, rycerz nadal oddychał. Pewnie tylko stracił przytomność.

Jim przyklęknął przy nim, by rozluźnić osłaniający szyję szeroki, podściełany kołnierz z metalowej siatki, aby rycerz mógł swobodnie oddychać. W tym momencie usłyszał krzyki i tupot nóg. Podniósł głowę i zobaczył biegnących ku niemu gapiów.

–Jamesie! Wyjmij miecz! – zawołał mu nad uchem Brian i skutymi rękami błyskawicznie wyrwał broń z pochwy nieprzytomnego rycerza.

Jim wyciągnął swój miecz i stanął, szykując się do odparcia ataku. Brian miał rację, mówiąc, że tu nie obowiązują żadne reguły. Życie i dobrobyt dzierżawców zależały od ich pana. Rycerski honor był dobry dla rycerzy, a oni mogli kupą rzucić się na wroga i zadźgać go nożami, nawet jeśli z tuzin ich przypląciłoby to śmiercią lub kalectwem – byle tylko uratować pana. Jak powiedział Brian, to nie był turniej z audytorium bacznie wypatrującym jakiegokolwiek naruszenia obowiązujących przepisów. Był to prywatny pojedynek i rządził się swoimi prawami.

Jednak donośny głos zagłuszył wrzaski, rzucając gromkie rozkazy. Krzyki ucichły, tłum zatrzymał się i wyszła z niego kobieta w eleganckiej białej sukni. Podbiegła i klęknęła przy leżącym rycerzu.

Jim, widząc ją samą, ponownie zajął się rozpinaniem kołnierza powalonego wroga. W końcu zdołał go zdjąć i odrzucić wraz z hełmem, po czym po raz pierwszy mógł spojrzeć tamtemu w twarz.

Zrobiwszy to, zdumiał się, ponieważ pod grzywą czarnych włosów zobaczył

gładkie oblicze młodzika, na pewno jeszcze nastolatka. Nic dziwnego, że był równie niewprawny jak Jim, nie osiągnąwszy nawet wieku, w którym większość giermków zręcznie włada różnoraką bronią.

Zaskakujący był widok tej młodej twarzy przy szerokich barach i potężnym ciele. Coś w rodzaju lawiny cienkiego, delikatnego materiału nagle przesłoniło Jimowi widok. Klęcząca po drugiej stronie Jasnego Rycerza dama rzuciła się na leżącego, zasłaniając go własnym ciałem.

–Nie zabijaj go, och, nie zabijaj! – zawołała. – Jeśli musisz kogoś zabić, zabij mnie! To ja posłałam go przeciwko tobie. On ci się podda. Obiecuję, że się podda. Litości! Zaczekaj, aż będzie mógł mówić. Oszczędź go!

Teraz Jim wytrzeszczył oczy na nią. Potem, trochę późno, zrozumiał, że widząc, jak zdejmuje powalonemu rycerzowi kołnierz, pomyślała, że zamierzał uciąć mu głowę.

–Nie... – zaczął i nagle uświadomił sobie, że może wpaść w pułapkę. Jeśli przyzna, że nie ma zamiaru zabić przeciwnika, z punktu widzenia tej damy i tłumu, Jasny Rycerz wcale nie przegra walki. Kiedy odzyska przytomność, wraz ze swoimi poddanymi może ich zaatakować.

Jim przełknął ślinę. Popatrzył na kobietę.

Założył, że była panią tego zamku. Jednak dopiero teraz dostrzegł, jak kunsztowny był krój i materiał jej sukni, przypominającej tę, którą nosiła sama królowa czarodziejek. Szata była uszyta z wielu warstw jakiejś cienkiej, pięknej tkaniny, a srebrny łańcuch na szyi kobiety podtrzymywał wisior z perły o niemal pięciocentymetrowej średnicy.

Kobieta miała długie i smukłe dłonie o wypielęgnowanych paznokciach i była nie tylko ładna, lecz wręcz piękna. Spływające teraz po jej policzkach łzy wcale nie ujmowały jej urody – wprosi przeciwnie. Cała jej postać świadczyła o pozycji i władzy. Jim poczuł przyływ nieoczekiwanego współczucia, Miał nieodpartą ochotę zapewnić ją, że jej nieprzytomnemu mężczyźnie nic nie grozi.

Jednak rozsądnie powstrzymał się. Kilka lat przeżytych w średniowiecznym świecie nauczyło go, że żałośnie skrzywiona twarz błyskawicznie może zmienić wyraz. Widywał czternastowieczne damy, które w mgnieniu oka potrafiły przemienić się z bezbronnych jak dzieci istot w istne walkirie.

–Błagam, panie rycerzu! – zaczęła. – Błagam o...

Jim spostrzegł, że Brian stoi obok, spoglądając na niego z dziwnie zatroskaną miną.

–Nie ruszaj się! – powiedział Jim do kobiety najbardziej surowym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – Najpierw muszę sprawdzić, czy nic się nie stało memu przyjacielowi, którego tu więziliście!

Korzystając z tej wymówki, wstał i zostawił ją, wciąż roniącą łzy i gładzącą twarz nieprzytomnego rycerza. Jim odprowadził Briana na bok.

–Briane... – zaczął ściszym głosem.

–Nie pojmuję! – rzucił ten prawie gniewnie, nawet nie próbując mówić szeptem. – Czy pozwolisz, żeby ta kobieta namówiła cię, byś oszczędził kogoś, kto nie ma

rycerskiego honoru, używa w walce magii, łamie wszelkie zasady pojedynku na kopie – i nawet nie jest jej mężem, tylko kochankiem?

–On nie jest moim kochankiem! – załkała dama. – Wszyscy tak uważali, więc dla bezpieczeństwa nie wyprowadzałam ich z błędu. On jest moim synem, jedynym synem!

Teraz Jim naprawdę wytrzeszczył oczy. Kobieta wyglądała na najwyżej dwudziestoletnią. Jednak w tych czasach dziewczęta wychodziły za mąż w wieku dziewięciu lat lub wcześniej, a rok czy dwa później rodziły dzieci.

–Ba! – rzekł do niej Brian. – Nie wierzę!

–Przysięgam! – zawołała dama. – Przynieście mi święty krzyż, a przysięgnę nań. Och, panowie, przez tyle lat zapewniałam mu bezpieczeństwo dzięki czarowi, jaki rzuciła na niego moja wielka pani, Morgan le Fay... Niestety! Nie oczekiwaliśmy, że pojawi się ktoś taki jak ty, tak zręcznie władający kopią. Błagam, oszczędź go! Może też masz syna i rozumiesz...

Zaląła go potokiem słów.

Jim zaryzykował i zerknął na Briana, który mierzył ją gniewnym wzrokiem. Przesunął go na Jima.

–Jamesie – rzekł sztywno, lecz tak cicho, że nikt inny go nie usłyszał. – Mam nadzieję, że nie bierzesz sobie do serca tego, co teraz słyszysz. „Tak zręcznie władający kopią”, zaiste! Dziwię się, że nie zaczerwieniłeś się na te słowa. Na świętego Jamesa – niewątpliwie twego imiennika – nawet pochlebstwa mają jakieś granice, a ta dama je przekracza!

Jim gorączkowo szukał w myślach jakichś słów, które udobruchałyby Briana, a jednocześnie zakończyły strumień bezwstydných komplementów, jakie płynęły z ust kobiety. Nadal nie przestawała mówić, podniósłszy się z ziemi.

–...zaledwie dwunastoletni, miałby umrzeć tak młodo... – mówiła zduszonym głosem do Jima.

–Dwunastoletni! – powiedzieli jednocześnie Jim i Brian, spoglądając na prawie dwumetrową postać na murawie.

–Jest wyrośnięty jak na swój wiek. Wszyscy się dziwili, że tak szybko rośnie. Jednak jego ojciec miał ponad dwa metry wzrostu...

Teraz Jim i Brian spojrzeli po sobie. W tych czasach trafiali się mierzący ponad dwa metry mężczyźni, ale wszyscy byli powszechnie znani. Harold Hardrada – Harold Trzeci z Norwegii, co Jim pamiętał ze swego poprzedniego życia, został wspomniany w Heimskringla jako dwumetrowy woj. Według pewnego współczesnego historyka miał także szersze niż inni czoło. Z jakiegoś powodu te szczegóły utkwily Jimowi w pamięci. A francuski Karol Wielki...

–...prędzej sama umrę. Jeśli mnie nie zabijesz, pchnę się mieczem, gdyż nie chcę żyć bez niego, klnę się na Marię...

Usiłowała chwycić miecz Jima.

W samą porę zacisnął go w dłoni – niektóre kobiety szlacheckiego rodu władały bronią równie dobrze jak mężczyźni – i zaskoczyło go to, ile musiał użyć siły, żeby go nie wypuścić.

Jasny Rycerz powoli odzyskiwał przytomność. Usłyszeli jego głos.

–Przestań, matko, dobrze? Jestem rycerzem. Jeśli nie daruje mi życia, muszę umrzeć jak przystało na rycerza!

–Nigdy! – krzyknęła dama. – Zanim go zabijecie, najpierw musicie zabić mnie!

I z tymi słowami znowu rzuciła się na młodzieńca, dziecko czy kimkolwiek był, dosłownie zasłaniając go własnym ciałem – a jednocześnie skutecznie tłumiąc wszelkie jego próby powiedzenia czegoś.

Jim i Brian spojrzeli po sobie. Potem Brian skinął na przyjaciela.

–Czy zechciałbyś na chwilę odejść ze mną na bok? – poprosił. Odeszli kilka kroków od leżącej na ziemi pary i Brian ponownie zniżył głos.

–Jamesie?

–Tak, Brianie?

–Oczywiście, nie wiem, jak dokładnie brzmiały słowa twojego rycerskiego ślubowania. Niewątpliwie trochę różniły się od moich. Z pewnością jednak był w nich fragment o ratowaniu i bronienu kobiet oraz dzieci?

Jim niechętnie okłamywał Briana, lecz jego wyimaginowane pasowanie na rycerza musiało wiązać się z równie wyimaginowanym ślubowaniem, gdyby istotnie miało miejsce przed ich pierwszym spotkaniem.

–Tak – potwierdził Jim. Brian chrząknął.

–No cóż, wygląda na to, że mamy problem, Jamesie. Moje śluby mówiły wyraźnie, a twoje pewnie też.

–Tak sądzę.

–Tak więc mamy problem, a właściwie ty go masz, lecz mnie on również dotyczy, gdyż stoczyłeś ten pojedynek, aby mnie uwolnić. Honor rycerski nie pozwala zabić dwunastoletniego dziecka – jeśli naprawdę tyle ma ten chłopiec. Ponadto, czy możemy złamać ślubowanie złożone przed ołtarzem, biorąc na swoje sumienie śmierć nie tylko jego, ale i jego matki? Byłby to podwójny grzech, Jamesie. Wbrew moim najgłębszym przekonaniom muszę prosić cię, abyś okazał miłosierdzie i darował życie obojgu.

Jimowi kamień spadł z serca.

–Cóż, zapewne masz rację – rzekł Jim. – Pewnie nic innego nie możemy zrobić?

–Niestety nie.

–A więc trudno – powiedział Jim.

Odwrócił się i pomaszerował z powrotem do damy, która leżała, prawie całkowicie przykrywając ciałem Jasnego Rycerza i patrząc na Jima. Spojrzał na ucho i oko rycerza – jedynie, co mógł dostrzec.

–Daruję ci życie – oznajmił.

Rozdział 15

–A zatem chodźmy wszyscy do zamku – zaproponowała dama, stojąc już na nogach, nagle zapomniawszy o łzach, cała w uśmiechach i ukłonach. Jasny Rycerz także podniósł się z ziemi i stał tuż za nią. Już ich nie oślebiał. – Uczcijmy ten szczęśliwy dzień!

–Może lepiej będzie tutaj, pod drzewami – powiedział TB, wyrastając jak spod ziemi. Czy to wyobraźnia Jima zadziałała, czy też dama lekko pobladła? W każdym razie po chwili zaśmiała się wesoło i klasnęła na służbę. Większość sług znajdowała się zbyt daleko, by ją usłyszeć, lecz wystarczyło, że zobaczyli, jak klasnęła w dłonie, a wszyscy przybiegli do niej.

–Namiot! Stół! Mięsiwa! Wina! – rozkazała. – Zdejmijcie okowy z tego zacnego rycerza – wskazała na Briana – i zwróćcie mu broń!

Skoczyli wykonać polecenia, a gdy pobiegli z powrotem do zamku, dama ponownie zwróciła się do Briana i Jima.

–Panowie – powiedziała – jestem lady Annis z Białego Zamku, który wznosi się za waszymi plecami, i jest do waszej dyspozycji. Czy mogę prosić o wybaczenie, sir Brianie, za wszystkie niewygody, jakich doświadczyłeś, będąc więźniem w moim domu?

–Masz je – odparł Brian, ponurym głosem i bez uśmiechu. – Chociaż zdarzało mi się nocować wygodniej.

–Postaramy się wynagrodzić ci to, panie.

–Chłopcze – rzekł Brian do stojącego za nią Jasnego Rycerza – nie poznałem twojego imienia. Jeśli jesteś choćby w najmniejszym stopniu rozczarowany naszym spotkaniem, z przyjemnością będę do twojej dyspozycji w dowolnym czasie – z kopią lub każdym innym orężem.

–Panie, jestem sir Boy i wraz z milady mam nadzieję, iż pobyt u nas nie był dla ciebie nazbyt dokuczliwy.

–Już o tym zapomniałem.

Słudzy wrócili, prowadząc kowala, który szybko przeciął kajdany na rękach Briana, po czym zwrócili mu broń i ekwipunek, rozbili namiot, ustawili stół, nakryli go obrusem, a potem porozkładali puchary, półmiski, wino i potrawy. Gdyby wszystko to zostało wyczarowane, nie trwałoby o wiele dłużej.

–Wasze zdrowie, panowie – wzniosła toast dama, kiedy wszyscy usiedli, po czym opróżniła puchar wina, jeśli Jim dobrze zauważył, nie rozcieńczonego wodą.

Jim grzecznie jej podziękował. Teraz wszyscy zachowywali się nadzwyczaj uprzejmie. Nawet Brian odprężył się trochę, wypiwszy puchar wina – nieco dłuższymi łykami, niż zwykle robił to w towarzystwie – po tej pierwszej słownej utarczce z lady Annis i sir Boyem. Jednakże nadal był zjeżony i posępny.

Zarówno Brian jak TB zachowywali czujność, bacznie obserwując gospodarzy. TB, najwyraźniej uważając swój udział w przyjęciu za zrozumiały sam przez się, stał na końcu stołu, a jego gadzi łeb znajdował się na poziomie głów siedzących ludzi.

Nagle Jim dostrzegł coś niezwykłego. Chociaż przysięgłby, że namiot rozstawiono z daleka od drzew, na płóciennym dachu widać było teraz cienie gałęzi, najwięcej nad

tym końcem stołu, który zajmował on i Brian, podczas gdy płótno nad głowami sir Boya i lady Annis było jasne od padającego światła.

–Co robicie w Lioness, panowie? – zapytała Annis. – Po waszych zbrojach i orężu poznaję, iż nie jesteście stąd.

–Jesteśmy tu tylko przejazdem – odparł Jim. Próbował wymyślić jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, jaką rolę odegrała w pojmaniu Briana, gdyż Boy najwyraźniej był tylko narzędziem w jej rękach.

Niewątpliwie za uwięzieniem Briana stała Morgan le Fay, lecz musiał być jakiś powód tego, że wykorzystwała w tym celu Annis z Białego Zamku. Ten powód – a może i inne użyteczne informacje – mógłby uzyskać od Annis, gdyby sprytnie ją wypytał. Wątpił jednak, aby mu się to udało. Szybko wchodząc w rolę uczynnej gospodyni i zręcznie kierując rozmową, Annis z góry udaremniła taką próbę. Jako goście, Jim i Brian nie bardzo mogli zadawać jej niewygodne pytania.

Czyżby Morgan chciała wykorzystać Briana jako przynętę, żeby pojmać Jima? Nie, Morgan nie zdołałaby skłonić do współpracy TB i Merlina, od których uzyskał informację o miejscu, gdzie uwięziono przyjaciela.

Oczywiście że nie. Po kolei. Przede wszystkim powinien dowiedzieć się więcej o Annis. Najpierw udało jej się co najmniej zasiać wątpliwość co do tego, że Boy jest jej kochankiem. Potem wyglądała na – poszukała odpowiedniego słowa – rozczarowaną, kiedy Brian i Jim nie przyjęli zaproszenia do zamku.

Tymczasem TB, od momentu kiedy się pojawił, przez cały czas zachowywał czujność, i to on zaproponował, by usiedli na zewnątrz, a nie pod dachem Annis. Jim najchętniej pod pierwszym lepszym pretekstem odszedłby na bok z TB, a potem zapytał tę jedyną przyjazną istotę, jaką tu spotkali, jak wygląda sytuacja.

Niestety, żadna przekonująca wymówka nie przychodziła mu do głowy. A dlaczego Annis zgodziła się, żeby usiedli tutaj, i nie nalegała, by weszli do zamku? Najwidoczniej zaskoczyło ją nieoczekiwane pojawienie się TB. Ponadto, upierając się, wzbudziłaby podejrzenia.

Jeśli to Morgan le Fay stała za tym wszystkim, co przydarzyło się Jimowi i Brianowi, musiała mieć po temu lepszy powód niż gniew. Jako królowa Gor była w Lioness zbyt ważną osobistością, aby zadawać sobie tyle trudu z powodu drobnej urazy, jaką czuła do Jima i KinetetE. Niemal na pewno uważała, iż bez problemu poradziłaby sobie z KinetetE, gdyby tylko zdołała sprowadzić ją tutaj. Jim był przekonany, że bardzo się myliła. On zdecydowanie stawiałby na KinetetE. Jednak Morgan – przyzwyczajona do tego, że wszystko w tej krainie dzieje się zgodnie z jej wolą – będzie musiała się sparzyć, zanim w to uwierzy. A tymczasem w wyniku jej irytujących poczynań Jim i Brian nie mogli robić tego, po co przybyli do Lioness...

Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. Morgan le Fay – niezależna i potężna czarodziejka, nie mająca sobie równych, od kiedy Merlin wypadł z gry – nie została chyba nakłoniona ani zmuszona do współpracy z Ciemnymi Mocami, które chciały opanować tę krainę?

A może?

Pewne incydenty wskazywały na to, że wśród działających tu sił zaczęła się

rysować wyraźna linia podziału. Jim i Brian mieli po swojej stronie TB, a Merlin – zapewne jedyny mag potężniejszy od Morgan – postanowił do niczego się nie mieszać, Drzewa też im pomagały, podobnie jak podczas wyprawy do krainy sękatych, kiedy na polecenie TB wydusiły okrytych czarnymi futrami olbrzymów, nie chcących zostawić Jima i Briana w spokoju.

W jaki sposób, do licha, przejęcie tej krainy przez Ciemne Moce mogło przynieść korzyść Morgan? A skoro o tym mowa, co dałoby to samym Ciemnym Mocom? Mogły zdobyć tę krainę, lecz nie utrzymałyby jej bez pomocy sług wykonujących ich rozkazy. A Jim nie wyobrażał sobie, aby Morgan dobrowolnie słuchała czyichś poleceń.

To nie tak. Nic nie miało sensu. Morgan opowiadająca się po stronie Ciemnych Mocy – to też było bezsensowne. Jim uświadomił sobie, iż być może w jej osobie po raz pierwszy napotkał kogoś, kto jest zły do szpiku kości i czyni zło z żądzy zysku lub władzy. Z trudem mógł zrozumieć ją i jej podobne osoby, takie jak Annis...

Kiedy o tym rozmyślał, Annis wciąż mówiła, prowadząc swobodną rozmowę o nieistotnych sprawach. Nagle Jim nadstawił uszu, gdy usłyszał, jak powiedziała:

–...i bylibyśmy niezmiernie radzi, gdybyście obaj przez kilka dni pozostali naszymi gośćmi.

–Żałuję – odparł Brian, nic czekając na odpowiedź Jima.

–Tak, obawiam się, że pilne sprawy zmuszają nas do odjazdu – równie szybko poparł go Jim.

–Sir Boy chętnie usłyszałby, co tacy zacni rycerze jak wy mogą mu powiedzieć o sztuce posługiwania się bronią, a z pewnością także o waszych licznych przygodach.

–Sir Boy... – zaczął ostro Brian, lecz powstrzymał się, chrząknął i przyłożył do ust puchar z winem.

–Niestety, jak już powiedziałem, musimy jechać – dodał Jim, gdyż czuł, że Brian znów zaczyna kipieć ze złości. Ta sytuacja musiała być dla niego nie do zniesienia. Sir Boy, jeśli istotnie miał dwanaście lat, w oczach Briana w żadnym razie nie mógł być zwany rycerzem – przedstawicielem elitarnej profesji. Nic przysługiwał mu szczytny tytuł, chyba że był na przykład księciem – tylko wówczas mógłby uzyskać to miano w tak młodym wieku. W żadnym innym razie nie mógł być jednocześnie rycerzem i chłopcem.

Pod pozorami spokoju Brian wciąż wrzał gniewem i pierwsze nieopatrzne słowo mogło spowodować wybuch.

–Może – dorzucił pospiesznie Jim – moglibyście nam pomóc.

–Zrobię wszystko co w mojej mocy, szlachetni panowie.

–Byłaś pani jedną z dworek Morgan le Fay, a więc niewątpliwie możesz nam coś o niej powiedzieć. Czy ona wcale nie przejmuje się podjętą ostatnio próbą podboju Liones?

–Mówisz o sprawach, o jakich nic mi nie wiadomo. Dlaczego sądzisz, że służyłam wielkiej królowej?

–Powiedział mi o tym pewien człowiek w drzewie. – Tym razem Jim nie miał cienia wątpliwości, że Annis pobladła. – Czy ona nie obawia się Ciemnych Mocy?

–Ciem... – Annis przez chwilę gapiała się na niego oniemiała, a potem zaśmiała się perliście. – Wybacz mi, panie. Nigdy nie słyszałam o tych Mocach, o których mówisz. Jak je nazwałś? Ciemne...

–Ciemne Moce – rzekł Jim. – A zatem nigdy nic ci o nich nie mówiła?

–Och, milordzie! Byłam tylko jedną z wielu jej sług. Niepodobna, by rozmawiała ze mną o czymkolwiek, jedynie wydawała polecenia.

–No cóż, nawet jeśli ty nic o tym nie wiesz, ona z pewnością tak. Czy jesteś pewna, iż nigdy nie słyszałaś, by mówiła o nich, może z innymi osobami?

Szczególnie, że całemu Liones grozi wielkie niebezpieczeństwo z ich strony.

Annis znów zaśmiała się wesoło.

–Teraz ja zadam ci pytanie, milordzie. Kim miałyby być ta osoba, której rozmowę z panią mogłaby usłyszeć taka prosta służąca jak ja?

W miarę pobytu w Liones, Jim wciąż przypominał sobie nowe szczegóły z czytanych niegdyś arturiańskich legend.

–Och, na przykład jedną z pozostałych trzech królowych czarodziejek – rzekł. – Królową Północnych Wichrów, królową Wschodnich Ziem lub królową Wysp Zewnętrznych. O ile wiem, często u niej bywają, a można by przypuszczać, że wszystkie trzy będą tym równie zainteresowane jak ona. Musiałaś widzieć je wiele razy.

Annis nie odrywała od niego oczu, lecz nagle przesunęła spojrzenie w górę, na płócienny dach. Jim także to uczynił i zobaczył, że biały materiał nad głowami Annis i sir Boya również pociemniał od cieni grubych gałęzi, a i boczne ściany wyglądają podobnie. Co więcej, znajdujące się za rozchylonymi klapami wyjście z namiotu blokował teraz szeroki, pokryty szorstką i czarną korą pień ogromnego drzewa.

–Byłoby dobrze, gdybyś podzieliła się z tym zacnym rycerzem swą wiedzą o Ciemnych Mocach – rzekł niespodziewanie TB – i szczerze odpowiedziała na jego pytania. Ta sprawa dotyczy Starej Magii w Liones i nadchodzi czas walki, której nie da się uniknąć.

Annis spojrzała na niego, a potem nagle i tak szybko, że żaden z nich nie zdążyłby jej powstrzymać, nawet gdyby nie dzieliła ich szerokość stołu, zerwała z łańcucha na szyi wielką perłę i cisnęła nią o blat. Kula rozprysnęła się w kawałki i smuga białego dymu lub pary uleciała w górę.

–Królowo! – zawołała Annis do sufitu namiotu. – Usiłują użyć mnie przeciw tobie! Pomóż mi! Pomóż!

Jej słowa odbiły się głuchym echem, ucichły i zapadła cisza. Annis spuściła głowę i zmierzyła ich pałającymi oczyma.

–To na nic – rzekł TB. – Las już cię otoczył. Liście wchłoną całą magię z rozbitej kuli. Drzewa rozniosą twoje słowa tam i z powrotem po całej Liones, aż zużyją je i wystrzępią tak, że te dźwięki staną się ledwie cieniem i nie będą miały żadnego sensu dla niczyich uszu – nawet dla uszu Morgan le Fay. Czy sądzisz, że ona zechce dla ciebie rzucić wyzwanie Starej Magii?

Sir Boy zerwał się z krzesła, wyciągając miecz. Ruszył na Jima i Briana, którzy też poderwali się i wyjęli swoje.

–Zostawcie ją w spokoju! – krzyknął. Zaraz jednak przystanął, spojrzął po sobie i na Annis. – Nie jestem Jasny! – powiedział.

–Oczywiście – potwierdził TB. – W tym namiocie nie ma słońca, dzięki któremu działa twoja magia.

Boy znów obrócił się do obu rycerzy.

–Wcale nie muszę być Jasny! – warknął, zmiierzając w kierunku Jima, który trzymał miecz w ręku i stał bliżej niż Brian. Ten już wepchnął broń do pochwy. Uprzejmie pozwalał Jimowi pierwszemu zmierzyć się z przeciwnikiem. „Też znalazł sobie czas na uprzejmości!” – pomyślał Jim.

W tym przypadku inne czynniki mogły zrównoważyć brak doświadczenia Boya. Wszyscy zostawili tarcze przed namiotem, przy koniach, tak więc używaliby tylko mieczy, a Boy, choć zapewne równie kiepsko posługiwał się mieczem jak kopią, był nieco wyższy, cięższy i mocniej zbudowany niż Jim. Miał więc przewagę i rwał się do walki. A jego większy ciężar w ciasnej przestrzeni...

–Serdeczne dzięki, Brianie – rzekł Jim, robiąc dobrą minę do złej gry.

–Boy, ty głupcze! – rozległ się ostry głos Annis. – Wracaj tu! Ci ludzie uczyli się posługiwać bronią dłużej, niż ty chodzisz po świecie! („Gdyby tylko знаła prawdę”, pomyślał Jim.) Mogą zabić cię bez trudu. Wracaj, mówię!

Dosłownie tupnęła nogą w rozłożony wokół stołu dywan.

Niechętnie, marszcząc brwi i nadal ściskając w dłoni miecz, Boy wrócił do swego krzesła i usiadł na nim. Nie schował miecza do pochwy, ale położył go obok siebie na stole. Annis też spoczęła i z żalną miną spojrziała na obu nadal stojących rycerzy.

–Co mam robić? Och, co mam robić? Pytaj, o co chcesz, a odpowiem ci.

–Dobrze więc – rzekł Jim. – Na początek możesz opowiedzieć mi o spotkaniach Morgan z trzema pozostałymi królowymi czarodziejek, które wymienilem.

–Nic o nich nie wierni Skąd miałabym...

–Daj spokój – powiedział Jim. – Ludzie mieszkający w zamku wiedzą wszystko o wszystkich. Coś o tym wiem. Sam mieszkam na zamku. („I jeśli jeszcze raz przyłapię kogoś z naszych sług podsłuchującego pod drzwiami słonecznego pokoju...,” – nieoczekiwanie przyplątała mu się dziwna myśl.) Jak mówię, wiem z doświadczenia, że powinnaś być w posiadaniu informacji, o które proszę. Tak więc uczyn to... – Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – W końcu one regularnie spotykały się w czwórkę. – Strzał na oślep, ale właśnie tak postępowali wszyscy szlachetnie urodzeni.

–Możliwe! Nie mam pojęcia. Zajmowałam się tylko tym, co mnie dotyczyło, moimi obowiązkami, usługiwałam królowej...

–Oraz jej gościom, kiedy ich miewała – wtrącił Jim. – Trzy królowe na pewno nie zabierały licznej świty podczas tak częstych wizyt. Tak więc musiała im usługiwać zamkowa służba. Nie mów mi, że ciebie to nie dotyczyło!

Kręciła się na krześle. Była bardzo dobrą aktorką. Jim przypominał sobie, że ta bezradna mina może zniknąć równie szybko, jak jej wcześniejsza pozorna gościnność.

–Oczywiście, niekiedy...

–I od czasu do czasu kazano ci służyć jednej z trzech królowych czarodziejek, a może nawet wszystkim trzem naraz?

–Nie. Tak. Bardzo możliwe. Jednak nic wiedziałam, kim są goście. Otrzymywałam polecenia i wykonywałam je.

–Oczywiście, tak częste spotkania musiały mieć jakiś powód – dociekał Jim. – Co o tym myślała zamkowa służba?

–Ja nie rozmawiałam ze zwykłą służbą!

–Ależ tak. Każdy rozmawia ze służbą. Nawet ja – dodał Jim, korzystając z okazji, by wydać jej się ważną osobą, za jaką pewnie go uważała – rozmawiałem ze sługami. Z kowalami, z kucharzami, a nawet ze zwykłymi żołnierzami i pomocami kuchennymi. Cóż, rozmawiałem nawet z praktykantami.

Szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Jim pomyślał, że być może po raz pierwszy podczas tej rozmowy niczego nie udawała. Arturiańskie legendy nie wspominały o praktykantach – a przynajmniej nie przypominał sobie żadnej wzmianki o nich.

–Praktykantami?

–Właśnie. Praktykanci, te zakąły ludzkiego rodu, gorsi nawet od piratów, z którymi też rozmawiałem, nie wspominając już o królach i... ale nie mówimy o mnie. Powiedz mi, jakie – zdaniem innych ludzi – powody skłaniały tamte trzy królowe do tak częstych odwiedzin?

–No, oczywiście... – Wbiła wzrok w blat stołu. Lekko drżały jej palce. – Moja królowa musiała im przewodzić. Ona jest z nich najpotężniejsza i nie odważyłyby się obrazić jej czy rozgniewać.

Umysł Jima pracował na najwyższych obrotach, jak zwykle, gdy wpadł na jakiś trop.

–A zatem najczęściej wzywała je, kiedy chciała wydać rozkazy?

–Nie wiem! Nic o tym nie wiem!

–Odnoszę wrażenie – rzekł powoli Jim – że nie wywiązujesz się z obietnicy i nie odpowiadasz na moje pytania. Skoro tak...

Położył dłoń na rękojeści miecza.

–Nie, nie, milordzie! – Tym razem w jej głosie słyszał prawdziwy strach. – Będę mówić. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Istotnie, moja królowa rozmawiała z tamtymi o Ciemnych Mocach. Ona uważa, iż Liones będzie lepiej pod ich rządami – chociaż nie zniżyła się do wyjaśniania dlaczego. Tylko ona zna powody. Powiedziała tamtym, że ich jedyną szansą jest przyłączyć się do tych Mocy teraz, dopóki mogą, gdyż Moce będą silniejsze od Starej Magii, która zawsze stanowiła dla nich zagrożenie!

W namiocie zapadła głęboka cisza.

–To nieprawda – powiedział TB. – Nie ma większej mocy od Starej Magii. Mamy na to słowo Merlina.

Annis zaśmiała się niewesoło.

–Merlin siedzi w drzewie – odrzekła kwaśnym tonem. – Zaklęty przez pannę niewiele starszą od dziecka. Każdy mężczyzna ma słabość do kobiety-dziecka.

–Nie wiesz, co mówisz – odparł TB. – Merlin jest mądrzejszy od nas wszystkich i

nie znalazł się w drzewie dlatego, że zdziecinniał i dał się zwieść kobiecie-dziecku.

–Ha! – powiedziała Annis. Odgarnęła długie włosy, które opadły jej na czoło, gdy spuściła głowę. Popatrzyła na wszystkich trzech. – No, panowie? Uzyskaliście to, po co tu przyszliście. Jedźcie więc.

–Tak też zamierzaliśmy zrobić – rzekł Jim.

–Nic was tu nie zatrzymuje – ciągnęła. – Sir Brian jest wolny. Ty uzyskałeś odpowiedzi i nic więcej nie mogę ci rzec, nawet gdybyś wypytywał mnie przez rok. Zostawcie nas w spokoju.

–Lady, sama ściągnęłaś na siebie te kłopoty – rzekł TB. – Jednak wierzę, że podzieliłaś się z nami wszystkim, co wiesz, Sir Jamesie, sir Brianie?

Jim skinął głową. Dziwnie się czuł. Miał wrażenie, że powinien coś powiedzieć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

–Do widzenia – rzekł. Popatrzyła na niego, ale nie odwzajemniła pożegnania.

–Zaprowadź tego chłopca do kogoś, kto nauczy go obchodzić się z kopią i mieczem – rzekł niespodziewanie Brian, gdy odwrócili się, aby odejść – jeśli chcesz go zachować. Magia to ryzykowna rzecz dla tych z nas, którzy nie są magami. Odrobina rycerskich umiejętności może kiedyś uratować mu życie.

Spojrzała na Briana, ale nadal nie odzywała się. Drzewo tarasujące wyjście z namiotu znikło i płócienna kłapa opadła za ich plecami, zasłaniając ją i sir Boya. Dopiero wtedy Jim zauważył, że rzucające cień na dach namiotu konary drzew zniknęły nie wiadomo kiedy.

–Ha! – powiedział Brian, dosiadając Blancharda. – Cóż to za ulga, ponownie być wolnym i uzbrojonym. Musimy znów ci podziękować... eee... sir TB.

–Istotnie, jestem jednym z lordów Lionses – odparł tamten – ale wszyscy nazywają mnie TB. Rad jestem, widząc cię wolnym.

–Jednakowoż – ciągnął Brian – gdybym kiedykolwiek mógł służyć ci pomocą, chętnie to uczynię. Będziesz o tym pamiętał?

–Z pewnością i dziękuję ci, sir Brianie.

–Świetnie. Jamesie, moim zdaniem ten sir Boy wcale nie jest chłopcem – a przynajmniej nie w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Myślę, że on jest głupi.

–Głupi?

Jim natychmiast zrozumiał, o co chodzi przyjacielowi, lecz nie dość szybko, by powstrzymać się od powtórzenia tego słowa. Oczywiście, „głupi” w ustach Briana oznaczało, że Boy nie był tak dojrzały umysłowo, jak powinien być.

–Tak – ciągnął Brian. – A chociaż nie mogę rzec, abym darzył lady Annis ciepłymi uczuciami po nocy spędzonej w jej lochu, sądzę, iż nie brakuje jej odwagi. Tylko miłość do syna... gdyż on istotnie może być jej synem, choć zdaje się na to za młoda. Tylko to, jak przypuszczam, kazało jej powiedzieć ci to, co chciałeś usłyszeć. Odwaga zawsze jest godna podziwu.

–Tak – odparł Jim. – Myślę o sir Boyu to samo co ty. Mnie także przyszło to do głowy. Być może nie jest nadzwyczaj wyrośniętym chłopcem, lecz raczej dwudziestoczteroletnim młodzieńcem o umyśle dwunastolatka. Jak myślisz, TB?

–Nie wiem – odparł tamten. – Powszechnie uważa się, że Jasny Rycerz jest jej

kochankiem. Merlin znałby odpowiedź, ale nie mogę go spytać.

–Tak czy inaczej, to istna kpina z rycerskiego stanu, żeby wkładać komuś takiemu zbroję i dawać mu kopię. Jednak i jemu nie zabrakło odwagi, kiedy chciał stanąć w jej obronie. Byłoby dobrze, gdyby posłuchała mojej rady i postarała się nauczyć go władania mieczem, rezygnując z pomocy czarów.

–Nawet umiejąc obchodzić się z bronią, zapewne zginąłby w pierwszej potyczce, nie będąc w stanie szybko myśleć, Brianie.

–Przynajmniej umarłby z honorem... Nawiasem mówiąc, Jamesie, dokąd jedziemy?

Jim gwałtownie zatrzymał Gorpa, Brian wstrzymał Blancharda, a biegnący przed nimi TB przystanął, odwrócił się i obrzucił ich badawczym spojrzeniem.

–Do licha! – rzekł Jim. – Nie wiem!

Rozdział 16

Juczny koń też musiał się zatrzymać. Hob wystawił głowę spod brezentu na bagażach, wzbudzając lekkie zaskoczenie Jima, Skrzat tak długo siedział tam cicho, że zupełnie zapomniał o jego obecności. TB podbiegł do nich i przysiadł na swoim lamparcim zadzie.

–Czego teraz szukasz w Liones, sir Jamesie? – spytał.

–Przybyliśmy tu z sir Brianem pomóc w miarę naszych możliwości Liones w walce z Ciemnymi Mocami, które najwidoczniej chcą opanować tę krainę.

–Dlaczego nie powiedziałaś od razu? – TB potrząsnął gadzim łbem. – Kiedy byliście tu poprzednio, jechaliście do królestwa sękatych. Tak więc sądziłem, że ponownie zmierzacie gdzieś z jakąś misją, szczególnie kiedy usłyszałem, jak mówisz lady Annis, że „jesteście tu przejazdem”.

Ponownie zakołysał z boku na bok gadzim łbem.

–Wybacz – ciągnął – ale od kiedy uwolniłeś sir Briana, wciąż oddalasz się od wielkiego urwiska, w którym znajduje się wejście do tej podziemnej krainy.

–Jechałem przed siebie. Nie pomyślałem – powiedział Jim. – Błagam o wybaczenie, TB. Uznałem za pewnik, że każdy tutaj będzie świadom, co usiłują zrobić Ciemne Moce. Chyba dlatego zakładałem, że wiesz, po co tu przybyliśmy. Czy naprawdę tak niewiele osób poza Morgan, jej sługami i Merlinem – a także tobą – rozumie grożące niebezpieczeństwo? Sądziłem, że wszyscy to będą wiedzieć.

–I wszyscy wiedzą. Nasz lud, drzewa, zwierzęta, nawet wiatry. A teraz dowiadujemy się, że i wy przybywacie w tej sprawie. Najwyraźniej królowa Morgan wiedziała o tym przez cały czas.

–Dlaczego tak sądzisz?

–Z pewnością potraktowała was tak wrogo, gdyż zdawała sobie sprawę, że przybyłście pomóc Liones.

–Racja! – wykrzyknął Jim. – Zastanawiałem się, dlaczego tak postępuje. Tylko jak to możliwe, że jest po stronie Ciemnych Mocy, kiedy sama należy do Liones?

–To jej tajemnica – odparł TB tak ponurym głosem, jakiego Jim nigdy jeszcze nie słyszał.

Zapadła męcząca cisza.

–No cóż – rzekł Brian. – To się zdarza, do licha! A teraz, kiedy już o tym wiemy, może razem zdołamy jakoś pokrzyżować jej szyki.

–Brian ma rację, rzecz jasna – powiedział Jim do TB. – Co powinniśmy teraz zrobić?

–Może wrócić tam. skąd przybyliście? Liones potrafi rozwiązywać swoje problemy.

–Na świętego Piotra, nie ma mowy! – mruknął Brian. – Nie po to jechaliśmy tak daleko, by wrócić, nie kiwnąwszy nawet palcem. Pokaż nam tylko, gdzie są te Ciemne Moce.

–Nie znajdziecie ich w żadnym konkretnym miejscu – odparł TB. – Są w całym Liones.

–Powinienem ci to wyjaśnić, Brianie – pospiesznie wtrącił Jim. – Wybacz.

–Ha! – Brian posłużył się tym użytecznym dźwiękiem, wygodnym w każdej sytuacji, w jakiej człowiekowi brak słów. – No cóż. TB, jest jeszcze coś, co mógłbyś nam wyjaśnić. Te królowe czarodziejek. Jeśli one sprzymierzyły się z Ciemnymi Mocami, to jakimi dysponują siłami?

–Siłami? – zdziwił się TB.

–Sądzę, że Brian pyta, ilu i jakich zbrojnych mogą wystawić w polu, gdyby doszło do bitwy – wyjaśnił Jim.

–Nie mają żadnych.

–Żadnych?! – zakrzyknął Brian.

–Och, każda z nich ma kilku rycerzy o nie najlepszej reputacji i trochę rekrutujących się z pospólstwa zbrojnych podobnego pokroju, lecz bardziej na pokaz niż z innego powodu. To jest Liones, sir Brianie. Jeśli dojdzie do bitwy, odbędzie się ona na magię, a nie na miecze. Tak dzieje się, od kiedy zabrakło wielkiego króla Artura. Teraz nie mamy równie dobrego przywódcy.

Brian siedział na grzbiecie Blancharda, kręcąc głową.

–Czy to możliwe? – zapytał Jima.

–Sądzę, iż możemy wierzyć słowom TB – odparł ponuro Jim. – Znasz jednak Ciemne Moce równie dobrze jak ja, Brianie. One nie są stworzeniami ani istotami w prawdziwym sensie tego słowa. Muszą korzystać z pomocy innych – na przykład Pustych Ludzi – lub tworzyć potwory, które będą za nie walczyć. Przypomnij sobie te ogry i robaka, z którym zmagales się przy wieży Loathly.

–Nigdy nie słyszałem o wieży Loathly – powiedział niespodziewanie TB – chociaż potwory można znaleźć wszędzie. Ale czy dobrze zrozumiałem? Zmierzyliście się już z Ciemnymi Mocami?

–Oczywiście – odparł krótko Brian, w tej samej chwili gdy Jim przemówił.

–Przykro mi, TB – rzekł Jim. – O tym też powinniśmy porozmawiać wcześniej. Prawdę mówiąc, powinienem powiedzieć ci o tym, gdy tylko się spotkaliśmy. Brian i ja już kilkakrotnie... – w porę przypomniał sobie odpowiednie określenie -... miewaliśmy z nimi drobne starcia. Właśnie dlatego tu przybyliśmy.

–A także z poczucia rycerskiego obowiązku – dodał Brian.

–Zatem jesteście po trzykroć mile tu widziani! – w głosie TB pojawił się nowy ton. – To mi nie przyszło do głowy. Oczywiście, jeżeli już starliście się z Ciemnymi Mocami, a szczególnie jeśli pokonaliście je, możecie nam teraz bardzo pomóc. Czy zechcielibyście opowiedzieć mi o tych drobnych starciach.

–W tej kwestii sir James będzie znacznie bardziej pomocny niż ja – odparł Brian. – Ważniejsze jest to, w jaki sposób Liones zamierza się bronić?

–Niestety – powiedział TB – nie mam pojęcia. Ta sprawa spoczywa w rękach – oczywiście nie dosłownie – Starej Magii. Gdybyśmy mieli przeciwko sobie prawdziwych wojowników, rycerze Okrągłego Stołu walczyliby jak zawsze. Chciałbym jednak zauważyć, iż bardzo by nam pomogło, gdybyście opowiedzieli nam o tych starciach z Ciemnymi Mocami.

–Sądzę, że lord TB ma rację – przytaknął Jim.

–Ha! No cóż – zaczął Brian – można zamknąć to w kilku słowach. Za pierwszym

razem narzeczoną sir Jamesa porwał do wieży Loathly smok o kiepskiej reputacji, namówiony do tego przez Ciemne Moce. Wraz z przyjaciółmi udaliśmy się tam i uwolniliśmy ją. Następnym razem pewien mag wysokiej rangi, zaczarowany przez te same złe moce, wykradł naszego księcia, najstarszego syna Jego Wysokości króla Edwarda. Odbiliśmy go...

Zgodnie z zapowiedzią Briana, relacja mogła być i była naprawdę krótka.

–Teraz rozumiem – rzeki TB, kiedy rycerz skończył. – Nie jesteście zwyczajnymi gośćmi w Lioness i błagam o wybaczenie, że źle was osądziłem. Jednak tamte przypadki, aczkolwiek wy i wasi przyjaciele dzielnie sobie z nimi poradziście, nie były tak poważne jak niebezpieczeństwo grożące obecnie Lioness. Nie sądzę, aby Moce próbowały wydrzeć nam naszą krainę za pomocą robaków, ogrów czy porwania księcia, a ponadto musiałyby pokonać las, ziemię i Starą Magię.

–Nie – pokręcił głową Jim. – My też tak nie uważamy. Miałem nadzieję, że może wiesz, jak się do tego zabiorą.

–Nie wiem. Podobnie jak żadna ze znanych mi osób, może poza Merlinem, a ten od wieków milczy i trzyma się na uboczu. Mówisz, że Ciemne Moce muszą posługiwać się żywymi ludźmi lub innymi istotami?

–Może są w stanie same niszczyć, ale to niematerialne siły. Mogłyby pomóc ludziom lub innym stworzeniom podbić Lioness, lecz nic by im to nie dało, gdyby nie mogły jej utrzymać, czego nigdy nie osiągną bez udziału żywych istot zapewniających im panowanie. Spójrz na historię i największych zdobywców. Rzym w swej największej potędze utrzymał się przez kilkaset lat, zanim upadł.

Przez chwilę Jim zapomniał, że znajduje się w magicznej krainie obcego wszechświata. Znów był w Riveroak, w swojej przeszłości i zarazem przyszłości, całkowicie pochłonięty dyskusją podczas naukowego zebrania.

–Rzym zażądał daniny od Artura, ale ten odmówił – powiedział TB.

–I słusznie! – dodał Brian. – Każdy Anglik wart tego miana zrobiłby to samo. Ci Rzymianie mieli tupet! Daninę! Można by pomyśleć, że nie wiedzieli, gdzie są!

–No, tu jest Lioness – delikatnie podsunął TB.

–Artur był królem Anglii!

–W każdym razie – powiedział Jim, kierując rozmowę na bezpieczne tory – w świetle tego, że jak powiedziałaś, królowe czarodziejek nie mają własnych armii, które mogłyby oddać do dyspozycji Ciemnym Mocom, powstaje pytanie, w jaki sposób zamierzają im pomóc. Ponadto, co Morgan le Fay chce w ten sposób osiągnąć? Chyba najpierw powinniśmy dowiedzieć się, czy wszystkie królowe czarodziejek są na usługach Ciemnych Mocy i co zamierzają przez to zyskać. Spojrzał na TB.

–Którą z tych pomniejszych czarodziejek powinniśmy sprawdzić najpierw? Do której najłatwiej dotrzeć? W miarę możliwości nie wyjawiając jej, dlaczego to robimy?

–Z pewnością do królowej Północnych Wichrów. Nie radziłbym ci jednak nazywać jej „pomniejszą czarodziejką”, przynajmniej jeśli może cię usłyszeć.

–Postaram się – obiecał Jim. – A zatem ruszajmy do niej, gdziekolwiek jest.

–Mogę przenieść was tam w mgnieniu oka – zaproponował TB, Tak też zrobił. I

znowu, pozornie przebywszy zaledwie pięćdziesiąt metrów, wyszli na porośniętą trawą otwartą przestrzeń wokół następnego zamku, tym razem zbudowanego z matowego białego kamienia, o wielu wieżach i grubych murach.

Zamek nie miał okien, a nawet otworów strzelniczych, jakich można by oczekiwać u tego typu budowli. Był posępny i odpychający. Zimny wiatr świszczął w ambrazurach – czyli zagłębieniach między ławami, jak nazywano wystające zęby blanków – wdzierając się mroźnymi podmuchami pod zbroje Jima i Briana.

–Zaprawdę! – rzekł Brian. – Chyba nie jesteśmy tu oczekiwani. Lepiej zakołatajmy do wrót, żeby dać znać o naszym przy byciu.

Okazało się to niepotrzebne. Jim nie musiał też pokazywać swego herbu na tarczy. Zaledwie znaleźli się na otwartej przestrzeni, jedno skrzydło wrot otworzyło się i wyjechała przez nie potężna postać w pełnej zbroi, na równie roslym rumaku. Skierowała się prosto na nich.

Nie miał postury sir Boya. Wprost przeciwnie. Ten rycerz był największym człowiekiem, jakiego Jim dotychczas spotkał w Liones, prawie tak wielkim jak sir Herrac de Mer, northumbryjski rycerz, ojciec sir Gilesa de Mer, przyjaciela Jima i Briana. Jednakże sir Herrac, choć poważny, był uprzejmy – dopóki ktoś go nie rozgniewał – natomiast jadący teraz ku nim człowiek wcale nie wydawał się miły.

Twarz pod okapem hełmu z prostą osłoną nosa była równie posępna i odpychająca jak zamek, z którego przybywał. Nie nosił brody. Brwi i krótko przycięty wąsik nad górną wargą gęsto przetykała siwizna. Jego oczy były tak czarne jak kamienie zamku, na które padał cień. Nieruchome spojrzenie i zaciśnięte wargi nie dodawały uroku jego ogorziałemu obliczu, szerokiemu jak tarcza i z kwadratową szczęką.

–Jamesie! – powiedział cicho i ponaglająco Brian, podjeżdżając na Blanchardzie do Jima. – On musi być" mój!

Jim chętnie by na to przystał. Nadjeżdżający mężczyzna wyglądał jak śmierć jadąca na koniu. Jednak spoglądał na Jima i to właśnie on wpadł na pomysł, żeby tu przybyć. Przedziwne, lecz Jim stwierdził, że zaczął się kierować zasadami obowiązującymi w średniowiecznym świecie, a nie rozsądkiem nabytym w okresie dorastania.

–Nic mogę...

–Jamesie – rzeki Brian, doskonale go rozumiejąc. – Proszę cię o to jako o przysługę. Muszę zatrzeć wspomnienie porażki, jaką poniosłem w walce z Jasnym Chłopcem.

Jim wahał się. Była to dobra wymówka, lecz rzecz w tym, iż obaj wiedzieli, że miała go ocalić. Pokręcił głową.

–Przykro mi, Brianie, ale wiesz...

Tymczasem rycerz był już tuż przy nich. Brian, biorąc sprawy we własne ręce, wyjechał mu na spotkanie.

–Stój! – rzekł, obracając Blancharda bokiem i zagradzając drogę nadjeżdżającemu. – Zanim przemówisz do sir Jamesa, musisz porozmawiać ze mną, panie!

Wielki rycerz zatrzymał rumaka. Nie zmieniając wyrazu twarzy, spojrzął z góry – z bardzo, bardzo wysokiej góry – na Briana.

–Jesteś młody – rzeki. – Jeszcze zrozumiesz, że wystarczy ci walczyć o własne sprawy, a nie za innych. Przejadę, choćby po tobie.

–Panie, wyzywam cię, byś skrzyżował ze mną kopie, gdyż obraziłeś mnie tym stwierdzeniem.

–Niech tak będzie – rzekł rycerz. Zawrócił i pojechał z powrotem w kierunku zamku, aby zwiększyć dzielącą go od Briana odległość, tak by zdążyli rozpędzić rumaki do pełnego galopu, zanim skrzyżują kopie.

–Jak śmiesz! – zawołał donośnie piskliwy głosik.

Wielki rycerz wstrzymał konia, obejrzał się przez ramię i wytrzeszczył oczy. Zawrócił i podjechał do Briana, wskazując palcem małą kanciastą twarz, która wyłoniła się spod plandeki na grzbiecie jucznego konia.

–Co to takiego? – zapytał.

–To? – zawahał się Brian, niepewnie spoglądając na Jima.

–W porządku – pospiesznie rzekł Jim. – To tylko mój skrzat...

–Skrzat! – wielki rycerz zeszywniał. – Tutaj, w Liones?

–A tak! – Hob jeszcze bardziej wysunął się spod brezentu. Jego oczy sypały skry i mocno zaciskał usta. – Popędliwy rycerzu, nie waż się lekceważąco wyrażać o skrzatach!

Nagle wyskoczył spod plandeki, wyprostował się na całą swoją dwudziestocentymetrową wysokość i bezgłośnie tupnął nóżką w szyję jucznego konia, który obrócił łeb i spojrzął na niego z lekkim zdumieniem.

–Nie odpowiedziałeś na moje pytanie! – krzyknął skrzat. Najwyraźniej targał nim gniew. Jim po raz pierwszy widział go w takim stanie. Głos Hoba był wyższy o pół oktawy i rozbrzmiewał dziwną, sztuczną nutą. – Jak śmiesz – ciągnął – grozić sir Jamesowi i bronić mu wstępu do zamku królowej Północnych Wichrów, z wizytą do której przyjechał z tak daleka? Wiedz, iż nie jest on zwyczajnym rycerzem tak jak ty, lecz wielkim magiem, który przybywa, by porozmawiać na osobności z twoją królową. Jak ktoś taki jak ty śmie rzucać mu wyzwanie i pouczać sir Briana, jego paladyna? Racz pokazać mu twą straszliwą magię, milordzie, aby oświecić tego ignorantą!

Słyszając te przedziwne słowa płynące z ust Hoba, Jim oniemiał. Na szczęście już nie raz był w sytuacjach, gdy sprzymierzeniec w najlepszych intencjach nieoczekiwanie domagał się demonstracji jego magicznych umiejętności. Zawsze mógł wówczas wykorzystać fakt, że pojawił się na tym świecie w ciele żyjącego obecnie smoka. Tak więc niezależnie od tego, czego nauczył się od Carolinusa, miał pewien dar, z którego mógł zrobić użytek – i to dowolną ilość razy – nie zdejmując zaklęcia ochronnego. Poza tym nie panował nad tą umiejętnością. Bardzo przypominała wrodzone talenty naturalnych, takich jak świecenie u trolli czy umiejętność podróżowania na smudze dymu nawet do najodleglejszych zakątków świata.

Zeskoczył z konia – i zmienił się w smoka.

Wielki rycerz najwyraźniej nie przywykł okazywać zdenerwowania krzykiem czy nerwowym podskakiwaniem – zastygł z kopia w dłoni na końskim grzbiecie i pozostał w tej pozycji tak długo, że Jim zaczął się niepokoić. Wreszcie gwałtownym ruchem zawrócił wierzchowca i pogalopował z powrotem do zamkowej bramy.

Ta otworzyła się przed nim i natychmiast zamknęła za jego plecami.

Jim ponownie przybrał postać człowieka.

–Hobie! – rzekł surowo, zwracając się do skrzata, jednak ten, nadal stojąc na końskim karku, prężąc chude ramiona i splatając ręce na piersi, przerwał mu.

–A niech mnie licho, milordzie! – rzekł, spoglądając na Jima z wysokości końskiego karku. – Czyż mamy znosić podobne zniewagi ze strony każdego człeka w zbroi, który nie ma nawet tyle wychowania, by podać swoje imię, nim rzuci wyzwanie tobie, o tyleż godniejszego stanu? Nie, powiadam!

Jim wytrzeszczył oczy. Kątem oka dostrzegł, że Brian też oniemiał. Hob nagle zaczął przemawiać ozdobnym i wyszukany językiem, jakim rzadko posługiwali się nawet prawdziwi rycerze górnej krainy. Te słowa i określenia były nie tylko wyszukane, ale egzaltowane i komiczne.

Ta ostatnia myśl przyniosła wyjaśnienie zdumiewającej zmiany zachowania skrzata.

–Hobie – rzekł Jim – czyżbyś słuchał czyichś opowieści?

–Zaiste, milordzie – odparł z ukłonem Hob. Zaraz jednak wyprostował się i poufnie dodał swoim zwykłym głosem: – Bard, który przybył do zamku, dawał mi lekcje konwersacji ze szlachetnie urodzonymi.

–Jaki bard?

–Na pewno pamiętasz, milordzie. Ten, który przybył do Malencontri wtedy, kiedy już zamierzaliśmy sprowadzić lato. Dawał mi lekcje dwa razy w tygodniu, a milady też nauczyła mnie paru rzeczy. Umiem się podpisać... H-O-B, właśnie tak... Żaden inny Hob na świecie nie potrafi tego co ja. Nie tylko wiem, jak polerować miecze...

W tym momencie Jim zrozumiał wszystko. Ostatnie słowa Hoba były przekręconym cytatem z wiersza autora Kubusia Puchatka, A. A. Milne'a, pt. Rycerz, który nie miał skrzypiącej zbroi – a więc wiersza, którego nie mógł znać żaden czternastowieczny bard. Hob musiał nauczyć się go od Angie. Co w nią wstąpiło?

Jednak Hob już to wyjaśniał.

–Milady powiedziała, że mógłbym teraz opowiadać dzieciom bajki, żeby były cicho podczas bankietów. Zamiast robić miny, fikać koziołki, stawać na głowie i zabawiać je tak, jak podczas uczyty po uwolnieniu Carolinusa.

No cóż, to wyjaśniało pobudki, jakimi kierowała się Angie. Jim nie mógł krytykować jej za to przed Hobem. Pozostawał jeszcze drugi winowajca.

–Chcesz powiedzieć, że ten bard, który pojawił się u nas w lecie, do tej pory siedzi w Malencontri? – Groźnie spojrział na Hoba, który wciąż stał na karku jucznego konia. – W jaki sposób zdołał tak długo...

Jim urwał. Nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Gdyby tylko zechciała – a w takim wypadku działała równie skutecznie jak najlepszy związek zawodowy – zamkowa służba mogłaby latami trzymać w zamku słonia i nikt by go nie zauważył ani nie

usłyszał. Po raz pierwszy Jim zaczął się zastanawiać, co i kogo jeszcze ukrywali w swoich kwaterach.

Słyszając dźwięk fanfar, skierował wzrok i myśli z powrotem ku zamkowi. Teraz ogromne wrota w murze nie tylko uchylono, ale otwarto na oścież. Znowu wyjechał z nich wielki rycerz na rosłym koniu, z bronią i w zbroi, ale tym razem nie zbliżał się do przybyłych. Siedział na stojącym obok bramy rumaku, podczas gdy pół tuzina sług w biało-szarej liberii rozwijało czarny dywan od muru po zwodzony most.

–Nagle staliśmy się szacownymi gośćmi, Jamesie – mruknął Brian. Podjechał tak, że Blanchard zrównał się z Gorpem, zwróconym łbem w stronę zamku.

–Tak – rzekł Jim, wsiadł z powrotem na konia i poczuł lekki niepokój. Czego oczekiwała od niego królowa Północnych Wichrów po takim powitaniu? Najpierw jednak musiał dokończyć rozmowę z Hobem.

–Hobie – rzekł, nie odwracając się.

–Tak, panie?

–Najwidoczniej tym razem powiedziałaś właściwe słowa w odpowiednim czasie.

–Padam do nóg z wdzięczności, panie mój.

–Nie, nic podobnego – powiedział Jim. – Ani teraz, ani nigdy. Zapomnij – przynajmniej na razie – o wszystkim, czego nauczył cię ten bard. Mów normalnie. Poza tym od tej pory pozostaw rozmowę mnie.

–Tak, milordzie. – Zapadła chwila ciszy, a potem bardzo nieśmiały głosik spytał; – Jesteś na mnie zły, panie?

–Nie – odparł Jim. – Po prostu miałeś szczęście, ale nie chcemy, żebyś go nadużył.

–Och.

–Właśnie.

–Nie będę się odzywał, dopóki mi nie pozwolisz, panie mój... milordzie.

–Dobrze.

Już rozwinięto dywan i rycerz podjechał do nich, nie wolniej i nie szybciej niż poprzednio, lecz sposób, w jaki siedział na koniu, świadczył o formalnym, a nie represyjnym charakterze jego misji.

–Moja pani, królowa Północnych Wichrów, pragnie was zobaczyć. Panowie, czy zechcecie pójść za mną? Zaprowadzę was przed oblicze władczyni.

Jim skinął głową. Obaj z Brianem nie odezwali się słowem. Widocznie udzieliło im się zachowanie rycerza. Zawrócił w kierunku zamku, a oni ruszyli za nim. Jim zastanawiał się, czy szybkie przyjęcie zaproszenia ułatwi mu, czy utrudni rozmowę z królową Północnych Wichrów.

Za wrotami znajdował się oczywiście dziedziniec, a na nim więcej podatnych na pożary budynków – kuchni, kuźni i tym podobnych – niż stawiano zwykle w czternastowiecznych krainach położonych nad Liones. Jim miał wrażenie, iż dostrzega oznaki zaniedbania, nie tylko w tych budynkach i na dziedzińcu, lecz także u stojących lub kręcących się wokół ludzi, bez wyjątku ubranych w zimowe szaty. Nagle zdał sobie sprawę, że TB zniknął. Spojrzał na prowadzącego ich rycerza – jechał daleko przed nimi.

–Hobie – rzucił Jim kątem ust, ściszym głosem. – Kiedy opuścił nas TB?

Po krótkiej chwili skrzat odpowiedział, również szeptem:

–Wybacz, milordzie, ale nie wiem. Zauważyłem jego nieobecność dopiero teraz, kiedy o niej wspomniałeś.

–Pewnie nie chciał wchodzić z nami do zamku – mruknął do siebie Jim. Przez chwilę zastanawiał się, czy TB obawiał się zamknięcia tak samo jak Aargh. Jednak zaczął się już przyzwyczajać do niespodziewanych zniknięć i powrotów TB. W końcu to stworzenie było jedyne w swoim rodzaju i niewątpliwie miało własne zasady postępowania. Z pewnością niedługo znów się pojawi. Kiedy Jim rozmyślał o tym, wielki rycerz wprowadził ich przez łukowaty kamienny portal do kasztelu, czystego i zadbanego w przeciwieństwie do dziedzińca. Pomimo to wyczuwało się tu dziwny chłód, ponury i odpychający tak samo, jak cały zamek widziany z daleka.

Rozdział 17

W pierwszej chwili Jim pomyślał, że jest tu bardzo zimno. Zdążył się jednakże już przyzwyczać do zimnych wnętrz zamków. We wszystkich było chłodno, chyba że w środku lata stało się bliżej niż trzy metry od płonącego na kominku ognia.

Tutaj jednak panował inny chłód. Odmienny rodzaj zimna, jakby płynący z samego ducha tego miejsca, a nie bijący od ścian.

Idąc pieszo i prowadząc konie, weszli do ogromnej sali, w której nie było stołów – ani nawet kozłów, na których można by położyć deski i nakryć je obrusem – tylko kilka pochodni płonących nienaturalnie jasnym płomieniem i oświetlających wyniosłe łuki ścian, spotykających się wysoko w górze. W ich blasku widać było stojące na końcu sali podium, a na nim tron, wyglądający jak wykuty z jednej bryły lodu.

–Zaczekajcie tu, panowie – rzekł rycerz, który też prowadził rumaka i przywiódł ich aż do podium. Odwrócił się i zniknął wraz z koniem.

–Jamesie... – powiedział cicho i niespokojnie Brian.

–Wszystko w porządku – rzekł Jim, nie próbując ściszać głosu. Własne słowa wróciły do niego zniekształcone i poplątane, odbite od wielu krzywizn wygiętych ścian. – Pewnie ma to na mnie zrobić wrażenie.

Ponownie przemienił się w smoka. Echa nagle ucichły, jakby dolatywały z megafonów, które wyłączono. Jim ponownie zmienił się w rycerza. W kamiennej ścianie za tronem otworzyły się niewidoczne dotychczas drzwi i wyszła z nich wysoka młoda kobieta, nieco podobna do tej, którą przesłuchiwali przy zamku Jasnego Rycerza. Dygnęła.

–Pozwolicie za mną, szlachetni panowie?

Przeprowadziła ich przez ukryte za podium drzwi. Były wystarczająco szerokie i wysokie, by zmieściły się w nich wierzchowce. Zrobili to, wchodząc za nią do pomieszczenia, które – w przeciwieństwie do poprzedniego – było jasno oświetlone. Pomimo to było w nim niewiele jaśniej niż na zewnątrz. Natomiast sama komnata wydała się przybyszom zdumiewająca.

Była nie tyle pomieszczeniem, ile – choć to niewiarygodne – częścią Liones, widzianą jakby zza łańcucha pokrytych śniegiem gór, nieco oddalonych od skalistego brzegu morza. Pod ich stopami rozpościerały się całe kilometry lasów i równin, jakby widziane z wysokości kilkuset metrów. Spoglądali w dół z tej pozornie niewiarygodnej wysokości, która jednak wcale nie wywołała zawrotu głowy. W pierwszej chwili Jim pomyślał, że patrzy przez szklaną podłogę, lecz natychmiast odrzucił to przypuszczenie. W czternastym wieku, nie mówiąc już o arturiańskich czasach, nikt i nigdzie nie był w stanie wyprodukować tafli szkła tej wielkości, grubości i przezroczystości.

Niewiarygodne było również to, że Briana i koni nie zaniepokoiło to, iż nagle stanęły w powietrzu. Brian mógł uznać to za magię, dzięki której wszystko było możliwe. Natomiast trudno było zrozumieć, dlaczego ten widok wcale nie zdenerwował wierzchowców – chyba że, nie czując i nie słysząc niczego, uznały widoczny w dole krajobraz za rzecz bez znaczenia.

–No cóż, Smoczy Rycerzu – powiedział ostry kobiecy głos – znajdujesz mnie

czujną i strzegącą swego królestwa. Co cię do mnie sprowadza?

Jim oderwał oczy od widoku w dole i ujrzał chudą kobietę w podeszłym wieku, siedzącą na lodowym tronie, nieco mniejszym od tego, który widzieli przed chwilą w wielkiej sali. Otaczał ją nieład pomieszczenia służącego jednocześnie za sypialnię i salon. Rozchylone zasłony łoża ukazywały zmiętą pościel, a na miękkich taboretach i niewielkich stolikach leżały niedbale rzucone części garderoby – w różnych odcieniach bieli.

Młoda przewodniczka już zniknęła, a wraz z nią, najwidoczniej, wszelkie pozory tego, że goście mają prawo rozmawiać z gospodynią jak równy z równym.

„Najpierw ich zmiękczy, a potem porządnie dołóż!” – zawsze radził Jimowi nauczyciel wychowania fizycznego, który był też trenerem bokserów.

Stosując się do tej rady, Jim niedbale machnął ręką.

–Nic ważnego, skoro jesteś zajęta – odparł swobodnie. – Zdaje się, że dobrze wypełniasz swoje obowiązki – a nawet bardzo dobrze, zważywszy okoliczności. Sądzę, że nie mam powodów do obaw.

–Moje obowiązki! – wykrzyknęła. – Władam północnymi wichrami i wszystkim, co się z nimi wiąże, wedle własnego uznania! Cóż to za impertynencja, by oceniać lub zajmować się tym, co do mnie należy?

–No, no – rzekł wesoło Jim. – Od kiedy troska o dobro innego adepta Sztuki jest impertynencją? Powinniśmy trzymać się razem, kiedy nadciąga wróg.

–Wróg? – powiedziała wzgardliwie, lecz Jim wyczuł, że odrobinę za długo zwlekała z tą odpowiedzią, jakby oczekiwała, aż rozwinię swoją wypowiedź. – Nie ma żadnego wroga. Nikt nie odważy się rzucić mi wyzwania.

–Naprawdę? A zatem nie słyszałaś?

–Oczywiście, że słyszałam. Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć o moim królestwie. Wszystko jest w porządku.

–No tak – rzekł ze smutkiem Jim. – Widzę, że jednak na nic się nie przydam. – Obrócił się do towarzysza. – Miałaś rację, Brianie.

–Rację? – Brian wytrzeszczył oczy.

–Tak. Powinniśmy najpierw udać się do królowej Wysp Zewnętrznych, gdyż mamy mało czasu. Ale wiedząc, iż znów stajemy przeciwko Ciemnym Mocom, chciałem upewnić się, iż królowa Północnych Wichrów... – Jim urwał w połowie zdania.

–Upewnić się? W jaki sposób? Co ma znaczyć ta uwaga o królowej Wysp Zewnętrznych i o jakichś wrogich Mocach?

–Och, tak się składa, że sir Brian i ja spotkaliśmy się z nimi kilkakrotnie i za każdym razem pokonaliśmy je. Wiedzą o tym wszyscy zajmujący się... – Jim starał się choć raz wymówić to słowo tak, jak przeciętny czternastowieczny człowiek – magią w górnym świecie, gdzie nieustannie trwa walka z Ciemnymi Mocami, usiłującymi zakłócić równowagę pomiędzy historią a przypadkiem. Nasze doświadczenia pozwalają nam doskonale wyczuwać ich obecność. Skoro jednak nic jeszcze o nich nie wiesz i nie wyczuwasz ich, nie ma sensu o tym mówić. Brianie, musimy natychmiast ruszać do królowej Wysp Zewnętrznych. Zaczął się odwracać.

–Nie odwracaj się do mnie plecami, jeśli chcesz zachować życie! Przybyliście tu

nieproszeni i odejdziecie, kiedy wam na to pozwolę! – Nagle królowa Północnych Wichrów przemówiła zupełnie innym tonem. – Chcę powiedzieć, że cieszy mnie wasza wizyta, panowie. Zawsze chętnie rozmawiam z innymi adeptami Sztuki, szczególnie tak dobrze znającymi się na... Jak je nazwałś? Ciemne Moce? I walczyliście z nimi?

Jim spojrział na nią.

–Drobne utarczki – wtrącił odruchowo Brian, ale natychmiast zamknął usta i pytająco spojrział na Jima.

–Dobrze to ująłeś, Brianie – rzekł Jim. – To były drobne utarczki w porównaniu z podbojem Liones, jaki teraz planują Ciemne Moce.

–Podbój Liones! Co za nonsens! Wiedziałabym o tym, gdyby ktoś miał taki zamiar.

Jim postanowił pójść za przykładem Carolinusa i KinetetE, którzy zawsze traktowali z wyższością nie-magów, niezależnie od ich pozycji.

–Oczywiście. Daj spokój – rzekł – przestańmy udawać. Przypadkiem wiadomo mi, iż od pewnego czasu jesteś świetnie o tym poinformowana. To niemożliwe, by ktoś taki jak ty nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

–Przecież powiedziałam!

–No właśnie. A więc wiesz i znasz ich prawdziwą nazwę. To Ciemne Moce. Założę się, iż uwierzyłaś w to, co ci oświadczone: że podbijając Liones, zostawię w spokoju ciebie i twoje królestwo.

Królowa Północnych Wichrów prychnęła. Nie pociągnęła nosem, ale prychnęła.

–Ha! Mój Smoczy Rycerzu, chyba nie sądzisz, że możesz opowiadać mi takie bzdury! Nie uwierzę twoim słowom!

–Skąd pewność, że to bzdury?

–Ponieważ – odparła – znam prawdę od kogoś, o kim nic nie wiesz.

–Być może i w tym względzie się mylisz – odrzekł Jim – ale to nieistotne.

Niewątpliwie całkowicie ufasz tej osobie, na tyle, by złożyć życie w jej ręce. Jeśli tak jest naprawdę, grozi ci niebezpieczeństwo. Zmiany powodowane przez Ciemne Moce zawsze zwracają siostrę przeciw siostrze, brata przeciwko bratu, przyjaciela przeciw przyjacielowi. Widzę jednak, iż jesteś przeświadczona, że zdołasz obronić twoje królestwo bez naszej pomocy. W takim razie musimy już ruszać. Wiesz, że nie zdołasz nas tu zatrzymać, jeśli postanowimy odejść.

–Ha! – powiedziała królowa Północnych Wichrów. – Po namyśle uznaję was za męczących. Możecie odejść.

Jim uśmiechnął się do niej.

–No cóż, skoro rozumiesz, jak stoją sprawy, i tak dobrze panujesz nad sytuacją – rzekł – to nie powinniśmy tracić tu czasu. Życzę miłego dnia i powodzenia, królowo.

Był dumny z tego, w jaki sposób wykorzystał rady trenera i zadał druzgoczący cios. Uznał, że w ostatnich słowach skierowanych do królowej zawarł odpowiednią dozę współczucia.

Ponownie uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem. Jego zadowolenie zaczęło znikać jak ostatnie krople wody na rozgrzanej patelni.

–Chodź, Brianie – powiedział i zaczął się odwracać.

–Stój! Rozkazuję ci! Ponieważ już tu jesteś – rzekła królowa Północnych Wichrów

– nie ma powodu, abyśmy nie omówili tego, co podobno wiesz o tych tak zwanych Ciemnych Mocach. Widziałeś je?

Jim spojrzał na nią.

–Jakże mógłbym, jeśli one nie posiadają formy ani kształtu? Jednak przy wieży Loathly, gdzie po raz pierwszy je spotkaliśmy, Brian i ja ujrzelśmy ich twory – robaki i ogry, nie wspominając o harpiach...

–Harpiach?

–No, no. Na pewno wiesz, o czym mówię. Latające stwory o kobiecych twarzach, których jadowite ukąszenia niosą śmierć – choć to prawda, iż jeden z nas, największy łucznik wszystkich światów, nie umarł po takim ukąszeniu, kiedy odkrył, że jest kochany, i z pomocą ukochanej pozbył się trucizny...

–W Liones nie ma takich stworzeń.

–Wkrótce będą.

–Nonsens!

–Może pojawią się też ogry i robaki.

–Niemożliwe.

–Jednak najgorsze jest to – powiedział powoli i z naciskiem Jim – że osobą, która zawrze przymierze z Ciemnymi Mocami, okaże się ta, której przez cały czas ufałaś. To ona cię zdradzi i wyda na ich łaskę – lub zniszczy!

Zamilkł. Siedziała na tronie, nie odzywając się słowem.

–No cóż, już się pożegnałem.

Jim odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi wiodących do wielkiej sali.

–Czy nie mówiłam „stój”? – zawołała za nim. – Podejdź tu i pomóż mi.

Obejrzał się przez ramię. Nie zmieniła wyrazu twarzy. Nagle Jim przypomniał sobie reakcję Morgan le Fay, kiedy chciała zdjąć z niego ochronne zaklęcie – jakby dotknęła palcami wrzącego kwasu. Królowa Północnych Wichrów może jeszcze nie wyczuła tego zaklęcia. Jeśli tak, to lepiej, by nie dowiedziała się o nim, dopóki Jim mógł uzyskać od niej jeszcze jakieś informacje. Lepiej, by nie wiedziała więcej, niż powinna.

–Sądzę, że powinnaś wezwać kogoś ze sług, królowo – rzekł, czując się nieco pewniej, ponieważ najwyraźniej nie chciała, żeby odeszli. – Zdaje się, że masz ich wielu. Wybacz sir Brianowi i mnie.

–Nie pomożecie mi? – Teraz spoglądała prosto na Briana. – Czy sądzicie, że gdybym mogła poprosić kogoś innego, zwróciłabym się do was? Krawędź tego fotela zawsze wpija mi się w nogi i zanim się zorientuję, zupełnie mi drętwieją. Czy nikt mi nie pomoże – nikt?

Brian jednak wziął przykład z Jima.

–Żałuję – rzekł.

–Nikt! Nikt mi nie pomoże! – zawołała z takim szczerym smutkiem i rozpaczą, że Jim z trudem powstrzymał chęć ruszenia jej z pomocą.

–Och tak! – zawołał cienki głosik. – Ja to zrobię!

Jim usłyszał ciche stuknięcie zeskakującego z jego pleców skrzata i Hob pobiegł do królowej.

–Ty? – powiedziała, patrząc na niego z góry. – Kimkolwiek jesteś, nie ma cię więcej niż szczyptę. Chyba że i ty masz jakieś magiczne umiejętności?

–Tylko taką, że umiem latać na smudze dymu, Wasza Królewskość – odparł Hob. Dotarł do tronu i stanął przy niej. Obrócił się twarzą do Jima i Briana. – Jestem jednak bardzo silny. Połóż dłoń na moim ramieniu i oprzyj się na mnie całym ciężarem. No już. Pchnij ręką i podnieś się. To będzie łatwe.

–Hobie! – rzekł Jim. – Wracaj tu. To rozkaz!

–Nie mogę, milordzie – rzekł Hob, spoglądając na niego z udręką w oczach. – Ona mnie potrzebuje!

Znów obejrzał się na królową.

–Zrób to! Uda się. Zobaczysz.

–Bardzo dobrze – powiedziała królowa. Wyciągnęła rękę i chwyciła Hoba za ramię. Mocno opierając się na nim, wstała z fotela.

–Widzisz,... – zaczął Hob i nagle umilkł. Gdy królowa puściła go, ruszył w kierunku Jima, lecz szedł chwiejnie, jak pijany. Kolana coraz bardziej uginały się pod nim przy każdym kroku. Jim wybiegł mu naprzeciw, ale zanim zdążył go złapać, Hob upadł. Spoglądając na niego, Jim zobaczył, że całe jego drobne ciało jest białe i skurczone.

Porwał w ramiona lekkiego jak piórko skrzata. Hob miał zamknięte oczy i wydawał się nieprzytomny, ale drżał konwulsyjnie. Jim przycisnął go do piersi, odwracając się do Briana i koni.

–Brianie! – rzekł pospiesznie. – Przyniesz z juków ubrania, koce, wszystko, czym można się okryć! Owiniesz nimi Hoba i mnie!

–O co chodzi? – spytała królowa, stojąc przy wysokim tronie. – Niewątpliwie to stworzenie było przydatne do twojej magii, ale bez trudu mogę je zastąpić. Dam ci inne, równie dobre. Ono było za małe, to wszystko. Jednemu z was nic by się nie stało – no, może przez chwilę byłoby mu zimno. Mnie jest zimno przez całe życie. Każdy, kto mnie dotknie, musi oddać mi trochę ciepła.

Jim zignorował ją. Tupnęła nogą.

–Mówię ci, że nic już z niego nie będzie! Wyrzuć go! Obrażasz mnie takim zachowaniem! Czy nie powiedziałam ci wyraźnie, że dam ci inne stworzenie?

–Moja królowo – rzekł twardo Brian. nie przestając wyjmować ubrań spod plandeki jucznego konia. Przeszył ją spojrzeniem. – Niechaj Bóg potraktuje cię uprzejmie, bo ja nie mogę!

–Owiń nas obu – powiedział Jim, nadal nie zwracając uwagi na królową.

Podjął decyzję. Będzie musiał zrezygnować z ochronnego zaklęcia, a chociaż zasłoni ich warstwa ubrań i koców, Morgan le Fay może natychmiast to zauważyć. Jednak w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Jeśli ciepło jego ciała i jakikolwiek rodzaj dostępnej mu magii poskutkuje, Hob będzie żył.

Wokół Jima robiło się ciemno, gdy Brian nakrywał go kolejnymi warstwami ubrań i koców, Jim nie zważał na to. Całą uwagę skupił na lodowato zimnym ciałku, które

trzymał w ramionach, drżącym tak słabo, że ledwie wyczuwalnie, W końcu wokół nich nie było już wcale światła – tylko ciemność.

Tak lepiej, pomyślał. Może jednak Morgan le Fay nie zdoła niczego dostrzec. Zdjął zaklęcie ochronne i przycisnął Hoba do piersi, natychmiast ponownie otaczając jego i siebie osłoną, tak że Morgan nie zdążyłaby nawet wykorzystać chwilowej przewagi.

Na pozór nic się nie zmieniło, lecz teraz mógł użyć magii do uzdrowienia Hoba. Skupił całą siłę woli i przekazał ciepło swego ciała temu, które trzymał w ramionach. Był to po prostu rodzaj pierwszej pomocy udzielanej ofierze wychłodzenia organizmu; działało się tak na przykład wtedy, gdy pod kimś załamał się lód. Wyciągniętego z lodowatej wody człowieka należało rozebrać, a potem samemu zdjąć ubranie i zamknąć się z nim w śpiworze, rozgrzewając ciepłem swego ciała. Wprawdzie nie miał czasu zdjąć ubrania, które mogło działać jak bariera izolacyjna między nim a skrzatem, lecz magia upora się z tym. Skoncentrował się na przekazywaniu ciepła Hobowi. Czuł, jak przepływa, lecz Hob nie reagował. Mijały minuty. Jim podniósł temperaturę swego ciała, przeklinając się w duchu, że nie pomyślał o tym wcześniej. Stopniowo lekkie drżenie ciała skrzata zaczęło przechodzić w dygotanie. Powoli, lecz zdecydowanie, rozgorączkowany Jim wyczuł rosnącą ciepłotę ciała małego towarzysza. Oczyszczył umysł z wszystkich myśli, skupiając się na przekazywaniu ciepła, i po długiej jak wieczność chwili usłyszał cienki głosik:

–Milordzie?

–Hobie! Ciepłej ci? Jak się czujesz?

–Senny... – odparł po dłuższej zwłóce skrzat. – Dlaczego... Co my tu robimy, milordzie? Co się stało?

–Później ci powiem. Jak się teraz czujesz?

–Czuje się dobrze... chyba. Wcale nie jestem już taki senny.

Tylko dziwnie... Skrzaty nigdy nie śpią. Jesteś cały rozpalony. milordzie.

Jim obniżył ciepłotę swego ciała.

–Zaraz mi przejdzie – rzekł.

–Nie jest ci już zimno?

–Och nie. Czuję się całkiem dobrze. Czy nie pora, żebym już wstał, milordzie?

–Tak. Chyba tak.

Zdjęcie zaklęcia z Hoba nie było tak niebezpieczne jak otoczenie go nim.

Upřednio Jim musiał otworzyć osłonę i trzymać ją otwartą dostatecznie długo, by objęła skrzata, zanim znów się zamknęła. Tymczasem teraz, kiedy Hob był już w środku, Jim mógł powoli wypchnąć go na zewnątrz, ani na moment nie tworząc luki w osłonie. Skrzat przeszedł przez nią jak kropla wody przez luźno utkany materiał.

–Brianie! – zawołał Jim przez koc, który zakrywał mu usta. – Odwiń nas, dobrze?

Przez chwilę nic się nie działo. Potem Jim poczuł, że ktoś zdejmuje z niego koce. Najpierw zrobiło się jaśniej, a potem pozostałe ubrania opadły na ziemię. Brian podniósł je i rzucił na kupkę leżącą na brezentowej plandecie jucznego konia, który z zaciekawieniem patrzył na Jima.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał Jim.

Nie znajdowali się już w pałacu królowej Północnych Wichrów. Ani przed nim. Otaczały ich wielkie pnie starych drzew, a białe słońce Liones prześwitywało przez ich konary i czarne liście. Wszędzie drzewa. Żadnych zamków. Żadnych królowych czarodziejek.

Rozdział 18

–Jak się tu znaleźliśmy? – zapytał Jim stojącego obok i wyraźnie oszołomionego Briana. Rycerz bez słowa pokręcił głową. Hob, którego Jim wypuścił z ramion, podbiegł do jucznego konia.

–Nic ci się nie stało? – zapytał niespokojnie. – Cały bagaż wypadł ci spod przykrycia i leży na ziemi albo na brezencie.

Klacz spojrzała na niego z niesmakiem. Człowiek czy skrzat, jej zdaniem były z nimi same kłopoty. Dotyczyło to wszystkich istot nie będących końmi, a kiedy dobrze się zastanowić, właściwie konie nie były dużo lepsze. Och, te dwa ogiery być może miały pewne zalety, gdyby była zainteresowana. Ale nie była.

–Myślę, że przeniosła was Stara Magia – powiedział głos Tropiącej Bestii i spojrzawszy w lewo, Jim ujrzał stojącego obok TB. – Królowa o mało nie uwięziła was dla własnej przyjemności. Bardzo ryzykowałeś, traktując ją w ten sposób. Spójrz na drzewa, sir Jamesie.

Jim posłuchał go i zobaczył, że wszystkie wyciągają dolne gałęzie w dół, ku niemu. Rozejrzał się wokół.

–Och, milordzie! – powiedział Hob, spoglądając na drzewa. – Wszystkie cię pozdrawiają.

–Dlaczego? – zapytał Jim TB.

–Nie wiadomo – odparł. – Uczyniłeś coś szlachetnego albo w jakiś sposób dowiodłeś tego, że jesteś szlachetny.

–Nic nie zrobiłem! – mruknął Jim.

–Las nigdy się nie myli – rzekł TB lekko urażonym tonem. – We wszystkich drzewach jest magia. W Liones istnieją trzy jej rodzaje. Jednym jest Stara Magia. Drzewa są drugim, a zwierzęta trzecim.

Jim spojrzał ze zdziwieniem.

–Przecież ludzie ścinają drzewa i rąbią je na opał – rzekł. – A także hodują, łowią, zabijają i zjadają zwierzęta, na przykład sarny.

–Ludzie zabijają również siebie nawzajem. Rycerze walczą ze sobą. Stare drzewa rzucają cień, pozbawiając słońca młode, które giną. Zwierzęta pożerają się nawzajem. A jednak, w pewien sposób, stanowią jedność. Czymże są dzielące je różnice, jak nie odmiennym sposobem odbierania magii?

–Cóż... – rzekł Jim i stwierdził, że brakuje mu słów.

–Oczywiście – ciągnął TB – jest jeszcze jeden rodzaj magii, którą posiada Merlin. Tylko że on już jej nie używa i nie zrobiłby tego, jak sądzę, nawet by ocalić Liones. Jednak drzewa wszystkie razem dysponują nie mniejszą mocą. Kiedy nasz wielki Artur był chłopcem i sam nawet nie wiedział o swym królewskim pochodzeniu, drzewa wyciągały do niego gałęzie, gdy przechodził, a jeśli stanął przy ogniu, dym kłaniał się mu, zanim poleciał w górę.

–Widzisz, milordzie? – zapytał Hob. – Dym nigdy się nie myli. Nigdy!

–Jamesie – powiedział powoli i poważnie Brian. – Tak bardzo przywykłeś ukrywać swoją szlachetność, że nawet nie zdajesz sobie z niej sprawy. Zawsze to w tobie podziwiałem.

Nic ma sensu tłumaczyć im, jak bardzo się mylą, pomyślał ze zniechęceniem Jim. I tak nigdy ich nie przekona.

–No cóż, wracając do naszej rozmowy – odezwał się, zmieniając temat – jestem bardzo wdzięczny drzewom, jeśli to one uwolniły nas z zamku królowej Północnych Wichrów. Jak mogę im podziękować?

–Już im podziękowałeś, ponieważ pomyślałeś o tym – powiedział TB. – Ja także się cieszę, że udało się wam uciec z siedziby jednej z królowych czarodziejek, które są nieobliczalne i bardzo groźne – nawet dla siebie nawzajem. To dziwne, lecz Stara Magia nigdy nie ograniczała ich władzy.

–Drzewa i Stara Magia... Jak one podzieliły się władzą? Chciałem spytać, które z nich ją ma?

–W drzewach i wszystkim, co rośnie, w płynących wodach, w ziemi i skale zawsze jest moc, sir Jamesie. Stara Magia jest niezależna od innych i wszystkich, które są jej częścią, lecz na swój sposób dopasowuje się i działa z nimi.

–Mimo to uważasz – rzekł Jim – iż to nie Stara Magia, lecz drzewa wyostały nas z zamku?

–Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał TB.

–Owszem, ma – odparł Jim. – Brian i ja przybyliśmy tu, zamierzając dołączyć do tych, którzy zechcą walczyć z Ciemnymi Mocami. Tymczasem nie możemy znaleźć chętnych.

–A zatem nie myślcie o Starej Magii jak o sprzymierzeńcu. Po prostu zaakceptujcie jej obecność – poradził TB.

–Nie jesteś zbyt pomocny – rzekł Jim.

–Lepiej wiedzieć, że nikt nie pomoże, niż liczyć na pomoc, która nie nadejdzie. Może jednak będę mógł coś zrobić, jeśli porozmawiamy dłużej. Co zamierzałeś uzyskać u królowej Północnych Wichrów?

–Powiedziałaś wcześniej, że żadna z królowych nie ma zbrojnych. Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób sprawują władzę.

–Liones istnieje, ponieważ Artur i jego rycerze żyli tutaj i nadal żyją w pamięci. Z tym zgadza się Stara Magia, a także drzewa i stworzenia. Każde po swojemu. Jeśli przyjdzie walczyć, rycerze będą bronić swej ziemi, która należy zarazem do zwierząt i drzew.

–Chyba powinny współpracować – mruknął Jim.

–Czy nigdy nic zdarzyło ci się, że ostami przyjaciel zginął u twego boku i zostałeś sam?

–Nie sądzę. Nie – odparł ostrożnie Jim.

–A mnie tak – powiedział niespodziewanie Brian.

–Kiedyś ci się to przydarzy, jak każdemu z nas, sir Jamesie – zapowiedział TB – wtedy się zdziwisz. Poczujesz się nagi i bezbronny, ale ogarnie cię także ogromna ulga, jakiej jeszcze nigdy nie zaznałeś, gdyż los wszystkiego będzie spoczywał tylko w twoich rękach. Tylko od ciebie będzie zależała decyzja i nikt ci tego nic odbierze.

–Na wszystko co dobre! – mruknął Brian. – To prawda! Jim spojrzał na niego. Brianowi zabłyśły oczy.

–Nigdy mi nie mówiłeś – powiedział Jim.

Brian otworzył usta, zawahał się i znów je zamknął.

–Pewnego dnia – rzekł w końcu. – Nie teraz. Może dopiero za kilka lat albo kiedy sam już to przeżyjesz. Dopiero wtedy po rozmawiamy o tym, gdyż dopóki nie przeżyliśmy tego obaj, skąd wiedzielibyśmy, że mówimy o tym samym?

Zapadła cisza. Brian znów ją przerwał.

–No tak – powiedział. – Mogliśmy oszczędzić sobie wizyty u królowej Północnych Wichrów, pytając o to lorda TB. Nie wiedzieliśmy jednak, że tak się sprawy mają. Istotnie, nie mogę polemizować z jego słowami, iż rycerze króla Artura powinni sami obronić tę ziemię. Jednakże nie wydaje się słuszne ani sprawiedliwe, aby mieli pozostać samotni, otoczeni przez magię, która nie potrafi walczyć u ich boku.

–Tak jednak zapewne będzie – stwierdził Jim. – Chciałem zobaczyć królową Północnych Wichrów, aby dowiedzieć się, jakie są pozostałe królowe czarodziejek.

–Muszę przyznać, że ja też – a ona okazała się piekielnie dziwna! Chociaż ominął nas interesujący pojedynek na kopie z tym jej mistrzem.

–Cała szczęście – zauważył Jim. – Przyznaję, że najbardziej zależało mi na rozmowie. I chciałem, by królowa pragnęła jej tak samo jak ja.

–Jamesie, powinieneś był mi powiedzieć.

–Wiem, Brianie, ale nie było okazji.

I na całe szczęście, pomyślał Jim. Brian był ostatnią osobą, która potrafiła coś udawać. Wrodzona prostoduszność zdradzał u go za każdym razem.

–Jednak niczego się od niej nie dowiedzieliśmy.

–Niezupełnie – zaprzeczył Jim. – Dowiedziałem się czegoś o niej samej. Wpuściła nas, mając nadzieję sprawdzić, na ile orientujemy się w sprawach Ciemnych Mocy. Chciała nie tylko zweryfikować to, co powiedziała jej Morgan le Fay, ale liczyła, że dowie się czegoś, co zapewni jej przewagę nad nią i pozostałymi królowymi.

–Dlaczego tak sądzisz, sir Jamesie? – zapytał TB.

–Ponieważ wcale nie chciała, żebyśmy odeszli, nawet kiedy kazała nam iść. Tylko dlatego mogłem zmusić ją, żeby kazała nam zostać. Potem właściwie przyznała, że interesuje ją wszystko, co mogę jej powiedzieć o Ciemnych Mocach. Kiedy nie chciałem wiele ujawnić, zamierzała mnie do tego zmusić. Miała nadzieję, że jeden z nas pomoże jej i zostanie osłabiony na skutek utraty ciepła tak, żeby miała pretekst, by zatrzymać nas w zamku i dowiedzieć się więcej. Źle oceniła nasz stosunek do Hoba.

–Istotnie, to żądanie pomocy od was w jej własnym zamku było dość niezwykle. – przyznał TB. – Może sądziła, że władasz magią, którą podziałałaby na Ciemne Moce?

Jim uświadomił sobie, że marszczy brwi, i natychmiast przestał to robić.

–Och, nie sądzę – rzekł, starając się mówić z przekonaniem. – Nie podejrzewam, by Ciemne Moce dysponowały jakąkolwiek magią w naszym rozumieniu tego słowa. Myślę też, że są odporne na znaną nam magię. Nasi magowie z górnego świata zawsze walczyli z nimi pośrednio, pokonując ich stwory. Gdyby magia działała na Ciemne Moce, z pewnością Zgromadzenie Magów już dawno by się nią posłużyło. Nie, nasze czary nie mogą ich dotknąć, lecz i ich nie działają na nas bezpośrednio.

Muszą posługiwać się potworami lub ludźmi, aby dokonać czegoś, co wymaga siły fizycznej.

–Chcesz mi powiedzieć, że będą potrzebowały zbrojnych, by podbić naszą Liones? – spytał TB.

–Właśnie. Będą potrzebowały oddziałów złożonych z ludzi. Zapewne Morgan zbierze takich, jakich spotkałem w Dedalowym Lesie, a królowa Północnych Wichrów weźmie tego rycerza, który chciał ze mną walczyć, i kilku innych, lecz oni nie mogą się równać z rycerzami Artura i ich potomkami. Nic mam pojęcia, jak Moce zamierzają tego dokonać.

–Sir Dinedan – a właściwie obecny sir Dinedan – którego poznaliśmy podczas poprzedniego pobytu w Liones, wydawał się godnym rycerzem... Chociaż miał skłonności do ataków słabości i spadania z siodła.

–A dlaczego potrzebni im są ludzie? – spytał z powątpiewaniem TB.

–A któż inny mógłby to być? – rzucił niecierpliwie Brian. – Tylko my potrafimy utrzymać to, co zdobędziemy. Ogry tego nie umieją. Robaki też nie. Ani harpie. Utrzymywanie wymaga długotrwałego wysiłku i zręczności. Le fort main, jak powiadali nasi normańscy przodkowie, kiedy przybyli do Anglii. Aby utrzymać zdobycz mimo buntów podbitych i podejmowanych przez innych prób odebrania jej, potrzebna jest „silna ręka”.

–Chylę czoło przed twoją mądrością – rzekł niechętnie TB. – Jeśli tak, to my mamy rycerzy i ich rodziny. A Ciemne Moce najwidoczniej nie mają żadnych. W takim razie skąd to zainteresowanie królowej czarodziejek? Dlaczego przejmujesz się atakiem Ciemnych Mocy na Liones?

–Może królowa sądzi, że my wiemy, gdzie zbiera się armia – odparł Jim. – Natomiast co do naszej troski, to Moce nigdy nie pokazywały się i nie próbowały wyrzucić na nic wpływu, jeśli nie miały jakiegoś sposobu na zrealizowanie swych zamiarów.

–Wojska – powtórzył TB. – Mówisz o oddziałach zbrojnych?

–Tak.

Nagle Jim poczuł podświadomy niepokój. Jeśli to, co teraz powiedział, było prawdą, to dlaczego Ciemne Moce pojawiły się w Malencontri? Aby zniechęcić jego i jego przyjaciół do udzielenia pomocy Dafyddowi i podróży do Liones? Jeśli tak, nie udało im się. Ponieważ Jim, Brian i Dafydd już raz je zwyciężyli? Trudno powiedzieć. Ciemne Moce nie myślały tak jak ludzie – jeśli w ogóle myślały.

„Zastanowię się nad tym później”, powiedział sobie stanowczo. TB znów zaczął mówić.

–Natomiast Liones może wystawić nie tylko potomków rycerzy króla Artura, którzy też są rycerzami, czy sławnych synów króla Pellinora, lecz także wiele stworzeń mieszkających w naszej krainie. To prawda, że naprzeciw nich stanęłyby niektóre z najgroźniejszych istot mieszkających na pograniczu Liones i zatopionej krainy – na przykład te olbrzymy w czarnych futrach, uzbrojone w pałki, które napadłyby was podczas poprzedniej wizyty, gdybym nie pojawił się w porę. Trudno mi tylko uwierzyć, że magia... a szczególnie Stara Magia... Zamilkł.

–Muszę skorzystać z waszej rady – dodał po sekundzie – gdyż wy walczyliście już i zwyciężaliście Ciemne Moce. Przyznaję jednak, iż nigdy nie przyszło mi do głowy, że zbrojne oddziały mogłyby stanąć przeciwko naszym rycerzom i podbić Liones jak każde zwyczajne królestwo. W jaki sposób te wojska znalazłyby się tutaj bez naszej wiedzy?

–Dobre pytanie – powiedział Jim. – Zastanawiałem się nad tym i widzę co najmniej jedną możliwość. Pamiętajcie, że kiedy król sękatych pojmał mojego młodego podopiecznego, działał ręką w rękę z Agathą Falon, krewną chłopca. Gdyby ktoś zabił mojego podopiecznego, ona odziedziczyłaby rodowe dobra.

–A co to ma z tym wspólnego? – zmarszczył brwi Brian.

–Posłańcy sękatego króla podróżowali tam i z powrotem między windsorskim dworem, gdzie bawiła Agatha, a krainą sękatych. Widziałem jednego z nich w podziemiach pałacu. Przybył tam, wykopałszy tunel z ich królestwa. Oni są świetnymi kopaczami.

–To prawda – przytaknął TB. – Tyle o nich wiemy.

–W porządku – ciągnął Jim. – A więc tamten przekopał tunel ze swego kraju do pałacu. Tymczasem każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o magii, wie, że ani do zatopionej krainy, ani do krainy sękatych czy do Liones nie można dokopać się z górnej krainy. Gdzieś po drodze, zapewne niedaleko punktu wyjścia, trzeba użyć magii, żeby zakończyć podróż w miejscu, do którego inaczej nie można dotrzeć.

–Czy rzeczywiście istnieje taka magia? – spytał TB. – Przez kilkaset lat nie słyszałem, by wspominał o niej Merlin czy ktokolwiek inny.

–Istnieje – odrzekł Jim. – Jest coś zwanego Bramą Czarownic. Pamiętaj, Brianie, że wspominałem ci o tym, kiedy opuszczaliśmy się przez morze do zatopionej krainy?

–Tak, Jamesie. Zdaje się, że powiedziałeś, iż nie ma się czym przejmować, gdyż to dotyczy tylko czarownic.

–Racja. Wymyśliły ją czarownice, żeby móc dostawać się do domów innych ludzi. To proste zaklęcie, które odwraca rzeczy na zewnątrz, w wyniku czego znajdująca się przed ścianą budynku czarownica nagle znajduje się wewnątrz. Równie dobrze można wykorzystać je do przechodzenia w rozmaite miejsca w królestwach sękatych czy zatopionej krainie.

–Jamesie, czy to prawda? Nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego przydarzyło się mężczyźnie, kobiecie, domowi czy czemukolwiek.

–Prawda, Brianie. Wierz mi. Po prostu niektóre stworzenia prawie już o tym zapomniały, ponieważ każdy wierny może zapobiec temu czarowi, kładąc symbol swej wiary przed czarownicą: wtedy zaklęcie nie działa. Każdy symbol prawdziwej wiary niweczy zamiary czarownicy równie skutecznie, jak tarcza odbija cios włóczni lub miecza.

–Czy to zaklęcie może zostać wykorzystane do sprowadzenia tu licznej armii? – zapytał TB.

–Sądzę, że tak – odrzekł Jim – ale nie wiem, czy można za jego pomocą przenieść liczny oddział, czy też tylko dwóch lub trzech ludzi naraz. Pamiętaj, że jestem tylko

praktykantem i bardzo mało wiem o czarach. Jednakże doświadczony adept Sztuki może dokonać czegoś takiego, a kiedy stworzy taką bramę, może nieustannie przerzucać przez nią ludzi. Zaś Morgan le Fay, będąca od kilkuset lat królową czarodziejek, z pewnością jest doświadczoną adeptką.

TB powoli kołysał gadzim łbem.

–Gdzie powinniśmy szukać takiej Bramy?

–Ci ludzie będą gromadzić się w Liones, a może w zatopionej krainie. Oczywiście, ta brama będzie zamaskowana, ukryta, choćby po to, by przybywający tutaj nie mieli ochoty wrócić przez nią bez pozwolenia. Jednak nie będzie daleko od nich.

Postąpilibyśmy mądrze, szukając takiego miejsca.

TB ponownie pokiwał głową.

–To brzmi rozsądnie – orzekł. – Mogę poprosić o to drzewa i zwierzęta. Tylko że dla nich liczy się jedynie bieżąca chwila. Nawet kiedy ją znajdą, mogą zawiadomić nas o tym dopiero po kilku tygodniach. Morgan le Fay być może już wie, w jaki sposób sprowadzić tu zbrojne oddziały, a jeśli tak, to znacznie nas wyprzedza. Nie mam tylko pojęcia, skąd weźmie rycerzy.

–Nie sądzę, żeby to ona zbierała oddziały – powiedział Jim – chociaż być może pomagała. Zrobiły to raczej Ciemne Moce. Rzecz w tym, że one już tu są.

–Ciemne Moce sprowadziły tu tych zbrojnych?

–Nie. One nie potrafią bezpośrednio kierować ludźmi. W najlepszym razie mogą skusić lub przekupić kogoś, kto potem znajdzie chętnych, którzy będą współpracować, nie zważając na konsekwencje. Dlatego sądzę, że taką przekupioną osobą jest Morgan. Któż inny zdołałby ściągnąć obce wojsko do Liones?

–Nikt – odparł natychmiast TB. – Nikt poza wielkim królem Arturem. Ten jednak nigdy nie rzuciłby obcych sił przeciw tej krainie. Poza tym nie ma go tu, w przeciwnym razie wiedziałaby o tym cała Liones.

Jim tylko pokręcił głową.

–To nie ma sensu – orzekł. – Lud zatopionej krainy, sąsiadującej z Liones, która zazwyczaj nie ma z nią nic wspólnego, dobrze wiedział, że Ciemne Moce szykują inwazję. Nawet nasi magowie na górze zdawali sobie z tego sprawę – dlatego tu jesteśmy, Brian i ja. Ciemne Moce po prostu musiały mieć tu jakichś sprzymierzeńców i ktoś w Liones wie, gdzie one są i jak się tu dostały. Jeśli to nie Morgan gromadzi je dla Ciemnych Mocy, to kto?

Popatrzył na TB.

–To prawda. Nikt inny nie przychodzi mi na myśl – przyznał TB. – Być może nie jesteśmy w stanie dostrzec prawdy. Może tym razem ogień pochłonie Liones, która zapadnie się pod morskie dno i zniknie na zawsze. Jednak od wieków uważano, iż nastąpi to dopiero wtedy, kiedy w górnym świecie, w którym żyje historia, wszyscy zapomną o Arturze i o nas.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

–Przestrzegam cię, sir Jamesie, przed zadawaniem w Liones takich pytań jak te. Ty, sir Brianie, i ten mały skrzat pewnie nie wiecie, w jaki sposób wydostaliście się z zamku królowej Północnych Wichrów. Chyba powinienem wam to wyjaśnić, choć nie

miałem takiego zamiaru, gdyż rozmowa o Starej Magii może być niebezpieczna.

Mówiąc te słowa, zmienił ton i zmierzył Jima nieruchomym spojrzeniem.

–Mam rację, prawda? Nie wiecie?

–Nie – rzekł Jim.

–A zatem powiem wam, czy wyjdzie nam to na dobre, czy na złe. Spójrzcie na niebo Liones. Czy widzieliście na nim choć chmurkę?

Jim odruchowo spojrział w górę. Brian i Hob też, a najdziwniejsze, że konie również.

–Nie przypominam sobie – stwierdził Jim.

–Właśnie. Mijają wieki, zanim jakaś się pojawi. Tymczasem jedna niedawno ukazała się nad zamkiem królowej Północnych Wichrów, a była tak wielka, że zasłoniła słońce i całą Liones spowiła ciemność – tak nieprzenikniona jak ta noc, kiedy rozmawiałeś z Merlinem.

Nie było żadnego powodu, by ciarki przebiegły Jimowi po plecach, ale tak się stało. Poczłł taki sam chłód jak wtedy, kiedy rozgrzewał zziębniętego Hoba, przywracając mu życie.

–Kiedy napłynęła ta chmura i zakryła słońce, zapadł mrok, o którym mówię – a w nim ty, sir Brian, Hob, wasze konie i cały dobytek w mgnieniu oka został uniesiony z zamku i sprowadzony tutaj.

Jimem wstrząsnął dreszcz.

–Dlaczego nam o tym mówisz? Dlatego, że zastanawiałem się, kto jeszcze oprócz Morgan le Fay mógł zebrać armię?

–Chciałem wam przypomnieć, że Stara Magia jest niewyobrażalnie potężna i zawsze nam towarzyszy. Powiedziałem to tylko po to, żeby was ostrzec, gdyż taki obłok nie pojawi się już za waszego życia...

Jego syczący głos ucichł. TB ponownie zwrócił wąskie ślepie ku niebu. Pozostali poszli w jego ślady.

Mała, niegroźnie wyglądająca chmurka sunęła po niebie ku słońcu Liones. Na ich oczach zasłoniła białą gwiazdę, pożerając ją jak księżyc słońce podczas zaćmienia. Nagle pociemniało, a potem zrobiło się zupełnie ciemno.

Równie znenacka powrócił jasny dzień.

–Przecież to nie jest Liones! – wykrzyknął TB.

Rozdział 19

Faktycznie. Żółte słońce oświetlało kilka zabłąkanych chmurek, grzejąc swym letnim ciepłem ludzi stojących na skraju lasu, na rozległej równinie porośniętej wysoką zieloną trawą. Nawet najłżejszy podmuch nie przelatował w powietrzu. Najwyżej piętnaście metrów dalej znajdował się duży namiot – niemal pawilon – przed którym stała grupa wysokich, szczupłych mężczyzn z łukami na ramionach i zwisającymi przy skórzanych pasach kołczanami pełnymi długich strzał.

Byli ubrani w tuniki oraz ciasne skórznie, takie jakie nosił Dafydd, a strój każdego z nich miał jednolity – błękitny, zielony lub brązowy – kolor. Przerwali rozmowę, odkrywając obecność Jima i pozostałych. Spojrzeli na nowo przybyłych, a Jim, prawie oślepiiony intensywnymi barwami trawy, nieba i słońca, odpowiedział im równie zdumionym spojrzeniem. Jeden z tamtych natychmiast ruszył w kierunku przybyszów. Tym mężczyzną był Dafydd.

–Wszystko w porządku... w porządku – usłyszał Jim za plecami cienki głosik Hoba i obejrawszy się przez ramię, zobaczył skrzata gładzącego łuskowaty kark TB, Ten ostatni wydawał się teraz dwukrotnie większy niż zwykle, jak to często zdarza się ludziom i wielu innym ssakom, kiedy szykują się do walki, prężąc mięśnie, nabierając tchu i jeżąc włosy.

Hob cicho i uspokajająco przemawiał do TB, gładząc jego długą szyję, ten natomiast, najwyraźniej nie zwracając na to uwagi, wygiął kark i raz po raz wysuwał wąski język, pokazując zakrzywione kły.

–Nie powinienem tutaj być... – syczał TB. – Tylko wbrew wszystkim legendom można tu...

–James! Brian! – powiedział ostro Dafydd, przystając przed nimi. To przemawiał księżę zatopionej krainy, a nie zwyczajny łucznik. Nadal był ich przyjacielem, ale jego zachowanie – włącznie ze sposobem mówienia – było teraz inne, bardziej formalne i władcze. – Co wy tu... I z tym...

Urwał.

–TB! – wykrzyknął. – Tutaj? – Ponownie przerwał, a TB poznał widzianego poprzednio w Liones Dafydd i schował kły. – Proszę wybaczyć, lordzie TB – dodał Dafydd – jeśli mogę cię tak nazywać?

–Możesz, oczywiście – TB jeszcze nie całkiem się uspokoił i wymawiał „s” z lekkim sykiem. – Istotnie, jestem lordem Liones, gdyż figuruję w legendach o naszym królu.

Przestał syczeć. Wyglądał już prawie normalnie i zamknął pysk, chowając zębiska, ale nadal był spięty.

–Jednakże wszyscy nazywają mnie TB i tak wolę.

–A więc za twoim pozwoleniem i ja będę cię tak nazywał – istotnie, tak jest lepiej. Jamesie, Brianie, czy wybaczycie mi, że w obecności naszego ludu będę zwracał się do was „sir Jamesie” i „sir Brianie”? Tutaj, w zatopionej krainie, tytuł lorda przysługuje jedynie naszemu królowi – a przypadek TB to zupełnie inna sprawa. Wielu moich ziomków zna trochę angielski. Za chwilę przedstawię was moim kuzynom i przyjaciołom oraz młodemu królowi, jedynemu żyjącemu synowi zmarłego

władcy. Chłopiec jest zbyt młody, by zasiąść na tronie, ale nie ma wyboru.

–Czy podczas naszej poprzedniej wizyty tutaj nie mówiono, że wszystkie dzieci króla nie żyją? – zapytał Brian.

–Wszystkie prócz najmłodszego. Ten był trzymany w ukryciu. Rozgłoszono wiadomość o jego śmierci ze względu na jego młody wiek i właśnie między Barwami. Chodźcie, zaprowadzę was do niego. Jestem jego regentem. Wraz z innymi lojalnymi przywódcami spotkaliśmy się tu, aby zdecydować, co robić dalej. Mam wam wiele do powiedzenia, ale teraz nie czas na to. Muszę też przedstawić was przywódcom Barw. W języku angielskim nie ma określenia, które opisywałoby ich władzę, nawet w Walii. Można przyjąć, że każdy z nich reprezentuje coś w rodzaju klanu, którego członkowie noszą odzież jednakowego koloru.

Ostatnie zdanie Dafydd wyrzekł donośnie i wyraźnie. Jim zrozumiał, że łucznik powiedział to zarówno do niego i Briana, jak i do tych towarzyszących mu mężczyzn, którzy znali angielski, Tym razem Brian odezwał się pierwszy i rozładował sytuację.

–To twoja kraina – rzekł. – My jesteśmy gośćmi. Dopóki tu jesteśmy, będzie jak sobie życzysz.

–A więc przedstawię was moim kuzynom i przyjaciółom oraz młodemu królowi, którego jestem regentem – ciągnął Dafydd donośnie. Nagle zniżył głos, kierując następne słowa wyłącznie do Jima i Briana. – Wszyscy obecni tu wodzowie klanów są mu wierni i spotkaliśmy się, by postanowić co dalej, jak już mówiłem... – Ponownie podniósł głos: – Ponieważ w naszym kraju nie ma jednomyślności co do tego, kto powinien zasiadać na tronie w tak niebezpiecznych czasach.

Jim, Brian i TB zamilkli. Nawet Hob przestał mamrotać pocieszające słowa do TB i stał bez ruchu przy nieruchomych koniach.

–Tak więc, Jamesie, Brianie i TB. proszę, abyście wrócili ze mną, do zebranych i stanęli przy mnie, nie odzywając się, jeśli nie będziecie musieli opowiedzieć się po czyjejsz stronic. W tym wypadku mam nadzieję, że poprzecie wszystko, co powiem lub zrobię. Czy zgadzacie się?

Brian spojrzał na Jima. Hob także. Ku jego zdziwieniu, nawet TB popatrzył na niego wyczekująco.

–Możesz na nas liczyć – powiedział przez ściśnięte gardło Jim. Nie lubił niczego obiecywać z góry i gdyby nie prosił o to Dafydd ap Hywel, z pewnością by odmówił.

Dafydd odwrócił się i pomaszerował z powrotem do grupki ludzi czekających przy namiocie. Pozostali poszli za nim.

–Panowie! – rzucił ostrym głosem, jakiego Jim jeszcze nigdy nie słyszał z jego ust. Wszyscy stojący wokół i gapiący się na nowo przybyłych ponownie skierowali spojrzenia na wysokiego mężczyznę w błękitnym stroju.

Teraz jednak Dafydd wraz z innymi mieszkańcami zatopionej krainy całą uwagę zwrócił na znajdującego się wśród nich chłopca, z wyglądu najwyżej trzynastoletniego i niemal niewidocznego wśród wysokich mężczyzn. Chłopiec nosił szatę tego samego kroju co inni, lecz mieniła się ona wszystkimi kolorami strojów obecnych tam ludzi oraz kilkoma odcieniami, jakich nie miał na sobie nikt wokół. Nie było wśród nich czerni i bieli.

–Panie – rzekł po angielsku Dafydd do chłopca – pozwól, że przedstawię ci sir Jamesa Eckerta, barona de Malencontri, oraz sir Briana Neville'a-Smythe'a z zamku Smythe. Obaj pochodzą z górnej krainy i są moimi przyjaciółmi oraz rycerzami tak godnymi, jak powinni być i rzadko bywają rycerze. Chciałbym również przedstawić ci lorda Tropiącą Bestię z sąsiedniej krainy Liones, którego także uważam za przyjaciela. Wraz z tymi dwoma rycerzami stawi czoło Ciemnym Mocom, których cień spowił nasz kraj i które niektórzy z nas obwiniają o ciężkie chwile, jakie nastąpiły w naszym królestwie.

–Miło mi ich poznać – odparł młody król, niespodziewanie płynną angielszczyzną.

–A teraz – rzekł Dafydd – powtórzę w naszym języku to, co miłościwy król i ja powiedzieliśmy w waszym.

Odwrócił się do widzów i przemówił. Głos Dafydda zawsze wydawał się Jimowi miękki i śpiewny, lecz teraz, kiedy łucznik przemówił językiem swych przodków, brzmiał on zupełnie inaczej. Nadal był melodyjny, lecz każde słowo brzmiało jak brzęk stali. Postanowił zastanowić się nad tym później. Teraz istotne było to, że nie rozumiał ani słowa.

„Świetnie”, pomyślał, lecz zaraz uświadomił sobie, że to żaden problem, gdyż nie był już w Liones. Tutaj Morgan le Fay nie była w stanie go zobaczyć ani osiągnąć. W tej krainie mógł bezpiecznie używać magii i zdjąć ochronne zaklęcie. Już jakiś czas temu obmyślił pewną magiczną sztuczkę, pozwalającą mu rozumieć dowolny język – nie na podstawie dźwięku wymawianych słów, lecz ich znaczeń zakorzenionych w umyśle mówiącego.

Zrobił to teraz i wszystko stało się jasne.

Zbici w ciasną gromadkę mężczyźni z nieprzeniknionymi minami słuchali przemówienia Dafydda, obrzucając jeszcze mniej zachęcającymi spojrzeniami TB, Jima i Briana. Jim zgubił wątek wypowiedzi Dafydda.

–Ten mały naturalny na ich jucznym koniu – kończył Dafydd, kiedy Jim zaczął go rozumieć – jest skrzatem z zamku sir Jamesa, niezwykle odważnym i lojalnym mimo niewielkich rozmiarów.

Zignorowali Hoba.

–Jesteście tu mile widziani, szlachetni panowie – rzekł chłopiec w języku zatopionej krainy, wysokim i czystym głosem, spoglądając na stojących przed nim gości, – Witaj, lordzie Tropiąca Bestio. Jesteś po dwakroć mile widziany, jeśli przybywasz nam pomóc.

–Obawiam się, miłościwy panie – powiedział Jim w jedynym znanym mu języku pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl – że przybyliśmy tu z wielu różnych powodów. Nie wgłębiając się nadmiernie w te kwestie, najistotniejszy jest taki, iż jedyną gwarancją naszego sukcesu jest powodzenie waszej sprawy, tak więc naszym celem, podobnie jak twoim i zebranych tu szlachetnych mężów, jest zapewnienie bezpieczeństwa i porządku, zarówno tutaj, jak i w Liones.

–Uprzejma odpowiedź – odparł chłopiec, tym razem znów po angielsku i ze spokojem, który Jim uznał za niezwykle u kogoś w tak młodym wieku. Powiedziawszy to, król nie dodał nic więcej i spojrzał na wysokiego Dafydda.

–Miłościwy panie – rzekł Dafydd – chociaż czas nas nagli, zapewne byłoby najlepiej, gdybym wyjaśnił ci, co przywiodło tutaj moich przyjaciół. Chciałbym na chwilę odejść z nimi na bok. Obiecuję wszystkim, a szczególnie tym spośród nas, którzy przybyli z daleka, że będzie to tylko krótka przerwa. Pozwólcie, że zapytam...

Urwał i spojrzął po kręgu ludzi w strojach rozmaitej barwy.

–Czy ktoś z obecnych jest temu przeciwny?

Przez chwilę wydawało się, iż żaden z patrzących na niego nie odezwie się. Potem odziany na zielono mężczyzna, równie wysoki jak Dafydd, z krótko przyciętymi wąsami oraz brodą, twardymi, ciemnoblonde włosami przetykanymi siwizną, przeniósł wzrok z TB na chłopca i zaczął przemawiać w języku zatopionej krainy – nie do Dafydda, lecz wprost do młodego króla.

–Miłościwy panie, czy mogę przypomnieć ci, iż niektórzy z nas opuścili swe domy w pośpiechu, aby niezwłocznie do ciebie przybyć, i muszą powrócić najszybciej jak to możliwe? Co więcej, czyż jedną z naszych trosk nie jest szybko rosnąca liczba potworów na pograniczu? A czyż ta Tropiąca Bestia nie jest jednym z nich? Tymczasem twój regent żąda, abyśmy niezwłocznie zaakceptowali go jako jednego z nas i uwzględnili w naszych planach!

Młody monarcha równie zręcznie odpowiedział na ten protest.

–Było moim osobistym życzeniem – rzekł podniesionym głosem – aby mój regent, dla dobra mojego i mego ludu, podejmował decyzję w takich sprawach.

Zapadła cisza.

–Czy ktoś jeszcze chce coś powiedzieć? – spytał Dafydd.

–Tak, na świętego Gildasa! – wybuchnął jeden z odzianych w brązowe szaty mężczyzn, mówiący miejscowym językiem. Pośród otaczających go rosłych mężczyzn o niebieskich lub szarych oczach i krótko przyciętych, ciemnoblonde włosach, które wydawały się przeważać wśród mieszkańców zatopionej krainy, których dotychczas napotkał Jim, ten mówca wyróżniał się włosami opadającymi na ramiona. Poza tym był ciemnooki i niski, prawie krępy. Twarz miał ogorzałą lub zaczerwienioną, a głos gniewny. Przecisnął się przez tłum.

–Nie podoba mi się, iż narzuca się nam towarzystwo bestii z Liones. Wystarczy nam kłopotów ze szkarłatnymi, bezkoszmarnymi stworzami i nieproszonymi gośćmi z górnej krainy uczestniczącymi w naszych naradach! Mówię to jasno!

–Cóż – rzekł Dafydd, znów tym spokojnym, niemal ospałym, groźnym tonem, jaki Jim słyszał z jego ust w niebezpiecznych sytuacjach – chyba nie kwestionujesz tego, że jestem dobrym regentem, prawda, Gruffyddzie?

Chłopiec szybko wysunął się przed Dafydda, odgradzając go od mówcy.

–Nasi królewscy przodkowie byli z błękitnych! – zawołał. – Dafydd ap Hywel jest moim kuzynem. Przed śmiercią mój ojciec zaproponował mi, aby zasiadł na tronie zamiast mnie. Gdyby to zrobił, byłby teraz panem moim i waszym. Jednak odmówił. Tak więc ja przejąłem władzę i wybrałem go na regenta. I oświadczam, że nie będzie dalszych dyskusji na temat tych, którzy do nas dołączyli, i przemawiającego za nimi Dafydda. Czy jestem waszym królem?

Przez krótką chwilę panowało głucho milczenie. Potem wszyscy, włącznie z

mężczyzną w brązowym odzieniu, przyklęknęli przed nim i pochylili głowy.

–Powstańcie – rzekł chłopiec-król, po czym odwrócił się do nich plecami i stanął twarzą do Dafyddda oraz jego przyjaciół. – Mój regencie, możesz mówić, jak długo chcesz. Ja zostanę tutaj, aby nasi przyjaciele nie pomyśleli, że coś przed nimi ukrywamy.

Dafydd nisko się skłonił.

–Dziękuję, miłościwy panie – rzekł. – Ten czas nie będzie stracony. – Przeszedł na angielski. – Sir Jamesie, sir Brianie, milordzie TB, czy zechcecie uczynić mi ten zaszczyt i towarzyszyć mi?

W głębokiej ciszy Dafydd poprowadził Jima i pozostałych do namiotu. Konie ruszyły za nimi, wierzchowce z własnej woli, a juczny koń, ponieważ nadal był uwiązany do łąku siodła. Pozostawili je przed namiotem, Dafydd skinął na Hoba, żeby przyłączył się do nich. W środku było niewiele miejsca. W kącie ułożono trochę gałęzi, tworzących posłanie. Poza nim jedynym meblem był drewniany stół na kozłach, na którym leżał duży skórzany bukłak i kilka kubków.

–Dafyddzie, Jamesie! – wybuchnął Brian, gdy usiedli i okazało się, że skórzany bukłak zawiera czerwone wino. Obaj spojrzeli na niego badawczo. – Na wszystkich świętych! – rzekł Brian. – Czy powiecie mi, o czym tak rozprawiano w tym obcym języku?

–On nie był obcy, sir Brianie – odparł łagodnie Dafydd. – Tutaj angielski jest cudzoziemskim językiem.

–Angielski? Cudzoziemski? – rzucił jeszcze gniewniej Brian, ale zaraz opanował złość. – W każdym razie to było piekielnie nieuprzejme posługiwać się nim przy szlachcicu, który go nie zna. Powiedz mi, o czym mówiono, Jamesie!

Spojrzał na Jima, który doskonale go rozumiał. Brian wcale nie podejrzewał, że Jim opanował język zatopionej krainy. Po prostu jako mag w jakiś tajemniczy sposób powinien wiedzieć, o czym rozprawiano.

–Sądzę, że Dafydd właśnie chce nam wyjaśnić to i nie tylko to – odparł uspokajająco Jim.

–Ja również – dodał TB – chciałbym wiedzieć, o czym była mowa.

–A nie wiesz? – zdziwił się Dafydd.

–Musisz pamiętać o tym – odrzekł TB – że choć ludzie z zatopionej krainy od czasu do czasu odwiedzają Liones pomimo grożącego im niebezpieczeństwa, żaden mieszkaniec Liones nigdy nie przybył do waszego kraju.

–Nigdy? – zdumiał się Dafydd.

–Nigdy – potwierdził TB. – Po co miałyby to robić?

–Oni są ludźmi, tak jak my.

–Jednak swe istnienie, podobnie jak cała Liones, zawdzięczają legendom króla Artura. I są częścią tych legend. Prawdę mówiąc, sam nie wierzę, że się tu znalazłem. Sądziłem, że nikt z nas nie może żyć poza granicami Liones. Nadal dziwię się temu, iż siedzę tu z wami i wciąż istnieję. Myślę, że zawdzięczam to jedynie Starej Magii.

Była to poważna przemowa i wywarła wrażenie na pozostałych.

–A jednak – powiedział po chwili Jim – jesteś tutaj.

–To nie ulega wątpliwości.

–Niezwykła rzecz – rzekł Dafydd – ale spróbujemy to zrozumieć innym razem.

Zapewne wszyscy zauważyliście, że są tu tacy, których nie zachwyciło, że odszedłem z wami na bok. Im szybciej do nich wrócimy, tym lepiej. Pozwólcie, że pokrótce wyjaśnię wam sytuację i moją rolę.

–Miałem nadzieję, że do tej pory będziesz już wolny, Dafyddzie – powiedział Brian.

–Dziękuję ci za te słowa – odparł Dafydd. – Jeśli jednak nie wydarzy się jakiś cud, jest mało prawdopodobne, abym szybko do was dołączył. Król mnie potrzebuje.

Przekonacie się, że jest niezwykłym chłopcem – być może poznaliście to po sposobie, w jaki przemówił przed chwilą. Jednakże słowa nie rozwiążą wszystkich problemów. Ja oraz inni w błękitnych barwach jesteśmy dwukrotnie liczniejsi i silniejsi od każdego z pozostałych klanów. Jeśli dodać do tego zwolenników króla, tylko walne zgromadzenie wszystkich Barw może nas przegłosować.

–A więc po co je zwoływać? – rzekł Brian. – Odeślij do domu tych, którzy nie są z tobą. Rozgłoś, że chętnie powitasz wszystkich, którzy zechcą się do was przyłączyć, i rób swoje.

–Tutaj, w zatopionej krainie, nie jesteśmy rycerzami, sir Brianie – odparł Dafydd ze smutnym uśmiechem. – Niechętnie chwytny za broń i odbieramy życie, nawet naszym przeciwnikom.

–Podobnie jak ja – pisnął Hob.

–Hobie – skarcił go Jim.

–Przepraszam, milordzie. Już się nie odezwę.

–Jednakże mówiąc to – ciągnął Dafydd – muszę także rzec, iż nie wszyscy z nas przestrzegają tych zasad. Tak się składa, że przywódca szkarłatnych i kilku innych klanów, które się z nim sprzymierzyły, twierdzi teraz, iż wobec rosnącej z każdą godziną liczby potworów i obcych na pograniczu, potrzebujemy monarchy starszego niż obecny król.

–Posłuchaj mnie! – zawołał Brian. – Czy nie mógłbyś wezwać tego człowieka do rozstrzygnięcia tej kwestii w pojedynku i spotkać się z nim osobiście lub wyznaczyć kogoś w zastępstwie? Chętnie służę moją osobą. Mogłoby to kosztować jedno życie, lecz to niewielka cena za jednomyślność. Jak wygląda ten przywódca szkarłatnych?

–Widzieliście go przed namiotem – odparł Dafydd. – To on przemówił przed chwilą przeciw lordowi TB i wam.

–Ten człowiek nosił brązowe szaty! – zauważył Jim.

–To dlatego, że przybył tu jako gość zaproszony przez brązowych.

–Pozwoliliście największemu wrogowi wziąć udział w waszej naradzie? – zdumiał się Brian. – Dafyddzie, to chyba nie było zbyt rozsądne?

–Jak już powiedziałem – odrzekł łucznik – tutaj kierujemy się innymi zasadami, sir Brianie. On korzysta z naszej gościnności i ufamy, iż jej nie nadużyje. On także zaufałyby mnie, gdybym wziął udział w ich naradzie. To, co dzieje się na pograniczu, stanowi zagrożenie dla całej zatopionej krainy, nie tylko dla zwolenników monarchy.

–A co właściwie dzieje się na pograniczu? – zapytał Jim. – I gdzie to jest?

–To dzikie leśne ostępy między Liones i zatopioną krainą – wyjaśnił TB. –

Przejeżdżaliście tamtędy podczas poprzedniej wizyty. To właśnie tam pomogłem wam pokonać olbrzymów.

–Tylko niewielka jego część leży w Liones – rzekł Dafydd. – Tak więc my jesteśmy za nie odpowiedzialni. Jak długi palec wyciąga się w głąb Liones, tak że w jednej chwili można być w Liones, a w następnej w zatopionej krainie – i znowu w Liones. Zapewne właśnie dlatego sączą tam swą trucizną Ciemne Moce, znalazłszy bezpieczne miejsce między naszymi dwoma królestwami. Niewątpliwie gromadzą się tam teraz liczne zastępy przedziwnych stworów oraz ludzi, którzy nie urodzili się i nie wychowali w żadnej z tych krain.

–Jeżeli nie opuszczają tej okolicy... – zaczął Jim. – Jak daleko stąd leży to pogranicze?

–Blisko – powiedział Dafydd. – Niecałą angielską milę. W drodze do królestwa sękatych przecięliśmy jego południowy kraniec.

–A sądziliśmy, że przez cały czas jesteśmy w Liones – przypomniał Brian. – Być może to lady Agatha Falon rzuciła na nas zły czar, żeby wciągnąć nas w pułapkę.

–Może któryś z rycerzy Liones, milordzie TB – powiedział Dafydd – mógłby wyjaśnić nam, co się tam dzieje?

–Mam zaszczyt i przyjemność – rzekł TB do Dafydda, niemal monarszym gestem unosząc łeb – ponownie cię prosić, abys nazywał mnie po prostu TB. Jestem do tego przyzwyczajony i tak wolę. Tak, znamy pogranicze, lecz nikt z nas nie mieszka w pobliżu. To mroczne i nieprzyjazne miejsce.

Jim z nagłym zaciekawieniem spojrzał na to dziwne, legendarne stworzenie. Jeśli nie mieszkał tam nikt z wymienionych w arturiariskich legendach, co robił tam TB i w jaki sposób pojawił się dokładnie w tej chwili, kiedy potrzebowali jego pomocy? Jim otworzył usta, żeby o to spytać, ale zaraz je zamknął. Nie było to po temu odpowiednie miejsce ani czas. Jednakże, co zresztą wcale go nie zdziwiło, myśli Dafydda najwidoczniej biegły tym samym torem.

–Chyba bywasz tam od czasu do czasu – powiedział do TB – ponieważ pojawiłeś się, kiedy cię potrzebowaliśmy. Byłeś tam ostatnio?

–Nie – odparł TB.

–A zatem nie wiesz, że gromadzą się tam wrogie siły, o jakich mówiłem – stwierdził Dafydd. – Niedobrze się składa, że akurat teraz, kiedy nasz młody król dopiero za kilka lat osiągnie wiek męski i gdy w Liones działają Ciemne Moce. Powiedz mi, co myślisz, TB. Czy sądzisz, że te siły zamierzają opanować również zatopioną krainę?

–Nie mam pojęcia – odparł TB. – Mogłem zapytać Merlina, ale niemal na pewno nie odpowiedziałby mi. To podobne do niego: wiedzieć i z jakichś powodów nie zdradzić się z tym. Jednak przynajmniej magia nie ma wpływu na skomplikowaną sytuację w twoim kraju.

–Naprawdę nie ma, Jamesie? – zapytał Dafydd, spoglądając na Jima.

–Obawiam się, że ma – odparł Jim. – Powiedz mi, Dafyddzie, ile lat ma teraz wasz król?

–Piętnaście.

–A zatem jest starszy, niż wygląda. Dawałem mu rok czy dwa mniej. Pomimo to jest dojrzały, niż można by oczekiwać.

–Będzie kiedyś wspaniałym władcą, jeśli przeżyje – odparł Dafydd. – Ma rozum dorosłego mężczyzny i nieprzeciętnego człowieka, lecz raczej kogoś takiego jak twój przyjaciel, sir John Chandos, gdy ten miał jego lata.

–Wysoko go cenisz – powiedział Jim. Mówił to z uśmiechem, ale naprawdę tak uważał. Chandos był człowiekiem, jaki rodzi się raz na kilkaset lat.

–Przekonasz się – rzekł Dafydd. – Teraz jednak czas nagli. Może powiecie mi, dlaczego i w jaki sposób przybyliście tutaj?

Jim spojrzał na Briana i TB, lecz ci nie odezwali się słowem.

–Brian i ja zostaliśmy pojmani. On wpadł w ręce lady Annis, dworki królowej czarodziejek Morgan le Fay, która schwytała mnie. Musiałeś słyszeć o niej.

Dafydd skinął głową.

–Usiłowała rzucić na mnie czar, lecz KinetetE powstrzymała ją, więc Morgan uwolniła mnie w Dedalowym Lesie. Wydostałem się stamtąd, spotkałem TB, a on zabrał mnie do Merlina, który wyjawiał mi, gdzie jest przetrzymywany Brian. Pojechałem tam. uwolniliśmy Briana i udaliśmy się na zamek królowej Północnych Wichrów. Chcieliśmy się dowiedzieć, co ona wie o Ciemnych Mocach, ponieważ powiedziano nam, iż sprzymierzyła się z Morgan le Fay. Jednak niewiele wskóraliśmy. Zamierzała zatrzymać nas w zamku, lecz wtedy drzewa Liones lub Stara Magia zabrała nas stamtąd, kiedy ciemna chmura zakryła słońce. Coś przeniosło nas tutaj. Ja sądzę, że zrobiła to Stara Magia, ale nikt z nas nie ma pewności.

Jim wypił łyk wina i odetchnął. Zamierzał streścić tę historię w jednym długim zdaniu, ale okazało się to niewykonalne.

–Przeniosła was tutaj? Tak uważasz? – Dafydd potarł brodę, patrząc na Jima. – Czy Ciemne Moce nie mogły zabrać was z zamku królowej Północnych Wichrów i sprowadzić tutaj?

–Nie – odparł Jim i zawahał się, – Trudno wyjaśnić to komuś, kto nie zajmuje się magią. Byłeś z nami w wielkiej sali mojego zamku, kiedy pokazały się Ciemne Moce, a ja kazałem im się wynieść. Czy pamiętasz, jak się wtedy czuleś?

–Tak – odrzekł Dafydd. – Myślę, iż nie jestem bojaźliwy, lecz wówczas nawiedził mnie lęk.

–Właśnie – ciągnął Jim. – Ja, jak każdy mag, raz poczuwszy ich dotknięcie, już zawsze je rozpoznam. W ten sposób kontaktują się wszelkiego rodzaju adepci magii, jeśli tylko są w stanie do siebie dotrzeć. Morgan i królowa Północnych Wichrów zapewne mogłyby w ten sposób znaleźć mnie wszędzie w Liones. Oczywiście, tutaj nie zdołają mnie osiągnąć.

–Jesteś pewny?

–Całkowicie – odparł Jim z mocą, która go zaskoczyła. Nie potrafiłby wyjaśnić, skąd to przekonanie, ale teraz, kiedy te słowa uleciały z jego ust, nie wątpił w ich prawdziwość. Ani trochę.

–A zatem władza tych Ciemnych Mocy ma jakieś granice?

–Tak – odrzekł Jim z tą samą zaskakującą pewnością siebie. – Znalazły mnie w

Malencontri tylko dlatego, że podążały za tobą.

–Przecież napotykałeś je już kilkakrotnie. Chyba wiesz, gdzie znajduje się twój zamek?

–Sądzę – powiedział Jim, starannie dobierając słowa – iż tak jak zwyczajnie zatopionej krainy różnią się od zwyczajów Briana, istnieją też różnice między takimi ludźmi jak my oraz między Mocami, Podejrzewam na przykład, że one widzą inaczej niż my. Ziemia i niebo, drzewa, zwierzęta i ludzie – dla nich mogą być tylko częściami jednego wiru energii, jak płomienie ogniska albo...

Urwał. Tego nie był już pewny. Pozwolił myślom biec wraz z pytaniami Dafydd'a i zaczął rozważać kwestie, jakich nie mogły ogarnąć średniowieczne umysły. Zrozumiał to, widząc miny Briana i Dafydd'a. Nawet TB lekko przechylił łeb na bok i spoglądał nań z zaciekawieniem, nic nie mówiąc.

–Wróćmy jednak do twojego problemu, Dafyddzie – powiedział. – On musi być powiązany z naszym, inaczej Stara Magia, czy cokolwiek to było, nie przeniosłaby nas tu. Chciałeś szybko zakończyć tę rozmowę. My i wy możemy być częściami tej samej układanki, ale nie będziemy tego pewni, dopóki obaj nie poznamy faktów. W jaki sposób niebezpieczeństwo grożące królowi wiąże się z niepokojami na pograniczu?

Zwlekał trochę za długo. Nagle usłyszeli ostrzegawczy okrzyk na zewnątrz namiotu, a w następnej chwili głośnie trzaski rozdieranego materiału, gdy coś zaczęło przebijać jego płócienne ściany.

Jim, Brian i Dafydd jednocześnie padli na ziemię. TB i Hob zostali na nogach, ze zdziwieniem rozglądając się wokół.

Dźwięki ucichły. Wszystko trwało krótką chwilę. Dafydd natychmiast zerwał się z ziemi, a Jim i Brian zaraz po nim. Łucznik wyrwał z blatu stołu krótką, grubą strzałę.

–Bełt! – rzekł ponuro. – W zatopionej krainie nie ma kusz, a przynajmniej w takiej zatopionej krainie, jaką znamy!

Rzucił strzałę na stół, odwrócił się i wybiegł z namiotu. Jim i Brian ponownie poszli w jego ślady, doganiając go.

Na zewnątrz, w miejscu, gdzie stała grupa mężczyzn, na ziemi leżały dwa ciała. Opatrywano pięciu rannych. W ziemi sterczały wbite pod ostrym kątem bełty. Dafydd nie zwrócił na to uwagi. Patrzył tylko na drugą grupkę ludzi, stłoczonych wokół kogoś, kogo nie można było dostrzec. Pobiegł tam.

–Trafili go? – krzyczał, biegnąc. – Jest ranny?

Mężczyźni odwracali się do niego, ale zanim zdążyli odpowiedzieć, już wpadł między nich, a Jim i Brian za nim. Rzeczywiście, chłopiec-król leżał na ziemi nieruchomo i z zamkniętymi oczami, a jeden z odzianych w brąz mężczyzn klęczał nad nim, lekko naciskając jego pierś. Kiedy Dafydd i Jim dobiegli do niego, obrócił ku nim pobladałą twarz. Był to Gruffydd, przywódca szkarłatnych.

–Nie widać rany – rzekł – lecz nie oddycha i nic słyszę bicia serca.

–Puśćcie mnie do niego – powiedział Jim. – Znam się na tym.

–Sir James jest magiem, Gruftyddzie! – rzucił szorstko Dafydd. – Wstań i odsuń się.

Odziany w brązowe szaty przywódca szkarłatnych niechętnie podniósł się z klęczek, zacisnął usta i z pochmurną miną spojrzał na Jima. Potem znów na Dafydd.

Rozdział 20

Cofnął się tylko o pół kroku, nie dopuszczając Jima do leżącego.

–Ja tylko próbuję mu pomóc – rzekł Jim po angielsku, nagie przypominając sobie, że magia pozwalała mu jedynie zrozumieć to, co w języku zatopionej krainy mówili inni, lecz nie umożliwiała wypowiedzania się w nim.

Dafydd przetłumaczył jego słowa. Mężczyzna niechętnie cofnął się jeszcze o krok. Zapominając o jego istnieniu, Jim uklęknął przy chłopcu. Poszukał pulsu, ujmując bezwładną rękę.

Nie znalazł.

–Nie trafiła go żadna ze strzał – rzekł nad głową Jima wysoki mężczyzna w błękitnym stroju. Mówił do Dafydda w języku za topionej krainy. – Może tylko zasłabł.

Jim przytknął dłoń do ust króla, aby wyczuć ciepło lub wilgoć wydychanego powietrza, świadczące o tym, że chłopiec oddycha. Nie wyczuł.

Odciągnął jedną powiekę, potem drugą. Żrenice wyglądały zupełnie normalnie, nie były powiększone, oczy nie wychodziły z orbit. Zgodnie z tym, co Jim pamiętał z kursu pierwszej pomocy, źrenica nieboszczyka powinna być maksymalnie powiększona, a mięśnie całkowicie rozluźnione. Jeśli jedna źrenica była powiększona, a druga nie, oznaczało to, że została uszkodzona połowa ciała. Jednakże obie gałki oczne króla wyglądały zupełnie normalnie.

Chcąc się upewnić, Jim wyciągnął rękę i uszczypnął wewnętrzną część lewego uda króla. Prawe oko zareagowało. Dobrze, tak powinno być. Przytrzymując odciągnięte powieki, Jim obrócił głowę monarchy tak, by słońce zatopionej krainy świeciło mu w oczy. Żrenice zwężyły się.

Jim odetchnął z ulgą. Chłopiec jeszcze nie umarł. Nie wiadomo tylko, czy Jimowi uda się usunąć przyczynę tego stanu.

Spojrzał na Dafydda.

–Myślę, że zdołam go uzdrowić – powiedział. – Muszę spróbować, ponieważ sądzę, że rzucono na niego czar, a im dłużej pozostaje pod jego wpływem, tym gorzej. Tak więc zrobię, co w mojej mocy, lecz twój lud musi zrozumieć, że nie mogę obiecać, iż całkowicie wydobrzeje.

Dafydd rzucił kilka słów stojącym wokół ludziom. Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się pomruk aprobaty.

–Skąd możemy wiedzieć... – zaczął gromko Gruffydd, lecz pomruk stał się głośniejszy i przybrał groźny ton. Ci, którzy wcześniej cofnęli się, teraz zaczęli otaczać go ciasnym kręgiem. Wyprostował się z pogardliwym uśmiechem.

–James – rzekł Dafydd – nie zastanawiaj się, na miłość boską! Jim spoglądał na nieruchomego monarchę. Jak powiedział człowiek w błękitnej szacie, nie było śladu rany. W umyśle Jima zrodziło się nagłe podejrzenie. Podniósł głowę króla i obrócił. Korzystając z tego, że większość otaczających go ludzi nie znała angielskiego, powiedział w tym języku do Dafydda;

–Niech nikt się nie rusza! – rzekł. – Wszyscy mają pozostać na swoich miejscach. Potem niech każdy poszuka wokół czegoś w rodzaju patyka – nie kawałka gałązki, lecz obrobionego kawałka drewna. Zapewne leży tu gdzieś na ziemi. Może być

bardzo mały, więc szukajcie uważnie. Jeśli ktoś znajdzie coś takiego, niech mi przyniesie. Wszyscy mają pozostać na miejscach, dopóki nie powiem, że mogą się ruszyć!

Poczuł, że ktoś dotyka jego lewego ramienia.

–Milordzie! Czy mogę pomóc szukać? Umiem znajdować różne rzeczy!

–Nie, nie możesz, Hobie – powiedział cicho Jim. – Wracaj pod plandekę na jucznym koniu.

–Proszę, milordzie! Mogę z tobą zostać? Proszę...

–Dobrze – mruknął Jim. – Tylko nic nie mów, dopóki ci nie pozwolę.

Dafydd stanowczym głosem przekazywał polecenia Jima. Zapadła cisza, którą przerwał jęk bólu, wydany przez mężczyznę stojącego trzy metry na lewo od Jima.

–Mam coś! – zawołał w języku zatopionej krainy.

–Przynieś mi – polecił Jim.

Dafydd przetłumaczył. Mężczyzna podszedł, ostrożnie trzymając coś, co wyglądało jak tylna część złamanego w połowie bełtu, z brzechwą z dwóch piór. Niósł to delikatnie, trzymając za pióro dwoma palcami lewej ręki. Palce drugiej trzymał w powietrzu tak, jakby chciał je ochłodzić.

–Nie przypuszczałem, że to może być to – rzekł do Dafydda, podając patyk Jimowi. – Wydało mi się dziwne, że jest złamany, więc podniosłem go i szukałem drugiej części...

–Połóż to na ziemi obok mnie – powiedział Jim, nie czekając na ostatnie słowa i tłumaczenie Dafydda. – Ostrożnie!

Dafydd przekazał polecenie. Mężczyzna ostrożnie położył złamany bełt dziesięć centymetrów od prawej stopy Jima. Ten ostrożnie podniósł za to same pióro, które trzymał łucznik.

Czuł, jakby słaby prąd przepływał mu przez palce. Powoli chwycił za brzechwę kciukiem i palcem wskazującym, po czym palcami drugiej dotknął drzewca. Natychmiast słabe mrowienie zmieniło się w palący ból.

–Zaczarowany! – rzekł z ponurą satysfakcją. – W porządku. Już możecie zakończyć poszukiwania.

Ton jego głosu wystarczył i Dafydd nie musiał tłumaczyć. Wszyscy pozostali na miejscach, lecz wyraźnie odprężyli się i wydawali ciche westchnienia ulgi. Jim zwrócił się do Dafydda.

–Ten patyk został przygotowany wcześniej – rzekł. – Jest zaczarowany i osłonięty zaklęciem. Nie wystrzelono go. Ktoś z tu obecnych dotknął nim króla, kiedy zaczęto do nas strzelać. Kto stał najbliżej chłopca?

Nikt nie odpowiedział, lecz stojący wokół ludzie odsunęli się nieco, jak krąg rozchodzący się po powierzchni stawu, aż wokół Gruffydda powstała wolna przestrzeń.

–Masz – rzekł po angielsku Jim, trzymając drzewce za brzechwę i podając je Gruffyddowi.

–Weź! – rzucił ostro Dafydd w mowie zatopionej krainy.

–Nie – odmówił Gruffydd. – Mam słuchać rozkazów jakiegoś Saksona?

–Usłuchasz moich – rzekł Dafydd.

–Nic usłuchałbym nawet króla – rzekł Gruffydd, gwałtownym ruchem głowy odrzucając długie ciemnoblonde włosy i wyzywająco patrząc na Dafydda. – Gdyż on musi jeszcze zostać ogłoszony władcą przez walne zgromadzenie, zgodnie ze zwyczajem!

–Weź to! – warknął Dafydd. – A może się boisz?

–Boję? – wrzasnął Gruffydd. – Ja się nie boję niczego!

Wyrwał złamany bełt z ręki Jima i zacisnął palce. Stojący wokół ludzie nie zdawali sobie sprawy, że drewno niczym rozżarzone do czerwoności żelazo pali jego dłoń, gdyż nawet najmniejszy skurcz mięśni twarzy Gruffydda nie zdradzał tego faktu.

–Zabieraj to! – podał bełt Jimowi, lecz ten cofnął się już o krok i był poza jego zasięgiem.

–Potrzymaj go jeszcze przez chwilę – powiedział spokojnie. – Za moment czy dwa przepali ciało do kości i z dłoni zostanie ci tylko kikut.

Obawa, że zostanie kaleką, przyniosła skutek, jakiego Jim się spodziewał. Gruffydd rzucił w niego patykiem i stracił panowanie nad sobą. Jęknął i zaczął machać ręką w powietrzu, jakby chciał ją ochłodzić. Na jego dłoni widniała ciemna pręga.

Ponownie tylko Jim dostrzegł w tej prędze dowód na potwierdzenie swych podejrzeń. Ten ślad – jak po oparzeniu – był reakcją ciała Gruffydda na magię, która wciąż kryła się w drzewcu.

Jim nie na darmo był znakomitym siatkarzem w świecie, z którego pochodził. Chociaż od przywódcy szkarłatnych dzieliły go najwyżej trzy metry, bez trudu uchylił się przed rzuconym patykiem i złapał go w powietrzu, chwytając kciukiem i wskazującym palcem za pióro.

–Dafyddzie – rzekł – przekaż im to, co powiem.

–Zrobię to – obiecał Dafydd.

–Ów przedmiot – zaczął Jim – nie jest złamanym bełtem kuszy, chociaż na to właśnie wygląda. Niechaj każdy, kto ma wątpliwości, spróbuje znaleźć drugi kawałek, leżący gdzieś tu lub wbity w ziemię. To zaczarowany przedmiot, obdarzony specjalną magią. Można go bezpiecznie trzymać za jeden koniec, a zabić lub ogłuszyć człowieka, dotknąwszy go drugim. Wasz król został nim dotknięty, gdy posypały się na was strzały i nikt nie patrzył w jego stronę. Ta magia sprawiła, że jest teraz w takim stanie, lecz czar można z niego zdjąć. Spróbuję to zrobić.

Przyklęknął przy nieprzytomnym królu. W jednej ręce nadal trzymał patyk; przyjrzał mu się badawczo.

Mógł zdjąć ochraniające go zaklęcie i użyć magii. Tutaj nie było to żadnym problemem. Z drugiej strony, podczas wyprawy do królestwa sękatych jego magia tutaj nie działała. Nagle przypomniał sobie, że było to, zanim KinetetE odesłała go zaopatrzonego w dwa ochronne zaklęcia.

Teraz wiedział, że ograniczenia magii można obejść. Mógł otoczyć chłopca własnym zaklęciem ochronnym i skorzystać z magii wewnątrz osłony. To nie stanowiło żadnego problemu. Pytanie tylko, w jaki sposób uleczyć młodego króla.

Najprościej byłoby zdjąć z niego czar, tak jak Morgan le Fay próbowała zdjąć osłonę z Jima, lecz KinetetE zabezpieczyła zaklęcie właśnie przed takimi zakusami. Czar rzucony na młodego władcę również mógł być zabezpieczony śmiertcionośnymi pułapkami, z rodzaju tych, jakich członkowie zgromadzenia magów, do którego należał Carolinus i KinetetE, nigdy nie używali.

Mógł spróbować skierować tę magię gdzie indziej – lecz gdyby naprawdę okazała się zabójcza, byłby odpowiedzialny za złe jej wykorzystanie. Zastanawiał się, dlaczego nie zabiła młodego króla. Najwyraźniej została tak zaprojektowana celowo, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego.

Dodatkowo poważnym problemem było to, że jeśli pomoże królowi w magiczny sposób, ten, kto z czarował ten kawałek drewna, dowie się o jego pobycie w zatopionej krainie.

Jim pozostawał niewidzialny dla takich jak Morgan le Fay, dopóki nie korzystał z magii. Oczywiście, aby walczyć z nim magiczną bronią, Morgan musiałaby przybyć do zatopionej krainy, lecz nic nie mogło jej przed tym powstrzymać. TB mógł wątpić, czy któraś z legendarnych postaci Liones mogła istnieć poza granicami tego królestwa, lecz Morgan nie będzie miała żadnych takich złudzeń. Gdyby tu przybyła... ich magiczne starcie przypominałoby pojedynek ciężkiego krążownika z jachtem.

Jak więc zdjąć czar z tego chłopca, nie posługując się magią? To niemożliwe...

Nie, bynajmniej. Gorączkowo rozważając różne możliwości, znalazł jedną i o mało jej nie przeoczył. Zaledwie cień szansy...

Już dotykał ciała króla, kiedy go badał. A więc dotykanie króla niczym mu nie groziło. Rozejrzał się wokół i piętnaście metrów dalej zobaczył dębowy zagajnik.

–Dafyddzie – zapytał – czy możemy ostrożnie przenieść króla do tamtych drzew? Potrzebne mi takie z grubym pniem.

–Tak – odparł regent i przeszedł na miejscowy język, zwracając się do tłumu.

–Kuzyni! Potrzebuję waszej pomocy! Wy trzej – William, Thomas i Rhys!

Trzej rośli mężczyźni w błękitnych strojach i z łukami na ramionach wystąpili naprzód. Dafydd wyjaśnił im, co mają robić, i razem podnieśli nieprzytomnego monarchę, po czym poszli za Jimem. Pozostali ruszyli za nimi. Jim podszedł do największego pnia, jaki zdołał znaleźć.

–Posadźcie Jego Wysokość pod tym drzewem, plecami do pnia – rzekł do Dafydda.

Tak też zrobili. Na szczęście biodra chłopca zmieściły się między dwoma wystającymi korzeniami, tak że siedział w niewielkiej odległości od pnia, dotykając go jedynie głową i górną częścią pleców. Drzewo było spore, tak że nie osuwał się na bok. Pozostał w tej pozycji, w jakiej go posadzono. Mimo to Dafydd stał w pobliżu, aby podtrzymać go w razie potrzeby. Trzej mężczyźni, którzy pomagali mu nieść młodzieńca, teraz wycofali się i stanęli szerokim półkolem w bezpiecznej odległości.

–W porządku, Dafyddzie – powiedział Jim. – Możesz tu zostać, jeśli chcesz, ale lepiej cofnij się o kilka kroków. Król nie upadnie. W razie potrzeby użyję magii, aby go podtrzymać.

Dafydd posłuchał jego rady.

–Milordzie... – szepnął cichy głosik do lewego ucha Jima. – Milordzie, czy mogę...

–Siedź spokojnie – odrzekł niemal bezgłośnie Jim. – Zaraz będę miał dla ciebie zajęcie.

Stanął po drugiej stronie drzewa, pod którym siedział król. Potem objął ramionami pień i przycisnął policzek do szorstkiej kory. Miał wrażenie, iż wyczuwa pod nią przyjazne ciepło, podobne do tego, jakim emanowało drzewo w Dedalowym Lesie. Odwróciwszy twarz od tych, którzy obserwowali króla, pomyślał słowa, które powinien wyrzec głośno, ale nie odważył się. Zrobił to tak, by usłyszało go drzewo, lecz nie stojący obok ludzie. Czuł, jak drgają mu struny głosowe, gdy próbował niemo wyrazić tę myśl.

–Drogie drzewo – pytał bezgłośnie – czy możesz pomóc temu chłopcu, który pod tobą siedzi? A może porozumiesz się z drzewami w Liones i zapytasz, czy one mogłyby zdjąć z niego czar, który pozbawił go przytomności? Sądzę, iż jest to część wrogiej magii, która usiłuje zawładnąć Liones, a i tu sprawia teraz kłopoty Wiem, że drzewa Liones chętnie by pomogły. Czy ty zechcesz to zrobić? Ja nie mogę, a obawiam się, że jeśli czar nie zostanie szybko z niego zdjęty, omdlenie zakończy się śmiercią.

Zamilkł. Nie słyszał i nie czuł żadnej odpowiedzi.

–Hobie – szepnął kącikiem ust. – Czy drzewo usłyszało? Czy odpowiedziało mi w jakiś sposób?

–Och tak, milordzie. Powiedziało, że chłopiec by nie umarł, ale i nie obudziłby się. A to oznaczałoby, że przywódcy barw musieliby wybrać nowego króla. Nikt, nawet ten człowiek w brązowej szacie, któremu kazałeś trzymać magiczną różdżkę, nie odważyłby się zabić monarchy. Jeśli jednak chłopiec nie otrzyma pomocy, będzie spał wiecznym snem, a pod rządami złego króla dla zatopionej krainy nie ma żadnej nadziei.

„To długie przemówienie jak na Hoba”, pomyślał Jim, „nawet jeśli tylko przekazuję cudze słowa”.

–Czy to drzewo – to jedno lub wszystkie drzewa zatopionej krainy – pomogą nam? – zapytał w końcu.

–To drzewo tak mówi, milordzie. Wybacz, że nie powiedziałem ci od razu. Ono przejmie rzucony na chłopca czar i wydali go końcami każdego liścia, gałązki i konaru. Podobno każde drzewo to potrafi. Czar zostanie podzielony na mnóstwo coraz mniejszych części i żadna z nich nie będzie na tyle duża, aby znalazł ją ten, kto go rzucił. Nie zdoła go też złożyć z tak wielu kawałków. Dlatego nie będzie wiedział, że mu się nie udało.

–Wspaniale! – rzekł uszczęśliwiony Jim, ściskając drzewo. Potem puścił pień. – A dlaczego nie słyszałem głosu drzewa, tak jak w Liones.

–Drzewa Liones mówią w innym miejscu niż tutejsze czy nasze.

–Miejscu? – zdziwił się Jim. – Jakim miejscu?

–No... – Hob przeskoczył na wypukłą narośl na pniu drzewa i łapiąc równowagę, stanął na wysokości oczu Jima. Wyciągnął obie ręce, trzymając jedną dłoń tuż nad

drugą. Poruszył nimi kilkakrotnie, tak że nie zetknęły się. – Widzisz, milordzie? Kiedy drzewo z Liones próbuje porozmawiać z drzewem z zatopionej krainy, rozmijają się. Nie mogą się usłyszeć.

Jim przez chwilę spoglądał na niego. Nagle zrozumiał.

–Chcesz powiedzieć, że nadają na różnych falach?

–Falach? Och nie, milordzie, to jest w powietrzu, nie w wodzie.

–Nieważne – mruknął Jim. Może później znajdzie jakiś sposób na to, żeby drzewa tych dwóch krain zaczęły nadawać na tej samej długości fali, a przynajmniej by zawsze i wszędzie mógł usłyszeć, co do niego mówią. Teraz najważniejszą sprawą było uzdrowienie króla.

Ponownie objął pień.

–Dziękuję ci, drzewo – przekazał. – Zrobisz to?

Usłyszał cichutki szelest liści, chociaż najlżejszy podmuch wiatru nie poruszył nieruchomego powietrza. Siedzący pod drzewem chłopiec powoli otworzył oczy, rozejrzał się wokół, a potem zerwał na równe nogi, zanim Dafydd zdążył go powstrzymać.

–Co to? – spytał król. – W jednej chwili zaatakowano nas, a w następnej... Co się stało?

–Mój królu – rzekł Dafydd, przyklękając przed nim. – Chwała Bogu. Jesteś zdrowy i cały!

–Oczywiście, że jestem zdrowy i cały! Dlaczego nie miałbym być? Pytałem, co się stało. Wstań, Dafyddzie, i odpowiedz mi!

–Zaraz wszystkiego się dowiesz, miłościwy panie – powiedział Dafydd, z pochmurną miną podnosząc się z klęczek. Krzyknął przez ramię do gromady stojących za nim mężczyzn w barwnych strojach. – Schwytaj Gruffydda ap Howela i przyprowadź do mnie!

W tłumie powstało zamieszanie, które trwało dłuższą chwilę i w końcu przerodziło się w głuche i zawstyżone milczenie. Gruffydda nie było. Zniknął bez śladu.

Rozdział 21

Dziwne, lecz nikt nie zauważył jego nieobecności ani momentu, kiedy odchodził. Okazało się, iż cała grupa towarzysząca Jimowi w dębowym zagajniku martwiła się tylko o zdrowie króla i wszyscy sądzili, że ktoś inny pilnuje Gruffydda. Niestety, nikt tego nie robił.

–Jakby powiedział Aargh – rzekł ponuro Dafydd – to zimny trop. Nie zdołamy już złapać Gruffydda ani dowiedzieć się, skąd pochodzi ten złamany magiczny bełt.

Spojrzał na Jima.

–Chyba że pomoże nam magia, sir Jamesie?

–Wątpię – odparł Jim. – Spróbuję wymyślić jakiś sposób, ale za mało znam Gruffydda, aby go odnaleźć.

Była to tylko część prawdy. Chodziło o to, że mag musiał zwizualizować sobie przedmiot lub osobę, którą chciał odnaleźć. Było to możliwe w przypadku kogoś napotkanego niedawno i dobrze poznanego. Jim, zajęty ratowaniem młodego króla, zapamiętał tylko niektóre cechy – niski wzrost, długie włosy i brązową szatę zamachowca.

Wysoki przywódca zielonych, który jako pierwszy wyraził zastrzeżenia wobec obecności Jima i jego towarzyszy, wystąpił z tłumu i przyklęknął przed chłopcem.

–Miłościwy panie – powiedział – życie naszego króla jest święte i nic nie powinno mu zagrażać. Racz mi wybaczyć, iż przemawiałem przeciwko tym przybyszom, z których jeden właśnie uratował ci życie. Popełniłem błąd i błagam o wybaczenie, iż wątpiełem w twojego regenta.

–Nie mam czego wybaczać, Llewelynie – odrzekł stojący już chłopiec, – Wiem, iż kierowałaś się troską o mnie. Wstań!

Mężczyzna podniósł się i podszedł do Dafydd. Ten chwycił go za ramię i przytrzymał, nie pozwalając ponownie przyklęknąć.

–Przywódcy nie klękają przed przywódcami, Llewelynie – powiedział. – A godność regenta piastuje się przez krótki czas. Mówiłeś jak człowiek uczciwy i szczerze.

–A więc powiem w imieniu zielonych – rzekł Llewelyn. – Będziemy ufali tym, których tu przywiodłeś, tak samo jak ty i bez dalszych pytań pójdziemy za tobą wszędzie, dokąd nas poprowadzisz. Niechaj inni powiedzą za siebie.

Odpowiedział mu chóralny odzew, gdy wszyscy mężczyźni zaczęli cisnąć się do nich i potwierdzać jego słowa w imieniu swoich klanów.

–A zatem – powiedział Dafydd, spoglądając na chłopca – jeśli nasz król się zgodzi, nie ma powodu, abyśmy nie mogli kontynuować naszej rozmowy w obecności wszystkich. Chyba że jeszcze ktoś wątpi w uczciwość naszych gości? Nikt się nie odezwał.

–Dawno nie widziałem takiego zamieszania! – mruknął Brian do ucha Jimowi, najwyraźniej znów zirytowany tym, że nie rozumie języka zatopionej krainy. – Wszyscy pchają się do króla, a przed chwilą jeden z nich go zaczarował. Kto wie, czy nie ma wśród nich drugiego takiego? Kto wie, czy jeden z nich nie łże w żywe oczy, żeby potem pobiec i powtórzyć wrogom każde wypowiedziane tu słowo?

–Cii – syknął zakłopotany Jim. Na szczęście Brian mamrotał zbyt cicho, żeby ktoś

prócz niego zrozumiał, co mówi – nawet Dafydd i król, którzy znali angielski. Wszyscy jednak widzieli, że powiedział coś Jimowi do ucha. – Dafydd mówił ci, że tutaj panują inne zwyczaje.

–Niech sobie... – Brian zamknął usta. Na szczęście nikt z otaczających ich ludzi nie poczuł się urażony.

Jednakże Dafydd miał bardziej wyostrzony słuch niż inni. Obrócił się do Jima i Briana.

–Co o tym sądzicie, sir Brianie, sir Jamesie, TB?

TB z zadowoleniem przyjął fakt, że pytanie obejmowało i jego.

–Być może przyniesie to korzyść nam wszystkim.

–Chciałbym znaleźć tych, którzy gromadzą się na waszym pograniczu. Znaleźć i rozprawić się z nimi! – rzekł Brian.

–Jeśli zadowala was taka odpowiedź – powiedział Jim – to sądzę, że zapewne właśnie tym się teraz zajmiemy. Jednak nie chcemy się wiązać żadnymi obietnicami, na wypadek, gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

–Miłościwy panie, czy pozwolisz?

–Och, oczywiście. Oczywiście, Dafyddzie. Tak jakby uczynili to nasi przodkowie.

–A zatem wynieście tu stół z namiotu, aby król i nasi goście mogli zasiąść pośród nas.

Pół tuzina stojących najbliżej wejścia do namiotu zniknęło w środku. Pozostali cofnęli się. Po chwili król, Dafydd i goście zajęli miejsca za stołem ustawionym w jasnym słońcu, pośród przedstawicieli różnych barw, którzy usiedli półkolem na ziemi. Siedzący przy stole rozmawiali po angielsku, a Dafydd tłumaczył ich słowa tym, którzy nie rozumieli tego języka.

–Sir Jamesie – rzekł Dafydd – ty, jako mag i rycerz, widziałeś, co się tu wydarzyło. Nasza kraina zawsze była wolna od magii i nadal jej tu sobie nie życzymy. Jak możemy walczyć z siłą, która powaliła naszego króla?

Jim powiódł wzrokiem po zapatrzonych w niego ludziach.

–Prawdę mówiąc – rzekł – nie wiem, co moglibyście zrobić. Wydaje się oczywiste, że jakkolwiek Ciemne Moce zamierzają opanować Liones, ich plany obejmują także zatopioną krainę. Jednakże nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego mieliby ją podbijać. To nie ma sensu. Liones to co innego. Ciemne Moce są magicznymi siłami, a Liones jest pełna magii, tak więc przyciąga inną. Być może to jest powód. Nie obraż się, TB...

Zerknął na TB, który siedział obok niego na ziemi, tak że jego gadzi łeb znajdował się wysoko nad stołem.

–Niełatwo się obrażam, sir Jamesie – odparł TB, przez moment pokazując jęzor, zdumiewająco cienki i czarny w jasnym, żółtym słońcu. – Tylko czy jesteś pewny, że nie ma żadnego powodu, by te Moce i ich siły inwazyjne kierowały się także przeciwko tej krainie?

–Hm, jest jeden – i tylko jeden – powiedział Jim. – W Liones nie ma przypadku ani historii. Ona jest ukształtowana i czas, nie licząc bieżącej chwili, wydaje się w niej nie istnieć. Innymi słowy, tam historia nie zmienia się. Tymczasem w zatopionej krainie

istnieje zarówno historia, jak i przypadek. Oczywiście, jest to swoista historia i swoisty przypadek. A Ciemne Moce pragną zniszczyć jeden z tych elementów, jeśli tylko im się to uda.

–A jak... – zaczął młody król.

–Nie wiem – przerwał mu w pół słowa Jim. – To zbyt daleko idące przypuszczenia, lecz tylko tyle mogę teraz powiedzieć. Może Ciemne Moce wykorzystują zatopioną krainę, ponieważ znajduje się blisko Liones. Czy wy, Dafyddzie i TB, nie powiedzieliście, że na pograniczu mogą gromadzić się ich siły inwazyjne?

–Może wyjaśniłbyś, Jamesie – odezwał się niespodziewanie Brian – dlaczego przypadek i historia są takie ważne dla Ciemnych Mocy. Przysięgam, iż w Anglii jest mnóstwo dam i rycerzy – nie mówiąc o tych, którzy w pocie czoła zarabiają na życie – którzy nigdy nie zastanawiali się nad tym. Muszę przyznać, że mi też przychodzi to z dużym trudem!

–Istotnie! Sądzę, że to dobry pomysł, sir Brianie! – przytaknął Dafydd. – Powiesz nam, sir Jamesie?

Jim powiódł spojrzeniem wokół stołu, po wyczekujących, wpatrzonych weń twarzach. Jak miał im to wyjaśnić?

–Naprawdę nie potrafię – powiedział. – Sam tego nie rozumiem.

Dafydd przetłumaczył. Jim widział, że w oczach widzów gaśnie błysk nadziei. Magowie powinni znać wszystkie odpowiedzi.

–Mogę tylko powtórzyć wam, co mój mistrz magii... – tym razem starał się wymówić to słowo tak, jak oni je wymawiali – mówił o Ciemnych Mocach. Moim mistrzem jest Carolinus, jeden z trzech najpotężniejszych magów w górnej krainie. Chcecie to usłyszeć?

–Powiedz nam to własnymi słowami, sir Jamesie – rzekł po angielsku król, a kilku z siedzących w kręgu pokiwało głowami, najwidoczniej dostatecznie znając ten język, by śledzić rozmowę, podczas gdy Dafydd tłumaczył ją innym.

Jim spojrzał na twarze słuchaczy czekających na jego słowa. Przez chwilę ich skupiona i napięta uwaga przywiodła mu na myśl gromadkę dzieci... nie, nie dzieci. Raczej aktorów grających rolę dzieci.

Może istotnie grali pewną rolę, powiedział sobie. W sztuce życia. Przez chwilę miał wrażenie, że cała ta sytuacja jest nierealna. Barwy, przywódca, słoneczna kraina setki lub tysiące metrów pod powierzchnią morza – oraz inna ziemia legend i magii, podobnie jak pierwsza zamieszkała przez ludzi, którzy żyli w niej i umierali. Mówiące drzewa, Ciemne Moce, królowe czarodziejek...

Kręciło mu się w głowie. Rzeczywiste mieszało się z nierealnym. Po raz pierwszy, od kiedy przybyli z Anglii do tego świata, Jim zatęsknił za swoimi czasami. Tam nie było magii ani obcych mocy, archaicznych związków, zobowiązań i zasad. Czuł się jak człowiek porwany przez wir, nie mogący znaleźć żadnego oparcia.

Tęsknił za Anglią. Przy niej nawet ten świat stawał się uporządkowany. Bezpiecznie ukryty pod osłoną zaklęcia, mógł w każdej chwili do niej wrócić. W mgnieniu oka mógł znaleźć się w Malencontri.

Gdyby jednak to zrobił, pozostawiłby na pastwę losu tych, z których dwóch – nie,

trzech, licząc TB – było jego przyjaciółmi. Pomimo to Jim z najwyższym trudem oparł się pokusie.

–Carolinus powiedział mi, że Ciemne Moce usiłują całkowicie wstrzymać bieg historii – zatrzymując wszystko, a to, co jest nieruchome, w końcu umiera – albo zwiększyć rolę przypadku, w wyniku czego nie istniałoby nic pewnego i zapanowałby powszechny chaos. Ziemia, woda, budynki, wszystko wymieszałoby się ze sobą i uniosło w powietrze, a wtedy nie byłoby po co żyć i nastąpiłby kres egzystencji człowieka.

Nie mógł tego zrobić. Uniemożliwiało mu to poczucie obowiązku, równie odwieczne jak ta kraina, więzy przyjaźni łączące go z Brianem i Dafyddem, a nawet zobowiązania wobec TB i tego zręcznego, złośliwego starca, jakim był Carolinus.

Urwał. Słuchali go – chłonąc każde słowo tłumaczone przez Dafyddda.

–Tak więc – zakończył – musimy ze wszystkich sił przeciw stawiać się Ciemnym Mocom, jeśli chcemy przetrwać i rozwijać się. To powinność wszystkich mężczyzn i kobiet – i ten obowiązek sprowadził do was sir Briana, TB i mnie. Nieważne, kogo i gdzie zaatakują Ciemne Moce. Ten atak musi zostać odparty.

Skończył mówić. Dafydd, który tłumaczył jego słowa, także – prawie równocześnie. Jim czekał, aż ktoś zabierze głos. Jednak nikt się nie odzywał. Po kilku sekundach uświadomił sobie, że jakoś udało mu się do nich dotrzeć. Jakimś cudem pokonał barierę odmiennych doświadczeń oraz różnych języków i sprawił, że zrozumieli, jakim zagrożeniem są Ciemne Moce.

–Czy Ciemnych Mocy nie można pokonać raz na zawsze, sir Jamesie? Nie można ich zabić? – spytał w końcu król.

–Nie, miłościwy panie – odparł Jim – ponieważ w pewnym sensie są one... – w samą porę powstrzymał się i nie powiedział „wytworem środowiska” -...płodem odwiecznej walki między historią a przypadkiem. My, ludzie, zawsze usiłujemy mierzyć historię według upływającego czasu. Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś: „Każde działanie powoduje jednakowe i równoważne przeciwdziałanie”. Chaos jest odwrotnością historii.

Król zmarszczył brwi, usiłując to przetrawić.

–Cóż więc możemy zrobić?

–Starać się powstrzymać je, ilekroć usiłują wtrącać się w nasze życie, miłościwy panie. Zgromadzenie Magów górnej krainy, o którym wspominałem, z powodzeniem wspiera ludzi walczących z tymi mężczyznami i kobietami, z pomocą których Ciemne Moce usiłują wprowadzić pożądane dla siebie zmiany.

–Jak mamy znaleźć tych sprzymierzeńców Ciemnych Mocy?

–Oni muszą tu gdzieś być, na waszej ziemi i w Liones, gdyż na oba te królestwa padł cień Ciemnych Mocy. Jedną z nich jest zapewne Morgan le Fay, królowa czarodziejek. Kto może pomagać im w zatopionej krainie, jeśli ich działanie sięgnęło i tutaj?

–Ten złamany bełt był zaczarowany – powiedział król. – Czy potrzebujemy innego dowodu?

–Natomiast co do tego, kto tutaj je wspiera – rzekł Dafydd – kiedy zostałem

regentem, dowiedziałem się, że Morgan le Fay pięć tygodni temu odwiedziła naszą krainę.

–Naprawdę? – powiedział TB i Jim po raz pierwszy usłyszał w jego głosie zdumienie. Takiego zaskoczenia nie wywołało u niego nawet niespodziewane przeniesienie z Liones do zatopionej krainy.

Młody król spojrział na Dafydd.

–Nie powiedziano mi o tym! – zauważył.

–Było to jeszcze przed śmiercią twego ojca, kiedy leżał już zdjęty niemocą. Nie widzieliśmy powodu, aby cię tym niepokoić. Jednak z tego, co mówi sir James, wynika, że teraz nasi ludzie i mieszkańcy Liones powinni pomagać sobie wzajemnie – jeśli ci dumni sąsiedzi pozwolą sobie pomóc.

–Porozmawiam z nimi. Dla nich jestem takim samym królem jak każdy inny.

–To by z pewnością nie zaszkodziło, miłościwy panie – rzekł Dafydd – ale najpierw wolałbym poszukać innego sposobu. Sir Jamesie, sir Brianie, TB – czy macie jakieś propozycje?

Brian i TB nie odezwali się.

–Sądzę, że możemy się domyślać – powiedział Jim – ale nie mądrze jest podejmować decyzje w oparciu o domysły. Ktoś jeszcze oprócz Morgan le Fay może być narzędziem Ciemnych Mocy – może to być jedna osoba lub kilka. Musimy jak najlepiej rozpoznać sytuację, zanim podejmiemy jakieś działania. Co tutaj mówiono o pograniczu i gromadzących się tam wojskach? Sir Brian i ja – a także lord TB, jeśli zechce – powinniśmy przyjrzeć się temu z bliska.

Dafydd, który nadal tłumaczył prowadzoną przy stole rozmowę na użytek słuchaczy nie znających angielskiego, teraz wtrącił:

–Jeśli tam wyruszyacie, muszę jechać z wami... Za pozwoleniem mojego króla, oczywiście.

–Masz je, Dafyddzie – rzekł władca i osobiście przetłumaczył zebrany prośbę Dafydda oraz swoją odpowiedź.

–Dziękuję, mój królu – odparł Dafydd po angielsku.

Siedzący wstali i ustawili się rzędem, ciągnącym się coraz dalej, gdy pierwszy z nich klęknął przed królem, od którego dzieliła go tylko szerokość stołu, Dafydd przemówił do nich szorstko w ich własnym języku.

–Co się znów dzieje? – warknął Brian do ucha Jimowi. – Co powiedział?

Król przechylił się przez stół do mężczyzny w zielonym stroju, pierwszego, który przed nim uklęknął.

–Powiedział: „Będziecie strzec go i bronić, jakbym tu był” – wyjaśnił Jim, nagle uświadamiając sobie, że Brian nie rozumie tego, co tu powiedziano.

–Powinni – mruknął Brian.

–Musiał uzyskać zgodę króla. Otrzymać ją, lecz to oznacza, że władca zostanie bez swego regenta. Dafydd właśnie rozkazał innym, żeby pilnowali chłopca podczas jego nieobecności.

–Aha. A co robią teraz?

Młody król wyciągnął rękę nad wąskim stołem i położył dłoń na ramieniu

klęczącego, który zaraz ustąpił miejsca następnemu w kolejce. Jim i Brian widzieli taką ceremonię podczas poprzedniego pobytu w zatopionej krainie, tylko że teraz król kładł dłoń nie tylko na ramieniu, ale i na głowie każdego kolejnego mężczyzny.

–To jakaś ceremonia?

–Myślę, że osobiście – a może i w imieniu całego klanu – przysięgają wierność królowi.

–Bardzo dobrze. Doskonale.

–Król naprawdę pozwolił Dafyddowi jechać z nami na pogranicze?

–Oczywiście! – odparł Brian ze szczerą ulgą w głosie. – W pełni to aprobuję.

Mądra decyzja. Dafydd będzie o wiele bardziej przydatny jako rycerz tam niż jako piastunka tutaj... – Urwał i dodał z niepokojem: – Jamesie, chyba Jego Wysokość nie zmieni teraz zdania?

–Nie, nie po tej ceremonii.

–Co za ulga. Ten król to niezły chłopak, ale jeszcze młody, a ci cudzoziemcy, jak wiesz...

–Sir Jamesie, sir Brianie, TB – rzeki do nich król. – Dafydd... – tu wyrecytował niewymawialne dla Anglików nazwisko rodowe i tytuły łucznika, aż do „księcia skał omywanych przez morze” -...uda się z wami na pogranicze lub dokądkolwiek będziecie musieli podążyć. Uważaj na siebie, Dafyddzie.

–Będę, mój królu – obiecał Dafydd i teraz on uklęknął przed monarchą.

Po chwili wstał i znów stał się roslym tropicielem i mistrzem łucznictwa, którego od dawna znali.

–Muszę was poprowadzić. Ruszajmy.

Dosiedli koni i pojechali za Dafyddem – który szedł pieszo – w górę po zielonym zboczu pobliskiego wzgórza, pozostawiając za sobą namiot i wszystkich stojących wokół niego. Jechali powoli. Kiedy dotarli na szczyt, usłyszeli za plecami tętent kopyt i po chwili dopędził ich wysoki mężczyzna z siwą brodą, wiodąc karego konia, którego wodze rzucił Dafyddowi.

–Dziękuję ci, Llewelynie – rzekł Dafydd, wsiadając na konia. Tamten uniósł rękę w geście będącym czymś w rodzaju pozdrowienia i dwudziestowiecznego salutu, zawrócił swego wierzchowca i pełnym galopem zjechał z powrotem po zboczu.

–Chyba często łamią tu karki, konie i ludzie – rzekł bez przygany w głosie Brian, gdy ściągnęli wodze, aby poczekać na Dafydda. – Na Boga, oni umieją jeździć!

–Nasze pierwsze konie ukradliśmy Rzymianom – wyjaśnił Dafydd, który dopędził ich i usłyszał ostatnie słowa. – Wyhodowaliśmy lżejszą i szybszą rasę, a ponadto wypracowaliśmy własny styl jazdy.

–Czy daleko stąd do pogranicza? – zapytał TB.

Prawie zapomnieli o jego obecności. Biegł obok nich, sadząc długimi susami, lekko, jakby mógł utrzymać takie tempo przez cały dzień.

–Tuż za następnym wzgórzem – odparł Dafydd.

–Zamierzałem przenieść tam nas wszystkich za pomocą magii, ale przypomniałem sobie, że nie mogę tego zrobić, ponieważ ona nie działa poza Liones. Dlaczego nie użyjesz w tym celu magii zatopionej krainy?

–Nie mogę – oparł Dafydd. – W zatopionej krainie nie istnieje magia, a przynajmniej tak było do dzisiejszego zamachu Gruffydda. Nawet to słowo ma dla nas przykry wydźwięk. Nigdy nie byłem i nie chciałem być magiem. Nie. z rozmysłem wybraliśmy z królem na spotkanie to miejsce, które znajduje się w pobliżu pogranicza.

–Ha! – mruknął z satysfakcją Brian, który, o czym Jim dobrze wiedział, lubił, gdy wszystko miało konkretny powód.

–Tak. Gdyby nie udało nam się uzyskać poparcia przywódców, zamierzaliśmy ruszyć na pogranicze i sprawdzić, co się tam dzieje. Towarzyszący nam ludzie nie puściliby nas samych, tak więc pojechalibyśmy tam wszyscy. Szczęśliwie się złożyło, Jamesie, że zaproponowałeś, żebyśmy wyruszyli we trzech... przepraszam, TB, we czterech, gdyż od początku miałem taki zamiar.

Rozmawiając, przejechali płytką dolinkę między pagórkami i po chwili byli już w połowie stoku. W ciągu kilku minut znaleźli się na szczycie tego, co Dafydd nazwał „następnym” wzgórzem, i za otwartą przestrzenią ujrzeli las równie nęcący jak każdy w zatopionej krainie, gdzie wszystko wyglądało zachęcająco.

Gdy zatrzymali wierzchowce na szczycie, żeby dać im odetchnąć – a także, choć żaden z nich o tym nie wspominał, by pozwolić odpocząć TB, gdyby tego potrzebował – dopiero wtedy Jim, patrząc na drzewa będące raczej wiązami niż dębami oraz widoczną przed i między nimi murawę, poczuł dziwny, lecz przejmujący niepokój.

Rozdział 22

–Czy któryś z was coś wyczuwa? – zapytał Jim pozostałych.

–Nie – odparł Brian. – Aczkolwiek powiedziałbym, iż mamy przed sobą najpiękniejszy widok na świecie, choć nie potrafię wyjaśnić dlaczego.

–Strzeżcie się! – powiedział TB. – Ja też czuję... I niemal w tej samej chwili Hob zawołał:

–Uważaj, milordzie! Drzewa nas ostrzegają!

–Z powrotem! – krzyknął Brian, zawracając Blancharda. Jim gwałtownie okręcił Gorpa i wszyscy pogalopowali w dół zbocza, na które właśnie wjechali. W chwili gdy znaleźli się poniżej grzbietu wzgórza, dziwne uczucie ustąpiło.

Brian ściągnął wodze. Zatrzymali się.

–Czasem granica między Liones a zatopioną krainą przesuwa się – powiedział Dafydd. – Jednak jeszcze nigdy nie widziałem, żeby znalazła się tak daleko na naszej ziemi. To musi być magia, chyba że...

Urwał i spojrzał na Jima.

–To magia – potwierdził ponuro Jim.

–Ten malec ma rację – rzeki TB. – Drzewa nas ostrzegają. a ponieważ nie poznają mnie w tej krainie, ten mały musiał przekazać ich ostrzeżenie.

–Chciałbym je słyszeć – powiedział Jim. – Nauczyłem się mowy sękatych i koni. Powinienem...

–To może nie być takie łatwe – wtrącił TB. – Sękaci są naturalnymi, istotami bliższymi wam niż drzewa. Ja nie znam się na magii i nie jestem równie uzdolniony jak Merlin czy królowa czarodziejek. Słyszę mowę drzew i zwierząt tylko dlatego, że umożliwia mi to Stara Magia.

–No cóż, nie możemy siedzieć tu cały dzień i rozprawiać o tym – uciął Brian, – Jamesie, jedziemy naprzód czy nie?

–Naprzód – zdecydował Jim. Stwierdził, że zaciska szczęki. – Jeśli to jest magia, zajmę się tym.

Rozluźnił mięśnie twarzy, gdy wjechali z powrotem na zbocze, a potem zjechali po drugiej stronie, ku pierwszym drzewom. Te stały w niemal równym rzędzie na skraju otwartej przestrzeni i spora odległość dzieliła je od następnych, będących najwidoczniej brzegiem lasu. Czując narastający niepokój, jechali dalej, aż dotarli na równy teren, zaledwie osiem lub dziesięć metrów od lasu. Tam zwolnili.

Jim pojechał pierwszy, kierując się między dwa najgrubsze pnie w pierwszym rzędzie drzew, Słońce świeciło mu w plecy, trawa za drzewami była więc ciemniejsza i słabo widoczna. Nikt się nie odzywał, żaden podmuch nie poruszał liści drzew. Jechali w milczeniu. Gorp nagle podrzucił łbem, jakby przeszkadzała mu uзда.

Dopiero gdy jadący teraz na przedzie Blanchard znalazł się tuż przed następnym rzędem drzew, Dafydd wyszedł zza grubego pnia wiązu po prawej.

Konie natychmiast zatrzymały się, chociaż jeźdźcy nie ściągnęli wodzy. Gdyby w tym momencie Dafydd nie jechał na jednym z nich, Jim nigdy by nie uwierzył, że wyłaniająca się przed nim sylwetka nie należy do mistrza łucznictwa.

Nowy Dafydd nic nie powiedział. Odwrócił się i machnął ręką, jakby odślaniał

przestrzeń za drzewami, a kiedy wszyscy spojrzeli we wskazanym przez niego kierunku, ziemia tam zapadła się i pękła, tworząc między drzewami szeroką przepaść, która zagradzała im dalszą drogę i ciągnęła się jak okiem sięgnąć na prawo i lewo. Ściany tej rozpadliny opadały pionowo, ukazując ziemię i potrzaskane kamienie, im niżej tym coraz czarniejsze i bardziej wystające, przybierające dziwne kształty. Kształty te przypominały ludzkie ciała do połowy zatopione w kamieniu, podobne do gargulców i innych nieludzkich stworów, sterczące z każdego skalnego występu.

Dno przepaści skrywał głęboki mrok.

– Nawet gdyby jej nie było – rzekł drugi Dafydd – nie pozwoliłbym wam przejść.

Aby przejechać, musicie mnie zabić, a te go nie zdołacie zrobić.

Jego głos był niesamowicie podobny do głosu Dafydda, lecz pozbawiony ciepła, prawie mechaniczny.

– Istotnie? – rzekł Brian i ujął wodze.

Dafydd – prawdziwy Dafydd – wyciągnął rękę, by zatrzymać rycerza, ale powstrzymał się w porę, zanim dotknął jego ramienia.

– Nie, Brianie – powiedział. – Ja muszę to zrobić.

– Chwileczkę – uciął Jim. – Nie działajmy pochopnie. To nie jest normalne zjawisko w zatopionej krainie, prawda, Dafyddzie?

– Nie – odparł łucznik. – Dlatego to ja muszę się z nim potykać. On jest fałszem, skazą na naszej ziemi, którą plami swą obecnością!

– Wstrzymajcie się, Dafyddzie, Brianie – uspokajał Jim. – Jak powiedziałeś, on jest fałszywy. Nie należy do waszej krainy, w której nie ma magii – lecz najwidoczniej jest jej wytworem. Zastanówmy się nad tym.

Tamci dwaj cierpliwie czekali. TB również. I Hob na ramieniu Jima. Nawet drugi Dafydd milczał i czekał. Jim przyjrzał mu się. Fałszywy łucznik stał w zupełnym bezruchu, jak doskonała imitacja, z kamienną twarzą, najwyraźniej gotowy czekać równie długo jak oni. Idealne odwzorowanie, powiedział sobie Jim, nie jest najważniejsze, jeśli tylko czar działa. Ponownie, tak jak w przypadku pozornej rzeki, stanął w obliczu czegoś, co wydawało się niezwykle silną magią.

Szukał w myślach jakiejś różnicy, jakiegoś błędu w tym, co miał przed oczami. Nie wiedział, czego szuka, ale miał przeczucie, że jeśli będzie wytrwały, coś odkryje. Mimo to za plecami drugiego Dafydda wciąż widział przepaść bez dna.

Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to że rzeka wcale nie była wytworem niebywale silnej magii, lecz sztuczną konstrukcją, włączaną i wyłączaną jak fontanna. Jeśli to, co widział, było rzeczywistością, wymagało zużycia ogromnej ilości magicznej energii, nieproporcjonalnej do zamierzonego efektu.

– Za mną – powiedział do pozostałych, obracając Gorpa. Ruszyli z powrotem. Ujechawszy kilkadziesiąt metrów, zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Fałszywy Dafydd stał w tym samym miejscu, a ziejąca pustką przepaść za jego plecami nadal zagradzała drogę.

– Zapewne moglibyśmy objechać te dziurę w ziemi – podsunął Brian. – Choć wzdragam się na myśl o pozostawieniu tego uzurpatora bez kary.

– Może nie będziemy musieli – powiedział Jim. – Odjedźmy jeszcze kawałek.

Skierował Gorpa w lewo i pojechał wzdłuż rzędu drzew. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył, że fałszywy Dafydd nadal stoi tam, za nimi, nieco mniejszy z oddali, lecz wciąż pełniący straż. Gdy spojrział między mijane drzewa, dostrzegł ziejącą za nimi przepaść, biegnącą równolegle do kierunku ich jazdy.

–Zaczekajcie tu na mnie.

Skręcił i wjechał między najbliższe drzewa. Podjechał bliżej, mógł zajrzeć w rozpadlinę i zobaczyć skałę po drugiej stronie, z jej występami i zagłębieniami. Żadne z nich nie miały ludzkich kształtów, a mimo to budziły dziwny niepokój, gdy dłużej na nie spoglądał.

Nagle tuż przed nim wyrósł fałszywy Dafydd, ponownie zagrażając mu drogę.

–Trafiony! – mruknął Jim do siebie.

–Milordzie? – spytał Hob za jego plecami.

–Nic. Tylko głośno myślałem. Wszystko w porządku.

–Tttak, milordzie.

Jim wrócił do czekających na niego towarzyszy.

–Zdaje się, że zaczynam rozumieć – rzekł. – Nie zdołamy objechać tego czegoś – ruchem głowy wskazał sobowtóra Dafydda – ani tej dziury w ziemi. Odbijmy kawałek w bok i z powrotem. Mam pewien pomysł.

–Odnoszę wrażenie, że powinienem być bardziej pomocny – martwił się Dafydd. – W końcu to moja ziemia.

–Nie myśl tak. Dafyddzie – powiedział Jim. – To jest coś, z czym tylko ja mogę sobie poradzić. Krótko mówiąc, ten stwór mógł was zabić, a wy jego nie. Teraz wróćmy do miejsca, gdzie po raz pierwszy się nam pokazał.

Pojechali z powrotem wzdłuż rzędu drzew. Znowu zostawili z tyłu fałszywego Dafydda i ponownie wyrósł przed nimi, gdy wrócili na poprzednie miejsce.

–A ty, Jamesie? – zapytał Brian, przerywając ciszę. Przeżegnał się, gdy znowu zatrzymali się przed sobowtorem łuczника. – Czy on może cię zabić?

–Tylko jeśli mu na to pozwolę – odparł Jim.

Ta odpowiedź miała podnieść na duchu pozostałych i ukryć fakt, że niezbyt dobrze wie, z czym mają do czynienia. Jednak stworzenie tej bezdennej rozpadliny, ciągnącej się jak okiem sięgnąć w prawo i w lewo, wymagało wręcz niewiarygodnej ilości magicznej energii. Jeśli ta przepaść istniała naprawdę.

Przede wszystkim musiał dobrze się jej przyjrzeć z bezpiecznej odległości. Skorzystał ze swego smoczego wzroku.

–Jamesie! – wykrzyknął z lekką zgrozą Brian. – Twoje oczy!

–Wszystko w porządku – uspokoił go Jim. – Na chwilę zmieniłem je w smocze ślepie, żeby lepiej widzieć. Tak jakbym spoglądał przez szerokie okna.

–Piekielnie paskudne okna.

Jim zignorował komentarz przyjaciela. Z bezpiecznej odległości obserwował fałszywego Dafydda. Przewaga wysoko latających ptaków, takich jak sokoły czy orły, nie polega na tym, że widzą wszystkie przedmioty na ziemi w pewnym powiększeniu, lecz znacznie lepiej dostrzegają z ogromnych wysokości każdy ruch – nawet nieznaczny. Właśnie dlatego wiele małych zwierząt zastyga w bezruchu, kiedy taki

drapieżnik pojawia się nad ich głowami.

Jim nie spuszczał teraz z oka fałszywego Dafydd, wypatrując śladu ruchu, nawet najmniejszego. Nie dostrzegł. Tamten stał jak wykuty z kamienia.

–Aha! – rzekł z satysfakcją Jim, przywracając swoim oczom ludzkie cechy. Miał ochotę wyjawić towarzyszom, co zamierza zrobić, ale dotychczasowe doświadczenia z ludźmi tych czasów nauczyły go, że na dźwięk słowa „magia” robią kwadratowe oczy i równie dobrze można im śpiewać kołysanki, jak coś wyjaśniać. Z góry zakładali, że to, co mówi, przekracza ich zdolności pojmowania. Dlatego nawet nie próbowali zrozumieć.

Ponadto – przynajmniej Brian i Dafydd – rozpraszałoby go obawą, milcząca lub nie, że nie zdoła zrobić tego, co zaplanował. Za bardzo przyzwyczaili się, że to oni opiekują się nim w kłopotliwych i trudnych sytuacjach. A ta była niezwykła i nie byli w stanie jej pojąć.

Jim zeskoczył z konia.

–Stój! – rozkazał Gorpowi, zupełnie niepotrzebnie. Ogier wreszcie nauczył się nie ruszać z miejsca, kiedy jeździec zsiadł z niego i upuścił wodze na ziemię.

–Jamesie! – rzucił ostro Brian. – Co zamierzasz?

–Sir Jamesie? – powiedział Dafydd, tym formalnym zwrotem podkreślając swój niepokój. – Powiedziałem, że to moja ziemia i mój obowiązek.

Jim machnięciem ręki zatrzymał ich obu.

–Nie ma o czym mówić – rzekł. – To coś, co ja mogę zrobić, a wy nie. Hobbie, wskocz na siodło Gorpa i czekaj tam na mnie. To rozkaz!

–Ja się nie boję, milordzie.

–Nie o to chodzi. Sir Brian i mistrz łucznictwa Dafydd ap Hywel również się nie boją, ale i oni muszą pozwolić, abym działał sam. Skacz!

Jim odszedł już kawałek od Gorpa. Hob zawahał się, a potem wykonał jeden ze swoich niezwykłych skoków, pokonując około trzymetrową odległość dzielącą go od siodła.

–Zaraz wracam – powiedział Jim, ponownie pomachał im ręką, a potem odwrócił się i ruszył w kierunku fałszywego Dafydd i mrocznej przepaści. Nie szedł prosto na tamtego, lecz ścieżką biegnącą obok. Pomimo to postać nie poruszyła się, gdy podchodził. Szedł rażnym krokiem, lecz kiedy zaczął rozmyślać o tym, co ma zrobić, i o czekających przyjaciółach, czuł wzrastający niepokój. Przypominał sobie, że otacza go zaklęcie ochronne, którego nic nie zdoła przeniknąć bez jego zgody – a ponadto, że jest żywą istotą, jaką niemal na pewno nie była stojąca opodal postać. Tak więc, jeśli zgodnie z jego podejrzeniami ten stwór i przepaść były po prostu rodzajem stałego zaklęcia ochronnego – tak jak to, które mogło obronić przed niezliczonymi armiami chatę, staw i kwiaty Carolinusa pod nieobecność maga – Jim powinien być przed nim wystarczająco zabezpieczony.

Jednakże nie był tego całkiem pewny. Mógł się mylić. Jeżeli tak... uświadomił sobie, że zeszywniał i sięgnął ręką do pasa, do wiszącego tam miecza. Tak bardzo nabrał już czternastowiecznych zwyczajów.

Oczywiście, miecz nie byłby bardziej przydatny niż gołe ręce, lecz rozpraszał

chłód, jaki pomimo magicznej mocy i umiejętności ogarniał Jima. Od fałszywego Dafyddda dzieliły go trzy kroki... dwa... jeden.,.

Jim obrócił głowę, by spojrzeć prosto w spokojną twarz mijanej postaci, i nagle ujrzał, jak ta odkształca się i rozplywa, jakby była z wody, utrzymywana przez siłę ciężenia działającego w poziomie, a nie pod jej stopami. Wlała się w niego, a raczej w otaczające go zakłęcie, wtapiając się, znikając. Czuł, jak to się dzieje – dokładnie tak, jak oczekiwał.

Puścił rękojeść miecza. Miał rację. Poszedł dalej, w kierunku przepaści. To była większa niewiadoma i większe ryzyko.

Im bliżej podchodził, im głębiej w nią zaglądał, tym wydawała się paskudniejsza. Z bliska występy i wgłębienia kamiennych ścian nabierały jeszcze bardziej ludzkich kształtów, jakby rzeka lawy pochwyciła tu i pochłonęła tłumy ludzi. Ponownie poczuł chłód, lecz tym razem znacznie dotkliwszy, gdyż by dokonać tego, co zamierzał, musiał iść naprzód, jakby tej przepaści tu nie było, i w końcu zrobić krok w ziejącą między jej ścianami pustkę. I wpaść... gdzie?

Umysł podpowiadał mu, że skoro postać okazała się złudzeniem, niewątpliwie przepaść była nim także, lecz i tak się pocił i zaciskał dłoń na rękojeści miecza. Jeszcze wiele musiał się nauczyć o tego rodzaju magii.

Powtarzał sobie, że jest człowiekiem z przyszłości, obdarzonym umiejętnością logicznego rozumowania i siłą woli. Z tą myślą dotarł do przepaści i postawił lewą stopę na jej krawędzi, a potem zmusił się do zrobienia następnego kroku.

Pod prawą nogą nie znalazł żadnego oparcia.

Wokół panowała cisza, lecz wszechświat zdawał się krzyczeć do niego bezgłośnie, gdy ściany wąwozu zaczęły uciekać w górę. Spadał.

Nie! Nic podobnego! To się unosiło!

W jego osłonę – w tę niewielką, nienaruszalną przestrzeń, jaka go otaczała, wlewała się teraz cała ogromna struktura wąwozu, pochłaniana, pożerana, niszczone przez magiczną zbroję ochronnego zakłęcia rzuconego przez KinetetE. Jim podejrzewał, iż było ono bardziej wyszukaną odmianą tego, pod osłoną jakiego przemycił swoją magię do królestwa sękatych. Chwała magii KinetetE. Powinien wiedzieć, że będzie silniejsza od wszystkiego, co zdoła stworzyć jakikolwiek mag tej krainy. I chwała prawom magii, które to umożliwiły.

Chwała im.

Myśląc o tym, nagle zdał sobie sprawę, że coraz trudniej jest mu pozostać w przekonaniu, że to jego osłona niszczy przepaść, a nie odwrotnie. Był wyczerpany ogromnym wysiłkiem, jakiego wymagało nieustanne negowanie świadectwa zmysłów i zaufanie rozumowi.

–Stoję w miejscu. Przepaść się porusza... – powtarzał sobie. „Kłamiesz! Kłamiesz!” – protestował wzrok i wszystkie zmysły. „Spadasz! Spadasz coraz głębiej i głębiej! Jesteś zgubiony!”

Walczył z tym. Intuicja, jakiej nabrał przez tych kilka lat zajmowania się magią, podpowiedziała mu, że musi walczyć. Jeśli się podda, jeżeli pozwoli zatriumfować tym podszeptom, równowaga zachwieje się i przepaść wchłonie wszystko, co

straciła, jego również. Szybko opuszczały go siły.

Odczuwał napór silnego strumienia energii, który unieruchamiał go i obezwładniał. Czuł się tak, jakby stanął na jednej nodze i stracił równowagę. Sztywno upadł na bok, niczym jednonoga zabawka, a drugie zakłęcie nadal wlewało się w jego osłonę. Jakby zalewała go wulkaniczna lawa. Musiał wytrzymać.

Poszukał czegoś, czego mógłby się chwycić – pomyślał o Angie. Ona była tu jedyną częścią świata, z którego oboje przybyli. Była realna. Stanowiła część rzeczywistości nie mającej nic wspólnego z magią. Wszystko, co teraz czuł, było snem lub złudzeniem. Powiedział sobie, że dopóki widzi w myślach Angie, przepaść nie zdoła go pokonać.

I nagle wszystko się skończyło.

Wstał, nadal zwrócony twarzą do lasu i plecami do Briana i Dafyddda, wciąż siedzących na koniach. Był zlany potem i drżał jak liść. Z trudem zdołał utrzymać się na nogach. Jednak przepaść znikła.

–Spokojnie! – powiedział sobie pod nosem. – Przestań się pocić! Nie trzęś się!

Ciało usłuchało. Odwrócił się i powoli poszedł z powrotem do pozostałych. Miał wrażenie, że wszyscy, nawet konie, dziwnie na niego patrzą.

Rozdział 23

–Jamesie...? – odezwał się Brian, bacznie mierząc go przenikliwymi niebieskimi oczami.

–Nic mi nie jest! – rzucił Jim z nieuzasadnioną irytacją, zapewne będącą reakcją na doświadczenie z rozpadliną. Jedną ręką chwycił wodze, a drugą łęk siodła i dosiadł konia. Okazało się to niemal ponad jego siły. Brian wyciągnął rękę i pomógł mu. Coś wyśladowało na ramieniu Jima.

–Jesteś ranny, milordzie?

–Nic mi nie jest, Hobie.

–Napij się! – rzekł Brian, przytykając mu do ust manierkę.

–Mówię, że nic mi nie jest!

–Pij!

Jim wypił, o mało nie zakrztusiwszy się sporą ilością czerwonego wina, które Brian wlał mu do gardła. Odjął manierkę od ust.

–Już mi lepiej – powiedział, gdyż w przeciwnym razie przyjaciel nie dałby mu spokoju. Zawsze pełna manierka była nie tylko jedynym jego lekarstwem na wszystkie kłopoty, ale także znakiem jego czasów i miejsca, – Wszystko w porządku.

–Przednie wino! – rzekł z satysfakcją Brian, nasadą dłoni wbijając z powrotem obszyty skórą drewniany korek. – Niezastąpione w nagłej potrzebie. To był magiczny cios, prawda, Jamesie? Widzieliśmy, jak minąłeś to coś, co wyglądało jak Dafydd, i kazałeś mu zniknąć, potem przeszedłeś jeszcze kilka kroków, na moment zamarłeś w bezruchu, by zniszczyć przepaść, i upadłeś. Magiczny cios, powiedziałem sobie natychmiast. Spadł na niego magiczny cios i niech Bóg da, aby go nie zabił! Jednak tak się nie stało, dzięki Niemu i temu czerwonemu winu!

–Dziękuję ci, Brianie.

–Ha! – rzekł zmieszany rycerz. – No cóż, jedziemy dalej?

–Tak – odparł Jim. Niesamowite. Myśli miał jasne jak słońce, chociaż mogły się zamglić za chwilę, kiedy zadziała wino, połknięte jednym tęgim haustem. – Chyba, że Dafydd... To jego kraj. Dafyddzie, jak sądzisz? Ponadto powiedz, w której części pogranicza się znajdujemy, gdyż zakładam, że wjechaliśmy na nie, mijając tę linię drzew.

–Rzeczywiście – odparł Dafydd – chociaż z trudem mogę nazwać tę ziemię moim krajem, skoro drogę zagradzają nam czary i przepaście. Gdzieś tu jednak znajdują się ci, którzy są za to odpowiedzialni, i dobrze się stało, iż przyjechaliśmy sprawdzić, kim oraz czym są. Znajdujemy się mniej więcej na środku pogranicza, ciągnącego się wzdłuż krańców Liones, Znane ci urwisko, w którym znajduje się wejście do królestwa sękatych, leży na prawo od nas. Proponuję, żebyśmy pojechali prosto przed siebie, najpierw na północ, a potem na południe, dopóki nie znajdziemy tych obcych.

–Czy nie możesz odszukać ich za pomocą magii, Jamesie? – spytał Brian. – Byłoby szybciej.

–Nie sądzę – odparł Jim. – Może gdybym znał któregoś z nich...

Nie dokończył zdania. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

–Milordzie, milordzie – pisnął nieśmiało Hob – dlaczego nie zapytasz drzew?

Wszyscy spojrzeli na skrzata.

–Rzeczywiście, mały ma rację – powiedział TB. – To oczywiste, ale żadnemu z nas nie przyszło to do głowy.

Zobaczywszy, że wszyscy spoglądają na niego z aprobatą, Hob rozpromienił się ze szczęścia.

Jim pierwszy wybiegł myślą naprzód. Jego euforia wywołana pomysłem Hoba w znacznym stopniu opadła, gdy uświadomił sobie, że Brian i Dafydd będą obserwować, jak to robi.

–TB – rzekł – może byłoby dobrze, gdyby tym razem ktoś inny zapytał drzewa, na przykład Brian lub Dafydd? Niech drzewa przyzwyczajają się i do nich.

–Nie. Nie sądzę – rzekł TB. – Ty już porozumiewałeś się z jednym z tutejszych drzew i to w zbożnym, bardzo zbożnym celu, kiedy ratowałeś młodego króla. Ponadto, jeśli drzewa tutaj są takie jak nasze w Liones, każde z nich pozna cię, gdy tylko obejmiesz je ramionami.

–Oczywiście – rzekł Brian i odchrząknął. – Jakoś nie wydaje mi się, żeby rycerz powinien to robić... Oczywiście mówię o zwyczajnym rycerzu, a nie magu...

–Nie jestem magiem! – warknął Jim. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Tylko praktykantem klasy C+. Jeszcze dużo mi brakuje do statusu maga. Poza tym nie ma powodu, aby któryś z was nie mógł tego zrobić.

–Jesteś pewien, że nie zaprziesz się wiary, uprawiając taką dziwną magię?

Jim poczuł, że ponownie ogarnia go nieuzasadniona irytacja, jaką czuł po rozprawie z przepaścią. Za dobrze znał Briana. Przyjaciel specjalnie wbijał mu szpileczki, prowokował go.

–Z pewnością nie, Brianie. Nic podobnego. TB ma rację. Oczywiście, zrobię to. – Spojrzał na otaczające ich grube pnie. – Które drzewo?

Popatrzył na TB.

–Sam zdecyduj – powiedział tamten. – O, tam rośnie ładny dąb. Wiem z doświadczenia, że dęby są najmilsze i najsolidniejsze.

Gadzim pyskiem wskazał kierunek. Jim spojrzął pod kątem czterdziestu pięciu stopni w lewo i zobaczył masywny pień z najniższymi gałęziami znajdującymi się co najmniej trzy metry nad ziemią. Podeszedł do niego. Pozostali ruszyli za nim. Objął ramionami pień, co Brian i Dafydd obserwowali ze szczerym zaciekawieniem.

–Nie patrzyłem na niego, kiedy ratowałem króla – Jim usłyszał, jak Dafydd mówi do Briana. – Widziałem tylko króla.

–Teraz robi to samo co wtedy – rzekł Brian.

Jim starał się to ignorować. Zawahał się, a potem przycisnął policzek do szorstkiej kory.

–Jak mam powiedzieć drzewu, o co mi chodzi, TB? – zapytał.

–Trudno mi rzec – odparł TB – gdyż nie wiemy, kim oni są. Może po prostu „innymi obcymi”?

–Spróbuję – odparł Jim. Ponownie oparł czoło o pień i pomyślał: „Szukamy obcych, tu, na pograniczu. Nie takich przyjaznych jak my... och!”

To ostatnie słowo, a raczej dźwięk, mimowolnie wydobyło się z jego ust. Uprzejmy dąb nie tylko zlokalizował to, czego szukali, ale przeniósł ich tam, tak jak drzewa Liones zabrały ich wcześniej do TB.

–Dąb powiedział, że to skromny wyraz wdzięczności drzew zatopionej krainy – przetłumaczył Hob.

–Dajcie spokój! – rzekł Brian. – Jesteśmy zupełnie odsłonięci, a najbliższy wróg znajduje się niecałe piętnaście metrów od nas!

Jim rozejrzał się wokół. Dafydd także. Stali teraz u stóp potężnego cisu – jedyne drzewa na dużej, nieckowatej łące otoczonej zielonymi wzgórzami, porośniętymi odległym lasem i trawami zatopionej krainy. Przed nimi, na prawo i lewo, a także za nimi stały luźne gromady odpoczywających rycerzy w półpancerzach lub w ogóle bez zbroi, łuczników i włóczyków, przeważnie bez łuków i włóczni. Wszyscy jednak mieli miecze oraz sztylety, zbyt długie i solidne, aby mogły służyć do jedzenia. Nad głowami tego tłumu widać było sterczące górne części namiotów, bynajmniej nie czystych i nie nowych.

–Święci niech nas mają w opiece! – rzekł ponuro Brian, – Wyróżniamy się, jakbyśmy byli pomalowani na czerwono, i zauważy nas pierwszy, który na nas spojrzy!

–Posłuchajcie – rzekł Dafydd ospałym głosem, jakim zawsze mówił, szykując się do walki. – Może tak się nie stanie, jeśli będziemy udawali jednych z nich. Nie widzę tu nikogo znajomego, a więc i mnie nikt nie zna. Chyba że wy, sir Jamesie i sir Brianie, spostrzeżliście tu kogoś, kto was zna?

Jim i Brian rozejrzeli się wokół i przecząco pokręcili głowami.

–A więc proponuję, żebyśmy po prostu przeszli między nimi, prowadząc konie, jakbyśmy zmierzali do któregoś z namiotów. Oni nie mogą znać się tu wszyscy. Nawet jeśli wyglądamy inaczej, prawdopodobnie wezmą nas za swoich... Niestety, zapomniałem – dodał nagle Dafydd – że nasz przyjaciel TB z pewnością przyciągnie ich uwagę.

Ponownie przerwał, spoglądając na tłum. Obrócili się i spojrzeli w tym samym kierunku, lecz on już odwrócił głowę i pokręcił nią.

–Człowiek z zatopionej krainy, nie noszący szat swej barwy – rzekł. – Nie sądzę, by mnie zobaczył. Szedł, kiedy go ujrzałem, i już go tu nie ma.

–Skąd wiesz, że był z zatopionej krainy, jeśli nie nosił... – zaczął Brian.

–Trudno to wyjaśnić – odparł Dafydd, z uśmiechem patrząc na niego. – Jednak zawsze i wszędzie poznam każdego mieszkańca zatopionej krainy. To teraz bez znaczenia. Zniknął, a ja będę wypatrywał jego i każdego takiego jak on. Chodźmy.

Mówiąc to, utkwiał wzrok w TB. Jim, Brian i Hob również spojrzeli. Ujrzeli wysokiego, krótkowłosego, czarno-białego ogara.

–„To tylko ja” – powiedział TB, milordzie – przełożył Hob i tłumaczył dalej, kiedy TB warczał cicho i skomlał. – „Oto druga umiejętność, jaką obdarzył mnie Merlin. Czasem przydaje mi się, kiedy poluję z królem Pellinorem i jego stadem ogarów. Dzięki temu nie biorą mnie za zwierzynę, kiedy ścigają sarny lub jelenie. Jeśli masz przy siodle kawałek rzemienia, proponuję, abyś zawiązał mi go na szyi i niech któryś

z was chwyci za drugi koniec".

Jim ruszył w stronę jucznego konia, ale Brian już go uprzedził. Odwiązywał brezent. Pewnie tak jest lepiej, pomyślał Jim. Brian wie, gdzie czegoś szukać i jak to wyjąć, nie robiąc bałaganu. Umiał też spakować juki pięć razy szybciej niż Jim i zawsze trochę irytowała go ślamazarność przyjaciela.

Konie zaczęły skubać trawę, co robiły zawsze, gdy nie niosły jeźdźców i nie były prowadzone. Zanim wrócą do Malencontri każdemu przybędzie pięćdziesiąt kilogramów. Zaledwie przez chwilę zainteresowała je nagła przemiana TB. Teraz pachniał im psem, a nie niepokojąco lampartem i lwem – bo jego gadzi łeb nie wydzieliał żadnej woni, którą warto byłoby wdychać. Tak więc prawie nie zwróciły uwagi na tę metamorfozę. Ogary były nieistotne, chyba że plątały się pod nogami.

–Gotowe! – rzekł Brian, kończąc zawiązywać półorametrowy rzemień na szyi smolucha – jak nazywano psy o takich rozmiarach i umaszczeniu. Bez słowa wręczył smycz Jimowi, jakby było to zrozumiałe samo przez się, odwrócił się i chciał dosiąść rumaka.

–Sądzę, iż będzie lepiej, jeśli pójdziemy pieszo, prowadząc konie, jakbyśmy chcieli je gdzieś uwiązać – rzekł Dafydd. – Idźmy swobodnym krokiem, a jeśli ktoś przemówi do nas w języku mojej krainy, pozwólcie mi odpowiedzieć. Wyjaśnię, że nie znacie i nie rozumiecie naszej mowy.

Ponownie ruszyli, spacerowym krokiem, gawędząc, tak jak otaczający ich obcy. Prowadzone konie i pies na smyczy usprawiedliwiały ich obecność wśród tych zbrojnych – zdumiewająco licznych, zdaniem Jima. Rozmawiali przyciszonymi głosami, czym również nie wyróżniali się z tłumu, gdyż większość innych grup, liczących od dwóch do pół tuzina ludzi, robiła to samo, korzystając ze świeżego powietrza.

Jesienna pogoda w krainie na górze – z której zapewne w większości pochodzili – mogła przynieść chłody lub deszcze od czasu, gdy Jim i jego towarzysze opuścili ją. Oczywiście, ci ludzie znaleźliby odrobinę samotności w jednym ze stojących na końcu obozu namiotów, które jednak mogły być nieprzyjemnie rozgrzane od słońca.

Jim miał wrażenie, że wszyscy mijani ludzie są do siebie podobni, chociaż nie potrafił określić dlaczego. Wyglądali na bandę obwiesiów, nawet ci noszący miecze, którzy teoretycznie powinni być rycerzami. Chociaż w tym momencie zachowywali się spokojnie, przypominali łowców przygód lub wyrzutków z Dzikiego Zachodu. Głośni byli tylko pijani, a ci nie zwracali uwagi na nikogo poza najbliższymi towarzyszami.

–Pomyliłem się – rzekł Dafydd głosem jeszcze cichszym niż dotychczas. – Sądzilem, iż będą to głównie mieszkańcy zatopionej krainy, mówiący moim językiem. Tymczasem ci ludzie mówią tak, jak wszyscy na górze.

Brian niemal niedostrzegalnie skinął głową. Teraz znajdowali się w środku tłumu i lepiej widzieli namioty. Dostrzegli za nimi długi rząd koni, uwiązanych i rozsiodłanych. Dalej wznosiły się zbocza gór, otaczających tę równinę.

–Ha! – powiedział triumfalnie, ale prawie szeptem Brian. – Te czyste namioty na końcu należą do ważnych osób – co najmniej znanych rycerzy albo szlachciców.

Jeśli znajdziemy jakiś pusty i rozejrzemy się w środku, wiele dowiemy się o właścicielu. Nawet pomniejszy rycerz podróżuje z obrusami i sztucami, na których powinien widnieć jego herb, nie mówiąc już o innych przedmiotach.

–Jeżeli pochodzą z za wody, z Francji i jeszcze odleglejszych krain, czy rozpoznasz to po ich herbach? – spytał Dafydd.

–Niektórych Francuzów tak – odparł Brian – lecz cudzoziemskie herby będą wyglądać obco i jak już powiedziałem, możemy wiele się dowiedzieć, oglądając ich dobytek. Musimy rozejrzeć się w jednym z tych namiotów.

Uwiązany na smyczy ogar znów zaskomlał. Jim spojrział na niego ze zdziwieniem. Pies zapiszczał jeszcze głośniejsze, uniósł pstry łeb i energicznie powęszył w powietrzu, po czym spojrział na Jima. Jim zerknął w stronę jucznego konia.

–Co on mówi, Hobie?

–Tym razem nie wiem, milordzie – odparł z zakłopotaniem skrzat spod planeki.

–Co się siało, TB? – zapytał Jim ściszym głosem, przeznaczonym tylko dla uszu ogara. – Nic możesz mówić tak, żeby Hob cię zrozumiał?

Pies potrząsnął łbem.

–Dlaczego?

Ogar niecierpliwie podniósł prawą łapę i przeciągnął nią po gardle.

–Z powodu gardła? Masz inne struny głosowe? Nieważne – rzekł Jim. – W jaki więc sposób może mówić wilk Aargh albo ty, kiedy jesteś sobą i masz głowę węża...

TB warknął, gwałtownie potrząsnął łbem i znów powęszył w powietrzu.

–Jest zły, że go nie rozumiesz, milordzie – rzekł Hob.

–Słyszysz, co mówi?

–Nie, milordzie. Nie sądzę, żeby w ogóle coś mówił. Czuję jednak, że złości się, że go nie rozumiesz. Usiłuje ci coś powiedzieć.

–Sądzi, że powinniśmy powęszyć?

Dafydd i Brian, zaintrygowani, przysunęli się bliżej, tak że zasłonili ogara przed wzrokiem postronnych. Pies warknął jeszcze raz i energicznie potrząsnął łbem.

–Sądzi, że to on powinien powęszyć! – powiedział Hob. Pies natychmiast pokiwał łbem i wydał cichy pomruk aprobaty, jakby mówił „Dobry skrzat!” Jim oparł się pokusie pomachania ogonem i polizania go po nosie.

–Co chciałbyś obwąchać, TB? – zapytał.

Pies wskazał nosem zamknięte wejście najbliższego namiotu.

–Oczywiście! – powiedzieli mniej więcej jednocześnie Dafydd, Brian i Jim.

Odstąpili od psa i niedbałym krokiem ruszyli w tamtym kierunku. Jim trzymał smycz.

Pies lekko wysforował się naprzód, przystanął na moment przy opuszczonej zasłonie, po czym poszedł dalej. Pomaszrowali za nim. W ten sposób minęli pół tuzina namiotów. W jednym z nich było tak głośno, że i tak by go minęli.

Najwidoczniej w środku trwało huczne przyjęcie.

W miarę jak szli, kolejne namioty znajdowały się coraz bliżej spętanych koni i rzędu drzew, a także były coraz mniejsze i brudniejsze. W końcu przed jednym z nich pies zatrzymał się, powęszył i wepchnął łeb pod spuszczonej zasłonę.

–Lepiej odprowadzę konie, żeby nie rzucały się w oczy – po wiedział Brian. –

Mogę zrobić to po cichu.

Miał rację. Blanchard mógł dla zasady narobić hałasu, gdyby prowadził go ktoś inny niż Brian. Gorp oraz wierzchowiec Dafydd były łagodne i spokojne. Juczemu koniowi było wszystko jedno.

–Wiecie – rzekł Jim, kiedy Brian już to zrobił – skoro te namioty są zajęte nawet w dzień, to ci wszyscy ludzie, których widzimy kręcących się po obozie, muszą spać na zewnątrz, bez dachu nad głową.

–Rzeczywiście – przytaknął Brian.

Może powiedziałyby coś więcej, ale ogar już wepchnął się do namiotu i na zewnątrz pozostał tylko jego merdający ogon. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, weszli do środka.

–Uch! – powiedział Jim, czując okropny smród. Właściwie to określenie było zbyt łagodne. Był to odór rozrzuconego i gnijącego jadła, skwaśniałego wina i brudnych ubrań.

–Ha! Jakże na to czekałem! – rzeki Brian, mijając Jima i podnosząc tarczę opartą o dwa siodła. – Nasz stary wróg, Jamesie. Sir Hugh de Bois de Malencontri!

Istotnie, Jim ujrzał na złotym polu amputowaną tuż poniżej ramienia rękę, lekko zgiętą w łokciu, i ściekające z niej trzy krople czarnej krwi. W heraldyce nazywałyby się to „tarczą z nagim ramieniem” albo jakoś podobnie. Ten herb był równie przyjemny jak jego posiadacz. Sir Hugh był właścicielem Malencontri, zanim został wygnany za próbę zdobycia zamku Malvern i poślubienia Geronde wbrew jej woli.

–A więc on jednak żyje – mruknął Jim.

–Na to wygląda – odparł Brian z roziskrzonym wzrokiem. – Bóg postawił go na mojej drodze.

Jim wiedział, że Brian niczego bardziej nie pragnął, niż stoczyć z sir Hughem pojedynek na dowolny rodzaj broni. I trudno mu się było dziwić, wzięwszy pod uwagę, co ten człowiek uczynił Geronde. Było to niedługo po przybyciu Jima i Angie do czternastowiecznego świata. Tymczasem to Jim walczył z sir Hughem po epizodzie w Malvern – walczył na miecze i zwyciężył. Jednak Hugh zniknął, korzystając z zamieszania, jakie wybuchło, gdy Król i Królowa Śmierci porwali Malvinne'a, maga-renegata.

Jim sądził, że porwali i Hugh'a.

Najwyraźniej nie. Dreszcz przeszedł mu po krzyżu na myśl o tym, że ten człowiek wciąż żyje i jest tutaj. Po pierwsze, natychmiast rozpoznałyby Jima i Briana. Gdyby był wśród ludzi, których mijali po drodze... Jim odepchnął od siebie tę myśl. Brian nadal przetrząsał śmieci w jednym kącie namiotu, a ogar obwąchiwał stertę brudnych ubrań w drugim.

W końcu Brian wyprostował się i otrzepał ręce.

–Ponieważ tu jest, może w każdej chwili wrócić i poznać nas – powiedział. – Jeśli tu wejdzie, nie będziemy mieli innego wyjścia...

–Zająłem się tym – rzekł Dafydd, który stał przy opuszczonych klapach wejścia, i lekko rozchylając je kciukiem oraz palcem wskazującym, wyglądał na zewnątrz. – Ostrzegę was, jeśli go zobaczę.

–Dobra robota! – pochwalił Brian. – A ja nas stąd wyprowadzę.

Wyjął sztylet i zaczynając nad głową, a kończąc przy samej ziemi, przeciął ostrzem tylną ścianę namiotu. Blanchard, wyczuwając zapach pana, wsadził łeb w otwór i trącił go nosem. Brian wypchnął go z powrotem.

–TB – spytał Jim – czy nie sądzisz, że w razie kłopotów byłoby lepiej, gdybyś przybrał swój zwykły kształt?

Ogar pokręcił łbem i zaskomlał.

–Milordzie – rzekł Hob, marszcząc brwi. – Chyba chce powiedzieć, że na psa nikt nie zwróci uwagi.

–Ma rację – przyznał Jim. – W swojej postaci prowokowałby do ataku...

–Uwaga! – ostrzegł stojący przy wejściu Dafydd. – Nadchodzi sir Hugh de Bois z siedmioma przyjaciółmi. Wszyscy są pijani, ale nie aż tak, by byli mniej groźni, niż kiedy są trzeźwi. Musimy uciekać.

Za plecami Jima rozległ się trzask dartego materiału i odwróciwszy się, Jim zobaczył, że Brian poszerzył otwór.

–Tędy – rzekł.

Ogar wypadł na zewnątrz. Jim poszedł w jego ślady. Musiał obrócić się bokiem i zgąć prawie w pół, żeby zmieścić się w otworze. Zobaczył, że idący za nim Dafydd robi to samo. Brian, który rozchyłał brzegi rozcięcia, przeszedł ostatni, po czym ściągnął brzegi płótna. Materiał odzyskał swój pierwotny kształt i tylko niewielki prześwit na środku wskazywał miejsce, którędy wyszli.

–Jeśli dopisze nam szczęście – rzekł Brian – minie kilka minut, zanim zauważą rozcięcie, a nawet wtedy mogą pomyśleć, że ktoś usiłował zajrzeć i zobaczyć, co da się ukraść, ale spłoszyły go głosy nadchodzących. Mamy trochę czasu. Obecność sir Hugh'a i tego człowieka z zatopionej krainy, który zna Dafydda, sprawia, że nie jesteśmy tu bezpieczni. Jedźmy!

–Nie – powiedział Dafydd. – Przejdźmy – aż na koniec obozu, gdzie stoją ostatnie konie. Poprowadźmy wierzchowce, jakbyśmy chcieli je tam przywiązać. Pies może pobiec sam.

Jednak ogar już zniknął. Jim z niedowierzaniem rozejrzał się wokół. Nigdy nie przypuszczał, by TB mógł opuścić towarzyszy w niebezpieczeństwie.

Brian skorzystał z rady Dafydda i poprowadził Blancharda, a łucznik zrobił to samo ze swoim wierzchowcem i Gorpem. Juczny koń, wciąż żując ostatnie źdźbła trawy, posłusznie szedł na uwięzi.

–Hej! – zawołał donośny męski głos. – Antonie, Alanie, Guiscardzie – chodźcie tu i spójrzcie na tego białego rumaka! Wart co najmniej sto funtów i ani pensa mniej!

–Nie zatrzymujcie się – szepnął Dafydd, – Nie zwracajcie uwagi.

Brian i Jim usłuchali go, Brian dodał:

–Jeśli dojdzie do walki, musimy dosiąść koni i odjechać. Żaden z ich wierzchowców nie zdoła doścignąć Blancharda, może się więc zdarzyć, że ja ucieknę, a wy zostaniecie pojmani. Jeśli tak się stanie, wiedźcie, że po was wrócę.

–Byłoby lepiej dla zatopionej krainy, gdybyś uszedł z życiem i zawiadomił króla oraz pozostałych, że tutaj jesteśmy! – rzekł cicho Dafydd.

–Dla mnie najważniejsi są moi towarzysze – odparł Brian równie cichym, lecz stanowczym głosem. – Kiedy spełnię mój obowiązek wobec nich, będę miał czas pomyśleć o innych królestwach. Twoja ziemia, Dafyddzie, nie jest moją!

Łucznik nic powiedział nic więcej, lecz Jim wyczuł nagły chłód, jaki grubym murem rozdzielił dwóch jego przyjaciół. W myślach szukał jakiegoś sposobu, żeby go zburzyć. Może sam zniknie z czasem... Dafydd był tu księciem i zaczął przyzwyczajając się do wydawania rozkazów, a Brian był ostatnim, który by je przyjmował.

Przebyli zaledwie połowę drogi do końca obozu.

Teraz już nie trzech, lecz pięciu mężczyzn biegło ku nim między zwierzętami. Nosili połataną i podarte łachy sług ludzi niewiele bogatszych od nich. Wysoki mężczyzna w szarym odzieniu, pozostawiając w tyle pozostałych, szybko zbliżał się do Briana, który kroczył na czele grupki, prowadząc tuż za sobą Blancharda.

–Kto jeździ na takim rumaku? – zapytał go, cofając się przed nim. Był chudzielcem w przyciasnym kubraku z wygotowanej skóry, o czarnej czuprynie i dziobatej twarzy.

–Zejdź mi z drogi! – warknął Brian. – Usuń się.

–Och! – zakrzyknął tamten, zrywając z głowy poplamioną zieloną czapkę podobną do beretu i drwiącym gestem zamiatając nią ziemię. – Błagam o wybaczenie, szlachetny rycerzu! Racz łaskawie przebaczyć moją śmiałość, milordzie! Nie wiedziałem, że jesteś z królewskiego rodu. Nie mogłem się oprzeć pokusie dotknięcia rąbka twojej szaty. Czy mogę popęłać w pyle przed waszą lordowską mością?

Brian z kamienną twarzą szedł prosto na niego, jakby go nie zauważył. W ostatniej chwili obszarpaniec odskoczył w tył.

–Nie rusz mnie! – wrzasnął. – Pilnujemy tu koni i nikt nie może nam rozkazywać bez upoważnienia!

W rękę trzymał długi, wąski nóż, a jego kompani już dobiegali do niego, też wyciągając noże. Jeden miał ciężką maczugę zrobioną z młodego dębczaka, którego przycięte przy nasadzie korzenie tworzyły sporą kulę na końcu pałki.

Brian szedł dalej, chudzielec znów się cofnął, lecz pozostali otaczali kręgiem idących, a ponadto przy namiotach rozległy się krzyki.

–Gdzie? – zawołał pijacki głos. – Gdzie ten koń wart sto funtów?

–Zamierzasz go kupić, Dahmerze, za to, co zostało ci po całonocnej grze w kości? – zawołał ktoś inny, co skwitowano rykiem śmiechu, coraz głośniejszym, gdyż rozmawiający zbliżali się.

–Jego i dziesięć innych, po następnej nocy – rzekł pierwszy głos. – Gdzie on, pytam?

–Tutaj – powiedział ktoś. – Za dużo tu ludzi, żeby go zobaczyć... Zejdźcie z drogi rycerzom, obwiesie! Żaden koń nie jest wart sto funtów!

–Ten jest – rzekł inny głos, na dźwięk którego serce zamarło Jimowi w piersi. – Znam jego i jego posiadacza. Mamy zadawnione porachunki. Chodźcie, pomóżcie mi je wyrównać!

Jim usłyszał tupot nóg za plecami i chwycił za miecz, ale ledwie zdążył go wyciągnąć, tamci zwałili się na niego całą ciżbą. Ciosy padały ze wszystkich stron.

Nie miał miejsca, żeby zamachnąć się mieczem. Spadł na niego grad uderzeń i świat zawirował mu w oczach. Nagle sękaty koniec pałki uderzył go w skroń. Upadł.

Rozdział 24

Ocknął się w zupełnych ciemnościach, z bolącą głową, i zaraz poczuł ból innych części ciała, nadciągający falami jak przyływ. Bolały go ramiona i stracił czucie w rękach. Odkrył, że ma je związane w przegubach za plecami i przygniecione całym ciężarem ciała.

Przekręcił się na brzuch i poruszył palcami – a raczej spróbował to zrobić – lecz podobnie jak ramiona, były zbyt zdrętwiałe, by zdołał poczuć, czy naprawdę nimi rusza. Jednak nie przestawał i stopniowo odzyskał w nich czucie. A z nim przyszedł tępy, ćmiący ból.

Mrowienie przerodziło się w ostre pieczenie, wywołane mocno zaciśniętymi więzami – a z nim napłynęły rozpaczliwe sygnały z innych miejsc jego ciała, posiniaczonych lub skaleczonych.

Leżał w ciemności. Sądząc po zapachu, był to namiot podobny do tego, w którym znaleźli tarczę z herbem sir Hugh'a de Bois... Nie wiadomo, jakie obecnie nosił przydomki, gdyż Malencontri już do niego nie należało. Tylko że w tamtym namiocie słońce trochę przeświecało przez płócienne ściany, a w tym panował głęboki mrok. Widocznie zapadła noc.

Ból głowy nie pozwalał mu zebrać myśli, a trzeźwy umysł zawsze jest na pierwszym miejscu każdej listy działań. Pod osłoną ochronnego zaklęcia mógł spokojnie uleczyć magią siebie, a potem może i innych. Zrobił to, pozbywając się bólu głowy, a potem wykorzystał swoją sztukę do usunięcia innych uszkodzeń ciała. Było to jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczył się od Carolinusa – możliwości, a nie sposobu – że magię można wykorzystać do gojenia ran, lecz nie leczenia chorób.

Mogąc już trzeźwo myśleć, rozejrzał się wokół, usiłując zobaczyć cokolwiek w mroku. Nie zdołał dojrzeć nawet ubitej ziemi, na której leżał.

–Brianie? Dafyddzie?

–Jamesie – powiedział Brian silnym i równym głosem, tak blisko niego, że Jim podskoczyłby, gdyby nie był związany. – Bogu dzięki. Nic ci się nie stało?

–Nie – odparł Jim. – Dafyddzie?

–Nic mi nie jest – usłyszał głos przyjaciela, dobiegający z nieco większej odległości. – To o ciebie się martwiliśmy, Jamesie. Nie odpowiadałeś przez jakiś czas. Jesteś cały?

Jim skrzywił się. Według czternastowiecznych standardów jego guzy sińce i inne obrażenia wcale się nie liczyły. Zapytał:

–Hobie? TB?

Żaden nie odpowiedział.

–Może zostali zabrani razem z końmi – rzekł Dafydd. – Jamesie, – nie odpowiedziałeś mi. Nic ci się nie stało?

–Wszystko w porządku – odparł. Miał wyrzuty sumienia. Oni nie mogli w magiczny sposób pozbyć się bólu głowy i innych obrażeń, a on nie mógł im pomóc, dopóki mu nie powiedzą, co im dolega. A wiedział, że nie przyznają się do tego. Ponadto nie mógłby im pomóc, nie odsłaniając się, co było ryzykowne.

Co gorsza, przypomniało mu sumienie, sądzili, że znosi swoje dolegliwości równie

dzielnie jak oni.

–Jamesie – rzekł Brian – ten drań Hugh de Bois ma mojego konia!

–Wiem – odparł Jim. – Będziemy musieli mu go odebrać. Usłyszał ciche westchnienie w ciemności – niezupełnie ulgi, ale wystarczająco znaczące. Przywiązanie Briana do Blancharda przewyższała jedynie jego miłość do Geronde. Teraz, kiedy Jim obiecał mu, że odzyska konia, Brian poczuł się znacznie lepiej. Brian pokładał nieograniczone zaufanie w magicznych umiejętnościach Jima. Ani on, ani Dafydd nie wiedzieli, że chroni go zaklęcie ochronne KinetetE. Zaklęcie, spod którego osłony Jim coraz bardziej obawiał się wyjść. Jakieś przeczucie lub instynkt ostrzegały go, iż robiąc to, naraziłby siebie i towarzyszących mu przyjaciół na coś znacznie gorszego niż czary Morgan le Fay.

Może, pomyślał teraz, to przeczucie wzmocnił fakt, że fałszywy Dafydd i przepaść były dziełem potężnej magii. Mało prawdopodobne, by stworzył je ktoś mniej od niej biegły w sztuce magicznej. Co więcej, fałszywy Dafydd był dowodem, iż te iluzje zostały skierowane przeciwko Jimowi. Morgan chciała skłonić go do wyjścia spod osłony, tak samo jak kilkakrotnie próbowała tego w Dedalowym Lesie.

Z jakiegoś nie znanego mu na razie powodu, utrzymanie ochronnego zaklęcia miało decydujące znaczenie w tej sytuacji. Kiedy żył w dalekiej przyszłości, nauczył się sceptycznie traktować przeczucia nie poparte dowodami. Czternasty wiek – ten czternasty wiek – to zupełnie inna sprawa. Tutaj należało polegać na przeczuciach, żeby pozostać przy życiu.

Postanowił wykorzystać magię do zagojenia lekkich obrażeń, jakie zadali mu brutalni napastnicy. Będzie myślał jaśniej, a ponieważ nie mógł pomóc Brianowi i Dafyddowi, nie powinien mieć z tego powodu poczucia winy.

A przynajmniej tak sobie mówił. Ta wymówka nie złagodziła jego wyrzutów sumienia w takim stopniu, na jaki liczył. Przekłeta, nierozsądna rzecz – sumienie!

Starał się oczyścić umysł z wszelkich ubocznych myśli i skupić na poszukiwaniach sposobu wyjścia z opresji. Mógłby posłużyć się magią. Może nawet udałoby się to bez jej pomocy... Ile magicznej energii powinien zachować na cięższe chwile?

Powinien przynajmniej spróbować innych niż magiczne sposobów.

On, Brian i Dafydd mieli związane tylko ręce i nogi, ale zadziwiająco starannie. Z rękami spętanymi na plecach był prawie bezradny.

Może jeśli usiądzie tyłem do pleców Briana lub Dafydda, uda im się rozwiązać pęta na przegubach. Brian leżał bliżej i zapewne miał silniejsze palce. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, to Dafydd mógł mieć silniejsze – jako łucznik...

Za długo się zastanawiał. Usłyszał zbliżające się głosy i kilka sekund później ktoś odsłonił klapę namiotu. Wszedł sir Hugh de Bois, niosąc pochodnię z gałęzi, najwidoczniej posmarowanych jakimś tłuszczem lub żywicą, dymiących w ciasnym wnętrzu namiotu. Pochodnia migotała, na moment oślepiając Jima, i potwornie śmierdziała.

Hugh wystąpił w pełnej zbroi, z mieczem i pugiuałem u boku. Pięciu towarzyszących mu mężczyzn było podobnie uzbrojonych.

– Mogli wziąć do tego paru tych obozowych ciurów! – mruknął jeden z nich, z pomocą drugiego stawiając Jima na nogi. – Pasowani rycerze nie...

– Zostawiłeś rozum w winie, Croyonie – rzekł sir Hugh. – Weź paru obwiesiów, a do rana cały obóz będzie wiedział, co zrobiono i mówiono. Milord tego nie chce. Dlatego tu jesteśmy. Przetnijcie im więzy na nogach i ruszajmy.

Zbrojni wyprowadzili Jima, Briana i Dafydd w noc, często podtrzymując związanych więźniów, którym zdrętwiały długo skrępowane nogi. Świeże i zadziwiająco ciepłe powietrze na zewnątrz było ulgą dla płuc, lecz wokół panowała noc i wszystko spowijał gęsty mrok. Tylko namioty jarzyły się poświatą zapalonych w nich świateł, słabo rozjaśniających najbliższe otoczenie. W miarę jak ustępowało odrętwienie nóg, Jim szedł coraz swobodniej i zaczął się zastanawiać nad próbą ucieczki.

Musiałby jednak dać jakiś znak Brianowi i Dafyddowi, żeby mogli razem podjąć tę próbę. Z pewnością zdołaliby uciec eskortującym, obciążonym pancerzami... Odepchnął od siebie tę myśl. Nadal nie rozumował rozsądnie. Przecież nie zdjęto z niego zbroi. Tak więc i Brian zapewne miał ją na sobie. Tylko Dafydd nie nosił ciężkiego pancerza.

– Brianie... – szepnął, lecz eskortujący szturchnęli go, nakazując milczenie.

Jim zastanowił się. Oczywiście jego oczy, podobnie jak oczy przyjaciół, podczas pobytu w ciemnym namiocie przywykły do ciemności. Teraz jednak mogli już stracić tę drobną przewagę, a poza tym ze związanymi rękami żaden z nich nie zdołałby biec szybciej niż ci zbrojni.

Jim zamknął oczy i pozwolił się prowadzić, mając nadzieję, że szybko odzyska zdolność widzenia w nocy. Dafydd i Brian, znajdujący się dalej od pochodni, którą sir Hugh oświetlał drogę, nie będą mieli z tym problemu, podczas gdy ich strażnicy, wpatrujący się w płomień, niczego nie zobaczą w ciemności. Tak więc mrok był ich sprzymierzeńcem – lecz zanim Jim zdołał wymyślić jakiś sposób uwolnienia nic tylko siebie, lecz także Briana i Dafydda, zostali wepchnięci do innego, tym razem większego namiotu.

Był zadziwiająco pusty. Widocznie nikt w nim nie mieszkał. Pod najdalszą ścianą, naprzeciw wejścia stał stół na kozłach, a na nim cztery wysokie, zapalone świece.

Jim nie od razu zauważył dwoje obecnych tam ludzi, gdyż siedzieli za stołem, poza tym po panujących na zewnątrz ciemnościach zapalone świece oślepiły go na moment.

Gdy eskortujący zatrzymali ich dobre dwa metry od stołu, Jim zaczął odzyskiwać zdolność widzenia i stwierdził, że ma przed sobą kobietę i mężczyznę. Wydłużone cienie ich postaci tworzyły czarną plamę na płóciennej ścianie namiotu i wydało mu się, iż dostrzega tam jeszcze jedną postać.

Po bezowocnej próbie jej rozpoznania ponownie spojrzął na siedzących i stwierdził, że jego wzrok oswoił się już z blaskiem świec. Za stołem siedziała Agatha Falon, siostra i niedoszła morderczyni podopiecznego Jima, jej małego przyrodniego brata, Roberta Falona.

Obok niej siedział wysoki, tęgi mężczyzna w średnim wieku. Wyglądający

znajomo. On również miał na imię Robert. W jego długim nazwisku zawierał się człon „Plantagenet”. Był przyrodnim bratem króla Anglii. Nosił również tytuł earla Cumberland i był człowiekiem wpływowym i potężnym, którego plany Jim oraz jego przyjaciele kilkakrotnie już pokrzyżowali. Earl z pewnością ich nie zapomniał.

Teraz jednak nie zwracał na niego, Dafydd czy Briana większej uwagi niż na trzy kurczaki przyniesione do obejrzenia przed ugotowaniem.

–Wszyscy prócz sir Hugh – rzekł – wyjdź. Trzymajcie się z daleka od tego namiotu i nie pozwólcie nikomu się tu zbliżyć. Idźcie!

Krzepkie dłonie puściły ramiona Jima. Usłyszał kroki wychodzących strażników.

–Sir Hugh! – zwrócił się earl do byłego właściciela Malencontri, kiedy tamci opuścili namiot. – Jesteś głupcem. Po co ich tu przyprowadziłeś?

–Milordzie... myślałem, że tak kazałeś.

–Nie. To twój pomysł. Zapamiętaj sobie dobrze, człowieku, niepotrzebni mi tacy, którzy nie wykonują moich rozkazów. Nie jesteśmy tu sami.

Jim ponownie spojrzął w cień na końcu namiotu. Jego oczy już zupełnie oswoiły się ze światłem i dostrzegł stojącego za Cumberlandem i Agathą mężczyznę. Ten był rośli i barczysty, odziany w jakąś szatę lub płaszcz z ciemnego materiału.

Jim próbował przyjrzeć się jego ukrytej w cieniu twarzy. Wydawała się kanciasta i wyrazista, gdyż promyk światła ukazał wysokie czoło i wystające kości policzkowe. Nieznajomy dumnie trzymał głowę, jakby patrzył z góry na wszystkich obecnych w namiocie, a choć dolną połowę jego oblicza skrywał jeszcze głębszy cień, Jim dostrzegł czarne krzaczaste wąsy i bródkę. Pomimo wysokiego czoła i potężnej postury, sprawiał wrażenie dorosłego, lecz jeszcze młodego mężczyzny.

–Jeśli się pomyliłem, milordzie – rzekł sztywno sir Hugh – to w pełni pojmuję mój błąd i błagam o litościwe wybaczenie.

Earl prychnął.

–Ja nie znam litości! – powiedział. – Lepiej zapamiętaj i to. Cóż... – W końcu spojrzął na Jima i pozostałych. – Teraz, skoro już ich tu przyprowadziłeś, co twoim zdaniem mam z nimi zrobić?

–Nie śmiałem zastanawiać się nad planami waszej lordowskiej mości – odparł Hugh. – Jednak powieszenie, włóczenie końmi i ćwiartowanie powinno być dobrym ostrzeżeniem dla każdego, kto zechciałby tu szpiegować, szczególnie jeśli zatknijemy ich głowy i kończyny na pale przed naszym obozem.

Jeśli jednak sir Hugh miał nadzieję zobaczyć tę okrutną formę egzekucji, podczas której ofiara była dławiona prawie na śmierć, a następnie patroszona i rozdzielana na cztery części – najlepiej dopóki jeszcze kołatało się w niej życie, żeby mogła coś czuć – to zawiódł się. Blizna, która pozostała na policzku Geronde, która nawet pod groźbą użycia sztyletu nie chciała go poślubić, była wystarczającym dowodem sadystycznych skłonności sir Hugh. Być może wyczuł, że Cumberland też je ma. Jednakże earl, mimo swego awanturniczego wyglądu i poczynań był inteligentnym człowiekiem, a jako Plantagenet zapewne uważał, iż nie przystoi mu oddawać się takim rozrywkom. Skrzywił się.

–Powiedziałem, że jesteś głupcem! – warknął. – Do licha, kiepski byłby z ciebie

doradca! Pytałem, jak możemy ich wykorzystać. Każdy wiejski głupek potrafiłby zaproponować wieszanie, włóczenie końmi i ćwiartowanie.

–Milordzie – zajęczał sir Hugh – ja...

–Nie. Oszczędź mi dalszych pomysłów, za które zaraz będziesz się kajał. – W końcu spojrzenie earla spoczęło na Jimie. – No, potężny magu! Gdzie jest teraz twoja magia, skoro pozwoliłeś się pojmać temu krowiemu łbu w zbroi?

„Trafiony!” – powiedział cichy, lecz czujny głos w głowie Jima. Earl właśnie się z czymś wygadał. Jim jeszcze nie był pewny z czym. Jednak zadane przez Cumberlanda pytanie zdecydowanie nie pasowało do jego charakteru.

–Nadal ją mam – odparł Jim z lekkim rozbawieniem, starając się mówić jak człowiek odpowiadający na głupie pytanie.

–A więc jak to się stało, że jesteś naszym więźniem?

Następny błąd. Gdyby earl tu dowodził, co starał się zasugerować, na pewno powiedziałby „moim”, a nie „naszym”. Tylko czy zrobił to nieświadomie? Nigdy nie czynił tajemnicy ze swych ambicji zostania królem. Czyżby jego obecność w Lioness miała w jakiś sposób wprowadzić go na tron Anglii – lub innego kraju? Zawsze pozostawała możliwość, że powiedział „naszym”, a nie „moim”, przybierając królewski ton – używając liczby mnogiej, jak to robią władcy, przemawiając w imieniu całego narodu.

–To i tak żadna różnica – ciągnął Cumberland, nie czekając na odpowiedź Jima, – Hugh, wyprowadź tamtych dwóch i powieś, albo zrób z nimi, co chcesz. Tego zostaw tutaj.

–Jeśli oni wyjdą, to ja też – powiedział szybko Jim.

–W jaki sposób? Jeśli cię nie rozwiążę i nie pozwolę na to?

–Mogę stąd wyjść w każdej chwili – rzekł Jim. Właściwie było to kłamstwo. Było to możliwe tylko wówczas, gdyby zrezygnował z osłony zaklęcia. Jednak wpadł na trop tego, co earl próbował ukryć, i nie podejrzewał, by Cumberland ryzykował, że Jim mu się wymknie.

–Ucieszymy go, sir Hugh, milady – rzekł earl, kładąc łokieć na stole i podpierając brodę dłonią. – Zostaw ich tu, Hugh. I odejdz.

–Dlaczego? – zapytała nagle Agatha Falon, po raz pierwszy otwierając usta.

–Ponieważ tak powiedziałem! – podniósł głos earl, gwałtownie podrywając głowę.

– Kto cię pytał o zdanie?

–Och, myślałam, że ty, milordzie – odparła jadownicie Agatha. Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

–Może – powiedział łagodnie – ty też chcesz nas opuścić?

–Dziękuję. Nie.

–Kiedy będę chciał, byś wyraziła swoje zdanie, wyrażę się jaśniej.

Agatha bez słowa popatrzyła mu w oczy. Po chwili earl oderwał od niej wzrok i ponownie spojrzał na Jima.

–Jeszcze tu jesteś, Hugh? – powiedział, nie patrząc na rycerza, – Wyjdz z namiotu i czekaj, aż cię wezwę.

Jim usłyszał, że Hugh wychodzi. Poczł rosące podniecenie. Zaczł

podejrzewać, iż earl wcale nie jest zadowolony z tego, że Jim znalazł się w jego rękach. W końcu przetrzymywanie maga w niewoli było jak przenoszenie laski dynamitu, bez wiedzy, czy jest zapalona, czy nie. Zbyt długie zaciskanie jej w dłoni mogło mieć opłakane skutki.

Podczas ich poprzedniego spotkania Jim przysporzył earlowi sporo zmartwień, za pomocą magii wprawiając go w hipnotyczny trans, w którym arystokrata zobaczył swoje przyszłe życie i bardzo smutny koniec. To on został skazany na powieszenie, ćwiartowanie i włóczenie końmi, i – co było jeszcze gorsze dla człowieka tak przewrażliwionego na punkcie swego rycerskiego stanu i pochodzenia – pozbawiony nazwiska i herbu. Ta ostatnia wizja całkowicie załamała tego odważnego, choć godnego pogardy człowieka. Jako przedstawiciel czternastowiecznego społeczeństwa nie potrafił za pomocą logicznego rozumowania odrzucić tego, co zobaczył.

Widocznie doszedł już do siebie, lecz nie miał żadnej pewności, czy Jim, chociaż pozornie związany i bezsilny, nie zdoła rzucić na niego następnego, równie przykrego czaru.

Jim uświadomił sobie, że cichy głos mówiący „Trafiony!” miał jednak rację. Cumberland wcale nie cieszył się z tego, że znów spotkali się twarzą w twarz. Teraz miał poważny problem. Jim wyglądał na bezbronnego, ale czy takim był? Czy mówił prawdę, gdy powiedział, że nadal ma swą magię? Jeśli naprawdę był bezbronny, można było zrobić z nim wszystko. Jeżeli jednak nie, to pozwolił schwytać siebie i swoich towarzyszy tylko w jakimś sobie znanym celu. Być może była to pułapka, w jaką chciał złapać earla. Jednak Cumberland nie mógł po prostu wypuścić tych trzech jeńców, nie przyznając się – chociażby przed sobą – że robi to ze strachu.

Czas na partyjkę pokera. Jim z rozmysłem spojrzał earlowi w oczy i uśmiechnął się.

Cumberland milczał. Jim musiał go sprowokować, zmusić do powiedzenia czegoś, co dałoby się wykorzystać.

–Może – rzekł, starając się wykrzywić usta w szyderczym uśmiechu, w czym nie miał wielkiej wprawy – milord wolałby, abyśmy i my trzej opuścili namiot?

–Czemu nie? – odparł Cumberland z uśmiechem. – Macie całą noc, by zastanowić się nad swoimi grzechami. – Podniósł głos. – Sir Hughu! Odprowadź więźniów z powrotem. Pilnuj ich dobrze i nie czyn im krzywdy. Mam wobec nich pewne plany na jutrzejszy ranek!

Rozdział 25

Namiot, w którym umieszczono ich tym razem, ponownie wiążąc im nogi – grubym sznurem, jak zauważył Jim – i pozostawiając w ciemności, nie był tym samym co poprzednio. Ciemność jednak była taka sama, kiedy eskorta odeszła, zabierając pochodnię. Tylko zapachy były inne, lecz i ta różnica była niewielka.

Jim zaczekał, aż ucichną głosy tych, którzy ich przyprowadzili. Zdołał dojrzeć, gdzie rzucono na ziemię Briana i Dafydd – jego potraktowano nieco łagodniej, ale nic poza tym. Obaj leżeli najwyżej dwa metry od niego.

–Dlaczego nie przysuniemy się do siebie? – rzekł, nie ścisząc głosu. – Będzie nam łatwiej rozmawiać, jeśli nie będziemy musieli krzyczeć.

Zazwyczaj Brian szybko pojmował, o co chodzi, lecz tym razem nie domyślił się.

–Dotychczas nie musiałem krzyczeć – odparł – więc dlaczego miałbym robić to teraz? Przecież mnie słyszysz, prawda?

–Myślę, sir Brianie – powiedział Dafydd – że sir James chce nam powiedzieć, że byłoby przyjemniej, gdybyśmy leżeli bliżej siebie. Może moglibyśmy przetoczyć się do niego, gdyż przy świetle pochodni widziałem, że leży między nami.

Użycie formalnego zwrotu „sir”, chociaż byli sami, a także lekki nacisk, jaki łucznik położył na słowo „przyjemniej”, sprawiły, że Brian pojął wreszcie sens wypowiedzi Jima.

–Oczywiście! – powiedział. – Dobry pomysł, Jamesie!

Jim usłyszał szmery w ciemności, a potem głos Briana szepczący mu do ucha:

–Masz jakiś plan, Jamesie?

–Tak jakby – odparł równie cicho Jim. – Teraz, kiedy zostawili nas samych... Dafyddzie, jesteś tu?

–Jestem – powiedział łucznik do drugiego ucha Jima. Przeturlał się znacznie ciszej niż Brian.

–To jeszcze nie jest plan – rozpoczął Jim – ale sądzę, że skoro nikt nas nie widzi, powinniśmy sprawdzić, czy nie zdołamy pozbyć się tych sznurów. Pomyślałem, że jeśli oprzemy się o siebie plecami, może uda nam się rozpętać sznury.

–Istotnie, czemu nie! – odparł Brian. – Myślę... Jamesie, nie obrazisz się, jeśli zaproponuję, żebyśmy to my z Dafyddem najpierw spróbowali? Widzisz, jeden z nas i tak musi poczekać, a Dafydd i ja mamy trochę silniejsze palce niż ty i...

–Och, pewnie, pewnie! – zgodził się Jim, chociaż zakładał, że będzie jednym z dwóch pierwszych, którzy tego spróbują. – Wyślizgnę się spomiędzy was. Chwileczkę.

–Dlaczego nie zostaniesz na miejscu, Jamesie? – powiedział Dafydd. – Nieraz czołgałem się po ziemi tak, jakbym miał związane ręce i nogi. Zaraz będę przy Brianie.

Mówiąc to, już się przemieszczał i po chwili znalazł się przy towarzyszu.

–Gdybyś mógł przez chwilę nie ruszać rękami, Brianie. Wiem z doświadczenia, że wtedy najłatwiej poluzować pęta. Gdy tylko zabierzesz się do roboty, palce szybko nauczą się odnajdywać węzły.

Brian przytaknął. Jim leżał w ciemności, żałując, że bez pomocy magii nie jest w

stanie śledzić postępów pracy. Niestety, nie było na to żadnego sposobu, a Brian i Dafydd nie wydawali żadnych dźwięków, które coś by mu mówiły. Brian przywykł nie zwracać uwagi na niewygody, a Dafydd potrafił robić takie rzeczy bezgłośnie.

Po dłuższej chwili, przerywanej tylko szmerami dochodzącymi z zewnątrz, łucznik przemówił.

–Obawiam się – powiedział – że nic nie mogę zrobić. Te węzły zostały zaciśnięte przez silnego mężczyznę. Ponieważ mam ręce związane w przegubach, nie mogę rozciągnąć włókien, żeby rozluźnić sznur. Wybaczcie, że niepotrzebnie robiłem wam nadzieję.

–Nawet tak nie myśl, Dafyddzie – odparł Brian. – Jeśli ty nie możesz rozluźnić moich więzów, to znaczy, że żaden z nas nie zdoła tego dokonać. Pomimo to spróbuję, za waszym pozwoleniem, na wypadek, gdyby mój patron zechciał sprawić jakiś cud. Może wasze więzy są słabiej...

Dafydd uciszył go syknięciem, Brian urwał w połowie zdania. Jim wstrzymał oddech. Szmery przybrały na sile i zdawały się zbliżać. Nagle ucichły.

Na ułamek sekundy zapadła głęboka cisza.

Potem Jim, leżący najdalej od wejścia, usłyszał cichutkie skrobanie. Dźwięk dochodził zza ściany namiotu, zaledwie pół metra od niego. Zanim zdążył się przekręcić i obrócić twarzą w tym kierunku, szorstki, mokry jęzor oblizwał mu policzek i w ciemności rozległ się znajomy skowyt.

–TB? – mruknął Jim. – To ty? Ponownie usłyszał skowyt.

–Jeśli wiesz, jak sprowadzić pomoc, zrób to – rzekł Jim. – W przeciwnym razie lepiej sam...

–W porządku, milordzie – powiedział cichutki głos nad jego uchem. – Milord TB przyprowadził mnie tutaj. W ciemności mogliśmy przechodzić tuż obok tych ludzi i żaden z nich nas nie zauważył.

Brian i Dafydd słuchali go w milczeniu.

–A jak... – Jim urwał. – Jak to „przyprowadził”? Czy on widzi po ciemku?

–Och nie, milordzie. Ani w swoim własnym cielem, ani w cielem tego ogara. On kieruje się węchem.

–Ach tak – mruknął Jim. Oczywiście. Zarówno wilki, jak i psy – które, skoro o tym mowa, były właściwie wilkami, tylko „społecznie przystosowanymi”, jak powiedział mu kiedyś pewien kolega naukowiec – postrzegały otaczający je świat w odcieniach czerni i bieli. Jednakże znakomicie rozwinięty zmysł węchu pozwalał im rozróżniać całe mnóstwo zapachów niewyczuwalnych dla ludzi. Ogar bez trudu mógł poruszać się po obozie w bezksiężycową noc. gdyż dzięki węchowi lokalizował zbrojnych i namioty równie łatwo, jak ludzie dostrzegali je w dzień – tyle, że nie widział kolorów.

–Wiedzieliśmy, że w końcu będziemy mieli okazję porozmawiać – ciągnął Hob. – W tej chwili nikogo tu nie ma. On podkopał się pod ścianą namiotu. Zaraz was uwolnimy. Właśnie przegryza więzy na twoich rękach, milordzie.

–Wiem – mruknął Jim, tarmoszony w lewo i w prawo przez ogara, który na przemian gryzł i szarpał sznury. – Jak mu idzie?

W tej samej chwili pęta puściły.

–Świetnie – rzekł, rozcierając przeguby i przebierając palcami. Dzięki użytej przedtem magii nie bolały go, ale trochę zdrętwiały. Więzy były mocno zaciśnięte. – Gdzie jest teraz TB? – rzucił w mrok.

–Uwalnia sir Briana, milordzie.

–Dafyddzie – powiedział Jim. – Odezwij się, żebym mógł cię znaleźć. Zajmę się twoimi więzami, kiedy TB będzie uwalniał Briana.

–Leżę tuż przed tobą, Jamesie, niedaleko wyjścia. Jim spróbował wstać i upadł.

–Wciąż mam związane nogi! – poinformował zarówno Dafydd, jak TB i Hoba.

–Czy masz jeszcze przy sobie ten nożyk? – zapytał Brian. Jim był rad, że ciemność skryła jego zakłopotaną minę. Poza nożem do jedzenia, sztyletem i mieczem, rycerz nie powinien nosić żadnej innej broni, szczególnie ukrytej. Jednakże Brian zniechęcał go do zbyt dosłownego traktowania tego nakazu. „A co jeśli przyjdzie mi walczyć z jakimś niezbyt rycerskim przeciwnikiem?” – pytał całkiem rozsądnie.

Oczywiście, napastnicy zabrali Jimowi broń, ale nadal miał nożyk ukryty w sekretnej kieszonce po wewnętrznej stronie pasa.

–Zaraz ci pomogę – powiedział do Dafydd, przecinając ostrzem więzy na swoich kostkach. Sznury puściły i zaczął po omacku szukać łuczника.

–Dziękuję ci, Jamesie – rzekł Dafydd, gdy został uwolniony.

–Nie dziękuj mi – odparł Jim. – To TB nas uratował. Brianie? Teraz mogę tobie rozciąć pęta.

–Nie ma potrzeby – odrzekł rycerz. – Mam już w ręku nożyk i... o, przeciąłem ostatni sznur.

–Najlepiej natychmiast opuśćmy to miejsce – zaproponował Dafydd.

–Jeśli wolno mi coś rzec – odezwał się niespodziewanie swoim zwykłym głosem TB – to zanim wyjdziemy, powinniście wysłuchać tego, co mamy wam z Hobem do powiedzenia. Za chwilę znów zmienię się w psa. Wróciłem do mojej zwykłej postaci tylko po to, by zamienić z wami kilka słów i bezpiecznie doprowadzić was do koni. Najpierw powinniście...

–Konie! – przerwał mu Brian. – Blanchard! Nie zostawię go tutaj. A nasza broń, co z naszą bronią? Bez niej będziemy jak nadzy!

–Znaleźliśmy także wierzchowce – pisnął skrzat. – Na otwartej przestrzeni paliło się ognisko, przy którym nikogo nie było, udało mi się więc wsiąść na smużkę dymu. Przeleciałem wzdłuż rzędu uwiązanych koni, od jednego końca do drugiego. Blanchard i pozostałe rumaki są niedaleko tego miejsca, gdzie wzięto was do niewoli.

–A nasz oręż?

–Miał go sir Hugh. To było prawie pewne, sir Brianie – wtrącił TB. – Pozwól, Hobie, że najpierw przekażę najważniejsze wieści.

–Najważniejsze? – zdumiał się Brian. – Co może być ważniejsze od Blancharda i naszej broni...? Przepraszam, milordzie TB, co mówiłeś?

–Nie musisz mnie przeproszać. Powinniście jednak wiedzieć, że po zapadnięciu zmroku wyszedłem z kryjówki, jaką sobie znalazłem jako ogar, i zobaczyłem, że Hob również opuścił schronienie pod plandeką jucznego konia, gdy tylko odeszli ludzie,

którzy wzięli was do niewoli. Gdy zapadł już zmrok, szukał miejsca, dokąd was zabrano.

–Dobra robota, Hobie! – rzekł Brian.

–Pokornie dziękuję, sir Brianie!

Jim niemal czuł, jak mały skrzat pęcznieje z dumy.

–Co sądzisz o mojej... – zaczął Hob.

–Miałem właśnie powiedzieć – ponownie przerwał mu TB – że razem wróciliśmy do namiotu sir Hugh'a de Bois, lecz chociaż wywęszyłem, że byliście tam niedawno, nie zastaliśmy was. Poszedłem waszym tropem do większego namiotu, w którym rozmawialiście z jakąś damą i szlachcicem. To jest ta ważna sprawa: przez ścianę namiotu wyczułem zapach nie tylko tych dwojga, ale kryjącego się za nimi człowieka – mężczyzny, którego znam.

–Ach tak, człowiek w cieniu – mruknął Jim.

–Właśnie.

–Kim on jest?

–Kimś, kogo wcale nie spodziewałem się tu spotkać. Może pamiętacie, jak powiedziałem, iż w przeszłości nikt prócz króla Artura nie miał prawa zwoływać wojsk. Myliłem się. Był jeszcze ktoś, kto zebrał armię przeciwko królowi Arturowi, gdy ten był już w podeszłym wieku. Ta armia składała się z rycerzy króla Artura, którzy odsunęli się od niego z powodu grzechów, o jakie została oskarżona Ginewra. Przywódca zaś zwał się Modred.

–Modred – powtórzyli jednocześnie Jim i Brian, pierwszy w zadumie, ale drugi pytająco. Najwidoczniej TB usłyszał to.

–Czyżbyś nie wiedział, sir Brianie, że Gawen, wiedziony nienawiścią do Lancelota, wciąż powtarzał królowi, iż ten drugi w swoim zamorskim królestwie gromadzi przeciw niemu liczne wojska, tak że w końcu król Artur pozostawił swoje ziemie pod pieczęcią Modreda i z wielką armią, lecz ciężkim sercem ruszył do Francji, zaatakować włości Lancelota?

–Zdaje mi się, że słyszałem taką opowieść – odparł Brian. – Jednak byłem wtedy bardzo młody i nie pamiętam, co z tego wynikło.

–Lancelot nie chciał walczyć z Arturem, a król pragnął uniknąć rozlewu krwi. Gdy wszystko wisiało już na włosku, nadeszły wieści z Anglii, że regent Modred ogłosił śmierć monarchy w bitwie z Lancelotem i sam zasiadł na tronie. Artur natychmiast powrócił do Anglii i w zażartej bitwie pod Dover odniósł zwycięstwo nad przeważającymi siłami Modreda. Zawarto traktat pokojowy, który miał zakończyć zmagania, jeśli żaden rycerz obu walczących stron nie dobędzie miecza.

–Teraz sobie przypominam – rzekł Brian. – Jeden z rycerzy króla został ukąszony przez żmiję i sięgnął po miecz, żeby ją zabić, Modred ujrzał błysk ostrza i poprowadził swoją armię do boju. Całe pole bitwy zasłaly ciała poległych. Król zobaczył Modreda i ruszył na niego z kopią... czy tak?

–Tak. Kopia przeszła Modreda na wylot, a on, czując nadchodzącą śmierć, resztkami sił rzucił się na drzewce i uderzył ojca mieczem, przebijając hełm i czaszkę.

–I tak król był bliski śmierci – dodał Brian, niemal takim tonem, jakby odmawiał w

kościół modlitwę – a trzy królowe przybyły łodzią, aby zabrać go do doliny Avalonu. Czy tak było? Jednak teraz przypominam sobie, że ten Modred wyzionął ducha, przebity kopią, czy tak?

–Tak było – potwierdził TB. – Padł trupem. Nigdy nie spodziewałem się znów ujrzeć go żywym, lecz teraz, w tych trudnych chwilach, wielu poległych w naszych legendach powróciło – a wśród nich dwaj synowie króla Pellinora. Może tak działa Stara Magia utrzymująca przy życiu naszych naturalnych, rycerzy Okrągłego Stołu – choć ich potomkowie żyją w Lesie Potyczek, gdzie spotkaliście mnie po raz pierwszy, i noszą ich nazwiska. Jednak mój psi nos, którym kiedyś obwąchałem Modreda na dworze króla Artura – dokończył TB – rozpoznał go, kiedy węszyłem pod ścianą namiotu podczas waszej rozmowy z tamtą damą i rycerzem.

–Może już ruszajmy? – zaproponował Jim. – Porozmawiamy, gdy znajdziemy się w bezpieczniejszym miejscu.

–Istotnie – przytaknął Dafydd. – Poza tym muszę jak najszybciej zanieść mojemu królowi wieść o powrocie Modreda.

–Natomiast ja powinienem zanieść ją do Liones – oznajmił TB – będę więc rozmawiał z tymi, którzy wyruszą tam ze mną. Pojedziecie, Jamesie i Brianie? W końcu, jeśli dobrze zrozumiałem, przybyliście tu pomóc Liones.

–Sądzę, że powinniśmy, Jamesie – orzekł Brian. – Jeśli jednak jesteś innego zdania...

–Nie. Lepiej pójdźmy z TB.

–A kiedy znajdziemy się daleko od tego obozu i na otwartej przestrzeni – zapowiedział Dafydd – nikt nas nie znajdzie i nie doścignie. Zaufajcie mi. Wtedy się rozstaniemy.

–Dobrze – zgodził się Jim. – Kiedy przybyliśmy do zatopionej krainy i znów cię znaleźliśmy, miałem nadzieję, że do końca tej misji pozostaniemy razem. Nic nigdy nie dzieje się zgodnie z oczekiwaniami.

Rozdział 26

–Jesteśmy już blisko końca obozu – oznajmił cichy głos. Teraz, kiedy odeszli od słabo oświetlonych namiotów, dobiegał z nieprzeniknionej ciemności, być może więc TB nie fatygował się z ponownym przybieraniem postaci ogara. Jeśli tak było, to prowadził ich tylko dzięki swej wrodzonej umiejętności rozpoznawania zapachów, ale robił to równie pewnie jak pies-tropiciel. – Znajdujemy się niedaleko naszych koni i wyraźnie czuję już zapach twojego Blancharda, sir Brianie.

Z odległości pięciu metrów Jim też poczuł woń wierzchowców. Mimo to nie potrafił rozróżnić zapachu Blancharda. Węch TB może nie mógł się równać z psim, ale z pewnością był znacznie czulszy od ludzkiego.

Idąc za Jimem – a nawet trzymając go za pas, żeby nie zabłądzić, podobnie jak Jim trzymał się pasa Dafydd, który szedł za TB – Brian gwizdnął cicho, prawie bezgłośnie.

Jim rozpoznał jeden z sygnałów, na jakie reagował wspaniale wytresowany Blanchard: ostrzeżenie, by koń nie wydawał żadnych dźwięków na powitanie pana. Jim próbował nauczyć tego Gorpa, lecz ten, chociaż zazwyczaj niezbyt skłonny do rżenia, nie był tak pilnym uczniem jak Blanchard. Równie dobrze mógł teraz zapomnieć o tym, co starano mu się wpoić.

–Hobie – powiedział cicho Jim – gdybyś spróbował pójść pierwszy i uciszyć Gorpa oraz jucznego konia, nie zabłądzisz?

–Hob nigdy nie zgubi się w ciemności – odezwał się skrzat tuż za jego uchem. Jim usłyszał tupot bosych stóp, a potem zapadła cisza. Po chwili wpadł na twarde jak mur bok Gorpa.

Oczywiście, że wszystkich koni zdjęto siodła i uzdy, a z jucznego konia bagaże.

–Musimy odjechać bez uprzęży i ekwipunku – rzekł z żalem Brian. – Nie możemy wrócić i szukać ich, ryzykując ponowne schwytanie.

–Może to nie będzie konieczne – odparł TB. – Przynajmniej mógłbym spróbować. Mój psi nos jest lepszy od tego, ale może lamparci węch wystarczy... – Usłyszeli węszenie. – Cały obóz śpi, oprócz ludzi w tych kilku oświetlonych namiotach. Jeśli ominiemy je, możecie równie dobrze jechać konno, gotowi w każdej chwili pomknąć galopem, Wystarczy, jeśli wasze wierzchowce pobiegną za mną, a wyprowadzę was w bezpieczne miejsce. Hobie, czy możesz powiedzieć Blanchardowi, żeby podążał za mną w ciemności? Nic znam tej krainy, ale wyczuwam drzewa i odstępy między nimi.

–Blanchard mnie nie usłucha – odparł Hob z za pleców Jima, zaskakując go. – Mogę powiedzieć Gorpowi, żeby tak zrobił.

–Blanchard pojedzie za Gorpem. Macie na to moje słowo! – usłyszeli w mroku głos Briana.

–A twój koń, lordzie regencji? – spytał TB.

–Pojadę za wami, kierując się stukotem końskich kopyt – odpowiedział Dafydd z lekkim rozbawieniem w głosie.

–Zatem ruszajmy – rzekł TB i tak też zrobili. Jechali przez chwilę, a potem TB znów przystanął. – Jesteśmy już blisko... tego miejsca.

Przejechali jeszcze kawałek, a potem zwolnili i znowu się zatrzymali.

–Nie widzicie tego – powiedział cicho TB – i ja też nie, lecz w tym namiocie sir Hugh de Bois przechowuje dodatkowy ekwipunek. Czuję, że tutaj znajduje się nasmołowana plandeka z grzbietu waszego jucznego konia. Z bliska rozpoznaję też zapach waszych siodeł i innego ekwipunku, który może należeć do sir Hugh'a lub pozostałych rycerzy. W środku jest jeden wartownik.

–Ja się nim zajmę – obiecał Dafydd.

–Nie. Nie ma potrzeby. Jest pijany jak bela. Wejdziemy tam po cichu. Każdy niech trzyma dłoń na moim grzbiecie. Wyniesiemy to, co jest wasze.

Tak też uczynili. Dzięki pomocy TB bez trudu zabrali swój dobytek z ciemnego namiotu. Osiodłali konie, dosiedli ich i przygotowali się do jazdy.

Teraz, kiedy najtrudniejsza część zadania była za nimi, lekko szarzejące niebo zapowiadało koniec nocy, równie krótkiej tutaj, jak w Liones.

–Obóz jeszcze śpi – rzekł TB. – Ruszajmy.

Odjechali. Po chwili znaleźli się w lesie, kłusując za TB, który zdawał się mieć niewyczerpane zapasy sił. Jim ocenił, że jechali prawie pół godziny. Słońce jeszcze nie wzniosło się nad wierzchołki okolicznych drzew, lecz niebo pobiałało i teraz już wyraźnie widzieli drogę.

–Jak daleko jest do Liones? – zapytał Jim TB.

–Jesteśmy w niej już od pewnego czasu – odparł zapytany, nie odwracając głowy.

– Spójrz tam, gdzie krawędź słońca wyłania się spomiędzy gałęzi drzew.

Zaskoczony Jim zerknął w górę i na prawo. Słońce było już oślepiająco białe, a konary, przez które przeświecało, smoliście czarne. Żywe barwy zatopionej krainy znikły. Wstrzymał Gorpa. Pozostali również stanęli.

–Chwileczkę – powiedział Jim, szukając u pasa futerału z okularami. Nałożył je, żeby się upewnić. Żadnych kolorów, z ulgą schował szkła z powrotem. Już miał powiedzieć, że mogą ruszać, gdy przemówił Dafydd.

–Istotnie jest to Liones – rzekł – a więc podążam w złym kierunku. Muszę zanieść wiadomość mojemu królowi, co oznacza, że teraz was opuszczę.

Nie czekając na odpowiedź, okręcił kasztanka i pogalopował z powrotem.

–Zaczekaj, Dafyddzie! – zawołał za nim Jim. – Chyba nie chcesz wjechać z powrotem do ich obozu!

–Nie ma obawy! – odkrzyknął łuczniczka przez ramię. – Słońce stoi wysoko na niebie i bez trudu objadę obóz. To moja kraina!

I zniknął im z oczu. Zapadła cisza, którą w końcu przerwał Brian.

–Niezwykłe poczucie obowiązku – skomentował. – Jedziemy dalej?
Ruszyli.

–Zastanawiałem się, jak najlepiej to zrobić – TB przerwał kolejną chwilę ciszy. – Rzecz w tym, że w Liones nie mamy takiego króla, jakim był Artur, do którego powinny najpierw dotrzeć wieści o obcych wojskach na naszej granicy. W każdej innej uważałbym, iż obecność takiej armii niczym nam nie grozi. Wydaje się, iż jest ona lepiej przygotowana do podboju zatopionej krainy niż Liones. Jednakże ze względu na obecność Ciemnych Mocy mam wrażenie, iż należy ostrzec naszych rycerzy.

–Dlaczego uważasz, że nie zagraża nam niebezpieczeństwo? – Brian ze zdziwieniem spojrzął na sadzącego lamparcimi susami TB.

–Z kilku powodów – odrzekł tamten. – W znacznie większym stopniu niż Liones, zatopiona kraina jest podobna do górnego świata, z którego pochodzą najeźdźcy. Zamieszkują ją ludzie mogący być ich sługami i niewolnikami, a poza tym nie istnieje w niej magia. Niezależnie od tego, co się mówi, wierzę, że ludzie z górnej krainy są przyzwyczajeni do magii, ale jednocześnie obawiają się jej.

–Nic bez powodu – przypomniał Brian – skoro często znajduje się ona w niewłaściwych rękach.

–Tak, ale w Liones, z nielicznymi wyjątkami, magia jest nam przyjazna, podobnie jak magia drzew i Stara Magia, które wspólnie stworzyły nam dom, gdy nasze opowieści mogły zostać zapomniane i stracone na zawsze.

–Tak wspaniałe opowieści nigdy nie zostają zapomniane! – rzekł Brian. – Poprzyj mnie, Jamesie. Czyż nie mam racji?

–Z całą pewnością – powiedział Jim. – Jeszcze przez co najmniej tysiąc lat. TB, jeśli nie macie tu króla takiego jak Artur, do kogo teraz podążamy?

–Do innego władcy – odpowiedział TB. – Chociaż on nazywa się Pellinor, nie Artur. Jednak był jednym z rycerzy Okrągłego Stołu, jedynym, który dorównywał Arturowi siłą, a nawet przewyższał go. Tak znacznie, że pokonał Artura, gdy podczas turnieju królowi pękł miecz. Byłby go zabił, gdyby Merlin nie powstrzymał go.

–Zdaje się, że przypominam sobie i tę opowieść... – mruknął Brian, marszcząc brwi.

–Król Pellinor jest naturalnym – ciągnął TB. – Jednym z tych legendarnych władców, którzy dzisiaj trzymają się z daleka od dzieci swoich dzieci. Właśnie komuś takiemu jak on musimy opowiedzieć o niebezpiecznej sytuacji na pograniczu, gdyż choć nasi rycerze potrafią walczyć jak żadni inni, obawiam się, że nie poradzą sobie bez Artura. On zawsze był zwycięzcą – w walce za sprawę czy dla innych, nigdy dla siebie... Pod pewnymi względami mieszkańcy Liones są zwyczajnymi ludźmi, a bez niego brak im czegoś, co czyniło ich wielkimi – szczególnie jeśli mają stawić czoło tak przeważającym liczebnie nieprzyjaciołom, jakich widzieliśmy na pograniczu.

–Zwyczajni ludzie często dokonują nadzwyczajnych czynów – przypomniał Brian.

–Tak, ale... nie tylko o to chodzi. Kiedy Artur ruszał na wojnę, ziemia walczyła razem z nim. Niebo walczyło wraz z nim. Nie jesteście w stanie pojąć, co to oznacza. Nie widzieliście tak jak ja, jak jego miecz błyskał i raził wrogów! Gdybyście byli tam, wtedy zrozumielibyście... – Zazwyczaj łagodny głos TB stał się ochryply jak głos człowieka bliskiego łez. – Nie potrafię tego wyjaśnić! Nie potrafię!

–Nie musisz, TB – uspokajał go Jim. – Wierzymy ci na słowo.

–Być może wy, sir Jamesie i sir Brianie. Jednak rycerze Liones pamiętają Artura i wiedzą, czego im brak – i to jest największym zagrożeniem.

–Pomogą im ziomkowie Dafydd – rzekł Jim. – Kiedy mieszkańcy zatopionej krainy zrozumieją, iż obu królestwom grozi wspólne niebezpieczeństwo, połączą siły z Liones. Jestem tego prawie pewny!

–Może – powątpiewał TB.

–Gdyby Dafydd nadal tu był – zauważył Brian – mógłby rzec, iż mieszkańcy zatopionej krainy nie mają wielu powodów, by kochać sąsiadów z Liones. Pamiętasz, Jamesie, te historie o jego ziomkach, którzy udali się do Liones i pozostali tam, nie mogąc wrócić do domu?

–W obliczu tak poważnego niebezpieczeństwa, Brianie, nie sądzę, by do tego wracali!

–Mam nadzieję, że się nie mylisz, sir Jamesie. – TB obejrzał się przez ramię na Jima, nie przerywając szybkiego, lekkiego biegu, zmuszającego podążające za nim konie do żwawego klusa. – Trzeba będzie jednak zapytać o zdanie rycerzy Liones, gdyż oni ze swej strony wiedzą, iż w zatopionej krainie stan rycerski jest czymś nieznanym!

–Ha! Jeśli będzie trzeba, pozwólcie mi do nich przemówić! – powiedział Brian. – Głupcem byłby ten, kto by mniemał, iż brak rycerskiego pasa i złotych ostróg świadczy, że Dafyddowi brakuje umiejętności i odwagi, a wątpię, by w zatopionej krainie nie znalazło się więcej takich jak on.

–Ja z pewnością tak nie uważam – odparł TB – i w takich słowach przekażę te wiadomości królowi Pellinorowi. Jednakże to on musi rozważyć ten problem. W tej kwestii popieram cię, sir Brianie. Wszyscy mamy swoje zwyczaje.

–Istotnie – Brian zniżył głos. – Nie powinienem tak cię naciskać.

Nagle TB zatrzymał się. Obaj rycerze osadzili rumaki, żeby go nie stratować.

–Muszę zawołać – powiedział. Nadal znajdowali się w gęstym lesie, wśród sporych pagórków, na których nic było widać śladu budynków czy ludzi. Pamiętając, jak TB w mgnieniu oka przeniósł ich z jednego końca Liones na drugi, Jim doszedł do wniosku, że od wschodu słońca mogli przebyć znacznie większą odległość, niż przypuszczał.

Zanim zaczął snuć domysły co do tego, gdzie się teraz znajdują, TB wydał odgłos przypominający ujadanie sfory polujących ogarów i Jim po raz pierwszy zauważył, iż ten dźwięk nie wydobywa się z jego węzowego pyska, lecz – zgodnie z legendą – z brzucha.

Po chwili na ów zew odpowiedziało granie myśliwskiego rogu i poszczekiwanie psów – nielicznego stada, ale co najmniej tuzina. TB przybrał postać ogara i pomknął w las, zostawiając w tyle podążających za nim Jima i Briana.

Przejechawszy najwyżej dwadzieścia pięć metrów, minęli kępę niewysokich drzew i znaleźli się na polanie. Jej przeciwległy kraniec zajmował dom z bali z solidną ławą obok frontowych drzwi, zbudowany z rozłupanych na pół, nie okorowanych pni, wzniesiony na ośmiu grubych palach.

Na ławie siedział gładko ogolony, poważnie wyglądający mężczyzna w pełnej zbroi, będący jednym z najwyższych i najlepiej zbudowanych ludzi, jakich Jim kiedykolwiek widział. Nie patrzył na nich. Zza zamkniętych drzwi chaty dobiegały poszczekiwania, na które też nie zwracał uwagi.

TB przystanął na skraju polanki, nadal zachowując postać ogara. Obejrzał się na towarzyszy i zaskomlał.

–Milordzie – powiedział Hob – on chce podejść tam pierwszy, sam. Czy masz coś

przeciwno temu, żeby puścić go przodem?

–Absolutnie nie – odparł pospiesznie Jim, zanim Brian zdążył otworzyć usta.

Ogar kiwnął łbem i potruchtał w stronę siedzącego. Jim i Brian zaczęli, aż dotrze do połowy polany, a potem wyjechali spomiędzy drzew i ruszyli w kierunku chaty.

Mężczyzna nie odrywał oczu od ogara, od momentu kiedy go zobaczył. Dopiero gdy pies zatrzymał się dwa metry przed nim i przysiadł na zadzie, mężczyzna dostrzegł nadjeżdżających i powstał.

–Kim jesteście?

Głos miał ochryply, lecz równie silny jak ciało. Ogar nagle zmienił się w TB i z wnętrza chaty zaczął dobiegać chór psich głosów. Mężczyzna spojrzął na drzwi.

–Cicho.

I zapadła cisza. Nagła, niemal szokująca cisza. Odwrócił się z powrotem do Jima i Briana, którzy podjechali do TB i ściągnęli wodze.

–Sir Pellinorze – powiedział TB – oto moi i twoi przyjaciele, będący sprzymierzeńcami wszystkich w Liones. Przebyli długą drogę, aby nam pomóc. Pozwolisz, że ci przedstawię sir Jamesa de Malencontri i sir Briana z zamku Smythe, obu z górnej krainy? Jamesie, Brianie, mam zaszczyt przedstawić wam króla Pellinora, mojego przyjaciela i rycerza Okrągłego Stołu.

Brian i Jim zeskoczyli z koni i skłonili się. Pellinor skinął głową.

–Jakiej mielibyśmy potrzebować pomocy? – zapytał. Jego ochryply głos brzmiał jak dźwięk wielkiego bębna dudniącego w obszernej jaskini jego piersi.

Jim stwierdził, że nie może oderwać od niego wzroku. Szeroka twarz króla była nieprzenikniona, bez bruzd i zmarszczek, a ciemne oczy spoglądały bystro spod czarnych brwi. Sprawiał wrażenie człowieka obdarzonego ogromną siłą fizyczną, a także siłą woli – znacznie większą, niż Jim oczekiwał. Z jakiegoś powodu, może ze względu na sposób, w jaki mówił o nim sir Dinedan (potomek noszącego to imię rycerza Okrągłego Stołu), Jim wyobrażał go sobie jako niemal komiczną postać.

Bezpodstawnie. Uświadomił sobie, że żaden z rycerzy Okrągłego Stołu nie był zabawny. W sztuce Szekspira Hamlet miał swego grabarza. W legendach o królu Arturze nie było takiej postaci.

Teraz toczył wzrokowy pojedynek, który musiał przegrać. Już miał się poddać i spuścić oczy, gdy Pellinor ponownie spojrzął na TB.

–Nie odpowiedziałeś mi, stary druhu.

–Zdziwiłem się, że o tym nie wiesz, królu. Pewne złe siły, znane jako Ciemne Moce i dotychczas sprawiające kłopoty tylko w górnej krainie, prawdopodobnie zamierzają opanować Liones w sobie tylko znanych, niegodziwych celach. Sir James i sir Brian potykali się już z nimi i pokonali je, nie raz, lecz kilkakrotnie, tak więc przybyli do Liones, by pomóc nam w miarę swych możliwości.

–Jakąż więc postać mają te Moce? – spytał głębokim basem Pellinor. – Z pewnością znajdują się inni, którzy zechcą sławić im czoło i odesłać tam, skąd przybyły?

–One nie mają kształtu ni oblicza, królu. Dlatego są tak groźnym przeciwnikiem.

Pojedynek z nimi jest jak walka z nadchodzącą zimą. Dzielne serca, silne ramiona i dobry oręż nie znajdą w nich niczego, co można pokonać.

–Trudno w to uwierzyć, lecz ja zawsze poważnie traktuję twoje słowa, TB – rzekł Pellinor. Znowy przeniósł spojrzenie na Jima i Briana.

–A zatem, w jaki sposób możecie nam pomóc?

–Jestem magiem – odparł Jim w najlepszym czternastowiecznym stylu, jakiego nauczył się w ciągu kilku ostatnich lat – a ponadto, chociaż same Ciemne Moce równie trudno zranić jak ducha czy cień, aby zawiązać coś rzeczywistym, takim jak ziemia, na której teraz stoimy, wykorzystują one stworzenia, które można pokonać i zabić.

–Stworzenia?

–Harpie – wtrącił Brian. – Coś w rodzaju wielkich nietoperzy o kobiecych twarzach i jadowitych kłach. Robaki podobne do gigantycznych minogów, z paszczami pełnymi zębów. Dwumetrowe ogry o kościach tak grubych, że żadna maczuga czy topór, nie mówiąc już o mieczu, nie zdoła ich złamać... i inne.

–Nigdy o nich nie słyszałem – powiedział Pellinor.

–Ciemne Moce mogą spróbować podbić Liones przy pomocy takich stworów, jakie wymienił sir Brian – rzekł Jim. – Mogą również użyć innych. Jednak skorzystają z pomocy tych, których nigdy byś o to nie podejrzewał.

Wskazał na Briana.

–W przeszłości – ciągnął – sir Brian i ja stawiliśmy czoło potężnemu magowi, wielkiej armii węży morskich atakujących nas na lądzie oraz demonowi z królestwa Diabłów i Demonów. Ponad to istotom zwanym Pustymi Ludźmi, a innym razem największej i najstarszej morskiej mątwie, potworowi marzącemu o podboju górnej krainy. Kiedy atakują Ciemne Moce, są potrzebni nie tylko magowie, ale także rycerze i każdy, kto może walczyć z ich stworami.

Król Pellinor mierzył go wzrokiem.

–Rozumiem, że wygrałeś te bitwy – powiedział. – W przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj, jeśli to, co mówisz, jest prawdą.

Jim skinął głową.

–Zwyciężyliśmy – dodał – tylko dlatego, że czarnoksiężnik został pokonany, Puści Ludzie pobici, a ogromna mątwą obezwładniona przez mojego mistrza magii, znacznie bieglejszego w tej sztuce ode mnie.

–A co będzie – spytał Pellinor – jeśli tym razem do odparcia ataku będzie potrzebny inny, potężniejszy od ciebie mag?

–Żaden inny nie przyjdzie wam z pomocą – uciął Jim, zapominając o średniowiecznych uprzejmościach. – Będziecie musieli walczyć tymi siłami, które macie. A poza waszymi rycerzami macie tylko mnie – mnie i sir Briana. Jest nas zaledwie dwóch, ale zdobyliśmy już doświadczenie w walce z tym wrogiem. Oprócz waszych rycerzy i nas pozostają jeszcze jedynie drzewa i Stara Magia.

–To prawda – przytaknął TB.

–Tak, to prawda – przyznał Pellinor – ale my, rycerze, nie możemy rozkazywać drzewom ani Starej Magii. Nie umiemy nawet z nimi rozmawiać. Wiem, że ty to

potrafisz, TB. Może jednak one nie są w stanie podejmować wspólnych decyzji tak jak my. Kto wie, czy zechciałyby nam pomóc i w jaki sposób?

–Jest ktoś taki – powiedział Jim. – Merlin. Mogę go zapytać.

Nie tylko Pellinor, lecz i TB w milczeniu wytrzeszczyli oczy.

Nagle Jim zmieszał się. Rzeczywiście mógł zasięgnąć rady Merlina, lecz oni najwyraźniej uważali, że to niemożliwe. Nagle, jak to często mu się zdarzało, zakłopotanie przerodziło się w złość, a złość w upór. Nie miał zamiaru cofnąć słów, które właśnie wypowiedział.

–Jednakże – ciągnął, zwróciwszy się do TB – zapewne nie będziesz mógł mnie do niego zaprowadzić przed zachodem słońca. Na razie powinniśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, co możemy zdziałać innymi, nie magicznymi sposobami.

–Wkrótce zapadnie zmrok – powiedział TB i w jego głosie pojawił się twardy ton, jakiego Jim jeszcze nigdy u niego nie słyszał – ale masz rację, sir Jamesie, że powinniśmy policzyć nasze siły. Oczywiście, mimo wszystko porozmawiam z drzewami, choć król Pellinor ma słuszość. Nie należy oczekiwać od nich bezpośredniej pomocy. Natomiast co do Starej Magii, nie znam nikogo, kto mógłby się z nią porozumieć, i nie wiem, czy ona jest w stanie usłyszeć nasze słowa. Wierzę jednak, iż ona ci sprzyja, sir Jamesie, a może nawet jest twoim sprzymierzeńcem, gdyż pomogła ci uciec królowej Północnych Wichrów. Może wesprze nas w swoim czasie i na swój sposób. Natomiast nie mam pojęcia, kto będzie z nami walczył i co możemy osiągnąć. Dlatego przyprowadziłem nowych przyjaciół do mojego najstarszego przyjaciela.

Spojrzał na Pellinora. Ten patrzył przez nich nieobecny wzrokiem.

–Jeszcze nigdy od czasu, gdy Artur opuścił nas i wyruszył do Doliny Avilion – powiedział, bardziej jakby do siebie niż do nich – wszyscy ci, którzy niegdyś zasiadali przy Okrągłym Stole, nie zebrali się razem. Pojadę do każdego z nich i może spotkamy się znowu. Bądźcie pewni, iż żadnemu z nas nie zabraknie serca do walki, choć mogą znaleźć się tacy, którzy z innych względów staną na uboczu.

Wstał.

–Koniu! – rzucił gromkim głosem.

Za chatą rozległo się głośnie rżenie i w następnej chwili wybiegł zza niej wysoki rumak, już osiodłany, cały biały, pominąwszy czarną plamę na pysku i czarne skarpetki. Podszedł do nich, przy każdym kroku kiwając łbem. Stał przy Pellinorze i przycisnął pysk do jego szerokiej piersi. Król machinalnie poklepał go po karku, chwycił wodze, włożył stopę w strzemię i zwinnie wskoczył na siodło.

–Zadmę w róg, kiedy będę miał wam coś do powiedzenia – rzekł do TB. – Niechaj Bóg będzie dla was łaskaw, panowie.

–I dla ciebie, królu – powiedział Brian. Jeździec szybko zniknął wśród drzew.

–Wygląda na człowieka o wielkiej sile i odwadze – orzekł Brian, spoglądając za nim. – Jednak nawet gdy będzie podróżował na tym długonogim koniu, mogą minąć miesiące, zanim dowiemy się, jaką odpowiedź dali mu inni rycerze.

–Proszę cię, nie sądź po pozorach, sir Brianie. Naturalni, tak jak i ja, w razie potrzeby mogą bardzo szybko się przemieszczać. Gdyby miało to zająć wiele czasu,

powiedziałaby nam o tym.

–Teraz – odparł Brian – kiedy o tym wspomniałeś, już w to nie wątpię. Nie chciałem cię urazić. Jak już powiedziałem, wydaje się dzielnym i krzepkim rycerzem.

–Istotnie takim jest – przytaknął TB. – I miał dwóch zacnych i szlachetnych synów, równie godnych jak on. Jednym był sir Parsifal, a drugim sir Lamorak z Walii.

Gdy wypowiadał te słowa, niebo, drzewa, ziemia i chata za nimi zaczęły znikać i roztopiać się w zapadający ni mroku.

–Zapada ciemność, sir Jamesie – rzekł TB.

Rozdział 27

Noc nadeszła szybko.

–Sir Brianie – powiedział TB – proponuję, żebyś zasiadł na ławie i poczekał tu z końmi na nasz powrót. Kiedy zgasną ostatnie promyki słońca, sir James i ja odejdziemy stad. Wrócimy o świcie.

–Będę czekał – odparł głos znikającego już w mroku rycerza. – Żałuję tylko, że nie mogę wam towarzyszyć.

Jim przełknął ślinę. Nie zapomniał o tym, co tak bezmyślnie obiecał przed chwilą. Teraz jednak, wraz ze słowami TB, nagle stało się to najbliższą przyszłością – i to aż nadto rzeczywistą.

„Spójrz prawdzie w oczy” – powiedział sobie w duchu – „wprawdzie poprzednim razem nieźle poradziłeś sobie z Merlinem, ale nie próbuj zaprzeczać, że ten facet cię przeraża”.

Teraz, kiedy oblekł tę myśl w słowa, zrozumiał, że to prawda. A najdziwniejsze było to, że wcale nie wiedział, dlaczego tak jest. Merlin bynajmniej mu nie groził. Jedynym wyjaśnieniem, jakie przychodziło Jimowi do głowy, było wspomnienie pierwszego spotkania z Carolinusem, kiedy wyczuł w nim ogromną potęgę i siłę pomimo wybujałego ego i zabawnie kłótliwego usposobienia maga. Podobne – tylko o wiele silniejsze – wrażenie odniósł podczas rozmowy z Merlinem.

TB odpowiedział Brianowi.

–Wybacz mi, sir Brianie. Merlin nie pozwoliłby na to.

–To ja powinienem prosić o wybaczenie. Przecież nie ty o tym decydujesz.

Brian już zaprowadził konie do ławy i usiadł na niej. Teraz był prawie niewidoczny. Czy nie za szybko znów zapadł mrok? – zastanawiał się Jim. Oczywiście, znajdowali się w Liones, a ostatnią noc spędzili na pograniczu, będącym właściwie częścią zatopionej krainy. Pomimo to zakładał, że białe słońce Liones jest żółtą gwiazdą sąsiedniego królestwa, tylko pozbawioną barwy. Może jednak były różne, tak samo jak obie te krainy.

–Staraj się nie ruszać, sir Jamesie. – Głos TB rozległ się tuż przy uchu Jima.

–Nie zamierzam – odparł trochę ostrzej, niż zamierzał. Ponownie, tak jak podczas poprzedniej wizyty u Merlina, poczuł podmuch owiewający mu twarz. Przez kilka minut chłodził mu skórę, a potem ustał. Jim czekał. Potem, niespodziewanie, usłyszał głos TB, najwidoczniej kończącego rozmowę.

–...jeśli łaskawie zezwolisz, Merlinie.

–Zezwalam – odparł silny, znajomy głos, który Jim raz już słyszał, – On jest magiem odmiennego rodzaju, co w przeciwieństwie do innych czyni go mile widzianym, pomimo krótkiego czasu, jaki upłynął od jego ostatniej wizyty. Od tej chwili, TB, będziesz słyszał naszą rozmowę, ale nie zrozumiesz jej. Będziemy rozmawiać o sprawach, o jakich jeszcze nie powinieneś wiedzieć.

–Wiesz, po co przybyłem? – Jim miał ochotę pomachać dłonią w ciemności, jakby chciał rozproszyć ją jak dym. W ostatniej chwili powstrzymał ten śmieszny odruch.

–To oraz wiele innych rzeczy. Pożyjesz tak długo jak ja, Jim, a też dowiesz się o różnych sprawach. Zrozumiesz także, iż naprawdę nic nie wiesz – jak dziecko, które

dopiero zaczyna poznawać świat. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że żyjąc, z każdą minutą dowiadujesz się więcej?

–Nie myślałem o tym w ten sposób – odparł Jim. Przedziwne, jak Merlin spychał go do defensywy. Czuł jego silne oddziaływanie, ale – tak jak poprzednio – mógł swobodnie rozmawiać. – Jeśli jednak rozumiesz przez to każdą informację, użyteczną czy nie, to chyba masz rację.

–Nie ma czegoś takiego jak bezużyteczna informacja. Zrozumiesz i to, pewnego dnia. Cóż, pozostaje jeszcze kwestia, w związku z którą do mnie przybyłeś.

–Tak – powiedział Jim. – Chciałem...

–Nie wiedziałeś, że nigdy nie odpowiadam na pytania. Może przyjdzie czas, że i ty nie będziesz tego robił.

–A więc przychodząc tutaj, zmarnowałem twój i swój czas – powiedział Jim, czując gniew budzący się w nim w odpowiedzi na potężne oddziaływanie Merlina.

–Jeśli ten, z którym chcesz rozmawiać, ma na to ochotę, nigdy nie stracisz czasu. Jeżeli chcesz, mogę powiedzieć ci coś o tobie.

–To byłoby interesujące – powiedział Jim, z trudem opanowując złość. – Jednak pytanie, którego nie pozwalasz mi zadać, jest niezwykle istotne – ważniejsze od wszystkiego innego – łącznie z tym, co mógłbyś rzec na mój temat.

–Skąd możesz to wiedzieć? A więc nie życzysz sobie tego wysłuchać?

Jim miał już na końcu języka słowa: „masz rację!”, lecz na szczęście powstrzymał się w porę.

–Nie, oczywiście wysłucham cię – odparł. – Póki życia... Chciałem powiedzieć, że dopóki padają słowa, jest nadzieja – a przynajmniej informacje, które mogą się przydać.

–To twoja pierwsza rozsądna wypowiedź od początku tej wizyty – rzekł Merlin. – Carolinus twierdził, że masz nieco oleju w głowie. Tylko trochę, ale to i tak znacznie więcej niż przeciętny człowiek.

–Rozmawiałeś ostatnio z Carolinusem? – spytał Jim.

Milczenie.

–Z drugiej strony – ciągnął Merlin – powiedział też, iż zawsze chcesz robić wszystko po swojemu, tak więc traci się tylko czas, próbując udzielać ci wskazówek. Jednakże potrafisz uzyskać tak niezwykle wyniki, że warto zaryzykować. Och, mówił też, że masz dobre serce. Widzę, że drzewa podzielają tę opinię.

–Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak sądzą – mruknął Jim.

–Ja też. Jeśli myślisz, że wiem wszystko, mylisz się. Jednak, wracając do tego, o czym mówiłem, są pewne granice tego, czego można dokonać za pomocą magii. Tak, zdaję sobie sprawę, że ty wymawiasz to słowo inaczej niż Carolinus i reszta, dlatego też ma ono dla ciebie trochę inne znaczenie.

Jim skinął głową, a Merlin mówił dalej.

–Jak już powiedziałem – ciągnął – magia ma swoje granice i poza nimi leżą inne, nieznane obszary, gdzie wszystko wygląda inaczej. Carolinus dotarł do punktu, z którego może dostrzec te nieznane obszary. A jednocześnie, po raz pierwszy, zaczął powątpiewać, czy sam kiedykolwiek do nich dotrze.

–Nie! – wybuchnął Jim.

Odruchowo i gwałtownie zaprzeczył, lecz nagle uświadomił sobie, że Carolinus, którego znał – ten nieco irytujący starzec, najwyraźniej zazdrośnie strzegący swej magicznej wiedzy i rzadko wykorzystujący ją do czegokolwiek prócz własnych celów – może także, przynajmniej w swoich własnych oczach, tkwić u stóp drabiny, na którą zawsze pragnął wejść. W głębi duszy nadal mógł być pilnym uczniem pożądanym czegoś, czego Jim nawet nie potrafił sobie wyobrazić, a także tłumiącym w sobie Bóg wie jakie emocje.

–Trudno nam dostrzec coś, czego nigdy nie dostrzegaliśmy u innych – powiedział Merlin, jakby czytał w myślach Jima.

–Oszło mi to, co powiedziałaś o tej ziemi obiecanej – odparł Jim – a także przypuszczenie, że Carolinus może nigdy do niej nie dotrzeć. Czy jesteś pewien... Po prostu trudno mi uwierzyć, że w żaden sposób nie zdoła się tam dostać.

–Może ty wskażesz mu drogę – rzekł Merlin.

–A mógłbym?

–Zakładam, że był to wyraz zdziwienia, a nie pytanie – odparł Merlin. – Dlaczego nie? Zdarzały się dziwniejsze rzeczy i wciąż będą się zdarzać – gdyż wieczność jest tylko podzbiorem możliwości. W każdym razie, on ma nadzieję, że zobaczy, jak ty tam dotrzesz, a ujrawszy to, może zdoła pójść w twoje ślady. Ja też na to liczę.

–Ty?

Cisza.

–Natomiast co do twojego niepokoju o próbę podbicia Liones przez Ciemne Moce. TB miał rację, mówiąc, że Liones nie zdoła zwyciężyć, jeśli król nie poprowadzi rycerzy. Artura nie ma, Lancelota także. Ten ostatni będzie pustelnikiem do końca swoich dni. Może już umarł. Gdyby teraz powrócił, nie wzięłyby do ręki miecza ani kopii, nawet gdyby był jeszcze w stanie. Może jednak podniesie cię na duchu świadomość, że zawiadamiając Pellinora, wybrałeś najlepiej, jak mogłeś.

–Wybacz – mruknął Jim – ale to dla mnie niewielkie pocieszenie.

–Przyszłość nigdy nie obiecuje więcej. Mówię ci to ja, który zawsze obcowałem z przyszłością, nie teraźniejszością. Podobnie jak Stara Magia i ty, nie jestem magiem. Jestem czarodziejem, lecz w przeciwieństwie do ciebie, najbardziej interesuje mnie przyszłość. Jestem jasnowidzem. Dlatego nie odpowiadam na pytania i nie robię jeszcze paru innych rzeczy. Ten, kto bada przyszłość, nie tylko musi znać przeszłość, ale także unikać oddziaływania na teraźniejszość. Mogę wyjawić ci tylko jeden niezbity fakt. Każda bitwa jest walką egoistów z altruistami. Samolubni często wygrywają potyczki. Altruści zawsze wygrywają wojny.

–Muszę od czegoś zacząć. Chciałem dowiedzieć się od ciebie czy Stara Magia i drzewa pomogą nam – a także w jaki sposób.

–Proszę! – zawołał Merlin. – W końcu zrozumiałeś to, co wszyscy powinni rozumieć pod określeniem „komunikować się”. Równie dobrze można poinformować kogoś o tym, co chce się wiedzieć, niż zarzucać go pytaniami.

–Dziękuję – odparł Jim.

–A przy okazji, nie reaguję na ironiczne uwagi. Wyjawię ci kilka faktów, które

chciałbyś poznać. Drzewa robią, co chcą, i nikt nie może przewidzieć, co zechcą uczynić. Zwierzęta dzielą się równo, w przeciwieństwie do nas, ludzi. One na swój sposób są związane ze Starą Magią, czego nigdy nie potrafiliśmy zrozumieć, ale wiemy, iż Liones należy w tym samym stopniu do nich i do nas.

Nie przerwał, lecz następne słowa wymówił ze szczególnym naciskiem.

–Sama Stara Magia – zauważ, że wymawiam to słowo tak jak ty – sięga korzeniami w głęboki mrok dziejów i jest tak inna, że nigdy jej nie zrozumiemy. Zajrzałem najdalej jak mogłem, usiłując dowiedzieć się, dlaczego działa tak, a nie inaczej, lecz odpowiedź zawsze gubiła się w odwiecznej ciemności.

Jimowi zaparło dech w piersiach.

–Mogę ci tylko powiedzieć – ciągnął głos – iż Stara Magia jest niezbędna Liones, a zatem i nam wszystkim. W bardzo dosłownym znaczeniu obecność Starej Magii jest nam potrzebna do życia. Między naszą ziemią a niebem wszystko należy do Liones i jest własnością nas wszystkich, od szarej wiewiórki po królową czarodziejek. Jeśli to stracimy, będziemy zgubieni.

–Innymi słowy – podsumował Jim – nie ma sensu szukać u niej pomocy...

–Nie ma sensu, żebyś ty szukał u niej pomocy.

–Pewnie powinienem sobie powiedzieć, że to nie moja sprawa. Może jednak Stara Magia sama potrzebuje pomocy.

–Nie sądzę.

–W porządku. Jeśli najeźdźcy zwyciężą, będą jej potrzebować rycerze i drzewa. Tak więc nie ma sensu, abym zwracał się teraz do Starej Magii lub drzew.

–Bardzo dobrze i najzupełniej słusznie myślisz. Są jeszcze inni, którzy mogą pomóc.

–Mieszkańcy zatopionej krainy?

Cisza.

–Już nadchodzi dzień – przerwał ją Merlin. – Musisz odejść. Tu, gdzie przebywam, nie potrzebuję towarzystwa.

Jim odetchnął.

–A zatem do widzenia – rzekł. – I dziękuję.

–Idź z Bogiem – powiedział Merlin. – Nie musisz mi dziękować. Zaraz. Zaczekaj. Jim, który już zamierzał cofnąć się o krok, zatrzymał się.

–Powiem ci jedno – rzekł Merlin. – Nawet ja tego nie rozumiem. Stara Magia uaktywniła się, od kiedy pojawiły się nad nami Ciemne Moce. Może ta wiadomość pomoże ci w jakiś sposób, a może jest nieistotna jak zmiana pogody. Musimy poczekać i zobaczyć.

Zapadła cisza i Jim cofnął się. Miał wrażenie, że ciemność owija go ciasnym splotem.

–Za moment – z ulgą usłyszał głos TB – wrócimy do naszych przyjaciół, sir Jamesie.

I znów Jim poczuł na twarzy podmuch, a ciemność nagle ustąpiła. Białe słońce Liones było jeszcze niewidoczne – w istocie nie wyłoniło się zza skrytego przez linię drzew horyzontu, ale niebo zaczęło już szarzeć, tak że Jim zdołał dostrzec Briana,

siedzącego na ławie z rozłupanego na pół pnia i nadal trzymającego w ręku wodze. Konie pasły się jak zwykle. Wyjadły krąg trawy wokół ławki.

–Jamesie! – zawołał Brian, zrywając się na nogi, ale nie wypuszczając wodzy z rąk. – Wróciłeś. Nie wiedziałem, że nie będzie cię tyle czasu. A może to noc trwała dłużej, niż się spodziewałem.

–To sir James był tam dłużej, niż można było oczekiwać, sir Brianie. Nawet nie jestem zaskoczony, bo znam Merlina i jego zwyczaje. – TB spojrział na Jima. – Masz dla nas jakieś dobre wieści, sir Jamesie?

Jim otworzył usta, by przekazać przyjaciółom, że Merlin nie powiedział mu niczego ważnego. W następnej chwili uzmysłowił sobie, iż jednak powiedział, lecz głównie w kwestiach dotyczących tylko jego samego.

–On wie znacznie więcej niż ja – rzekł do towarzyszy. – Będę musiał dobrze rozważyć jego słowa. Jednak jedyne, co przede mną odkrył i co może nam pomóc, to że dobrze uczyniliśmy, wybierając Pellinora na przywódcę, gdyż on jest królem. Wspomniał o tym, że wszystkie stworzenia w Liones – ludzie, zwierzęta i drzewa – mają wspólną Starą Magię. Mówił też, że inni nam pomogą.

–Jacy inni?

–Zapytałem go o to. Niestety, on nie odpowiada na pytania.

–A więc ta rozmowa przypominała nakryty stół z pustymi pucharami i talerzami – mruknął Brian. – Może Merlin nie jest wcale tak potężnym magiem, za jakiego powszechnie się go uważa.

–Sir Brianie... – zaczął gwałtownie TB.

–W porządku, TB – rzekł pospiesznie Jim. – W porządku. Brianie, daję ci moje słowo jako rycerz i twój przyjaciel, że Merlin jest tak potężny, jak powiadają. Puste słowa nie robią na mnie wrażenia, lecz w jego przypadku nie były to tylko słowa. Czułem jego moc i ty też poczułbyś ją, gdybyś tam ze mną był.

–No dobrze – powiedział Brian, odzyskując dobry humor. – Być może to powszechne przekonanie jest uzasadnione, jak to często bywa. Wolę myśleć o nim jako o wielkim magu. I co teraz, Jamesie, TB? Pojedziemy szukać króla Pellinora czy zaczekamy na niego? A może masz inny pomysł?

–Zapewniam was, że wróci lada chwila – powiedział TB. – Daję słowo, a ono jest coś warte... Spójrzcie, już jedzie!

Jim i Brian spojrzeli w kierunku, w którym wskazywał gadzim łbem, na las, w którym zniknął poprzednio król Pellinor.

–Gdzie? – spytał Jim.

–Zaprawdę – mruknął Brian – nikogo nie widzę.

–Zapomniałem – odparł TB – że żaden z was nie przywykł spoglądać w cień drzew, stojąc na słońcu, tak jak ja. Patrzcie dalej, a zobaczycie go.

Spoglądali jeszcze przez minutę, a potem Jim dostrzegł jakiś ruch wśród drzew, a następnie kształt przypominający jeźdźca na koniu.

–Już go widzę – powiedział Brian. – Miałeś rację, TB. Nasze oczy nie mogą się równać z twoimi.

–To tylko kwestia wprawy – odrzekł TB.

Wszyscy trzej patrzyli, jak król Pellinor wyłania się z cienia, podjeżdża do nich i zsiada z konia. Ten bez rozkazu ruszył naprzód i znikł za rogiem budynku, zza którego poprzednio wyszedł. Jim i Brian obserwowali go z zainteresowaniem, lecz kiedy odwrócili się z powrotem do Pellinora, stwierdzili, że parzy na TB, a nie na nich.

–Istny cud, TB – powiedział do Tropiącej Bestii. – Balan i Balin znów są z nami. Mówi się także o innych, którzy podczas ostatniej wielkiej bitwy walczyli przeciwko Arturowi i zostali uznani za zmarłych, a teraz wrócili i żałują swoich błędów, mówiąc, że to Modred nakłonił ich do zdrady. Nawet sam Gawen – który, jak pamiętacie, na łożu śmierci okazał skruchę – wrócił zupełnie odmieniony.

–Pamiętam – odparł TB. – Żałował, że nakłonił Artura do wojny z Lancelotem, a przez to umożliwił zdradę Modreda.

–Tak było – odparł Pellinor i obaj stali w milczeniu, być może wspominając wydarzenia z odległej przeszłości.

Nie było to milczenie, które obcy chcieliby przerywać. Jednak Jim przypomniał sobie o sprawie, która wydawała się zbyt ważna, aby jej nie poruszyć.

–Zapewne obaj wiecie – rzekł – jak wyglądał Modred. Możecie mi go opisać?

Spojrzeli na niego, a potem na siebie nawzajem. Podczas gdy TB milczał, król Pellinor odpowiedział;

–Był rośli i dobrze zbudowany – rzekł – chociaż nie tak wysoki jak jego ojciec, Artur. O twarzy gładkiej, ale niezbyt urodziwej. Był zbyt barczysty jak na swój wzrost, miał za długie ramiona i za szerokie dłonie.

Zwrócił się do TB.

–Co jeszcze możesz dodać?

–Młodo wyglądał – odparł TB. – Był dorosły, lecz wydawał się za młody na rycerski stan, choć miał wystarczające lata i posługiwał się bronią nie gorzej od innych. Jednak w towarzystwie czuł się nieswojo i w przeciwieństwie do Artura wolał rozkazywać ludziom służącym pod jego komendą, niż przewodzić im.

–Mimo wszystko – zauważył Pellinor – nie był słabego ducha.

–Nie – zgodził się TB. – Istotnie, nie był.

–Powiedzcie mi coś więcej o jego twarzy, wąsach i brodzie – zachęcał Jim.

–Nie nosił ani wąsów, ani brody – odrzekł TB. – Zawsze był gładko ogolony, tak samo jak Lancelot i Galahad.

–A więc nie mógłby nosić krzaczastego wąsa i koziej bródki?

–Jestem pewien, że mógłby – powiedział TB – ale nie lubił tego, a poza tym na dworze króla Artura nie było to w zwyczaju. Jedynie sam Artur w podeszłym wieku zapuścił gęstą brodę.

–Dlaczego pytasz, Jamesie? – dziwił się Brian.

–Pamiętasz, że kiedy staliśmy w tym dużym namiocie wraz z earlem Cumberlandem i Agathą Falon, w cieniu za ich plecami krył się jakiś człowiek? Dostrzegłem tylko, że miał wąsy i kozią bródkę. To był ten mężczyzna, w którym TB po zapachu poznał Modreda.

–Nie widziałem go dobrze – powiedział Brian – ale wąsy i brodę można zapuścić i

ponownie zgolić.

–Owszem – rzekł Jim – a jeśli rycerze są przywracani do życia, Modred też może ożyć. Merlin powiedział mi, że Stara Magia dokonała pewnych zmian – chociaż nie potrafił ocenić, na czym one polegają. Może to być coś ważnego lub nie. Być może powrót waszych rycerzy jest częścią ich działań.

–Modred nie będzie mile widziany w Liones – oświadczył Pellinor.

–Tak sądziłem – powiedział Jim. – Mimo to był tam, stał za plecami earla Cumberland i Agathy Falon.

–Kim jest ten earl i owa dama? – zapytał Pellinor.

–Starymi nieprzyjaciółmi sir Briana i moimi – odparł Jim. – Jednak nie wiedziałem, że mogą opuszczać górną krainę... Zaraz! To nieprawda. Zapomniałem, że Agatha pojawiła się w Liones, żeby zastawić na nas pułapkę. Pamiętasz, TB? To było wtedy, gdy ocaliłeś nas przed gigantami.

–Przypominam sobie, ale nie widziałem jej wówczas.

–Owszem, bo zniknęła, gdy tyko wciągnęła nas w zasadzkę.

–Królowa czarodziejek, Morgan Le Fay – powiedział Brian. – To ona ich tu przeniosła.

–Nic dałaby rady tego zrobić bez niczyjej pomocy.

–Jamesie, przecież wyraźnie mi mówiłeś, że Agatha Falon to czarownica.

–Wcale nie. Powiedziałem tylko, że tak o niej mówią. A KinetetE zaprzeczyła temu, twierdząc, iż Agatha jedynie próbowała nauczyć się czarów – i stwierdziła, że musiałyby poświęcić temu więcej czasu i trudu, niż przypuszczała. Może jednak nauczyła się czegoś, zanim zrezygnowała.

Kiedy to mówił, przyszło mu do głowy coś, o czym powinien był pomyśleć wcześniej. Nazwa lub tytuł mogły oznaczać różne rzeczy, w zależności od tego, kto je podawał. Gdyby ktoś zapytał KinetetE zaledwie przed rokiem, czy on, Jim, jest magiem, niewątpliwie odparłaby stanowczo, że w żadnym wypadku – lecz od tego czasu naprawdę wiele się zmieniło.

Aczkolwiek, kiedy porównywał się z KinetetE, wcale nie uważał, by przysługiwał mu tytuł maga.

Na podstawie reakcji KinetetE Jim założył, że Agatha opuściła akademię czarownic, nie nauczywszy się niczego. Niekoniecznie musiało to być prawdą. Mogła na przykład zdobyć umiejętność korzystania z Bramy Czarownic.

Zastanawiał się. Czy KinetetE wiedziała o obecności sił inwazyjnych na pograniczu, kiedy powiedział jej, że razem z Brianem i Dafyddem wybierają się do zatopionej krainy i Liones?

–Może istnieje sposób, żeby się tego dowiedzieć – rzekł, bardziej do siebie niż do pozostałych. Zwrócił się do Briana: – Będę musiał opuścić was na chwilę.

–Nie jestem dzieckiem, które trzeba pilnować i strzec, Jamesie.

–Oczywiście, że nie, Brianie. Nie o to chodzi. Chciałem... No nic, mamy wysłuchać relacji króla Pellinora o tym, co powiedzieli inni rycerze, gdy przekazał im wieści.

Wszyscy obrócili się do króla, który stał nieruchomo jak posąg z wykutą z żelaza twarzą, rękami i zbroją.

–Rozmawiałem z najwyżej dwudziestoma rycerzami. Nie liczyłem. Byli to ci, których należało zawiadomić jako pierwszych. Przekażą wieści dalej. Uważają, sir Jamesie, iż podobnie jak Merlin umiesz patrzeć w przyszłość i dlatego proszą cię, abyś wyznaczył tego, kto poprowadzi ich do boju. To smutne – jego kamienna twarz na moment złagodniała – lecz młodzi nie są już tacy jak my, choć bardzo tego pragną. Oczywiście, będą walczyć, lecz nic są ulepieni z tej samej gliny co my.

–Podczas naszej pierwszej wizyty w Liones – rzekł Brian – spotkaliśmy młodego sir Dinedana i miałem zaszczyt potykać się z nim na kopie. Na swoje nieszczęście zasłabł tuż przed tym, zanim się starliśmy. Z tego co mówił, wywnioskowałem, że to rodzinna przypadłość.

–Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Pellinor. – Pierwszy sir Dinedan nigdy nie zdradzał takiej słabości. To rycerz zacnego serca i siły, choć może skłonny do nazbyt pochopnych decyzji. Nie, tego rodzaju zmianom uległy nasze dzieci i ich dzieci. Dziękuję Bogu, że dwaj moi synowie – sir Parsifal i sir Lamorak z Walii osiągnęli odpowiedni wiek, by zasiadać przy Okrągłym Stole, kiedy jeszcze istniał, i nie okazywali takiej słabości.

Nagle przerwał i spojrzał na Jima.

–Sir Jamesie – dodał – jeszcze nie powiedziałeś mi, kogo wybrałeś, by przewodził nam, rycerzom Okrągłego Stołu. Musisz pojechać ze mną i wyznaczyć go.

Jim gorączkowo się zastanawiał. Jeśli nie pomogą im drzewa ani Stara Magia, będzie bardzo zajęty. Najpierw powinien sprawdzić, iloma ogrami, robakami, harpiami i tym podobnymi stworami dysponują Ciemne Moce. Nie miał teraz czasu, by jechać i rozmawiać z rycerzami. A gdyby musiał zostać ich przywódcą i przeciwstawić Ciemnym Mocom całą magię, jaką posiadał?

–Posłuchaj, królu – rzekł do Pellinora – z pewnych względów nie chcę od razu wyznaczać tego, kto ich poprowadzi. Za tym wszystkim kryje się magia i muszę najpierw wiedzieć, jak potężna. Wolałbym, abyś im powiedział, że imię przywódcy wyjawię im później. Na razie przekaż im tylko, że nie będzie to zwyczajny człowiek.

Pellinor miał ponurą minę.

–Zaiste, wolałbym usłyszeć coś innego – powiedział. – Choć bowiem wszyscy posiadamy jednakowe cnoty, zawsze najlepiej jest, jeśli dowodzi król. Ponieważ jednak ja nim jestem, a w żadnym razie nie chciałbym narzucać mojej osoby, ty, sir Jamesie, kiedy przyjdzie czas, wyjawisz im imię przywódcy. Koniu!

Koń żwawo wybiegł zza chaty, lecz zanim zdążył podbiec do Pellinora, TB zawołał:

–Królu! Zaczekaj! Drzewa przekazują mi pilną wiadomość dla sir Jamesa. Ktoś ją przynosi, ale nie wie, jak go znaleźć. Muszę wyjść mu na spotkanie i przyprowadzić tutaj, inaczej będzie latami błąkał się po Liones.

–Idź więc – odparł król. – Niech sir James wysłucha go i niezwłocznie rusza w drogę. Jak już powiedziałem, inni rycerze muszą jak najszybciej dowiedzieć się, że przywódca został już wybrany, i ta kwestia nie podlega dalszej dyskusji.

Rozdział 28

Nie wiadomo, czy był to skutek nieco szorstkich słów króla Pellinora, lecz TB pojawił się ponownie w półtorej minuty po tym, jak zniknął w zalegającym pod drzewami mroku, śmigając jak czarno-biała smuga.

Wypadłszy spomiędzy drzew, wrócił w nieco wolniejszym tempie, podążając wraz z zapowiedzianym posłańcem, który jechał obok niego na koniu. Posłaniec był młody, najwyżej czternastoletni – zdumiewająco młody, pomyślał Jim. Miał jednak na sobie strój przywódców zatopionej krainy, do których zaliczał się i Dafydd z klanem błękitnych. U boku nosił kołczan, a na plecach wielki łuk, sterczący mu na głowę, kiedy siedział w siodle. Jim zastanawiał się, czy chłopiec byłby w stanie go napiąć.

Nowo przybyły miał twarz bladą i ściągniętą ze zmęczenia, co sprawiało, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Jim dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że ponownie spogląda na młodego króla zatopionej krainy – bardzo zmęczonego młodego króla.

–Wasza wysokość! – powiedział, podchodząc, by podtrzymać strzemię, gdy król zsiadał z konia. – Nie sądziłem... Pozwól, że przedstawię ci króla Pellinora, opiewanego w legendach krążących w krainie Liones. I Tropiącą Bestię, którego oczywiście już spotkałeś. Jest tu także znany ci już sir Brian.

–Tak – powiedział chłopiec-król.

–Królu Pellinorze, pozwól, że przedstawię ci... – Jimowi zabrakło słów i obrócił się do monarchy zatopionej krainy. – Wybacz, wasza wysokość, ale obawiam się, że nie poznałem imienia, jakim powinienem cię przedstawić.

–Jestem David.

–Przedstawiam ci króla Davida z zatopionej krainy. Co cię sprowadza do mnie i do Liones, wasza wysokość?

–Chcę przemówić w imieniu mego ludu – odparł młody król, podnosząc głowę i prostując ramiona. – Niezwłocznie musimy uzyskać twoją pomoc, sir Jamesie. Inaczej mój lud i ziemie będą stracone.

Pellinor nie odpowiedział od razu, chociaż słowo „niezwłocznie” musiało budzić w jego duszy silne uczucia. Jim nagle zaczął odczuwać niepokojącą obecność króla Liones, wyższego o pół głowy od niego i młodzieńca. Gorączkowo szukając wyjścia z sytuacji, Jim uprzedził odpowiedź Pellinora.

–Obawiam się, że prosisz mnie o to w niewłaściwym momencie – rzekł najłagodniej, jak mógł. – Nie mogę teraz opuścić Liones. Co się dzieje w zatopionej krainie? I dlaczego przyjechałeś osobiście, zamiast przysłać kogoś innego, na przykład Dafydda?

–Dafydd ap Hywel, jak wszyscy nasi najlepsi łucznicy, musi bronić naszych miast, w których zamknęli się wszyscy mieszkańcy zatopionej krainy. Nawet ludzie z lasów i pól schronili się za murami, uciekając przed skrzydłatymi potworami.

–Skrzydlate potwory... – Jim na chwilę wrócił myślami do pierwszego spotkania z Ciemnymi Mocami. – Czy Dafydd nie nazywał ich inaczej?

–Owszem. Nazywał je jakoś, ale nie zdążyłem zapamiętać jak. Myślałem tylko o tym, żeby sprowadzić pomoc, gdyż ukąszenia tych potworów niosą śmierć.

–Nazywał je harpiami, prawda?

–Tak. Właśnie tak. Znasz je?

Jim kiwnął głową i oczyma duszy znów je zobaczył: blade, nieruchome kobiece twarze osadzone na krępych, nietoperzych ciałach z szerokimi błoniastymi skrzydłami, zastygłe w jakiejś formie szaleństwa, pikujące na niego, Briana i pozostałych – i Dafydd, spokojnie przeszywający każdą nadlatującą w tej samej chwili, gdy się wynurzała z gęstych, nisko zawieszonych chmur, dotykających szczytu najwyższej ze zrujnowanych wież Loathly.

W końcu, kiedy wystrzelił wszystkie strzały, harpie dopadły Dafydda i pogryzły go, lecz łucznik wydobrzeł, gdy Danielle, która wtedy jeszcze nie była jego żoną, powiedziała mu, że go kocha...

–Znam je – powiedział, gwałtownie wracając do rzeczywistości, – To jedne z wielu stworów, którymi posługują się Ciemne Moce. Tylko Dafydd mógłby sobie z nimi poradzić. Ja nie jestem łucznikiem i nigdy nie zdołałbym mu dorównać, a potrzeba takiego mistrza jak on, aby celować i strzelać tak szybko, żeby utrzymać je z dala. Ponadto, czy nie powiedziałeś, że wasi najlepsi łucznicy powstrzymują harpie?

–Tylko błękitni doskonale strzelają z łuków – powiedział młody król. – Członkowie innych klanów uczą się tego od dziecka, ale bez błękitnych wspierających nasze oddziały część harpii zdoła się przebić, a przecież oni muszą kiedyś spać. Poza tym, to Dafydd radził mi do ciebie pojechać. Stwierdził, że Ciemne Moce cofają się przed tobą, bo zawsze znajdziesz jakiś sposób, żeby je pokonać. Musisz tam pojechać, sir Jamesie, i to szybko! Liczy się każda minuta!

–On nie może tego zrobić – rzekł Pellinor gromko i stanowczo. – Teraz musi pozostać w Liones. Kiedy zakończy tutaj swoją misję, może pospieszy wam z pomocą. Nie rozumiesz, chl... – Urwał w samą porę i dokończył: – Królu Davidzie?

Młody król obrócił się do Pellinora i stał, spoglądając na niego. Mierzyli się wzrokiem, jak terier i czterokrotnie większy od niego brytan. Potem David zwrócił się do Jima.

–Czy tak? – spytał.

–No cóż... – Jim daremnie szukał właściwych słów. Nie znalazł. David ponownie spojrzał na Pellinora.

–A więc wyzywam cię – powiedział. – Będę walczył z tobą o niego.

Pellinor wytrzeszczył oczy.

–Oszalałeś – rzekł. – Troska o twój lud pozbawiła cię rozumu. Jesteś jeszcze chłopcem, o wiele za młodym, a poza tym nie jesteś rycerzem.

David wyprostował się dumnie.

–Zostałem pasowany przez mojego ojca, kiedy ukończyłem pięć lat. Od tego czasu, jak wszyscy królewscy synowie w zatopionej krainie, oprócz innych nauk zgłębiałem sztukę władania mieczem i kopią. Oddaj mi sir Jamesa albo nazwę cię tchórzem!

Pellinor, Jim i Brian spojrzeli po sobie. To było niewiarygodne. Wręcz śmieszne. Młody król wyglądał nawet nie jak terier obszczekujący brytana, lecz jak szczeniak przeciskający się przez pręty klatki w zoo, aby rzucić wyzwanie lwu.

W tym przypadku, pomyślał Jim, patrząc na Pellinora, lew wyglądał bardzo ponuro. Zdziwiło go to, lecz w następnej chwili zrozumiał, iż za tą marsową miną kryła się złość zmieszana z podziwem. Wychowani w tej okrutnej rzeczywistości ludzie najbardziej podziwiali odwagę – nawet jeśli graniczyła z głupotą.

Pellinor z pewnością nie życzył chłopcu źle, ale niestety, znalazł się w potrzasku. Jako rycerz Okrągłego Stołu, a w dodatku król, nie mógł zignorować tego jednego słowa. Tchórzem był człowiek gotowy na wszystko, by ocalić życie, a młody król, chociaż niedoświadczony i pod względem wieku oraz umiejętności nic będący jeszcze w pełni mężczyzną, był dostatecznie dorosły, by wiedzieć, co mówi.

Pellinor nie miał wyjścia. Natomiast młody król... Jim spojrzał na jego bladą twarz i dumnie podniesioną głowę. Teraz i on nie miał wielkiego wyboru – mógł jedynie walczyć albo błagać Pellinora o wybaczenie. Nie zamierzał uczynić tego drugiego.

–Królu Pellinorze! – wypalił nagle Brian. – Proszę, abys zechciał skrzyżować kopie ze mną, w zastępstwie króla Davida...

–Nie chcę żadnego zastępstwa! – przerwał Brianowi chłopiec. – Jestem królem. Będę walczyć. Ja i nikt inny!

–Nie masz zbroi ani oręża – rzekł szorstko Pellinor, mierząc go spojrzeniem. – Pamiętam, kiedy moi synowie byli w twoim wieku... Chodź ze mną. Może dopasujemy na ciebie któryś z ich pancerzy.

Wszedł z chłopcem do chaty i zamknął drzwi.

–Czy ten dzieciak oszalał? – zapytał Brian Jima. – Czy to możliwe, że został ukąszony przez zdychającą harpię i postradał zmysły od trucizny?

–Nie sądzę – odparł Jim. – Myślę, że postąpił tak z kilku powodów. Jednym z nich jest ten, że w jego wieku trudno uwierzyć, że człowiek może umrzeć. Patrząc na króla Pełli nora z pewnością wie, co mu grozi, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby sądził, że mu się poszczęści i zwycięży. Ponadto jest dzielny i odpowiedzialny, więc założę się, iż ma nadzieję, że jeśli zostanie zabity, usiłując uratować swój lud, będę pod wrażeniem i spróbuję znaleźć jakiś sposób, by wydostać się z Liones i wspomóc ich. Uważam, że jest nie tylko odważny, ale i mądry.

–Czy możesz w jakiś magiczny sposób zrobić coś z tymi harpiami?

–Nie – odparł Jim. – Właśnie o to chodzi. Nie mogę. Gdybym musiał użyć mojej magii... – Zamilkł i rozejrzał się wokół. W zasięgu wzroku nie było nikogo prócz koni – teraz już pięciu – które swoim zwyczajem, nie mając w tym momencie nic do roboty, skubały trawę. – Brianie, wyjaśniałem ci, czym jest zaklęcie ochronne?

–Magiczną osłoną?

–Właśnie. Pewnie powinienem powiedzieć ci o tym, kiedy wymknęliśmy się królowej Północnych Wichrów, ale...

Zwięźle opowiedział mu o zaklęciu, jakim otoczyła go KinetetE, oraz o tym, jak Morgan le Fay poparzyła sobie palce, usiłując je zdjąć.

–A więc widzisz – zakończył – teraz jest tak, jakbym nie miał żadnej magii. Aby jej użyć, musiałbym zdjąć zaklęcie, a podejrzewam, iż Morgan albo ktoś inny, tylko na to czeka...

Zamilkł, gdy drzwi chaty otworzyły się na oścież. Obaj z Brianem odwrócili się,

słyszając ich skrzypienie. Na polanę wyszedł David w zbroi i z mieczem u pasa. Zbroja była trochę za luźna, ale nie aż tak, aby krępować jego ruchy. Wyglądał w niej na większego i starszego. Niestety, tuż za nim szedł Pellinor, a kiedy patrzyło się na niego, złudzenie większej krzepy młodego króla przyskało jak mydlana bańka.

–Będziesz musiał dosiąść swego rumaka – rzekł Pellinor do przeciwnika. – Nie mam tu koni, których mógłby dosiąść ktoś poza mną. Pojadę na najslabszym z nich, żeby zmniejszyć różnicę wagi. Koniu! Wracaj na miejsce! Świeca!

Jego biały wierzchowiec przestał skubać trawę i ruszył na tył chaty, mijając po drodze spasioną klacz, również białą, lecz nieco dziwnej maści – rzeczywiście, przypominała barwą łojowy ogarek. Podobnie jak ogier, była już osiodłana. Parsknęła przyjaźnie pod ciężarem Pellinora.

David już odjechał dziesięć metrów na swoim koniu, który w świetle Liones wydawał się szary. Ten wierzchowiec był lekki i – jak większość rumaków w zatopionej krainie – dobrany raczej pod względem szybkości niż siły. David obrócił się twarzą do przeciwnika i siedział spokojnie, czekając.

–To szaleństwo! – rzekł Jim w nagłym przypiływie odrazy. – Nie mogę pozwolić, żeby ten chłopiec zginął!

Palce Briana zacisnęły się jak imadło na jego ramieniu.

–Nic nie możesz zrobić – powiedział Brian. – Jamesie, nie otwieraj tej osłony, czy cokolwiek to jest, ze względu na tego chłopca. Ja też pomógłbym mu, gdybym mógł. Pellinor również, jeśli znam się na rycerzach – Okrągłego Stołu, czy nie. Jednakże nie może potraktować go inaczej jak dorosłego i równego przeciwnika. Gdyby nie podjął rękawicy, pewnego dnia ten chłopiec stałby się mężczyzną i opowiadano by, że Pellinor przestraszył się go. Król David sam do tego doprowadził. Niech Bóg się nad nim zmiłuje.

Przeżegnał się, gdy Pellinor lekko ubódł klacz ostrogami, a zwierzę, zapewne zaskoczone takim niezwykłym traktowaniem, skoczyło naprzód. Młody król, widząc to, natychmiast puścił swego wierzchowca galopem i spotkali się w połowie dzielącej ich odległości.

Zbliżając się do Pellinora, David luźno trzymał w dłoni kopię i ścisnął ją mocno dopiero w ostatniej chwili. Jego poczynania były idealną ilustracją tego, czego Brian usilnie starał się nauczyć Jima. Grot kopii Davida pierwszy uderzył w cel – uderzył i ześliznął się po ustawionej skośnie tarczy Pellinora.

„Och, nie!” – pomyślał Jim, lecz w tejże sekundzie Pellinor odchylił grot kopii i zamiast trafić w środek tarczy przeciwnika, uderzył tylko w jej górną krawędź. Biała klacz, która – chociaż mniejsza od bojowego rumaka – była co najmniej trzy piędzi wyższa i znacznie cięższa od rumaka Davida, obaliła konia na ziemię.

Chłopiec wypadł z siodła, runął na ziemię i legł bez ruchu.

–Nie! – krzyknął Jim, wściekły na siebie, że do tego dopuścił. Już biegł do Davida, ale ktoś go wyprzedził. Pellinor zeskoczył ze Świecy i wielkimi krokami szedł mu naprzeciw, niosąc na rękach drobne, bezwładne ciało.

–Jesteś magiem! – zagrzmiął, kładąc chłopca u stóp Jima. – On jest jak Lamorak, mój syn, kiedy był w tym wieku. Uratuj go!

Jim przeszył go gniewnym spojrzeniem, urazą z powodu rozkazującego tonu rycerza pokrywając złość na samego siebie. Twarz stojącego nad nim Pellinora była nieruchoma i posępna. Nagle jednak jego słowa dotarły do Jima, który zrozumiał, że Pellinor nie potrafi okazywać uczuć, lecz w głębi serca cierpi z powodu tego, co się stało. Jim warknął na Briana, który właśnie do nich dobiegł.

–Nic zasłaniaj mi światła, Brianie! – prawie krzyknął na przyjaciela, klękając przy nieprzytomnym Davidzie. – Jak mogę coś zobaczyć, jeśli rzucasz na niego cień?

–Racz wybaczyć, Jamesie – rzekł Brian i odsunął się. Białe słońce oświetliło bladą, nieruchomą twarz chłopca. Nie była już ściągnięta i znużona.

Krzyknawszy na Briana, Jim niewiele więcej mógł zrobić. David był nieprzytomny lub martwy. Jim dotknął dłonią szyi chłopca, szukając tętnicy, i odkrył, że wstrzymuje oddech. Znow zaczął oddychać, gdy pod palcami wyczuł słabe pulsowanie krwi.

Nieprzytomny – to budziło nadzieję, lecz ofiara mogła za chwilę umrzeć, jeśli natychmiast nie udzieli jej pomocy. Klęcząc przy Davidzie, poczuł nagle mroząca, krew w żyłach pewność, że jeśli coś można zrobić, należy to zrobić natychmiast. Liczyła się każda sekunda.

Do diabła z tym! Będzie musiał działać szybko, wręcz błyskawicznie, zanim wróg zdoła wykorzystać brak osłony. Może...

Zdjął zakłęcie, przywołując na odsiecz magię leczącą rany. Poskutkowała w mgnieniu oka, lecz kiedy Jim usiłował równie szybko zamknąć osłonę, nie zdołał.

David poruszył powiekami. Otworzył oczy.

–Sir James! – powiedział sennym głosem. Przeniósł spojrzenie za Jima, na Pellinora. – Uznaję się za pokonanego, królu Pellinorze, i proszę o wybaczenie, że zakłóciłem twój spokój.

–Wybaczam ci, chłopcze – odparł ochryplym głosem Pellinor. – Walczyłeś jak należy. Masz dobre serce i jeśli przeżyjesz, możesz stać się niezwykle biegłym rycerzem. Ta zbroja, którą masz na sobie, i broń są teraz twoje. Daruję ci je.

Odwrócił się i odszedł, a klacz dreptała za nim jak pies.

–Jamesie! – Jim usłyszał głos Briana. Nadal klęcząc, z trudem odwrócił głowę i spojrzał w górę, by ujrzeć uśmiechniętą twarz przyjaciela.

–Dziękuję ci, Brianie – powiedział szczerze. – Dziękuję, że nie masz mi za złe, iż wyładowałem na tobie złość...

Z jakiegoś powodu te słowa zabrzmiały dziwnie bełkotliwie, a ziemia, niebo, drzewa, sam Brian i TB, który też dołączył do nich – wszystko zaczęło wirować wokół niego, zderzając się ze sobą, zlewając, wsysane w ciemność jak woda spływająca do ścieku.

On też został wchłonięty przez ten mrok i po chwili usłyszał kobiecy śmiech. Znał ten głos.

Rozdział 29

–Gdzie ja jestem? – zapytał Jim.

–A jak myślisz? – odparła stojąca nad nim KinetetE. – Czy to ci wygląda na Liones?

Nie wyglądało. Słoneczny blask wpadał do pokoju przez wysokie, łukowate okno. Żółte promienie słońca. Makatka na ścianie nadal głośno: „MAJĄC BUTY NA NOGACH, MOŻESZ DEPTAĆ PO CIERNIACH”.

–Musiałem zdjąć zakłęcie – powiedział Jim. – Myślałem, że dopadła mnie Morgan le Fay.

–Ja byłem szybsza.

KinetetE usiadła na nowym, zielono-białym, świeżo obitym fotelu, naprzeciw tego, który zajął Jim. Przedziwne, ale jej jaskrawoczerwona suknia – szata czarodziejki – nie gryzła się z tymi kolorami, w każdym razie nie bardziej niż czerwone i białe kwiaty stojące wazonie.

–Miałem szczęście! – rzekł z wdzięcznością Jim.

–Żadne szczęście. Pilnowałam cię.

–Naprawdę! Dziękuję.

–Dbałam tylko o moje interesy.

–No tak. Oczywiście – rzekł Jim, gotowy przytakiwać jej we wszystkim teraz, kiedy znalazł się w bezpiecznym miejscu. – Tak też sądziłem. Mówiąc, że miałem szczęście, myślałem o tym, że byłem pewien, iż Morgan będzie mnie obserwować i czekać na jakiś błąd, a nawet jeśli pilnowałyście mnie obie, ona była bliżej...

Zdał sobie sprawę z tego, że wygaduje głupstwa. Dla magii odległość nie miała żadnego znaczenia.

–No cóż, chciałem powiedzieć, że wyprzedziłaś ją i jestem ci za to wdzięczny. Morgan jest bardzo silna.

–Niezła. Sporo umie – skwitowała KinetetE. – Może mogłaby zakwalifikować się do klasy AAA, gdyby żyła na górze i zachowywała się przyzwoicie. Problem polega na tym, że ona uważa się za lepszą, niż naprawdę jest. Na przykład, popełnia błąd, jeśli sądzi, że może używać Ciemnych Mocy i nie być zarazem przez nie wykorzystywana. Jednak mając taką pozycję, jaką zdobyła w Liones teraz, kiedy Merlin siedzi uwięziony w drzewie... Nawiasem mówiąc, rozmawiałeś z nim kilkakrotnie, prawda? Co ci powiedział oprócz tego, co przekazałeś Brianowi?

–Nie jestem pewien – odrzekł Jim. – Nie odpowiadał na pytania i mówił głównie o mnie. Jeśli mi wybaczysz, nie powtórzę co – przynajmniej na razie.

–Dlaczego nie?

–To sprawy osobiste.

–Żartujesz sobie ze mnie? – warknęła KinetetE.

–Nie, nie – rzekł pospiesznie Jim. – Po prostu wolę nie rozmawiać o tym, co mi ujawnił. Czy chciałabyś, żebym powtarzał wszystko, co mi mówisz, obojętnie, kto zapyta?

–Nie – odparła. Zapadła krótka, nieco niezręczna cisza.

–Jednak – dodał Jim – jest wiele spraw, o których nikomu nie wspominałem, a

które chciałbym przedyskutować z tobą. Prawdę mówiąc, zamierzałem się z tobą skontaktować.

–Och? – powiedziała KinetetE z nagłym ożywieniem i zainteresowaniem. – Miło mi to słyszeć. Bardzo chciałam poznać twój pogląd na sytuację na dole, ale czekałam, aż sam mi ją wyjaśnisz. Opowiedz mi wszystko, Jim.

–Ułatwisz mi zadanie, jeśli najpierw powiesz mi, czy obserwowałaś wszystko, co robiłem i mówiłem, czy też sprawdzałaś mnie sporadycznie.

–Nie sprawdzałam – odparła KinetetE. – I tak nie wystarczy mi dnia, żeby zrobić wszystko, co powinnam. Ustawiłam alarm, który miał ostrzec mnie, jeśli wpadniesz w poważne tarapaty, to wszystko.

–A zatem – rzekł Jim – nakreślę ci ogólną sytuację. Zapewne wiesz, że Morgan posłała mnie do Dedalowego Lasu...

KinetetE skinęła głową.

–Kiedy wyostałem się stamtąd, spotkaliśmy Tropiącą Bestię... Znasz go?

KinetetE ponownie skinęła głową, tym razem z lekkim zniecierpliwieniem.

–Pomógł nam i od tej pory wciąż to robi. Przedstawił mnie Merlinowi... No tak, o tym też wiesz. W każdym razie Merlin powiedział mi, że Brian został uwięziony przez damę rycerza Jaśniejszego Niż Dzień. Uwolniliśmy go i przesłuchałem ową kobietę – ma na imię Annis – a ona potwierdziła, iż Morgan działa razem z innymi królowymi czarodziejek. Tak więc wszyscy udaliśmy się do królowej Północnych Wichrów...

–Ona jest dziwna – zauważyła KinetetE.

–Dziwna? – powtórzył Jim. – Och, rozumiem, co masz na myśli. No cóż, o mało nas nie uwięziła, ale wymknęliśmy się dzięki pomocy – zdaniem TB – drzew lub Starej Magii. To mi przypomina, że chciałem zapytać cię o Starą Magię...

–Nie mogę ci nic powiedzieć o Starej Magii – oznajmiła lodowatym tonem KinetetE. – Nic o niej nie wiem.

–To dziwne, Merlin oznajmił mi to samo... W każdym razie – dodał pośpiesznie Jim – z zamku królowej Północnych Wichrów nagle przenieśliśmy się do lasu. A kiedy TB mówił o Starej Magii, znów zapadła ciemność i wyłoniliśmy się z niej w zatopionej krainie...

–Interesujące – mruknęła KinetetE, składając czubki palców.

–...gdzie trafiliśmy na naradę przedstawicieli kilku różnych klanów, zebranych wokół nowego, młodego króla. Podczas naszego pobytu w zatopionej krainie miała miejsce próba zabicia go lub przynajmniej okaleczenia. Prawdopodobnie podjął ją przedstawiciel szkarłatnych. Dafydd, Brian i ja pojechaliśmy na pogranicze zatopionej krainy i Liones, gdzie znaleźliśmy obozującą armię. I zgadnij, co się okazało?

–Nigdy nie zgaduję.

–No cóż, kiedy wzięli nas do niewoli, przekonaliśmy się, że earl Cumberland... Pamiętasz to spotkanie z nim i Carolinusem w Malencontri?

–Znałam earla Cumberland wcześniej niż ty – znacznie wcześniej. Powiedz mi, co ci się przydarzyło, kiedy się znalazłeś w jego rękach.

–Uciekliśmy przed nim do Liones – krótko mówiąc. Sądziłem jednak, że

zainteresuje cię fakt, iż z Cumberlandem była Agatha Falon i Modred.

–Modred?

–Tak. Wszyscy ci rycerze, którzy umarli w legendach, teraz ożyli, choć i tak jest ich za mało, by zdołali powstrzymać tę liczną armię, którą earl zgromadził na pograniczu. Wydaje się, że Modred też ożył. Przynajmniej TB twierdzi, że wyczuł jego zapach, chociaż widziany przeze mnie człowiek miał wąsy i brodę, których tamten podobno nie nosił.

–Dajmy spokój z tym Modredem. W jaki sposób Cumberland zebrał armię na pograniczu? Tam nie można dotrzeć za pomocą magii.

–To Agatha – odparł Jim. – Była tam z earlem. Powiedziałaś mi, że ona nie jest czarownicą, a ja ci wierzę – ale mogła nauczyć się kilku sztuczek. Na przykład korzystania z Bramy Czarownic.

–Naprawdę? – KinetetE przeszła go spojrzeniem. – A w jaki sposób ty dowiedziałeś się o Bramie Czarownic?

–No cóż, służba wciąż opowiada historie o tym, jak czarownice dostają się do domów, w których wszystkie okna i drzwi są zabezpieczone krucyfiksem lub błogosławieństwem. Wyobraziłem sobie, jak to robią, a potem wypróbowałem na ścianie pustego gościnnego pokoju w Malencontri. Udało się. Czy to, co zrobiłem, ma jakąś inną nazwę?

–Nie – odparła zwięźle KinetetE. – Czy Carolinus zezwolił ci na takie eksperymenty?

–Nigdy mi ich nie zabraniał.

–Hm! – mruknęła. – No więc czego dowiedziałeś się o Modredzie, Agacie i earlu?

–Tylko tyle, że najwidoczniej stoją za tym wszyscy troje, i podejrzewam, iż Morgan le Fay może być ich bezpośrednim łącznikiem z Ciemnymi Mocami, Nic więcej nie mogę powiedzieć. Zaraz potem uciekliśmy do Liones.

–Gdzie zdjąłeś zakłęcie ochronne, aby uratować młodego króla zatopionej krainy – powiedziała zimno KinetetE. – Na szczęście akurat w tym momencie cię obserwowałam. Mogę spytać, dlaczego to zrobiłeś? Z czystego sentymentu?

Jim spodziewał się tego pytania i miał czas, by przygotować odpowiedź.

–On jest bardzo bystrym chłopcem. Myślę, że zatopiona kraina potrzebuje takiego władcy. Dlatego go ocaliłem.

–I do licha z Liones? – spytała KinetetE.

–Nie – odparł Jim. – Sądzę także, iż młody król odegra ważną rolę w ratowaniu Liones.

–Musisz mi wyjaśnić, w jaki sposób.

–Nie mogę – rzekł Jim, patrząc jej prosto w oczy. – Sam nie wiem, dlaczego tak uważam. Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Są dwie rzeczy, których jestem całkowicie pewien, ale mogę się mylić. Po pierwsze, na świecie istnieje skończona ilość magicznej energii, prawda?

–Oczywiście że tak – odparła KinetetE. – Carolinus musiał ci to mówić niejeden raz. Dlatego oszczędzaj ją, niezależnie od tego, jaką jej ilością dysponujesz w danej chwili. Przede wszystkim, zawsze zdarza się coś nieoczekiwanego, co będzie

wymagało znacznego jej zużycia. Nie mów mi, że ci o tym nie wspominał.

–Wiele razy – rzekł Jim. – Tylko nie wyjaśnił, że to z powodu jej ograniczonych zasobów.

–A z jakiego innego? Nie-magowie myślą, że wyznaczamy takie wysokie ceny za swoje usługi, ponieważ uchodzi nam to na sucho. Tak sądził ten stary smok, który był wujecznym dziadkiem smoka, w którego się wcieliłeś. Jak on się nazywał...?

–Smrgol.

–Tak. Kiedy Smrgol chciał wynająć Carolinusa, żeby odebrać Angie innemu smokowi, który ją porwał...

–Bryaghowi.

–...dla Ciemnych Mocy w wieży Loathly. Pamiętasz, uzgodnili dość wysoką cenę. Nie pamiętam dokładnie jaką, ale...

–Cztery funty złota, jeden srebra oraz duży szmaragd ze skazą.

–Jamesie – powiedziała straszonym głosem KineletE – niezależnie od tego, że moim obowiązkiem jest wspierać cię w walce z Ciemnymi Mocami, naprawdę lubię ciebie i Angie. Jeśli jednak nie przestaniesz przerywać mi co trzy słowa, wyślę cię na koniec świata – zdaje się, że Carolinus pokazał ci kiedyś to miejsce – gdzie przez dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem lat towarzyszyć ci będzie tylko ogromna klepsydra odmierzająca sekundy do następnego przebudzenia Feniksa!

–Przepraszam – rzekł Jim.

–No myślę – odparła. – Jak usiłowałam ci wyjaśnić, zwyczajny człowiek uważa wysokie ceny magicznych usług za kaprys magów. Tymczasem rzucanie czarów wyczerpuje magiczną energię, którą mag musi jakoś uzupełnić – a to nie jest takie łatwe!

–Wiem – odparł Jim. – Zrobiłem to pod wieżą Loathly.

–Tylko że wówczas nie byłeś i nadal nie jesteś magiem.

–Rozumiem – rzekł Jim. – Chciałem się jednak upewnić, że ilość magii na świecie jest skończona. Jeśli tak, Ciemne Moce też nie posiadają jej niewyczerpanych zasobów. A to oznacza, iż liczba ogrów, robaków, harpii i tym podobnych stworów, jakie mogą stworzyć, jest ograniczona. Pytam o to, bo młody król przybył prosić mnie o pomoc, ponieważ jego lud został zaatakowany właśnie przez te stwory. Dafydd, który przy wieży Loathly przekonał się, że można je zestrzelić z łuku, wraz ze swym klanem broni murów, ale zaczyna brakować im sił.

–Aha! – powiedziała KinetetE.

–Jeśli jednak Ciemne Moce mogą stworzyć ograniczoną ilość harpii, zatopiona kraina może obejść się beze mnie. To ważne, gdyż musiałem powiedzieć królowi, że mam wcześniejsze zobowiązania wobec Liones. Wtedy on, pasowany na rycerza, kiedy miał pięć lat, wyzwiał Pellinora na poj...

–Co zrobił?

–Wyzwał Pellinora...

–Chwileczkę. Czy mówimy o tym samym Pellinorze? Królu Pellinorze z legend?

–Zgadza się.

–Ten chłopiec oszalał. A może miał gorączkę.

–Nie sądzę, choć z drugiej strony młodość często wydaje się chorobą... W każdym razie, o mało nie zginął w pojedynku na kopie, chociaż Pellinor starał się go oszczędzić. Byłby umarł, gdybym nie zdjął ochronnego zaklęcia, żeby go uleczyć.

–A więc tak to było – powiedziała KinetetE niezwykle łagodnym głosem. – Nigdy bym nie przypuszczała, że Pellinor... Oczywiście, został wyzwany...

–To cały Pellinor. Pożyczył chłopcu zbroję jednego ze swych synów, a potem dał mu ją w prezencie. Sądzę, że nawet gdyby to jego własny syn wyzwiał go na ubitą ziemię, uważałby, że musi się z nim potykać.

Oboje przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem przerwał je Jim.

–Powiedz – zapytał – może przypadkiem wiesz, ile czasu potrzeba na stworzenie nowej harpii w miejsce tej, która została zabita?

–Nie – odparła KinetetE – ale mogę się dowiedzieć. Hej, ty, ile czasu trzeba na stworzenie nowej harpii?

Powiedziała to nie do jakiegoś zwykłego, magicznego narzędzia, lecz do makatki. Jim zobaczył, że sentencja o deptaniu cierni znikła. Zamiast niej pojawiła się inna, wypisana dużymi literami wiadomość.

„9 DNI 3 GODZINY 4 MINUTY”

–Bardzo dobrze! – wykrzyknął. – Doskonale! Jeśli inni błękitni choć trochę dorównują Dafyddowi, do tej pory powinni już wystrzelać większość harpii... Przy okazji, KinetetE, czy możesz odesłać mnie do Liones minutę lub dwie po tym, jak mnie stamtąd zabrałaś? Im dłużej mnie tam nie ma, tym większe ryzyko, że ktoś coś tam popłacze.

–Powinieneś już sam nauczyć się obchodzić z czasem – powiedziała KinetetE. – Musisz ćwiczyć! Praktyka czyni mistrza... No dobrze, chyba mogę zrobić to dla ciebie jeszcze raz.

–Dziękuję – odparł Jim. – To bardzo miło z twojej strony. Poćwiczę. Och, przy okazji, mogłabyś najpierw posłać mnie do Malencontri? Chcę zamienić kilka słów z Angie. Podasz mi zaklęcie, które będę mógł potem wypowiedzieć, żeby wrócić do Liones minutę lub dwie po tym, jak stamtąd zniknąłem?

KinetetE spoglądała na niego przez długą chwilę, aż nabrał pewności, że cofnie obietnicę. W końcu jednak powiedziała do makatki:

–Dobrze, wróć do zwykłych obowiązków.

Napis zniknął, a na jego miejscu znów pojawiła się sentencja o butach.

–Zdaje się – zapytała zupełnie spokojnie KinetetE – że chciałeś zadać mi dwa pytania?

–Tak. Chciałem się w czymś upewnić. Czy nie mylę się, uważając, że ze względu na ich charakter, Ciemne Moce mogą podbić jakieś terytorium, ale nie zdołają go utrzymać? Nie potrafią niczego zmienić ani wybudować. Mogą tylko zająć je na wieki, gotowe zaatakować każdego, kto spróbuje tam wkroczyć – a jeśli skupią się na tym, nie będą mogły wykorzystywać swoich możliwości gdzie indziej?

–Masz rację – odparła KinetetE. – Dlaczego to jest takie ważne?

–Zastanawiałem się nad tym, jeszcze zanim przybyłem do Liones. Moce nie mogą działać samodzielnie?

–Tak – potwierdziła ponuro KinetetE.

–A kiedy wypędziłem je z Malencontri, po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że podobnie jak wszyscy i wszystko, one również mają jakieś ograniczenia.

–Nie są to ograniczenia, które jakkolwiek mag potrafiłby wykorzystać przeciwko nim – powiedziała.

–Jeśli jednak takowe istnieją, musi być na to jakiś sposób. – Jim zdał sobie sprawę z tego, że zaciska zęby. Rozluźnił mięśnie twarzy. – Sądzę, iż one zdały sobie z tego sprawę, być może już dawno temu, i właśnie dlatego próbują zdobyć Liones – a może i zatopioną krainę. Aczkolwiek nie sądzą, aby ta ostatnia była dla nich ważna, chyba że jako środek wiodący do celu.

–Dlaczego?

–Co dlaczego?

–Dlaczego uważasz, że zatopiona kraina jest tylko środkiem wiodącym do celu?

–Ponieważ one mogą wykorzystać jedynie Liones. Legendarne ludzkie istoty zamieszkujące tę krainę i tak są na pół magiczne – inaczej dawni rycerze Okrągłego Stołu nie mogliby nadal żyć. Być może Ciemne Moce chcą uzyskać kontrolę nad tymi

ludźmi i ich potomkami dzięki ich niematerialnym, magicznym cechom, nie mogąc w żaden sposób zapanować nad zwykłymi śmiertelnikami – chyba że gotowymi czynić zło. Moce nie są w stanie podporządkować sobie ludzi z krwi i kości, mogą wykorzystywać tylko tych, którzy kierują się chciwością, nienawiścią albo innymi niskimi pobudkami.

Zamilkł. KinetetE nie odpowiedziała od razu.

–No cóż, czy myślisz, że mam rację? – zapytał w końcu Jim.

–Chyba jestem ci winna przeprosiny – odezwała się w końcu. – Być może widzisz niektóre rzeczy jaśniej niż my wszyscy. Usłyszysz teraz coś, czego z zasady nikomu nie mówię: nie potrafię ci odpowiedzieć. Po prostu nie wiem.

–Jednak to możliwe?

–Tylko jeśli założyć, że w jakiś sposób mogłyby nawiązać magiczną więź i wiedziałyby, dlaczego ofiary nie mogą im się oprzeć.

–Może rycerze Liones ulegliby ich władzy.

–Wątpię – odparła KinetetE. – W każdym razie, czy Moce mogą zrobić coś więcej, niż pytać i kusić ich czymś? Czy nie tak wygląda sytuacja, Jim? I co im to da, jeśli tamci okażą się odporni?

Jim zastanowił się.

–Co ty byś zrobił – zapytała KinetetE – gdyby poprosiły, żebyś spełnił ich życzenie?

–Odmówiłbym, rzecz jasna.

–A gdyby zwróciły się z tym do króla Pellinora?

Jim roześmiał się. Nie mógł się powstrzymać i śmiech go otrzeźwił. Nagle oczyma duszy ujrzał Ciemne Moce wiszące na niebie Liones i straszliwym głosem pytające: „Czy zechcesz od tej chwili być złym rycerzem?”. I Pellinora, w całej jego dwuipółmetrowej okazałości... – no, nie aż tak wysokiego, ale prawie – z mieczem i w pełnej zbroi, spoglądającego na nie z ponurym niedowierzaniem, jeszcze większym niż wówczas, kiedy David rzucił mu wyzwanie.

–Jeśli mogą tylko pytać, to masz rację – zwrócił się do KinetetE. – Jednak niepokoi mnie myśl, że nie próbowałyby atakować Liones, gdyby nie uważały, że zdołają jakoś obejść ten problem.

–A więc w tej kwestii nasze poglądy się różnią – odparła KinetetE. – Wracaj do Liones i sprawdź, która z tych dwóch teorii – jeśli w ogóle któraś – jest słuszna. Pozdrów ode mnie Angie.

I już jej nie było.

Rozdział 30

Znalazł się w słonecznej komnacie, tuż za odwróconą plecami do niego żoną, która ścieliła łóżko.

–Angie! – powiedział, biorąc ją w ramiona. Wrzasnęła.

–Co... – zaczął, gdy wyrwała mu się (to zdumiewające, jak silna stała się w ciągu tych ostatnich kilku lat), rozpoznała go i przeszła morderczym spojrzeniem.

–To ja – rzekł. – Nie cieszysz się, że mnie...

–Mówiłam ci tyle razy – rzuciła gniewnie. – Tyle razy ci powtarzam, żebyś NIGDY nie pojawiał się znienacka, kiedy myślę, że jesteś tysiąc kilometrów stąd i nie wiem, co mogło ci się przydarzyć!

–Liones nie leży tysiąc kilometrów stąd. Najwyżej kilkaset...

–Kogo to obchodzi, tysiąc czy kilkaset? Masz tak nie robić!

–Prawdę mówiąc – odparł Jim, czując, że rozmowa raczej się nie klei – nie byłem tak daleko. Wracam od KinetetE...

–To jeszcze gorzej!

Doświadczenie, jakiego nabrał z wiekiem, nauczyło Jima, że nigdy nie wygra takiego sporu, nawet gdyby dyskutował do końca świata.

–Przykro mi – powiedział pokornie.

–I słusznie!

–A zatem znikam, zapowiem się i dopiero wtedy wrócę.

–Nie, nic podobnego – powiedziała Angie, obejmując go ramionami (naprawdę stała się bardzo silna) i mocno go przytulając. – Jeżeli zostało ci mało czasu między wizytą u KinetetE a powrotem do Liones, nie trać go na znikanie i wracanie. Lepiej już zostań tutaj.

–Oczywiście – zgodził się Jim. – Tym razem nie mogłem uprzedzić cię, że wracam – rzekł, kiedy już wypuściła go z objęć, co trwało chwilę. – KinetetE odsyła mnie z powrotem do Liones. Widzisz, ona rzuciła zakłęcie, które mnie tam osłania, ale musiałem je zdjąć, więc rzuciła je ponownie. Ponadto chciałem omówić z nią kilka problemów związanych z magią – ja też cię kocham – i poprosić, żeby odesłała mnie z powrotem. Przesyła ci pozdrowienia.

–Skoro to było konieczne... Przekaż jej moje ukłony, kiedy znów ją zobaczysz. Jadłeś coś przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny?

–Och, chyba tak – odparł Jim, usiłując sobie przypomnieć. – Tyle się działo, że nie jestem pewien. Tak, na pewno jadłem...

–Brian nigdy nie myśli o jedzeniu, dopóki nie podstawi mu się go pod nos, a wtedy obżera się jak ogr. Jemu to jakoś uchodzi, ale kiedy podróżujecie razem, staraj się przestrzegać pór posiłków. Za kilka minut służba może coś przynieść.

–Nie, nie mam na to czasu. Poza tym naprawdę jadłem. Po prostu tyle się dzieje...

–Spałeś?

–Tak, oczywiście, spałem zeszłej nocy w zatopionej krainie – powiedział Jim, myśląc o tym, jak ocknął się związany w ciemnym namiocie, obok Briana i Dafydda.

–Dlaczego potrzebowałeś KinetetE, żeby powrócić do Liones? Przecież mogłeś udać się tam sam, prawda?

–Tak – odparł Jim – ale ona wie, jak odesłać mnie tam minutę po moim zniknięciu, nikt nie będzie więc wiedział, jak długo mnie nie było. Muszę tam wrócić jak najszybciej, aby zużyć jak najmniej magicznej energii, ale nie chciałem tego robić, nie zobaczywszy się z tobą.

–Mogłeś wpaść tu przedtem.

–Hm, nie pozwalały mi na to okoliczności.

–Jakie okoliczności? Miałeś kłopoty i znalazłeś się w niebezpieczeństwie?

Sądziłam, że masz towarzyszyć Dafyddowi jedynie w charakterze króliczej łapki przynoszącej szczęście.

–No...

–No tak. Ha!

–Cóż, wiedziałaś, że to może nie być takie proste. Skoro o tym mowa, martwię się o Dafydda i nowego, młodego króla zatopionej krainy. Dafydd, jako krewny starego króla i cieszący się wielkim poważaniem człowiek, został regentem.

–Mówiłeś, że przybyłeś z Liones.

–Hm, przekroczyliśmy granicę, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja w Liones, spotkaliśmy TB – Tropiącą Bestię, o którym ci opowiadałem – oraz kilka innych osób, włącznie z dwiema królowymi czarodziejek: Morgan le Fay z Gor i królową Północnych Wichrów, Och, spotkaliśmy też starego króla Pellinora. Myślę, że spodobałby ci się. Trochę podobny do Briana, tylko wyższy, ale równie poważnie traktujący swój rycerski stan. Jak wiesz, zasiadał przy Okrągłym Stole.

–Czytałam o Pellinorze.

–Oczywiście. Mimo to myślę, że zdziwiłabyś się, gdybyś go poznała. Mnie zaskoczył. A co u ciebie?

–Zgodnie z oczekiwaniami. Służba doskonale pełni swoje obowiązki. Wszystko chodzi jak w zegarku. Gdybym chciała, mogłabym spać do południa, i nikt by tego nie zauważył.

–To nie jest Malencontri, jakie ja znam – rzekł Jim. – Jak w zegarku? Nie pamiętam, żeby kiedyś chodził bez przerwy choć przez dwadzieścia cztery godziny.

–Mówię ci, wszystko idzie gładko jak po maśle.

–Ach tak? – mruknął Jim, Nie wiedział, co go niepokoi. Przyjrzał się Angie. Nie zobaczył podkrążonych oczu, lecz odniósł wrażenie, że mogła je mieć. – A co u ciebie? Jadłaś?

–Sama – odparła. – Właśnie tak jadłam.

Mógłby przysiąc, że coś się kryje za tymi słowami, i gdyby miała cienie pod oczami, teraz jeszcze by się pogłębiły.

–Coś jest nie tak – powiedział.

–Nie bądź niemądry!

–Nie jestem. Może lepiej zawołam Johna Stewarda. On nie ośmieli się mnie okłamać.

–Nie, nie rób tego, Jim! – rzuciła pospiesznie Angie. – Wiesz, jacy oni są. Jeśli narobisz zamieszania, śmiertelnie ich wystraszysz. To tak, jakbyś mówił dzieciom, żeby nie bały się ciemności. Dochodzą wtedy do wniosku, że w mroku musi czaić się

coś, czego należy się obawiać, bo czy w przeciwnym razie wspominałbyś o tym?
Powiem ci, co się stało.

–Co?

–Hm, wrócili nasi starzy znajomi – Ciemne Moce. Jim nie widział już niczego prócz bladej twarzy Angie.

–Przyszły tu?

–Tak. Ciemne Moce,... Nie, nie denerwuj się, nic się nie stało. Znowu pojawiły się w wielkiej sali. Siedziałam sama przy stole, jedząc śniadanie, i nagle wyczułam ich obecność.

–Wróciły! – rzucił gniewnie. – Kazałem im odejść, a one wracają! Zaraz z tym skończę! Otoczę cały zamek zaklęciem ochronnym. Nawet Moce nie zdołają go przeniknąć. I znajdę sposób, żeby zapłaciły za to wtargnięcie...

–Bądź rozsądny, Jim! Otaczanie zamku zaklęciem byłoby równie niemądre, jak przesłuchiwanie Johna Stewarda. Śmiertelnie przestraszyłbyś wszystkich. Ponadto Johna nie było wtedy na zamku.

–A kto był?

–Nikt! W zasięgu wzroku nie było nikogo ze służby, chociaż ktoś mógł być w gotowalni.

–I co się stało?

–Kazałam Ciemnym Mocom odejść. Wygoniłam je. Użyłam tych samych słów, co ty wtedy, a one – tak jak poprzednio – odeszły. Jim, może nie mamy nad nimi żadnej władzy, ale jaką władzę one mogą mieć nad kimś, kto nie chce ich znać?

Powiedziałeś mi to dawno temu... pamiętasz?

–Tak powiedziałem? – zdziwił się i trochę ochłonął, chociaż nadal był wściekły. – Jeśli tak, zapomniałem o tym. Jednak cieszę się, że tak twierdziłem, a także z tego, że zapamiętałaś moje słowa i przegoniłaś je. Angie, jesteś bohaterką.

Uściskała go i ucałowała.

–Dziękuję, Jim – powiedziała – ale nie jestem. Zachowałam się jak przestraszone zwierzę. Zapędź mnie w kąt, a będę walczyć.

Ponownie go uścisnęła.

–Dobrze – dodała, odsuwając się. – Ja powiedziałam ci prawdę. Teraz ty powiedz mi prawdę o tym, co tam się dzieje. Jak wygląda sytuacja w zatopionej krainie i w Liones?

Odprężył się trochę i odetchnął.

–Szczерze mówiąc, nie najlepiej. Zarówno w Liones, jak i w zatopionej krainie. Na szczęście jej młody król jest bystry i dzielny.

Szczegółowo opowiedział o wyzwaniu, jakie król David rzucił królowi Pellinorowi.

–Oczywiście, David nie miał żadnych szans – zakończył. – Nie miałby ich, nawet gdyby był równie wielki i silny jak Pellinor. Musiałem złamać zaklęcie, którym osłoniła mnie KinetetE, żeby wygoić jego rany i nie pozwolić mu umrzeć. W przeciwnym razie...

Jim nagle zorientował się, że o mało nie powiedział za dużo.

–Morgan le Fay mogłaby dobrać się do mnie, gdyby KinetetE nie przeniosła mnie

w porę.

–A więc ona ewakuowała cię z Liones. To dlatego najpierw byłeś u niej! – Angie opamiętała się. – Czy pod tym jej zaklęciem naprawdę jesteś bezpieczny?

–Tak, jak długo mam te magiczne okulary, które wymyśliłaś. Angie rozpromieniła się.

–Wierzę ci – powiedziała. Popatrzyli na siebie. – I co teraz?

–Zamierzam skrzyknąć rycerzy z arturiańskich legend, trzymać kciuki i mieć nadzieję.

–Cieszę się, że powiedziałeś mi o tym zaklęciu – stwierdziła Angie. – Przynajmniej jestem spokojniejsza. Jaki plan pokonania Ciemnych Mocy ma KinetetE?

–Nie ma żadnego. Carolinus pewnie też nie. Natomiast Merlin... Miałem ci powiedzieć, Angie, że rozmawiałem z Merlinem. Mówiłem z nim tak, jak teraz z tobą.

–Przecież on nie żyje! A raczej jest jak martwy. Został zamknięty w drzewie przez... jak jej tam było?

–Najwidoczniej nie ma pewności co do tego, jak naprawdę miała na imię – rzekł Jim. – Rzeczywiście, uwięziono go w drzewie, ale zdaje się, że to mu odpowiada. To niezwykle człowiek, Angie, i potężny czarodziej. Po naszej rozmowie zacząłem wierzyć we wszystko, co opowiadano o nim, Arturze i Lancelocie. Wyjawiał mi coś, z czym chciałem się z tobą podzielić.

–Co takiego?

–Widzisz, nie reagował na żadne pytania. Odniosłem wrażenie, że ma powyżej uszu ludzi proszących go, by przepowiedział przyszłość. W każdym razie, dowiedziałem się od niego, że dobrze zrobiłem, pozwalając Pellinorowi zawiadomić innych rycerzy z arturiańskich legend, gdyż on jest królem, a Liones może zwyciężyć jedynie pod przywództwem króla. Artura i Lancelota już nie ma. Ten ostatni został pustelnikiem i do końca swych dni nie weźmie broni do ręki.

–Mówiłeś, że Merlin wyjawiał ci coś, o czym chcesz mi powiedzieć. Czy zamierzasz to zrobić?

–Tak. Na razie tylko wyjaśniałem ci, jak do tego doszło. Usiłowałem nakłonić go, żeby odkrył przede mną coś, co mogłoby zapewnić Liones zwycięstwo. Nie zrobił tego. Jednak rzekł coś innego, co utkwiło mi w pamięci, jakby oznaczało więcej, niż się zdaje. Rzekł: „Samolubni często wygrywają potyczki. Altruści zawsze wygrywają wojny”. Wydaje mi się, że ma rację.

–Tylko tyle? – Angie obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

–Na ten temat – bronił się Jim. – To brzmi jak starcze głędzenie, prawda? Jednak im dłużej o tym myślę, tym bardziej nabieram przekonania, że to powinno mi się z czymś kojarzyć. Czy tobie nic to nie przypomina?

–Nie wiem – odparła z namysłem. – Czy on mówił o kobietach, czy o mężczyznach?

–Nie mam pojęcia. Nie wyjaśnił.

–Cóż, z pewnością jest w tym wiele prawdy. Samolubni zwykle brutalnie biorą to, czego chcą, nie zważając na protesty innych. A altruści zazwyczaj pozwalają im na to – czyniąc ich zwycięzcami na krótką metę. Taka osoba, jeśli nie jest tchórzem,

tylko ma zwyczaj dawać więcej, niż powinna, może się z tym godzić. Jednak po pewnym czasie ludzie zauważą to altruistyczne postępowanie i docenią je. I tak w ostatecznym rozrachunku altruści zdobywają przyjaciół i są szczęśliwsi, na dłuższą metę więc wygrywają.

–Ja również myślałem o tym w ten sposób – powiedział Jim. – Tylko że kiedy próbujesz zastosować takie ogólniki w praktyce, nie jest to wcale proste. Kto jest egoistą? A kto altruistą?

–Nie dzielisz czasem włosa na czworo?

–Nie, jeżeli zastanowimy się głębiej nad słowami Merlina. W pierwszej chwili pomyślałem, że altruistami są mieszkańcy Liones, szczególnie arturiańscy rycerze. Potem jednak przypomniałem sobie, że według legend niektórzy z nich postępowali bardzo samolubnie. Na przykład Gawen. Sam Artur, kiedy Gawen umierał, powiedział: „W tobie i w Lancelocie cała moja radość...” – albo coś w tym sensie. Tymczasem sam Gawen przyznał, iż to on jest odpowiedzialny za wszystkie ostatnie niepotrzebne bitwy Artura, do których doprowadził wiedziony nienawiścią do Lancelota. Tylko że tę nienawiść wywołał fakt, iż Lancelot zabił dwóch jego braci – aczkolwiek zrobił to w samoobronie i nieświadom więzów krwi.

–Cóż, przynajmniej Ciemne Moce na pewno są samolubne!

–Czyżby? A może także są ofiarami tego, do czego zostały stworzone – tak samo jak ludzie, którzy pomagają im zniszczyć historię i wprowadzić rządy przypadku?

–Mam cię! – zawołała Angie, celując w niego wskazującym palcem. – Powiedziałaś „zostały stworzone”. Przez kogo lub co? Cokolwiek to było, Czy ich stwórca nie był egoistą, tworząc coś, co służy jedynie zniszczeniu?

–Nie wiem – odparł Jim. – Jednakże te rozważania ani na krok nie przybliżają mnie do uwolnienia Liones i zatopionej krainy od Ciemnych Mocy.

–Cóż, chyba nie.

–Żałuję, że Carolinus jest niezdrów i nie może mi pomóc.

–Carolinus nie jest potężniejszym magiem od KinetetE – przypomniała Angie – a ona pozostawiła to tobie. Merlin chyba też.

–Może masz rację, chociaż wolałbym, żeby mi pomogli – Jim pokręcił głową. – No cóż, wciąż zastanawiam się nad słowami Merlina i do niczego nie dochodzę. Rzecz w tym, Angie, że Liones nie ma wielu mieszkańców. Jeśli dojdzie do walki, staną do niej tylko rycerze i ich potomkowie. Lud zatopionej krainy jest liczny, ale słabo uzbrojony i nie ćwiczony w sztuce wojennej, poza błękitnymi i może jeszcze paroma klanami.

Westchnął i wyciągnął rękę.

–No cóż, muszę już wracać. – Przytulili się do siebie. – Posłuchaj, gdybyś kiedyś mnie potrzebowała, zawołaj głośno moje imię. Rzucę czar, który pozwoli mi cię usłyszeć, gdziekolwiek wówczas będę, i natychmiast do ciebie przybędę.

–Jestem tu bezpieczna – odparła Angie. – Uważaj na siebie.

–Och, nic mi się nie stanie. Kłopoty mają te dwie małe krainy oraz ci, którzy w nich żyją. Tylko nie próbuj sama walczyć z Ciemnymi Mocami, jeśli znów się zjawią. Wezwij mnie.

–Dobrze – obiecała.

-Zobaczymy się niebawem.

-Na razie.

Zniknął. Powietrze lekko zawirowało w miejscu, gdzie przed chwilą stał, jakby komnata westchnęła.

-Och, Jim... – powiedziała Angie, spoglądając w tę stronę.

Rozdział 31

Jim zmaterializował się. Wrócił tam, skąd zniknął, a Brian, TB i król David – wszyscy – stali tam, gdzie poprzednio, oprócz króla Pellinora, który właśnie zamykał za sobą drzwi chaty. Oprócz nich był tu też Dafydd, który akurat zeskoczył ze spienionego i zdyszanego wierzchowca.

–Dafyddzie! – zakrzyknął Jim.

–Wołałem cię, Jamesie, kiedy wyjeżdżałem z lasu, ale już zniknąłeś.

–No cóż, wróciłem... – Jim urwał i z irytacją pstryknął palcami. – Wiedziałem, że o czymś zapomniałem. Zaraz wracam!

–Ależ, Jamesie...

Znow znalazł się w saloniku KinetetE, która na szczęście jeszcze tam była. Rozmawiała z dobrze znaną Jimowi Dieffenbachią cantans.

–To na nic, powiadam ci – mówiła do śpiewającej rośliny. – Twój rozstrojony głos jest ubocznym efektem obecności Ciemnych Mocy w Liones. Opuść Liones, a będę mogła ci pomóc. Albo zaczekaj, aż one odejdą... Jim, co ty tu robisz?

–Mam jeszcze jedno pytanie.

–Ale... – zaczęła ochryplym głosem dieffenbachia.

–Żadnych ale! Znikaj! – ucięła KinetetE. Roślina posłuchała. – Jak nie urok, to spuchlizna! Co się znowu stało?

–Nic – na razie – odparł Jim. – Po prostu zapomniałem zapytać cię o coś. Powiedz mi: Morgan le Fay może mnie zawsze obserwować w całym Liones, zakładam więc, że ty też, inaczej nie mogłabyś mnie przenieść, zanim zdążyła wykorzystać brak osłony. Tak więc powinnaś znać jej możliwości. Czy ona jest w stanie mnie widzieć, kiedy przebywam w smoczym ciele?

KinetetE zmarszczyła brwi.

–Nie mam pojęcia – odparła po krótkim milczeniu. – Zamień się w smoka, to sprawdzę.

–Hm – rzekł Jim, rozglądając się wokół – to bardzo miły salonik, ale...

–Smok bez trudu się w nim zmieści, jeśli tego zechcę – powiedziała KinetetE. – Do dzieła.

Jim przybrał postać smoka. Pokój zaś się powiększył.

–Widzę cię jasno i wyraźnie – powiedziała KinetetE. – Nie mam pojęcia, dlaczego przypuszczałeś, że... Ach, rozumiem, co chciałeś mi powiedzieć. Będąc człowiekiem, widzę cię bez pomocy magii. Wyfruń przez okno i schowaj się za budynkiem. Potem wróć.

Jim spojrział na okno – wcale nie takie duże – i zawahał się.

–Jest trochę małe – rzekł.

–Co ci przed chwilą mówiłam o pokoju? To dotyczy również okna.

Jim rozpostarł skrzydła – bez problemów, chociaż miały sporą rozpiętość, potrzebną do dźwignięcia ciężkiego ciała w powietrze. Wyleciał przez okno i znalazł się nad jedną z wielu wieżyczek sporej budowli, równie wielkiej jak zamek. Przeleciał na drugą stronę wieży i wrócił w ten sam sposób.

–Miałeś rację! – oznajmiła KinetetE. – Miałeś całkowitą rację! Przestałam cię

widzieć, gdy tylko zniknąłeś mi z oczu. Oczywiście! To uboczny efekt tego, że magia nie działa na zwierzęta. Wprawdzie smoki są czymś więcej niż zwykłymi zwierzętami – tak jak naturalni – lecz w rezultacie niektóre czary działają na nie, a inne nie.

–Dobrze! – rzekł Jim. – A zatem mogę zdjąć twoje zaklęcie i posłużyć się magią, przybrawszy smoczą postać?

–Nie, jeśli nie wiesz, jak ponownie zabezpieczyć zaklęcie, którym później znów się otoczysz, tak by Morgan nie mogła go zdjąć, kiedy wrócisz do ludzkiego ciała.

–Pewnie nie możesz...

–Nie mogę. Powinieneś już to wiedzieć. Magią nie można manipulować, można tylko się jej nauczyć. Sposób, w jaki zabezpieczysz zaklęcie, będzie inny niż ten, jakiego ja używam.

–No tak – mruknął Jim. Rzecz jasna, miała rację. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakich dowiedział się od Carolinusa. – Niedobrze. Mógłbym tam wiele zdziałać, posługując się magią.

–Takie jest życie – powiedziała KinetetE. – Znikaj.

–Biedny Dafydd właśnie przyjechał i bardziej nadaje się do łóżka niż do walki, Jamesie – poinformował go Brian lekko karcącym tonem. Król David i TB stali przy nim. Brian wyglądał jak wielki pingwin cesarski, którego Jim widział kiedyś na zdjęciu z Antarktydy, przekładający jajko z jednej łapy do drugiej, aby utrzymać je w cieple pod fałdą skóry podczas śnieżnej zimy. Tylko że zamiast jajka Brian trzymał Dafydda, który siedział na ziemi, oparty plecami o jego nogi i spał tak mocno, że prawie chrapał. Bardzo niezwykle zachowanie jak na Dafydda.

Zapewne bez wytchnienia dowodził drużyną łuczników zatopionej krainy walczących z harpiami, pomyślał Jim, przypominając sobie, co mówił mu młody król David.

–Do licha – dodał w zadumie Brian, spoglądając na ich nieruchomego przyjaciela – dla niego byłoby lepiej, gdybyś jeszcze się nie zjawił.

Nachylił się i rzekł głośno do ucha łucznika:

–Dafyddzie! Zbudź się! Znów z nami jest. Zbudź się, mówię! Łucznik zatrzepotał powiekami i spróbował otworzyć oczy, co przyszło mu z trudem. Popatrzył na Davida, TB oraz Jima, jakby żadnego z nich nie poznawał. Potem szeroko otworzył oczy i spróbował stanąć na nogi. Brian podał mu rękę.

–Sir Jamesie! – rzekł ochryple łucznik. – Widziałem cię ze skraju lasu i wołałem...

–A ja znów zniknąłem. Teraz wróciłem. Przepraszam, Dafyddzie, ale to było konieczne.

Dafydd otarł wargi grzbietem dłoni.

–Czy jest tu woda albo cokolwiek innego do picia? – zapytał. – W ustach mi zaschło, jak na polu w czasie suszy.

–Masz – Brian podszedł do Blancharda, odwiązał manierkę od siodła, wyjął korek, po czym przyniósł ją Dafyddowi.

–Dziękuję, sir Brianie...

–Pij, człowieku! I daj spokój podziękowaniom! Dafydd upił łyk i zakrztusił się.

–Wino! – zawołał, kiedy złapał oddech. – Bardzo dobre wino, Brianie, ale

wolałbym najpierw trochę czystej wody...

–Pójdę i poproszę o nią zacnego króla – rzekł David. – Na pewno ma w chacie wodę.

Lecz Hob już szedł w stronę Dafyddda, a idąc, ostrożnie nalewał z butelki wodę do mocno pociętego pucharu z brązu – oba te przedmioty wyjął z bagażu umieszczonego na grzbiecie jucznego konia. Podał pełny puchar Dafyddowi, który ujął go w obie dłonie i opróżnił duszkiem, chociaż naczynie zawierało co najmniej pół litra płynu.

–Dobrze – powiedział Brian, patrząc, jak oddaje pusty puchar Hobowi. Ponownie podał manierkę Dafyddowi, który – ku zdziwieniu Jima, gdyż łucznik zwykle stronił od alkoholu tak samo jak on – pociągnął tęgi łyk.

–Teraz odzyskałem głos – oświadczył Dafydd, wręczając Brianowi manierkę. – Dziękuję ci, Brianie, Wam, Jamesie i Hobie, również. Będę pamiętał o tym do końca życia. Posłuchaj, Jamesie – ponownie zwrócił się do Jima – sytuacja w zatopionej krainie staje się rozpaczliwa. Czy król wam nie mówił?

–Owszem, mówił – odparł Brian. – A kiedy dowiedział się, iż James ma zobowiązanie wobec Liones i nie może przybyć, wyzwiał króla Pellinora, którego nie znasz, na pojedynek...

–Znam, choć tylko z legend i opowieści – rzekł Dafydd. Z niedowierzaniem spojrzął na młodego króla. – Miałeś szczęście, że nie podjął tego wyzwania, do czego miał wszelkie prawo.

–Ależ podjął – wyjaśnił Brian – a król David doskonale się spisał, chociaż został strącony z konia i legł nieprzytomny na ziemi. Jednak sir James uzdrowił go z pomocą magii.

–Dzięki Bogu! I tobie, Jamesie! – Dafydd spojrzął na Davida i potrząsnął głową. – Jakież szaleństwo kazało ci rzucać wyzwanie rycerzowi – w dodatku rycerzowi Okrągłego Stołu?

–Wydawało mi się, Dafyddzie – odparł król – że w najgorszym razie zasmuci się, że mnie zabił, i poczuje się zobowiązany ruszyć nam z pomocą, ewentualnie z kilkoma innymi rycerzami Liones.

Dafydd tylko ponownie pokręcił głową.

–Jesteś królem – powiedział. – Powinieneś żyć i działać dla dobra wszystkich mieszkańców Liones, a nie umierać za nich. Nie brak takich, którzy mogą to zrobić.

–A jednak uznałem, że warto spróbować – rzekł David – i wszystko dobrze się skończyło. Poza tym, Dafyddzie, jeśli jestem królem, to ja o tym decyduję.

–Tak, miłościwy panie – przyznał Dafydd. Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

–Przybyłeś tu z jakiegoś konkretnego powodu, książę – zauważył TB.

–Tutaj nie jestem księciem – odparł Dafydd – lecz mistrzem łucznictwa i nikim innym być nie chcę. Masz jednak rację, lordzie Tropiąca Bestio. Czy nadal mogę się tak do ciebie zwracać?

–Tak, albo po prostu TB.

–A więc będę ci mówił TB. – Dafydd obrócił się do Jima i rzeki ponaglająco, tak jak w pierwszych słowach po przebudzeniu. – Jamesie! Rozpaczliwie cię

potrzebujemy. Znaleźliśmy kilku dobrych łuczników pośród innych barw, którzy mogą dowodzić drużynami, dając nam, błękitnym, okazję, by zjeść coś i przespać się. Pomimo to nie jesteśmy w stanie utrzymać się w nieskończoność, a tymczasem nieprzeliczone stada harpii wciąż atakują miasta. Na razie ani jedna nie przedostała się...

–Skoro o tym mowa, liczba harpii, które mogą was zaatakować, jest ograniczona – powiedział Jim. – Rozmawiałem o tym z KinetetE. Ciemne Moce nie będą stwarzać ich bez końca, gdyż wyczerpałyby swe magiczne możliwości. Co więcej, sądzę, że mam sposób na zwalczenie tej plagi.

Zamienił się w smoka.

TB podskoczył i cofnął się o krok. David zbladł jak ściana, ale nawet nie drgnął.

–Wszystko w porządku, miłościwy panie – huknął Jim smoczym głosem. – To ja, James. Przybieranie smoczej postaci to tylko jedna z wielu rzeczy, które potrafię, i zrobiłem to teraz, ponieważ myślę, że w smoczym ciele będę mógł pomóc ludowi zatopionej krainy w walce z harpiami...

Za plecami usłyszał trzaśnięcie drzwi i głos – niemal równie potężny jak jego smoczy – huknął:

–Co to? Smok? – Świsnęło ostrze wyciąganego z pochwy miecza. – Koniu!

Wszyscy odwrócili się. Pellinor wyszedł z chaty. Jego ostatni okrzyk niczym nie różnił się od poprzednich, ale tym razem zza rogu budynku wypadł galopem bojowy rumak, galopując najszybciej, jak mógł. Kiedy znalazł się blisko, król wskoczył na jego grzbiet, wepchnął miecz do pochwy i chwycił kopię, która tkwiła pionowo w olstrze przy siodle.

Obrócił konia i stanął twarzą do Jima.

–Wszystko w porządku! – zawołał Jim, jednocześnie przybierając ponownie ludzką postać. – Chciałem tylko coś pokazać.

Pellinor nadal celował w niego kopią. Wstrzymał konia i z groźną miną powoli podjechał do nich.

–Czy Kościół aprobuje taką magię? – zapytał.

–Zapewniam, że tak! – odrzekł TB, znowu przysuwając się do Jima. – Czy przyprowadziłbym go, gdyby było inaczej? Ponadto przemówiły za nim drzewa!

–Cóż – stwierdził Pellinor. – Jeśli tak, odłożę kopię. – Zrobił to. – Co chciałeś im pokazać? Ufam, iż nie zapomniałeś o tym, iż twoim pierwszym obowiązkiem jest obrona Liones?

Jim usiłował sobie przypomnieć, kiedy to złożył taką deklarację. Nie zdołał. Niewątpliwie, pomyślał, Pellinor bardzo dosłownie traktuje rycerskie słowo. Mimo wszystko, warto spojrzeć królowi w oczy.

–Niczego nie zapomniałem – rzekł, starając się powiedzieć to dokładnie w taki sposób, w jaki uczyniłby to Merlin. – Już czas – dodał – abyś wyjaśnił mi kilka spraw. Chcę spotkać się z tymi, którzy tu, w Liones, będą przywódcami rycerzy Okrągłego Stołu, Kiedy pojedziesz zwołać ich na naradę, ja muszę poczynić magiczne przygotowania do tego, co może będę musiał zrobić, a w tym celu prawdopodobnie opuszczę Liones – ponieważ do póki tu przebywam, Morgan le Fay wie, gdzie jestem.

W tej chwili z pewnych powodów nie jest w stanie mnie osiągnąć, lecz ja nie mogę wykorzystać moich magicznych umiejętności. Jeśli jednak znajdę się poza jej zasięgiem, może uda mi się jakoś wam pomóc. Wszystko zależy od wyniku spotkania z rycerzami. Czy możesz ich zwołać?

Pellinor z roztargnieniem wsunął kopię uchwytem w dół do olstra przy siodle.

–Skoro mowa o naradzie – powiedział – to nie przypominam sobie żadnego takiego spotkania, od kiedy opuścił nas Artur. Jeśli jednak do niego dojdzie i zbiorą się wszyscy, którzy niegdyś za siadali przy Okrągłym Stole, oprócz Artura i Lancelota... to chyba będą tam i obaj moi synowie.

Jego twarz rozjaśniła się. Nie rozpromieniła, ale i tak wyglądała teraz jak skalna ściana, którą musnęły promienie zimowego słońca. Jego wzrok, który przy ostatnich słowach przesunął się w bok, ponownie spoczął na Jimie.

–Zrobię to – oświadczył. – Zważ jednak, sir Jamesie, że jeśli niektórzy nie zechcą przybyć, nie mogę ich zmusić. Od dawna przestaliśmy walczyć ze sobą – z jakichkolwiek powodów.

–Mam przeczucie – powiedział Jim – że stawią się wszyscy.

–Jeśli Bóg nam sprzyja – odparł Pellinor. Odwrócił się i odjechał, znikając między drzewami tak jak poprzednio.

Jim ponownie zmienił się w smoka.

–Brianie, Dafyddzie, wasza wysokość, TB – wybaczcie mi wszyscy. Nic mogę wyjaśnić, dlaczego was opuszczam, ponieważ mogłaby to podsłuchać Morgan. Może mnie nie być pół godziny albo nawet dzień czy dwa – nic wiem. Bardzo by mi pomogło, gdybyście pozostali przez ten czas tutaj, tak abym łatwo mógł was odnaleźć, kiedy wrócę. Czy możecie na mnie zaczekać, czy też któryś z was musi odejść?

–Jamesie – rzekł Dafydd – nie wiem, jakie czekają cię niebezpieczeństwa. Wiem jednak, że nasza zatopiona kraina potrzebuje władcy. Ja także jestem potrzebny tam w tych ciężkich chwilach. My dwaj musimy tam wrócić.

–To zależy od ciebie, Dafyddzie – odrzekł Jim. – Mogę tylko powiedzieć, że wolałbym, żebyście pozostali. Najcięższa bitwa odbędzie się tutaj. I pomyśl jeszcze o czymś. Harpie umieją latać. Dlatego są tak groźne. Jednak smoki też to potrafią.

Mówiąc te słowa, rozprostował wielkie skrzydła.

–Jamesie! – zawołał Brian. – Mam więc siedzieć tutaj i nic nie robić?

–Niedługo, Brianie – obiecał. – Najwyżej dzień i noc, a zapewne znacznie krócej. Dzięki temu odnajdę drogę powrotną. Pellinor powinien niedługo się zjawić. Pamiętaj, jak szybko powrócił poprzednim razem. Na pewno zaprosi cię pod swój dach, jeśli nie zdołam przybyć do jutra.

–Nie martwiłem się o dach nad głową – odparł z lekką urazą Brian. – Chciałbym wreszcie wsiąść na konia i działać. – Nagle złagodniał. – Będę cierpliwie na ciebie czekać, Jamesie.

–Dziękuję, Brianie. Wrócę najszybciej jak to możliwe, a wtedy obaj będziemy mieli co robić.

Poderwał się w niebo, opuszczając ich przy wtórze łopotu skrzydeł.

Rozdział 32

Idąc za głosem instynktu – jak zawsze, gdy przybierał smoczą postać – Jim wzbił się najwyżej, jak zdołał, nie tracąc tchu. Jak wszystkie zwierzęta – nie wyłączając ludzi – smoki podczas walki i latania kierowały się wrodzonymi odruchami. Czasem rzucały się do ucieczki – a czasami równie instynktownie atakowały. Natomiast zawsze wzbijały się pionowo w górę.

Jim przestał się wzbijać, gdy osiągnął bezpieczny pułap i natrafił na rzekę powietrza płynącą równolegle do ziemi, w kierunku granicy zatopionej krainy. Rozpostarł skrzydła i zaczął szybować jak jastrząb.

Granica znajdowała się bliżej, niż oczekiwał, wierząc, iż prowadząc ich do Pellinora, TB wykorzystał swoje magiczne umiejętności, aby skrócić drogę przez Liones. Nawet teraz, kiedy spoglądał wokół i za siebie, Liones wydawała się ciągnąć aż po horyzont. Nad czubkami drzew wystawała tylko krawędź skalnego urwiska, za którym znajdowało się przejście do królestwa sękatych.

Ciekawe, lecz z tej wysokości widział oba słońca: białe Liones i żółte zatopionej krainy. Znajdowały się daleko od siebie, ale poruszały równolegle, każde po innym niebie. Najwidoczniej w obu tych krainach czas płynął podobnie, chociaż poza tym niewiele miały wspólnych cech.

Oderwał się od tych myśli i stwierdził, że znajduje się nad zatopioną krainą, spory kawałek od granicy. Szybując, powoli opadał wraz z niosącym go prądem powietrza, aż znalazł się zaledwie kilkaset metrów nad ziemią. To nie było zgodne z jego planami. Mając w pamięci dotychczasowe doświadczenia z harpiami, spodziewał się znaleźć je na niewielkiej wysokości.

Ponownie zaczął machać skrzydłami, wzbijając się w górę, aż daleko po lewej stronie ujrzał ciemny kształt obozu na pograniczu, niczym plamę na horyzoncie. Bliżej dostrzegł kilka błysków, które musiały być miastami zatopionej krainy. Zaczął łagodnie opadać ku najbliższemu z nich, szukając wstępującego prądu ciepłego powietrza, który pozwoliłby mu wzbić się jeszcze wyżej.

Znalazł go i spiralnym ruchem poszybował w górę, aż za odbitym światłem miast dojrzał cienką, ciemną linię morza. Nie był to zwyczajny morski brzeg, lecz ściana wody, sięgająca aż do kilku pierzastych obłoczków w zatopionej krainie, wyglądających z tej odległości jak wielkie pineski utrzymujące ją pionowo i nie pozwalające zalać tych dwóch podwodnych królestw.

Prąd powietrzny osłabł i znikł, oziębivszy się w miarę wznoszenia. Jim porzucił go, robiąc jeszcze szerszą spiralę, aby spowolnić tempo opadania, przyjrzeć się miastom i wybrać największe. Ono będzie stolicą zatopionej krainy i niemal na pewno tym miastem, z którego David i Dafydd przybyli do Pellinora, a także miejscem najzacieklej atakowanym przez harpie.

Znalazł je bez trudu. Miało najwyższe budynki i niewątpliwie z niego pochodził ich przewodnik, który przyjechał po Dafydd, kiedy zjawili się w zatopionej krainie.

Jim skupił się, wytyczając wzrokowo linię łączącą miasto z granicą Liones. Jego ludzkie oczy zaczęłyby łzawić po kilku minutach takiego wypatrywania, szczególnie że usiłował dojrzeć ślad ruchu w powietrzu, na najkrótszym odcinku między skrajem

Liones a stolicą zatopionej krainy. Smocze ślepie nie łzawiły.

Jego wysiłki zostały nagrodzone. Mniej więcej po godzinie, podczas której musiał dwukrotnie wzbijać się na wysokość umożliwiającą obserwację, dostrzegł coś, co wyglądało jak poruszająca się chmurka ciemnych obiektów, w której sporadycznie pojawiał się jasny błysk. Całość powoli – a przynajmniej tak mu się wydawało – przesuwała się na wysokości najwyższej stu trzydziestu metrów w kierunku stolicy, skąpanej w ciepłym blasku popołudnia.

Jim powolnymi, lecz potężnymi uderzeniami skrzydeł podleciał do obserwowanego obiektu, ale trzymał się dobre dwieście metrów powyżej niego. Kiedy się zbliżał, czarno-biała chmurka rozdzieliła się na osiem harpii lecących w kierunku miasta. Ich ciała były czarne, ale nie twarze. Ruch skrzydeł co chwilę odsłaniał blade oblicza, tworząc białe błyski, które Jim zauważył z daleka. Stwory leciały nisko i powoli.

Zastanawiał się nad następnym posunięciem. Tutaj, w zatopionej krainie, Morgan le Fay nie była w stanie go dosięgnąć, a także – co ważne – zobaczyć. Mógł pozwolić sobie na eksperyment.

Obniżył lot, zajmując pozycję zaledwie dwieście metrów nad harpiami. Powietrze wokół niego zaświszczało, ziemia w dole stała się wyraźniejsza, podobnie jak lecące w oddali harpie. Znalazł się tuż za nimi.

Leciały kluczem jak migrujące gęsi, lecz z szybkością wron. Teoretycznie, powiedział sobie, z tymi ciężkimi ludzkimi głowami wcale nie powinny móc latać. W następnej chwili zrozumiał, że przerażające stwory wcale nie miały ludzkich głów. Każda z nich nosiła tylko szeroką, biada jej atrapę, osadzoną na tym, co powinno być ptasim łbem i piersią – niczym maska lub wzór namalowany tam po wyskubaniu wszystkich piór.

Nie miał jednak czasu na długie obserwacje. Powinien przeprowadzić zaplanowany eksperyment, a potem odlecieć i zająć się ważniejszymi sprawami, dla których opuścił Liones.

Poleciał w dół i nagle smocze instynkty przejęły kontrolę nad jego ciałem i umysłem. Jak sokół atakujący gołębia runął na ostatnią harpię w szyku. Przynajmniej oszczędzi nieco pracy łucznikom zatopionej krainy.

Wyobrażał sobie, że zanurkuje w głuchej ciszy, ale był równie cichy jak pikujący samolot z wyłączonym silnikiem. Powietrze świstało i śpiewało wokół jego ciała. Harpie usłyszały to i ostatnia w szeregu zauważyła nadlatującego smoka.

Jim liczył na to, że mają małe mózgi lub nie posiadają go wcale. Podobnie jak inne stworzenia wykorzystywane przez Ciemne Moce, takie jak ogry i robaki, z którymi Jim i Brtan już walczyli, harpie powinny być stworami z krwi i kości. Być może jednak były również obdarzone instynktem samozachowawczym albo zaprogramowano je na walkę w powietrzu. Ostatnia harpia natychmiast obróciła się i Jim ujrzał tuż przed sobą białą twarz, z ustami otwartymi i ukazującymi ostre kły, jak u wściekłego kota.

Prawie odruchowo wykręcił w prawo, aby ominąć stwora – co niemal mu się udało. Poczł mocne uderzenie, mniej więcej w połowie prawego skrzydła. W

następnej chwili znalazł się pod harpiami i wychodził z lotu nurkowego, mając w żyłach zbyt wiele adrenaliny, by w jakikolwiek sposób zareagować na fakt, że mógł zostać śmiertelnie ukąszony, pomimo iż ludzki umysł podpowiadał mu, że postępuje nader nierozważnie, atakując w taki sposób.

Potem, kiedy znów wyrównał lot, wzbiwszy się wysoko nad harpie, tak że z łatwością mógł się im wymknąć – przynajmniej dopóki żył – zobaczył po prawej stronie jakiś ciemny kształt opadający na ziemię.

Obiekt wirował, opadając, i miał bladą twarz. Ptasie ciało było zmiażdżone, niemal przecięte na dwie połowy, stwór był więc konający albo już martwy.

Umysł Jima przez chwilę nie potrafił połączyć faktów. W końcu przypomniał sobie, że przed momentem zahaczył o coś skrzydłem. Najwidoczniej uderzył w spadającą teraz bezwładnie harpię zbyt silnie i zbyt gwałtownie, by zdążyła wbić w niego kły.

A więc nie mógł mieć we krwi jadu. Zrozumiał to tak szybko, że prawie nie zdążył zdać sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Teraz też nie odczuł ulgi, raczej chwilowe odrętwienie – brak wszelkich uczuć.

Pozostałe harpie zawróciły, nie dolatując do miasta.

Uderzył potężnymi skrzydłami, pozostawiając je w dole i z tyłu, po czym skierował się w przeciwną stronę, ku najbliższej kępie drzew, które dostrzegł kilometr dalej. Nie była zbyt duża, lecz wystarczająco gęsta, by mógł się tam ukryć przed wzrokiem harpii i ludzi. Większość zatopionej krainy zajmowały ziemie uprawne, ale wszędzie też rosły niewielkie zagajniki takie jak ten.

Wylądował, bezpiecznie zagłębiając się w gąszczu, po czym powrócił do swej człowieczej postaci, aby jego umysł kierował się wyłącznie ludzką logiką i umożliwił osiągnięcie celu, jaki Jim wyznaczył sobie, przylatując tutaj. Nie miał innego wyjścia. Miło było być smokiem, lecz w tym wcieleniu nie był zdolny do głębokich przemyśleń.

Jako smok był zuchwalszy, a więc mniej rozsądny. Jako człowiek zdradzał skłonności do obaw, jakich nigdy nie żywiłby jako smok, ale mógł lepiej myśleć i planować. Kiedy przybierał smoczą postać, nigdy nie próbował rozwiązywać zadań matematycznych, grać w szachy czy inne gry logiczne, żeby sprawdzić, czy radzi sobie z tym tak dobrze, jak w ludzkim ciele. Będzie musiał kiedyś poeksperymentować.

Teraz powinien dobrze się zastanowić. Wydawało mu się, że znalazł sposób, aby zmienić równowagę sił, i był gotów się założyć, iż nie wymyśliłaby tego KinetetE, Carolinus czy ktokolwiek zajmujący się magią. Gdy masz wątpliwości, atakuj – jak powiedział kiedyś pewien znany wojskowy.

Oczywiście, może się to okazać niewykonalne, ale trzeba spróbować.

Te rozmyślenia poprawiły mu humor i oddawałby im się jeszcze przez chwilę, gdyby nie to, że stojąc bezpiecznie na ziemi, musiał szybko skorzystać ze swej magii.

Kiedy znalazł się wśród drzew, które zasłaniały otwartą przestrzeń i z pewnością skrywały go przed oczami obserwatorów, natychmiast poszerzył swoje ochronne zaklęcie, tworząc z niego rodzaj pokoiku trzy metry na trzy. Następnie w magiczny

sposób pożyczyl pierwszy stoliczek, jaki przyszedł mu do głowy, znajdujący się w magazynku w Malencontri. Zgodnie z poleceniem mebel pojawił się przed nim wewnątrz zaklęcia, a Jim zdmuchnął z niego kurz i skupił wzrok na jego blacie. Potrzebował pięciu różnych owoców.

–Jabłko – rzekł i zobaczył je. Niestety, było małe i zielone. – Do licha! Myślałem o dojrzałym, czerwonym jabłku! – warknął i zamilkł, gdyż własny głos nagle wydał mu się podobny do tego, jakim Carolinus i KinetetE przemawiali do Wydziału Kontroli. I kto by pomyślał, że wyczarowując jakiś przedmiot, trzeba opisać go w najdrobniejszych szczegółach... Opanował gniew. No cóż, tym razem dostał to, co chciał. Niewątpliwie dojrzałe, bezsprzecznie czerwone jabłko śmiało się do niego z blatu stolika.

–Wszystkie następne też dojrzałe. Śliwka. Winogrono – tylko jedno, no właśnie. Gruszka. Banan... Nie, skreślił banana.

To musiały być owoce, które nie nasunęłyby Morgan le Fay, lub komuś z jej otoczenia, podejrzeń, że jest kimś więcej niż zwykłym magiem z górnej krainy. Najpierw wybrał takie, które mógł mieć przy sobie każdy angielski rycerz – jeśli tylko zdołał je zakupić o tej porze roku. Banan do nich nie należał.

–Do licha! – warknął Jim. – Niech jedno winogrono będzie czerwone, a drugie zielone – bezpestkowe.

To, które już miał, było czerwone. Między nim a gruszką pojawiło się zielone. Zamówione owoce czekały w równym rzędzie na stole.

–W porządku – powiedział im. – Posłuchajcie mnie wszystkie! Jeśli wezmę któryś z was i ugryzę, wydając w myślach magiczne polecenie, macie je wykonać. Obdarzam was taką władzą. Rozumiecie? Podskoczcie, jeśli tak.

Żaden owoc nawet nie drgnął.

–Do licha! – zaklął ponownie Jim i nagle uświadomił sobie, że zapomina się, korzystając z tego, że nikt go nie słyszy. – Zapomniałem. Teraz nadaję wam moc słuchania tego, co do was mówię, nie tylko moich magicznych poleceń. No dobrze, chcę zobaczyć, jak wszystkie podskakujecie!

–Wystarczy. Wystarczy, powiedziałem! Nie musicie skakać bez końca. Raz czy dwa... Już lepiej. Teraz zamierzam zmniejszyć otaczające mnie zaklęcie ochronne. Włożę was do mojej sakwy... – Zacieśnił osłonę i zaczął wpychać owoce do dużego mieszka, który miał przyczepiony do pasa skórzanego – nie tego rycerskiego z przypiętym doń mieczem. – Jeśli ugryzę którykolwiek z was i wypowiem w myślach jakieś życzenie, wasza magia wyzwoli się, aby je spełnić. Zrozumiano?

Włożone już do torby owoce zaczęły podskakiwać. Jabłko, które jeszcze trzymał w ręce, znalazło się z powrotem na stole.

–Mam cię – mruknął Jim, łapiąc je i chowając do torby, razem z innymi owocami. Naraz przypomniał sobie, że zamierzał spróbować zrobić to, przybrawszy uprzednio smoczą postać. No cóż, innym razem.

Zapakowawszy – choć może lepszym określeniem byłoby „upchnąwszy” owoce, przywrócił osłonie poprzednie rozmiary i wzbił się w niebo, a kiedy osiągnął wysokość, na której nie groziło mu zderzenie z nadlatującymi lub odlatującymi

harpiami, zaczął oglądać z wysoka miasto, które uznał za stolicę zatopionej krainy. Szybował nad nim na wysokości pięciuset metrów. Zobaczył harpie, pojedynczo przelatujące nad ulicami, tuż nad dachami budynków. Co jakiś czas któraś z nich spadała, przesyta strzałą. Jim nie zdołał dostrzec, skąd nadlatują strzały. Wszystkie okna były przysłonięte okiennicami, a ulice świeciły pustkami.

Z całą pewnością przynajmniej tutaj łucznicy zatopionej krainy w pełni panowali nad sytuacją.

Jim opadał coraz niżej, aż bystry smoczy wzrok pozwolił mu dostrzec smugę wylatującej przez jedną z okiennic strzały. Nadal jednak nie wiedział, jak to możliwe.

Opuścił się jeszcze trzydzieści metrów w dół i zauważył wąską szczelinę w okiennicy. Uderzył skrzydłami, podlatując jeszcze bliżej budynków, aby sprawdzić, czy wszystkie mają otwory w okiennicach – i w tejże chwili strzała przeszła powietrze w miejscu, gdzie znajdował się przed chwilą.

Nie pomyślał o tym, że ukryci w budynkach ludzie mogą wziąć go za stwora przysłanego przez Ciemne Moce. Kolejny raz pożałował, że zakłęcie KinetetE nie osłania go przed orężem, a nie tylko przed magią. Musi uwzględnić ten fakt w swoich planach.

Poleciał z powrotem do Liones. Tam spotkała go przyjemna niespodzianka: żaden z towarzyszy nie odjechał. Dafydd i David nadal tam byli, podobnie jak TB. Hob podskakiwał, zapewne z podniecenia, gdy Jim wylądował i z powrotem zmienił się w człowieka.

–Co ci się stało? – zapytał Briana, który podszedł do niego pierwszy. – Wyglądasz inaczej.

–Nic się nie stało. Straszne nudy. Chyba, że mówisz o... – Przeciągnął dłonią po dolnej połowie twarzy. – Ogoliłem się. Król Pellinor był tak dobry, że pożyczył mi swój nóż do golenia. Nie wziąłem osetki, na której mógłbym dostatecznie naostrzyć ostrze tego, który mam przy sobie, a pewnie zauważyłeś, Jamesie, że zarost szybko mi rośnie. Straszny kłopot! Pamiętam, że kiedyś obywałem się bez golenia dwa, a nawet trzy dni... Ach, wasza wysokość! Życzysz sobie porozmawiać z sir Jamesem?

–Jakie wieści, sir Jamesie? – zapytał David, wpychając się między Briana i Jima. – Co nowego? Czy przynosisz jakieś wiadomości o mojej biednej ziemi i ludziach?

–Nie sądzę, abyś musiał zbytnio się o nich martwić – odparł Jim. – Przeleciałem nad waszą stolicą. Może sytuacja nie wyglądała dobrze, kiedy wyjeżdżałeś, ale teraz wszyscy ludzie są ukryci, okna i drzwi zamknięte, a harpie bezskutecznie usiłują ich nękać. Od czasu do czasu któryś z waszych łuczników strzela przez szparę w okiennicach i strąca jedną z nich. Być może niebawem sir Brian i ja ostatecznie powstrzymamy te stwory.

–Jamesie? – odezwał się pytającym głosem uszczęśliwiony Brian.

–Za moment porozmawiamy o tym, Brianie – odrzekł Jim. – Miłościwy panie, miałem wrażenie, że zamierzasz powrócić tam z Dafyddem.

–Istotnie, sir Jamesie, zmieniłem zdanie – odparł Dafydd. – Ponieważ wsie opustoszały, jadąc we dwóch do stolicy, musielibyśmy pokonać sporą otwartą przestrzeń patrolowaną przez harpie, co byłoby wielce niebezpieczne. Ponadto,

zostając tutaj, możemy wziąć udział w twoim spotkaniu z rycerzami Liones, gdyż sądzę, iż wobec zagrożenia dla mieszkańców zatopionej krainy, i dla nich byłoby dobrze niezwłocznie porozmawiać o połączeniu sił.

–No tak – odparł Jim. – Ja też tak pomyślałem... Przestań podskakiwać, Hobie! Zaraz z tobą porozmawiam. – Hob stał teraz na jego prawym ramieniu, podrygując niczym magiczne owoce. – Ja również uważam, iż obie te krainy powinny zawrzeć przymierze. Wy macie mnóstwo ludzi, lecz – o ile wiem – mało zbrojnych rycerzy. Tych Liones ma mnóstwo, lecz razem nie tworzą oni licznej armii, gdyż Liones jest bardzo słabo zaludniona. Czy mam rację, TB?

–Całkowitą – odparł TB. – Myślę jednak, że Hob ma wam coś ważnego do powiedzenia.

–Tak? Przepraszam, Hobie – rzekł Jim. – Nie wiedziałem, że masz mi do powiedzenia coś istotnego. Przepraszam, że kazałem ci czekać.

–To było okropne... nic nie szkodzi... chcę powiedzieć, milordzie... – Hob gwałtownie wyrzucał z siebie długo powstrzymywane słowa. – Wpadłem na wspaniałą myśl. Nikt inny nie może tego zrobić – raczcie wybaczyć, mistrzu Dafyddzie, sir Brianie, milordzie i wasza wysokość – ponieważ właśnie do tego zostały stworzone skrzaty. Potrzebuję tylko smużki dymu, na której mógłbym polecieć z powrotem do obozu tych łotrów na pograniczu. Ukryję się w dymie ich ognisk i posłucham ich rozmów. Zdołam w ten sposób poznać ich zamiary i ostrzec was. To będzie tak łatwe, jak... spijanie mleka.

–Hobie – zaczął Jim i zamilkł. Wiele przemawiało przeciwko temu, by skrzat zrealizował ten plan. Jednak Jim musiał tak sformułować odpowiedź, żeby nie urazić i nie zniechęcić przyjaciela, który strasznie zapalił się do swojego pomysłu. Co więcej, Jim nie mógł odrzucić propozycji Hoba w taki sposób, by wyglądało na to, że szczególnie dba o jego bezpieczeństwo. Nie teraz, kiedy słuchali go inni, gotowi ryzykować własne życie i nie widzący powodu, by Hob nie miał uczynić tego samego, aby zdobyć informacje. – To niezły pomysł, Hobie – rzekł i ton jego głosu, zapowiadający odmowę, sprawił, że skrzatowi natychmiast wydłużyła się mina. – Rzecz w tym, że dopóki znajdujemy się w Liones, królowa Morgan le Fay przez cały czas obserwuje nas obu. Natychmiast zauważy, jeśli mnie opuścisz, i wyśledzi, dokąd zmierzasz.

–Mógłbym poczekać, aż będzie ciemno.

–A jak odnajdziesz drogę w ciemności?

–Och, to proste, milordzie. Będę się kierował gwiazdami. Robiłem to już, latając nocami na dymie.

–Tutaj nie ma gwiazd – wtrącił Dafydd – ani w naszej zatopionej krainie. Nie ma w nich też księżyca.

Hob przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, a potem znów się rozpromienił.

–Mógłbym wziąć ze sobą TB. Dużo waży, ale odległość jest niewielka. Dym uniósłby i jego.

–Towarzyszyłbym ci z przyjemnością – rzekł TB. – To prawda, jak zapewne sam wiesz, sir Jamesie, że mogę chodzić, gdzie chcę, niewidoczny w mroku. Proszę cię,

pozwól Hobowi, aby to zrobił i zabrał mnie ze sobą. Sądziłem, że nic nie mogę zrobić w obronie Liones, lecz teraz mam szansę i bardzo chciałbym ją wykorzystać.

–Nie zaszkodzi, jeśli pozwolisz im na to, Jamesie, a wiele możemy zyskać. Radzę ci skorzystać z ich propozycji – rzekł Brian.

–Wiele bym dał – powiedział król David – aby dowiedzieć się, kiedy ci z pogranicza zamierzają ruszyć i w którym kierunku uderzą. Jeśli na zatopioną krainę, będziemy musieli błagać rycerzy Liones o pomoc. Albo udzielić im jej, jeżeli atak nastąpi tutaj.

Dafydd nic nie powiedział, ale Jim zauważył, że bacznie mu się przygląda.

–Dobrze, Hobie – rzekł Jim, z rozmysłem przemawiając tylko do skrzata i do nikogo innego. – Jednak zastrzegam sobie prawo sprzeciwu do ostatniej chwili przed twoim odlotem. A teraz... TB i pozostali – czy król Pellinor powiedział, kiedy porozmawiamy z rycerzami? Im szybciej, tym lepiej.

–Mówił – odparł TB – że jeszcze nie wszyscy się zebrali. Istotnie, niektórzy mogą przybyć dopiero wtedy, kiedy stanie się znany cel ataku wroga, tuż przed bitwą. Na razie nie pokazał się żaden z jego synów, ani sir Parsifal, ani sir Lamorak z Walii, a wiem, jak bardzo pragnie ich zobaczyć. Wobec tego pragnienia ta bitwa jest dla niego niczym.

–A więc nie powiedział – rzekł Jim – kiedy odbędzie się narada?

–Postara się ją zwołać – odparł TB – lecz większość rycerzy przybędzie tutaj niebawem, a wtedy i tak nie będzie na co czekać. Mrok zapada szybko.

–Znowu? – Jim spojrzał w niebo i zdziwił się, widząc biały krąg nad wierzchołkami drzew.

–Nasze słońce jest darem Starej Magii dla Liones – powiedział TB. – Samo wybiera sobie drogę oraz czas wschodu i zachodu. Sądzę, że ostatnio zachodzi tak często w związku z obecnym zagrożeniem. Tak jak teraz.

Istotnie. Jim zobaczył, że dolnym skrajem dotknęło już czubków czarnych drzew.

Rozdział 33

Za kilka minut miało być zbyt ciemno, aby cokolwiek zobaczyć.

–Lepiej powiedzmy o tym królowi Pellinorowi. TB, może ty... – zaczął pospiesznie Jim i nie skończył.

–O czym chcecie mi powiedzieć? – usłyszał głęboki głos i odwróciwszy się, zobaczył, że Pellinor powrócił do nich, wyjechawszy spomiędzy drzew.

–Lord TB, ja, sir Brian i Hob znikniemy stąd na chwilę – oznajmił Jim, a gdy niebo nad ich głowami ciemniało, pospiesznie przekazał Pellinorowi wieści.

–Bardzo dobrze – rzekł król. – Będę wyczekiwał waszego powrotu. Kiedy znów będziemy razem i wstanie świt, udamy się na miejsce obrad rycerzy. Tymczasem chcę ugościć tych z was, którzy tu zostają. Dla chętnych zostaną zapalone świece i podane jadło oraz napitek. Natomiast tym, którzy są zmęczeni, mogę zaoferować wygodne sypialnie.

–Istotnie – rzekł Dafydd. – Jestem zmęczony i mój król zapewne też.

Usłyszawszy te słowa, Jim nagle poczuł, że pada z nóg. Kiedy ostatnio spał? Nie mógł sobie przypomnieć. Emocje wywołane tymi wszystkimi wydarzeniami nie pozwalały mu myśleć o zmęczeniu. Teraz jednak nie miał czasu na sen.

Czuł jednak, iż jest u kresu sił. A powinien mieć trzeźwy umysł, by móc rozwiązywać wszystkie pojawiające się problemy.

Niechętnie odszedł na bok i wygrzebał z sakwy jedno winogrono.

–Daj mi ekwiwalent sześciu godzin snu w ciągu sześciu sekund – mruknął pod nosem i zjadł je.

Zamrugnął – wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Jednak nie odczuwał już tak nieodpartej senności.

–Chodźmy więc – mówił Pellinor. – TB, wiem, że ty nie sypiasz, a i ja odpoczywałem tylko trochę przez ostatnie sto lat. Miałem nadzieję, że porozmawiamy. Minęło sporo czasu, od kiedy mogliśmy pogawędzić. Może później będziemy mieli okazję.

Światło gasło coraz szybciej, gdy wypowiadał te słowa i otwierał drzwi, po czym usunął się na bok, przepuszczając młodego króla i Dafydda. Śączący się ze środka blask świec niczym smuga reflektora rozjaśnił ciemność, a kiedy drzwi zamknęły się za plecami wchodzących, zgasły ostatnie promienie słońca i stojących na zewnątrz spowił gęsty mrok.

–Hobie – rzekł Jim – nadal jesteś na moim ramieniu.

–Tak, milordzie – pisnął skrzat do jego prawego ucha. – Podeszedłbym do lorda TB, ale nie widzę go w ciemnościach.

–Niech nikt się nie rusza. Przeniosę nas tam, gdzie chcemy się znaleźć – powiedział głos TB, zbliżający się do Jima. – Hobie.

Niewielki ciężar znikł z ramienia Jima.

–Mam cię. Sir Jamesie, sir Brianie, zostańcie na miejscach. Przez kilka sekund Jim czuł na twarzy znajomy lekki podmuch, a potem w gęstym mroku rozeszły się zapachy obozowiska. W następnej chwili ujrzeli długi rząd namiotów – oświetlonych od wewnątrz blaskiem świec lub innych źródeł światła, prześwietlającym przez

płócienne ściany. Ponieważ ziemia pod nimi, niebo w górze i całe otoczenie były niewidoczne, namioty wyglądały niczym obiekty mieszkalne unoszące się w przestrzeni.

Trudno było myśleć o nich jako namiotach groźnych nieprzyjaciół. Zapalone wewnątrz świece wydawały się wypełniać je ciepłą i przyjazną poświatą, Jim wiedział, że ta kontrastująca z mrokiem jasność skrywała brud i łaty, które bezlitośnie odsłaniał słoneczny blask.

Znowu znaleźli się w obozie – to nie ulegało wątpliwości.

–Sir Jamesie, sir Brianie – usłyszeli głos TB – nie obawiajcie się mówić. Oni nie mogą nas usłyszeć ani zobaczyć. Co chcecie zrobić? Zostać tu i poczekać na Hoba i na mnie, czy też udać się gdzieś, nie zwlekając?

–Nie możemy działać, dopóki znów nie będzie jasno – rzekł Jim. – Spróbujemy z Brianem dowiedzieć się, skąd przybywają harpie. To musi być gdzieś w Liones. Carolinus powiedział mi kiedyś, że aby wyczarować takie stwory, Ciemne Moce potrzebują miejsca, które ma lub miało cechy magiczne. Może to być kryjówka jakiegoś naturalnego, który instynktownie posługiwał się Sztuką. Jednak musi tam być trochę magii – dobrej czy złej, czarnej czy białej. W miejscu całkowicie jej pozbawionym Ciemne Moce nic nie mogłyby działać.

–Daj Boże, aby nadszedł dzień, kiedy cały świat będzie taki! – powiedział stojący obok niego Brian.

–Może tak się stanie – odparł Jim – kiedyś. Zobaczymy. TB, czy to nic z najbliższego namiotu, tego dużego, wyszedł earl z Agathą i Modredem?

–Tak sądzę – rzekł TB.

–Chciałbym zajrzeć do środka, jeśli to możliwe.

–Zabiorę was tam, sir Jamesie. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli Hob włoży głowę do środka i powie nam, co widzi.

–Nie mam dymu! – powiedział Hob.

–W takim obozie muszą palić się jakieś ogniska – powiedział TB. – Nie możesz ich wywęszyć?

–Och tak – powiedział Hob. – Jednak one są na zewnątrz i wokół śpią ludzie – nie ci, którzy są w namiotach. Mógłbym podejść do każdego, które trochę dymi, ale w ciemnościach mógłbym nadepnąć na jednego ze śpiących. Ty nie czujesz dymu?

–Czuję. Zaniosę cię do ogniska. Może do tego znajdującego się najbliżej nas?

–Tak – rzekł Hob. – Mogę tam pojechać na twoim grzbiecie?

–Oczywiście – odparł grzecznie TB. – Jako lord Liones, choć rzadko o tym mówię, zazwyczaj nikogo nie noszę na grzbiecie. Jeśli jednak taki mag i rycerz jak sir James nie wzdraga się nosić cię na plecach, ja także nie.

Zapadła cisza. Trwała dłuższą chwilę.

–Powiedz mi, TB – zaczął Brian, a potem zawahał się i daremnie czekał na odpowiedź. – No tak. Już poszli. Jamesie, co miałeś na myśli...

–Sir Jamesie, sir Brianie – odezwał się tuż obok TB. – Wszystko załatwione. Hob właśnie sprawdza ten duży namiot, który nie jest pusty. Przyszedłem zabrać was tam.

–Dobrze – mruknął Brian. – Czas, żebyśmy wreszcie coś zrobili.

Nic nie poczuli, ale nagle ujrzeli przed sobą opuszczoną klapę namiotu, w którym już kiedyś byli. Przez materiał prześwitywało światło, pozwalając dostrzec jego kształt i wielkość.

–Milordzie! Sir Brianie! – szepnął do nich Hob. – Jest ich troje. Zajrzyjcie do środka.

–Nie możemy – odpowiedział mu szeptem Brian. – Jeśli tam wejdziemy, natychmiast odkryją naszą obecność. Kim oni są?

–To lady Agatha i Krzykliwy Lord.

–Cumberland? – spytał Jim, również szeptem. Był trochę zły na siebie, że musi o to pytać, ale chciał się upewnić. Hob nazywał Roberta, earla Cumberland i w górnym świecie przyrodniego brata Edwarda, króla Anglii, „Krzykliwym Lordem” od czasu wizyty Cumberlanda w zamku Malcncontri. – Wymieniłeś tylko dwoje. Kim jest trzecia osoba?

–To jakaś dama.

–Nie ma tam mężczyzny z krzaczastym wąsem i kozią bródką? – zapytał Jim.

–Nie, milordzie. Tylko tych troje.

–I ta trzecia też jest damą? Nie jakąś dziewczką służebną? – spytał Brian.

–Nie, sir Brianie. Siedziała z nimi przy stole.

To przesądzało sprawę. Szlachetnie urodzony mógłby zasiąść przy stole z dziewczką służebną, ale tylko wtedy, gdyby nikt postronny nie mógł ich zobaczyć. Z pewnością nie zrobiłby tego, gdyby przy tym samym stole siedziała prawdziwa dama. W czternastym wieku ściśle przestrzegano tych reguł i konwenansów.

–I nie rozpoznałeś jej? – dociekał Jim.

–Nie, milordzie.

–O czym rozmawiają?

–Naprawdę nie wiem, milordzie. Zdaje się, że niezbyt się lubią. Typowa sytuacja w otoczeniu Krzykliwego Lorda, pomyślał Jim. Z niechęcią spojrzął na namiot. Z miejsca, w którym stali, słyszeli pomruk głosów, lecz nie byli w stanie rozróżnić słów.

–Zaczekaj chwilę, Hobie, Słyszałeś, co mówili?

–Och tak, milordzie. Byłem tuż nad stołem.

–I nie zauważyli cię?

–Unosiłem się tuż przy drągu biegnącym pośrodku namiotu. Tam było mnóstwo dymu ze świec. Poza tym żadne z nich nie spojrzęło w górę.

–No tak, ale...

–Jeśli wybaczysz, sir Jamesie – rozległ się tuż obok nich głos TB. – Właśnie obszedłem namiot, sprawdzając, co zdołam wywęszyć lub usłyszeć. Nic nie usłyszałem, ale moje podejrzenia potwierdziły się. Jedną z tych trzech osób jest królowa Morgan le Fay.

–Morgan... – Jim urwał, gorączkowo rozważając tę wiadomość. W pierwszej chwili pomyślał, że jeśli Morgan znalazła się tu, na pograniczu będącym częścią zatopionej krainy, a więc poza Liones, nie dysponowała większą magiczną energią niż on. A może? Przecież właśnie tutaj, w zatopionej krainie, przygotował swoje magiczne

owoce. Zaraz jednak przypomniał sobie, że zrobił to pod osłoną ochronnego zaklęcia. Może Morgan potrafiła osłonić swoją moc równie dobrze, jak KinetetE osłoniła jego.

W każdym razie, chroniona czy nie, Morgan nie mogła w tym momencie swobodnie korzystać z magii, a to oznaczało, że mógłby podejść do niej naprawdę blisko, jeśli tylko nie zobaczy go i nie usłyszy. Musiał sam wysłuchać tego, o czym rozmawiała z Agathą i Cumberlandem.

–Hobie – rzekł.

–Tak, milordzie?

–Zbliź się do mnie.

–Jestem tuż przed tobą, milordzie.

–Dobrze. Teraz rzucę czar na ciebie i na siebie. To nie będzie bolało i nie masz się czego bać.

–Ja niczego się nie boję, milordzie – odparł lekko drżącym głosem skrzat.

–Wierz mi – ciągnął Jim – to będzie interesujące. Zabawne. Wrócisz do tego namiotu, a ja z tobą. Tylko tym razem będę w tobie. Nie poczujesz tego, ale będziesz wiedział, a ja skieruję twoje ciało tam, gdzie będę chciał. Przez cały czas będę w tobie. Potem wrócimy i opuszczę twoje ciało. Zrozumiałeś? Nie chcę, żebyś się przestraszył i zaczął walczyć, kiedy poczujesz moją obecność. Dobrze?

–Milordzie – odparł z godnością Hob – jestem twoim skrzatem.

–Wiem. Jednak w takich wypadkach mag musi wyjaśnić, co zamierza zrobić.

Takie są reguły.

–Rozumiem, milordzie! To będzie świetna zabawa. Wcale się nie boję. Tak tylko pytałem.

–Cóż, zobaczymy, czy ci się to spodoba. Brianie? TB? Hob wróci do namiotu i... Hobie jak zamierzasz się tam dostać? Nie możesz uchylić kłapy tak, żeby nie zauważyli tego ludzie w środku.

–Zapomniałeś, milordzie, że dopiero co stamtąd wróciłem – odparł z urazą Hob. – Kiedyś zaniósłem cię na dwór króla Edwarda. Mogę przedostać się przez każdy otwór, którym przeleci dym.

–Racja. Pamiętam. Pokazywałeś mi to. Uważaj, wchodzę. Jim sięgnął do sakwy po owoc i tym razem wyjął gruszkę.

Ugryzł ją i wyobraził sobie siebie jako bezcielesną istotę w mózgu skrzata – i w mgnieniu oka znalazł się w nim, spoglądając na świat jego oczami. Hob wślizgiwał się już pod zamkniętą klapę namiotu, która nawet się przy tym nie poruszyła.

„Milordzie, jesteś tu?” – myśli skrzata dziwnym echem odbiły się w umyśle Jima. „Pomyślałem, że ja nas poprowadzę, ponieważ ty jeszcze nigdy tego nie robiłeś”.

„Świetnie, Hobie” – odpowiedział w myślach. „Bardzo rozsądnie. Tak, jestem tu i czuję się dobrze. A ty?”

„Tak jak zawsze, milordzie”.

Znaleźli się w środku, tuż przy wejściu. Jim rozejrzał się wokół i stwierdził, że skrzat miał rację: cuchnące opary dymu ze świec i nie tylko zebrały się w najwyższym punkcie namiotu, wokół środkowego kija podtrzymującego skośne

boczne ściany. Ta mgła była najgęściejsza nad stołem, przy którym siedział mężczyzna i dwie kobiety. Ciało Hoba miało kolor dymu, co czyniło go prawie niewidocznym, tak że gdyby nawet ktoś spojrział w górę, musiałyby bardzo dokładnie się przypatrzeć, żeby go dostrzec.

–Teraz ja poprowadzę – rzekł Jim i skierował Hoba wzdłuż drąga i tuż pod nim, aż zawiśli zaledwie dwa metry nad stołem, spoglądając przez zawiesinę mgły na siedzących tam ludzi.

Mężczyzną rzeczywiście był Cumberland, a tuż obok jego kanciastego oblicza majaczyło wąskie, należące do Agathy Falon, niedoszłej morderczynie podopiecznego Jima. Siedziała po lewej ręce earla, jak zwykle z nieprzeniknioną miną. Jednak jej twarz była równie wyrazista jak twarz Cumberlanda

Jim zauważył, że wyglądała mizerniej, niż kiedy widział ją ostatnio, i chociaż namiot rozgrzały płomienie świec, na chude ramiona narzuciła gruby szal.

Po drugiej stronie Cumberlanda, usadowionego tak, jakby chciał rozdzielić te dwie kobiety, na samym końcu stołu, siedziała Morgan le Fay. Na stole między nią a earlem stały dwie karafki z winem i wodą oraz metalowe kubki. Między Cumberlandem i Agathą nie było żadnych naczyń.

Earl zdominował towarzystwo. To leżało w jego charakterze. Nie dominowałby tylko wtedy, gdyby nie żył.

–...i nie mogę co noc przybywać tu na spotkanie! – mówiła kwaśno Morgan. – Jeśli myślisz, że jestem na każde twoje zawołanie, to się mylisz.

–Czyżby? – rzucił niedbale Cumberland. – Potrzebujemy się wzajemnie, a ja decyduję, kiedy kto ma przyjść i odejść, moja pani.

–Jestem królową i tak masz się do mnie zwracać!

–A ja jestem królem, tylko bez tytułu. Powinniśmy nazywać się „kuzynami”, jak w królewskiej rodzinie.

–Prędzej świat się spali, niż nazwę cię „kuzynem”, Cumberlandzie!

–Mogę poczekać.

Earl najwidoczniej dobrze się bawił. Poza tym, zdaniem Jima, nic się nie zmienił. Zachowywał się równie swobodnie tutaj, gdzie powinien czuć się nieswojo, jak w Windsorze. Ten sam głos, te same maniery, to samo wysokie i krępe ciało czterdziestolatka, ta sama skłonność do wybuchów gniewu, czająca się pod pozorami uprzejmości. Ta sama grubokoścista, kwadratowa twarz Plantageneta, ten sam długi nos.

–Nauczysz się żyć w moim świecie, pani...

–Wasza wysokość, niech cię czart, Cumberlandzie! – wybuchła Morgan. – Jestem królową, powiadam, a ty jesteś tu nikim!

Earl zaśmiał się nieprzyjemnie. Wyraźnie tracił cierpliwość.

–Oszczędź sobie gadania, le Fay! – powiedział. – Jest wprost przeciwnie. Możesz sobie być królową w Liones, lecz tu, w zatopionej krainie jesteś nikim i nie masz żadnej władzy, podczas gdy ja przybyłem z armią, która może podbić oba te królestwa! Co więcej, możemy w każdej chwili wrócić przez Bramę Czarownic do świata na górze, do którego ty nie możesz wejść. Kupiłaś kota w worku. Teraz

musisz się do niego przyzwyczaić.

–Jesteś głupcem i śnisz na jawie, lecz ja nie zamierzam cię budzić, dopóki nie oddasz mi przysługi. Strzeż się! Jeśli nadal będziesz mnie tak irytował, pozbędę się ciebie i sama sobie poradzę.

–Jak? – ponownie zaśmiał się earl. – Czy poprowadzisz tych ludzi, których dla ciebie zebrałem? Ostrzegam cię, to najgorszy margines naszego świata, krwawe łotry i łobuzy, których nie okiełzna kobieta. Szczególnie taka, która nie posiada magicznej mocy!

–Mam Modreda, który ich poprowadzi!

–Modred! – Earl znowu roześmiał się, napełniając sobie kubek. Jim zaczął podejrzewać, że z tej trójki tylko Cumberland pił wino. Najwidoczniej earl uważał ten słowny pojedynek z Morgan le Fay za zabawny. Jednak ona – z czego Agatha na pewno zdawała sobie sprawę – mówiła śmiertelnie poważnie.

–Tak. Modred! – prychnęła. – Niegdyś rycerz Artura – jakże mogłoby być, skoro był jednym z jego synów? Teraz jednak wszyscy, którzy zasiadali przy Okrągłym Stole, wstają z mogił i wracają do Liones. Nie mam pojęcia, jak to jest możliwe, wiem tylko, iż dzieje się tak za sprawą Starej Magii, której działania nikt w pełni nie rozumie. Ci, którzy sprzeciwiają mi się tu i w Liones, będą wiedzieli, że większość z nich walczyła już pod rozkazami Modreda, w ostatniej bitwie między nim a Arturem. I znów pójdą za Modredem!

–Pójdą? Och, tak – a może nie. To bez różnicy. Wskreszeni rycerze z dawnych opowieści nigdy nie podbiją dla ciebie zatopionej krainy. Potrzeba do tego takich, jak ci na zewnątrz. Owszem, w tej ziemi są dobrzy łucznicy, ale sami strzelcy nigdy nie wygrywają bitew. Tylko piechota i jazda, pełne zbroje, dobry oręż i doświadczenie zapewniają zwycięstwo! A tacy ludzie, jakich zebrałem, potrzebują wodza, jakim Modred nigdy nie będzie!

Zaśmiał się i upił łyk wina.

–Ty wieśniaku! – powiedziała Morgan z lodowatym jadem, – Wieśniaku w książęcym odzieniu!

Z twarzy Cumberianda nagle znikł uśmiech. Spojrzał na Morgan i chlusnął jej w twarz resztą wina. Przeszyła go spojrzeniem, nic ruszając się, z winem ściekającym po policzkach. Nic nie powiedziała. Tylko jej twarz pobraźla jak oblicze harpii.

Agatha zerwała się na równe nogi i zrywając z ramion szal, podbiegła do Morgan.

–Wasza wysokość! – powiedziała. – Wybacz mu, błagam. Zbyt dużo wypił, Nie powinniśmy się kłócić, skoro jesteśmy sobie tak potrzebni, szczególnie, jeśli istnieje nadzieja, że współpraca przy niesie korzyść każdemu z nas. Na pewno nie zechcesz zrezygnować z szansy na własne królestwo z powodu tego nieprzemyślanego zachowania ze strony milorda. A nawet gdybyś zechciała, to co z Ciemnymi Mocami, jeśli nie dochowamy umowy, jaką z nimi zawarłaś?

Morgan wyrwała jej szal i sama wytarła sobie twarz.

–Nikt nie może mi tego zrobić! – powiedziała głosem zduszonym z wściekłości, ledwie głośniejszym od szeptu. – Dotrzymam umowy, co do słowa. Jednak zapłaci mi za to!

–Robercie... milordzie! – powiedziała Agatha, zwracając się do Cumberlanda. – Posunąłeś się za daleko. Przyznaj!

Wielkie, oparte o blat stołu dłonie Cumberlandu zacisnęły się w pięści. Jego twarz była bez wyrazu, nieruchoma jak u osaczonego zwierza, który przystaje w puszczy, zbierając siły do walki o życie.

–W moich żyłach płynie krew królów – rzekł powoli i głucho. – Ta krew burzy się, kiedy obrzucają mnie takimi wyzwiskami, jakie tu usłyszałem. Ja również dotrzymuję umów i odbieram zapłatę, może jednak na chwilę zapomniałem, że tych słów nie powiedział mężczyzna!

On i Morgan siedzieli nieruchomo, spoglądając sobie w oczy. Zapadła cisza.

–Myślę, że dość już zostało powiedziane – rzekła Agatha. – Wyjaśniłam waszej wysokości, że jestem tylko częściowo czarownicą, lecz ta część wyczuwa teraz rychły koniec nocy. Moja królowo, twoi ludzie i konie czekają na końcu tunelu, którym przybyłaś do tego namiotu. Będzie lepiej, jeśli na dziś zakończymy naradę.

„Hobie” – powiedział w myślach Jim – „jeśli noc prawie się kończy, my też musimy wracać. Myślę, że niczego więcej już się tu nie dowiem”.

„Tak, milordzie”.

Opuścili namiot.

–Wróciliście! To dobrze – powiedział TB, gdy pojawili się w swoich własnych ciałach przed namiotem, który spowijała teraz szara mgła. Niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć. – Mogę przenieść nas szybko, dopóki jest ciemno. Ruszajmy, sir Brianie.

Rozdział 34

Resztki ciemności przepływały wokół nich jak strzępy nieprzezroczystej mgły przez tych kilka chwil, które zabrało TB przeniesienie ich z powrotem do króla Pellinora. Kiedy zatrzymali się, mrok znikł. Był jasny dzień, chociaż pobliskie drzewa skrywały jeszcze tarczę białego słońca Liones.

Jim poczuł dziwny ciężar na ramieniu, jakby ktoś się o nie opierał. Obrócił głowę. Istotnie, ktoś się na nim opierał. Był to Brian, zupełnie nieprzytomny, lecz trzymający się na nogach dzięki niemu. Kiedy Jim nadstawił ucha, usłyszał miarowy oddech przyjaciela, który zasnął i zaczął chrapać.

W Jimie obudziło się poczucie winy. Dotychczas, ilekroć podróżowali przez różne obce krainy, obywając się bez snu i jedzenia, Brian okazywał się człowiekiem z żelaza. Nigdy nie myślał o posiłkach i wydawało się, że wcale nie musi spać.

Teraz dziwne było tylko to, że jeszcze trzymał się na nogach. Jim spróbował się odsunąć, ale natychmiast zrezygnował, gdy Brian niebezpiecznie pochylił się do przodu. Bliski upadku na nos, dalej spał.

Jim z trudem uwierzyłby własnym oczom i uszom, gdyby nie dwa fakty. Po pierwsze, czytał kiedyś o pewnej francuskiej wiosce, zajętej podczas pierwszej wojny światowej przez kompanię angielskiej piechoty, której wszyscy żołnierze byli pogrążeni we śnie. Wtedy pogardliwie parsknął nad lekturą, absolutnie nie wierząc w tę historię. Teraz, po latach, znalazł się w takiej samej sytuacji, chociaż z całkiem innych powodów. Musieli trzymać się na nogach i iść dalej. Było już po północy, a on – oraz jego towarzysze – maszerowali od rana. Nie pamiętał, że tak długo już jest na nogach – był tylko bardzo strudzony – ale zaczął potykać się na wąskiej dróżce, którą podążali, i zbaczać na nierówne, porośnięte chwastami pobocze. Przydarzyło mu się to kilkakrotnie i zdziwiło go, zanim ocknął się i zrozumiał, że zasypia w marszu i we śnie schodzi z dróżki.

Teraz w magiczny sposób zapewnił swojemu organizmowi trochę snu, ale nie mógł pomóc w ten sposób Brianowi. W rezultacie tym razem okazał się odporniejszy od przyjaciela. Kiedy to zrozumiał, poczuł wyrzuty sumienia. Chwycił Briana za ramię i lekko nim potrząsnął. Ten otworzył oczy.

–Briane – zapytał Jim – chciałbyś być smokiem?

–Smokiem? To pewnie świetna zabawa... – mruknął Brian i znów zapadł w sen.

–Czy on jest chory? – zaniepokoił się David i Jim na chwilę oderwał wzrok od Briana, żeby spojrzeć na stojącego z zatroskaną miną króla.

–Nie. Tylko potrzebuje snu – odparł Jim. Objął ramieniem przyjaciela, żeby nie pozwolić mu upaść.

–Mogę jakoś pomóc? – zapytał zaniepokojony Hob zza pleców Jima.

–Nie – odrzekł Jim. – Nic mu nie będzie. TB? Rozejrzał się wokół i znalazł go równie blisko, ale po drugiej stronie Briana. Na wężowym obliczu TB również malował się niepokój.

–Tak, sir Jamesie?

–Mieliśmy pójść z królem Pellinorem, aby spotkać się z innymi naturalnymi i przemówić do nich. Czy taki był plan? Kiedy musimy ruszyć?

–Och, dopiero za kilka godzin. Król chce poczekać do popołudnia, kiedy zbierze się już większość rycerzy.

–A zatem Brian ma czas, żeby się przespać. Czy w chacie jest łóżko?

–Oczywiście – odparł TB. – Chodźcie ze mną.

Kierując przyjacielem jak lunatykiem – którym, jak nagle zrozumiał, Brian w tej chwili był – Jim wszedł za TB do drewnianej chaty. Wewnątrz przypominała raczej domek myśliwski, tyle że bez futer i trofeów na ścianach. Przeszli wąskim korytarzem, wiodącym z głównego pokoju do drzwi małego pomieszczenia, niemal całkiem zajętego przez niewielkie łóżko oraz wiszące na ścianie części dziecięcej zbroi i broni.

Jim zaprowadził Briana do łóżka, obrócił go i położył na nim, po czym zdjął mu buty oraz obwieszony bronią pas. Brian zaczął chrapać na całego.

–Cóż – powiedział Jim, kiedy wraz z TB wrócili na zewnątrz, do Dafyddda i Davida. – Załatwione. Jak znam Briana, pięć godzin snu powinno postawić go na nogi. Czy wy też jesteście głodni i niewyspani?

–Sir Pellinor nakarmił nas i pozwolił nam wypocząć, kiedy was nie było – odrzekł David. – Ja nie jestem teraz senny. Może Dafydd...

Z zatroskaną miną spojrzał na łucznika.

–Wyspałem się, miłościwy panie – rzeki tamten. – Dostatecznie, aby mieć bystre oko i pewną rękę.

–A ty, sir Jamesie? – spytał TB. – Skoro sir Brian tak bardzo potrzebuje snu, ty zapewne także? Kiedy ostatnio jadłeś?

–Och, Brian zawsze dłużej ode mnie trzyma się na nogach. Natomiast jadłem... Urwał. Kiedy ostatnio się posilał? Gdy wpadł w odwiedziny do Angie, wracając tutaj? Nie. Angie proponowała mu śniadanie, ale nic miał czasu.

–Zjadłbym konia z kopytami! – wypalił.

–Konia, sir Jamesie?

–Wybacz, TB. Źle się wyraziłem – wyjaśnił Jim. – To tylko takie powiedzenie. Tam, skąd pochodzę, kiedy ktoś jest bardzo głodny, mówi, że zjadłby konia.

–A więc to nie musi być koń?

–Nie, nie. Raczej nie koń. Wszystko inne byłoby mile widziane.

–A zatem musimy cię natychmiast nakarmić – oświadczył poważnie TB.

–Och, nie ma pośpiechu – odparł mężnie Jim, któremu ślina napłynęła do ust.

–Zaraz się tym zajmę!

TB wszedł do środka. Nie wrócił od razu, ale po chwili z chaty wyłoniły się dwa spore niedźwiadki, krocząc na tylnych łapach i niosąc kozły, blat stołu i stółek. Zaledwie minutę później kolejne zwierzę pchnięciem otworzyło drzwi, wyrzało, a potem wyszło na zewnątrz. Była to sarna, płowa i zgrabna, niosąca na grzbiecie dwie wydry, trzymające zwinięty obrus i dużą, złożoną serwetkę.

W typowy dla siebie, zwinny sposób wydry zeskoczyły na blat stołu, położony już na kozłach. Rozłożyły obrus, a na nim serwetkę, wydymając ukrytą w niej łyżkę i grubą pajdę razowego chleba. Potem ponownie wskoczyły na grzbiet sarenki, która odeszła kilka kroków i odwróciła się, by wraz z niedźwiadkami obserwować stół. Utworzyły

coś na kształt widowni: wydry przycupnęły, jedna za drugą, na grzbiecie sarny i spoglądały na Jima zza jej szyi.

Zaraz potem pojawili się czterej zupełnie zwyczajni choć starszawi lokaje, niosąc karafkę z winem i puchar oraz dużą zapiekankę promieniującą ciepłem, jakby dopiero wyjęto ją z piekarnika. Położyli spory jej kawałek na grubej kromce chleba, napełnili kubek winem, a potem jeden z nich przysunął stół, żeby Jim mógł usiąść. Później i oni stanęli rzędem, w pewnej odległości od zwierząt, uprzejmie czekając, najwidoczniej gotowi usłużyć gościowi.

Z chaty wyszedł TB, a za nim król Pellinor.

–Wybacz mi, sir Jamesie... – zaczął TB, ale Pellinor mu przerwał.

–To ja powinienem przeprosić, TB – rzekł. – Sir Jamesie, przykro mi, że muszę korzystać z pomocy zwierząt, ale w tych lasach, z dala od ludzi, trudno o służbę, Ponadto te młode zwierzęta z przyjemnością popisują się swoimi umiejętnościami.

–Nie, nie – powiedział Jim. – Chciałem rzec, że wszystko w porządku. Lubię zwierzęta – wszystkie bez wyjątku.

–Ja i TB także – rzekł Pellinor. – Jednak dość uprzejmości. Posil się, proszę.

Jim zerknął na krąg stojących i obserwujących go widzów. Dafydd i David, Pellinor i TB. Czterech lokajów. Sarna, wydry i niedźwiadki. Czuł się jak świadek koronny na sali sądowej.

Wszyscy czekali, aż zacznie posiłek. Czternastowieczne zwyczaje – jakie zapewne obowiązywały i w Liones – nakazywały jeść palcami wszystko, co można podnieść, a resztę spożywać łyżką. Ostrożnie, starając się nie wycisnąć nadzienia pomiędzy dwóch warstw ciasta, odłamał kawałek zapiekanki i włożył do ust.

Stwierdził, że była z rybą. Jeszcze nigdy tutaj nie jadł, ale nie widział żadnego powodu, aby nie spróbować. Okazała się wspaniała. A on nie był tylko głodny, lecz wprost wygłodniały. Zapomniawszy o widzach, zaczął pochłaniać zapiekankę, popijając ją łykami czystego wina – gdyż nie podano wody, którą mógłby je rozcieńczyć.

Dokładka zapiekanki, więcej wina – zręcznie podane w chwili, gdy kolejny kawałek zniknął z chleba, a kubek był pusty.

W końcu Jim poczuł, że nie zje ani kęsa więcej. Już chciał wstać z westchnieniem satysfakcji, kiedy przypomniał sobie, że jeszcze nie tknął chleba, nasiąkniętego sosem z zapiekanki. Dobre czternastowieczne maniery wymagały, by gość zjadł go również, jako wyraz uznania dla posiłku. Czy w arturiańskich czasach, czyli tysiąc lat wcześniej, też tak było? Jim miał wrażenie, że nie jest już w stanie nic zjeść, ale musiał przynajmniej spróbować.

Podniósł ociekającą sosem kromkę i ugryzł spory kawałek. Jakoś przeżuł go i połknął. Chleb miał wspaniały smak, ale jedzenie przychodziło Jimowi z trudem.

Mężnie uśmiechnął się do widzów. Wydawali się aprobować jego postępowanie – przynajmniej ci, którzy zostali. Wszyscy ludzie, oprócz czterech lokai, odeszli. Dafydd był zajęty cichą rozmową z Davidem. Upewniwszy się, że gość jest zadowolony, Pellinor gdzieś zniknął – zapewne we wnętrzu chaty. Pozostał tylko TB, zwierzęta i podstarzali służący.

TB znajdował się tam, gdzie poprzednio, ale starał się nie patrzeć na Jima. Lokaje stali nieruchomo, spoglądając gdzieś w dal, lecz zarazem czujnie wypatrując, czy czegoś nie potrzebuje.

Tylko zwierzęta nadal otwarcie wpatrywały się w niego, jakby zafascynowane każdym jego ruchem i zupełnie obojętne na to, czy lubi być obserwowany, czy nie. Jim zerknął na TB.

–Hm... TB! – Odezwał się. TB podszedł do niego.

–Tak, sir Jamesie?

–Wspaniały posiłek – pochwalił Jim. – Mam nadzieję, iż będę miał okazję podziękować sir Pellinorowi.

–Z pewnością nadarzy się jakaś później, sir Jamesie.

Jim uśmiechnął się do wciąż przyglądających się mu zwierząt.

–Nie wiem, jak podziękować innym... – Był lekko odurzony winem. – Są takie ładne, wszystkie. Czy wspomniałem, że lubię zwierzęta?

–Tak, sir Jamesie.

Jim prawie go nie słyszał.

–Czy znasz starą balladę o trzech krukach? Ma też nowoangielską wersję, pod tym samym tytułem.

–Nie znam – odparł TB.

–To niedobrze – stwierdził Jim. Spojrzał na zwierzęta. – Chciałem im to zaśpiewać. No wiesz, w podzięce za ich sprawne usługi... – „Oo”, powiedział sobie, „jesteś pijany”.

Mimo to mówił dalej.

–Pomyślałem, że gdybyś ją znał, moglibyśmy zaśpiewać ją razem. Mówi o zabitym rycerzu i trzech krukach rozmawiających nad jego ciałem. Chcą się nim posilić, lecz jeden wskazuje na leżące u jego nóg ogary, które strzegą pana, i na sokoły krążące nad nim tak czujnie, że żaden ptak nie ośmieli się... Na pewno nie słyszałeś?

–Z ubolewaniem stwierdzam, sir Jamesie, że nie.

–Niedobrze! Ma świetne zakończenie. Ostatnia część brzmi tak.

I Jim ze zgrozą usłyszał, że zaczyna śpiewać:

... Tamże przybyła łania płowa,

Chyża i zwinna, hejże hej,

Pochówek sprawić mu gotowa.

Na grzbiet swój wzięła zabitego

do jeziora zaniósła pięknego.

Tam pochowała, oddawszy mu cześć,

I też umarła, tak się kończy ta pieśń.

Daj Boże każdemu pełne szklanki,

Wierne sokoły, psy i kochanki.

–...zdaje się, że opuściłem linijkę czy dwie i trochę poplątałem słowa, ale rozumiesz, o co chodzi. Jeśli kiedyś do mnie wpadniesz, pokażę ci... Ona znajduje się w pierwszym tomie – obiecał Jim, zupełnie zapominając o tym, że ten zaczytany egzemplarz taniego wydania zbioru angielskich i szkockich ballad pod redakcją

Francisa Jamesa Childe'a znajduje się w innym wszechświecie. Spojrzał na niedźwiadki, sarnę oraz wydry, które właśnie skończyły składać obrus i serwetkę, pozbierały nakrycia i zanosły wszystko do chaty. – Powiedz mi – dodał – w jaki sposób król Pellinor tak pięknie wytresował? Czy z jakiegoś powodu zostały porzucone po urodzeniu? Czy chował je od małego i nauczył...

–Och nie, sir Jamesie! One wszystkie – no cóż, niedźwiedzie i wydry zawsze chodzą parami – przyszły tu z własnej woli i zaproponowały swe usługi. Mogą w każdej chwili odejść, ale nie robią tego, ponieważ lubią jego i ten dom.

–Zdumiewające! – zawołał Jim. – Niedźwiedzie, wydry, sarna...

–Zarówno król Pellinor, jak i ja – wyjaśnił TB – szanujemy zwierzęta i kochamy je. Interesują nas łowy, nie zabijanie. Czasem tropimy się wzajemnie dla sportu...

Zamilkł. Ku zdziwieniu Jima, zdawał się wahać. Jim jeszcze nigdy nie widział, by TB się wahał.

–Jednakże twoje słowa i ta piosenka, którą mi zaśpiewałeś – dodał TB – zachęcają mnie do poruszenia pewnego tematu. Dotychczas nie wiedziałem, czy powinienem o tym mówić. Jak zapewne wiesz, my, zwierzęta, z zasady nie ufamy ludziom – wszystkim oprócz magów.

Jim skinął głową. Rzeczywiście wiedział. Był to jeden z pierwszych faktów, jakie dotarły do jego świadomości, kiedy zaczął zmieniać się w smoka Gorbasha. Dowiedział się tego od angielskiego wilka Aargha lub Carolinusa, albo od obu. TB ciągnął.

–Wiele zwierząt Lions chciałoby porozmawiać z tobą i spytać o radę. Ja ci ufam, a drzewa dobrze o tobie mówią. Wahałem się jednak, gdyż nie byłem pewny, co czujesz do innych mieszkańców Lions. Teraz już wiem. Twoja pieśń mówiła o jednej z niewielu rzeczy, które zwierzęta i ludzie traktują tak samo – o lojalności względem tego i tych, których kochamy. I śpiewałeś ją z prawdziwym uczuciem. Czy zaszczycisz nas wszystkich, spotykając się z nami?

–Och tak, oczywiście! – odparł Jim, podnosząc się ze stołka, targany uczuciami, które częściowo mogły być wywołane wypitym winem, ale także zmieszaniem i szczerym wzruszeniem słowami rozmówcy. – Tylko kiedy? Mamy spotkać się z rycerzami.,.

–To nie zajmie wiele czasu, a zostało go jeszcze trochę, zanim trzeba będzie zbudzić sir Briana i ruszać w drogę. Zwierzęta zbiorą się, zanim dotrzemy na miejsce.

–Zatem dobrze – rzekł Jim. Szybko trzeźwiał, ale wolałby, by działo się to jeszcze szybciej. Zupełnie zapomniał o dzikich zwierzętach, które z pewnością żyły w lasach Lions, i teraz bardzo chciał z nimi porozmawiać.

–Chodźmy więc – powiedział TB. – Będzie lepiej, jeśli zostawisz tu konia i pójdziesz pieszo. Zamknij oczy, a poprowadzę cię szybciej.

–Czy ja też mogę iść, milordzie?

Bezpiecznie usadowiony na jego ramieniu Hob był tak lekki, że Jim zapomniał o jego obecności.

–Sądzę, że n...

–Istotnie, byłoby dobrze, gdyby Hob wyruszył z nami -orzekł TB. – Jako mały i

nagroźny, a poza tym jako naturalny, będzie dowodem twojego przyjaznego nastawienia.

–No cóż... Tak, Hobie.

–Dziękuję, milordzie.

Jim zamknął oczy. Jak zwykle poczuł lekki podmuch, lecz tym razem zdarzyło się coś dziwnego. Znowu podróżowali w szybkim tempie TB, lecz teraz miał wrażenie, iż czas biegnie szybciej, niż powinien, tak że to, co wydawało się minutą lub dwiema, mogło równie dobrze trwać pół godziny, a nawet dłużej.

–Możesz już otworzyć oczy, sir Jamesie – usłyszał głos TB. Zrobił to i rozejrzał się wokół.

Znajdował się w głębi lasu, na dnie i w środku naturalnego amfiteatru – sporej dolinki porośniętej trawą i otoczonej starymi drzewami o grubych pniach, stojącymi jak strażnicy na skraju kotliny.

Zgromadziły się tu zwierzęta lasów i łąk, od maleńkich polnych myszek przez ryjówki, zające i gronostaje po dorosłe niedźwiedzie, rogacze i potężne odyńce – a wszystkie różnej wielkości, płci i wieku. Na obrzeżu amfiteatru dolne gałęzie starych drzew ugiwały się pod ciężarem ptaków wszelkich rozmiarów i gatunków.

Czekała go też niespodzianka. Ze zdumieniem ujrzał nie jednego, ale całą rodzinę lwów, pod przewodnictwem wielkiego, czarnogrzywego samca: dwie dorosłe samice z kilkoma lwiątkami, dwa samce i jeszcze jedną samicę. Stały wszystkie razem, spoglądając na niego, nieruchome i godne jak rodzina na niedzielnym nabożeństwie.

Nawet w tej magicznej, niesamowitej wersji czternastowiecznego świata wydawało się niewiarygodne, że tyle gatunków zwierząt zebrało się, aby go zobaczyć. Wrażenie było zbyt wiele. Myśli wirowały Jimowi w głowie jak śruba nagle podniesionej z wody motorówki. Zaraz jednak, unosząc się niczym przyjazna fala, ogarniająca to wszystko i sprowadzająca do właściwych wymiarów, przyszło jedyne wyjaśnienie, które miało sens. Jim uchwycił się go.

Znajdował się w Liones. Tu wszystko mogło się zdarzyć. Przypomniał sobie wiewiórkę śmiało skaczącą z gałęzi na łęk jego siodła, kiedy razem z Brianem stawiał pierwsze kroki na jej ziemi.

Powiedział sobie, że nic nigdzie nie dzieje się bez powodu. Znajdź przyczynę wszystkiego, od wiewiórki lądującej na siodle po to niebywałe zgromadzenie wszystkich stworzeń, przeważnie drapieżników, od łasic po lwy...

Mimo to takie pokojowe zebranie różnych gatunków zwierząt było sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem... Czy na pewno?

Przypomniał sobie, że w jego świecie, w pobliżu bieguna południowego, leżą wyspy, na których lwy morskie chodzą wśród pingwinów, nie czyniąc im krzywdy, chociaż napotkawszy je w wodzie, bezlitośnie ścigają, zabijają i pożerają te biedne ptaki. Najwidoczniej różne warunki bytowe powodują odmienne zachowania tych mięsożernych zwierząt. Tylko co wywołało taką reakcję tu i teraz, w Liones?

Z jakiegoś zakurzonego zakamarka pamięci napłynęły słowa pewnego kolegi prowadzącego badania nad wilkami. Polarne wilki z dorzecza Mackenzie, które zwykle nie łączą się w stada, lecz polują samotnie na wielkich terytoriach, robią to

dwa razy do roku, kiedy rzeka migrujących karibu płynie do Wielkich Jezior Niewolniczych, gdzie rodzą młode, po czym z nadejściem zimy wracają na południe. Wtedy prowadzące samotniczy tryb życia wilki zbierają się, machając ogonami i okazując wszelkie inne oznaki przyjaźni. Później, działając grupowo, żerują na wędrujących karibu i to przymierze trwa, dopóki nie przejdą wielkie stada. Łączy je wspólny cel. A jaki wspólny cel połączył zwierzęta Liones?

Kiedy usłyszał opowieści o wilkach z Mackenzie, zadał to samo pytanie, a kolega odrzekł, że nawet zwierzęta różnych gatunków potrafią łączyć siły przeciwko wspólnemu wrogowi lub dla obrony wspólnych zasobów. Tylko że tutaj takich nie było...

Nagle przypomniał sobie słowa Merlina: „Zwierzęta dzielą się równo... One na swój sposób są związane ze Starą Magią, czego nigdy nie potrafiliśmy zrozumieć, ale wiemy, iż Liones należy w tym samym stopniu do nich i do nas”.

Zasoby Starej Magii? To szaleństwo! No, może... tylko może... Stojący obok TB poruszył się i nagle Jim uświadomił sobie, że zarówno on, jak i wszystkie te zwierzęta czekają zapewne, aż zakończy te dociekania i zwróci na nie uwagę. Przedziwna myśl. Niezwykła chwila.

–Spójrz! Lwy! – powiedział ściszym głosem do TB, dając mu znać, że wrócił do rzeczywistości.

–Oczywiście – odparł TB. – Czyż nasza kraina nie nazywa się Liones?

–No tak. Oczywiście.

Było już zupełnie jasno i białe słońce świeciło mu prosto w twarz, gdy tak stał w najniższym punkcie nieckowatej dolinki. Zwierzęta wpatrywały się w niego takimi samymi szeroko otwartymi, baczными, nieruchomymi oczami, jak sarna, wydry i niedźwiadki przed chatą Pellinora.

Gdy tak stał, panowała głęboka cisza; potem dał się słyszeć głośny szmer, bardziej podobny do szurania stóp niż dźwięku wydawanego przez struny głosowe.

–Ujrzały cię – powiedział stojący obok TB. – Drzewa przemówiły za tobą do nich i one uznały cię za dobrego człowieka. Czekają, aż do nich przemówisz.

–Co mam powiedzieć? – mruknął Jim. Ślepią zwierząt były skierowane na niego niczym miniaturowe reflektory. Czuł się niezręcznie. Przynajmniej wino zupełnie wywietrzało mu z głowy.

–Chcą wiedzieć, co mogłyby zrobić – odparł TB.

–Zrobić? – Jim usiłował zrozumieć. – A co właściwie?

–One wiedzą, że zbliża się bitwa o Liones. Drzewa nic nie mogą uczynić. One tak. Chcą, żebyś im powiedział, jak mają walczyć.

Jim błyskawicznie rozważył i odrzucił tuzin możliwości. Spróbował wyobrazić sobie bitwę – prawdziwą bitwę – o Liones. Walkę ludzi, których widział w obozie na pograniczu, z siłami, jakie zdoła zebrać Liones. Tamci będą mieli ogromną przewagę liczebną nad rycerzami Okrągłego Stołu, nawet wspieranymi przez potomków. To nie ulegało wątpliwości. Tylko co zwierzęta mogą zdziałać przeciwko ludziom?

Nagle jego myśli skryształizowały się. Stały się jasne i nabrały kształtu. W zamęcie średniowiecznej bitwy, począwszy od potyczek, w których nie raz brał udział, po

starcia całych armii, przydatne bywały też zęby, rogi i kopyta. Niektóre zwierzęta – jeśli tylko chciały – mogły być groźne nawet dla najniebezpieczniejszych napastników – rycerzy wspieranych przez giermków i zbrojnych. Jednakże miały niewielkie szanse na to, że zwyciężą, a jeszcze mniejsze, że ujdą z życiem. Nie powinien żądać czegoś takiego od niewinnych stworzeń – równie dobrze mógłby posłać wieśniaków z nożami i maczetami na karabiny maszynowe.

–Przekażesz im moje słowa? – zapytał TB.

–Drzewa i tak zrobią to później – odparł TB. – Jeśli jednak chcesz, ja też im powiem.

–Dobrze.

Jim spojrział na zwierzęta szczelnie wypełniające cały amfiteatr. Przemówił donośnym głosem, chociaż zdawał sobie sprawę, że i tak nie rozumieją jego słów.

–Niektóre z was wiedzą, jak groźny jest uzbrojony człowiek na koniu. Nie ma potrzeby, żebyście stawiały czoło takiemu wrogowi, usiłując nam pomóc. Opowiem rycerzom i wszystkim, których tu spotkam, o waszej bohaterkiej propozycji. To ich uraduje. Sądzę jednak, że powinniście dobrze to przemyśleć.

Zamilkł. Setki ślepi spoglądało na niego w bezruchu. Zwierzęta nie zareagowały, nie poruszyły się.

–Poprosiłem drzewa, aby nie przekazywały im tego. co teraz powiedziałaś, sir Jamesie – usłyszał głos TB – i ja też tego nie zrobię. Wybacz, ale popełniasz błąd. Życie wszystkich tu obecnych oraz im podobnych polega na zabijaniu lub byciu zabijanym, każdego dnia. One nie są takie jak ty czy inni ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na czyny zwane odważnymi lub tchórzliwymi. Po prostu – to jest ich ziemia i dla tych, którzy nadchodzą, nie ma tu miejsca. One nie proszą, żebyś pozwolił im walczyć. Pytają, jak mają to zrobić.

Jim skrzywił się w duchu. Stwierdzenie „ty czy inni ludzie” głęboko go poruszyło. Przebywał w towarzystwie TB dostatecznie długo, aby uważać go za taką samą istotę jak Brian czy Dafydd, tylko w innym ciele. Zapomniał, że Tropiąca Bestia w rzeczywistości należy do świata zwierząt. Nie do świata Jima czy jakiegokolwiek innego człowieka. Nawet Pellinora, z którym był tak zaprzyjaźniony.

–W porządku – rzekł i ponownie spojrział na słuchaczy. Czuł się głupio. Nie przywykł do wygłaszania przemówień, a teraz miał wygłosić takowe przed milczącym audytorium złożonym ze zwierząt... Zaczerpnął tchu. – Dobrze – rzekł tak gromko, że sam się przestraszył dźwięku swego głosu rozlegającego się w kompletnej ciszy.

–Posłuchajcie – zaczął jeszcze raz. – Żadne z was nie zdoła pokonać uzbrojonego jeźdźca w bezpośrednim starciu. Wcale jednak nie musicie tego czynić, żeby nam pomóc. Możecie działać w inny sposób. Jeśli rozstawią swe namioty w Liones i zapadnie ciemność, możecie poprzegryzać linki, żeby płótna zwały im się na głowy. Wtedy przez całą noc nie będą w stanie zmrużyć oka.

Zwierzęta milczały.

–Te z was, które mogą poruszać się po polach – ciągnął – niech pamiętają, że jeździec przestaje być groźny, kiedy jego koń pada na ziemię...

Zawahał się. Brian, jak większość rycerzy, miał wiele serca dla koni. Jim również,

choć nie aż tak jak on. Musiał jednak to powiedzieć. Prawdopodobnie był to najskuteczniejszy rodzaj pomocy. Przemógł się.

–Musicie atakować nogi wierzchowców. Jeśli złamiecie lub poważnie zranicie konia w nogę, upadnie – szczególnie jeśli zrobicie to, gdy będzie biegł. Jeździec zwali się na ziemię razem z nim. Wtedy gronostaje i łasice mogą nawet próbować atakować jego nie osłonięte części ciała. Jelenie, wiecie, że na krótkim dystansie jesteście szybsze od każdego konia, nawet nie niosącego na grzbiecie jeźdźca w ciężkiej zbroi. Doskakujcie od tyłu, bodąc rogami, a potem odwracajcie się i uciekajcie. Potem zachodźcie następnego i róbcie to samo. Odyńce – nie muszą was uczyć, jak używać kłów przeciw ludziom na koniach. Po chwili dodał:

–Naprawdę nie muszę wam mówić, jak macie walczyć. Wiecie to lepiej ode mnie. Tylko nie dajcie się ponieść emocjom. Ja czasem bywam smokiem i wtedy mnie ponosi. Zdarza się to nawet ludziom. Niektórym z was także może się to przytrafić, kiedy zacznie się walka. Nie pozwólcie na to. Atakujcie w ciemnościach, tam gdzie się was nie spodziewają, albo kiedy nie patrzą w waszą stronę.

Zawahał się. Cisza panująca podczas jego przemowy była denerwująca – jakby go nie słyszały albo w ogóle nie zwracały na niego uwagi.

–Jednakże, ponad wszystko – ciągnął desperacko – atakujcie! Działajcie na ich tyłach. Najbardziej użyteczne będziecie, niepokojąc i rozpraszając wroga, a także nie dając się zabić, żeby móc znów go nękać. W ten sposób rycerze Lions będą mieli nad nimi przewagę i razem – miejmy nadzieję – zmusicie ich, aby wrócili tam, skąd przyszli.

Znów zamilkł. Nie miał nic więcej do powiedzenia, ale wydało mu się to niezbyt zręcznym zakończeniem. Patrzył na zwierzęta, a one stały bez ruchu, spoglądając na niego. W przedłużającej się ciszy Jim dostrzegł, że niektóre wbiegają po stoku i znikają wśród drzew. Jelenie też zaczęły się odwracać. Mimo zjedzonego niedawno posiłku, Jim nagle poczuł w brzuchu nieprzyjemne ssanie.

Teraz już odchodziły wszystkie, nie dawszy żadnego znaku, w żaden sposób nie okazawszy, co sądzą o jego słowach. Uczucie pustki pogłębiało się, gdy patrzył w ślad za odchodzącymi. Nie wiedział, czego właściwie oczekiwał, ale wszystko – nawet sprzeciw czy gniew – byłoby lepsze od tego bezgłośnego odwrotu, sugerującego głębokie rozczarowanie. Po amfiteatrze niósł się cichy szmer, jakby wietrzyk poruszał ostatnimi jesiennymi liśćmi, suchymi i poczerńiałymi.

–Sądzę, że są zadowolone z tego, co im powiedziałaś, sir Jamesie – rzekł TB. Zaskoczony Jim wytrzeszczył oczy i otworzył już usta, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

–Ale nie jesteś tego pewny.

–Oczywiście, każde z nich zrobi, co zechce. Myślę jednak, że wszyscy ci, którzy dziś tutaj byli, stawiają się w potrzebie. No nic, chodźmy. Czas wrócić na miejsce obrad rycerzy.

–Tyle zwierząt... – z podziwem mruknął Hob na ramieniu Jima, gdy ten odwracał się, by opuścić amfiteatr.

Rozdział 35

Miejsce obrad rycerzy okazało się czymś w rodzaju starożytnego leśnego pola biwakowego. Ustawione pod gołym niebem stoły i ławy otaczały drewnianą, pomalowaną na biało konstrukcję – coś w rodzaju wiaty z podłogą i dachem, podtrzymywanym przez ustawione w krąg słupy. Tam znajdowało się jeszcze więcej stołów wszelkich rozmiarów oraz stołki i drewniane krzesła z wysokimi oparciami. Wszyscy, których Jim zobaczył, siedzieli na nich, nie dotykając plecami oparc, w tej samej sztywno wyprostowanej pozycji jak na grzbiecie konia.

Zauważył, że Brian pożądnawie rozglądał się wokół. Obudzony na posiłek u Pellinora, wołał jak najdłużej spać, zamiast jeść. Teraz rzucał tęskne spojrzenia w kierunku stołów z jadłem i winem. Jim współczuł mu, pamiętając, jak sam objadał się rybną zapiekanką, ale w żaden sposób nie mógł mu pomóc.

–Może przypadkiem widzisz gdzieś potomka sir Dinedana, którego spotkaliśmy kiedyś, zmierzając do jaskini sękatych? – zapytał ściszym głosem Brian. – Na pewno pamiętałby nas i zaproponował kielich wina. A jeśli nie, my moglibyśmy mu to zaproponować.

Niektórzy z rycerzy niewątpliwie byli potomkami – ci kręcili się wokół lub stali w pogotowiu, niemal jak giermkowie, czekając na swoich przodków, ale Jim nie rozpoznał żadnego z nich.

–Obawiam się, że nie – powiedział.

–No, no – mruknął Brian. – Nie można zawsze siedzieć w zamku. Co robimy?

–Jedziemy za królem Pellinorem, sir Brianie – przypomniał TB.

Wyłonili się z lasu razem z końmi, wszystkimi, włącznie z filozoficznie nastawioną juczną klaczą. Jim odczuwał lekki niepokój. Wolałby mieć trochę czasu, by oswoić się z otoczeniem i obecnością rycerzy, lecz Pellinor najwidoczniej zamierzał wjechać wprost pod zadaszenie.

Nagle jednak potężny rycerz osadził konia i zeskoczył z siodła tak lekko, jakby nie był starszy od Davida. Spoglądał w bok od pawilonu, na ocienioną listowiem polankę, przez którą szedł ku nim jakiś młody rycerz.

W pierwszej chwili Jim odniósł wrażenie, że Pellinor zamierzał wyjść nadchodzącemu naprzeciw, ale król tylko stanął, sztywno wyprostowany, wyższy nawet od swego rosnącego rumaka. Wydawał się spięty, jakby zaszokowany czymś, co wymagało mobilizacji całego jego hartu ducha. Czując dziwny niepokój, Jim także zsiadł z konia, a Brian poszedł w jego ślady.

Jim zrobił dwa kroki naprzód, by sprawdzić, czy zdoła wyczytać coś z wyrazu twarzy Pellinora, lecz oblicze króla było nieprzeniknione i kamienne, jak zawsze, Jim usłyszał, jak stojącego za nim Briana zagaduje jeden z dwóch rycerzy siedzących przy stole, których dopiero co minęli.

–Sir Jamesie... – zaczął ściszym głosem TB, lecz zanim dokończył, nadchodzący rycerz dotarł do Pellinora. W przeciwieństwie do zdecydowanej większości zebranych, którzy przy byli w rycerskich pasach, ale uzbrojeni jedynie w sztylety, ten miał na sobie kolczugę, podobnie jak Pellinor, Jim i Brian. Ci ostatni przyjechali tu zakuci w stal i uzbrojeni po zęby – Jim i Brian, ponieważ zawsze tak

podróżowali, a Pellinor – przewidując czekającą ich misję.

Widząc nadchodzącego młodzieńca, Jim w pierwszej chwili wziął go za Modreda, lecz kiedy lepiej mu się przyjrzał, ogarnęły go wątpliwości. Nawet nie dlatego, że ten człowiek był gładko ogolony; do tego czasu Modred mógł zgolić bródkę i wąsy.

TB całą uwagę skupił na Pellinorze. Jim rzekł bardzo cicho, pod nosem:

–Hobie, czy to może być ten człowiek, który za pierwszym razem był w namiocie Cumberlanda, kiedy ty i TB pozostaliście na zewnątrz? Wtedy miał brodę i wąsy.

–Nic wiem, milordzie – odparł również szeptem skrzat ze swojego miejsca na karku Jima, gdzie skrywała go zbroja.

Jim uważnie przyglądał się młodzieńcowi. Gładko ogolona twarz, którą teraz widział wyraźniej, była zbyt otwarta i szczera jak na tę, którą przez chwilę dojrzał w ciemnym kącie namiotu, za plecami earla i Agathy. Ponadto, chociaż ten nieznajomy był o pół głowy niższy od Pellinora, miał równie zdumiewająco szerokie bary i dumną postawę. I uśmiechał się na powitanie.

–Dobrze cię widzieć, sir Lamoraku – rzekł chrapliwie Pellinor.

–I ciebie, sir Pellinorze, mój ojciec – odparł drugi rycerz.

–Żyjesz w zgodzie z Bogiem i ludźmi?

–O ile wiem, tak, sir.

–Moi synowie zawsze byli zacnymi ludźmi i dobrymi rycerzami. – Głos Pellinora nadal nie zdradzał żadnych uczuć, lecz król szeroko otworzył ramiona. Sir Lamorak wpadł w nie i Jim pomyślał, że młodzian zapewne cieszy się ze zbroi, która chroni go przed zmiążdżeniem w tym gwałtownym uścisku.

–Pozwól, ojciec – rzekł łagodnie Lamorak, kiedy ojciec go puścił. – Odejdźmy na bok i porozmawiajmy chwilę.

Tak też zrobili.

Jim zamrugał, a jego wzrok zasnuł się dziwną mgiełką. Żeby sprawdzić, czy to nie magiczne okulary – o których prawie zapomniał – ostrzegają go przed zmianą kolorów Liones, zdjął je i spojrzał wokół. Nie dostrzegł żadnej różnicy, a kiedy założył je ponownie, otarłszy wskazującym palcem kąciki oczu, Liones okazała się tak samo czarno-biała jak przedtem.

Znów usłyszał za plecami głos Briana, pogrążonego w rozmowie z dwoma innymi przybyszami. Spojrzał w prawo, gdzie powinien znajdować się TB, lecz ten już zniknął. Obejrzał się za siebie i zobaczył Briana stojącego przy stole, który przed chwilą minęli, a przed nim dwóch rycerzy, którzy ze zdziwieniem zerknęli na Jima.

–Ach – powiedział Brian, zauważywszy to. – Pozwólcie, że przedstawię wam sir Jamesa Eckerta, często zwanego sir Smokiem, barona de Bois de Malencontri et Riveroak. Sir Jamesie, pozwól, że ci przedstawię sir Kaya, przyrodniego brata króla Artura. A to jest sir Bediwer.

–To dla mnie zaszczyt – powiedzieli obaj, a sir Kay dodał: – Sir Brian mówi, że jesteś także magiem.

–To prawda – odparł Jim. Jako rycerz powinien być skromny, lecz po magach właściwie oczekiwano arogancji. Magowie zwracali się do wszystkich po imieniu, nawet do królów, a w razie potrzeby nie wahali się odprawiać władców.

–Ha! – wykrzyknęli, najwyraźniej będący pod wrażeniem, sir Kay i sir Bediwer.

Wszyscy usiedli przy stole i sir Bediwer nalał Jimowi i Brianowi po kubku czerwonego wina. Dopiero teraz Jim dokładniej przyjrzał się gospodarzom.

Sir Kay nie był młody, lecz okrągła twarz nadawała mu niemal młodzieńczy wygląd. Krzaczaste wąsy miał przyprószone siwizną, a czarno-białe barwy tej krainy jeszcze to podkreślały, jednak jako przyrodni brat króla Artura musiał być niemal w tym samym wieku co ów legendarny władca, który w ostatnich latach życia zupełnie osiwiiał. No cóż, to była kraina Liones.

Twarcz sir Bediwera mogła należeć do mężczyzny w dowolnym wieku.

–Najmocniej dziękuję, sir Bediwerze – odparł Jim, jako znamienitszy od Briana.

–To dla mnie zaszczyt, że mogę wam czymś służyć, panie. Przybyłeś z sir Brianem do Liones z powodu zagrożenia ze strony zła, zwanego Ciemnymi Mocami?

–Zgadza się – odparł Jim i zgodnie z wymogami uprzejmości skosztował wina, ale pociągnął tylko łyczek, pamiętając o tym, że sporo wypił przy poprzednim posiłku. Wino było niezłe.

–Rozumiemy, iż jest to coś, czego należy się obawiać – wtrącił sir Kay – jako najstraszniejszej i okrutnej magii. Czy wy również jesteście tego zdania, panowie?

–Można tak rzec, sir – potwierdził Jim. – Jednak jako duchy, ograniczone w taki sam sposób jak wszystkie niematerialne siły, nie są one w stanie utrzymać tego, co zdobędą. W rezultacie trzeba będzie potykać się tylko z ich wytworami oraz uzbrojonymi ludźmi.

–Ha! – zakrzyknął wesoło sir Kay. – Tych nie ma się co obawiać. Nie sądzisz, Bediwerze?

–Pewnie powinienem się z tym zgodzić – odrzekł zapytany. Miał pospolite rysy, lecz szczere spojrzenie. Była to twarz farmera, który został pasowany przez pomyłkę, ale teraz jest najlepszym rycerzem, jakim może być. – A jednak mam złe przeczucia...

–Obawiam się, że muszę przyznać rację sir Bediwerowi – powiedział Brian. – Nie z powodu złych przeczuc, ale dlatego, że widziałem ich armię na pograniczu zatopionej krainy.

–Liczną armię, sir? – spytał Bediwer.

Rozmowa zaczęła schodzić poza obszar zainteresowań Jima.

–Od ośmiu do dwunastu setek kopii.

Jim zrozumiał, że Brian uzyskał tę informację, wprawnie szacując siły wroga, kiedy usiłowali niepostrzeżenie przedostać się do koni i zanim ich zatrzymano. Natomiast on w ogóle nie zwrócił uwagi na liczebność wrogiej armii.

–Urodzeni? – spytał ostro Kay. Jim wiedział, że miał na myśli tylko rycerzy i giermków.

–Może w sześciu dziesiątych – odparł Brian. – Lecz mało z którym usiedlibyście do stołu. Zrujnowani lub występni ludzie, zbóje i banici – resztki wyskrobane z ludzkiego kotła.

–Jednak uzbrojeni i zdolni do walki, jak mniemam? – zapytał Bediwer. – Wstyd byłoby walczyć z hołotą.

–Och, uzbrojeni, doświadczeni, wyposażeni, a czasem mający nawet giermka lub dwóch – powiedział Brian. – Będą walczyć zażarcie, gdyż tacy jak oni muszą zwyciężyć lub zginąć, a nie mając do stracenia nic oprócz życia, wielce je sobie cenią.

–Spora siła – mruknął w zadumie Bediwer.

–Daj spokój, sir Bediwerze! – rzekł Kay. – Oni chcą nas zaatakować? Chyba oszaleli! Nawet gdyby było ich dwakroć więcej...

–Będzie, jak Bóg da – przerwał mu sir Bediwer. – A choć nie sądzę, by któryś z obecnych tu rycerzy obawiał się śmierci w walce, ręka męczy się od zabijania, a my nie jesteśmy już tacy jak niegdyś, szczególnie bez króla Artura i Lancelota, którzy mogliby nas poprowadzić. Pamiętasz, jak było, gdy ruszyliśmy z Arturem na jego ostatnią bitwę z Modredem, pod Dover, gdzie nieprzyjaciel miał znaczną przewagę liczebną, lecz król – w przyływie nadludzkiej mocy i gniewu, z białą brodą płonąącą w blasku słońca – odepchnął go z naszą pomocą? Niestety, teraz go nie ma, ani Lancelota, który mógłby nas oświecić.

–Lancelot nie oświetla teraz nawet swej pustelniczej celi, nawet dla najjaśniejszej panienki! – rzekł Kay z kwaśnym uśmiechem. Zaraz jednak przeżegnał się. – Jeśli jeszcze żyje... Nie, nie – dodał pośpiesznie, gdyż sir Bediwer poczerwieniał i sposepniał. – Nie chciałem okazać braku szacunku dla jego pamięci. We wszystkim prócz jednego był najszlachetniejszym z rycerzy!

–Niewątpliwie można tak rzec – przytaknął Bediwer.

–A ty, sir Brianie – Kay pośpiesznie zmienił temat rozmowy, kierując ją na osobę przyjaciela Jima. – Sądząc po tym, co powiedziałaś o naszych przeciwnikach, musisz być zaprawiony w walce. Bez urazy, sir, lecz skąd możemy mieć pewność, że twoja ocena tej hołoty jest słuszna? Czy brałeś udział w wielu bitwach? Albo w pojedynkach na kopie?

–Tylko w jednej bitwie, raz i bardzo krótko, panie. Natomiast co do pojedynków na kopie, od dziecka są moim ulubionym zajęciem – odrzekł Brian – i odnosiłem w nich pewne skromne sukcesy.

Jim dostatecznie dobrze poznał rycerskie zasady postępowania, by wiedzieć, że jako przyjaciel Briana powinien teraz wyjaśnić sytuację.

–Nie pamiętam jakiegokolwiek – rzekł powoli i stanowczo – turnieju, którego sir Brian nie zostałby zwycięzcą.

(Prawdę mówiąc, widział tylko jeden turniej, rok wcześniej, podczas bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset.)

–Ach tak? – rzekł sir Kay, lekko spuszczaając z tonu. – Oczywiście, to były turnieje w górnym świecie, prawda?

–Istotnie – odparł Brian – i niewątpliwie nie mogły się równać z tymi w Lioness. Gdybyś jednak zechciał uczynić mi ten zaszczyt, sir Kayu, moglibyśmy skrzyżować kopie, abyś sam mógł ocenić moje umiejętności.

–Siadajcie. Siadajcie! – uciał Bediwer. – Gdy wróg stoi u naszych granic, nie czas na potykanie się!

Brian i Kay usiedli na stołkach. Nalano wino do kubków. Zapadła krótka cisza.

Jim był spięty. Według legend, Artur zaszczepił tym ludziom rycerskiego ducha. Jednak w głębi duszy wielu z nich pozostało dzikusami, a sir Kay wyglądał na osobnika mogącego sprawić kłopoty.

–Cóż więc, sir Brianie – spytał ten ostatni, ponownie przerywając milczenie – jest twoim zdaniem najważniejsze w starciu na kopie?

Najwyraźniej chciał go sprawdzić.

–Panie – odparł Brian – powiedziałbym, że dobra współpraca wierzchowca z jeźdźcem.

Jim zdziwił się, jak ta zdecydowanie nieoczekiwana odpowiedź gwałtownie rozwiała niewidzialną burzową chmurę wzbierającej przy stole wrogości. Zarówno sir Kay, jak i sir Bediwer nadstawili uszu z nagłym i głębokim zaciekawieniem. Sir Kay uspokoił się.

–Dlaczego przedkładasz to nad wszelkie inne umiejętności? – zapytał Bediwer.

–Ponieważ, panie – odparł Brian – jeśli nie posiadający jej szlachcic napotka przeciwnika, którego rumak stanowi z nim jedność, wszystkie inne umiejętności nie zapewnią mu zwycięstwa.

–Przecież, sir Brianie – dociekał sir Kay i w jego głosie nie było już cienia niechęci, tylko zaciekawienie – każdy z nas posiadał tę sztukę w jednakowym stopniu?

–Może tak jest tu, w Lioness – odrzekł Brian, – Ja w to nie wątpię. Zważcie tylko, panowie, że kiedy grot kopii uderza w żelazo, zwycięża ten, który przez ten krótki moment potrafi włożyć w uderzenie nie tylko ciężar swego ciała, ale i ciała konia. Mogę tylko rzec, iż dotychczas spotkałem niewielu takich, którzy to potrafili.

–Wydaje mi się – rzekł sir Kay – iż mówisz o czymś innym, niż zwykle się przez to rozumie. Czy ciężar konia i ciężar jeźdźcy nie zawsze stoi za uderzeniem kopii?

–Wielu tak sądzi, lecz tak nie jest. Tylko jeśli jeździec włoży w to wszystkie siły, ma nadzwyczajnie wyćwiczonego rumaka, z którym wspólnie wiele trenowali...

Brian mówił dalej. Od początku ich przyjaźni usilnie starał się nauczyć Jima posługiwania się kopią oraz innym orężem. Nigdy jednak nie wspominał o jedności konia i jeźdźcy w momencie zderzenia. Jim uznał, że przyjaciel poruszał ten temat tylko podczas dyskusji z bardziej doświadczonymi rycerzami, niż on kiedykolwiek mógł się stać – innymi słowy, był to materiał kursu dla zaawansowanych.

Jim zaczął błędzić myślami. Zastanawiał się, dokąd podążyli Dafydd i TB. Nagle uświadomił sobie, że przesiadywanie tu i przysłuchiwanie się fachowej dyskusji o pojedynku na kopie nic mu nie da. Korzystając z krótkiej przerwy w rozmowie, powstał.

–Za pozwoleniem, panowie – rzekł. – Właśnie przypomniałem sobie o czymś ważnym. Mam nadzieję dołączyć do was ponownie trochę później... Nie, nie, Brianie, nie ma potrzeby, abyś mi towarzyszył. Powinieneś zostać tutaj i dokończyć rozmowę.

Brian opadł na stołek. Jim odszedł. Zanim zrobił dwa kroki, tamci znów pograżyli się w dyskusji na temat tego, czy znajomość taktyki przeciwnika zapewnia jakąś przewagę. Kay i Bediwer uważali, że ogromną. Brian twierdził, że ten aspekt jest

przeceniany.

–Znam pewnego szlachcica – mówił, gdy Jim powoli oddalał się od stołu. – Nie mogę nazwać go bliskim przyjacielem, lecz nie przeczę, iż jest wspaniałym jeźdźcem i zręcznym rycerzem. Wielekroć potykałem się z nim w szrankach i poza nimi, lecz nigdy nie znalazłem słabego punktu w jego sztuce posługiwania się kopią czy mieczem. Zwyciężył na jednym turnieju, kiedy pękł mi popręg akurat wtedy, gdy starliśmy się o palmę pierwszeństwa...

Słowa powoli cichły za plecami Jima, Bardzo często podobnie bywało w krainie na górze. Kiedy przyszło do fachowych dyskusji, szlachta potrafiła być równie nudna jak dwudziestowieczni hobbyści. Rozmowy na temat wad i zalet psów, sokołów, polowań i posługiwania się bronią szybko nużyły kogoś, kto nie pasjonował się takimi sprawami.

Jim przemaszerował przez polanę, zauważany przez obecnych jako obcy, lecz natychmiast oceniany jako niegroźny. Nigdzie nie znalazł Dafydd, Davida, TB ani Pellinora.

Nie licząc drewnianego pawilonu, miejsce obrad rycerzy Liones było nie zabudowane i nie ogrodzone. Idąc tak, Jim zauważył, że stoły i krzesła porozstawiano na całej polanie i nawet między drzewami.

W końcu uznał, że dotarł na skraj miejsca obrad i zaczął je okrążyć – uważając, iż w ten sprytny sposób przyjrzy się wszystkim obecnym – lecz odkrył, że za tym kręgiem rozpościera się jeszcze szerszy, również z mnóstwem stołów i sztywno siedzących przy nich rycerzy.

W końcu minął także ten krąg i znalazł się w lesie. Nie było tu stołów, rycerzy ani gwaru rozmów. Pomimo to przeszedł jeszcze kawałek dalej, aby upewnić się, że nie zwiodła go zielona gęstwina i naprawdę oddalił się od miejsca obrad.

Tym razem nie napotkał już żadnych ogrodowych mebli i debatujących ludzi. Na jednym cisie siedziała wiewiórka, większa od tej, którą spotkał, wjeżdżając do Liones. Przywarła do pnia drzewa na wysokości mniej więcej głowy Jima i nieruchomo, zwrócona pyszczkiem w dół, obserwowała go czarnymi jak paciorki ślepkami. Zastanawiał się, czy była wśród zwierząt, do których przemawiał w amfiteatrze.

–Cześć – rzekł do niej.

Nie odpowiedziała. Ani nie poruszyła się, chociaż był zaledwie dwa kroki od niej.

Jim niespokojnie wrócił myślami do problemu odnalezienia reszty przyjaciół i Pellinora. Mijał dzień, a on nic nie mógł zrobić, dopóki nie dowie się, co zamierzali. Mimo wszystko odczuwał rosnące przygnębienie, wywołane obawą, że w pośpiechu podejmie błędną decyzję. Chociaż bohaterowie ze starych legend niewątpliwie potrafili walczyć, ich pomysłem na bitwę była zapewne ogólna bijatyka, w trakcie której każdy z nich jak szalenciec będzie nacierał na znajdujących się najbliżej wrogów, nie słuchając niczyich rozkazów.

Cumberland przynajmniej przygotowuje jakiś plan. Jim przypomniał sobie, że Anglicy pokonali Francuzów pod Crecy, stosując szyk naprzemienny: na obu skrzydłach rozstawili łuczników, chronionych przez rowy i palisady, a w środku pieszych zbrojnych. Jimnie wyobrażał sobie, aby któryś z rycerzy Okrągłego Stołu zechciał

zsiąść z konia. W tamtej bitwie Anglicy wykorzystali również swoją lepszą pozycję.

Teraz kwestia planu nie mogła dłużej czekać. Podobnie jak problem dowódcy wojsk Liones, bo chociaż Jim bardzo wysoko oceniał Pellinora, nie widział go w roli charyzmatycznego głównodowodzącego, który poprowadzi legendarnych rycerzy do zwycięstwa.

Właściwie miał wrażenie, że sam powinien wymyślić jakiś sposób, który zapewniłby im zwycięstwo nad przeważającymi siłami wroga. Earl Cumberland nie posiadał wielu zalet, lecz Jim nie musiał oglądać go w bitwie, żeby wiedzieć, iż ten człowiek nie jest tchórzem. Dowodził już – a więc, zgodnie z przyjętym w tych czasach zwyczajem, jechał w pierwszym szeregu – i zrobi to teraz. Da przykład swoim ludziom, a oni ruszą za nim bez wahania.

Chociaż rycerze Okrągłego Stołu mieli wsparcie swoich potomków i nawet jeśli ci, tak jak ich przodkowie, zręcznie posługiwali się bronią – w co Jim skrycie wątpił po spotkaniu z sir Dinedanem juniorem podczas poprzedniego pobytu w Liones – nieprzyjaciel miał ogromną przewagę liczebną. W starciu z magią i prymitywnymi, lecz śmiercionośnymi rodzajami oręża potrzebna była umiejętność dowodzenia i zastosowania odpowiedniej taktyki.

Żaden pomysł nie przychodził mu do głowy.

Powinien porozmawiać z kimś, kto powiedziałby mu, czego może się spodziewać po rycerzach Liones. Co się z nim dzieje? Zawsze potrafił znaleźć wyjście z sytuacji, a tym razem jego umysł wydawał się drzemać.

Zastanawiając się nad tym, spojrzał na wiewiórkę, która nadał siedziała nieruchomo, obserwując go. Pod wpływem nagłego impulsu rozejrzał się wokół, szukając zeschniętego liścia, lecz nie znalazł. Sięgnął do sakwy po ten, który dała mu Angie. Nazywała to „dobrą magią”. Warto spróbować.

Wyciągnął rękę i wepchnął listek w rozchylny pyszczek zwierzątko.

–Masz! – powiedział. – Zanieś go Merlinowi i powiedz mu, że pytam, jak dotrzeć do Avalonu.

–Milordzie? – rzekł zaciekawiony Hob, wskakując Jimowi na ramię. – Udamy się do Avalonu? Ten bard nauczył mnie...

–Nic nie mów! – uciszył go Jim, nie odrywając oczu od wiewiórki.

Zwierzątko nie poruszyło się i nic nie zrobiło z listkiem. Nie upuściło go, ale zdawało się być nieświadome faktu, że trzyma go w pyszczku. Wydawało się mało inteligentne, nawet jak na wiewiórkę.

Jim zaczął się odwracać, czując w głowie pustkę. Niepotrzebnie pozbył się otrzymanego od Angie liścia. I powinien już wracać na miejsce obrad. Zanim jednak zupełnie się odwrócił, stwierdził, że wiewiórka zniknęła. Natychmiast obejrzał się, ale pień był już pusty. Dziwne... Nie widział, jak czmychnęła, a przecież powinna jeszcze znajdować się w jego polu widzenia.

Zimny dreszcz przebiegł po jego plecach, jakby sopel lodu wpadł mu za kołnierz koszuli.

A jeśli to nie była prawdziwa wiewiórka, tylko wytwór Ciemnych Mocy albo Morgan le Fay, wysłany na przeszeptegi?

Jeżeli tak, dojdą teraz do wniosku, że zawarł sojusz z Merlinem i dlatego wysłał wiewiórkę do zamkniętego w drzewie czarodzieja. Wiewiórki zamieszkiwały dziuple wysoko na drzewach, więc jedna z takich dziur mogła doprowadzić je do starego maga. Takie przypuszczenia mogą opóźnić ich działania – albo przyspieszyć je, jeśli przeciwnicy zechcą zadziałać, zanim Jim wyruszy do legendarnego Avalonu.

Odepchnął od siebie tę myśl. Oczywiście, Avalon był nieosiągalny, a wiewiórka na pewno już upuściła listek, który w najlepszym razie mógł tylko przypominać jej o wiadomości – jeżeli zrozumiała jego słowa, w co Jim wątpił.

–Jamesie! Jamesie!

Rozdział 36

–Jamesie, stój! Jamesie!

Jim odwrócił się i zobaczył spieszącego za nim Briana.

–Najserdeczniej błagam cię o wybaczenie, Jamesie! – rzekł przyjaciel, doganiając go. – Ogromnie to bezmyślnie i bardzo nieuprzejmie z mojej strony, pograżyć się w rozmowie z dwoma nieznanymi szlachcicami i pozwolić ci samotnie podjąć misję, w której powinienem ci towarzyszyć...

–Nic podobnego, Brianie – rzekł Jim. – Po prostu szukałem Dafyddda i TB.

–No cóż, oni i ten młody David zniknęli, kiedy spotkaliśmy sir Kaya oraz sir Bediwera – nawiasem mówiąc, to rozsądny, zany szlachcic, chociaż ma trochę staroświeckie poglądy. Bo też ich zbroje i oręż... No nic, znów zboczyłem z tematu. Oczywiście, nasi przyjaciele zniknęli za twoimi plecami i zrobili to bezgłośnie.

–Chciałem zapytać TB, kiedy wraz z królem Pellinorem przemówimy do rycerzy w kwestii przygotowań do odparcia inwazji tej małej armii, którą widzieliśmy na pograniczu.

–Jamesie – rzekł poważnie Brian – to nie jest mała armia.

–No tak, oczywiście, nie jest. Tak tylko mi się powiedziało, Brianie. Wiesz, jest tutaj wiewiórka...

Urwał, spoglądając na wysoki cis.

–No cóż, była tu wiewiórka – poprawił się – która mnie obserwowała. To nic ważnego. Pomyślałem tylko, że może uda mi się przesłać przez nią wiadomość...

–Przez wiewiórkę, Jamesie?

Umysł Jima odzyskał już zwykłą sprawność. Ignorując pytanie, opowiedział Brianowi o tym, jak TB zabrał go na spotkanie ze zwierzętami lasów i pól.

–Zaiste, musiała to być pamiętna chwila – rzekł z lekkim żalem Brian. – Nie myśl, że narzekam, Jamesie, lecz dotychczas w trakcie tej podróży nie miałem szczęścia przeżyć czegoś równie niezwykłego. A nawet czegoś, o czym można opowiadać przy kominku w zimowe wieczory. Chociaż – nagle się rozpromienił – czy wiesz, że król Pellinor trzyma w swoim pałacu zwierzęta, które pełnią rolę służby?

–Prawdę mówiąc – zaczął Jim – wiem. Rozstawiły mi stół, a potem kilku lokajów podało mi posiłek.

–Naprawdę?

–Tak.

Jim opowiedział mu o tym.

–No, no – rzekł z podziwem Brian. – Tak było? Zawsze mówiłem, że łatwiej o dobre maniere u zwierząt niż u ludzi. Dobrze wytresowany koń lub pies na pewno... Jednak to, co przytrafiło mi się u Pellinora, było równie cudowne.

–Kiedy zdążyłeś przeżyć tam jakąś przygodę? Gdy wyruszyłem z TB do lasu na spotkanie ze zwierzętami, ty jeszcze spałeś i zbudziłeś się dopiero po naszym powrocie.

–Och tak, ale obudziłem się też wcześniej. Już raz czy dwa przydarzyło mi się to, kiedy udawałem się na spoczynek w innej porze niż zwykle. Ocknąłem się nagle, Jamesie, i przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Bardzo chciało mi się spać, ale

nie mogłem zasnąć, więc wstałem i wyszedłem.

–Na zewnątrz?

–Z pałacu króla Pellinora. Usiadłem na jego ławie... Pamiętasz tę ławkę ustawioną przed frontową ścianą? Siedziałem, usiłując zapaść w drzemkę, ale na próżno. Chyba jednak zdrzemnąłem się troszkę... Tylko nie myśl, że to mi się śniło, Jamesie!

–Nie, nie. Na pewno nie.

–Otworzyłem oczy i zobaczyłem te niedźwiadki oraz wydry, o których wspomniałeś, Jamesie. Stały parami, z dala od siebie, ale wszystkie spoglądały na mnie. W pierwszej chwili nie przyszło mi do głowy, że są sługami króla Pellinora, chociaż zdumiałem się, widząc, że tak stoją parami... No wiesz, chociaż nie mogłem zasnąć, byłem półprzytomny i nawet nie przyszło mi do głowy sprawdzić, czy nie ma tam jeszcze jakiegoś zwierzęcia.

Zamilkł i pokręcił głową.

–Mów dalej – zachęcił Jim.

–Biada mi – rzekł Brian nieoczekiwanie łagodnym głosem. – Już nigdy nie będę mógł zapolować na sarnę, choćby w najcięższą zimę. Wówczas bowiem poczułem nagle na twarzy lekki podmuch i zobaczyłem stojącą obok mnie sarenkę, która oparła pysk na moim ramieniu. Spoglądała tymi łagodnymi oczami i wydawało się, że smuci się tym, iż nie mogę zasnąć. Po chwili opuściła łeb i szturchnęła mnie w prawy bok, zachęcając, abym wstał.

Brian westchnął.

–Może trudno w to uwierzyć, Jamesie, ale nie potrafiłem jej odmówić tak samo, jak nie mógłbym nie spełnić grzecznej prośby damy. Podniosłem się, a ona zaczęła trącać mnie w plecy. Delikatnie popychała mnie aż do drzwi pałacu, potem przez korytarz, do komnaty, w której spałem, i do mojego łóżka. Upadłem na nie i w mgnieniu oka zapadłem w sen. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, były jej wielkie oczy, tak łagodne i spoglądające prosto w moje.

Zamilkł i siedział, patrząc w dal, jakby widział to, o czym właśnie mówił. Jim wiedział, że Brian bynajmniej nie jest romantykiem. Kiedy jednak dawał się ponieść emocjom, startował jak rakieta. Jim widywał go już w takich stanach – szczególnie podczas wyprawy do Northumberlandu, dokąd udali się we trzech, z Dafyddem, by zanieść wiadomość o śmierci Gilesa jego rodzinie. Na szczęście Giles jednak nie umarł, dzięki płynącej w jego żyłach krwi silkie, o czym nie wiadano, kiedy wiedziony przecuciem Jim po raz pierwszy startł się z earlem Cumberlandem, który chciał pogrzebać Gilesa. Earl był zmuszony ustąpić, dzięki wstawiennictwu młodego księcia Edwarda, lecz od tej pory nienawidził Jima i jego przyjaciół. Zastawszy Gilesa żywego w domu, Jim stanął przed poważnym problemem, jakim było nagle zauroczenie Briana siostrą Gilesa, silne do tego stopnia, że rycerz był gotowy zapomnieć o miłości swego życia, Geronde. Jim dziękował losowi, kiedy uczucie Briana zadziwiająco szybko wygasło, bez żadnych ubocznych skutków.

Może to samo zdarzy się z jego sympatią do sarny Pellinora, chociaż trudno było cokolwiek przewidzieć. Kiedy o niej opowiadał, w jego głosie dźwięczało coś, co poruszyło Jima równie mocno, jak spotkanie ze zwierzętami lasów i pól.

–O, są tutaj! – odezwał się swoim normalnym głosem Brian, nagle przerywając opowieść.

–Tutaj? Kto? – zapytał Jim, odwracając się, by spojrzeć w stronę miejsca obrad. Między drzewami, tam gdzie znajdowały się pierwsze stoły i stołki, kroczyli Dafydd, David i TB.

–Nasi przyjaciele, rzecz jasna – wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie Brian.

–Sir Jamesie! – rzekł TB. – Szukaliśmy ciebie i sir Briana!

–A ja was. To wy zniknęliście.

–Nie sądziliśmy, że nasza nieobecność potrwa tak długo. Masz rację, sir Jamesie. To my was opuściliśmy, w dodatku bez słowa. Wybacz nam. Przynosimy ważne wieści. Byliśmy we trzech w zatopionej krainie...

–W biały dzień?

–Istotnie – odrzekł TB. – Dafydd, który nalega, abym tak się do niego zwracał, pomijając jego prawowity tytuł księcia tej ziemi, zastanawiał się, dlaczego jego kraj jest atakowany przez harpie, podczas gdy w Liones nie ma śladu tych stworów Ciemnych Mocy. A ponieważ mieliśmy trochę czasu...

–Zaraz! – zawołał Jim, – Zaczekaj chwilę! Nie wiedziałem, że mamy trochę czasu. A ty, Brianie?

–Ja też nie – odparł zapytany.

–Sądziłem, że król Pellinor zabierze nas prosto na spotkanie z rycerzami – ciągnął Jim – i może nawet zaczniemy wspólnie układać plany. Tymczasem on oddalił się z synem, a kiedy się obejrzałem, was już nie było.

–Mea culpa – jak mawiacie wy, ludzie. Powtarzam: to wyłącznie moja wina. Sam dobrze znając króla Pellinora, nie pomyślałem o tym, że wy nie spodziewacie się, iż jego rozmowa z synem z pewnością nie będzie krótka. Niewątpliwie zechce wysłuchać wszystkiego, co ma mu do powiedzenia sir Lamorak. Ten jednak będzie musiał zręcznie pokierować rozmową, żeby ojciec powiedział mu coś o sobie. Sir Lamorak tak robi i dopnie swego, gdyż zarówno on, jak i sir Parsifal, jego brat, bardzo kochają króla Pellinora.

–Rozumiem. No cóż, tak bywa – powiedział Jim. – Nie chciałem być... No nic, najważniejsze, że już jesteście.

–Sir Jamesie, nie wprowadziłem cię w błąd. Naprawdę mamy trochę czasu. Zechciej spojrzeć mi w oczy.

Jim zdumiał się, a potem spróbował zrobić to, o co go proszono. Nie było to wcale takie proste. Ślepią TB znajdowały się po obu stronach węzowego łba, podczas gdy on miał oczy z przodu głowy i osadzone blisko siebie. Jednak jakoś mu się udało.

Przez chwilę w błyszczących gadzich ślepiach widział tylko ciemność. Ten mrok zdawał się rozprzestrzeniać i tworzyć obraz, który rozjaśnił się, ukazując zieloną równinę pod żółtym słońcem zatopionej krainy. Przechadzała się po niej kobieta w bieli, niecierpliwie spacerując tam i z powrotem.

Jim patrzył na nią przez chwilę.

–Czy to nie... – zaczął, ale nie dokończył, bo TB ponownie mu przerwał.

–Możemy ruszać, sir Jamesie?

–Ruszać? – Jim zamrugał i obraz znikł. – Ruszać. Och tak, oczywiście.

Nagle zapadła ciemność, spowijając ich przez tak krótki moment, że Jim ledwie zdążył ją zauważyć, gdy już wszyscy razem – on, TB, Dafydd, David i Brian – stali przed ową kobietą w bieli, która zatrzymała się, spoglądając na niego.

–No? – rzuciła wyzywająco.

–To ta dama! – wykrzyknął Hob nad uchem Jima.

–Tak – potwierdził ponuro Jim. – Królowa Północnych Wichrów.

–Czujesz się już lepiej, królowo? – spytał Hob.

–Zawsze czuję się świetnie. A więc ten ludzik, czy też naturalny – w każdym razie malec – nadal jest z tobą? Pozbądź się go, żebyśmy mogli porozmawiać!

–Czy jest tu w pobliżu jakieś jezioro? – zapytał Jim.

–Skąd mam wiedzieć? Chcesz go utopić?

–Nie. Chciałem zaproponować, żebyś poszła na brzeg i skoczyła do wody.

–Skoczyła? – zdziwiła się. – Dlaczego? Po co miałabym to robić?

–Ponieważ wtedy ja i Hob uwolnilibyśmy się od ciebie.

–Sir Jamesie, sir Jamesie! – wtrącił pośpiesznie TB. – Bądź łaskaw zdobyć się na trochę cierpliwości...

–Trudno mi to przychodzi przy tej damie.

–Jestem królową, głupku!

Jim zignorował ją.

–Bardzo cię proszę, sir Jamesie – rzekł TB – abyś zechciał posłuchać jeszcze przez chwilę.

–Król David i ja również o to prosimy – odezwał się niespodziewanie Dafydd.

Jim spojrział na nich z zaciekawieniem.

–Czy usłyszę coś poza wyzwiskami?

–My – lord TB, król David i ja – tak uważamy.

Jim spojrział na dwie poważne ludzkie twarze i na nieprzeniknione węzowe oblicze TB.

–Dobrze – powiedział. – Hobie, nie podchodź do królowej. I w żadnym wypadku nie pozwól, żeby cię dotknęła. Najlepiej nawet nie próbuj z nią rozmawiać.

–Milordzie! Ona jest taka smutna!

–Smutna! – prychnęła królowa Północnych Wichrów, niemalże tocząc pianę z ust.

–Smutna czy nie, trzymaj się od niej z daleka. To rozkaz, Hobie!

–Tak, milordzie – odparł żalonym głosem skrzat.

„To dla jego bezpieczeństwa”, powiedział sobie Jim. Mimo to miał wyrzuty sumienia. Dostatecznie długo i dobrze znał małego skrzata, by wiedzieć, że Hob współczuje każdemu cierpiącemu, samotnemu, a nawet nie potrafiącemu się cieszyć. Odepchnął od siebie tę myśl. Teraz nie było czasu na takie dylematy.

–W porządku – powiedział. – Wyjaśnij mi to, TB.

–Krótko mówiąc – zaczął TB – król David, Dafydd i ja przybyliśmy tu, aby sprawdzić, czy najeźdźcy są gotowi ruszyć na Liones, jak donosili nam zwiadowcy. Dafydd ocenił, że istotnie zaczęli już związać obóz. A potem, rozglądając się za

harpiami i nie znajdując żadnej, natrafiliśmy na... Nie na królową Północnych Wichrów, ale jej...

Zawahał się.

–Projekcję? – podpowiedział Jim.

Królowa Północnych Wichrów prychnęła.

–Kiedy przystanęliśmy, żeby bliżej się jej przyjrzeć, pojawiła się osobiście – ciągnął TB. – Powiedziała nam, że chce cię o coś zapytać, i w zamian udzieli ci interesującej informacji. Pomyśleliśmy, że najlepiej sam się z nią rozmówisz, natychmiast więc wróciliśmy do ciebie i sir Briana. Sądziłem...

–Nieważne, co sądziliście! – przerwała mu królowa Północnych Wichrów. – Ja będę mówić. Ty, Jamesie, słuchaj. Zauważyłam, że Morgan le Fay od dłuższego czasu nic nie może ci zrobić. Natychmiast powiesz mi, jak udało ci się to osiągnąć.

–Tak po prostu mam ci powiedzieć?

–Oczywiście!

–Dlaczego?

–Ponieważ ci każę, idioto!

–A co mi dasz w zamian?

–Nic. To zwierzę Pellinora musiało źle mnie zrozumieć. Królowa nigdy się nie targuje. Rozkazuję ci!

–Możesz sobie rozkazywać do upojenia – rzekł Jim.

W pierwszej chwili królowa Północnych Wichrów najwyraźniej nie zrozumiała, że to już cała jego odpowiedź. Potem na jej policzkach pojawiło się coś, co można by uznać za rumieniec.

–Oczywiście – dodał Jim – jako królowa, zawsze możesz spróbować mnie do tego zmusić. Spróbuj.

–Będziesz tego żałował do śmierci, która przyjdzie szybko! – warknęła.

–Być może. No już, na co czekasz? Nie powiesz mi chyba, że tutaj, w zatopionej krainie, nie posiadasz żadnych magicznych umiejętności?

–Nieprawda! Zawsze je mam!

–Nie wierzę w owo „zawsze” – odparł Jim. – Skorzystałaś z nich, żeby stworzyć projekcję, ale zapewne osobiście musiałaś ją tu umieścić.

–Ty też nie możesz posługiwać się tutaj magią!

–Nie? A jak udało mi się przez tak długi czas wymykać z rąk Morgan...

Przepraszam, zapomniałem. Tego właśnie chciałaś się ode mnie dowiedzieć.

–Może. Jednak pomysł, że miałabym dać ci coś w zamian, jest śmieszny. Może masz magię, z której nie możesz korzystać – pominąwszy wymykanie się Morgan le Fay.

Domyślna osoba, stwierdził w duchu Jim.

–Mylisz się – powiedział na głos stanowczo.

–Mylę się? W czym? Twierdzisz, że twoja magia działa w Liones?

–Oczywiście.

–To bzdura! Jesteś tam obcy, a więc nie możesz z niej korzystać. Poza tym, Morgan pozbawiłaby cię jej!

–Próbowała. Nie była w stanie.

–Nie? Jak...

–Poparzyła sobie palce, próbując.

–Poparzyła! – Królowa Północnych Wichrów pospiesznie cofnęła się o krok.

–Właśnie – przytaknął Jim. – Zejdiesz wreszcie z wysokiego konia i zaczniesz mówić sensownie czy na tym zakończymy tę pogawędkę?

–Morgan? Poparzyła sobie palce? – Z emfazą wymówiła imię królowej czarodziejek.

–Tak.

–Nie dziwię się. – Po raz pierwszy w głosie królowej Północnych Wichrów dał się słyszeć namysł. A także coś na kształt desperacji lub zmęczenia. Dotknęła dłonią czoła. – Ona nie jest wszechmocna – powiedziała nagle. – My, cztery królowe czarodziejek, otrzymałyśmy Liones, abyśmy władały nim – każda w swojej dziedzinie. Tam, gdzie wieją moje wichry, żadna z pozostałych trzech nie zdoła stawić mi czoła. Jednak moc Morgan rosła, gdyż była związana z Arturem i jemu podobnymi, których duchy wraz z drzewami i Starą Magią władały Liones. Teraz sądzi, że powinna rządzić wszystkim, a ponieważ jest to niemożliwe, zerka na pobliskie ziemie.

–Przecież tutaj też nie będzie miała żadnej magicznej władzy – rzekł Dafydd. – W jaki sposób chce nad nami panować?

–Ach – odparła królowa Północnych Wichrów, przyciskając palec do nosa i zerkając chytrze na Jima. – Jeśli chcecie usłyszeć odpowiedź, musicie...

Jej palec zadrżał. Odjęła go od nosa i szeroko otworzyła oczy.

–Wilgotny!

Jim zauważył, że teraz drżała jej nie tylko dłoń, ale i całe ciało. Zachwiała się.

–Milady!

Hob zeskoczył z ramienia Jima i pobiegł ku niej. Jim rzucił się za nim i złapał go – wydawałoby się – w ostatnim momencie. Ona jednak nawet nie próbowała wyciągnąć ręki, by złapać skrzata, tylko skierowała na niego załzawione spojrzenie.

–Dlaczego tak mnie dręczysz swoją paskudną troską, mały? – wykrztusiła.

–Milordzie, ona potrzebuje pomocy! – Hob szamotał się w uścisku Jima, usiłując dosięgnąć królowej Północnych Wichrów.

–Nie zdołasz, jej pomóc, a jeśli jej dotkniesz, zrobi ci krzywdę – powiedział Jim. – Uspokój się!

–Nikt nie zdoła mi pomóc! – jej głos zszedł do szeptu. – Nikt. To słońce, to straszne słońce. Żar, pałący żar!

–Mów szybko – nakazał Jim. – Powiedz, o czym chciałaś mnie poinformować, a może zdołam cię ocalić. Szybko!

–Przybyłam... – Trzeba było wytężyć słuch, by zrozumieć słowa padające z jej zbiegających warg. – Przyłączyć się... do was...

–Nie tylko. Mów – nie wytrzymasz tego długo.

–Cumberland... okupowałyby... tę krainę. Ona... odebrałaby Liones... rycerzom... a Cumber... zyskałby górny świat...

Zamilkła. Zamknęła oczy. Jim jedną ręką sięgnął do sakwy, drugą nadal

przytrzymując Hoba. Wyjął jeden z zaczarowanych owoców – gruszkę – i ugryzł ją. Podobnie jak winogrono, które wykorzystał, by odpędzić senność, tak i ona znalazła inne zastosowanie, niż przypuszczał, tworząc ją. Mimo to warto było ją poświęcić.

–„Pawilon!” – powiedział w myślach, wyobrażając sobie sporą konstrukcję podobną do namiotu. „Cień. Temperatura siedemdziesiąt... nie, pięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita”.

Wydział Kontroli nie będzie miał pojęcia, co stopnie Fahrenheita, Celsjusza czy innej skali oznaczają w kategoriach ciepła i zimna, ale to bez znaczenia.

On wiedział.

Natychmiast znaleźli się w cieniu pawilonu, w temperaturze chłodnego, lecz przyjemnego jesiennego dnia. Przez moment miał ochotę zejść do czterdziestu stopni, ale taka gwałtowna zmiana temperatury otoczenia mogłaby zaszkodzić królowej Północnych Wichrów, nawet jeśli właśnie taką lubiła i była do niej przyzwyczajona.

Rozdział 37

Cień i chłód pawilonu były przyjemne, choć Jim nie miał pojęcia, czy dobrze robiły nieprzytomnej teraz królowej czarodziejek. Wraz z pozostałymi przyglądał się jej. Hob przestał się wyrywać.

–Racz mi wybaczyć, milordzie – powiedział pokornym głosem. – Jestem tylko biednym skrzatem i nie wiedziałem, że nie zdołam jej pomóc tak jak ty.

–Nonsens! – mruknął Jim. – Nawet o tym nie myśl, Hobie, To, co potrafisz uczynić dla ludzi, młodych i starych, jest lepsze od magii.

Nadal przytrzymywany przez Jima, Hob z powątpiewaniem spojrzał mu w oczy. Jim puścił go. Wodząc wzrokiem od niego do królowej Północnych Wichrów, skrzat dołączył do milczącego półokręgu stojących nad omdlałą kobietą towarzyszy. Nie poruszała się i nie otworzyła oczu, lecz Jim zauważył, że przestała już ronić łzy.

–Myślę, że nic jej nie będzie – powiedział, przerywając przedłużającą się ciszę. – Poczekajmy minutę czy dwie.

Tak zrobili, chociaż czas im się dłużył, królowa rzeczywiście niebawem otworzyła oczy. Spojrzała na płócienny dach i zagryzła wargi.

–Czy jestem w Liones? – zapytała.

–Nie – odparł Jim. – Nadal w zatopionej krainie.

Uspokoła się, na moment zacisnęła powieki i odetchnęła z ulgą.

–Myślałaś, że wróciłaś tam i straciłaś swoją magię? – powiedział Jim, celowo wymawiając to ostatnie słowo tak, jak wszyscy tutaj oprócz Angie, Merlina i niego samego.

Gwałtownie otworzyła oczy.

–Jeśli nawet, była to tylko chwilowa słabość – odparła, usiłując przemawiać swoim zwykłym, ostrym tonem. Zdziwiałe, ale nie udało się jej to. – Mimo wszystko... Dziwne, ale podoba mi się ten chłód, chociaż jest niczym w porównaniu z tym, który panuje w moim zamku.

–Będziesz potrzebowała naszej pomocy, żeby do niego wrócić – rzekł Jim. – Twoja magia być może czeka na ciebie w Liones, ale kłopoty również. Jesteś gotowa zawrzeć umowę?

–Królowe nie... robią tego, co powiedziałaś! – Nadal nie udawało jej się powrócić do poprzedniego ostrego tonu. – Królowe żądają, a jeśli są zadowolone z rezultatów, mogą nagradzać posłusznych.

–A magowie – powiedział Jim, wymawiając to słowo z naciskiem i tym razem na swój sposób – niczego nie żądają, ale też nie spełniają niczyich żądań. Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, będziesz musiała mówić moim językiem.

Odwróciła głowę i powiodła wzrokiem po pozostałych.

–Odpraw to małe wścibskie stworzenie. Nie mogę znieść jego obecności.

–On zostanie – rzekł Jim. – To nie jego wina, że kocha wszystkich, nawet kogoś takiego jak ty.

–To nieprawda. – Nadal nie patrzyła na Jima. – Miłość to złudzenie. A nawet jeśli nie, nikt nie może kochać królowej Północnych Wichrów. Nikt nie kochał. I nigdy nie będzie.

–Spójrz tutaj i nie zamykaj oczu – powiedział Jim. – Ktoś może i robi to. Stoi tuż przy tobie. Przyjrzyj mu się uważnie, a sama zobaczysz, co czuje.

–Nie. Królowe nie wykonują rozkazów.

–Wyzywam cię. Odwróć się i spójrz!

Przy tych słowach obróciła głowę, otworzyła oczy i spojrzała na Hoba.

–Przyznaj, że on kłamie! – powiedziała do skrzata.

–Och, milady! Milord nigdy nie kłamie.

Jim w duchu skrzywił się ze wstydu.

–A ponadto – dodał Hob, lekko podnosząc głos – to po prostu prawda. My, skrzaty, takie już jesteśmy. Lubimy rozśmieszać dzieci. Martwi nas, gdy widzimy kogoś przygnębnego i nie możemy mu pomóc. Będzie mi smutno z twojego powodu, dopóki nie przestaniesz mnie zasmucać.

–Zatem będziesz smutny na wieki i nic ci z tego nic przyjdzie! Ja władam wichrami! Nikt nie może mnie kochać. Nie mam kochanków ani przyjaciół.

–Ja jestem twoim przyjacielem. Widzisz, gdybyś tylko pozwoliła, żebym zabrał cię na przejażdżkę na smudze dymu, zaraz poczułabyś się lepiej. Nawet gdybyś nie chciała.

–Ja nie chcę poczuć się lepiej, ty mały idioto! – krzyknęła królowa Północnych Wichrów, siadając. – Lubię być taka, jaka jestem. Lubię czuć się tak, jak się czuję. Och, zabierz go! – prawie krzyknęła na Jima. – Zabierz go i zniszcz... nie, nie niszczy, tylko trzymaj z daleka ode mnie. On kłamie. Ty też. Miłość! Idiotyzm! On nie może mnie kochać, a nawet gdyby – co to za różnica?

–Może lepiej już sobie pójdziemy – rzeki Jim. Czas mijał i Jim zaczynał wątpić w celowość dalszej rozmowy z królową Północnych Wichrów. – Hobbie...

–Ależ mogę! – krzyknął Hob i zanim Jim zdążył go powstrzymać, skrzat doskoczył do królowej Północnych Wichrów, złapał ją za rękę i spróbował podnieść z ziemi. Z trudem wstała. Zmierzyła go spojrzeniem, gdy puścił jej dłoń.

–Nie odebrałam ci ciepła... – powiedziała powoli. – Jakbyśmy byli równie zimni – lub ciepli!

Obróciła się do Jima.

–Co to za miejsce? – spytała. – To nie jest... nie jest...

–Górna kraina? Nie – odparł Jim.

–A więc w jaki sposób może tutaj działać na mnie twoja magia?

–To nie magia – powiedział Jim. – Ty...

Powstrzymał się w samą porę. Epitety nigdy nie poprawiają sytuacji, a właśnie był gotów ich użyć. Jednak Hob dał wszystkim przykład. Jim podszedł do królowej Północnych Wichrów i uściśnął jej dłoń.

Zrobił to ze ściśniętym sercem, lecz jej dłoń była w dotyku taka sama jak każda ludzka ręka – może nieco chłodna, ale nie zanadto, zważywszy na panującą w pawilonie jesienną temperaturę. Puścił ją. Królowa spojrzała na swoją rękę, jakby ta ją zdradziła.

–Jestem zgubiona! – powiedziała. – Wichry nie będą mnie słuchać. Już po mnie!

–Nic podobnego! – zakrzyknął Brian. Podszedł do niej, ujął jej dłoń i dwornie

ucałował. – Królowo!

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Znów popatrzyła na swoją dłoń.

–Oczywiście, że wichry będą cię słuchać – oznajmił Jim. – Twoja magia nie rządzi tobą. To ty nią rządzisz. Właśnie odkryłaś coś, co ukrywałaś sama przed sobą, za pomocą swojej magii. Wcale nie musisz odbierać ciepła każdemu, kogo dotkniesz!

–Nie jestem zimna – powiedziała, składając ramiona na piersi i ściskając dłońmi łokcie, jakby należały do obcej osoby. – Nie jestem zimna!

–Właśnie – potwierdził Jim, – My jednak musimy już wracać do Liones. Może lord TB będzie tak dobry i przeniesie cię...

–Oczywiście – przytaknął TB. – Chętnie zabiorę królową Północnych Wichrów – ale tylko tam, dokąd my zmierzamy. Stamtąd resztę drogi może przebyć dzięki własnej magii.

–Doskonale – powiedział Jim. – Cóż, królowo, pytam po raz ostatni – co chciałaś mi powiedzieć?

–Powiem ci coś o Morgan le Fay – odrzekła, podnosząc głowę jak ktoś nagle budzący się ze snu. – Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, jeśli pomożesz mi ją pokonać.

–Przyłącz się do nas – całym sercem – a wszyscy ci pomożemy. W zamian jednak i ty musiałabyś nam pomóc. Co do Morgan, już powiedziałaś nam, że chce zdobyć zatopioną krainę i w zamian wykorzysta swoje magiczne umiejętności, by pomóc Cumberlandowi w knowaniach w naszym świecie. Co ona zamierza?

–Niestety – odpowiedziała królowa Północnych Wichrów – nie wiem. Lecz jej magiczna moc jest ogromna, szczególnie wobec umierających i tych, którym grozi śmierć.

–Nie sądzę, aby to nam wiele pomogło – stwierdził Jim. – A co możesz nam rzec o dwóch pozostałych królowych Liones – Wschodnich Ziemi i Wysp Zewnętrznych?

–Sporo. Co chcesz wiedzieć?

–Zbyt wiele, by teraz pytać – odparł Jim. – TB, zamierzam skasować ten pawilon. Przeniesiesz nas z powrotem, gdy tylko zniknie?

–Słońce... – zaczęła zaniepokojona królowa Północnych Wichrów.

–Teraz nie wyrządzi ci krzywdy. Gotowy, TB?

Pawilon znikł. Ciemność opadła i rozwiła się. Znowu znaleźli się w miejscu obrad. Siedzący przy najbliższych stołach rycerze spoglądali na nich ze zdumieniem.

–Żegnajcie – powiedziała królowa Północnych Wichrów, spoglądając na Hoba. – Żegnaj, mały. Myślę... myślę, że pewnego dnia także poczuję do ciebie to, co nazywasz miłością.

–Och, już mi lepiej, królowo – odparł skrzat. Zniknęła.

–Ha! – odezwał się twardy, basowy głos i Jim ujrzał przed sobą Pellinora. – Tu jesteście. Byłem pewien, że stoicie przy mnie, ale najwidoczniej odeszliście bez słowa. Chodźcie – powiedział, nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i powiódł ich pod daszek oraz na podium. Stało tam mnóstwo drewnianych stołów, lecz tylko jeden był zajęty.

Siedziało za nim pięciu legendarnych rycerzy. Wszyscy byli gładko ogoleni i choć

żaden z nich nie przekroczył czterdziestki, emanowali autorytetem i doświadczeniem.

–Hobie – szepnął w samą porę Jim – schowaj się!

Hob wskoczył mu za kołnierz, między kolczugę a koszulę. Jim nic miał pojęcia, w jaki sposób się tam mieścił – zapewne miało to coś wspólnego z umiejętnością dostania się wszędzie tam, gdzie docierał dym.

–Panowie – rzekł Pellinor, przystając przed stołem, a Jim i po zostali zrobili to samo. – Pozwólcie, że przedstawię wam sir Jamesa Eckerta de Malencontri, sir Briana Neville'a-Smythe'a z zamku Smythe, obu z górnej krainy, oraz lorda TB, którego dobrze znacie, a także króla i księcia zatopionej krainy...

Ku zaskoczeniu Jima, wiernie powtórzył obecny książęcy tytuł Dafydd w niezrozumiałym języku zatopionej krainy.

–...naszych sąsiadów. Ich królestwo również zostało zaatakowane przez Ciemne Moce, które nam zagrażają.

–Panowie – rzekł siedzący na środku rycerz, najniższy z całej piątki, z wystającą szczęką nadającą mu wojowniczy wygląd – to dla nas zaszczyt.

–Pozwólcie zatem – ciągnął Pellinor, lekko obróciwszy się do Jima i jego przyjaciół – że przedstawię wam sir Gawena, siedzącego po jego prawicy sir Cadora z Kornwalii, a za nim króla Borsa. Po lewicy sir Gawena zasiada sir Idrus, a za nim sir Berel. Wszyscy ci szlachcice walczyli niegdyś przeciw Rzymianom.

–Zechcecie spocząć, panowie? – spytał sir Gawen. Mimo niskiego wzrostu był krępy i masywny. Mówił chłodnym, spokojnym barytonem.

Jim i pozostali, z Pellinorem włącznie, przysunęli sobie stołki i usadowili się po drugiej stronie stołu. Wszyscy prócz TB, który oczywiście przysiadł na zadzie, ale i tak łeb miał na wysokości głów siedzących ludzi.

–Panowie – rzekł Gawen – dyskutowaliśmy w piątkę, co należy uczynić, jeśli siły obozujące teraz na pograniczu zatopionej krainy ośmielą się wkroczyć do Liones. Przybyliśmy tu uzgodnić kilka spraw. Jedną z nich jest wytypowanie ewentualnego pola bitwy.

–Dobrze byłoby wiedzieć, gdzie chcą nam wydać bitwę – stwierdził Pellinor. – Waszym zdaniem gdzie to nastąpi?

–Na Pustej Równinie – odparł sir Gawen.

Siedzący po drugiej stronie stołu rycerze pokiwali głowami i Jim ze zdziwieniem stwierdził, że po jego stronie przytakuje tym słowom nie tylko Pellinor, ale także Dafydd i David.

–Wybaczcie – odezwał się – ale nie wiem, gdzie znajduje się Pusta Równina ani jak wygląda. Zechcecie mi to wyjaśnić?

–Nie znasz Pustej Równiny, panie? – zapytał sir Idrus, mężczyzna o pociągłej twarzy i bystrych ciemnych oczach. Jego towarzysze spojrzeli z niedowierzaniem.

–Sir James tylko raz był w Liones, zmierzając do skały kryjącej królestwo sękatych, i przebywał tu wówczas bardzo krótko. Wybaczcie, że przeszkadzam, ale uznałem, że powinienem o tym wspomnieć. Ja oraz siedzący obok mnie król zatopionej krainy wiemy o niej tylko z opowieści naszych ludzi, którzy zapuścili się zaledwie kawałek na tę zaczarowaną równinę.

Niedowierzenie w spojrzaniach tamtych zmieniło się w coś bliskiego pogardy.

–Sir James jest magiem z górnej krainy – dodał Pellinor. Wzgarda znikła, pozostało jedynie zdziwienie i respekt – być może zmieszany z odrobiną zdrowej ostrożności.

–Może zechcecie mi wyjaśnić, panowie – rzekł Jim, pamiętając o najlepszych czternastowiecznych manierach – dlaczego najbardziej prawdopodobnym miejscem bitwy wydaje się wam Pusta Równina.

–Bo tylko tam jest dość przestrzeni, żeby ją stoczyć – odrzekł sir Idrus.

–Nie tylko dlatego, panowie – dodał Gawen. – Ci, którzy najadą Liones, z pewnością słyszeli o magicznej sile naszych drzew, i nic będą chcieli wjeżdżać między nie, obawiając się ich.

–W rzeczywistości drzewa nie mogą nam pomóc – dodał król Bors.

–Jednakże najeźdźcy o tym nie wiedzą – rzekł sir Gawen. – Bywało, że drzewa wyciągały gałęzie i dusiły tych, którzy przyszli tu czynić zło.

–To niewielka pomoc w bitwie – rzekł król Bors. Mogą zadusić ledwie jednego czy dwóch nieprzyjaciół.

–Dobrze! – zagrział basem Pellinor. – Nie traćmy czasu na drobiazgi, kiedy Liones grozi niebezpieczeństwo. Zgadzam się, jak my wszyscy, że Pusta Równina prawdopodobnie będzie polem bitwy i tam będą nas oczekiwać. Mamy wśród nas sir Jamesa i jego przyjaciół, doświadczonych w walce z Ciemnymi Mocami, które podobno stoją za tym najazdem. Skorzystajmy z jego wiedzy, dopóki tu jest.

–Masz wicie racji, królu Pellinorze – rzekł Gawen. – Postanowiliśmy, że ty nas poprowadzisz...

„Od tego powinni byli zacząć”, pomyślał Jim.

–Czy mogę więc spytać – ciągnął sir Gawen – czy wiesz, sir Jamesie, kto będzie dowodził wojskami przeciwnika?

–Rycerz zwany sir Robertem de Clifford, earl Cumberland, panowie – odparł Jim, – On nie jest dowódcą, którego kochają podwładni, lecz... – Gorączkowo szukał właściwego słowa i w pośpiechu użył pierwszego lepszego, które przyszło mu na myśl, chociaż uważał, że jest nieodpowiednie. – To rycerz śmiały i doświadczony. Będzie trudnym przeciwnikiem.

–Gdyby był z nami Artur lub Lancelot, nie miałyby to żadnego znaczenia – powiedział sir Berel, odzywając się po raz pierwszy.

–Tylko że ich tu nie ma – uciął Gawen i ponownie zwrócił się do Jima: – I oceniasz ich siły na osiem do dwunastu setek kopii?

–Nie ja ich policzyłem – odparł Jim – lecz sir Brian, który zna się na tym lepiej ode mnie.

–Z pewnością ty, panie – powiedział niespodziewanie król Bors – jako mag wiesz to najlepiej?

–Królu Borsie – rzekł Jim, zadowolony z tego, że zna to imię z legend i wie, z kim rozmawia – rycerz ma zasady, którymi musi się kierować, jeśli chce być godnym tego miana. Podobnie magia dyktuje reguły, których muszą przestrzegać magowie. Nie mogę i nie chcę ich łamać. Nie powiem nic więcej.

–Ha! – skwitował tę wypowiedź król Bors, lecz na tym poprzestał.

–Jednakowoż – rozpoczął po krótkim milczeniu sir Idris – w ten sposób dochodzimy do pytania, na które musimy poznać odpowiedź. – Spojrzał na Gawena. – Czy zechcesz je zadać?

–Ponieważ siedzę pośrodku stołu, niewątpliwie powinienem – odrzekł Gawen. Spojrzał ostro na Jima. – Sir, jesteśmy wdzięczni, iż przybyłeś tu ostrzec nas przed atakiem i za wszelką inną pomoc. Może zechcesz powiedzieć nam, dlaczego ty i twoi przyjaciele chcecie bronić Liones, która leży tak daleko od waszego świata?

Z jakiegoś powodu Jim spodziewał się tego pytania. Mimo to zjeżył się, szukając odpowiednich słów. Zanim zdążył coś powiedzieć, Brian wypalił:

–Sir! – zerknął na Jima. – Wybacz mi, sir Jamesie. Szlachetni rycerze! Pochodzimy wprawdzie z innej i odległej krainy, lecz nie ma w niej wartego tego miecza rycerza, któremu serce nie rosnęło w piersi na dźwięk imienia Artura i jego towarzyszy. To jego i waszą miarę przykładamy do naszych i cudzych uczynków. Jakże moglibyśmy stać bezczynnie z boku, wiedząc, że Ciemne Moce i ich stwory knują przeciwko rycerzom Okrągłego Stołu?

Trzech z pięciu siedzących za stołem powiedziało „Ha!”, a sir Cador z Kornwalii posunął się nawet do tego, że sięgnął prawicą do górnej wargi, jakby chciał podkreślić nie istniejącego węża, ale zaraz zdał sobie sprawę z tego, co robi, i opuścił rękę.

–Chcieliśmy się tylko upewnić – powiedział Gawen – co łatwo zrozumieć, sir Brianie i sir Jamesie, że nie będzie wśród nas nikogo, kto wspomaga nas z jakichś lekkomyślnych lub samolubnych pobudek.

–Oczywiście – rzekł Jim, poruszony tak, że zaniechał prób przemawiania w średniowiecznym stylu. – Podziwiamy was za to.

–Nie ma potrzeby podziwiać rycerzy Artura za to, że spełniają swój obowiązek – odparł chłodno Gawen, cedząc słowa. – No cóż, chyba wiemy już wszystko. Razem z tymi, którzy ostatnio zmartwychwstali i wrócili do Liones, wystawimy prawie trzy setki kopii. Tyle powinno wystarczyć. Sądzę, że policzyłem wszystkich. Nasi potomkowie pojedą z nami, oczywiście, ale powinniśmy ich chronić, jadąc w pierwszym szeregu. Poprowadzi nas król Pellinor, a nasi sąsiedzi pomogą nam w miarę swych możliwości, za co im dziękujemy. Czy ktoś chce coś dodać?

Jim zamrugał powiekami. Ci ludzie mogli sobie być wielkimi wojownikami, ale trzystu przeciwko ośmiu do dwunastu setek wrogów? To po prostu niewiarygodne.

–A zatem nie ma sposobu, żeby wciągnąć ich w zasadzkę? – spytał sir Berel, pulchny rycerz, nieco smętnym tonem. – Sir Lionel i sir Bediwer, walcząc z Rzymianami, zastawili zasadzkę i odnieśli wielki sukces, chociaż krótkotrwały. Sir Idrus i ja wpadliśmy w ręce wroga i dopiero ty, sir Gawenie, z zacnym Idrusem...

–To był tylko niewielki oddział rzymskiej armii – przypomniał mu sir Idrus. – Pamiętaj, że główną bitwę stoczyliśmy i wygraliśmy później – przeciwko cesarzowi Lucjuszowi. Ponadto nie jesteśmy rycerzami, którzy uciekliby tchórzliwie z pola bitwy, wciągając wroga w zasadzkę.

–Myślę, że to na nic by się nic zdało – powiedział nagle basem Pellinor. – Sądząc

po tym, co książę rzekł mi o kochance Cumberlanda, strach przed tym, co słyszeli na temat naszych drzew, zatrzyma ich na Równinie. Ona może być królową czarodziejek z górnej krainy i wiedzieć o nas więcej, niż powinna.

Zapadła krótkotrwała cisza.

–Co więcej, panowie – dodał Pellinor – jeśli wybraliście mnie, abym wam przewodził, tak się stanie. Nie będzie żadnych zasadzek. Jak zawsze, musimy ufać Bogu i sile naszych ramion.

Gawen obrzucił go szybkim spojrzeniem, ale zaraz odwrócił wzrok.

–Lordzie TB – rzekł Pellinor – wolno spytać, czy drzewa nie zechciałyby ostrzec cię, kiedy najeźdźcy wkroczą na naszą ziemię – a ty przekazałbyś nam to ostrzeżenie?

–Panie, one zrobią to i ja też. Będziecie mieli czas, by przygotować oddziały czekające między drzewami na tym końcu Pustej Równiny, zanim przez nią przejdą.

–Ach – westchnął sir Idrus – doskonale pamiętam, jak Artur spytał o radę innych królów, zanim ruszył na wojnę z Lucjuszem, cesarzem Rzymian. Aguish ze Szkocji zaproponował mu tysiąc zbrojnych, król Małej Brytanii obiecał tyłuż, tak samo lord Zachodniej Walii, sir Lancelot i inni, a wszyscy rycerze Okrągłego Stołu przysięgli pomoc. Teraz...

–To było wtedy, a to jest teraz – uciał Gawen, wstając. – Według słów sir Briana, ten Cumberland ma przeciw nam najwyżej dwanaście setek ludzi. Uważam, że nie ma już o czym mówić. Rozprawimy się z nimi.

Jim, obawiając się, że narada zaraz się skończy, niemal bez zastanowienia podniósł rękę.

–Sir! – powiedział. – Jeśli zechcesz uczynić mi ten zaszczyt i posłuchać jeszcze chwilę...

Gawen znieruchomiał i czekał, lecz bez szczególnego zainteresowania.

–Możemy wiele zyskać, jeśli zastanowimy się jeszcze chwilę – rzekł pospiesznie Jim. – Pomyślcie tylko. Ciemne Moce wysyłają harpie przeciw zatopionej krainie, którą także chcą podbić, Jednak zatopiona kraina ma niezwykle zręcznych łuczników, którzy mogliby walczyć razem z wami na Pustej Równinie, Jest pewien rodzaj szyku bojowego, który w górnym świecie zapewniał wspaniałe zwycięstwa nad przeważającymi siłami. Łucznicy stoją, na skrzydłach, zbrojni w środku i...

–Z pewnością doskonale sobie radzili w ten sposób – przerwał mu Gawen. – Każdy rycerz uczyni, jak zechce, lecz ja wolę wygrywać wojny moim mieczem i kopią. Jednakże nic straconego, gdyż możesz wyjawić twój plan królowi Pellinorowi, który teraz dowodzi. Żegnam was, panowie.

Cofnął się, wyszedł zza stołu i minawszy Jima oraz jego towarzyszy, opuścił ich.

Pozostali czterej rycerze także się podnieśli i jeden po drugim oddalili się, życząc im miłego dnia.

Rozdział 38

Kiedy Gawen i czterej rycerze zniknęli z pola widzenia, Pellinor uprzejmie wysłuchał szczegółowego opisu bitew pod Crecy i Poitiers we Francji, które Jim pamiętał ze studenckich czasów.

–Ponadto – podsumował Jim – chociaż nie miałem okazji po rozmawiać o tym z Dafyddem...

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie podać pełnego tytułu i nazwiska przyjaciela w języku zatopionej krainy, ale zrezygnował, Pellinor i tak wiedział, o kim Jim mówi.

–Mam pewien pomysł, jak z pomocą sir Briana wykorzystać moją magię, aby oczyścić niebo nad zatopioną krainą z harpii, żeby łucznicy błękitnych mogli przybyć tutaj. Oczywiście, nie wiem, czy zechcą...

–Zechcą – obiecał Dafydd.

–Dziękuję ci, Dafyddzie. Ich obecność wyrównałaby szanse i być może zapewniła Liones zwycięstwo.

Pellinor skinął głową.

–To co mówisz, to niewątpliwie prawda – rzekł. – A ci łucznicy zatopionej krainy są z pewnością dzielnymi, zacnymi wojownikami, niezwykle zręcznie posługującymi się swym orężem. Każda armia musiałaby się z nimi liczyć, a szczególnie piesi, uzbrojeni we włócznie i tym podobną broń.

Król zamilkł na chwilę. Jim, który często brał udział w akademickich dyskusjach i wiedział, kiedy spodziewać się odmowy – wyczuł, że zaraz ją usłyszy.

–Jednak, jak pewnie sami wiecie, śmierć jest dla rycerza niczym – dodał Pellinor. – A jeśli sami nie zdołamy obronić ziemi Artura, nie zasługujemy, aby ją zachować. Jakie wówczas mielibyśmy do niej prawo? Sam Bóg mógłby je kwestionować i miałby rację. Dziękuję wam, sir Jamesie i tobie, książę skał omywanych przez morze...

Pamięć znów podsunęła Jimowi znaczenie tytułu Dafydda w języku zatopionej krainy, chociaż nie był w stanie wymówić tych słów.

–...oraz tym dobrym łucznikom za gotowość udzielenia nam pomocy. Teraz muszę zająć się przygotowaniem do bitwy. Każdy musi przyszykować sobie zbroję, konia i ekwipunek. Życzę wam wszystkim dobrego dnia.

Odszedł.

–TB – powiedział Jim, gdy ten wyprowadził ich z pawilonu w nieco innym kierunku, niż udał się Pellinor – jeśli wolno spytać, czyżbym moją propozycją obraził króla Pellinora i Gawena?

–Na pewno nie króla Pellinora – odparł TB – ale Gawen zawsze wynajdywał jakieś powody do obrazy. On nie znosi sprzeciwu. Tym razem jednak, jeśli nawet jest urażony, to zupełnie bez powodu.

–Dziękuję – odparł Jim. – Czuję się trochę lepiej.

–Nadal jednak niezbyt dobrze? – Już opuścili pawilon i szli między stołami, w tym momencie przeważnie pustymi. TB zaprowadził ich do kępy drzew nieopodal. Kiedy znaleźli się tam, zapytał ponownie; – Wciąż się martwisz, sir Jamesie?

–Moglibyśmy wprowadzić łuczników do walki, nie zważając na zdanie rycerzy – rzekł Dafydd. – A nie muszę przypominać, iż zatopionej krainie zagraża ten sam

wróg, więc – jak rzekł Gawen – walczylibyśmy po ich stronie z samolubnych pobudek. Jeśli jednak tego nie zrobimy, nie mam pojęcia, jaki cud zdoła uratować Liones, gdy ci rycerze, choćby nie wiem jak zręczni, będą walczyć sami przeciwko takiej potędze.

–Gawen powiedział – odezwał się młody David – że pozwolą pomagać potomkom. Po tylu latach, które minęły od odejścia Artura, każdy rycerz musi mieć co najmniej dwóch lub trzech synów zdolnych do walki.

–Tylko że żaden z nich nie widział nigdy prawdziwej bitwy, w przeciwieństwie do prawie wszystkich rycerzy Okrągłego Stołu – przypomniał Jim. – Nie wiem...

–Daj spokój, Jamesie! – pocieszał go Brian. – Nie upadaj na duchu. Bóg jest po stronie Liones. Ponadto ci, którzy walczą dla zysku, nie mogą się równać z walczącymi dla idei, a w dodatku w słusznej sprawie. A jakaż byłaby słuszniejsza?

–Nie upadać... – powtórzył Jim. – Zapomniałem! Zupełnie wyleciało mi z głowy. Brianie, pytałem cię już, czy chciałbyś...

Urwał. Brian był wtedy półprzytomny i Jim nie oczekiwał od niego trzeźwej odpowiedzi. Z drugiej strony, nie zastanowił się, zanim zadał to pytanie. Brian nie obawiał się niczego. Takie stwierdzenie byłoby przesadą w przypadku wszystkich znanych Jimowi osób, lecz nie Briana. Najlepiej świadczył o tym fakt, że niecierpliwie czekał na starcie garstki rycerzy Liones z kilkakrotnie liczniejszą armią doświadczonych wojowników.

–Miałeś mnie o coś spytać, Jamesie – rzekł Brian. – Bądź łaskaw dokończyć. Przydałaby się kapka wina, poza tym mam wrażenie, że już od bardzo dawna nie zaspokajałem głodu.

Jim wciąż się wahał, chociaż tamci trzej czekali teraz na to, co im powie. Kiedy zaczął się zastanawiać, przypomniał sobie, że to, co zamierzał zaproponować, wymagało nie tylko odwagi – a przynajmniej nie w przypadku Briana. Ten polował kiedyś na małe smoki – gdyż te większe, z Cliffside, przezornie trzymały się od niego z daleka – i równie dobrze jak każdy wiedział, że doświadczony jeździec w zbroi i z kopią jest śmiertelnie groźnym przeciwnikiem nawet dla największego z nich. Jim przekonał się o tym osobiście, kiedy po raz pierwszy pojawił się czternastowiecznym świecie pod postacią smoka Gorbasha. Bez namysłu zaatakował sir Hugh'a de Bois, ówczesnego właściciela Malencontri – i o mało przy tym nie zginął. Smocze ciało, chociaż bardzo silne i ciężkie, z konieczności ma bardzo lekkie kości, co pozwala stworowi unieść się w powietrze, tak więc kopia sir Hugh'a przeszła Jima na wylot.

Wiedział jednak, że smok budzi przerażenie wielu średniowiecznych ludzi. Z tego względu Brian mógł odrzucić jego propozycję.

Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Musiał zapytać.

–Nie zamierzałem proponować ci wina ani jadła, Brianie – powiedział Jim. – Zasypiałeś na stojąco, kiedy pierwszy raz o tym wspomniałem, więc przypomniałem ci, że spytałem wtedy: „Chciałbyś być smokiem?”

Brian zamrugał, a potem uśmiechnął się.

–Ha! – zakrzyknął. – Jeszcze jak, Jamesie!

Jim odetchnął z ulgą. Oczywiście, tego się spodziewał i choć Brian nic nie

wiedział o niebezpieczeństwach, jakie mogły im grozić, Jim lepiej się czuł, wiedząc, że przyjaciel będzie mu towarzyszył. Brian odezwał się ponownie:

–Chciałem rzec, Jamesie – dodał – że pragnę zostać smokiem na krótki czas. Mam różne zobowiązania. Na przykład wobec Geronde. Nasz ślub...

–Oczywiście – przytaknął Jim, z trudem odrywając się od swych rozmyślań. – Tak, sądzę, że na krótko... Niedawno wpadłem na pewien pomysł, jak we dwóch moglibyśmy...

Dafydd odchrząknął.

–Hm, Dafyddzie – powiedział Jim, obracając się do niego. – Myślałem tylko o Brianie i o sobie, ponieważ nie byłeś z nami wtedy, kiedy ta myśl przyszła mi do głowy. Nie chcę, abys sądził, że o tobie zapomniałem.

–Bynajmniej, sir Jamesie – rzekł Dafydd. – Miałem właśnie powtórzyć radosny okrzyk sir Brian a, lecz zanim zdążyłem to uczynić, przypomniałem sobie o czymś. Wiesz, nie jestem człowiekiem, który kocha tylko swoje obowiązki. Jednak zaraz uświadomiłem sobie, że mam powinności wobec mojego króla, które nie pozwalają mi latać jak sokół w powietrzu.

–Ja też chętnie zmienilibym się w smoka – powiedział David.

–To nie dla nas, miłościwy panie. Los naszego królestwa spoczywa na twoich barkach, a więc i na moich.

–Masz rację! – przyznał David, prostując się i wyglądając tak poważnie, jak tylko mógł chłopiec w jego wieku. – Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

–Milordzie? – szepnął cienki głosik do ucha Jima.

–Ty lepiej zostań tutaj, Hobie, z Dafyddem i jego wysokością.

–Ależ milordzie, powinienem przez cały czas być z tobą, na wypadek gdybyś chciał wysłać wiadomość milady!

–Czy ja tak mówiłem?

–Tak, milordzie.

–Kiedy?

–Nie pamiętam dokładnie, milordzie – zadumał się Hob – ale zawsze tak jest. Tak było, kiedy zabrałeś mnie do Ziemi Świętej i mieliśmy te kłopoty z dżinem, i musiałeś odesłać mnie do Malencontri. Pamiętasz, milordzie?

–Nie – odparł Jim. – Poza tym to jest Liones i górna kraina, gdzie znajduje się moja pani, to zupełnie inne miejsce, W żaden sposób nie zdołałbyś się tam dostać.

–Milordzie – nalegał skrzat – jestem tylko Hobem, ale może wspomniałem ci kiedyś, że potrafię robić różne rzeczy. Skrzaty mogą polecieć wszędzie, gdzie dostanie się dym, przez otwory niewidoczne gołym okiem. Zawsze go odnajdziemy, nawet jeśli pojawi się na drugim końcu świata. W Malencontri dym unosi się codziennie z płonącego drewna. W mgnieniu oka mogę przenieść się z tutejszego dymu na tamten, niezależnie od odległości i wszelkich różnic dzielących oba te kraje.

Przez chwilę wszyscy milczeli, spoglądając na Jima.

–Hm, być może, jeśli sądzisz, że potrafisz to zrobić – powiedział Jim, wiedząc równie dobrze jak pozostali, że ustępuje wobec bardzo wątpliej argumentacji. – Wskakuj mi na ramię i przez chwilę nie ruszaj się – nawet nie drgnij.

–Tak, milordzie – odparł podejrzenie uległe Hob.

Jim pospiesznie zmienił zaklęcie ochronne tak, aby obejmowało także skrzata. Wykorzystał ten sam rodzaj magii, przy pomocy którego poszerzył rozmiary osłony, żeby przygotować zaczarowane owoce. Po namyśle zmodyfikował ją tak, aby jej część chroniła Hoba także wtedy, jeśli ten oddali się na moment, a po jego powrocie ponownie łączyła się z główną częścią osłony. Hob nawet nie podejrzewał, że objęło go zaklęcie ochronne.

–Dobrze – mruknął Jim. – A teraz lepiej wejdź za moją kolczugę.

–Hurra! – zawołał Hob. – Już tu jestem, milordzie.

Na szczęście ważył tak niewiele, że Jim prawie nie czuł jego ciężaru na plecach.

–A więc dobrze – powiedział Jim, Zwrócił się do pozostałych. – Teraz Brian i ja spróbujemy wypatrzeć z powietrza, skąd przylatują harpie. Ciemne Moce muszą skądś je brać. Przy wieży Loathly – pamiętasz, Dafyddzie – tworzyły je w samej wieży. Znajdziemy je i zobaczymy, co się da zrobić. Chcę, by zatopiona kraina znów stała się bezpiecznym królestwem. Kiedy siły Cumberlanda przybędą lulaj i rozstrzygnie się los Liones, wtedy będziemy się martwić o to, co robić dalej. Wasza wysokość, Dafyddzie, czy zastaniemy was tutaj, kiedy wrócimy?

–Lepiej chyba będzie, jeśli zabiorę ich z powrotem do domu króla Pellinora – rzekł TB i zanim Jim zdążył dodać choćby słowo, mignęła ciemność i już ich nie było.

–W tej krainie wiele się podróżuje, zauważyłeś, Jamesie? – spytał Brian.

–Owszem, Brianie. A teraz zmienię cię w smoka...

–Czy mam klęknąć?

–To nie jest konieczne – oparł Jim. – Użyję magii, która uwzględni fakt, że już jesteś rycerzem.

–Aha.

Jim pogmerał w sakwie i wyjął magiczne owoce. Trochę się zakurzyły, lecz ponieważ w średniowieczu nikt nie zwracał uwagi na takie drobiazgi, on także nauczył się je ignorować.

Zjadł już jedno winogrono. Teraz zamierzał ugryźć jabłko. Było małe. Jeśli odgryzie kawałek, niewiele zostanie. Już miał to zrobić, ale nagie poczuł niepokój. Nie było powodu, by przedkładać jeden owoc nad inny. Rozmyślił się i ponownie ugryził gruszkę, wyobrażając sobie Briana jako smoka.

Kiedy schował resztki gruszki do sakwy, ujrzał przed sobą smoka, trochę mniejszego niż on sam w smoczej postaci, co było całkiem logiczne, gdyż zmiana uwzględniała oryginalne rozmiary. Ślepią smoka sypały skry.

–TO ZAISTE WSPANIAŁE! – huknął Brian głosem, który odbił się echem jak długie i szerokie miejsce obrad. Za najbliższymi drzewami rozległ się gwar wzburzonych głosów i Jim rozpaczliwie pomachał rękami przed długim, okropnie zębatym pyskiem Briana.

–Nic nie mów! – syknął. – Nie odzywaj się, dopóki nie powiem!

Smoki miały niezwykle donośne głosy – co było użyteczne, kiedy chciały sobie pogadać, będąc oddalone o sto metrów od siebie, lecąc w powietrzu – ale także bardzo wyostrzony słuch.

Brian skinął łbem.

Jim pospiesznie wyprowadził go spod drzew na polankę, a potem sam zmienił się w smoka. Brian posłał mu smoczy uśmiech, lecz nie odzywał się. Słyszeli zbliżające się głosy.

–Ruszamy – rzekł Jim. – Polecimy.

–Jak? – zapytał Brian basowym pomrukiem.

–Teraz możesz już mówić. Usłyszą nas, ale odlecimy, zanim tu przyjdą. Co do latania, po prostu pomyśl, że chcesz skoczyć w górę. Twoje smocze ciało ma własny instynkt – ciągnął Jim, wspominając ściskanie w gardle podczas swego pierwszego skoku z górnego wejścia do jaskiń Cliffsides – i ten instynkt każe cię zrobić to, co chcesz. Kiedy podskakujesz jako człowiek, nie musisz mówić kolanom: „teraz ugnijcie się, a potem szybko wyprostujcie”, prawda? Rób to co ja, a polecisz.

Jim wzniósł się w górę. Brian także. Łopot młocących powietrze skrzydeł niósł się daleko, ale już wzbili się nad drzewa, więc nie miało to żadnego znaczenia.

Osiągnąwszy wysokość około dwustu pięćdziesięciu metrów, Jim wyrównał, ale musiał pogonić za Brianem, który najwidoczniej chciał dolecieć do białego słońca Liones.

–Możesz już przestać poruszać skrzydłami – ryknął Jim. – Trzymaj je rozłożone i nieruchome, niech unoszą twój ciężar. Przypomnij sobie, jak robi to sokół!

Brian usłuchał.

–DROGI JAMESIE...! To jest, drogi Jamesie – powiedział, ściszywszy głos, gdy poszybowali w kierunku zlokalizowanego przez Jima komina ciepłego powietrza – nie wiem, jak ci za to dziękować. Z kim będziemy walczyć?

Jim już miał odpowiedzieć, że z nikim, ale uświadomił sobie, że zadałby dotkliwy cios nadziejom Briana.

–Może z harpiami – rzekł.

–Dobrze! – uradował się przyjaciel. – Jamesie, miałeś absolutną rację. Unoszę się, nawet nie wiedząc, jak to robię. To cudowne uczucie – latanie. Jak żeglowanie w powietrzu.

–Tak – przyznał Jim. – Tylko uważaj, bo wystarczy, abyś czegoś zapragnął, a jeśli smocze ciało będzie w stanie to uczynić, na pewno spróbuje.

–Przecież jeśli to będzie moje życzenie, powinno być nieszkodliwe?

–I zazwyczaj tak jest. Tylko że w tym momencie nie jesteś sobą, lecz człowiekiem w smoczym ciele. Możesz mieć ochotę zrobić coś, czego robić nie powinienes.

–No tak. Jamesie! – powiedział nagle Brian. – Moja dusza!

Nie pomyślałem o niej. Czy wystawiłem moją duszę na szwank, przybierając smoczą postać?

–Nie, nie. W tym smoczym ciele mieszka ta sama zacna dusza, ze wszystkimi twoimi zaletami.

–Raczej grzechami...

–Sam widzisz. Czy nie ostrzegałem cię? – powiedział Jim, gdy Brian długimi i ostrymi pazurami o mało nie rozorał sobie grubej skóry na piersi, próbując się przeżegnać.

–Istotnie, Jamesie. Nie mogę zaprzeczyć.

–Jesteś tą samą osobą co zawsze, tylko w innym ciele. Spójrz na mnie. Bywałem smokiem tuziny razy.

–I nabrałeś zwyczaju przysypiania na nieszpiorach – rzekł Brian. – Przez te dwa tygodnie, jakie spędziliśmy na bożonarodzeniowym przyjęciu u earla, kilka razy słyszałem, jak chrapiesz. Nikt z nas nie jest doskonały.

–Oczywiście – przytaknął Jim. – Ale mam dość tej gadaniny o moim chrapaniu. Na nieszpiorach u earla przysypiało wielu. To mógł chrapać każdy.

–Masz całkowitą rację, Jamesie – odparł Brian. – Wybacz proszę, że podejrzewałem, iż to właśnie ciebie słyszę.

Jim posłał mu gniewne spojrzenie. Brian miał niewinną minę, co było bardzo interesujące, albowiem wyraz smoczej niewinności polegał na szerokim otwarciu oczu i wyszczerzeniu imponujących kłów.

Jednak Jim nic nie mógł teraz na to poradzić. Brian wymanewrował go w tej rozmowie. Jim zanotował w myślach, by poczekać na sprzyjającą chwilę. Kiedyś nadarzy się okazja do rewanzu.

–Oczywiście – rzekł, o mało nie dławiąc się przy tym. – To najzupełniej naturalne. A przy okazji, czy zastanawiałeś się, dokąd lecimy?

–Tak.

–Powiem ci. Podążamy na północ, aby przelecieć wzdłuż skraju Liones, jak najbliższej zatopionej krainy.

–Ha! – rzekł smok-Brian. – I co będziemy robić, kiedy dotrzemy do celu, Jamesie? Mówiłeś, że we dwóch postaramy się odnaleźć miejsce, z którego przylatują harpie.

–Właśnie – odparł Jim. – Ciemne Moce muszą gdzieś je wytwarzać. Harpie umieją latać, ale ogry, robaki i inne potwory – jeśli takie tu są – będą musiały podróżować pieszo. Tak więc Ciemne Moce będą starały się tworzyć je jak najbliższej przyszłego pola bitwy.

–Tylko po co im harpie i tym podobne stwory, jeśli mają za sobą pomoc takich ludzi jak królowa Morgan le Fay, Cumberland i Modred?

–Człowiek, który zechciałby bezpośrednio współpracować z Ciemnymi Mocami, musiałby najpierw całkowicie zrezygnować z własnej woli.

–Niech Bóg broni! – rzekł Brian, drapiąc pazurem pierś, na której skreślił znak krzyża. Jim skrzywił się. – Jak dobrze, że ty wiesz takie rzeczy, Jamesie!

Jim skręcał się w duchu. Wcale nie wiedział. Po prostu, mimo iż spędził w tym średniowiecznym świecie już kilka lat, czasem mimowolnie przykładał do niego miarę dwudziestowiecznych wzorców logicznych. Oczywiście, ta rzeczywistość wydawała się prawie dokładnie taka sama jak tamta i rządziły nią te same prawa natury – chyba że zmieniała je magia. Tylko czy naprawdę? A może to coś, co wymagało istnienia tej pozornie logicznej rzeczywistości, jednocześnie potrafiło formować ją w dowolny pożądanym kształt?

No cóż, teraz nie czas na takie rozmyślania. W każdym razie prawdziwym cudem była równowaga sił, pozwalająca na współistnienie przeciwstawnych magicznych energii lub czegoś tam, a więc umożliwiającą koegzystencję praw fizyki i magii.

To współistnienie oznaczało, że takie twory jak Ciemne Moce muszą mieć jakieś ograniczenia. Gdyby tylko je znał...

–Sądzę – rzekł do Briana, korzystając z tego, iż na wysokości kilkuset metrów i pustym aż po horyzont niebie nikt nie może ich usłyszeć – że Moce za każdym razem używają nowych harpii i innych stworów. Nie wyobrażam sobie, żeby trzymały je gdzieś do czasu, aż znów będą im potrzebne. Postąpiłyby najrozsądniej, gdyby ponownie zmieniły je w magiczną energię, z której te stwory powstały, aby odtworzyć je w miarę potrzeby. Tak więc możliwe, że gdzieś tutaj mają wylęgarnię potworów – zapewne w pobliżu Pustej Równiny, ku której się kierujemy.

–Przecież harpie mogą powstawać w innym miejscu niż ogry i robaki, Jamesie.

–To możliwe, ale nie sądzę, by tak było. Zaczynam podejrzewać, że pod pewnymi względami Ciemne Moce wcale nie są takie cwane... chciałem powiedzieć „mądre”, jak sądzimy, w przeciwnym razie doprowadziłyby do zastoju lub chaosu...

–Wybacz, Jamesie. Zastoju lub chaosu?

–Hm, no tak... – zakłopotał się Jim. – Gdyby były równie mądre jak my, już powinny dokonać kilku rzeczy, a nie zrobiły tego. Po co miałyby rozdzielać miejsca wytwarzania tych stworów, gdyby chciały wykorzystać je tylko do ostatecznej bitwy z obecnymi właścicielami Liones?

–Cóż, nie wiem, Jamesie – odparł prosto z mostu Brian. – Widzę jednak, że ty tak.

–No, właściwie nie wiem – przyznał Jim. – Lecz Morgan le Fay obserwowała mnie i słuchała, więc gdy usłyszeliśmy, że polem bitwy będzie Pusta Równina, ona musiała usłyszeć i to – jeśli sama nie doprowadziła do wyboru tego miejsca. Aczkolwiek za dzień czy dwa i tak każdy renegat z Liones mógł się dowiedzieć o tym od kogoś z naturalnych i donieść jej.

–Przemyślałeś to bardzo dokładnie, prawda, Jamesie? – spytał z podziwem Brian.

–Nie, wcale nie – przerwał mu Jim. – Chociaż może. Jednakże większość to tylko domysły.

–No tak, jesteś skromny, rzecz jasna – powiedział Brian i nagle Jim zrozumiał, że przez te wszystkie pochwały przyjaciela w okrężny sposób przeproszał go za uwagę o chrapaniu.

–Tak się złożyło – skwitował Jim, aby zamknąć temat. – Teraz powinniśmy skupić się na poszukiwaniach tego miejsca, które zapewne gdzieś tu jest.

–Istotnie! No cóż... – Brian milczał chwilę. – Jeśli to wszystko, to czy mogę spytać, jak zamierzasz je odnaleźć? Od kiedy wzbiliśmy się w powietrze, widzę pod nami tylko wierzchołki drzew.

–Powinno zdecydowanie różnić się od otoczenia – tak jak wieża Loathly. Powinno być łatwe do zauważenia z powietrza.

–Oczywiście, masz rację, Jamesie. Nie rozglądałem się, ponieważ nie wiedziałem, czego mam wypatrywać. Teraz, skoro o tym mowa, czy to miejsce przed nami po lewej nie wygląda dziwnie? Las kończy się tam dość nieoczekiwanie.

–Wzlećmy wyżej – poradził Jim – i spójrzmy na to z większej wysokości. Za mną, Brianie.

Z głośnym łopotem skrzydeł wzbili się jeszcze około sto metrów w górę, znaleźli

prąd powietrza zmierzający mniej więcej w kierunku wskazanego przez Briana celu i poszybowali ku niemu.

–Nie – rzekł Jim. – To po prostu skraj Pustej Równiny.

–Mimo to rzućmy na nią okiem. Zawsze dobrze znać teren przyszłych działań.

Polecieli tam. Kilka minut później ujrzeli przed sobą całą Pustą Równinę. Nie była zbyt imponująca. Najwyżej pięć kilometrów długości, ocenił Jim, i zaledwie kilometr szerokości. W środku zwężała się ostro, jak klepsydra.

–Oczekiwałem czegoś większego – mruknął.

–W zupełności wystarczy dla takich wojsk – orzekł Brian. – Prawie dwa tysiące jeźdźców może zetrzeć się tutaj ze sobą i jeszcze pozostanie miejsce, chociaż nie ma się tu gdzie ukryć ani dokąd uciec – chyba że między drzewa.

–Pewnie masz rację – powiedział Jim. Równinę otaczały drzewa, lecz nie było na niej jeleni ani saren, które gryzłyby czarną trawę Liones. Nie wiadomo dlaczego Jim był rozczarowany. Oczekiwał, że Równina będzie dłuższa, większa, że coś usprawiedliwi jej nazwę, że nawet w tej leśnej krainie będzie bardziej... pusta.

Tymczasem niczego takiego nie dostrzegł. Najdziwniejszą rzeczą było zwężenie na środku, gdzie na Równinę z obu stron napierały drzewa, ale to tylko nadawało jej nieregularny kształt.

–W porządku, Brianie – powiedział. – Widzieliśmy ją. Teraz zatoczmy krąg. Leć obok mnie i wypatruj w lesie wszystkiego, co uznasz za niezwykle.

Jim poprowadził przyjaciela, robiąc spiralę wokół Pustej Równiny, zataczając powoli coraz szersze kręgi i dokładnie obserwując teren, nad którym przelatywali.

–Jamesie! Jamesie! Spójrz w prawo! – zakrzyknął nagle Brian.

–Ta szara plama? – zapytał Jim. – To tylko sterta głazów wśród drzew.

–Wcale nie! – huknął Brian.

Rozdział 39

Jim spojrział jeszcze raz, uważniej, na to, co wydawało się stertą głazów lub samotną skałą na niewielkiej polance wśród drzew.

–Coś się tam poruszyło – powiedział Brian.

–Sprawdźmy to.

Pochylili skrzydła i poszybowali ku podejrzanemu miejscu. Byli już blisko niego, gdy ujrzeli wznoszący się stamtąd kształt, nieporadnie młócący skrzydłami powietrze. Jim natychmiast zmienił kierunek lotu, oddalając się. Brian podążył za nim tak szybko i gładko jak doświadczony pilot myśliwca, od miesięcy trenujący działania zespołowe. Ten widok zrobiłby większe wrażenie, gdyby Jim nie wiedział, iż Brianowi wystarczyła tylko chęć podążania za nim – jego smocze ciało przełożyło to życzenie na konieczne reakcje mięśniowe, przenosząc go tam, gdzie chciał.

Z oddali i na większej wysokości ponownie zatoczyli szeroki krąg w powietrzu wokół szarego miejsca, powoli podlatując coraz bliżej.

–Harpia, prawda? – rzekł Brian, gdy niezdarny kształt, przez kilka chwil z trudem polatujący w powietrzu nad głazami, ponownie opadł i zniknął wśród drzew.

Jim przytaknął. Przybliżył się do przyjaciela, schodząc nieco niżej, i odwrócił swój osadzony na długiej szyi łeb, który smoki potrafią obracać jak ptaki, spoglądając do tyłu. W ten sposób jego pysk znalazł się zaledwie kilka metrów od Brianowego i mógł powiedzieć przyjacielowi smoczym szeptem:

–Właśnie! Dopiero co się wylęgła – wygląda na to, że uczy się latać. Wzniesiemy się wyżej i przypatrzymy się temu. Później, jeśli okaże się to możliwe, opuścimy się powoli pod ostrym kątem, żeby wszystko dobrze obejrzeć i natychmiast odlecimy.

–A potem, Jamesie?

–To zapewne jest coś w rodzaju pszczelego roju albo wylęgarni. Spróbujemy wymyślić jakiś sposób, żeby go zniszczyć.

W tym momencie nie był magiem, lecz tylko smokiem kierującym się własną magią, jak każdy naturalny. Magowie nie mogli wspierać magią agresji. Jednak on w głębi serca nie był magiem. Był człowiekiem, a te harpie należało zniszczyć, żeby zapewnić bezpieczeństwo Liones i zatopionej krainie.

Z wysokości kilkuset metrów zaczęli opadać coraz niżej, zataczając kręgi, żeby lepiej przyjrzeć się rojowisku. Powoli to, co wyglądało na stertę głazów, zaczęło przybierać kształt licznych kopulastych tworów z ciemnymi szczelinami u podstaw.

Harpia, która zapewne niedawno się wylęgła, nadal była widoczna. Usiłowała wlecieć do jednej ze szczelin. Ta była zaledwie skośnym pęknięciem i stwór musiał utrafić w sam środek. Raz po raz ponawiał nieudane próby.

Widząc, jak w końcu udało się mu dostać do środka, Jim poczuł lodowaty dreszcz lęku. Nie obawiał się tych stworzeń, lecz stojących za nimi Ciemnych Mocy. Z pewnością obserwowały i strzegły tego roju, w którym leżyły się służące im harpie.

Stwierdził, że był głupcem, przylatując tu bez przygotowanego planu działania. Potrzebował czegoś w rodzaju czułych na zmiany barwy okularów, jakiegoś magicznego przyrządu, który ostrzegłby go, że Ciemne Moce zauważyły obecność jego i Briana. Czegoś takiego jak kanarki wnoszone przez górników do kopalń, aby

ostrzegaly ich o wydzielaniu sie trujacych gazow, albo rozy ze starej bajki, ktora wiedla w obecności zła.

W górnej krainie mógłby skonstruować taką różę, gdyby przyszło mu to do głowy – gdyby znał na to sposób. Teraz jednak znajdował się w Liones, a jego magia była ograniczona do wnętrza osłony. Działała na niego i na wszystko, co znajdowało się w środku, ale nie na zewnątrz – przynajmniej dopóki nie zdejmie zaklęcia.

Oczywiście, mogli z Brianem odlecieć, przekroczyć granicę zatopionej krainy i tam zdjąć zaklęcie ochronne, żeby sporządzić taką różę.

Czuł jednak dziwny, niemal zabobonny lęk przed takim rozwiązaniem. „Czyżby tak działała na mnie Stara Magia?” – zadawał sobie pytanie. Nabierał przekonania, że teraz, kiedy znalazł wylęgarnię stworów służących Ciemnym Mocom, nie powinien jej pozostawiać, nie zrobiwszy wszystkiego, żeby ją zniszczyć. Był pewny, że gdyby teraz odleciał, po powrocie zastałby tu Ciemne Moce strzegące roju i broniące intruzom dostępu. Na tym nie kończyły się jego obawy. Miał również poczucie winy z powodu tego, że w swoich planach nie uwzględni Briana i nie zaspokoi żądz przygód, która przywiodła tu przyjaciela. Jednakże ten problem był raczej magicznej niż militarnej natury.

Jeśli chciał tu coś zdziałać, musiał sprawdzić, co się znajduje w środku i gdzie zniknęła harpia. Sam mógł tam wejść i prawdopodobnie ująć z życiem, ale we dwóch nie mieliby żadnych szans.

Nie było sensu zwlekać i rozmyślać, gdyż to i tak niczego nie zmieniało. Przede wszystkim musi powiedzieć Brianowi, że uda się do środka sam. Odesłać go pod jakimś pretekstem? Musiałby to być dobry pretekst, inaczej przyjaciel przejrzy go i uprze się, żeby zrobić coś lekkomyślnego – na przykład zostać tutaj na straży.

Znalazł.

–Brianie – powiedział, gdy szymbowali razem, Brian nieco wyżej.

–Tak, Jamesie?

–Miałeś rację. To tutaj Ciemne Moce tworzą harpie i inne potwory, które zamierzają rzucić przeciw rycerzom Okrągłego Stołu, jeśli dojdzie do bitwy na Pustej Równinie. Nawet na piechotę ogry i robaki – oraz wszelkie inne monstra – w ciągu godziny mogą stąd dotrzeć na pole walki.

–Musimy działać, Jamesie.

–Mów ciszej. Nie wiemy, jak dobry słuch mają ci na dole. No cóż, ja dysponuję magią i mogę odeprzeć magiczny atak, gdyby go przeprowadzili. Dlatego muszę tu zostać. Tymczasem jeden z nas powinien zanieść wiadomość Dafyddowi, królowi Pellinorowi oraz rycerzom Okrągłego Stołu, żeby wiedzieli, czego oczekiwać. Tak więc ty musisz to zrobić.

–Jamesie... – powiedział smętnie Brian – może zaczekasz, aż wrócę...

–Jeśli będę mógł, zrobię to, co będę musiał.

–Oczywiście, nie możesz postąpić inaczej. Bardzo chciałbym ci towarzyszyć.

–Mam nadzieję, że wrócisz niebawem.

–Daję ci na to słowo – odparł rycerz. – Wrócę tak szybko, jak pozwoli mi to smocze ciało. W jaki sposób leci się najszybciej?

–No cóż, nie możesz przez cały czas machać skrzydłami. Wznies się jak najwyżej – bardzo wysoko – ale nie zaczynaj machać skrzydłami, dopóki nie będziesz pewny, że nie usłyszą cię ci na dole. Pamiętasz, ile hałasu narobiliśmy, unosząc się z ziemi? Kiedy już będziesz wysoko, poszybujesz prosto do celu. Jeśli opadniesz za nisko, znowu będziesz musiał się wzbić. Jeżeli złapiesz silny tylny wiatr, popychający cię naprzód, po prostu daj mu się nieść.

–Tak zrobię – powiedział Brian.

Odbił w bok i powoli poszybował spory kawałek, aby odlecieć na bezpieczną odległość, zanim zacznie się wznosić.

Jim patrzył, jak jego sylwetka maleje w oddali na tle bladego, jasnego nieba, i poczuł się bardzo samotny. Naprawdę byłoby mu rażniej, gdyby Brian mu towarzyszył. Obecność przyjaciela dodałaby mu otuchy, Brian był nieoceniony w przypadku jakiegokolwiek realnego zagrożenia lub niebezpieczeństwa. Nie dlatego, by ból i śmierć nic dla niego nie znaczyły. Po prostu o wiele ważniejsze były dla niego takie sprawy jak wiara, lojalność oraz wystrzeganie się wszystkiego, co uważał za niegodne.

No cóż, pomyślał Jim, pora zabrać się do roboty. Jeśli stąd przylatywały harpie, równie dobrze mogły tutaj być inne potwory... A czy same Ciemne Moce znały położenie tego miejsca?

Kiedy wraz z Brianem, Dafyddem, Danielle z Wold oraz smokami Smrgolem i Secohem, pojawił się pod wieżą Loathly, na długo zanim tam dotarł, wyczuwał obecność mroźnej i złowrogiej obecności Ciemnych Mocy. Czuł ją również wtedy, kiedy pojawiły się w wielkiej sali zamku Malencontri. Teraz – nie.

Dziwne.

Na chwilę w jego sercu obudziła się nadzieja, że może magia Ciemnych Mocy nie działa tutaj, podobnie jak jego magia poza osłoną zaklęcia. A przecież nie mogło tak być, skoro tworzyły harpie. Teraz, kiedy Brian był już bezpieczny, Jim powinien podjąć próbę zniszczenia tego roju – czy jakkolwiek to zwać – a w tym celu musiał sprawdzić, co znajduje się w środku.

Był na to tylko jeden sposób – wejść w ślad za harpią przez szczelinę w kopule. A mógł tego dokonać tylko w jeden sposób – samemu zmieniając się w harpię.

Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze.

Musiał jednak to uczynić. Odleciał w bok, opadł w dół, aż zasłoniły go wierzchołki drzew, a potem znalazł w sakwie mocno obgryzioną gruszkę, westchnął, wyjął owoc i zjadł go – wyobrażając sobie, że jest tą harpią, którą widział.

I natychmiast stał się nią.

–„Milordzie!” – usłyszał w myślach głos Hoba. – „Co się stało! Gdzie jesteście?”

Jim przeklął się w duchu. Zupełnie zapomniał o Hobie. Oczywiście, wszystko co było pod osłoną, obejmowało również skrzata.

W początkowym okresie pobytu w średniowiecznym świecie Jim zmieniał się w smoka, czy tego chciał, czy nie, a podczas przemiany zrzucał z siebie wszystko, włącznie z ubraniem. Teraz, nabrawszy magicznych umiejętności, mógł zabierać wszystko ze sobą – i robił to. Powinien był pamiętać, że objął skrzata zaklęciem

chroniącym przed Morgan le Fay.

–Wszystko w porządku, Hobie – powiedział. – Po prostu jesteśmy teraz w ciele harpii, ty i ja. To magia, więc nie każ mi tego wyjaśniać.

Przemiana była wstrząsającym doznaniem, nawet dla Jima. W przeszłości bawiło go latanie w smoczym ciele lub na smużce dymu wnikającej przez najmniejszy otwór. Czasem nawet zastanawiał się, jakie to uczucie być jednym ze stworów Ciemnych Mocy. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że być harpią to zupełnie coś innego, niż być smokiem lub skrzatem. Te dwa ostatnie stworzenia były żywymi istotami, tak jak on.

Paskudne uczucie. Jakby był elementem jakiejś maszyny – fragmentem obdarzonym własnym życiem, ale nienaturalnym i pozbawionym uczuć. Jakby się stał częścią maszyny, a jednocześnie silnikiem, który ją poruszał.

Odepchnął od siebie te myśli. Już podjął decyzję i nieważne, jak się teraz czuje.

Harpia przeciskała się przez wąski tunel, Jim, opanowawszy jej ciało, mocno przycisnął skrzydła do boków, żeby nie zawadzały o ściany, i posuwał się naprzód.

Odruchy harpii były tak prymitywne, że przesadził z kontrolą nad nią. Stworzenie zeszło nieco w bok i zawadziło o ścianę tunelu, zaczepiając się o jakąś nierówność lub występ, zatrzymując się na chwilę. Nie był w stanie dostrzec, o co zahaczył, gdyż w korytarzu panowały ciemności jak w nie odwiedzanych od lat katakumbach.

Nierówność ukruszyła się i rozsypała pod dotknięciem jego szponów. Upuścił odłamki i ruszył naprzód. Złożonymi skrzydłami ocierał o ściany, dno i sklepienie tunelu. Niespodziewanie, gdyż dotychczas nie miewał takich skłonności, zaczęła dokuczać mu klaustrofobia. Z przerażeniem uświadomił sobie, że nie może się odwrócić. Mógł tylko podążać przed siebie, a właśnie dotarł do miejsca, gdzie tunel się rozwidłał.

Tutaj mógłby wykonać zwrot, wchodząc w jedną odnogę i cofając się do drugiej. Zawahał się. Przecież nie przyszedł tu po to, żeby teraz zawracać.

Nie miał pojęcia, która odnogę powinien wybrać. Tunel przez cały czas opadał i Jim domyślał się, że prowadzi do samego środka budowli. Ciało harpii najwyraźniej miało ochotę podążać lewą odnogą, co zapewne oznaczało, że wracała tam, skąd przyszła. A może kierował nią instynkt. Wyglądało na to, że powinien podążać za jego głosem, lecz Jim przez chwilę cieszył się myślą, że mógłby teraz zawrócić do wyjścia i wkrótce znaleźć się na otwartej przestrzeni. Nie przypuszczał, że ciemność i ciasnota tunelu okażą się tak nieprzyjemne – ale tak właśnie było.

Przypomniał sobie, że powinien zapamiętywać drogę, jeśli chce się stąd wydostać.

Przy następnym rozgałęzieniu ciało harpii skierowało się w prawo. Potem znów w lewo... a może też w prawo? Oczywiście, że nie. Skręciła w lewo, w prawo i znów lewo – w tej kolejności. Chociaż był tego pewny, zaczął się obawiać, że nie odnajdzie powrotnej drogi. Jeśli zabłądzi tutaj, gdzie Ciemne Moce w każdej chwili...

Były tutaj!

Ich obecność zamknęła się wokół niego jak zimna dłoń. Czuł, jak coraz bardziej narzucają mu mechaniczne, prymitywne odruchy harpii, wiodą coraz głębiej w otaczający go labirynt, upodabniają do siebie...

Wątpiła, lecz zuchwała myśl, drżąc jak liść, przełamała czar, pojawiając się w jego umyśle.

„Milordzie... nie podoba mi się tu...”

„Hob!” Gwałtowny przyływ ludzkich uczuć wypełnił umysł Jima, rozgrzewając go, odpychając ciemność, która usiłowała wtargnąć nie tylko do jego ciała i mózgu, lecz do samej duszy.

„Trzymaj się” – pomyślał Jim. „Wracamy”.

Zatrzymał harpię: przynajmniej nadal kontrolował jej ciało. Po raz pierwszy od kiedy tutaj wszedł, jego umysł działał całkowicie odrębnie, i tak powinno być. Wyciągnął lewą rękę i wymacał ścianę tunelu. Znajdowała się w odległości zaledwie kilku centymetrów. Przysunął się i oparł o nią.

Z pewnością Ciemne Moce wiedziały już, że tu jest. Czyżby wyczuły obecność intruza w roju? Tak, teraz kiedy o tym pomyślał, w świadomości harpii wyczuł ich mordercze przesłanie, a więc musiały wiedzieć. Chyba... Chyba, że brały go za harpię. Nie, nie mogły być tak ślepe... Otarł się ramieniem o ścianę, zawadził o następny występ i poczuł, jak ten znika. Wyciągnął rękę harpii, przesunął ją po szorstkiej ścianie, znalazł następną nierówność i zacisnął na niej szpony. Skruszyła się tak samo jak poprzednie, a kiedy ścisnął w dłoni resztki, rozsypały się w pył. Wbrew pozorom nie była to wcale skała, lecz materiał podobny do spróchniałej kości, którą klimat i czas strawiły tak, że zmieniała się w proch pod dotknięciem.

Oczywiście, Ciemne Moce nie były w stanie zbudować niczego trwałego. Nie miały takich możliwości i nie mogły wyrządzić mu żadnej fizycznej krzywdy, chyba że przy pomocy swoich sług. Na razie wyglądało na to, iż tutaj tworzone są tylko harpie, zapewne odporne na własny jad. Mimo wszystko Jim i Hob znaleźli się w potrzasku, zdani na ich łaskę... Dlaczego Moce nie próbowały zniszczyć go, wysyłając przeciw niemu swoje stwory? Może jeszcze nie zdążyły. A może...

Czyżby jeszcze nie wiedziały, że jest intruzem w ciele harpii?

Oczywiście, były Mocami, ale niczym więcej.

Wcale nie jest pewne, że potrafią logicznie myśleć i dodać choćby dwa do dwóch, nie mówiąc już o zrozumieniu sprzeczności. Ich rozumowanie mogło przebiegać następująco: stwierdzenie „Tego czegoś nie powinno tu być!” prowadzić mogło do wniosku w rodzaju: „Przecież to harpia. Tutaj powinny być harpie, kiedy nie walczą”.

Ich umysły – jeśli można było użyć tego określenia – mogły przeskakiwać od pierwszego wniosku do drugiego, nie potrafiąc podjąć decyzji, co zrobić z tym czymś, co zarazem jest i nie jest harpią. Jeżeli rzeczywiście tak było, to lepiej się nie odzywać, żeby nie ułatwić im sytuacji.

„Hobie” – pomyślał – „czy słyszysz mnie, kiedy myślę? Wiem, że słyszysz myśli drzew, sękatych i koni, jeśli dobrze pamiętam. Jeśli tak, to odpowiedz mi w myślach...”

Czekał, ale nie było żadnej odpowiedzi. Oczywiście, powiedział sobie, jakże mogło być inaczej? Hob prawdopodobnie potrafił czytać w jego myślach, lecz on nie umiał odczytać myśli skrzata. Przełknął gorzką pigułkę. Mały skrzat, nawet o tym nie wiedząc, lepiej sobie radził niż dysponujący magią Jim...

Idiota! „Czasem” – pomyślał o sobie – „nie zauważasz tego, co masz pod nosem”.

Jego duch uwięziony w ciele harpii sięgnął do sakwy, wyjął śliwkę i powiedział stanowczo; „Od tej pory słyszę skierowane do mnie myśli Hoba”. Wahał się przez chwilę, zanim wbił zęby w słodki miąższ. Myślał o szybko kurczących się zapasach zaczarowanych owoców. Nie zamierzał zużyć ich tak szybko, ale zmuszały go do tego okoliczności. Chciał zachować je na decydującą chwilę, kiedy – jak podpowiadało mu doświadczenie – będą mu naprawdę potrzebne. Jednak musiał wydostać się stąd, jeśli tylko leżało to w ludzkiej mocy.

„Hobie” – pomyślał – „czy pamiętasz drogę, którą tu przyszliśmy? Możesz poprowadzić mnie z powrotem?”

Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. Może ten rodzaj umiejętności nie zaliczał się do magii. Niestety, czekało go rozczarowanie.

„Nie, milordzie. Myślałem, że o tym wiesz”.

„Nie wiedziałem”.

Obaj milczeli przez chwilę.

„Hobie, gdybyś miał dym, czy potrafiłbyś się stąd wydostać? W Dedalowym Lesie mówiłeś, że jeśli tylko istnieje jakieś wyjście, dym je znajdzie”.

„Och tak, milordzie. Tylko że tu nie ma dymu”.

„Wiem. Powiedziałeś też, że kiedy w Malencontri pali się w kominku, możesz przenieść się tam z ognia płonącego tutaj”.

„Tak, milordzie. Mogę to zrobić. Podobieństwa Igną do siebie”.

„Mógłbyś znaleźć teraz trochę dymu i przynieść go nam, żeby odnalazł nam drogę?”

„Potrzebowałbym dymu. Bez niego nic nie mogę zrobić. Przykro mi, milordzie”.

„Zmarnowałem jeszcze jeden owoc” – pomyślał z goryczą Jim, a potem ponownie zwrócił się do skrzata: „Nic nie szkodzi. Może wyczaruję ci jeden obłoczek dymu. Jaki rodzaj dymu najszybciej mógłbyś znaleźć?”

„W tym miejscu, w którym przetrzymywali ciebie, sir Briana i Dafydd, przed namiotami palili drewno na ogniskach”.

Zapewne tak było, chociaż Jim nie zwrócił na to uwagi. Chyba widział płonący przed namiotami ogień, wokół którego spali najeźdźcy... Teraz przypomniał to sobie i skupił myśli na jednym ognisku, dokładnie je sobie wyobrażając, koncentrując się na jednej płonącej żagwi.

–Dobrze – powiedział głośno, chociaż bardziej do siebie niż do Hoba. W myślach pogrzebał w sakwie, wyjął nie nadgryzione jeszcze jabłko i przemówił do niego, wyobrażając sobie żagiew.

„Przynieś mi kawałek drewna, płonący z jednego końca”.

W myślach ugryzł jabłko i schował resztę do torby. Na chwilę serce prawie przestało mu bić, gdy usłyszał, że coś zbliża się tunelem. Zaczął pospiesznie się wycofywać, najciszej jak mógł. Jak daleko znajdowało się najbliższe rozgałęzienie tunelu?

Nagle dostrzegł błysk światła, tak niespodziewany, że na moment go oślepił, Kawałek gałęzi, który sobie wyobraził, leżał teraz pod ścianą tunelu. Na jednym jego

końcu pełgały płomyki, które niczym reflektor rozjaśniały tunel wokół Jima.

„W porządku, Hobie” – pomyślał. „A teraz...”

Wokół zrobiło się jaśniej i płomienie z trzaskiem objęły ścianę, unosząc się i rozchodząc. Jim wytrzeszczył oczy. Od płonącej żagwi zapaliła się ściana i pożar rozprzestrzenił się tak błyskawicznie, jakby była z papieru.

Jim cofnął się. Przez chwilę wydawało mu się, że płomienie zostały w tyle, ale ich trzask nagle przybrał na sile. Wokół zrobiło się jaśniej, groźny odgłos ścigał go, kiedy zaczął wycofywać się rakiem, najszybciej, jak mógł to uczynić w ciele harpii.

„Milordzie...” – odezwał się drżącym głosem Hob.

„Wiem, wiem!” – odparł Jim. „Nic nie mogę zrobić, dopóki nie dotrzemy do miejsca, gdzie będę mógł się odwrócić. Zdaje się, że to niedaleko? To miejsce, gdzie ostatni raz skręciliśmy w lewo?”

„Tak, milordzie”.

„Nie mogę nawet spojrzeć przez ramię. Widzisz je?”

„Tak, milordzie. Chcę powiedzieć, że nie widzę, ale wiem, że jest niedaleko. To przewężenie, gdzie... Jest!”

–Ba! – powiedział z ulgą Jim. Dotarł do miejsca, gdzie tunel rozgałęział się.

„Trzymaj się, Hobie. Zamierzam wygiąć się... trochę... tam gdzie łączą się tunele...”

Niemal przełamując ciało harpii w pół, zdołał się odwrócić. Teraz głową do przodu, najszybciej jak mógł, ruszył z powrotem korytarzem, którym tu przyszedł. Ścigały go fale ciepła i rozbłyśki światła oraz przechodzący w ryk trzask płomieni.

–Teraz w prawo, milordzie! – zawołał głośno Hob. – Na prawo!

–Nic, idąc tu, skręciliśmy w lewo.

–Ale teraz wracamy. Dym każe nam iść w prawo, milordzie. Dym cały czas nas wyprzedza.

Jim nie widział tego, ale to Hob był ekspertem. Usłuchał więc skrzata i skręcił w prawo, biegnąc jak kura na krótkich nogach harpii, zrywając kawałki łatwopalnej materii ze ścian, o które ocierał się w pośpiechu.

Nagle ujrzał przed sobą kawałek białego nieba. Jeszcze pół tuzina kroków i znaleźli się na zewnątrz.

NA ZEWNĄTRZ!

Świeże, chłodne, orzeźwiające, czyste powietrze. Jim wspiął się na to, co początkowo uznał za głaz, i opadł nań bezwładnie, spazmatycznie łapiąc powietrze.

„Milordzie, dobrze się czujesz?”

–Po prostu wspaniale, Hobie – odparł głośno, nadal ciężko dysząc – i coraz lepiej. Trzymaj się!

Opuścił ciało harpii, nie używając w tym celu magicznego owocu, gdyż naturalna magia pozwalała mu w każdej chwili wrócić do smoczego ciała – świeżego, nie zmęczonego ciała, pełnego sił i energii. Jak rakieta śmignął w górę, czując obejmującego go za szyję Hoba.

Rozdział 40

Jim nie wzbił się wysoko. Uniósłszy się nad wierzchołki drzew, przestał machać skrzydłami i zaczął zataczać ciasne kręgi w ciepłym prądzie powietrza unoszącego się nad płonąca wylęgarnią. Krążył, zafascynowany pożarem, który przypadkowo wywołał.

Wiedział, że już jest bezpieczny. Jeśli Ciemne Moce mogły atakować go tylko za pośrednictwem swych stworów, czego był teraz prawie pewien, nic mu tu nie groziło. W najgorszym razie Moce mogły wysłać przeciw niemu harpie, przed którymi umknąłby bez trudu – mówiąc w przenośni – machając jednym skrzydłem. Wątpił jednak, by w tej chwili Moce dysponowały jakimiś harpiami. A jeśli nawet, będą je oszczędzać z myślą o bitwie między małą armią earla a rycerzami Liones.

Ogień objął już chyba cały ul, chociaż w dziwny, nieregularny sposób. Większość ogromnych, niby kamiennych kopuł wyglądała na nie tknięte, lecz ze szczelin u ich podstaw lub z wierzchołków od czasu do czasu strzelały płomienie. W końcu pożar objął całą ścianę jednej z kopuł, trawiąc ją i rozprzestrzeniając się... Wprost trudno było uwierzyć, że cała wylęgarnia była sztucznym tworem. Jej stworzenie wymagało gigantycznej pracy.

–Milordzie – zapytał niepewnie Hob – czy użyłeś magii, żeby podpalić skałę?

–Nie – odparł Jim i o mało nie dodał, że stało się tak, ponieważ był cholernym durniem. Jednak ugryzł się w język. Prawda może przyniosłaby mu ulgę, ale w ten sposób tylko zrzuciłby ciężar na barki Hoba, jak to zwykle bywa, kiedy zmuszamy kogoś do wysłuchiwanie zwierzeń. – Ja też myślałem, że to skała – powiedział w końcu – ale to było coś, czemu Ciemne Moce nadały wygląd skały. Cokolwiek to było, zajęło się od tej płonącej żagwi, którą przywołałem.

Pomyślał o zrobionych z przeżutych włókien roślinnych gniazdach os i pajęczych niciach wytwarzanych przez specjalne gruczoły. Ciemne Moce zapewne stworzyły coś podobnego.

Powstrzymał gonitwę myśli, zdając sobie sprawę z tego, że jego umysł usiłuje bronić się przed obrazem, który miał przed oczami.

–Wszystko płonie – powiedział spoglądający w dół Hob, wyciągając szyję nad ramieniem Jima, tak że ten widział go kątem oka. – Jest tam nasza harpia i widzę wszystkie inne dziwne... bestie.

–Tak – odparł głucho Jim, także patrząc w dół. Ze szczelin u podstaw wielkich

kopuł wychodziły stwory różnych rodzajów i kształtów. Niektóre z nich były ogromne. Na przykład trzy półmetrowe ogry podobne do tego, z którym Jim w ciele Gorbasha walczył przy wieży Loathly, albo robaki tak grube jak rura kolektora. Były także inne, których istnienia Jim dotąd nawet nie podejrzewał, takie jak wielki, płaski stwór przypominający lądową flądę z masywnym łbem o dwóch paszczach pełnych zębów. Beznogi, zdawał się poruszać gwałtownymi podskokami – jakby chciał zmiażdżyć przeciwnika, którego nie zdoła osiągnąć zębami... Ujrzał też coś podobnego do wielkiego węża, co kąsało wszystko wokół, umykając przed ogniem.

Te cztery rodzaje potworów były najliczniejsze. Oprócz nich Jim dostrzegł wiele innych, różnych kształtów i rozmiarów, ale – poza harpiami – żadnego latającego. Większość z nich wyszła ze szczelin tylko po to, by zdechnąć, a przynajmniej znieruchomieć. Zaledwie oddaliły się kawałek, a padały bezwładnie i poruszały się słabo albo wcale.

Patrząc na nie, Jim miał wrażenie, że miały niewielki zapas sił witalnych i ucieczka przed płomieniami wyczerpała je wszystkie.

Pomyłka Jima najwyraźniej miała okazać się niemałą pomocą dla Liones, gdyż Ciemne Moce nie od razu zastąpią te stwory nowymi. Przybył tutaj, zamierzając sprawdzić, czy mógłby w jakiś sposób opóźnić lub pokrzyżować ich plany. Nie spodziewał się, że zdoła zadać przeciwnikowi tak druzgoczący cios.

Teraz powinien spojrzeć na pogranicze i zorientować się, jak daleko od Pustej Równiny znajdują się najeźdźcy...

–Siedź prosto i mocno się trzymaj, Hobie – rzekł szorstko. – Musimy ruszać.

–Milordzie, a co z harpią?

–Harpią?

Jim spojrział w dół. Nie tknięte przez ogień ciało stwora, z którego korzystał – dziwnie znajome, również Hobowi – leżało na kopule koloru skały, najwyżej pięć metrów od szczeliny, przez którą bestia się wydostała. W pierwszej chwili Jim sądził, że harpia nie żyje, lecz później zauważył, że poruszyła się, jakby chciała uciec, ale nie miała siły.

–Dajmy spokój harpii, Hobie – odparł, – I tak już po niej, a my musimy lecieć.

–Milordzie, przecież to twoja harpia!

Lekki nacisk, jaki skrzat położył na słowo „twoja”, nie uszedł uwagi Jima. W czternastowiecznym świecie stosunki międzyludzkie były oparte na obustronnych zobowiązaniach. Powinnością wieśniaka, dzierżawcy, sługi na zamku (czy innym budynku pełniącym tę rolę) było służyć panu i oddać za niego życie. Natomiast feudał w zamian bronił poddanych, sprawiedliwie rozsądzał spory, zarządzał i planował tak, by jego ludzie nie głodowali. Był też szeregiem innych obowiązków wynikających z tradycji i konieczności.

Jim wykorzystał ciało harpii. Zdaniem Hoba, był jej coś za to winien. I wszyscy, poczynając od Briana, a kończąc na Morgan le Fay, przyznaliby mu rację.

Oczywiście, zdarzali się tacy, którzy nie uznawali żadnych zobowiązań. Z takich ludzi składała się armia dowodzona przez Cumberlanda.

–Czy nie możemy podlecieć do niej na chwilę, milordzie?

–Tak. Dobrze, Hobie, polecimy.

Jim opadł w dół i wylądował przy nieruchomym cielem. Hob natychmiast zeskoczył i spróbował objąć ramionami nieproporcjonalną głowę o twarzy furiacki. Harpia ściągnęła wargi, odsłaniając śmiercionośne kły jadowe, ale nie miała siły, by go ugryźć.

–Jesteśmy tu, lady – powiedział łagodnie Hob, – Jesteśmy przy tobie.

Harpia zrezygnowała z prób ukąszenia skrzata i spoglądała na niego oczami jak czarne ognie.

–Odpuść – mówił Hob. – Wszystko będzie dobrze. Odpuść. Zamknij oczy...

Ku zdziwieniu Jima, powieki harpii zatrzepotały i opadły, najpierw do połowy, a potem całkowicie. Leżała nieruchomo, aż nagle silny dreszcz wstrząsnął jej ciałem i skrzydłami. Potem drżenie ustało i harpia zwiotczała. Jej skrzydła opadły, głowa obwisła, aż ostrą brodą dotknęła szarej powierzchni kopuły. Na oczach Jima groźnie wykrzywiona twarz powoli zmieniła wyraz na łagodniejszy... aż wyglądała na normalne, niemal zadowolone oblicze śpiącego.

–Ona nie żyje, Hobie – powiedział cicho Jim.

–Wiem, milordzie – odparł skrzat, wypuszczając głowę harpii z objęć. – Żegnaj, lady. – Spojrzał na Jima. – Ruszamy, milordzie?

–Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie – rzekł Jim, kiedy wzbili się w niebo.

–Milordzie? Czy jest tu ktoś oprócz nas dwóch?

–Nie – odparł Jim. – Zapomnij o tym, co powiedziałem. To wers pewnego wiersza, który czytałem... dawno temu.

–Przecież ja nie jestem człowiekiem, milordzie. Wiesz o tym – powiedział ze zdziwieniem Hob. – Jestem skrzatem.

–Bardzo dobrym skrzatem. Nieważne. To bez znaczenia. Mówiłem do siebie.

Jim musiał wzbąć się na wysokość sześciuset metrów, zanim znalazł prąd powietrza płynący w kierunku pogranicza, gdzie znajdował się nieprzyjacielski obóz. Już z daleka zauważył, że obozowisko jest opuszczone – zasypane śmieciami, ale opuszczone. Popatrzył w lewo.

Na Pustej Równinie nadal nie było nikogo.

W myślach przeciągnął nad wierzchołkami drzew linię prostą od obozu do Równiny i poleciał ku niej. Dotarł tam z zadziwiającą szybkością i zaczął krążyć nad drzewami, wzdłuż tej wytyczonej w myślach linii. Przez chwilę niczego nie dostrzegł, wreszcie zauważył jakiś ruch w dole. W następnej chwili dostrzegł jeźdźców i pieszych podążających w tym samym kierunku, chociaż w sporych odstępach. Siły Cumberlanda istotnie zmierzały przez las ku Pustej Równinie. Skąd wiedzą, dokąd iść, zadał sobie w duchu pytanie Jim i natychmiast znalazł na nie odpowiedź.

Oczywiście. Morgan, Modred lub ktoś do nich podobny wiedział o istnieniu Równiny i wskazał im drogę. Na razie znajdowali się między drzewami, a te – ponieważ przekroczyli już granicę Liones – stanowiły zagrożenie. Najeźdźcy zapewne wiedzieli o tym, lecz nawet jeśli nie byli świadomi faktu, że drzewa mogą udusić ich gałęziami, rośliny nie potrafiły poruszać się tak szybko. Intruzi musieliby przystanąć, a przynajmniej podążać bardzo wolno, żeby zdołały im zagrozić. Idący przez las

ludzie byli bezpieczni, dopóki pozostawali w ciągłym ruchu.

Jednak... to zadziwiające. Kilkakrotnie dzięki wyostrzonemu smoczemu słuchowi Jim złowił głośne krzyki. Dostrzegł też biegających bezładnie ludzi. Nie mógł podlecieć bliżej, nie dając się zauważyć, a nie chciał się pokazywać w smoczjej postaci, dopóki nie będzie musiał. Gdyby opuścił się niżej, między drzewa, mogliby go dojrzeć. Lepiej wrócić prosto do domu króla Pellinora, gdzie czekał na niego Brian z pozostałymi.

Jim przechylił się i odbił w bok. Dopóki wrogowie mogli go usłyszeć, nie chciał używać skrzydeł, żeby wznieść się wyżej. Dopiero po chwili wzleciał na wysokość stu trzydziestu metrów, znalazł sprzyjający wiatr i pozwolił mu się nieść.

Był to nader powolny sposób podróżowania, ale niewiele mógł na to poradzić, jedynie wznieść się wyżej w nadziei znalezienia silniejszego wiatru. Byłoby to ryzykowne. Grając w siatkówkę, nauczył się, że cierpliwość jest ważnym elementem warunkującym zwycięstwo. Odwrócił się tyłem do Równiny i poszybował dalej.

Kiedy znalazł się w pobliżu domu Pellinora, zobaczył, że w tłumie zebranych przed frontowymi drzwiami brakowało chyba tylko gospodarza. W miejscu, gdzie Brian jadł posiłek, znajdował się teraz nie tylko on sam – łatwo rozpoznawalny, bo nadal w smoczjej postaci – ale także Dafydd, król David i TB. Ponadto było tam wielu innych mężczyzn, odzianych w szaty wyglądające na błękitne stroje klanu Dafydda, odbarwione przez dziwne światło Liones. U boków mieli kołczany pełne strzał, a na plecach łuki.

Jim wyładował z łoskotem i natychmiast zmienił się w człowieka. W następnej chwili ugryzł śliwkę, przywracając również Brianowi ludzką postać. Łucznicy wytrzeszczyli oczy.

–Jamesie! – rzekł Brian, gdy zebrali się przy nim. – Do licha, dobrze znów cię widzieć! Nie powinienem był zostawiać cię samego. Nie jesteś ranny?

–Nawet nie draśnięty – odparł Jim, postanawiając nie wspominać o wędrówce w ciemnościach przez wąskie tunele. – Miałem rację – tamto miejsce jest wylęgarnią potworów Ciemnych Mocy i szczęśliwym zbiegiem okoliczności – bez żadnej mojej zasługi, zupełnie przypadkowo – udało mi się je podpalić. W ten sposób liczba potworów zmniejszyła się o połowę.

–Żałuję, że mnie przy tym nie było.

–Brianie, ten pożar naprawdę wybuchł przypadkiem. Nie podłożyłbym ognia, gdybym miał odrobinę rozsądku.

–Milord był bardzo odważny! – powiedział Hob.

–Nonsens! – rzekł Jim. – To Hob był bardzo dzielny.

–Cóż takiego dzielnego zrobił ten skrzat, sir Jamesie? – zapytał król David, przeciskając się przez krąg otaczających Jima ludzi.

Jim otworzył usta, aby opowiedzieć im historię Hoba i umierającej harpii, ale uznał, że nie zostałyby dobrze przyjęte przez to audytorium. Słowo „dzielny” kojarzyło się mu z błyskiem mieczy i zażartą walką.

–Wszedł ze mną do tej wylęgarni i towarzyszył mi przez cały czas – powiedział, – I to on mnie stamtąd wyprowadził. Może kiedyś opowiem wam o tym więcej. Wróciłem

w pośpiechu. W powrotnej drodze przeleciałem nad obozem na pograniczu i nad Pustą Równiną. Najeźdźcy już tu nadciągają!

–Wiemy, sir Jamesie – rzekł David.

–Ach tak? – lekko zdziwił się Jim.

–Nasi ludzie są urodzonymi tropicielami i myśliwymi – wyjaśnił Dafydd. – Pellinor przystał na to, aby wypatrywali wroga jako zwiadowcy. Nieustannie patrolują las, donosząc nam o ruchach nieprzyjaciela, a od czasu do czasu ustrzelą któregoś z nich, nie dając się zauważyć ani schwytać.

–No właśnie, widziałem jakieś zamieszanie w ich szeregach, ale nic miałem czasu, żeby to sprawdzić. Wasi łucznicy bardzo ryzykują. Jeśli tamci złapią któregoś z nich...

–Nie złapią – powiedział Dafydd. – Żadnego z tych, którzy noszą błękit. Ludzie, którzy zmierzają teraz na Pustą Równinę, widzą tylko, jak raz po raz któryś z nich spada z konia. Nikt nie jest w stanie stwierdzić, skąd nadleciała strzała. Nasi błękitni są, podobnie jak ja, nieskorzy do długich dysput, ale wiedzą, jak posłać strzałę tak, by nikt jej nie zauważył, nawet sam trafiony. Potrafią także ukrywać się i umykać w bezpieczne miejsce.

–Cóż... – mruknął Jim, mając poczucie, że powinien to pochwalać. Nie mógł się jednak uwolnić od wizji niczego nie podejrzewającego jeźdźca, który spada z konia, nawet nie wiedząc, co go zabiło. Walka wręcz na miecze i kopie to co innego. Który to papież, chyba w trzynastym wieku, zakazał używania łuków – zapewne mając na myśli kusze – jako broni niegodnej prawdziwego chrześcijanina? – ...to powinno opóźnić ich marsz – dokończył.

–Och tak – rzekł rozpromieniony Brian. – Jednak nie obawiaj się, Jamesie. Zostanie dla nas jeszcze sporo roboty.

–Racja! – odparł z udawanym entuzjazmem Jim. – Powiadasz, że król Pellinor przystał na to?

–Bardzo chętnie! – wtrącił młody David. – Tylko że nadal chce, by mieszkańcy zatopionej krainy trzymali się na uboczu, kiedy zacznie się bitwa.

–No tak – mruknął Jim. – Może wasi ludzie mają coś lepszego do roboty, niż oddawać życie w walce o obcą ziemię.

–W godnej sprawie, sir Jamesie.

–Racja, wasza wysokość. Ach, Dafyddzie – dorzucił Jim – czy dowiedziałeś się od zwiadowców, kiedy najeźdźcy dotrą do Pustej Równiny?

–Lord TB twierdzi, że jeśli nadal będą posuwali się w tym tempie, przejdą las za dnia i ujrzymy ich tu przed nocą. Zapewne zaplanowali tak z obawy przed drzewami.

–Albo – powiedział TB, odzywając się po raz pierwszy – ta kobieta z Gor, Morgan le Fay, poradziła im, kiedy wyruszyć i jak szybko posuwać się naprzód, żeby dotrzeć tu, zanim zapanują ciemności. Modred też mógł to zrobić, ale tylko ktoś długo mieszkający w Liones wie, kiedy zapadnie zmrok. Jak sami widzieliście, codziennie następuje to o innej porze. – TB ostrożnie dobierał słowa. Jak człowiek kroczący po kamieniach skalistego zbocza. – Wielu sądzi, iż tak działa Stara Magia.

–Czy tym razem będzie inaczej, TB? – zapytał Jim.

–Drzewa tak twierdzą. Modred nie mógł się tego dowiedzieć od nich. Morgan mogła, ale ona rzadko przemawia do drzew, a one z kolei niechętnie odpowiadają na jej pytania. Dlatego uważam, iż nie byłaby w tej sprawie lepszym doradcą od Modreda.

–A co z rycerzami i z Pellinorem? Z pewnością wiedzą o tym. Co robią?

–Cóż – powiedział TB lekko zdziwionym tonem, niczym człowiek w pelerynie, którego podczas ulewy pytają, jak unika zmoknięcia – szykują się, by spotkać i pobić wrogów, gdy tylko ci przybędą.

–Przybędą? – Jim stwierdził, że nie może zebrać myśli. – Przecież już tu są. Gdzie rycerze?

–Jamesie – powiedział Brian – dziwnie się zachowujesz. Masz gorączkę? Zadajesz takie bezsensowne pytania. Siły Liones lada chwila znajdą się na Pustej Równinie. Widzisz, Cumberland prowadzi piechotę z włóczykami, która ma powstrzymać konie. Ona idzie na końcu, jak zawsze, a kiedy tutaj dotrze, ustawi się w szyku. Mamy jeszcze czas!

–Oczywiście – przytaknął Jim. – Nie, nie mam gorączki. Jestem tylko dziwnie oszołomiony...

Z trudem dostrzegał otaczających go ludzi. Mlecznobiała mgła zasnuwała mu oczy.

–Chyba powinienem usiąść... – usłyszał swój dobiegający z daleka głos.

Rozejrzał się wokół, lecz w owej szybko gęstniejącej mgle nie mógł dojrzeć ławki, na której siadywał Pellinor. Poczuł, że ktoś ujmuje go za rękę i prowadzi – rozpoznał twarz Briana. Jim potykał się jak ślepiec.

Powieki same mu się zamknęły. Upadł.

Otworzył oczy i spojrzał w białe niebo. Widział wszystko doskonale i umysł miał trzeźwy, jak zwykle. Widocznie stracił przytomność na minutę czy dwie. Chciał powiedzieć Brianowi i pozostałym, że nic mu nie będzie, ale ujrzał tylko dwa niedźwiadki, dwie wydry – obie pary zwierząt siedziały na tylnych łapach – oraz łanię, która uniosła łeb, przestając skubać trawę.

Gromadka zwierząt spoglądała na niego poważnie, a sarna jakby z sympatią, chociaż jej łagodne oczy nie mogły chyba patrzeć inaczej.

Wokół nie było żadnego człowieka.

Nagle Jim przeraził się, że upłynęło znacznie więcej czasu, niż przypuszczał. To podejrzenie szybko zmieniało się w pewność. Gdzie właściwie się znalazł?

Rozdział 41

Uniósł głowę. Leżał na drewnianej ławie przed chatą Pellinora. Teraz, kiedy zdał sobie z tego sprawę, poczuł, że jest bardzo twarda. Cały zeszytywniał od tego niewygodnego łoża i spadku ciepłoty ciała podczas snu...

Snu!

Gwałtownie, z wysiłkiem, podniósł się i opuścił nogi, opierając się o bale bocznej ściany budynku. Coś zsunęło mu się z piersi i upadło na ziemię. Kawałek szarawego, grubego papieru, jakiego Angie używała w Malencontri do prowadzenia rachunków. Pochylił się i podniósł kartkę.

Na dole widniał niezgrabny rysunek, z pewnością naszkicowany węglem. Nad nim list, skreślony atramentem przez Angie. Zaczął czytać.

Jim, czy dobrze się czujesz? Martwię się. Nie wiem dlaczego. Usiłowałam wezwać cię w magiczny sposób, który mi pokazałeś, jednak nie udało mi się. Dlatego postanowiłem skorzystać z tego magicznego papieru, który podarował mi z myślą o takich sytuacjach Carolinus, kiedy wyruszyłeś do Ziemi Świętej. Nigdy potem nie zabronił mi go używać, więc nie obawiam się. Jim, jeśli otrzymasz ten list i dobrze się czujesz, daj mi znać. Przyślij Hoba lub kogoś innego. Muszę wiedzieć!

Kocham cię Angie

–Dobry Boże! – powiedział. Odruchowo podniósł obie dłonie do piersi, szukając kieszeni, ale poczuł tylko ogniwa kolczugi.

Uświadomił sobie, że nie ma czym pisać, wyjął więc puginał z pochwy na prawym biodrze. Spojrzał nań. – Jesteś piórem! – powiedział. – Piórem kulkowym z atramentem. Jeśli nie możesz nim być, zrób się czerwony. Znajdę coś innego.

Nic się nie stało. Przeklął się w duchu za to, że zapomniał, iż znajduje się w Liones, gdzie jego magia nie działa poza osłoną zaklęcia. Pospiesznie sięgnął do sakwy i wyjął pierwszą rzecz, która nie była monetą. Były to resztki śliwki, które zjadł, każąc sztyletowi zmienić się w pióro.

Nóż zachował zwykły kształt przez sekundę czy dwie, a potem z niemal widocznym trudem zmienił się w coś, co może i wyglądało jak pióro kulkowe, lecz było zakończone kulką wielkości piłeczki golfowej.

Jim ponownie zaklął i opanował złość.

–Nie szkodzi – rzekł. – Rozmyśliłem się. Jesteś gęsim piórem dla praworęcznego i pamiętaj, żeby twój koniec nie wchodził mi do oka. Potrzebny mi też kałamarz atramentu.

Magia zadziałała. Jim napisał pod niezgrabnym rysunkiem:

Najdroższa!

Czuję się znakomicie, tylko jestem bardzo zajęty. Rycerze Okrągłego Stołu mają właśnie walczyć z earlem Cumberlandem, który sprzymierzył się z Morgan le Fay, a ta chce uczynić zatopioną krainę swoją posiadłością lub królestwem. Ma nadzieję osiągnąć to, pomagając Ciemnym Mocom podbić Liones. Zdaje się, że to, co piszę, brzmi zupełnie bezsensownie, ale wyjaśnię ci wszystko później. Teraz muszę odszukać Briana. Jestem zdrowy, wypoczęty, cały, w dobrym nastroju – a po przeczytaniu Twojego listu czuję się jeszcze lepiej.

Uważaj na siebie. Przebywam teraz w domu króla Pellinora, razem z dwoma niedźwiadkami, dwiema wydrami oraz sarenką. Najwidoczniej wszyscy gdzieś sobie poszli. Muszę odnaleźć Briana i pozostałych. Dbaj o siebie. Kocham Cię. Niebawem się zobaczymy. Nie martw się – pamiętaj o moich magicznych umiejętnościach. Zawsze mogę się nimi osłonić. Hob też ma się nieźle.

Kocham Cię i tęsknię za Tobą

Do zobaczenia wkrótce

Jim

Pomachał papierem w powietrzu, żeby osuszyć atrament, z powrotem zmienił kałamarz i pióro w puginał, wepchnął go do pochwy i już miał odesłać listy do Malencontri, kiedy przypomniał sobie o rysunku. Przyjrzał mu się uważnie.

Tak jak za pierwszym razem, zobaczył jakąś poziomo umieszczoną postać, która zapewne miała być człowiekiem, ale bardziej przypominała szkielet, podtrzymywany za ramiona przez drugą, wyprostowaną osobę. Obok widniała rycerska tarcza z jakimś rysunkiem, zapewne herbem, a dalej jeszcze dwie postacie, krzyżujące miecze. Na dole nagryzmołono trzy słabo widoczne słowa; „nie buć przyć”.

Jim pokręcił głową i postanowił rozwiązać zagadkę rysunku na tarczy. Zdecydowanie nie było to dziełem Angie. Rozmazane ślady węgla i nieudolność rysownika sprawiały, że trudno było pojąć, co przedstawia, lecz niewątpliwie był to klucz do zrozumienia całego rysunku. Jeśli Jim dowie się, kogo symbolizuje tarcza, zapewne domyśli się reszty.

Na tarczy widniało „X”, a pod nim jakiś dziwny kształt. Wyraźne były cztery nogi, a więc musiał przedstawiać jakieś zwierzę. Nagle kreski na jednym końcu dały Jimowi wskazówkę, której szukał. Te znaki wyglądały jak gałęzie drzewa.

Oczywiście. Poroże. A więc to stworzenie było jeleniem. Jim nagle zrozumiał wszystko. Był to herb Briana, który Jim zwykle oglądał na barwnym tle, niemożliwym do uzyskania za pomocą kawałka węgla. Tak więc „X” był krzyżem świętego Andrzeja, widniejącym na tarczach Neville'ów z Raby, earłów Worcester, „schowana szabla” zaś dowodziła, że ojciec Briana był młodszym synem. Jim przez chwilę zastanawiał się nad leżącą postacią, ale doszedł do wniosku, że stojąca miała potrząsać nią – jak potrząsa się kimś, kogo chce się zbudzić. Słowa poniżej potwierdzały tę tezę. „Nie buć” – czyli „nie mogłem cię zbudzić”. Natomiast sens trzeciego słowa „przyć” był oczywisty.

„Przyjdź do nas!”

Tylko gdzie oni są?

Niemal machinalnie Jim jednym palcem skreślił kabalistyczny znak nad kartką papieru, która natychmiast znikła. Magia, która ją tu przyniosła, zaniesie ją z powrotem do Malencontri bez żadnego wysiłku z jego strony, Jim był za to wdzięczny losowi, gdyż nie musiał ponownie uszczuplać kurczącego się zapasu owoców.

Za późno przypomniał sobie o szkicu Briana, narysowanym na tej samej kartce, Angie podobnie jak on zrozumie sens rysunku, który stał w jawnej sprzeczności z tym, co jej napisał: że jest zajęty, ale nic mu nie grozi. Tak więc najszybciej jak to będzie możliwe powinien posłać jej następną wiadomość, dając jej znak, że nie ma powodu do niepokoju. Tymczasem, jeśli dobrze zinterpretował rysunek Briana, bitwa między Liones a reprezentującym Ciemne Moce Cumberlandem właśnie miała się zacząć – niewątpliwie na Pustej Równinie. Jim powinien wyruszyć tam jak najszybciej.

–Mój koń – powiedział głośno, usiłując przypomnieć sobie, kiedy i gdzie ostatnio widział Gorpa.

Wydry i niedźwiadki nadal tylko na niego spoglądały. Sarna podeszła i pocieszająco trąciła go pyskiem w pierś.

–Obawiam się, że nie zdołasz mi pomóc – rzekł, gładząc jej miękką sierść – ale i tak dziękuję.

Zostawiła go, podeszła do drzwi chatki z bali i unosząc jedną nogę, dwa razy zastukała kopytkiem do drzwi. Odgłos stukania zabrzmiał zdumiewająco głośno w panującej wokół ciszy.

Sarna cofnęła nogę, lecz pozostała na miejscu. Uplynęła dłuższa chwila, a potem drzwi się otwały. Wyjrzał z nich sługa w podeszłym wieku. Jego twarz musiała być niegdyś urodziwa, ale czas wyrzył głębokie bruzdy w kącikach oczu i ust oraz proste linie na czole. Mężczyzna spojrzał na łanię, która z kolei obejrzała się na Jima.

–Muszę jechać – oznajmił Jim.

–Potrzebujesz swojego konia, panie rycerzu?

–Tak. Widziałeś go?

–Czeka w stajni na tyłach – odparł z lekkim naciskiem lokaj, dając do zrozumienia, iż w domu króla Pellinora Jim powinien uważać to za oczywiste. Spojrzał nad ramieniem gościa i zawołał w kierunku narożnika budynku:

–Koniu!

Znów popatrzył na Jima.

–Najpierw trzeba go osiodłać, panie – rzekł, gdyż ktoś, kto nie potrafił się domyślić, że służba zajmie się jego rumakiem, mógł również z tego nie zdawać sobie sprawy. Jim zastanawiał się, dla czego wierzchowiec Pellinora pojawiał się natychmiast, gotowy do jazdy. Może przez cały czas czekał przygotowany.

Pojawił się Gorp – osiodłany, wyszczotkowany i z tkwiącą w olstrze przy siodle kopią. Raźnie przytruchtał do Jima, tańcząc tak samo jak biały rumak Pellinora, ale popsuł ten efekt, pochylając łeb, żeby skubnąć kępę trawy.

Sługa przytrzymał strzemię, Jim dosiadł Gorpa.

–Czy mam rację? – zapytał. – Udali się na Pustą Równinę?

–Tak, panie. Nie wcześniej niż między tercją a sekstą.

Nieźle, pomyślał Jim. Tercja była kanoniczną trzecią godziną, a seksta – południem. Trzy godziny. Mniej więcej tyle potrzeba, by ustawić rycerzy Liones w szyku i przygotować do bitwy.

–Sarna wskaże ci drogę – powiedział sługa.

–Hm. Dziękuję...

W czternastym wieku powszechnie przyjęte było nagradzanie sług gospodarza, którzy okazali się pomocni, ale Jim nie miał pojęcia, jakie zwyczaje obowiązują w Liones. Nie chciał nikogo obrazić, próbując wręczyć mu napiwek. W końcu nie musiał. Na razie mógł to sobie darować. Może później nadarzy się jeszcze okazja.

Sarna dotknęła nosem chrap Gorpa. Potem ruszyła w las, a wierzchowiec podreptał za nią.

Po mniej więcej czterdziestu minutach dotarli na Pustą Równinę. Widocznie dom

Pellinora leżał bliżej, niż Jim oszacował to z góry, a może do przedziwnych właściwości Liones należały również przypadkowe zmiany odległości.

Wyjechali na skraj Równiny, ciągnącej się w przybliżeniu z północnego zachodu na południowy wschód. Siły Liones zajęły pozycje na jej północno-zachodnim krańcu. Nieistotne, pomyślał Jim, gdy sarna prowadziła tam Gorpa, chyba że bitwa potrwa do zachodu słońca. Wtedy białe słońce zacznie świecić w oczy rycerzom Liones, a w plecy ich przeciwnikom... A już było po południu.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że zjawili się wszyscy rycerze tej krainy. Gorp posłusznie szedł za sarną, a ta wiodła ich prosto do króla Pellinora. Ten stał otoczony gromadą starszych rycerzy – niewątpliwie samych przodków. Trzy metry dalej Jim z ulgą dostrzegł Briana, Dafydd i króla Davida. Minął sarnę, która łagodnie przepychała się przez tłum, zmierzając do Pellinora i nie budząc swym widokiem żadnego zdziwienia rycerzy. Po chwili Jim na dobre stracił ją z oczu.

Wśród rycerzy Liones wyczuwało się podniecenie. Jim widywał takie objawy u Briana, który przed bitwą lub pojedynkiem zawsze był ożywiony i wesoły. Mieszkańcy tej krainy – szczególnie legendarni rycerze – zdawali się reagować podobnie. Dafydd był taki sam, sądząc po tym, jak nieustannie poszukiwał w górnej krainie łuczników i zapaśników, z którymi mógłby się zmierzyć – tyle że skrywał to pod maską leniwej obojętności.

Jim zawsze czuł lekkie ssanie w żołądku na myśl o czekającej go walce. Prawdę mówiąc, to uczucie zniknęło po kilku ciosach i dopiero wtedy mógł dać z siebie wszystko.

Teraz Brian zachowywał się w typowy dla siebie sposób.

–Jamesie! – zakrzyknął wylewnie na widok nadchodzącego przyjaciela. – Zbudziłeś się! Jesteś tu! Chwała wszystkim świętym! Wiedziałem, że nie przegapisz tak godnego zwycięstwa.

–A więc uważasz, że Liones może pokonać wroga? – spytał Jim, podchodząc do nich.

–Skoro są tu moi błękitni, nie ma co do tego wątpliwości – odrzekł Dafydd.

–Liones zwycięży! Na pewno! – powiedział Brian. – Czymże jest taka hołota wobec rycerzy Okrągłego Stołu? Wyrzucimy ich z naszej ziemi!

–Zamierzasz walczyć u boku przodków?

–Tak, Jamesie! Oczywiście, oni pojedą pierwsi. To ich przywilej. Liones jest ich królestwem i mają do tego prawo!

Kątem oka Jim dostrzegł jakiegoś krępego rycerza bez hełmu, błyskającego łysiną i wymachującego pięściami przed nosem Pellinora, od którego najwidoczniej czegoś się domagał. Cokolwiek to było, Pellinor pozostał niewzruszony i nie zamierzał ustąpić.

–A więc oddziały Cumberlanda już tu są? – spytał Jim.

–Sam zobacz, sir Jamesie! – rzekł król David, wskazując ręką na Pustą Równinę.

Jim spojrział i po chwili dostrzegł ciemną linię uzbrojonych i gotowych do walki ludzi. Wydawało się, że znajdują się jeszcze w sporej odległości, może nawet kilku kilometrów. Oślonił dłonią oczy, próbując zobaczyć coś więcej.

–Są znacznie bliżej, niż się zdaje, sir Jamesie. Równina ma mi wzrok przez to przewężenie na środku. Zachowuj się, Równino! – powiedział TB, który do tej pory się nie odzywał.

Na chwilę szereg gwałtownie się przybliżył – wystarczająco, by Jim zdołał dostrzec poszczególnych ludzi i konie. Był prawie pewny, że poznaje Cumberlanda, lecz właśnie w tym momencie Równina znów stworzyła ułudę odległości i nie rozpoznał nikogo więcej.

–Gdzie jest Modred? – zapytał, przypomniałszy sobie o nim – i Morgan le Fay?

–Morgan le Fay na pewno zamierza się tu pojawić – odparł TB. – Gdzie indziej miałyby być w taki dzień? Dotychczas jednak nikt jej nie widział. Natomiast co do Modreda, to minąłeś się z nim. Podobno miał nadzieję, że przyłączy się do niego wielu rycerzy. Tak się nie stało. Odjechał, zaklinając się, że uzbroi się i powróci, ale nie zrobił tego.

Ciemna linia wrogich szeregów zrobiła wrażenie na Jimie. Spojrzał na rycerzy Liones. Kiedy tu przybył, wydawało mu się, że jest ich wielu, teraz jednak miał poważne wątpliwości, czy zdołają powstrzymać nieprzyjaciela.

–Oni nie podchodzą do nas – zauważył, gdyż przynajmniej tyle dostrzegł w tej krótkiej chwili, gdy uniosła się zasłona iluzji – a my nie posuwamy się naprzód. Być może wcale nie dojdzie do bitwy.

–Nie ma obawy, Jamesie! – rzekł Brian. – Nasi wrogowie ustalają teraz, kto pojedzie w pierwszym szeregu, a kto – jeśli w ogóle – w następnych. Gdyby nie ta przeklęta Równina, która ma mi wzrok, mógłbym znacznie więcej wywnioskować ze sposobu, w jaki formują szyki: czy ich główne siły skoncentrowano w środku, czy na skrzydłach, kto dowodzi poszczególnymi oddziałami i co potrafi, sądząc po tym, jak siedzi na koniu i przemawia do swoich ludzi lub nie.

–Hm – mruknął Jim. Coraz bardziej powątpiewał w to, czy siły Liones mogą w tej sytuacji zwyciężyć. Legendarni rycerze byli znacznie mniej liczni, a poza tym starzy. – Nie tylko pod względem rzeczywistego wieku – większość z nich żyła mniej więcej dziesięć stuleci wcześniej. Po prostu wykazywali fizyczne objawy starości. Na przykład ten krępy, łysawy mężczyzna.

Ponadto prawdopodobnie byli w kiepskiej formie. Sir Bediwer mówił, że przestali walczyć ze sobą. Jim nie wiedział, czy to prawda. W pewnej chwili, kiedy sir Kay zaczął żartować sobie z Lancelota, Jim – na podstawie swoich doświadczeń w górnej krainie – był przekonany, że Bediwer zaraz wyzwie dowcipnisia na pojedynek. Może szybki odwrót Kaya rozładował groźną sytuację. W każdym razie, rycerze mogli wyjść z wprawy po kilkusetletniej przerwie, wypełnionej jedynie wspomnieniami chwały młodszych dni.

–Hm – powtórzył – możemy popatrzeć. Jesteś gotowy znów zmienić się w smoka, Brianie?

Rycerz rozpromienił się.

–Jak najbardziej, Jamesie!

–A zatem ruszamy. TB, wyjaśnij Pellinorowi i każdemu rycerzowi, którego zaniepokoiłaby ta przemiana, że robimy to w dobrej sprawie. Możesz również

zapewnić ich, że podczas mojej nieobecności nie zamierzam posługiwać się magią. To zadanie dla rycerzy, nie dla magów, a samemu będąc rycerzem, rozumiem, że nie należy mieszać tych dwóch spraw.

–Chętnie to zrobię. Dziękuję, sir Jamesie, że mi o tym powiedziałeś – rzekł TB.

–Nie ma potrzeby dziękować – odparł Jim i dodał, zapominając, że powinien starannie wymawiać słowo „mag”, jeśli chce być zrozumiany przez miejscowych: – To obowiązek maga. Chodź, Brianie.

Ugryzł kawałek jabłka.

Dwa smoki wzbily się w powietrze, a łopot ich skrzydeł zwrócił uwagę wszystkich wokół, zgodnie z przewidywaniami Jima.

–Okrążymy wojska Cumberlanda – powiedział Jim, kiedy znaleźli się już tak wysoko, że nikt na Równinie nie mógł ich usłyszeć. – Jeśli zobaczą, jak odlatujemy i znikamy im z oczu w oddali, przestaną się niepokoić. Zatoczmy krąg, wzbijając się tak wysoko, że nie będą pewni, czy nie jesteśmy ptakami.

Brian pokiwał głową.

–Wątpię, czy w Liones są smoki – rzekł.

–Pewnie nie. Wyczułbym je, gdyby tu były – odparł Jim. Dotychczas nie przyszło mu to do głowy. Zanotował w myślach, żeby wznieść się jak najwyżej, zanim znów znajdą się nad głowami rycerzy Cumberlanda.

Wykonali ten manewr bez przeszkód. Ponownie ulokowali się nad szeregami wroga, lecąc na wysokości około czterystu metrów, zatoczywszy szeroki łuk przechodzący nad Równiną w spiralę, tak by dobrze obejrzeć pierwsze szeregi i tyły wojsk nieprzyjaciela.

–Ci w dole zapewne biorą nas za kruki szykujące się do uczyty po bitwie – podsunął Brianowi.

–To za wysoko dla kruków – odparł stanowczo Brian. – Wezmą nas raczej za orły. Te też nie gardzą zwłokami na poboju.

–Oczywiście. Tak. Doskonale. Orły.

Mówiąc to, Jim studiował długość i szerokość szyków nieprzyjaciela. Zauważył kilka potężnych, beznogich skoczków, które widział uciekające z wylęgarni Ciemnych Mocy, jak również sporo ogrów wspierających szeregi ludzi. Nad ich głowami polatywało małe stadko harpii.

Tych stworów było znacznie mniej, niż oczekiwał. Czyżby tym przypadkowo wznieconym pożarem naprawdę zniszczył tyle stworów Ciemnych Mocy? Przecież część tych, które padły przed wylęgarnią, zapewne tylko straciła przytomność i do tej pory powinna dojść do siebie.

A może nie. Być może jego pierwsze wrażenie było słuszne i w okresie beczynności stworzenia te miały niewielki zapas życiowej energii. Tak więc liczba potworów, które wezmą udział w bitwie, pozostawała wielką niewiadomą.

Jim przyglądał się zbrojnym uważnie, w nadziei, że dowie się czegoś więcej ponad to, co już wiedział – że mieli przewagę liczebną nad rycerzami Liones.

Nigdzie nie dostrzegł śladu dzikich zwierząt, które słuchały go, kiedy przemawiał do nich w lesie. Stwierdził, że za ostatnimi szeregami zbrojnych rozstawiono namioty

i rozciągnięto liny, tworząc zagrody dla koni. Westchnął w duchu. Powinien był zaproponować, by mniejsze zwierzęta ukradkiem ponadgryzały przed bitwą wodze i popręgi. To mogłoby wyłączyć z walki część rycerzy w pierwszych chwilach bitwy.

Najwyraźniej zwierząt tu nie było. Może zmieniły zdanie. Zwierzęta nie myślą tak samo jak ludzie.

Zatoczyli z Brianem trzeci krąg nad siłami Cumberlanda, nie zwracając na siebie uwagi.

–Brianie – powiedział, na wszelki wypadek niezbyt głośno.

–Jamesie?

–Jeśli nie chcesz już dłużej patrzeć, wracajmy do rycerzy Liones.

–Nie chcę. Zatem wracajmy.

Zawrócili i po chwili równina zniknęła im z oczu. Jim opadł niżej, aby zasłoniły ich wierzchołki drzew. Utrzymując się na tej niewielkiej wysokości, niepostrzeżenie dolecieli na drugi koniec Pustej Równiny.

–Brianie – rzeki normalnym smoczym głosem, ponieważ teraz nie mógł ich usłyszeć nikł prócz mieszkańców lasu – zapomnij na chwilę, że przodkowie są prawdziwymi rycerzami Okrągłego Stołu. Myśl o nich tak, jakby byli najzupełniej zwyczajnymi rycerzami. Jak wtedy wyglądałyby nasze szanse na zwycięstwo?

Brian zastanawiał się przez kilka minut, gdy szybowali nad czubkami drzew, unoszeni we właściwym kierunku przez przyjazny wietrzyk. Tuż pod nimi wierzchołki drzew lekko chyliły się w jego podmuchach, jakby wskazując im drogę do przyjaciół.

–No cóż – odparł w końcu Brian niezwykle poważnym jak na niego tonem. – Niezbyt mi się to podoba.

Zamilkł, jakby była to wystarczająca odpowiedź.

–Wiem, że tamci są dwa, a może trzy lub więcej razy liczniejsi – powiedział Jim, zachęcając go do kontynuowania tematu. – Co jeszcze sprawia, że tak myślisz?

–Raczej cztery lub pięć razy. Ustawili się w dwa rzędy, podczas gdy my możemy sformować najwyżej jeden, złożony z samych rycerzy Okrągłego Stołu, gdyż ich potomkowie i inni nie będą godną siłą.

Jim wiedział, że pod pojęciem „siły” Brian rozumiał coś, co w dwudziestym wieku nazwano by oddziałem.

–Oni nie będą w stanie jechać w zwartym szyku, niezależnie od tego, jak bardzo będą się starali.

–I? – nalegał Jim.

–Kilka innych powodów! – odparł Brian prawie z irytacją. – Na pewno przyjrzałeś się im równie dobrze jak ja, kiedy szybowaliśmy w powietrzu. Nawet jeśli sam nie widziałeś prawdziwej bitwy, znów podobnie jak ja, nie licząc tego epizodu we Francji, kiedy otarliśmy się o coś, co mogło nią być, gdyby wszystkiego nie odwołano, to z pewnością rozmawiałeś z doświadczonymi wojownikami, takimi jak sir John.

Brian miał na myśli sir Johna Chandosa. Nikt inny nie był ich bliskim przyjacielem, a zarazem doświadczonym wodzem o takiej reputacji, by jego słowa dotyczące konfrontacji dwóch armii mogły być uznane za wiążące.

–Nie – odparł Jim, – Nigdy.

Brian odwrócił głowę i spojrzał na przyjaciela. Na jego twarzy – chociaż nie zdawał sobie sprawy z tego, że Jim, od kilku lat bywający smokiem, bez trudu może wszystko z niej wyczytać – malował się wyraz niebotycznego zdumienia.

–To nie do wiary – rzeki-Brian – że mógł tak długo rozmawiać o tym ze mną, a z tobą nie!

Rozdział 42

–Nie ma w tym niczego dziwnego – powiedział Jim i w ostatniej chwili powstrzymał się od wyjaśnienia, które byłyby dla Briana kłopotliwe lub nawet obraźliwe.

Aż za dobrze wiedział, dlaczego Chandos nie poruszał w jego towarzystwie tematu taktyki i strategii średniowiecznej wojny, chociaż godzinami rozprawiał o tym z Brianem. Chandos, jako doświadczony dowódca, w mgnieniu oka zrozumiał, że Jim nie ma jakichkolwiek zdolności w tym kierunku i nigdy nie będzie ich miał. W przeciwieństwie do Briana, Jim nie tylko nie posiadał zdolności dowódczych, ale wcale tego nie pragnął. Kiedy nie mógł uniknąć walki, podejmował ją – z konieczności. Jednak nie lubił używać kopii, miecza, topora ani żadnej innej broni i nic nie mogło tego zmienić. Natomiast Brian, pomimo iż miał romantyczny stosunek do rycerskiego stanu i był niemal modelowym przedstawicielem tej klasy, urodził się i wychował w czternastym wieku, a więc wykazywał typowy pragmatyzm swoich czasów. To on, a nie Jim, był gotowy dostrzec korzyści wynikające z jak najlepszej znajomości praktykowanej w tych czasach sztuki wojennej. W przeciwieństwie do Jima, który nie lubił walczyć, Brian to uwielbiał. Był najlepszym przyjacielem, jeżeli miałeś go po twojej stronie, lub najgorszym z wrogów, jeśli znalazł się po drugiej stronie barykady.

Co najdziwniejsze, nie lubił ranić i zabijać, lecz po prostu pragnął się nieustannie sprawdzać, a walna bitwa była najlepszą po temu okazją. Mógł wówczas wykazać się tym, co uważał za największe zalety rycerza. Zwycięstwo co prawda było pożądane, lecz Brian traktował je jako kwestię drugorzędą.

Gdyby Jim w nieprzemyślany sposób spróbował wyjaśnić mu postępowanie Chandosa, mógłby niepotrzebnie głęboko zranić przyjaciela. Brian w każdej wolnej chwili usilnie starał się zrobić z Jima kompetentnego – a może i groźnego – rycerza, zręcznie posługującego się mieczem, kopią i innym rycerskim orężem. Gdyby teraz dowiedział się, że wszystkie te wysiłki poszły na marne, byłby głęboko rozczarowany. A najgorszy cios stanowiłoby to, że John Chandos, który z pewnością nie mylił się w takich sprawach, pojął to w mgnieniu oka. Po tylu staraniach Briana bardzo by to dotknęło. Dzielił bowiem ludzi na stojących niżej od niego, których traktował z wrodzoną uprzejmością, chociaż czasami szorstko, w sposób przyjęty w tych czasach, na równych sobie, z którymi może się potykać i zwyciężyć lub zostać pokonanym, i w końcu na lepszych od siebie. Krótka lista tych ostatnich obejmowała ludzi takich jak John Chandos i sam Jim – którego umiejętności w dziedzinie magii ogromnie podziwiał, jako niedostępne nawet Chandosowi. Pod tym względem Jim jawił mu się jako niedościgły posiadacz ogromnej i tajemniczej wiedzy, przybyły z jakiejś nieznannej krainy, a jednocześnie bratnia dusza o takim samym stosunku do idei rycerskości.

Jim gwałtownie przerwał te rozważania, gdyż nie doprowadziłyby go do odpowiedzi na pytanie, jakie niewątpliwie zrodziło się w umyśle Briana na wieść, że Chandos nie rozmawiał na ten temat z Jimem, tylko z nim, Jim gorączkowo szukał jakiegoś wyjaśnienia. Do tej pory, podczas ćwiczeń z bronią, skuteczną okazywała

się wymówka, że urodziwszy się w innym królestwie, nie odebrał wychowania, jakie Brian uważał za oczywiste i naturalne dla każdego szlachcica. Może okaże się skuteczna i teraz.

–No cóż – powiedział mu ściszym głosem – jak wiesz, nie jestem Anglikiem. Brian odpowiedział natychmiast i ze zrozumieniem.

–Nieważne, Jamesie! – rzekł stanowczo. – To nie twoja wina, do licha. Nie myśl o tym. Czy chcesz, bym powiedział ci o innych powodach do zmartwienia, jakie miałbym, gdyby nasi rycerze nie należeli do orszaku Artura?

–Bardzo – odparł Jim.

Brian powiódł wzrokiem po czarno-białym horyzoncie. Ponownie zamilkł, lecz tym razem na znacznie krótszą chwilę, a kiedy przemówił, jego głos brzmiał zdecydowanie.

–Gdyby nasi rycerze byli inni – rzekł – muszę przyznać, że żywiłbym obawy co do losów nadchodzącej bitwy. Gdyby byli tylko zwyczajnymi szlachcicami, można by uznać, iż nieprzyjaciel ma niebezpiecznie dużą przewagę liczebną.

–Hm – mruknął Jim. – Sądysz zatem, iż zwycięstwo nie przyjdzie im łatwo?

–Tak myślę, Jamesie, a ponadto znaczna część naszych przeciwników ma spore doświadczenie bitewne. Być może nawet wszyscy, inaczej nie chcieliby zarabiać na życie mieczem w taki sposób. Oni równie dobrze jak my muszą zdawać sobie sprawę, z kim przyjdzie im się potykać. I wiedzą, jak źle wróży im bezpośrednie starcie z jednym z naszych rycerzy, którzy ruszali do boju w imię Artura.

–Lecz nasi rycerze są starzy.

–Ba! – Brian odwrócił smoczy łeb i spojrzał Jimowi w oczy. – Kilka siwych włosów czy łysina nie pozbawia urodzonego wojownika umiejętności, Jamesie! A tym bardziej nie odbiera serca do walki. Może trochę zmniejsza szybkość ramienia i ręki, ale tak bywa u zwykłych ludzi, a ci, o których mówimy, są niezwykli. Czyż Modred, przeszyty przez Artura kopią, nie nadział się na nią aż po pierścień, aby dosięgnąć go mieczem? Nie możesz myśleć o nich jak o zwykłych szlachciurach i hreczkosiejach!

–Nie – odparł Jim. – Na pewno nie. Ale...

–Są też inne powody – ciągnął Brian – jakich nie wolno pominąć.

–Na przykład... Chciałem spytać, jakie?

–Cóż, kwestia wyposażenia ludzi Cumberlanda. Całego. Większość z nich ma lepsze wierzchowce niż nasi dzielni rycerze. Pewnie zauważyłeś, kiedy poprzednio podróżowaliśmy przez Liones i potykałem się na kopie z potomkiem sir Dinedana, a także gdy obaj skrzyżowaliśmy kopie z Jasnym Rycerzem, że nie tylko nasze konie są cięższe i popręgi grubsze, lecz mamy również mocniejsze i dłuższe kopie.

–Nie zwróciłem uwagi – powiedział Jim niezupełnie szczerze.

–Jak już ci mówiłem, Jamesie, musisz dostrzegać takie rzeczy. Obserwuj uważnie człowieka, z którym będziesz walczył. Ten biały rumak Pellinora jest chlubnym wyjątkiem wśród wierzchowców naszych rycerzy, ale z tego, co dotychczas widziałem, chyba jedynym. Myślę też, że nasza stal nie tępi się tak szybko na zbroi przeciwnika, a nasze zbroje, wzmocnione stalowymi płytkami, nie ustąpią tak łatwo

pod ostrzem miecza. Jednak najbardziej niepokoi mnie Pellinor jako dowódca.

–Pellinor? – zdziwił się Jim, – On jest chyba najsilniejszym człowiekiem w Lionese!

–Wcale w to nie wątpię. Jednak dowódca powinien posiadać jeszcze inne zalety.

Chandos mówił o tym z naciskiem i podał mi szereg celnych przykładów takich czy innych błędów, które doprowadziły do klęski i śmierci wielu zacnych ludzi – nie tylko szlachciców, ale i pospólstwa. Zgubiła ich nieudolność dowódcy. Z drugiej strony, jak mówił Chandos, wielki wódz obdarzony licznymi zaletami może być taką inspiracją, że nawet inni odkryją w sobie talenty, o które nikt by ich nie podejrzewał.

–Mogę w to uwierzyć – powiedział Jim i naprawdę tak myślał (nawet jeśli w słowach Briana było trochę przesady, bo przecież są pewne granice ludzkich możliwości). – Jednak Pellinor jest najlepszym rycerzem, jakiego mamy w swych szeregach. Chyba że myślisz o kimś takim jak Gawen, który był jednym z najbardziej cenionych przez Artura...

–Nie on. Może sobie być szlachetnym rycerzem, ale nie wyczułem w nim takiego ognia, o jakim mówił sir John. Nie, musimy cieszyć się, że znaleźliśmy przynajmniej takiego wodza jak Pellinor. Istnieje jednak jeszcze ważniejszy powód do obaw.

–Jaki, Brianie?

–Czy nie zauważyłeś, kiedy przelatywaliśmy, w jaki sposób nieprzyjaciel sformował szyk?

–Widziałem, że w dwóch grupach – chciałem powiedzieć szeregach – jeden za drugim.

–A czy dostrzegłeś różnicę między jednym a drugim?

–Brianie – odparł Jim. – Obawiam się, że nie przyjrzałem im się tak dokładnie.

–Jamesie, Jamesie! W takich przypadkach musisz wszystko dokładnie sprawdzić. Szkoda, że niczego nie zauważyłeś. Liczyłem, że dostrzeżesz to samo co ja. Pierwszy szereg składał się wyłącznie z jeźdźców. Tymczasem w drugim było ich niewielu, a za nimi stały cztery rzędy piechoty z długimi włóczniami. Cumberland zebrał więcej pospólstwa, niż sądziłem.

–Mnie też to dziwi – rzekł Jim. – A dlaczego, pomijając ich liczebność, jest to takie ważne?

–Och, Jamesie! – Brian zapomniał o ostrożności i zagrział smoczym głosem. Na szczęście wokół jak okiem sięgnąć był tylko las, – Zazwyczaj ustawia się piechotę z ciężkimi włóczniami na samym przedzie, aby powstrzymała konie, jeśli nie jadących na nich rycerzy, odpierając szarżę! Ponadto powinieneś zauważyć jeszcze coś, a mianowicie, że podwojono liczbę rycerzy na obu skrzydłach.

Jim nie zwrócił na to uwagi.

–Lepiej mów ciszej, Brianie – powiedział. – Nie sądzę, aby ktoś nas tu usłyszał, ale lecimy tuż nad ziemią.

–Oczywiście. Wybacz, Jamesie... ale rozumiesz, co mam na myśli?

–Nie – przyznał Jim.

–No cóż, ten lis Cumberland – nie przepadam za nim, ale trzeba przyznać, że jest wodzem w pełnym znaczeniu tego słowa – ustawił włóczników za jazdą, aby nasi rycerze nie przedarli się przez ich szeregi. Co w innym przypadku mogłoby się

zdarzyć.

Ponownie odwrócił smoczy łeb i spojrzał na Jima.

–Nadal nie rozumiesz, Jamesie?

–Nie, Brianie.

Smoki nie umieją wzdychać, lecz Jim wydał sapnięcie bardzo zbliżone do westchnienia.

–Wybacz. Nic rozumiem.

–Przecież to takie proste! Nie, nie, to ty mi wybacz. Mówiłeś mi, że nie rozmawiałeś z sir Johnem, podczas gdy ja skorzystałem z jego mądrości. To pułapka zastawiona na paladynów Okrągłego Stołu. Nasi rycerze zaatakują, a przodkowie na pewno zechcą jechać w pierwszym szeregu. Uderzą w sam środek sił Cumberlanda i szarża zmieni się w szereg utarczek, w których rycerze doskonale sobie radzą, ale nie będą już zwartym szykiem przez naprzód.

–Czy mogłoby być inaczej?

–Nie, zważywszy na to, kim są. Jednakże ich szarża zostanie powstrzymana. Chociaż mogliby przebić się przez samych włóczników – dokonaliby tego i mniej znamienici rycerze – tutaj, kiedy zmiotą z drogi jezdnych, w pojedynkę lub grupkami staną naprzeciw szeregom uzbrojonej we włócznie piechoty. Ta, działając w zwartym szyku, zatrzyma ich, a wówczas skupione na skrzydłach główne siły otoczą ich żelaznym pierścieniem i rycerze będą musieli walczyć z wrogiem atakującym nie tylko z przodu, ale i z tyłu!

Jim szybował nad drzewami, teraz w pełni pojmując to, co próbował wyjaśnić mu przyjaciel.

–Masz rację, Brianie – odezwał się w końcu. – Nie jest dobrze. – Te słowa zabrzmiały bardzo słabo nawet w jego uszach. – I nie wiem, co możemy na to poradzić. Jak powiedziałaś, rycerze będą chcieli przeprowadzić wszystko po swojemu.

–Jednakże trzeba powiedzieć o tym Pellinorowi! Jeśli będzie świadom, co im grozi, może znajdzie jakiś sposób, żeby temu zapobiec.

–Chyba w to nie wierzysz, Brianie?

Lecący obok smok pokręcił łbem w typowo ludzkim geście zaprzeczenia.

–Nie, Jamesie. Nie wierzę. Dlatego liczyłem, że ty powiesz mi o tym, co widziałeś na własne oczy, i przekonasz, jak się to ma do nauk sir Johna. Jesteś baronem i potężnym magiem, a ja jestem tylko wiejskim rycerzem z górnej krainy, który ci towarzyszy i o którym nigdy przedtem nie słyszał. Tymczasem ty...

–Daj spokój, Brianie. Nie wiem, czy i mnie zechce wysłuchać...

–Przecież – dodał Brian ściszym, lecz wciąż donośnym głosem – twój głos bardziej się liczy. Jednakże nie dostrzegłeś tego co ja i znasz tylko moją opinię o tym, co może zamyślać Cumberland. To moja wina, Jamesie, że nie powiedziałem ci o tym wtedy, kiedy lecieliśmy nad jego oddziałami. Byliśmy tak wysoko, że nikt by nas nie usłyszał. Niestety, postanowiłem odłożyć to na później. Teraz król Pellinor może zignorować mój osąd sytuacji!

–Do licha! – mruknął Jim. – Pozwól mi się zastanowić. Dolatywali już na drugi

koniec Pustej Równiny, gdzie zebrały się siły Liones. Jim gorączkowo rozmyślał, podchodząc do lądowania.

Może porozmawiać najpierw z TB i spytać go, jak przekazać Pellinorowi to, co Brian wywnioskował na podstawie szyku, w jaki uformowano oddziały przeciwnika. A może TB, jako dobry przyjaciel Pellinora, uzna, że postąpiłby niełojalnie, doradzając, jak manipulować królem?

Musi być jakiś sposób, żeby przekonać Pellinora. Jim i towarzyszący mu Brian z łoskotem wylądowali na trawie, w pewnej odległości od rycerzy Liones. Jim niezwłocznie przywrócił im ludzką postać, widząc pospiesznie zbliżającego się TB z Dafyddem i królem Davidem. Towarzyszyło im kilku łuczników z zatopionej krainy, którzy pełnili rolę zwiadowców.

Dafydd i David odprawili ich i powitali przyjaciół.

–Jakie wieści? – spytał niecierpliwie młody król.

–Widzieliśmy tych, z którymi będziemy walczyć, miłościwy panie – rzekł Brian. – Ustawili się w szyku bojowym, ale na razie nie atakują, chociaż kończy się dzień.

–Czekają, aż słońce znajdzie się za ich plecami i zacznie świecić w oczy rycerzy Liones. Nasi zwiadowcy podsłuchali, jak o tym mówili. Wygląda na to, że słońce – jak wszystko inne – jest tu dość dziwne. Może zacząć zachodzić, a potem przez jakiś czas wisieć tuż nad horyzontem, zanim zupełnie zniknie. Dafydd jest pewny – prawda, Dafyddzie? – że oni nie zaryzykują wejścia w las po zmroku, więc albo wkrótce zaatakują, albo będą czekali na nasz ruch.

David skończył i wyczekująco spojrzał na Dafydda.

–Nie będą dłużej czekać – stwierdził łucznik.

–Istotnie, głupio by postąpili, zwlekając – przytaknął TB.

–Co z naszymi rycerzami i innymi zbrojnymi? – zapytał Jim. – Czy wszyscy już przybyli i są gotowi?

–Nie – odrzekł niezwykłym u niego, suchym tonem Dafydd. – Rozmawiają.

Jim wcale się nie zdziwił. Z tego, co widział na miejscu obrad, rozmowy były głównym zajęciem tych rycerzy – być może dlatego, że przestali walczyć ze sobą. Będą w nieskończoność dyskutować o nadchodzącej bitwie. Być może rozważania o tym, co może się zdarzyć, stanowią według nich połowę przyjemności.

–No cóż – rzekł. – A gdzie król Pellinor? Brian i ja musimy z nim porozmawiać.

–Nie mam pojęcia – odparł Dafydd. – Właśnie w tym rzecz: kiedy chcemy mu coś powiedzieć, nie wiemy, gdzie się podziewa.

Rozdział 43

TB do tej pory się nie odzywał. Teraz przemówił. – Chodźcie ze mną, sir Jamesie, sir Brianie – powiedział. – Zaprowadzę was do króla Pellinora.

–Myślę, że my też powinniśmy pójść – rzekł Dafydd. David spojrzął na Jima.

–Tak – zgodził się Jim. – Ta sprawa dotyczy również mieszkańców zatopionej krainy.

TB nie protestował i cierpliwie czekał, gdy Dafydd skinął ręką kilku zwiadowcom błękitnych, czekającym opodal w pogotowiu. Ci odwrócili się i zniknęli w lesie, aby niebawem wrócić z czterema wierzchowcami.

Blanchard jak zawsze niechętnie dawał się prowadzić, lecz słysząc gwizdnięcie Briana, natychmiast się uspokoił. Gorp w typowy dla siebie sposób człapał zgodliwie za wiodącym go człowiekiem, aż zwęszył pana. Wtedy uniósł łeb i nastawił uszy. Sprawiał tym przyjemność Jimowi. Pozostałe dwa wierzchowce, rumaki z zatopionej krainy, należące do Dafyddda i króla Davida, szły spokojnie, niczym konie wyścigowe oszczędzające siły do chwili, gdy rozpocznie się bieg.

Pojechali razem za prowadzącym ich TB, mogąc podążać jedynie wolnym truchtem, klucząc i omijając rozsiane po całym terenie grupki ludzi oraz koni. Wydawało się, że jest ich tu naprawdę wielu. Jednak tylko co obejrząwszy siły Cumberlanda, Jim zdawał sobie sprawę z tego, że tych rycerzy było kilkakrotnie mniej.

Pellinor nie może być daleko, pomyślał Jim, pozostało więc niewiele czasu, by porozmawiać z TB o tym, co powiedział Brian. Dafydd i król David zostali nieco w tyle. Wprawdzie nie było to żadną tajemnicą, ale Jim zniżył głos.

–Lordzie TB – rzekł, zrównawszy się z nim. – Pozwól, że opowiem ci, co Brian i ja odkryliśmy, przelatując w smoczniej postaci nad siłami wroga.,.

TB słuchał uważnie, lecz nie zwolnił kroku, gdy Jim opowiadał mu o dwóch szeregach, piechocie uzbrojonej w długie włócznie oraz wzmocnionych skrzydłach.

–Brian uważa – zakończył Jim – że piechota ma powstrzymać szarżę naszych rycerzy na pierwszy szereg jazdy, a wtedy zostaną oskrzydleni i otoczeni. Będą musieli walczyć nie tylko z wrogiem znajdującym się przed nimi, ale również z tyłu i z boków.

–Nieprzyjemna sytuacja – zauważył TB.

–Pomyśleliśmy, że król Pellinor powinien o tym wiedzieć.

–Pewnie tak.

–Pytanie tylko – ciągnął Jim – jak mu to przekazać, aby dostrzegł niebezpieczeństwo, którego należy uniknąć? Niewątpliwie rycerze Okrągłego Stołu nigdy nic napotkali równych sobie. Jednak siły nieprzyjaciela są tak liczne, że w bezpośrednim starciu ta przewaga musi w końcu przeważać szalę na ich korzyść...

–To wcale nie jest pewne. Nikt nie zdoła powstrzymać ani pokonać naszych rycerzy, dopóki mogą przeć naprzód! – odparł z mocą TB. – Pomimo to powinieneś powiedzieć o tym królowi, sir Jamesie, gdy tylko znajdzie chwilę czasu, żeby z wami porozmawiać, gdyż jest zajęty układaniem planów.

–Ale czy nam uwierzy?

–Tego nie wiem.

–Pomyślałem... – Jim zawahał się – że mógłbyś zasugerować nam najlepszy sposób, w jaki moglibyśmy przedstawić mu ten problem, a może nawet pomóc nam w tym.

–Ja nie widziałem tego, co wy z Brianem.

–Nie, oczywiście, że nie. Jednak...

–Tak więc nie mogę wydawać żadnych sądów w tej sprawie.

–Rozumiem – rzekł rozczarowany Jim w chwili, gdy wyjechali na coś w rodzaju polany, na której rycerze otaczali kręgiem swojego dowódcę. W samym środku stała grupka arturiańskich rycerzy, a nad ich głowami górował zwykły, stalowy hełm sir Pellinora.

–Panowie! – odezwał się TB zaskakująco władczym głosem. – Czy mogę prosić, abyście łaskawie zechcieli się rozstąpić i zrobić nam przejście?

–TB! – zawołał chór głosów, w większości których Jim usłyszał zdumienie, jakby TB i towarzyszący mu ludzie nie tylko pojawili się nieoczekiwanie, ale wyrosli wprost spod ziemi.

Zbrojni rozstąpili się na prawo i lewo.

–Serdeczne dzięki za uprzejmość, panowie – powiedział TB i wraz z pozostałymi ruszył w kierunku Pellinora i otaczającej go grupki. Kiedy jednak do niej dotarli, gwałtownie przystanął. Jadący tuż za nim Jim o mało na niego nie wpadł, ale zatrzymał Gorpa – którego potrafił wierzchowiec króla Davida.

–Racz wybaczyć, sir Jamesie – rzekł młody władca.

–W porządku, nic się nie stało – odparł Jim. – TB...

–Musimy zaczekać na naszą kolej, sir Jamesie – oznajmił TB, odwracając gadzi łeb o sto osiemdziesiąt stopni, żeby spojrzeć Jimowi w oczy. Przed nami są inni. Król Pellinor zauważy nas, kiedy przyjdzie pora.

Czekali. Jim zżymał się w duchu, gdyż wyraźnie słyszał, o czym rycerze rozprawiali z Pellinorem. Omawiali nieistotne kwestie, kto będzie jechał obok kogo i czy niektórzy nie powinni pogalopować przed pozostałymi, aby pojedynczo zaatakować nieprzyjacielskie szeregi i zasiać lęk w sercach wrogów. Cenny czas mijał, słońce chyliło się ku zachodowi. Już znajdowało się wyraźnie niżej na niebie, chociaż Jim wiedział, że w owej dziwnej krainie na tej podstawie nie można ocenić, ile czasu pozostało do nadejścia nocy. Jednakże zmrok na pewno zapadnie niebawem.

–Nie sądzę, sir Persancie – mówił Pellinor. – Takie działania byłyby wskazane w honorowym starciu lub w walce jednego przeciw wielu, kiedy wszyscy biją się o wspólną sprawę, lepiej walczyć jak jeden mąż. Inni również zwracali się do mnie z taką prośbą i musiałem im odmówić... Lordzie TB, czy ty i twoi towarzysze czekacie na rozmowę ze mną?

–Istotnie, królu Pellinorze – odparł TB. – Szczególnie sir James i sir Brian mają dla ciebie ważne wieści dotyczące nieprzyjaciela.

–Tak powiadasz? – rzekł Pellinor. – Panowie, z tymi z was, z którymi nie porozmawiałem, nie zdążę już tego zrobić przed bitwą. Żałuję, lecz już zbyt wiele czasu zmitrężyliśmy na dyskusje. Pomówię z sir Jamesem i sir Brianem, a wy

tymczasem szykujcie się do ataku.

„Do ataku!” – pomyślał Jim. Oczywiście, to rycerze Liones zaatakują pierwsi. Cumberland zrozumiał to wcześniej od niego. Uzbrojona w długie i nieporęczne włócznie, przeznaczone do wbijania końcem w ziemię i powstrzymywania koni, piechota z pewnością nie mogła popędzić po Równinie do ataku.

Rycerze rozeszli się, rzucając kosę spojrzenia na Jima i jego towarzyszy – ale nie na TB.

–No cóż, panowie, sir Jamesie? – spytał Pellinor. W jego głosie nie słyhać było zniecierpliwienia, ale basowy ton oraz mowa ciała sygnalizowały, że ma już po uszy bezsensownych rad i żądań.

–Jak wiesz, królu – zaczął Jim – sir Brian i ja możemy zmieniać się w smoki i latać. W moim przypadku nie jest to zwyczajna magia, tak więc dotrzymałem słowa i nie użyłem czarów. Przelecieliśmy nad szeregami wroga i odkryliśmy kilka faktów, które być może chciałbyś poznać.

–Tak?

Jim najzwyczajniej jak mógł opowiedział mu o tym, co widzieli, i przedstawił wnioski Briana.

–Może zechcesz zmienić plan bitwy, uwzględniając te okoliczności – zakończył.

–Nie sądzę – odparł bez zastanowienia Pellinor. Zamilkł na chwilę, jakby szukał właściwych słów. – Sir Jamesie, będziemy walczyć tak, jak czyniliśmy to zawsze, w imię Boże i z czystymi sercami, a jeśli nie zdołamy utrzymać tego, co posiadamy, sami będziemy sobie winni. Dziękuję jednak, że próbowaliście nam pomóc. Nie będziemy też potrzebowali strzał – zerknął na Dafydd i Davida – oraz żadnej pomocy ze strony Liones. A teraz wybaczcie, ale muszę dołączyć do jadących na przedzie, gdyż towarzysze Artura pojedą przed wszystkimi innymi.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

–Nie irytuj się, sir Jamesie – rzekł TB. – Nie jest łatwo dowodzić rycerzami, którzy nie znali innego przywódcy prócz Artura i własnego sumienia.

–Zamierzałem poruszyć z nim kwestię udziału w bitwie zwierząt Liones – rzekł Jim – ale nie dał mi okazji.

–Sądzę, że to niczego by nie zmieniło – zauważył TB. – Powiedziałyby ci, że zwierzęta Liones mogą robić, co chcą, ale stworzenia im podobne nie wygrywają bitew.

–Chodzi nie tyle o wygraną bitwy, ile o wszczęcie zamieszania w szeregach wroga, aby...

Zamilkł. Nadal stojąc tam, gdzie pozostawił ich Pellinor, znalazł się wraz z towarzyszami nieco za pierwszym, już kompletnym szeregiem złożonym z legendarnych rycerzy, i tuż za liniami ich potomków oraz innych mieszkańców Liones. Ci ostatni jeszcze nie sformowali szyku i głośno rozmawiali, podczas gdy rycerze sporadycznie wymieniali między sobą krótkie uwagi. Przeważnie siedzieli na koniach w milczeniu.

Jim urwał w połowie zdania, czując podmuch gorącego powietrza. Nic nie powiedział, gdyż w pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś zwyczajny kaprys pogody.

Brian, Dafydd i David też się nie odezwali, ale w ich przypadku, tak samo jak u rycerzy, zadziałał wpojony odruch. Wszyscy poczuli się tak, jakby ktoś otworzył przed nimi drzwiczki piekarnika.

Jim doszedł do wniosku, że w reakcji rycerzy nie było niczego niezwykłego. Pierwsi krzyżowcy w Ziemi Świętej walczyli na pustyni pod prażącym słońcem, w tych samych grubych ubraniach i zbrojach, jakie nosili zimą i latem w innej strefie klimatycznej. Rycerz nie zważał na temperaturę – ani na nic innego – kiedy czekała go bitwa. Jednak temperatura niesionego przez silny wiatr powietrza nagle podskoczyła do prawie czterdziestu stopni.

–Co się dzieje? – zapytał Jim Briana, który na szczęście jeszcze tam był.

Brian popatrzył na niego ze zdumieniem.

–A więc to nie czary, Jamesie? Oczywiście. Jim poczuł się głupio.

–Tak, ale kto...?

Użył smoczego wzroku. Najbliżsi rycerze znajdowali się za daleko, by mogli dostrzec nieprzyjemny widok, jakim były wielkie ślepie spoglądające z ludzkiej twarzy. Spojrzał w dal, nad złudnym bezmiarem Pustej Równiny, na pierwszy szereg wojsk Cumberlanda. To, co dotychczas było jedynie ciemną linią, nagle zmieniło się w rząd ludzkich sylwetek, maleńkich, lecz rozpoznawalnych. Na samym środku stała postać w kobiecej szacie z materiału, który lśnił jak metal w blasku słońca. Znajdowała się za daleko, by dostrzec rysy jej twarzy, lecz tę postawę i rozkazująco wyciągnięte ramię poznałby wszędzie. Morgan le Fay.

–Sir Smoku!

To odezwała się inna kobieta – za jego plecami. Ten głos był znajomy. Ponownie zmieniawszy oczy na ludzkie, Jim obrócił się w siodle. Zaledwie trzy metry za nim, na wspaniałym kasztanowym ogierze siedziała królowa Północnych Wichrów, a tuż za nią stał gigantyczny rycerz, najwidoczniej pełniący rolę ochroniarza.

–Nie pada, ale leje! – jęknął Jim, nieopatrznie zbyt głośno.

–O czym ty mówisz? Wcale nie pada – przynajmniej na razie. Czy ten mały jest jeszcze przy tobie? Dobrze się miewa?

–Och tak, królowo! – Jim usłyszał głosik Hoba i w następnej chwili poczuł, że skrzat wychodzi spod kolczugi na jego lewym ramieniu. Kątem oka zauważył twarzyczkę malca, uśmiechającego się do królowej Północnych Wichrów. – A ty dobrze się czujesz?

–Oczywiście! Dlaczego nie? Czy możesz w jakiś sposób wydostać się stąd, jeśli ta hołota... – ruchem głowy wskazała drugi kraniec Równiny – pokona rycerzy?

–Och, moja królowo, nie opuściłbym milorda, choćby nie wiem co!

–Tego się obawiałam. Zejdź mi z drogi, magu! Pojechała naprzód. Jim ustąpił jej, a ona warknęła na dwóch przodków, którzy obejrzeli się i również rozjechali na boki, przepuszczając ją.

Zatrzymała się przed pierwszym szeregiem rycerzy.

–Morgannn! – zawołała dziwnie przenikliwym głosem, o półtorej oktawy wyższym niż normalnie. – Ucisz swoje zefiry!

Jim miał wrażenie, że podąża za jej słowami, które powoli szybują przez Pustą

Równinę, dwa metry nad ziemią. Minęła krótka chwila. Pospiesznie zmieniając swój wzrok na smoczy, Jim zobaczył, jak uniesione ramię Morgan nagle opada, i wydało mu się, że czarodziejka nagle zeszywniała. Była zbyt daleko, aby mógł dojrzeć ruch jej warg, lecz usłyszał głos, podobnie przejmujący i głuchy, dolatujący z ogromnej odległości.

–Zdrajczyni! – krzyczała.

–To ty jesteś zdrajczynią! – odparła królowa Północnych Wichrów. – Powstajesz przeciw Liones, która jest twoją ziemią! Powiadam ci, zabierz twoje zefiry i znikaj albo przegonię cię stąd razem z nimi!

Odpowiedział jej śmiech. Nienaturalny, głuchy i zgrzytliwy, przelatujący nad Pustą Równiną.

–Ty mi każesz zabrać zefiry i odejść? Mnie, królowej nad królowe? Sama odejdz i to szybko albo zostań i ugotuj się wraz z pozostałymi! Choć raz poczuj w sobie trochę ciepła!

–Już nie potrzebuję niczyjego ciepła! – warknęła gniewnie królowa Północnych Wichrów. – Na Ciemność, Jasność i Nicość między nimi, ja – i tylko ja – jestem królową Północnych Wichrów! – Uniosła twarz ku białemu niebu i zawołała:

–USŁYSZCIE MNIE, MOJE DZIECI!

Wyciągnęła przed siebie ramiona i krzyknęła straszliwym głosem:

–BIERZCIE ICH, DZIECI!

Gdzieś wysoko nad głowami Jima i stojących za nim, odbijając się echem po całej Pustej Równinie, przetoczył się głuchy łoskot, jakby jakiejś szybko nadeżdżającej starej lokomotywy. Ten dźwięk narastał i potężniał, zbliżał się i schodził w dół, aż rozlegał się tuż nad czubkami drzew. Przeleciał dalej, wciąż opadając, nie więcej niż kilka metrów nad głowami rycerzy Liones.

I nie był już tylko dźwiękiem, lecz świszczącym wichrem – nabierającym szybkości i siły – który rozpląszczał trawy na czarnej ziemi, wypełniając powietrze kroplami deszczu, pędzącymi poziomo jak śrut, białą ścianą pchającą przed sobą skwar, coraz dalej i dalej, prosto w twarze tych, którzy stali na drugim końcu Równiny.

Przez jakiś, krótki lub długi czas, nawet Jim swoim smoczym wzrokiem nie mógł dostrzec niczego oprócz białego pasma na skraju Równiny. Potem, powoli, ta smuga rozwiała się. Lśniąca postać Morgan zniknęła. Prawie cały pierwszy szereg jeźdźców Cumberlanda nadal siedział na koniach, tak jak przed nadejściem tej białej ściany. Kilka wierzchowców upadło, a ich jeźdźcy wciąż usiłowali wydostać się spod nich, ale pozostali trwali na miejscu. Tylko jaskrawe słońce, wiszące nisko na niebie, odbijało się od ich błyszczących zbroi, do których tu i ówdzie jeszcze przywierała biel.

Nadal stali w szyku, nieruchomo siedząc na koniach, wysoko trzymając tarcze, z kopiami sterczącymi z olster przy siodłach. Jim ujrzał, jak jedna z odzianych w oszronioną stal postaci powoli chyli się w bok i pada sztywno jak posąg, by lec pod nogami wierzchowca w takiej pozycji, jakby wciąż siedziała w siodle. Jeźdźcy po obu stronach wysunęli się do przodu i podjechali do siebie, wypełniając lukę.

Brian uderzył pięścią w łęk siodła. Promieniał.

–Na Boga! – rzekł. – Jakiekolwiek są ich grzechy, ci ludzie to godni przeciwnicy!

Rozdział 44

Widząc uszczęśliwioną i podekscytowaną minę Briana, Jim doszedł do siebie na tyle, by zauważyć wysokiego, chudego łuczника, mocno zdyszanego, który zapewne właśnie wyłonił się spośród pobliskich drzew. Wiercił się niespokojnie, czekając na rozmowę z Dafyddem. Najpierw jednak ponownie przemówiła królowa Północnych Wichrów.

Jej głos znów zabrzmiał donośnie, lecz nie był tak przenikliwy i przeciągły jak ten, jakim mówiła poprzez Równinę do Morgan. Tym razem był dźwięczny i czysty, ale niósł się po całej otwartej przestrzeni.

–Wybaczcie, przyjaciele! – zawołała. – Nie zdołałam powalić NASZYCH wrogów, ale przegnałam stąd Morgan le Fay i jej czary, takie jak ten piekielny skwar. Ona już tu nie wróci, gdyż to moje terytorium, a nie zechce ryzykować ponownej publicznej kompromitacji. Teraz jednak muszę wyruszyć do mego zamku, żeby zabezpieczyć się przed jej gniewem, gdyż ona potrafi nienawidzić. Będę was dziś obserwować z daleka – mam na to sposoby!

I razem ze strzegącym jej rycerzem – który od początku do końca nie odezwał się słowem, tylko coraz bardziej przysuwał się do rycerzy Artura – zniknęła.

–Jamesie! – powiedział Dafydd.

Jim oderwał wzrok od oświetlonego popołudniowym słońcem miejsca, gdzie przed chwilą stała, i zobaczył, że Dafydd pokazuje mu długą strzałę. Wpatrywał się w nią przez moment, zanim dostrzegł, co jest w niej takiego dziwnego: miała czarne drzewce.

–Za pomocą takich strzał przekazujemy wieści – wyjaśnił Dafydd, pokazując mu ją. – Jeden podaje ją drugiemu, aż trafi do tego, który znajduje się najbliżej mnie. Tę właśnie otrzymałem. Wróg ruszył.

–Ruszyli? Czy oni oszaleli? – zakrzyknął Brian. – Ich szyk miał na celu powstrzymać atak, a nie przeprowadzić go! Jeśli ruszą, żaden z nich nie zdoła utrzymać miejsca w szeregu! – Zrobił krok naprzód i osłonił oczy dłonią przed słońcem. – Do licha! Nie mogę stąd dostrzec, czy są w ruchu, czy nie. Jak Cumberland mógł okazać się takim przeklętym głupcem? Powinien pchnąć naprzód rycerzy, chociaż utraciłby w ten sposób nieco przewagi, ale rozstawieni włócznicy muszą pozostać w miejscu, inaczej pójdą w rozsypkę!

–Kuzynie Dafyddzie, mogę coś powiedzieć?

To pytanie zadał wysoki, chudy łucznik. Teraz, patrząc z bliska, Jim dostrzegł krople potu na jego czole i usta spazmatycznie łapiące oddech. Zapewne był ostatnim ogniwem łańcucha przekazujących wiadomości i musiał biec – właściwym słowem byłoby „pędzić” – żeby znaleźć się tu jak najszybciej tylko po to, żeby czekać, aż pozwolą mu przemówić. Co ciekawe, mówił po angielsku.

–Oczywiście, Cadoku – odrzekł Dafydd.

–Włócznicy są powiązani ze sobą, więc nie mogą się rozproszyć.

–Związani? – zdumiał się Brian. – Na wszystkie ognie piekieł, w ten sposób utrzymają szyk tylko wtedy, jeśli pozostaną na miejscu! Jeśli ruszą, zaczną potykać się o własne włócznie i o siebie wzajemnie. Powiadam ci, Jamesie, ten manewr nie

ma sensu!

–Może po tym, co zrobiła królowa Północnych Wichrów, jego piechota wymknęła się spod kontroli – powiedział Jim. – Może ruszyli, a on nie był w stanie ich zatrzymać. Chcą jak najszybciej zetrzeć się z naszymi rycerzami.

–To możliwe... – Brian zacisnął wargi. – Jeśli tak, musimy natychmiast powiedzieć o tym Pellinorowi. Ta Równina ma mi oczy. Oni mogą być bliżej i poruszać się szybciej, niż sądzimy. Jeśli będziemy zbyt długo zwlekać, zmniejszą dzielącą nas odległość i nasze konie nie zdążą rozpędzić się do galopu...

Stanął w strzemionach, pochylając się w bok, żeby dostrzec coś między dwoma rycerzami Okrągłego Stołu, którzy siedzieli przed nim na nieruchomych rumakach.

–Tam jest. Pójdę do niego i...

Jim też dostrzegł już Pellinora. Król siedział na białym koniu, zwrócony twarzą do szeregu przodków, i właśnie zaczął przemowę.

–Panowie, proszę o uwagę! – powiedział. – Przede wszystkim musicie pamiętać o jednym. Oni są od nas liczniejsi i każdy rycerz, który padnie po naszej stronie, jest dla nas cięższą stratą niż czterech poległych dla nich. Tak więc nie ryzykujcie niepotrzebnie życia swego i sąsiadów, dając się ponieść bitewnej gorączce. Będziecie walczyć tak, jak walczyliście zawsze...

–LECZ NIGDY BEZE MNIE!

Ten potężny głos rozległ się na lewo od Jima i jego towarzyszy, donośny jak róg herolda, brzmiąc czysto i wyraźnie bez pomocy wzmacniającej magii, a jeśli zaskoczył Jima i Briana, to na rycerzach Liones wywarł wprost piorunujące wrażenie. Jakby powiązani razem i za pociągnięciem jednego sznurka, gwałtownie obracali konie, wpadając na siebie, usiłując odwrócić się w kierunku, z którego dochodził ten głos.

–Nie tutaj – tam! – zawołał Jim, łapiąc za ramię Briana, który chciał pójść za ich przykładem. Jim pociągnął go w przeciwną stronę. Stali tuż za ostatnimi rycerzami na prawym skrzydle. Przejechali kilka metrów, ominęli jeźdźców i wydostali się na otwartą przestrzeń, gdzie Jim w końcu mógł zobaczyć tego, który przerwał Pellinorowi.

Oniemiał.

Nie było żadnych wątpliwości: to przybył król Artur. Herb na jego tarczy miał jasne tło, a na nim widniał czarny lew w koronie – warczący, groźny lew stojący na tylnych łapach. Królewski herb – przedstawiający zapewne walecznego, czerwonego lwa Anglii.

Hełm trzymającego tę tarczę mężczyzny również wieńczyła korona, ozdobiona z przodu błyszczącą figurką smoka ze skrzydłami rozłożonymi do lotu. Godło Walii, od którego wywodziło się rodowe nazwisko Artura – Pendragon.

Brian i inni rycerze, którzy żywo interesowali się arturiańskimi legendami, zbyt często opisywali Jimowi królewski herb, aby mógł mieć teraz jakieś wątpliwości. Jednak Artur był sam, bez świty czy choćby giermka. Ten herb powinien widnieć na niesionym za nim wielkim sztandarze. Na tym jednak kończyły się różnice między rzeczywistością a legendą.

Broda Artura i wystające spod hełmu włosy były zupełnie białe. Zuchwale sterczały na policzkach i nad górną wargą. Był zbudowany potężniej od wszystkich obecnych, oprócz Pellinora. Miał na sobie ciemną jakę – rodzaj długiej kamizelki bez rękawów – a na niej kolczugę tak dopasowaną do ciała, że wyglądała jak druga skóra. Obciągnięta jaką i kolczugą szeroka pierś zwiężała się do talii tak wąskiej jak u chłopca lub młodzieńca – albo wychudłego mężczyzny w podeszłym wieku.

Istotnie, tak jak jego rycerze, był niewiarygodnie stary. Bardzo, bardzo stary. Tylko wspomnienie dźwięcznego, młodzieńczego głosu, jakim przemówił przed chwilą, oraz skry w oczach przeczyły temu wrażeniu. Te dwa szczegóły oraz wyzywająco sterczące wąsy i broda – zdające się rzucać wyzwanie całemu światu – upodabniały go do takiego Artura, jakiego wyobrażał sobie Jim.

Tylko dlaczego wyglądał tak staro? – rozmyślał gorączkowo Jim. Niemal wszyscy rycerze Okrągłego Stołu byli w sile wieku, ale żaden nie wydawał się równie stary jak ten człowiek, który przyjechał i rozkazał – gdyż jego słowa były w istocie rozkazem – by nie ważyli się ruszać do boju bez niego.

Nagle wszystko zrozumiał.

W tej legendarnej krainie należący do niej rycerze zachowywali życie bardzo długo. Całe wieki od czasu, kiedy żyli naprawdę – lub kiedy umarli. Tylko Artur nie przebywał wśród nich, lecz gdzie indziej, a choć zapewne podobnie jak oni nie mógł umrzeć, dopóki pamięć o nim trwała w ludzkiej pamięci, być może nie korzystał z takiej ochrony jak ludzie w Liones.

A więc to był znamienitszy z dwóch przywódców, których pragnęli mieć przy sobie rycerze Liones? Ten, który był królem i niezrównanym wojownikiem w boju, tak jak Lancelot był niezwyciężony na turniejach, nadal prosto siedział w siodle i krzepko dzierżył wodze, lecz to ogromne ciało musiało ważyć o dobre pięćdziesiąt kilo mniej, niż wówczas gdy był w pełni sił.

Wszystkie te myśli przeleciały Jimowi przez głowę jak rozbłysk błyskawicy przed burzą, sprawiający, że wszystko zdaje się wstrzymywać oddech, czekając na uderzenie gromu... Nagle Jim dostrzegł mały, ciemny kształt na łuku siodła Artura.

To coś zeskoczyło na ziemię i Jim poznał szarą wiewiórkę. Podbiegła do niego, klucząc między nogami wierzchowców rycerzy, długimi susami pokonując przestrzeń dzielącą ją od Jima, jakby był jedynym tu obecnym. Skoczyła i uczepiła się siodła, wdrapała na łęk i przysiadła tam na chwilę, patrząc mu prosto w oczy. W pyszczku trzymała suchy liść.

Jim usłyszał w myślach ostry, zdecydowany głos.

„NIGDY WJĘCEJ MNIE O TO NIE PROŚ, Jimie Eckercie! Mówiłem ci, że nikt nie zdoła dostrzec przyszłości, zmieniając teraźniejszość. Mimo to przesłałem twoją wiadomość i już nic więcej nie zrobię, ani dla ciebie, ani dla nikogo innego!”

Ledwie zdążył rozpoznać głos Merlina. Wiewiórka upuściła suchy liść na jego udo, zeskoczyła z siodła i zniknęła.

Zwierzątko i wiadomość od Merlina tylko na moment odwróciły uwagę Jima, lecz w tym krótkim czasie zachowanie rycerzy Liones przeszło metamorfozę. Dotychczas obojętni – może trochę milczący i zgryźliwi – teraz byli zupełnie odmienieni. Całą

uwagę skupili na Arturze i pozdrowili go chórem. Wydawało się, że zupełnie nie zważają na to, iż król jest zaledwie cieniem tego człowieka, jakim był kiedyś.

Entuzjazm, z jakim cisnęli się do niego, pozostawiając jednak nieco wolnej przestrzeni, jak nakazywał szacunek dla władcy, był tak ogromny, że udzielił się Jimowi. Wydawało mu się, że czuje na sobie wzrok króla, i odpowiedział zdziwionym spojrzeniem, ale zaraz uświadomił sobie, że to mu się tylko przywidziało. To spojrzenie zdawało się obejmować jednocześnie każdego z obecnych rycerzy. W następnej chwili król zwrócił się do Pellinora.

–Królu Pellinorze – jego głos, teraz ściszony, nadal dźwięczał jak róg herolda – czy przyjmiesz mnie do grona tych zacnych rycerzy, jako jednego z twojej armii?

–Mój panie i królu – odparł Pellinor. – Oni i ja jesteśmy na twoje rozkazy.

–Zatem – zawołał znów donośnie Artur, wodząc wzrokiem po szeregu stojących przed nim jeźdźców, jakby przekazując swój zapał wszystkim, włącznie z Jimem i jego towarzyszami – za mną, moi rycerze!

Okręcił rumaka i ruszył ku odległemu krańcowi Równiny, przez który sunął ciemny szereg wrogów, a rycerze Liones z głośnym okrzykiem pomknęli za nim.

–Jamesie! – powiedział Brian cichym, lecz zdecydowanym głosem, mocno ściskając wodze Blancharda, który podrzucał łbem i tańczył w miejscu.

–Brianie... – Jim urwał. Przeszedł go zimny dreszcz. Coś mówiło mu, że właśnie nadeszła chwila, przed którą go ostrzegano. Jasno i wyraźnie usłyszał słowa, które Merlin wypowiedział w ciemności, gdy Jim powiadomił go o uwięzieniu Briana – kiedy po raz pierwszy rozmawiał z tym największym z jasnowidzów i magów.

„Gdybyś nie powiedział mi tego, co rzekłeś, nie wyjawilibym ci jego miejsca pobytu, bo jeśli tam zostanie, będzie trochę cierpiał, lecz przeżyje. Natomiast jeśli go odnajdziesz i uwolnisz, może stanąć w obliczu strasznej śmierci i obawiam się, iż może nikt nie zdoła go przed nią uchronić, nawet ty”.

–Nie, Brianie! – zawołał i zobaczył, że Blanchard, któremu udzieliły się uczucia pana, gryzie wędzidło, rwąc się naprzód. – Mam złe przeczucia. Nie powinniśmy jechać z nimi! Nie możesz!

–Wybacz mi, Jamesie! Nigdy nie przeżyję donioślejszej chwili! Zwycięzę lub zginę, ale muszę jechać!

Popędził rumaka i Blanchard skoczył naprzód, pędząc za ławą jeźdźców, którzy już przechodzili z kłusa w galop. Dogonił ich.

To na nic, powiedział sobie Jim, patrząc smętnie w ślad za najlepszym przyjacielem, jakiego miał w tym czternastowiecznym świecie. Brian i tak dołączyłby do rycerzy – chyba że nadal byłby więźniem damy rycerza Jaśniejszego Niż Dzień. Będąc tym, kim był, nie pozwoliłby się powstrzymać.

Teraz Jim mógł tylko spróbować go dogonić i zrobić wszystko, żeby uratować mu życie.

Zaledwie o tym pomyślał, zdał sobie sprawę, iż Gorpowi udzieliły się emocje Blancharda i innych rumaków. Wszystkie zwierzęta ogarnął bitewny zapał, tak samo jak ludzi. Gdy tylko Jim popuścił wodze, Gorp parsknął i runął naprzód – nie tak chyżo jak Blanchard, ale sunąc jak przerośnięty koń pociągowy, którym był, zanim

Jim uczynił go swoim wierzchowcem.

W innej sytuacji Gorp nigdy nie dogoniłby Blancharda, który mimo swojej wagi i rozmiarów był jednym z najszybszych koni, jakie Jim widział na tym świecie. Jednak Brian, chociaż upojony nadchodzącą walką, nie wysuwał się ani nawet nie dopędzał pierwszego szeregu rycerzy. Ci, jak zawsze podczas takich szarż, już sunęli szeroką ławą, bardziej przypominając beładną chmarę niż zdyscyplinowany oddział jazdy, tak chętnie pokazywany przez reżyserów filmowych z czasów Jima.

Jim powoli zmniejszał odległość, tak szybko, że znajdował się zaledwie sześć końskich długości za potężnym zadem Blancharda, gdy pierwszy szereg rycerzy wpadł na jeźdźców Cumberlanda. Unosząc się w strzemionach, Jim ujrzał za nimi szeregi pieszych włóczyków, nadal stojących w równych rzędach i trzymających grube, czterometrowe włócznie, ale nie mogących wesprzeć nielicznych ocalałych jeźdźców Cumberlanda na środku szyku. Artur wysforował się przed swoich rycerzy i siekł na prawo i lewo.

W następnej chwili Jim kurczowo chwycił się łąku siodła, żeby zeń nie spaść, gdy Gorp, mimo swego wzrostu i wagi, o mało nie został zwalony z nóg przez inne konie. Prawe skrzydło sił Cumberlanda uderzyło z boku, powiększając zamęt. Jim wysoko uniósł tarczę, osłaniając się przed atakiem jednego z tych jeźdźców, który na odlew machnął czymś, co przypominało skrzyżowanie topora z maczugą.

I nadal nie mógł dotrzeć do Briana, który znajdował się w największej ciżbie, za daleko, by móc usłyszeć jego wołanie.

Prawe oraz lewe skrzydło armii Cumberlanda starło się z rycerzami Lions, tworząc barierę ludzi i koni, odcinając Jima od Briana.

Szukając innej drogi, Jim gorączkowo rozejrzał się wokół, w samą porę, by dostrzec następnego jeźdźca w kolczudze, który celował w niego kopią. Kiedy odwrócił się do napastnika, unosząc tarczę, tamten nagle szeroko otworzył oczy i tak mocno ściągnął wodze, że jego rumak o mało nie zarył zadem w ziemię.

–Baczcie! – krzyknął jeździec, podnosząc kopię i zawracając. – Baczcie na maga! Baczcie!

Nagle wokół Jima zrobiło się pusto i zrozumiał, że Cumberland, a może nawet Morgan le Fay, celowo lub przypadkiem opisała herb na jego tarczy: smoka i czerwone obrzeże oznaczające maga. Ten herb nadał mu król Edward w nagrodę za walkę pod wieżą Loathly. Teraz usłyszał, jak wszyscy najeźdźcy wokół przekazują sobie to ostrzeżenie, i nikt się odtąd do niego nie zbliżał. Ignorowany w ten sposób w samym środku bitwy miał wrażenie, że jest bezcielesną zjawą. Dziwne, ale czuł się pominięty.

Ponownie popatrzył na włóczyków. Część z nich padła. Pozostali znów ustawiali się w szyku, przecinając sznury wiążące ich z tymi, którzy leżeli na ziemi. Jednakże właściwie byli ignorowani przez walczących. Jak to się stało, że tak mocno ich poszczerbiono, a potem pozostawiono w spokoju?

Zaraz jednak przypomniał sobie, że to nieistotne. Musiał odnaleźć Briana.

Staął w strzemionach, mając nadzieję, że z wysokości górującego nad prawie wszystkimi innymi rumakami Gorpa będzie miał lepszy widok na pole bitwy.

Spostrzegł, że najbardziej zawzięte zmagania toczą się w miejscu, gdzie znajdował się Artur – łatwo rozpoznawalny po wzroście i białej brodzie. Patrząc na niego, Jim ledwie wierzył własnym oczom.

Zakładał, że Artur jako wojownik dawno ma już za sobą dni największej świetności. Tymczasem to, co widział, wcale na to nie wskazywało. Król nie tylko dowodził rycerzami, ale świecił im osobistym przykładem.

Zapewne jego mięśnie znacznie zwiotczały z wiekiem – chociaż skuteczność zadawanych ciosów bynajmniej o tym nie świadczyła – lecz najbardziej zdumiewała ich szybkość i celność, jakich nie powstydziliby się nadzwyczaj sprawny dwudziestoletni młodzieniec. Jim nie wierzył, żeby ktokolwiek inny mógł spisywać się równie dobrze.

Zobaczył, jak jeden z zakutych w stal jeźdźców Cumberlanda zamierzył się mieczem na siwobrodego króla. Zanim ciężkie ostrze zdołało dotrzeć Artura, ten zadał już trzy ciosy, zwalając przeciwnika z konia. Jim przypomniał sobie, jak TB mówił ze wzruszeniem: „Kiedy Artur ruszał na wojnę, ziemia walczyła razem z nim. Niebo walczyło wraz z nim. Wszystko. Nie jesteście w stanie pojąć, co to oznacza. Nie widzieliście go tak jak ja, gdy jego miecz błyskał i raził wrogów...”

No cóż, teraz widział to na własne oczy. Miecz Artura migotał jak błyskawica, a białe niebo Liones, chociaż nadal bezchmurne, w zachodzącym słońcu wydawało się bliższe ziemi. I ono, i ziemia, tak samo jak zwierzęta, które wedle słów TB miały tu być, jak wszystko, zdawało się walczyć – jeśli nie o to, co należało do nich, to za takiego króla.

Nagle Jim zrozumiał. Oczywiście, to miało sens. Jego przyjaciel TB miał rację. Wszystkie żywe stworzenia Liones razem będą walczyły o wspólną sprawę – i to właśnie była Stara Magia. Tylko ona była wspólna dla wszystkich. Ona umożliwiała istnienie tej krainy, tego miejsca, gdzie legendarne postacie i rozmaite zwierzęta żyły obok siebie.

Wtedy zobaczył Briana, tuż za plecami króla. Od chwili, gdy obie armie wpadły na siebie, Pellinor niczym wieża trwał po lewicy Artura, a – ku zdziwieniu Jima – Gawen równie uparcie trzymał się prawego boku władcy. We dwóch osłaniali go przed wszelkimi atakami z flanki.

Jim ujrzał Briana jadącego za królem i strzegącego jego pleców równie skutecznie, jak Pellinor i Gawen pilnowali boków. Zawołał go, lecz jego głos utonął w bitewnej wrzawie. Ubódł ostrogami Gorpa – co dotychczas zrobił tylko raz, zazwyczaj w ogóle ich nie używając – kierując go w miejsce, gdzie szereg jadących za królem rycerzy był najcieńszy. Jakiś ślepy idiota z armii Cumberlanda wybrał sobie właśnie ten moment, żeby wypaść z cizby i zaatakować Jima.

Był wysokim, mniej więcej czterdziestoletnim mężczyzną o gładko ogolonej twarzy, lecz z szaleństwem w oczach. Na ustach miał białą pianę, zmieszaną z czymś ciemnym, co mogło być krwią – jakby przygryzł sobie wargę. Jim nie miał dokąd uciec. Ponadto Brian wciąż wbijał mu do głowy, żeby nigdy nie robił uników, twierdząc, iż próbując zajechać przeciwnika z boku, oddaje się mu inicjatywę, a któż znał się na tych sprawach lepiej od Briana.

Jim skierował Gorpa prosto na nadjeżdżającego, a wielki koń, podniecony i rozwścieczony ukłuciem ostróg, nie mógł się doczekać spotkania z wrogiem – obojętnie, czy cztero- czy dwunogim. Rycerz Cumberlanda miał opuszczoną kopię, Jim już dawno złamał swoją w starciu i porzucił ułomek. Dobył miecza i zasłonił się tarczą na moment przed tym, zanim się starli.

Tuż przed zderzeniem Jim miał dziwne wrażenie, że wokół siebie dostrzega mglisty, skrzydlaty kształt. Natychmiast zrozumiał, że to jego smocze ja, wiedzione instynktem samozachowawczym, usiłowało przejąć kontrolę nad wspólnym ciałem. To wrażenie natychmiast minęło, gdy wpadł na atakującego.

Tarcza uderzyła o tarczę. Jak zwykle, Jim poczuł potworny wstrząs. Rozwijana przez konia szybkość piętnastu do osiemnastu kilometrów na godzinę może wydawać się niewielka komuś wychowanemu w dwudziestowiecznym świecie, lecz jeździec i wierzchowiec z takim impetem zderzyli się z dwoma ciałami nadjeżdżającymi z podobną prędkością z naprzeciwka, że Jimowi na moment pociemniało w oczach.

Potem zauważył, że jedzie na oślep w największą ciżbę, gdzie Artur nadal przedzierał się przez szeregi wrogów. Jeszcze lekko ogłuszony, ale wiedziony ludzkim instynktem samozachowawczym, Jim zatrzymał i obrócił Gorpa, szykując się do odparcia kolejnego ataku.

W pierwszej chwili nie dostrzegł przeciwnika. Potem zobaczył go, leżącego na ziemi. Rycerz nie ruszał się i cienki strumyk ciemnej cieczy płynął mu z kącika ust. Prawdopodobnie doznał poważnych obrażeń wewnętrznych, jeszcze zanim zaatakował Jima – być może półprzytomny – wiedziony chęcią zabrania ze sobą do grobu przynajmniej jednego wroga. Jim poczuł dziwny żal – jakby mógł go uratować, gdyby pomyślał szybciej i zareagował mniej gwałtownie.

Jednakże pospiesznie odepchnął od siebie tę myśl, gdy znalazł się w pobliżu włóczników, i nagle, dopiero teraz, zauważył, że zwierzęta w końcu wzięły udział w bitwie.

Być może przez cały czas były w pobliżu – przynajmniej te małe – czekając na odpowiednią chwilę. Teraz długimi susami pędziły po trawie i wpadały w tłum. Jim podświadomie rozglądał się za większymi zwierzętami: dorosłymi niedźwiedziami, jeleniami lub odyńcami, których nie dałoby się przeoczyć. W tym momencie jednak widział tylko mniejsze, takie jak wiewiórki, gronostaje i łasice, rzucające się do gardeł włóczników w pierwszym i drugim szeregu. Przeróżliwe wrzaski na chwilę zagłuszyły bitewny tumult za plecami Jima. Spojrzał i zobaczył podniesioną rękę, która już zaczęła puchnąć w widocznym przez rozdarty rękaw przegubie. Tak działał jad, a w Liones jedynym jadowitym ssakiem był krótkoogoniasty serek. Ten człowiek nie umrze od tego ukąszenia, ale na widok błyskawicznie powstającej opuchlizny będzie spodziewał się śmierci.

Jimowi zawsze wydawało się, że krótkoogoniasty serek występuje wyłącznie w Ameryce Północnej. Nie spodziewał się zobaczyć go w krainie będącej niegdyś częścią Anglii... Jeśli jednak były tu lwy, to dlaczego nie jadowite ryjówki?

W końcu to była Liones, gdzie wszystko jest możliwe. Kiedy o tym pomyślał,

ujrzał czarnogrzywego lwa, być może jednego z rodziny, którą widział w amfiteatrze. Przeszedł między innymi leśnymi zwierzętami, zupełnie je ignorując, nie zaczepiany i nie atakowany przez ludzi. Nieco dalej zobaczył dwa duże niedźwiedzie przebijające się przez szeregi włóczników równie skutecznie jak Artur, tyle że używając raczej siły niż szybkości.

Jim widział chyba więcej zwierząt niż podczas spotkania w lesie, więcej niż oczekiwał. Dziesiątkowały włóczników, atakując ich całymi falami – i były wszędzie. Na oczach Jima gronostaj uczeplił się strzemienia jednego z jeźdźców Cumberlanda, a zanim ten zdążył zareagować, drugi wskoczył mu na siodło, a trzeci do oczu, pod przyłbicę hełmu.

Te zwierzęta były za małe, żeby w pojedynkę zabić człowieka, ale bardzo ułatwiały to zadanie swym ludzkim sprzymierzeńcom.

Jim zauważył, że większe zwierzęta działały na obrzeżach pola bitwy, gdzie atakowały pojedynczych intruzów. Tam niedźwiedzie i ostrorogie jelenie były prawdziwym zagrożeniem dla życia – i odbierały je.

Pellinor miał rację. Same nigdy nie wygrałyby bitwy, ale były potężnymi sojusznikami.

Jim gwałtownie wrócił myślami do Briana. Okręcił Gorpa i stwierdził, że Artur i jego towarzysze, włącznie z jego przyjacielem, zniknęli z miejsca, w którym widział ich zaledwie kilka sekund wcześniej. Potem dostrzegł ich ponownie: grupka otaczająca Artura, gromada pilnująca jego pleców i ci, których bezlitośnie atakował, wszyscy przesunęli się jeszcze dalej w sam środek sił Cumberlanda.

Artur wciąż dokazywał cudów, machając mieczem z szybkością, jakiej Jim już nigdy więcej nie spodziewał się zobaczyć, jego rycerze zaś – wraz z Bhanem, na którego obecność najwidoczniej przystali – odpierali i likwidowali każdy atak wroga wymierzony w króla. Nagle Jim ze zgrozą zauważył jeszcze coś, co włączyło sygnał alarmowy w tej części jego umysłu, która od kilku lat pobierała nauki u Carolinusa.

Po polu bitwy sunęło coś w rodzaju klina białej mgły, lecz wyglądającej na znacznie trwalszą od niej, przywierając jak mgła do ziemi i trupów, zbliżając się – nie do Artura, lecz do Briana. Zmieniało kierunek, ilekroć kolejny przeciwnik odciągał rycerza na bok. Żadna mgła nie mogła zachowywać się w ten sposób.

Dzięki swojej wiedzy bez trudu odgadł, że to magia. Niewiarygodne, żeby Morgan le Fay wróciła tak szybko, chyba że w jakiś sposób dowiedziała się, że nie ma tu królowej Północnych Wichrów. Jeśli tak, to chodziło jej o Briana, nie o Artura. Nie wiedząc dlaczego, Jim był tego tak pewny, jakby ponownie usłyszał w myślach głos samego Merlina. Ta mgła była ową okropną śmiercią, o jakiej mówił czarodziej – i zbliżała się teraz do Briana.

Jim stanął w strzemionach i zawołał:

–Brianie! Tu jestem! Spójrz na mnie!

Lecz przyjaciel go nie słyszał. Jim zmienił szyję oraz struny głosowe na smocze i krzyknął ponownie, potężnym głosem:

–Brianie! Spójrz tutaj!

Kilku rycerzy podążających za Arturem usłyszało go i obejrzało się, lecz Brian,

walczący z przysadzistym jeźdźcem uzbrojonym w wielką tarczę i maczugę – nie.
–BRIANIE!

Jim rozpaczliwie sięgnął ręką do torby po ostatni magiczny owoc. Wrzucił winogrono do ust i rozgryzł.

„Niech usłyszy mnie w myślach!” – zażądał. – Brianie! Popatrz tutaj! Spójrz na lewo i ku włócznikom!

Przeciwnik Briana otrzymał cios mieczem w hełm i ześlizgnął się – a nie runął – z siodła. Brian okręcił tańczącego, spoconego Blancharda, popatrzył w kierunku Jima... I w końcu go poznał.

Rozdział 45

–Brianie! Zwierzęta! Wjedź jak najszybciej między zwierzęta! – wrzasnął Jim, a do całego wszechświata zawołał: – TB! Potrzebuję cię, natychmiast! KinetetE, jeśli mnie słyszysz, natychmiast przyślij tu TB! To sprawa życia i śmierci!

Brian siedział na Blanchardzie, gapiąc się na Jima.

–ZWIERZĘTA! – wrzasnął rozpaczliwie Jim. – Brianie! Wjedź między nie – uciekaj od tej mgły, która na ciebie ciągnie! Wjedź między zwierzęta!

Jakby nagle zbudzony ze snu, Brian szarpnął wodze, obracając Blancharda i kierując go ku włócznikom. Pierzchli przed nim na boki. Kiedy nie próbował uderzyć na żadnego z nich, przestali się nim interesować i skupili na próbach ucieczki przed zwierzętami, miotając się między nimi a drzewami, przed którymi na pewno ich ostrzeżono.

„Powinienem być wykorzystać ten ostatni owoc, żeby zmienić go w smoka” – pomyślał Jim i natychmiast sam wyjaśnił sobie, dlaczego tego nie zrobił. Brian i tak nie zrezygnowałby z bitwy. Nie przepuściłby takiej okazji bez długich wyjaśnień, a teraz nie było na nie czasu.

Jim podświadomie natychmiast to zrozumiał w ciągu tych kilku sekund, jakie miał do dyspozycji. Teraz okazało się, że miał rację. Klin mgły zbliżył się na odległość metra do włóczników – i stanął. Jim dostrzegł w nim sylwetki odzianych w łachmany ludzi. Niektórzy z nich poruszali się, a więc wciąż żyli, lecz wszyscy byli zakuci w łańcuchy.

Ponieważ Brian zmienił pozycję, mgła nie posunie się dalej, powiedział sobie Jim, ciesząc się z tego, że ma chwilę do namysłu. Magia działała na ludzi i naturalnych. Natomiast na zwierzęta, drzewa, ziemię, niebo, wiatr i wodę – na wszystkie elementy nie mające w sobie niczego ludzkiego – nie. Jim nauczył się tego, kiedy został uwięziony w zamku niegodziwego maga Malvinne'a. Tutaj było tyle zwierząt, że zagradzały drogę magicznej sile, którą wysłano, by zabiła Briana.

Tylko dlaczego akurat jego? Jim i Artur byli kluczowymi postaciami tej rozgrywki, ale Jima chroniło zaklęcie, a losem Artura jako króla rządziło przeznaczenie, na które magia i magowie nie mieli wpływu.

Brian siedział na spienionym rumaku, dając mu trochę ochłonać. Jim ponownie spojrzał na klin mgły, który już się cofał. Zobaczył lwa, który właśnie zmierzał w kierunku przyjaciela. Blanchard także dostrzegł wielkiego kota i zaczął tańczyć. Brian obrócił się w siodle, zobaczył zwierzę i uniósł miecz do ciosu.

–Na ognie piekielne! – warknął Jim. Żadne inne zwierzę nie zwracało uwagi na Briana, Może drzewa Liones rozpoznawały w obrońcach przyjaciół, a nie wrogów. Tymczasem ten lew wydawał się wyjątkiem... Jak nie urok, to co innego. Jim przejechał przez tłum włóczników i zwierząt, nie zwracających na niego uwagi.

Jeśli zdąży dotrzeć do przyjaciela, będzie ich przynajmniej dwóch przeciwko lwu, a jeżeli Jim zmieni się w smoka, może przepłoszy drapieżnika.

Na szczęście Gorp jeszcze nie ochłonał z podniecenia na tyle, żeby przestraszyć się lwa. W następnej chwili reakcja ogiera stała się nieistotna, gdyż już znaleźli się przy Brianie i zdyszonym Blanchardzie – mocno przytrzymywanym przez jeźdźca,

gdyż ploszył się na widok podchodzącego kota. Ten jednak zachowywał się bardzo dziwnie.

Jak wszyscy wielcy przedstawiciele rodziny kotowatych, lwy nie mruczą. Tymczasem ten, podszedłszy do Briana, zaczął ocierać się bokiem o jego lewą nogę i na różne inne kocie sposoby okazywać mu przyjaźń, graniczącą z uwielbieniem.

–Stój! – zawołał ktoś i Jim w ostatniej chwili wstrzymał konia przed zagradzającym mu drogę TB.

–Z drogi, TB! – zawołał Jim. – Muszę pomóc Brianowi!

–Nie. Nie rób tego, sir Jamesie! – rzekł TB. – A szczególnie nie tak pospiesznie. Za chwilę zbliżymy się do nich razem, powoli. Jeśli podjedziesz tam szybko i sam, lew może uznać to za atak. Sir Brianowi nic nie grozi.

–Nic nie grozi! Jak możesz twierdzić, że nic mu nie grozi ze strony lwa?

–I proszę, mów ciszej, sir Jamesie! Inaczej zwrócisz uwagę lwa. Sir Brianowi nic nie grozi, gdyż lew uważa go za przyjaciela.

Jim z najwyższym trudem zdołał ściszyć głos.

–Skąd o tym wie?

–A skąd wiedzą o tym wszystkie zwierzęta? – rzekł TB. – Ten lew był w lesie, kiedy przemawiałeś do zwierząt, i uważa sir Briana za maga. Pewnie słyszałeś o tym, że wszystkie zwierzęta uważają magów za przyjaciół.

Jim miał ochotę spytać o trzy rzeczy naraz. W końcu zdołał zawrzeć wszystko w jednym pytaniu.

–Dlaczego? Jak? Powiedziałeś, że był tam i widział mnie... Przecież teraz też mnie widzi! Dlaczego wybrał Briana i jemu okazuje przyjazne uczucia, a nie mnie?

–Masz rację – odparł TB – ale... Wybacz, jeśli to cię urazi, sir Jamesie, lecz dla zwierząt wszyscy ludzie wyglądają tak samo. Ja przez wieki nauczyłem się rozróżniać jednego od drugiego. Jednak dzikie zwierzęta... Kiedy poznają cię na tyle, by móc zidentyfikować twój indywidualny zapach, wyczuwają cię wśród innych ludzi. Nie wcześniej. Jak powiedziałem, nie chciałem cię obrazić, ale taka jest prawda.

–Nie obraziłeś mnie – warknął Jim, czując się trochę upokorzony. – Może pomyliłem się, zakładając, że lew zaatakuje Briana.

Mimo wszystko, rzekł sobie w duchu, lew był w amfiteatrze, kiedy mówiłem wszystkim zwierzętom, jak powinny walczyć z intruzami, a TB sam powiedział, że w ich oczach wszyscy ludzie wyglądają tak samo...

TB mówił dalej.

–Nie mogłeś wiedzieć tego, o czym ci teraz mówię. Kiedy dzikie zwierzę pozna zapach twojego ciała, już zawsze cię rozpozna. Teraz, w wyniku pomyłki lwa, wszystkie będą brały Briana za ciebie – maga z górnej krainy, który do nich przemówił. Ty jesteś po prostu jeszcze jednym człowiekiem, przyjacielem i towarzyszem maga, ale" postacią nieważną, od której trzeba trzymać się z daleka. W obecności sir Briana jesteś zupełnie bezpieczny, dopóki nie wykonujesz gwałtownych ruchów.

–Rozumiem – odparł ponuro Jim.

Spieszył tu na pomoc Brianowi i gdy nagle odkrył, że to jego własne

bezpieczeństwo zależy od przyjaciela, poczuł się głupio. Nie podobała mu się rola człowieka potrzebującego pomocy. TB już zaczął powoli przesuwać się w kierunku Briana.

–Idź tuż za mną, sir Jamesie – powiedział. Szli razem po otwartej przestrzeni. Trochę wolno, pomimo wszystko, chociaż mieli wolną drogę. Wszystkie stworzenia większe od borsuka przezornie trzymały się z daleka od lwa.

Kiedy w końcu dotarli do rycerza – zbliżając się tak, by Blanchard oddzielał ich od wielkiego kota – Brian przemawiał do niego, jakby zwracał się do jednego ze swych psów.

–No, no... – mówił uspokajająco. – Dobry, grzeczny, spokojny...

Blanchard stał nieruchomo, tolerując jakoś obecność lwa, chociaż Jim zauważył, że Brian kurczowo ściska wodze. Ogier wybałuszał ślepia, a jego wielkie ciało było napięte jak cięciwa łuku.

–O, jesteś, Jamesie – rzekł Brian, nie odrywając oczu od lwa i nie zmieniając pieszczotliwego tonu głosu.

Jim przez chwilę poczuł małą radość, złośliwą radość na myśl o tym, że Brian tak samo jak Blanchard obawia się i nie ma zaufania do lwa, mimo przyjaznego zachowania zwierzęcia.

–Wszystko w porządku, Brianie – powiedział, gdy dotarli do nich z TB, na wszelki wypadek ściszone głosem. – Pamiętasz, jak mówiłem ci o tym, że przemawiałem w lesie do zwierząt, które chciały nam pomóc w walce z siłami Cumberlanda? Ten lew myśli, że ty to ja. Zrobi wszystko, co mu każesz.

–Może to za dużo powiedziane – poprawił TB. – W końcu to kot, a samemu po trosze będąc kotem, dobrze go rozumiem. Zapewne zrobi wszystko, co będzie zgodne z powodem, z jakiego tu przyszedł.

Lew zignorował jego i Jima. Zupełnie. Jakby nie istnieli, dopóki nie zechce ich zauważyć.

–W każdym razie – ciągnął TB – przyprowadziłem cię do sir Briana, sir Jamesie, ponieważ drzewa uważają, iż powinniście obaj stać lub siedzieć blisko siebie...

Pewnie z powodu zaklęcia osłaniającego, którym objął Briana, żeby go chronić. To prawda, że pułapka wbudowana przez KinetetE w zaklęcie mogła osłonić Briana tak samo jak jego w bezpośredniej konfrontacji z Morgan le Fay. Jednak Jim zauważył, że wszyscy magowie tego świata lubią, by ich czary miały możliwie najbardziej zawężone działanie, a to oznaczało, że siła zaklęcia może słabnąć nawet przy najmniejszej odległości między nim a Brianem. Tylko skąd wiedziały o tym drzewa? Jeśli to dlatego chciały, by znalazł się jak najbliżej przyjaciela. Może powiedziała im o tym Stara Magia?

Zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi. No nic, to teraz nieważne.

–...a ponieważ jesteście już razem, pewnie będzie najlepiej, jeśli obaj wróćcie do górnej krainy, z której przybyliście – dokończył TB.

–Teraz? Dlaczego? Przecież walka jeszcze nie skończona. Jim mimowolnie popatrzył na pole bitwy, lecz zdołał ogarnąć wzrokiem tylko sam środek, gdzie dobrze widoczny Artur kierował się ku nim, zwierzętom i resztkom włóczyków, Jim

uzmysłowił sobie, że nigdzie nie dostrzegł samego Cumberlanda. To prawda, że łatwo mógł zgubić się w bitewnym zamęcie, ale powinien być widoczny przynajmniej na początku, jak oczekiwano tego od średniowiecznego dowódcy.

Jim ani przez chwilę nie wierzył w to, że earl zrobił to w obawie o własną skórę. Kimkolwiek był Cumberland, na pewno nie był tchórzem. W przeciwnym razie nigdy nie utrzymałby się na tak wysokiej pozycji. Zbyt wielu ambitnych ludzi czekało, by zająć miejsce kogoś, komu brakowało odwagi.

–Niestety – rzekł TB i jak zawsze na tym świecie, to słowo zabrzmiało niezwykle groźnie. – Obawiam się, że koniec jest już bliski, mimo wszelkich wysiłków.

–Bliski?

Jim ponownie obrzucił szybkim spojrzeniem pole bitwy. Artur nadal był widoczny, ubezpieczony po bokach oraz z tyłu przez rycerzy Okrągłego Stołu, i raził cisnących się do niego wrogów. Teraz jednak, kiedy Jim przyjrzał mu się lepiej, zauważył, że uderzenia jego miecza nie są już tak szybkie, a i rycerze poruszają się wolniej.

Ludzie Cumberlanda również nie byli tak skuteczni jak na początku i niektórzy z nich najwyraźniej nabrali zdrowego respektu dla umiejętności przodków. Wielu sprawiało wrażenie, że gotowi są walczyć o to, co mieli nadzieję tu uzyskać, ale nie zamierzają ginąć dla samej chwały.

Los bitwy ważył się i wszystko zależało od tego, czy najeźdźcy ustąpią, zanim rycerze zmęczą się tak, by można było ich pokonać. Koniec nadchodził szybko – taki czy inny.

–Jamesie! – usłyszał tuż nad uchem głos Briana. – Po co mnie zawołałeś? Czy jestem ci potrzebny?

Jim odwrócił się. Gorp i Blanchard stały otoczone dosłownie dywanem gryzoni, które również zdawały się odpoczywać i rozglądać wokół. Klin mgły zupełnie znikł.

–Jakiś paskudny rodzaj magii zmierzał prosto na ciebie – odparł Jim. – Nic mówiłem ci o tym, ale Merlin ostrzegał, że coś takiego może ci grozić. To zaklęcie nie mogło przedostać się tam, gdzie są zwierzęta. Pamiętasz, jak Malwinne musiał przyznać, że magia na nie nie działa? Są odporne i czar pryska, kiedy się z nimi zetknie.

–Ach tak? – rzekł lekko zmieszany Brian. – Mimo to muszę wracać. Możesz przytrzymać to zwierzę?

–Daj mi chwilę do namysłu – odparł Jim. Gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. Potrzebował lepszej wymówki niż ta, że Brian jest mu tu potrzebny, a wzmianka o lwie nasunęła mu pewien pomysł. Przypomniawszy sobie tarczę i miecz Artura. Symbole... symbole, które podsycaly lęk lub wiarę walczących po obu stronach ludzi, miały w tych czasach ogromne znaczenie.

Zwrócił się do TB.

–Milordzie TB – powiedział.

Gadzi łeb opuścił się i wysunął do przodu – tylko kilka centymetrów, ale wystarczająco, by zasygnalizować, że TB zarejestrował ten formalny zwrot, zapowiadający jakąś ważną wypowiedź.

–Czy mógłbyś powiedzieć temu lwu – ciągnął Jim – albo poprosić, by zrobiły to

drzewa, że chcemy, by kroczył obok siedzącego na koniu Briana, mając u drugiego boku króla Artura?

–Po co, sir Jamesie?

–Strzelam na oślep, ale może jeśli wróg zobaczy króla z lwem, który jakby zszedł z jego tarczy i przyłączył się do niego...

–Nie mów nic więcej, sir Jamesie. Rozumiem. Powiem mu to i drzewa także.

TB zamilkł. Spoglądał teraz nie tyle na Jima, ile przez niego. Jim czekał.

–Lew zgadza się kroczyć obok króla – oznajmił TB, ponownie patrząc na Jima – dopóki będzie miał na to ochotę. Jest kotem, jak już mówiłem, i nie można mu rozkazywać.

–Słyszalesz, Brianie? – spytał Jim.

Rycerz posunął się do tego, że lekko i pieszczotliwie pociągnął lwa za ucho. Zwierz zawarczał przyjaźnie i trącił dłoń Briana wielką łapą – delikatnie, ze schowanymi pazurami, ledwie muskając grzbiet jego ręki.

–Co? Och tak – powiedział Brian, przerywając zabawę i spoglądając na Jima. – Słyszałem. Lew między mną a Arturem. To powinno wstrząsnąć tymi łotrami. Bardzo dobrze – jeśli tylko nasi rycerze dopuszczą mnie do króla.

–Pójdę z tobą, sir Brianie – obiecał TB. – Przepuszczą nas. Brian zerknął na Jima.

–A ty, Jamesie?

–Ja tymczasem spróbuję zrobić coś jeszcze – odrzekł Jim. – Jeśli się uda, dołączę do was.

–Aha.

Siedząc na Gorpie i czekając, patrzył, jak podążali w największy gąszcz walczących. W porównaniu z tym zamętem, cisza i bezruch miejsca, w którym stał, sprawiały wprost niesamowite wrażenie. Leżące wokół ciała, głównie najeźdźców, należały do zabitych lub udających nieżywych – zachowanie bardzo rozsądne w tej sytuacji – a ci włócznicy, którzy jeszcze pozostali na nogach, cofnęli się od niego najdalej jak mogli, nie wchodząc między drzewa.

Miał ochotę obejrzeć się i obrzucić ich przeciągłym spojrzeniem, ale powstrzymał się, wiedziony współczuciem. Ci ludzie i tak mieli dziś ciężki dzień.

Dalej, na otwartej przestrzeni, najeźdźcy cofali się przed lwem, którego obecność tutaj z pewnością uważali za niewiarygodną i nienaturalną. TB mówił coś do rycerzy Okrągłego Stołu, którzy przepuszczali całą trójkę. Nastąpiła krótka zwłoka, kiedy dotarli do Gawena, lecz zaraz i on ustąpił lwu i Brianowi miejsce po prawej ręce Artura. Król, zaabsorbowany walką z kolejnym przeciwnikiem, zdawał się tego nie zauważać.

Czas ruszać. Jim zeskoczył z konia na ziemię.

„Smok!” – pomyślał.

I nagle znów nim był.

Łasice, gronostaje i inne małe gryzonie rozpierzchły się na wszystkie strony jak liście w podmuchu wiatru. Łopot jego skrzydeł zagłuszył bitewny zgiełk. Walka ustała na chwilę, gdy wszyscy zwrócili spojrzenia ku niebu.

I dobrze się stało, gdyż lew, z Brianem po prawej stronie i TB, cofającym się, by

nie odgradzać go od Artura, teraz zignorował króla tak samo jak przedtem Jima. TB miał rację, mówiąc o jego kociej niezależności. Drapieżnik sprawiał wrażenie, że nie ma tu żadnej bitwy, dopóki nie zechce zwrócić na nią uwagi.

Tymczasem Jim wzbił się na wysokość dziesięciu metrów i zatoczył szeroki krąg wokół Artura, by w końcu zawisnąć tuż nad jego głową, zwrócony w tym samym kierunku co król i towarzyszący mu lew. Powoli i z wysiłkiem poruszając skrzydłami, utrzymywał się w tej pozycji nad głową władcy.

W nieprzyjacielskich szeregach zapadła głęboka cisza. Nikt się nie poruszał. Potem z gardeł ludzkich obrońców Liones wydobył się krzyk, z początku niegłośny, lecz przybierający na sile, aż do triumfalnego ryku, gdy zrozumieli symboliczne znaczenie żywego smoka i lwa, będących odbiciem wizerunków na koronie i tarczy króla. Niemal w tej samej chwili pojęli to ich przeciwnicy, którzy przez całe życie uczyli się rozpoznawać herby.

Artur zaś, z białą brodą i równie białymi zębami błyszczącymi w promieniach zachodzącego słońca, z szerokim uśmiechem radości i triumfu, jakby z już wygranej bitwy, stanął w strzemionach i wydał donośny okrzyk myśliwego, który widzi zwierzynę desperacko umykającą z leśnej ostoi.

Triumfalny wrzask rozpalił krew nawet Jimowi, pracowicie machającemu skrzydłami. Właśnie na to liczył. Nie tyle na wzbudzenie zabobonnego lęku u nieprzyjaciół, ile na dodanie ducha obrońcom Liones.

„Dopóki mogą przeć naprzód, nikt nie zdoła powstrzymać ani pokonać naszych rycerzy!” – powiedział TB i miał rację.

Teraz wszyscy rycerze Okrągłego Stołu runęli do ataku, jakby dopiero co wyszli na Równinę po całonocnym odpoczynku i solidnym śniadaniu, a ludzie Cumberlanda cofali się coraz szybciej. Na całym polu bitwy powstało ogromne zamieszanie. Lew, opuściwszy w końcu Briana, spokojnie odszedł na bok, nie zaczepiany przez żadną z walczących stron. Niestety, sam Brian zniknął w zawierusze, prac naprzód z Arturem i jego świtą. TB także nigdzie nic było widać. Teraz jednak nie miało to już żadnego znaczenia. Bitwa skończyła się. Najeźdźcy rzucali broń i oddawali się w ręce obrońców Liones. Ci, upojeni walką i perspektywą zwycięstwa, zabijali ich bez pardonu, jak to często bywało w tych czasach.

Hełm Artura nadal był widoczny nad głowami innych rycerzy, a kiedy król na chwilę stanął w strzemionach, żeby obejrzeć pole bitwy, zachodzące słońce odbiło się od górnej krawędzi jego tarczy i Jim przez moment dostrzegł lwa w koronie, krwistoczerwonego w gasnącym świetle dnia.

Jakby ziemia rozwarła się pod kopytami Gorpa.

Czerwonego!

W krainie czarno-białych odcieni widział czerwonego lwa.

Rozróżniał kolory inne od czerni i bieli, tutaj, gdzie oznaczało to, że już nigdy nie zdoła powrócić do domu. Nigdy nie zobaczy Angie, a Brian nigdy nie poślubi Geronde...

Jim zerwał z nosa okulary. Tak się do nich przyzwyczaił, że zupełnie zapomniał o tym, że je nosi. Ponownie spojrzął na tarczę Artura i odetchnął z ulgą. Po zdjęciu

okularów nie widział żadnych barw. Nie zostali z Brianem uwięzieni w Liones – przynajmniej jeszcze nie.

Magiczne okulary ostrzegły go o niebezpieczeństwie – dzięki Bogu. Zapewne niedługo i on, i Brian zaczęliby rozróżniać barwy. Dafydd przebywał w Liones znacznie krócej od nich. Jim w duchu podziękował Angie za pomysł z okularami. Na szczęście nie odmówił ich noszenia, chociaż uważał z początku, że są niepotrzebne i śmieszne.

Nie były. Teraz musiał jak najszybciej odnaleźć Briana.

Myśląc o tym wszystkim, już spoglądał na kłębowisko zakutych w stal ciał, daremnie usiłując odnaleźć znajomą postać. Rycerze Liones wmieszali się w tłum zbrojnych Cumberlanda, gdy ci zaczęli prosić o łaskę, i tylko garstka najeźdźców nadał stawiała opór Arturowi i jego świcie – co w tym momencie zdawało się nawet cieszyć rycerzy Okrągłego Stołu. Doszło nawet do tego, że niektórzy z nich gniewnie reagowali na wszelkie próby pomocy ze strony towarzyszy.

Jim nadal nie widział Briana. Czuł rosnący niepokój. Czyżby zdołał go ogarnąć klin szarej mgły? Czyżby wydarzyło się niemożliwe i przyjaciel leżał teraz martwy, twarzą do ziemi, niczym nie różniąc się od innych zakutych w zbroje ciał, jakie zasłały Równinę?

Odepchnął od siebie tę myśl. Nie uwierzy w to, dopóki nie zobaczy. Jeszcze nie obejrzał całego pola bitwy. Zawrócił w powietrzu, żeby ponownie zawisnąć nad Arturem i w ten sposób spróbować odnaleźć Briana. Podleciał kawałek do przodu, obejrzał się, zdjął okulary i ponownie popatrzył na lwa na królewskiej tarczy. Ujrzał ten sam ciemny kształt, który widział przedtem. Sprawdzał to teraz pod wpływem tego samego impulsu, który każe nam raz po raz trącać językiem chory ząb.

Założył okulary. Jeśli zaczniesz widzieć kolory również innych przedmiotów... Im więcej ostrzegawczych sygnałów, tym lepiej.

Ruszył ku rycerzom i Arturowi. Zobaczył, że król wciąż walczył i strącał przeciwników z siodła, chociaż robił to trochę wolniej. Atakowali go albo najdzielniejsi z wrogów, albo tacy, którzy chcieli zyskać chwałę jako ci, którzy przynajmniej skrzyżowali z nim miecze, zanim się poddali.

Na razie Jim widział niewiele kolorów Liones, tak więc pozostało mu jeszcze trochę czasu, Brian także powinien być póki co bezpieczny.

Jim zrównał się z Arturem i oczywiście, gdy tylko na chwilę przerwał gorączkowe poszukiwania, dostrzegł Briana tam, gdzie powinien być go szukać od razu: na prawo i tuż za Arturem, wpychającego na moment miecz do pochwy. Jim z łoskotem wylądował kilka metrów dalej i ponownie przybrał ludzką postać, pozostawiając sobie smocze gardło, płuca i struny głosowe. Ryknął w kierunku walczących:

–BRIANIE! POMOC! POMOC!

Na szczęście zdołał powrócić do ludzkich kształtów, zanim zauważył go rozglądający się wokół Brian. Wydawało się, że rycerz się zawahał. Potem okręcił Blancharda, pogalopował do Jima i osadził rumaka tuż przed nim. Przetarł oczy. Jego owalna twarz od czoła po brodę -jedyna część głowy nie osłonięta przez hełm i szyszak – spływała potem. Do nozdrzy Jima doleciała jego ostra woń.

–Pomoc? – spytał rycerz. – O co chodzi, Jamesie? Myślałem, że mnie potrzebujesz.

Ujął wodze, zamierzając ponownie dołączyć do króla.

–James! – powiedział, jakby budząc się ze snu, – Byłeś smokiem?

Jim nie fatygował się odpowiedzią.

–Posłuchaj mnie, Brianie! – rzekł. – Musimy wydostać się z Liones – natychmiast. Zaczęłeś już dostrzegać kolory?

–Kolory? Nie, nie widzę żadnych kolorów. Jamesie, muszę wrócić do Artura i...

–Słuchaj! Nie pamiętasz, co Dafydd mówił nam o ludziach z zatopionej krainy, którzy przybyli tu i zostali zbyt długo, aż zaczęli widzieć wszystko w normalnych barwach? A potem nie mogli wrócić do domów i musieli pozostać tu na zawsze? Ten przyrząd na moim nosie to magiczne okulary, które miały mnie ostrzec, że ten moment nadchodzi – żebyśmy mogli natychmiast opuścić tę krainę. Przed chwilą ujrzałem czerwoną barwę. Musimy wydostać się z Liones i to zaraz! Natychmiast!

Twarz Briana zmieniła wyraz, stała się zimna i zamknięta.

–Wracaj, Jamesie – rzekł. – Ja jeszcze nie mogę!

–Brianie! – nalegał Jim. – Nie słyszysz, co mówię? Widzę kolory!

–Jednakowoż – odparł Brian – moim pierwszym obowiązkiem jest zakończyć bitwę u boku króla Artura. – W jego oczach pojawił się zimny błysk, jakiego Jim jeszcze nigdy nie widział – jak bryłki lodu w strumieniu spływającym z górskiego lodowca. – Jako rycerz nie mogę postąpić inaczej.

–Bitwa jest już skończona. Mówię ci, że przez okulary widzę kolory, tak więc za kilka minut zobaczymy je gołym okiem. Pomyśl o Geronde! Chcesz, by żyła samotnie do końca swych dni?

–Wrócę do niej.

–Nie będziesz mógł! A jeśli nawet, to nie zdołasz przy niej pozostać, idioto!

Brian wyrwał miecz z pochwy i z wściekłością spojrzał na Jima.

–Panie! Znieważasz mnie tymi podłymi wyzwiskami! Dobądź miecza i broń się!

Myśli Jima nagle stały się straszliwie, beznamiętnie czyste, niczym zasypana śniegiem ziemia pod jasnym, bezchmurnym, zimowym niebem. Oto powtórka spotkania Lancelota z Gawenem – ale tym razem działało się to naprawdę. Nawet nie drgnął, trzymając ręce z daleka od miecza wiszącego u pasa.

–Brianie – powiedział powoli i wyraźnie – jesteś pijany! Rycerz uniósł miecz nad głowę. Siedząc na grzbiecie Blancharda, mógł włożyć w cios całą siłę ramion.

„Angie, Boże i wszystko w tym miejscu i czasie, na pomoc!” – modlił się w myślach Jim, tak żarliwie jak wówczas, kiedy był małym chłopcem. Nie poruszył się.

Rozdział 46

Miecz Briana wisiał w powietrzu. Nagle wszystko zniknęło: bitewny zgiełk, sama bitwa i ludzie wokół. Pozostali tylko oni dwaj, stojący naprzeciw siebie, Jim spoglądał Brianowi w oczy.

Ostrze lśniło w zachodzącym słońcu, nieruchome, jasne. Potem zadrżało i opadło, zapomniane. Brian nie wypuścił miecza z ręki, lecz ta zwisała bezwładnie, jakby stracił w niej czucie.

–Dlaczego powiedziałeś coś takiego, Jamesie? – zapytał zupełnie innym, pełnym niedowierzania tonem. Jego oczy nie były już twarde jak kamienie, lecz znużone i nieszczęśliwe. – Jak mogę być pijany, jeśli nie wypilem nawet kropli wody, od kiedy opuściłem dom króla Pellinora kilka godzin temu?

–Pijany bitwą, Brianie – odparł łagodnie Jim. – Ogarnęła cię gorączka bitewna. Jednak bitwa już się właściwie skończyła. Chodź. Czas, byś pomyślał o swym domu i Geronde.

–Geronde... tak – rzekł niepewnie Brian. Niezgrabnie próbował wepchnąć miecz do pochwy. W końcu trafił i wsunął w nią ostrze. – To mój obowiązek...

Zamrugnął oczami, zamknął je i nagle spadł z konia.

Jim złapał go. Nie mógł postąpić inaczej. Przecież nie pozwoli najlepszemu przyjacielowi runąć na ziemię. Zamierzał tylko zamortyzować upadek Briana własnym ciałem, a nie złapać go i utrzymać się na nogach. Tak się jednak stało, chociaż zatoczył się pod ciężarem bezwładnego ciała i zbroi.

W tym momencie przemknęła mu przez głowę myśl, że w ciągu kilku przeżytych w średniowieczu lat stał się silniejszy, niż przypuszczał. Dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy.

Położył Briana na ziemi i klęknął przy nim. Wiedział, że niebieską jakę, którą przyjaciel nosił na kolczudze, podarowała mu na drogę Geronde. Ujrzał ciemną plamę na lewym boku. Spróbował wsunąć dłoń pod zbroję, ale zanim sięgnął głębiej, wyczuł śliskie ogniwa kolczugi i zrozumiał, że to krew.

Znowu! Miał wrażenie, że podczas wspólnych wypraw większość czasu zajmuje mu opieka nad Brianem, który utracił niebezpiecznie dużo krwi. Obrócił przyjaciela na bok, żeby zobaczyć, w którym miejscu została uszkodzona zbroja – i odetchnął z ulgą. Dostrzegł rozdarcie w jace Briana, ale niewielkie i zaledwie kilka centymetrów oddalone od drugiego. Włożył palec w tę drugą dziurę i dotknął kolczugi na piersi rycerza. Namacał kilka zgiętych i rozerwanych ogniów – ale suchych. Najwidoczniej Brian odniósł powierzchowną ranę od włóczni lub miecza. Zemdlał raczej z wyczerpania, pogłębionego brakiem snu.

–Czas ruszać – powiedział do nieprzytomnego przyjaciela i obrócił głowę, – Hobie, jesteś jeszcze przy mnie?

–Tak, milordzie. Ale ta dama, którą tu spotkaliśmy jako pierwszą... ta, która wysłała nas do Dedalowego Lasu, też tutaj jest.

Jim skoczył na równe nogi i odwrócił się na pięcie. Zaledwie trzy kroki od niego stała ponuro uśmiechnięta Morgan le Fay, we wspaniałej sukni z jakiegoś zwiewnego materiału, który oglądany przez okulary miał purpurową barwę. Na jej głowie tkwiła

mała, lecz piękna korona ze srebra, wysadzana klejnotami, z kitą wielobarwnych piór.

–Myślałeś, że uda ci się uciec – powiedziała.

–Nie zwracaj na nią uwagi, Jim! – powiedział inny znajomy głos. – Ja też tu jestem.

Jim zerknął w bok i ujrzał KinetetE – we własnej osobie albo jej projekcję. Zadowolenie Morgan przygasło. Wykrzywiły się do siebie z KinetetE w grymasie imitującym uśmiech.

–Dziękuję – rzekł Jim do KinetetE. – To jednak nie jest konieczne. Panuję nad sytuacją. Doskonale zdaję sobie sprawę z pozycji, jaką zajmuje tu królowa Morgan le Fay. Hobie, gdzie twoje maniery? Skocz i przyprowadź do mnie wielką królową.

Hob błyskawicznie zeskoczył z prawego ramienia Jima, wylądował na ziemi i przebiegł kilka kroków dzielących go od Morgan.

–Tędy proszę, wasza wysokość, najjaśniejsza królowo – powiedział w najlepszym dworskim stylu, jakiego nauczył go wędrowny trubadur.

Na twarzy Morgan pojawiło się lekkie zdumienie. Wodziła wzrokiem od KinetetE do Jima. Zignorowała Hoba i nie próbowała iść za małym skrzatem, który zrobił krok z powrotem w kierunku Jima.

–Pozwól, królowo! – rzekł stanowczo Hob. Wrócił do niej, chwycił ją za rękę i próbował pociągnąć za sobą. Równie dobrze jacht mógłby holować wielki statek pasażerski.

Jim szybko wyrecytował:

Lato w zimę,

A noc w dzień

Zmieni się

–I ty się zmień!

Morgan gwałtownie pobladła. Najpierw jej ręce, potem nogi, a w końcu całe ciało zaczęło gwałtownie dygotać. Szczekała zębami. Wyrwała dłoń z rączki Hoba, lecz drżenie przybierało na sile... i wokół niej szybko sformowała się mgiełka. Zgęstniała i zastygła, zamykając i unieruchamiając Morgan w bloku jakiejś przezroczystej materii. Nagle wszystko zniknęło.

–To proste zaklęcie Bramy Czarownic podsunęło mi ten pomysł – powiedział Jim do KinetetE. – Uwolnienie się spod niego zajmie jej dłuższą chwilę. W ten sposób dowie się, co czuli Hob i królowa Północnych Wichrów... Wróć do mnie, Hobie. Dziękuję za pomoc, KinetetE. Teraz chcielibyśmy znaleźć się w domu tak szybko, jak magia nam na to pozwoli. A gdzie Dafydd? On zapewne też powinien już wracać.

–Jest już w Malencontri – powiedziała sucho KinetetE. – A więc to tak! Potrafisz prawidłowo wymawiać słowo „magia”, jeśli chcesz.

–Merlin wytłumaczył mi różnicę – odrzekł Jim.

KinetetE prychnęła.

–Jamesie... – zaczął Brian, niespodziewanie odzywając się z ziemi u stóp Jima. Pierwsze słowa były prawie niesłyszalne, ale w miarę jak mówił, jego głos nabierał mocy. – Nie możemy odejść, nie podziękowawszy naszemu gospodarzowi.

–Gospodarzowi?

–Królowi Pellinorowi.

Jakby te słowa były magicznym zaklęciem, nagle obok nich pojawił się TB.

–Raczej wybaczyć, panowie! – rzeki – Właśnie przybyłem porozmawiać z wami, usłyszałem ostatnie słowa i zrozumiałem, że muszę przemówić natychmiast albo nigdy. Proszę, abyście teraz nie próbowali żegnać się z królem Pellinorem, Sir Parsifal oraz sir Lamorak z Walii ponownie od nas odeszli i w tej chwili bo leśnie przeżywa ich utratę.

Niewiarygodne, lecz leżący u stóp Jima Brian znów się odezwał, a jego głos i tym razem z początku był słaby, lecz stawał się silniejszy z każdym słowem.

–Zostali zabici? – wychrypiał.

–Nie – odparł TB – ale podobnie jak wszyscy, którym pozwolono pomóc nam w godzinie próby, teraz musieli odejść.

–Z pewnością bardzo go to boli – rzekł Jim, najdelikatniej jak mógł – skoro sądził, że ich odzyskał.

–Można było tego oczekiwać – powiedział TB. – Wszyscy wiedzieliśmy, że zostali nam tylko użyczeni, gdyż opuścili nas przed ostatnią bitwą Artura. Jednak ich ponowna utrata jest dla niego, który nigdy nie okazuje cierpienia i nie mówi o nim, tylko chowa je głęboko w sercu, bardzo trudna.

–Rozumiem – przytaknął Jim.

–Jeśli chcecie, abym przesłał mu jakąś wiadomość, kiedy ból trochę zelżeje...

–Jak najbardziej – wychrypiał Brian. – Przekaż nasze najlepsze...

Nie dokończył. Spojrzawszy w dół, Jim zobaczył, że przyjaciel zamknął oczy.

–Musze zabrać go z powrotem do Malencontri – powiedział do KinetetE. – I nasze konie...

–Oczywiście – przytaknęła KinetetE i w następnej chwili ona, Brian, Hob i Jim znaleźli się w wielkiej sali zamku Malencontri. Gorpa, Blancharda i jucznego konia nie było, lecz Jim nie wątpił, że już zajęto się nimi w zamkowej stajni.

Wszyscy siedzieli przy honorowym stole na podium. KinetetE miała rację. Dafydd już tam był, podobnie jak Danielle i ich dwaj najstarsi synowie. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał również Carolinusa, odzianego w jedną ze znoszonych czerwonych szat. Wyglądał na zdrowszego niż podczas ostatniego spotkania.

Była też Angie i Geronde – która natychmiast pochyliła się nad nieruchomym i milczącym Brianem – a także John Steward i kilkoro służących spieszących jej z pomocą. Podano kolację, a całe pomieszczenie oświetliły świece z białego wosku, zapalane specjalnie z okazji wizyt gości.

–Niech służba opuści salę! – powiedział niemal odruchowo Jim. – Ty nie, Hobie.

–Tak, milordzie.

Ci pierwsi wykonali polecenie natychmiast, jak oczekiwano tego w owych czasach od posłusznej, dobrze wychowanej służby.

–Brian jest ranny! – warknęła Geronde.

–Sądzę, że to lekka rana.

–Musimy położyć go do łóżka i natychmiast ją opatrzyć!

–Oczywiście – zgodził się Jim. Podniósł głos. – Służba! – zawołał. – Tutaj,

biegiem! Zanieście sir Briana do łoża!

Wrócili w mig – ci potrzebni i ci, którzy sądzą, że ujdzie im to płazem, a mieli ochotę uczestniczyć w ekscytujących wydarzeniach.

–Jest nieprzytomny! Jak możesz mówić, że to lekka rana?

–Och, myślę, że to tylko lekki wstrząs pourazowy – odparł Jim.

Tak jak przypuszczał, niezrozumiała definicja nie tylko ułagodziła wywołany jego obojętnością gniew Geronde, ale także upewniła ją, że mag z zawodową wprawą obejrzał obrażenia i uznał je za mniej groźne, niż się obawiała.

Briana poniesiono w kierunku schodów wiodących do komnat na górnych piętrach wieży, gdzie niewątpliwie znajdował się pokój zajmowany przez Geronde.

–Zawiadomcie mnie niezwłocznie, kiedy się zbudzi! – zawołał Jim w ślad za ostrożnie niosącymi Briana mężczyznami.

–Tak, milordzie – odpowiedzieli chórem.

–Pozostali – wyjść z sali!

Słudzy, którzy nie pomagali przy transportowaniu Briana, opuścili ich.

–A teraz... – zaczął Jim.

–No właśnie, „teraz“! – wybuchnęła KinetetE, niczym bomba czasowa, która cierpliwie tykała, czekając na moment, by wreszcie eksplodować. – Jeszcze nigdy nie przydarzyło mi się coś takiego – a przynajmniej od dawna! Byłam tam, gotowa zająć się wami, a ty musiałeś się popisywać, rzucając prymitywne zaklęcie, spod którego ta, jak jej tam, uwolni się szybciej, niż ty zawiążesz pludry! Co ci przyszło do głowy, żeby zrobić ze mnie idiotkę przed tą wywłoką, której cała magia zmieściłaby się pod paznokciem mego małego palca? W dodatku w taki dziecinny sposób?

–Pokornie błagam o wybaczenie – zaczął Jim, zrozumiałwszy, że uraził jej zawodową ambicję, ale Carolinus nie dał mu skończyć.

–A tak, to zaklęcie! – warknął zaskakująco silnym głosem. – Chcę wiedzieć. Dlaczego użyłeś takiego prostego czaru?

–Ja... – zaczął cienki głosik dobiegający z kominka.

–CICHO, SKRZACIE! – ryknął Carolinus.

Oстрыm spojrzeniem przeszył Hoba, który pisnął, poszarzał i skulił się.

–Strasznie mi przykro, magu... Błagam o wybaczenie, magu... Carolinus zignorował go.

–Jimie, zadałem ci pytanie!

–Z pewnością słyszał je już wtedy, kiedy ja je zadałam! – wtrąciła KinetetE.

Carolinus spojrział na nią surowo. Jednak KinetetE nie była skrzatem.

Odpowiedziała mu równie groźnym spojrzeniem.

–No, Jim? – warknął Carolinus ponownie. – Czekam na odpowiedź. Kin też chce wiedzieć. No? No?

–No – odparł Jim, który zdążył się już namyśleć. – Prawdę mówiąc, miałem kilka powodów.

–Słucham.

–Po pierwsze, może kiedyś znów będę musiał wrócić do Liones, chciałem więc pokazać Morgan le Fay, że nie jestem bezbronny. Ponadto pragnąłem sprawdzić, czy

się nie mylę – czy magiczna energia Liones zareaguje na jedno z podstawowych zaklęć. Specjalnie wybrałem najprostsze, jakie przyszło mi do głowy, aby nie było zbyt specyficzne – dlatego wypowiedziałem je właśnie tak.

KinetetE rozsiadła się na krześle, zakładając ręce na piersi.

–Miałem też inny powód, żeby tak zrobić – dodał Jim.

–A więc podaj go nam! – nalegał Carolinus. – Podaruj sobie inwokację i przejdź od razu do kazania! Dlaczego to zadziałało?

–A dlaczego nie? – odrzekł Jim. – Tam nie ma Wydziału Kontroli. W Liones każdy parający się magią ma kredyt wystarczający do realizacji wszelkich celów. Skąd biorą tę magię?

Powiódł wzrokiem po parze magów.

–Dlaczego ta magia – ciągnął – miałyby być inna od naszej? Czyżby oznaczało to, iż każda kraina ma swój własny rodzaj magii? To absurd. Zaczynam podejrzewać, że tak nie jest. Myślę, że magia to coś w rodzaju naturalnej siły, jak... – Zastanowił się nad słowem „grawitacja”, ale postanowił go nie używać. – Jak każda naturalna siła na świecie. Pamiętasz, zacny Carolinusie, jak ów mag w Trypolisie równie skutecznie posługiwał się miską wody jak my kryształowymi kulami? Spróbowałem tej metody i zadziałała. Ponadto przepędziłem Ciemne Moce z wielkiej sali mojego zamku, używając tej samej magicznej energii, jaką wykorzystał bym przeciwko każdemu innemu intruzowi. A teraz mam dowód, iż magia Liones reaguje przynajmniej na proste polecenia.

–Ha! – odezwała się KinetetE. – Powiedziałeś, że użyłeś magii Liones. To niemożliwe.

–Kto wie? – warknął Carolinus. – Jeśli to była magia Liones, Jim, to jak udało ci się wejść w jej posiadanie?

–Wpadłem na to zupełnie przypadkowo – odparł zapytany. – Królowa Północnych Wichrów była nienaturalnie chłodna – ten chłód musiał opierać się na jakiejś magii. Celowo próbowała skłonić któregoś z nas, żeby ją dotknął i utracił ciepło swego ciała. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. W końcu dotknęła Hoba, a jako znacznie większa od niego o mało go przez to nie zabiła. Zdołałem go uratować, nie używając magii – co jest bardzo ważne. Mimo to Hob polubił ją i był dla niej miły, a ona przestała być zimna...

–Co to ma wspólnego z magią? – spytała KinetetE.

–Może dasz chłopakowi dokończyć, Kin?

–Jeśli nalegasz!

–Hob nie zaraził się od niej chłodem. Oczywiście, dlatego że naturalni nie mogą posługiwać się inną magią poza wrodzoną, instynktowną... lecz wy wiecie o tym lepiej ode mnie. Tak więc nie mógł zarazić się od niej chłodem, ale mógł go przenosić. Domyśliłem się, że w odpowiednich warunkach może przekazać ten ziąb człowiekowi, komuś przepelnionemu gniewem lub nienawiścią. Dlatego zaaranżowałem to tak, żeby dotknął Morgan le Fay – i rzeczywiście, stało się tak, jak myślałem.

–Po co więc było to zaklęcie? – dopytywał się ze szczerym zainteresowaniem

Carolinus.

–Och, tylko po to, żeby zmylić Morgan i zasugerować jej, że to ja, a nie Hob, jestem odpowiedzialny za to, co jej się przytrafiło.

–Bardzo interesujące – rzekła sucho KinetetE – lecz nadal nie rozumiem, jaki związek ma to z tym, co poprzednio powiedziałaś.

–No cóż – rzekł Jim – wydaje mi się, że mimo drobnych, powierzchownych różnic magia jest taka sama we wszystkich krainach – jak każda inna siła natury. Może swobodnie przepływać, tak jak zapewne Stara Magia w Liones, nie działając na tych, którzy nie mają z nią nic wspólnego.

Rozgrzewał się i mówił coraz szybciej.

–Można ją nieświadomie wchłonąć i używać – ciągnął – jak to robią naturalni. Można ją wykorzystać tylko w jednym celu, jak używają jej diabły i demony wszelkich klas. I wreszcie, mogą ją pobrać ci, którzy są świadomi jej istnienia – a więc my, ludzie – i użyć w dobrym lub złym celu. Tak więc w rzeczywistości dysponujemy zaledwie odrobiną istniejącej na tym świecie magii, a cała reszta, jako całość, stanowi ogromną siłę. Korzystamy tylko z niewielkiej jej części. Oczywiście, nie jestem tego pewny, ale tak mi się wydaje.

Zamilkł. Zabrakło mu tchu, a Carolinus i KinetetE nie odzywali się. Jim z przygnębieniem pomyślał, że nie zdołał do nich trafić. Może za dużo im powiedział, podsunął zbyt wielką porcję logicznego rozumowania i ich umysły nie zdołały jej przyjąć.

Przez dłuższą chwilę panowała głucha cisza.

–To bardzo interesujące – rzekła w końcu KinetetE – ale nie wierzę w ani jedno słowo. Carolinusie, czynię cię osobiście odpowiedzialnym za zwrot magii, którą pożyczyłam temu chłopcu, gdy wyruszał do Liones.

Zniknęła. Carolinus zaś pozostał. Powoli na jego twarzy wykwitał szeroki uśmiech. Z zadowoleniem popatrzył na Jima, który odniósł wrażenie, że stary mag ma ochotę mrugnąć do niego porozumiewawczo.

–Nic nie szkodzi – powiedział. – I tak tanio nas to kosztowało. Dobra robota! Już choćby to, że udowodniłeś możliwość wykorzystania magii Liones, jest warte wszystkich wysiłków włożonych w pokrzyżowanie zamiarów Cumberlanda i Morgan!

I on także ich opuścił, pozostawiając Jima lekko oszołomionego nieoczekiwaną pochwałą oraz wspomnieniem umierającego jeźdźca, który zaatakował go i spadł z konia, by umrzeć u jego stóp.

–Obawiam się, że i na nas pora, sir Jamesie – powiedział Dafydd.

Jim spojrzał na niego. Wróciwszy do żony i synów, Dafydd zupełnie się zmienił, znów stając się mężem i ojcem rodziny. Jako obca osoba w tym samym, znajomym im ciele, wracał do swojego własnego świata. Mówił też inaczej, zwracając się do Jima formalnym „sir Jamesie”, a nie po prostu „Jamesie”, jak w Liones.

–Nadchodzi dzień świętego patrona naszego pierwородnego – ciągnął Dafydd. – Serdecznie ci dziękuję za twą uprzejmą pomoc w zażegnaniu niebezpieczeństwa grożącego mojej zatopionej krainie. Chociaż nie jest już ona moim domem, pękłoby mi serce, gdyby choć na chwilę wpadła w ręce Ciemnych Mocy i Morgan le Fay. Po

kres moich dni pozostanę twoim dłużnikiem.

–Nie jesteś mi nic dłużny – odparł Jim. – Byłeś tutaj, gdy Ciemne Moce miały czelność wetknąć nos do tej sali. Miałem z nimi własne porachunki. Poza tym, od czego ma się przyjaciół? Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

–No tak, ale...

–Dafyddzie, konie czekają – przerwała im Danielle. – Musimy jechać – i to szybko – do obozu mojego ojca w Wold. I tak księżyc będzie już wysoko na niebie, zanim tam dotrzemy. Ty możesz podróżować nocą, ale dzieci miały męczący dzień i potrzebują snu.

–Za moment ruszymy, mój złoty ptaszku – rzekł Dafydd, nie odwracając głowy. – Zatem żegnaj, James. Żegnaj, Angelo. Spotkamy się znowu, nim spadnie pierwszy śnieg.

–Żegnajcie – powiedzieli Angie i Jim, patrząc, jak tamci wychodzą przez frontowe drzwi wielkiej sali na mocno udeptaną ziemię dziedzińca, jeszcze oświetlonego przez zachodzące słońce. Potem usłyszeli stukot podków, przechodzący w krótkotrwały szcęk, gdy konie przechodziły przez bramę i zwodzony most, a później zapadła cisza.

Białe świece, wypalone do połowy, migotały w lekkim podmuchu wiatru wpadającym przez otwarte drzwi, nad posiłkiem, który oprócz dzieci mało kto tknął.

–Chodź – powiedziała Angie. – Musimy coś zjeść, a potem powinieneś się wyspać.

Rozdział 47

Zjeść zjadł, ale był równie daleki od myśli o śnie, jak koniec świata, gdzie kiedyś posłał go Carolinus – zawieszony w czasie i przestrzeni punkt wypadowy w mglistą wieczność otaczającego tę planetę wszechświata.

Nie mógł się nagadać.

Zdarzało mu się to w pierwszych latach po studiach, kiedy oprócz asystentury i własnych badań pracował dodatkowo na dwóch posadach. Od czasu do czasu ogólne wyczerpanie wywoływało stan euforii, w którym przeskakiwał myślami od problemu do problemu i miał wrażenie, że już nigdy nie będzie potrzebował odpoczynku. Tak było teraz – tylko w innym miejscu i czasie.

–Niesamowite! – usłyszał swój głos. – To jedyne odpowiednie słowo.

Niesamowite, Traktowałem to chłodno i profesjonalnie, kiedy byli tu Carolinus i KinetetE, ale to jedyne odpowiednie słowo. Niesamowite!

–Na pewno – przytaknęła z niezmaconą cierpliwością Angie.

–Byłaś tam i na pewno to czułaś... Mogłabyś nalać mi jeszcze jedną filiżankę herbaty?

–Jim – powiedziała – przecież ty nigdy nie pijasz herbaty wieczorem przed snem. Po pierwsze, nie lubisz jej, a po drugie, twierdzisz, że nie możesz potem zasnąć. To już czwarta filiżanka. Może naleję ci puchar wina, a nawet...

–Nie, nie – rzekł Jim. – Praktycznie widzę teraz przed sobą Pustą Równinę, tak dobrze ją pamiętam! Na razie nie chcę, żeby coś zmaćło ten obraz. Angie, to było tak, jakby cała ziemia i wszystko, co na niej żyje, powstało, aby przegnać Ciemne Moce i armię najeźdźców... No nic. Od kiedy weszliśmy na górę, co chwilę prosiłem cię o herbatę. Tym razem sam sobie zrobię.

–Nie, nie ma mowy – powiedziała Angie, wstając z łóżka, – Zostań tu. Przyniosę ci. Jednak to już ostatnia filiżanka. Musisz się przespać.

–Być może obywałem się bez snu przez parę dni – no wiesz, tam czas biegł inaczej. Mimo to wcale nie jestem zmęczony.

–Wpadłeś w trans – orzekła Angie, stojąc cztery metry dalej przy kominku, trzymając dzbanek na długim metalowym uchwycie, na którym wisiał nad ogniem. – Wierzę ci – dodała, cokolwiek zamierzał jeszcze powiedzieć.

W końcu zdołała położyć się z Jimem do ciepłego i przytulnego łoża w słonecznym pokoju na szczycie wieży zamku Malencontri. O zachodzie słońca zaczął padać chłodny, prawie jesienny deszcz, bębniąc o drogocenne i rzadko widywane w tym świecie szyby, za którymi roztaczała się teraz tylko ciemność. Było przytulnie, gdyż zawsze tak się zdaje, kiedy człowiek pomyśli, że inni w taką pogodę zmuszeni są przebywać na zewnątrz.

Zbrojny pełniący wartę na kamiennym dachu wieży nad ich głowami z pewnością chował się pod drewnianym daszkiem, ustawionym na czterech słupach nad paleniskiem wielkiego kotła, służącego do podgrzewania oleju do oblewania atakujących. Wprawdzie mało prawdopodobne było, by ktoś zechciał oblegać zamek przy takiej pogodzie, lecz jakaś mała grupka banitów mogła podjąć próbę wykorzystania deszczu i mroku, by przystawiwszy drabiny do murów, dokonać

niespodziewanego napadu i wynieść co się da.

Takie napady były specjalnością band włóczących się na pograniczu Szkocji i Walii, a zdarzały się również w południowej Anglii.

Jednak biedna byłaby banda maruderów, która próbowałaby zaatakować zamek tego wieczoru, przy takim stanie ducha służby, a szczególnie zbrojnych – pomyślała Angie, Jim panował nad sobą do czasu, aż Dafydd odjechał z rodziną, a Geronde udała się do komnaty na piętrze, by jak tygrysica czuwać nad śpiącym i wyczerpanym Brianem.

Dopiero wtedy, gdy ap Hywelowie zniknęli w promieniach zachodzącego słońca, a Geronde przysłała wiadomość, że udała się na spoczynek, Jim ujawnił swoje prawdziwe uczucia – budząc entuzjazm wszystkich mieszkańców zamku. Tym ostatnim i tak niewiele już brakowało do szczęścia.

Nie mówił już więcej o bitwie w Liones. Po prostu promieniował euforią i bitewnym zapalem.

Jak brzmiał ten wers wielkiego poematu Edwina Arlingtona Robinsona o Richardzie Corym? Angie usiłowała sobie przypomnieć. „Lśnił, kiedy kroczył”. Tak zapewne wyglądał dzisiaj Jim w oczach służby Malencontri. Dobrze mieć pana, który jest magiem. Jednak mieć pana, który walczył u boku króla Artura... „Tak, o tym Arturze mówię, chłopcze! A jeśli w to wątpisz, to rzeknij choć słowo, a zaraz wraz z zębami je połkniesz!”

Jeśliby mu na to pozwoliła, w nieskończoność siedziałaby przy stole w wielkiej sali, opowiadając o wyprawie. Praktycznie zawlokła go na górę, gdzie służba i zbrojni nie mogli pod byle pretekstem kręcić się wokół, w nadziei, że usłyszą więcej interesujących szczegółów.

Szczególnie zbrojnych ogarnął podziw i zazdrość. Zapewne będą pić i rozprawiać do świtu, by jutro w kiepskiej formie przystąpić do wykonywania codziennych obowiązków. No cóż, dzisiaj Jim nie dostarczy już więcej pożywki ich wyobraźni. Tylko Angie słuchała teraz nie ustającego potoku słów.

–Niewiarygodne! – mówił właśnie Jim. – To jedyne właściwe słowo, Angie! W obecności Carolinusa i KinetetE musiałem udawać opanowanego i profesjonalnego maga, ale to jedyne właściwe słowo!

–Z pewnością – przytaknęła Angie.

–Oczywiście, masz rację. A było warto, Artur! I wszyscy jego rycerze, walczący jak w legendach! Wiesz co, Angie, zwierzęta – małe zwierzątka atakowały ludzi w zbrojach! I północne wichry przybyły na wezwanie, a drzewa czekały na ludzi Cumberlanda, gdyby próbowali uciec z pola bitwy. Czuło się, że ziemia, niebo i wszystko pomiędzy nimi walczy po naszej stronie. Wojska Cumberlanda nie miały żadnych szans!

–A więc wcale nie musiałeś posyłać Briana z lwem, żeby kroczyli obok Artura, podczas gdy ty w postaci smoka unosiłeś się nad nimi?

Angie pożałowała tych słów, zaledwie padły z jej ust. Zawsze miała ostry język, który przysparzał jej więcej wrogów niż przyjaciół. Dlatego przez całe życie starała się nad nim panować; do tego stopnia, że niektórzy uważali ją za małomówną. Mimo

to czasem palnęła coś nieopatrnie. Zabawne, ale najczęściej zdarzało jej się to w obecności bliskich osób. Na szczęście Jim nie zauważał tego lub nie zwracał na to uwagi. Na tym i na tamtym świecie nie było drugiego takiego jak on.

–Już o tym mówiłem? Przepraszam. Jednak to było potrzebne – rzekł. – Wszystkie czynniki odegrały pewną rolę. To akurat podbudowało morale, dodało otuchy rycerzom Liones i bardzo pognębiło wrogów.

–Och – powiedziała, postanowiwszy bardziej się starać – nie przyszło mi to do głowy.

Natomiast Jim właśnie myślał o tym, że przerwała mu pytaniem, zanim zaczął wyjaśniać jej, w jakim stanie umysłu wygrali bitwę rycerze Liones, co nazbyt łatwo mogło doprowadzić do tego, że wygadałby się, jak niewiele brakowało, by zginął z ręki sprowokowanego Briana. Nie miał zamiaru wtajemniczać Angie w tego rodzaju sprawy.

–A także przypomniało rycerzom o Arturze i zasadach postępowania – powiedział zamiast tego. – W przeciwnym razie, w bitewnej gorączce wyróżniliby wszystkich przeciwników, zamiast wziąć ich w niewolę i wypędzić przez Bramę Czarownic czy jakieś inne przejście, jakie zdoła otworzyć dla nich Morgan le Fay. Do tej pory zapewne opuścili już pogranicze zatopionej krainy, w której nie ma dla nich miejsca, podobnie jak w Liones.

Niewiele brakowało, a byłbym się wygadał, powiedział sobie Jim. Za dużo mówił o tej ostatniej wyprawie. Przed chwilą w głosie Angie usłyszał nutę znużenia. Nie ma sensu więcej rozprawiać. I tak opowiedział jej już prawie wszystko. Resztę wyjaśni później.

Naprawdę było to niezwykle przeżycie. Nie uwierzyłby, gdyby nie zobaczył. Istny konglomerat niewiarygodnych historii. Angie zawsze była za dobra. Resztę opowie jej później, kiedy nie będzie rozsądzał go entuzjazm.

–Po namyśle – rzekł – stwierdzam, że może jednak wino lepiej by mi zrobiło. Masz rację, wypilem już za dużo herbaty.

–Już ci ją zrobiłam – odparła Angie. – A może herbata z dodatkiem? Co ty na to?

–Z dodatkiem czego?

–Koniaku.

–Masz na myśli tę śmiercionośną ciecz, którą tutaj nazywają koniakiem?

–Nie wiadomo – odparła Angie. – Może okazać się całkiem niezła z herbatą, szczególnie tak mocno posłodzoną, jak lubisz.

–No, czemu nie? Tak, Angie, dolej koniaku – sporą porcję.

–Ten alkohol smakuje lepiej niż zwykle – orzekł, skosztowawszy herbaty. – Myślisz, że poprawili jakość?

–Nie, to przez herbatę i cukier, jak już mówiłam.

–Sądzę, że masz rację – rzekł Jim. – Rzeczywiście, nie pożałowałaś cukru i koniaku. Powinniśmy kiedyś poczęstować tą mieszanką KinetetE – a nawet Carolinusa. Niechby się rozluźnili.

Nadal obserwował ją, gdy kręciła się przy kominku. Było to cudownie miłe uczucie: siedzieć tak, pić herbatę i patrzeć na nią, ale gdy obróciła się i zobaczył jej

twarz, zauważył, że jest zmęczona i spięta.

Dlaczego nie dostrzegł tego zaraz po powrocie? Oczywiście, zbyt przeżywał swoje niedawne przygody. Angie powiedziała, że wpadł w trans, i rzeczywiście tak było. Teraz jednak powoli opuszczała go euforia. Nadal miał trzeźwą głowę, ale ten gwałtowny przyływ energii powoli wyczerpywał się. Na jej miejscu pojawiło się współczucie, gdy Jim zrozumiał, jak podczas jego nieobecności musiała czuć się Angie. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zajmowała się zamkiem, w każdej chwili gotowa go bronić szczupłymi siłami, jakie miała do dyspozycji: garstką doświadczonych i wyszkolonych zbrojnych oraz zwykłych sług, dostatecznie silnych i odważnych, by stanąć z włócznie na murach, by spychać drabiny obłęznicze ze wspinającymi się po nich ludźmi. Niewiele więcej mogliby zrobić, a w każdej chwili istniało niebezpieczeństwo, że wybiegną z zamku, by ścigać pozorujących odwrót napastników.

W czasie podróży nie martwił się o Angie, zbyt zajęty swoimi sprawami – prawie o niej nie myślał, chyba że z satysfakcją wywołaną tym, iż zostawił Malencontri w dobrych rękach. Ona jednak z pewnością martwiła się o niego, wyobrażając go sobie w rozmaitych niebezpiecznych sytuacjach, coraz bardziej, w miarę jak mijał czas i nie miała od niego żadnych wieści – a kiedy w końcu wrócił, nawet o tym nie napomknęła, tylko słuchała jego nie kończącej się opowieści o tym, co powiedział i zrobił.

Jim miał poczucie winy. Tak było – i musiał to przyznać. Czy mu się to podobało, czy nie, był wytworem przyszłości, z której przybyli. Podświadomie nieustannie szukał naukowego i logicznego ładu w tym świecie magii, naturalnych, Mocy oraz średniowiecznych ludzi, dla których znane mu słowa miały zupełnie inny sens. „Obowiązek” miał dla nich znacznie szersze znaczenie niż dla niego, „śmierć” o wiele mniejsze. Codziennie byli gotowi ryzykować życie lub stawić czoło każdemu wyzwaniu. Nie oczekiwali spokojnej śmierci i zakładali, że z przyczyn naturalnych czy nie, zapewne będzie bolesna.

Tyle co do niego. Angie równie podświadomie pragnęła stabilizacji i bezpieczeństwa, aby ich mały podopieczny, Robert, dorastał w uporządkowanym świecie, mogąc żyć długo i szczęśliwie.

Może pewnego dnia te złudzenia rozwieją się jak dym i...

–O czym to ja mówiłem? – zapytał pospiesznie, gdyż Angie właśnie odwracała się z powrotem do łóżka i nie chciał, by odgadła, w jakim kierunku pobiegły jego myśli.

–Zdaje się, że o zwierzątkach – odparła. – Jakie zrobiły na tobie wrażenie, kiedy walczyły z rycerzami. Kiedy o tym opowiadałeś, ja też to czułam.

–Sądzę, że to wspomnienie najdłużej zachowam w pamięci – albo króla Pellinora oplakującego ponowną utratę obu synów i głęboko skrywającego ten ból. Jednak tak tam jest – i zawsze było, zapewne nawet w naszych czasach.

–Owszem – powiedziała Angie – ale on robi to, co postanowił zrobić. Ja żałuję jego przyjaciela.

–Przyjaciela? Jakiego przyjaciela?

–Chyba jedyne jakiego ma, upierając się przy życiu ograniczonymi zasadami tak

sztywnymi jak zbroja. Przyjaciela od wieków, który nie ma wyboru i musi cierpieć w milczeniu wraz z nim, gdyż tak zdecydował Pellinor. Mówię o Tropiącej Bestii!

Angie znów powiedziała za dużo. „No cóż, stało się”, stwierdziła w myślach. „Pewnie nie powinnam tego mówić”.

Tymczasem Jim miał wrażenie, że wpadł na ceglany mur.

–Och, nie sądzę, żeby TB tak to przeżywał – rzekł. – On współczuje Pellinorowi, oczywiście, ale...

–Pellinor dokonał wyboru – orzekła Angie – i narzucił to TB, który nie może nic zrobić i cierpi, wiem, że cierpi, widząc ból przyjaciela i nie mogąc mu pomóc. Nawet nie zdoła go pocieszyć, zmuszony do milczenia.

–Och, sądzę, że nie doceniasz TB – rzekł Jim. – W końcu jest jednym z lordów Liones. Ma tam przyjaciół, z którymi może porozmawiać.

–Kogo? Merlina?

–No, może nie Merlina. Utrata synów Pellinora ma miejsce obecnie, a Merlin unika terażniejszości, aby skupić się na przeszłości i przyszłości...

–Drzewa?

–Nie, nie myślałem też o drzewach. Ich sposób widzenia...

–A więc kogo? Mówisz o nim tak, jakby był człowiekiem tak jak my. On jednak jest zwierzęciem, jedynym w swoim rodzaju. Powiedziałeś mi dziś, że sam ci o tym przypomniał, kiedy poszedłeś z nim, aby przemówić do innych zwierząt. Pellinor jest jedyną bliską mu osobą.

–Nie potrafię tego wyjaśnić – rzekł zapędzony w kozi róg Jim. – Myślę jednak, że gdybyś go poznała, zrozumiałabyś, że się mylisz.

Angie szeroko otworzyła oczy.

–Mógłbyś go tu sprowadzić – tak jak KinetetE sprowadziła was z powrotem? W magiczny sposób, żebym mogła go poznać?

–Nie sądzę – odparł ostrożnie. – Moje wiadomości w porównaniu z tym, co wie mag taki jak KinetetE...

Umilkł. Usiadł na łóżku.

–Mógłbyś spróbować – zachęcała Angie.

–No,.. raczej nie sprowadzę go tutaj z Liones. Przede wszystkim jego miejsce jest tam, a KinetetE sprowadziła nas tu, gdzie nasze miejsce. To ogromna różnica.

–Przecież możesz coś zrobić.

–No... może. Te projekcje... Niech pomyślę, jak ona ich użyła... Angie dała mu czas do namysłu i nagle w słonecznym pokoju pojawił się trochę mglisty obraz TB, zjeżonego i spoglądającego na Jima.

–Wybacz, TB – rzekł pośpiesznie Jim. – Nie chciałem, abyś pomyślał, że naprawdę jesteś w górnej krainie. Wykorzystałem odrobinę magii, żeby stworzyć wokół ciebie komnatę naszego zamku. Bardzo pragnąłem, żebyś poznał moją małżonkę, lady Angelę de Montanya de Eckert, baronową i kasztelanekę de Malencontri et Riveroak, która również życzyła sobie cię poznać. Jeśli jednak ci przeszkadzamy, mogę cofnąć tę projekcję. To tylko złudzenie – jak tęcza na niebie.

Gdy to mówił, sierść na grzbiecie TB wygładziła się.

–Nie powinienem się obawiać, sir Jamesie – odrzekł – wiedząc, jak zdolnym jesteś magiem. To dla mnie zaszczyt, że podałeś moje imię lady Angeli. Moja pani, nie wiesz nawet, jak miło mi cię spotkać.

–Dość tych grzeczności, panowie – Angie dygnęła przed nim. Stała się w tym naprawdę dobra, pomyślał Jim, wpadając w błogie lenistwo, zastępujące poprzedni trans. – Od jakiegoś czasu pragnęłam cię poznać, milordzie...

–Proszę, Wszyscy nazywają mnie po prostu TB. Tak lubię.

–A więc proszę, żebyś i ty mówił mi po imieniu.

–Milady, czułbym się nieswojo, tak samo jakbym zwracał się do twojego małżonka inaczej niż „sir Jamesie”.

–Zatem niech będzie, jak chcesz – zgodziła się Angie. – Chciałam ci tylko powiedzieć, TB, że kocham męża i nie mogłam się doczekać, żeby ci podziękować za to, że byłeś tak uprzejmy i pomogłeś mu, dzięki czemu wrócił do mnie cały i zdrowy, zarówno z pierwszej, jak i tej ostatniej wyprawy do Liones. Naprawdę, jesteś niezrównanym przyjacielem!

–Niestety, lady Angelo, nie znam takich ludzkich uczuć jak przyjaźń. Nie jestem jednym z was, tylko zwierzęciem, w dodatku nie oswojonym, więc nie mogę rościć sobie prawa do ludzkich cnót. Jednakże od wieków przestając z królem Pellinorem, nauczyłem się dostrzegać je w ludziach i staram się pomagać tym, którzy je posiadają.

–Obojętnie z jakiego powodu to robiłeś, chcę żebyś wiedział, że jestem ci wdzięczna za pomoc, jakiej udzieliłeś Jimowi – oświadczyła Angie. – Chciałabym jakoś ci się odwdzińczyć.

–Niestety, to niemożliwe.

–A zatem na razie poprzestanę na podziękowaniu. Jak się czuje król Pellinor? Jim i sir Brian niechętnie opuszczali go bez pożegnania. Jak sądzisz, kiedy przeboleje ponowną utratę synów?

–Nie mam pojęcia. Z pewnością nieprędko, jeśli w ogóle. Bardzo się o niego martwię. Prawdę mówiąc tak bardzo, że uczyniłem coś, czego inaczej nigdy bym nie zrobił. Poprosiłem Merlina o pomoc i radę.

Powiedziawszy to, zamilkł tak nagle, że wydawało się, iż urwał w połowie zdania. Jim zrozumiał od razu. Angie, której jeszcze nie opowiadał o Merlinie – nie.

–A on...?

–Milczał. – TB spojrział na nią prawie z żalem. – Powinienem wiedzieć. Troski króla Pellinora nic nie obchodzą Merlina.

–Jednak z czasem król Pellinor na pewno pogodzi się z tą stratą. Przecież jego synowie mogą jeszcze wrócić, jeśli znowu będą potrzebni Liones.

–Król Pellinor tak nie uważa i nie jest osamotniony w tym przekonaniu. Jest pewny, że teraz, kiedy najeźdźcy z górnej krainy usiłovali podbić Liones, nastąpi kres legend. Klęskę tych, którzy stanęli przeciwko nam, będzie się tłumaczyć różnymi przyczynami. Najeźdźcy staną się nowymi bohaterami i pojawią się następni.

–Wtedy znów wróci Artur i inni! – rzekł Jim z łóżka, w końcu włączając się do

rozmowy. – Wszyscy, którzy spróbują podbić Liones, poniosą klęskę.

TB spojrział na niego i znów na Angie.

–Król Pellinor w to nie wierzy – rzekł – i wielu rycerzy także. Przepowiednia głosiła, że król Artur powróci – i tak się stało. Przybył i znów odszedł. Już się nie zjawi, podobnie jak inni, którzy wrócili w tym samym czasie, a zwyczajni ludzie z górnej krainy nigdy nie przestaną przybywać – aż ostatni rycerz Okrągłego Stołu zginie ostatni raz i Liones stanie się bezbronna. Król Pellinor – dodał po krótkim milczeniu – uważa, że nie ujrzy już synów. Ze względu na Artura nie oddali głów pod miecz wszyscy, którzy poprosili o łaskę – i teraz będą judzić przeciw Liones po powrocie do górnego świata. Jaką nadzieję może mieć król Pellinor na ponowne spotkanie z synami, jeśli niebo nie jest dla tych, którzy żyli, świecąc wszystkim przykładem, o czym teraz nikt już nie pamięta?

W słonecznym pokoju zapadła niezręczna cisza.

–Jeśli zdołam ci udowodnić, że po upływie przeszło pięciuset lat – powiedziała z namysłem Angie – nadal będą pamiętani tak dobrze jak dziś, czy zanieśiesz tę wieść królowi Pellinorowi, żeby przekonać jego i innych rycerzy Okrągłego Stołu, iż ich obawy są bezpodstawne?

–Gdybyś zdołała to uczynić – odparł z powątpiewaniem TB – sądzę, że mógłbym.

–Czy masz dobrą pamięć?

–O niczym nie zapominam i pamiętam każdą chwilę mojego życia.

–A więc – ciągnęła Angie – jeśli powiem ci wiersz napisany ponad pięćset lat później, licząc od chwili obecnej, w górnej krainie, wysłuchasz go? Sama jego konstrukcja jest dowodem pochodzenia z innych czasów, gdyż przewyższa wszystko, co mogłoby zostać stworzone tu i teraz.

–Wysłucham z wdzięcznością!

–Bardzo dobrze – powiedziała Angie i zaczęła.

„Na pewno zamierza recytować Tennysona”, pomyślał Jim. „Tylko czy chce zacząć od samego początku? Ten poemat jest na to za długi, nawet jeśli TB ma świetną pamięć. Nie wysłucha go do końca”.

–Nazywa się Odejście Artura – oznajmiła Angie i Jim zrozumiał, że TB wysłucha każdego słowa, tak samo jak król Pellinor i wszyscy rycerze Okrągłego Stołu, którym później je powtórzy. „Może jednak”, mówił sobie, „pominie niektóre fragmenty, żeby skrócić utwór”. Nastawił się na dłuższe słuchanie. To był jego ulubiony wiersz, więc wysłucha go z przyjemnością, mogąc do woli obserwować Angie, która będzie zajęta recytowaniem i nawet tego nie zauważy.

Tedy, przed ostatnim bojem krwawym na zachodzie.

Do uśpionego Artura rycerz Gawen przychodzi

W wojnie z Lancelotem poległy, teraz jeno duchem

Polatującym z wiatrem, co świszczę nad uchem.

Zawodząc: „Próżny, próżny trud wszelaki!

Mój królu! Nazajutrz ty także z Liones odpłyniesz-

Zegnaj więc. Jest tam wyspa, na której spocznieś.

Ja zaś z wiatrem polecę niczym pyłek jaki.

Gdyż próżny, próżny, próżny jest nasz trud wszelaki...

Rytm wiersza ukołysał Jima. Spojrzał na TB i zobaczył, że lord zastygł w tym szczególnym, idealnym bezruchu dzikiego zwierzęcia spoglądającego na ofiarę, która w każdej chwili może spłoszyć się i uciec.

Zerknął na Angie i z ulgą zobaczył, że z jej twarzy znikły ślady znużenia i napięcia. Całkowicie skupiła się na recytowanych słowach – tak samo, choć w nieco inny sposób, jak TB. Byli zupełnie różni, Angie i TB, lecz poezja jednoczyła ich oboje. Wciągała również Jima, choć inaczej. Nie tyle wsłuchiwał się w doskonale pamiętane słowa, ile spoglądał na obrazy, jakie wywoływały w jego myślach.

Może, skoro o tym mowa, każde z nich trojga widziało inne obrazy. To jednak nie miało znaczenia. Mieli identyczne odczucia.

Zadziwiająco, jak różnie odczuwane są emocje, nawet wśród osobników jednego gatunku, lecz wychowanych w różnych środowiskach. A nawet w przypadku mężczyzn i kobiet. Ponownie spojrzął na Angie.

Jej twarz promieniała – dosłownie. Jaśniała. Była to jedna z tych chwil, kiedy wyglądała najpiękniej. „To dlatego, że tak bardzo lubi poezję” – mówił sobie Jim. Promieniała tak, kiedy przywieźli do Malencontri małego Roberta Falona i dowiedziała się, że może go zatrzymać, gdyż król Edward ustanowił Jima prawnym opiekunem malca. Wyglądała tak, kiedy pobrali się tutaj, w czternastym wieku, kiedy wraz z innymi uwolnił ją z wieży Loathly. Jim przypomniał sobie, że czasami widywał taki wyraz na twarzach innych kobiet – zwykle młodszych.

Mężczyźni nigdy tak nie jaśnieją, pomyślał Jim. Przeżywamy chwile największego szczęścia, ale nie w ten sposób. Czy w ogóle potrafimy tak reagować, nawet jako dzieci?

Nie przypominał sobie tego. Pamiętał, że czasami bywał tak szczęśliwy, że wydawało mu się, że mógłby latać, że jego ręce i nogi zaraz oderwą się od ciała i polecą w cztery różne strony. Nigdy jednak nie czuł czegoś takiego, co malowało się teraz na twarzy Angie, rozpromienionej tak, że rozświetlała wszystko wokół...

Recytowała:

**Tedy wstał król i pchnął nocą wojska swoje,
A sir Modred napierał, przez kolejne staje,
Gdzie zachodnia rubież Liones wzrok wabi,
Krainy, która niegdyś została wypchnięta z otchłani
Przez ogień, by przezeń znów w toń się zapaść...**

Czyżby Merlin sięgnął w przyszłość aż do tej chwili? – zastanawiał się Jim. Merlin, w jego nie kończącej się ucieczce przed teraźniejszością, skupiający się na przeszłości i przyszłości?

O mało nie przegapił następnej linijki wiersza. Pospiesznie pochwycił ostatnie słowa.

**Tam ścigający jut nie miał gdzie ścigać,
A i król dalej już nie mógł się cofać...**

Angie recytowała dalej. Jimowi stawały przed oczami wydarzenia tej ostatniej nieszczęsnej bitwy. Bediwer, stojący obok króla i spoglądający na Modreda, syna i

wroga Artura. Bediwer, wskazujący go Arturowi: „...zdrów i cały, zdrajca twego domu”. I odpowiedź Artura:

„Powiadam ci oto, w tej czarnej godzinie,
Gdy sens wszelki straciło moje panowanie,
Żem żyw czy martwy zawsze twoim królem.
Cokolwiek by wołali, zawsze królem jestem.
A teraz ostatnie królewskie zocysz dzieło,
Nim odejdę”. Wyrzekłszy te słowo, Władca
Ruszył nań. Modred zaraz ostrze spuszcza,
Na hełm, którego liczne pogańskie żelaza
Nie imaly się dotąd, zaś Artur tęgim ciosem.
Po raz ostatni uderza swym Ekskaliburem,
Kładąc trupem wroga i sam pada półżywy...

Jim usiadł, całkowicie pochłonięty wizją ostatniej bitwy, której obrazu recytacja Angie roztaczała przed nim i TB. Długa nocna bitwa nad zimnym morzem, przy blasku zorzy, gdy ostatni rycerze Okrągłego Stołu padli u boku ciężko rannego króla. Ten dwukrotnie posyłał Bediwera, by cisnął w morze Ekskalibur – miecz, który niegdyś otrzymał od Pani Jeziora. Bediwer dwukrotnie nie zdołał tego zrobić. Jednak za trzecim razem z toni wyłoniła się ręka, która chwyciła i zabrała oręż... a wtedy rycerz wrócił i powiedział o tym Arturowi.

...Az trudem łapiąc oddech, król tak mu odpowie:

„Mój koniec już bliski, oto czas mi odejść.
Zbierz sity, a podźwignij mnie na twe ramiona.
By na brzeg morza zanieść, czuję bowiem,
Iż krew ze mnie uchodzi i niebawem skonam”.

Nie ma lepszego świadectwa owych czasów, pomyślał Jim, od tej marginalnej wzmianki o Bediwerze, rycerzu, którego siły czy wzrostu nie opiewają żadne legendy, biorącym na plecy i niosącym spory kawał drogi jednego z największych i najcięższych osobników arturiańskiego świata. To on...

...Żwawo z grani na grań kroczył,
Spowity parą oddechu, a kto by go zoczył
Ujrzałby olbrzyma wśród gór skutych mrozem...
...A szcęk jego zbroi rozchodził się echem...
Otaczały go nagie czarne skały, gdy stawał
Stopy na kamieniu śliskim turni, co dźwięczał...
Aż nagle załśni przed nim toń jeziora
Zimowym blaskiem miesiąca wysrebrzona!
Tam w mroku majaczył ciemny kontur arki
Od dziobu do rufy czarnej, niczym welon płaczki...
A trzy królowe w złotych koronach wzniosły
Drżący okrzyk do gwiazd migoczących...
Tedy szepnął Artur: „Złóżcie mnie w tej arce”.
Weszli więc na jej pokład...

Tam dzielny sir Bediwer tak oto mu powie:

„Ach, królu Arturze, co ja teraz zrobię?

Otóż widzę, U minety szczęsne dni radości...

Teraz jako ostatni mamie w samotności,

Pędzić dni mroczne, co w tara przechodzą,

Wśród obcych ludzi, twarzy i myśli, co trwożą.

Powoli tak odpowie mu Artur z pokładu:

„Stary ład ustąpił już miejsca nowemu,

Zaś Bóg objawia się w przeróżny sposób.

Aby jeden zwyczaj nie zagroził światu".

Tako rzekł i wkrótce potem arka jego

Powoli odbita od brzegu...

Długo stał sir Bediwer, aż jej żagiel

Zmienił się w punkt czarny na krawędzi świtu.

A tkania ścichły w dali, porwane przez fale.

Słuchając wiersza, TB ani razu się nie poruszył. Nawet nie drgnął, aż do ostatniej strofy. A kiedy Angie skończyła, przez długą chwilę spoglądał na nią w milczeniu, zanim przemówił.

–Czy istotnie ten wiersz powstał więcej niż pięćset lat od tej chwili?

–Tak – potwierdziła Angie.

–Lady Angelo, przywróciłaś nam nadzieję i znacznie, znacznie więcej. Dziękuję ci w imieniu wszystkich w Liones.

Odwrócił się do Jima.

–A teraz, sir Jamesie, czy uwolnisz mnie od tego czaru, którym mnie otoczyłeś? Albowiem pod jego wpływem i po wysłuchaniu tego wiersza nie jestem w stanie się ruszyć.

–Już go nie ma – odparł Jim i natychmiast iluzja słonecznego pokoju prysła, a TB znów znalazł się wśród wielkich drzew puszczy Liones – i zniknął.

Rozdział 48

Siedząc na łóżku i ciesząc się wspomnieniem tylko co wysłuchanego wiersza, Jim dopił herbatę, ostrożnie odstawił pustą filiżankę na nocny stolik i uściskał Angie, która właśnie wróciła do łóżka.

–Dziękuję ci – powiedział – za to, że jesteś sobą i przy mnie.

–Nie zawsze jestem przy tobie – powiedziała, kiedy ją puścił. – Chociaż chciałabym. Pragnę tego. Jednak tutaj mąż i żona wiodą osobne życie... W każdym razie uważam, że w tym, co powiedziałaś KinetetE i Carolinusowi, jest sporo sensu... Carolinus wygląda całkiem nieźle, prawda?

–Owszem, szczególnie po tym, co wycierpiał u sękatych. Uważasz, że to, co powiedziałem ma sens?

–Oczywiście.

–Cieszę się, że ktoś jest tego zdania – rzekł Jim. – Zanim skończyłem mówić do KinetetE i Carolinusa, sam w to zwątpiłem.

–Naprawdę?

–Nie – odparł Jim. – Przesadzam. Powiem ci, co... – Urwał i rzucił zupełnie innym głosem w stronę skaczących na kominku płomieni: – Hobbie? Hobbie, słuchasz nas, prawda?

Po krótkim milczeniu z komina nadleciał cichy i drżący głosik:

–Tak, milordzie. Błagam o wybaczenie, ale czekałem na okazję, żeby z tobą porozmawiać, milordzie.

–Wiesz, że zabroniłem ci podsłuchiwania prywatnych rozmów – szczególnie kiedy rozmawiamy ze sobą tutaj. Co takiego ważnego masz do powiedzenia, że nie może poczekać do rana?

–To bardzo ważne – jąkał się skrzat – dla mnie, milordzie. Pragnąłem porozmawiać z tobą, kiedy jesteś sam i nie dzieje się nic strasznego. Mam pytanie, które chcę zadać, kiedy nie słyszy mnie nikt prócz milorda i milady.

–Lepiej niech to będzie coś ważnego – rzekł Jim, siląc się na groźny ton.

–Ja tylko... Chciałem zapytać... Wasza lordowska mość wie, że wielu rycerzy i lordów ma dwóch lub trzech – a nawet siedmiu – giermków... Teraz, kiedy nauczyłem się od trubadura, jak rozmawiać ze szlachetnie urodzonymi panami i damami... Może wasza lordowska mość byłby łaskaw uczynić mnie jednym ze swych giermków, tak jak Theolufa, który przedtem był tylko dowódcą drużyny?

Hob zakończył nieco piskliwie, cieniutkim z napięcia głosikiem. Jim z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak niespokojnie bije serduszko czekającego na odpowiedź naturalnego.

Gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania. A więc to kierowało Hobem, kiedy miesiącami ukrywał w zamku trubadura, który w zamian uczył go dwornej mowy i manier.

Jako rycerzowi, a zarazem magowi, uchodziły mu na sucho przeróżne uczynki, uważane za dziwne i niezwykle przez tutejszych ludzi. U żadnego innego szlachetnie urodzonego nie tolerowano by takich ekscentrycznych zachowań, do jakich miał skłonności Jim. Jednak mianowanie skrzata giermkiem przekraczało wszelkie granice

tolerancji. Gdyby pokazał się ze skrzatem jadącym za nim w roli giermka, w powszechnym przekonaniu przestałby być rycerzem posługującym się czasem magią, a stałby się magiem wykorzystującym swoje umiejętności, by udawać rycerza.

Prawdziwi rycerze byli przede wszystkim rycerzami – wszystko inne nie miało znaczenia – a giermkowie byli kandydatami na rycerzy. Jako tacy mieli swoje miejsce w etosie rycerskim. Śluby podczas pasowania – jeśli do tego doszło – mogli składać wyłącznie prawdziwi rycerze.

Nie na darmo giermek mógł zdobyć rycerski pas, dokonując jakiegoś szczególnie dzielnego czynu, wykraczającego poza jego obowiązki. Teoretycznie tego zaszczytnego tytułu nie traktowano jako nieuchronnego awansu, chociaż często tak właśnie bywało, gdyż każdy rycerz miał prawo pasowania innych. Jednak tylko król mógł uczynić rycerzem nieletniego syna – a może nawet skrzata. Mimo to prawdziwi rycerze nie byliby z tego zadowoleni – po prostu władcy wszystko uchodzi na sucho.

Gdyby Jim awansował skrzata na giermka, podważyłby samą istotę rycerskiego stanu. Taką godność nadawano na całe życie, a pozbawić jej mogło tylko niezwykle wysokie gremium za szczególnie niegodne czyny. Hob jako giermek zostałby uznany za zniewagę dla rycerstwa i wszystkiego, co oznaczało to pojęcie dla ludzi, którzy stali na straży królestwa.

Nie, Jim po prostu nie mógł tego zrobić, i prawdę mówiąc, wcale nie miał na to ochoty. Gdyby jednak prosto z mostu powiedział o tym Hobowi, który włożył w przygotowania tyle czasu, trudu i nadziei, złamałby skrzatowi serce. Musiał wymyślić jakiś inny sposób.

–Hobie – odrzekł, zdając sobie sprawę z tego, że minęła już dłuższa chwila i malec wciąż wstrzymuje oddech, czekając na odpowiedź – obawiam się, że będę musiał to przemyśleć i potrzebuję kilku dni. Jak wiesz, to bardzo poważna decyzja dla rycerza, wziąć sobie kolejnego giermka.

–Och! – zaniepokoił się Hob.

–Tak – odparł Jim. – Czy giermek jest godny zostać rycerzem? Oto pierwsze pytanie, jakie zadadzą sobie inni rycerze, kiedy dowiedzą się, że jeden z nich zwiększył liczbę swoich giermków.

–Och – powiedział Hob z rozpaczą w głosie. – Czy... czy nie mógłbym pozostać giermkim i wcale nie próbować być rycerzem?

–Cóż, oczywiście mógłbyś – odparł Jim – ale inni uznaliby to za dziwne. W końcu giermek ma się uczyć, by zostać rycerzem.

–Zawsze?

–Owszem, prawie zawsze. Widzisz, nawet na giermka spada wiele obowiązków i zaszczytów, jakie wiążą się ze stanem rycerskim. Może nie być godny rycerskiego pasa i złotych ostróg, lecz już traktuje się go z szacunkiem jako tego, który może je zdobyć. Jak wiesz, to honorowy tytuł.

–Tak milordzie, wiem. Teraz już wiem.

–A więc zdajesz sobie sprawę z wagi problemu – rzekł Jim, marszcząc brwi. – Nie to mnie jednak najbardziej martwi. Będę musiał jakoś pogodzić się z tym, że przestaniesz mi towarzyszyć.

–Ależ milordzie! Będę z tobą! Zawsze, ilekroć będę ci potrzebny!

–Obawiam się, że nie – rzekł Jim. – Zapominasz o obowiązkach, naukach i szkoleniu, jakie musi przejść każdy giermek. Będziesz musiał nauczyć się wielu rzeczy, które Theoluf już wiedział. Zauważyłeś na przykład zapewne, że kiedy John Steward z wozem i kilkoma osobami służby jedzie do Kidderminster lub Worcester, by kupić zaopatrzenie dla zamku, jeśli sam nie mogę pojechać, wysyłam z nim Theolufa, żeby pilnował sakiewki z pieniędzmi.

–Ja też mógłbym nieść sakiewkę.

–Hm, nie chodzi o noszenie trzosa, lecz pilnowanie go przed rzezimieszkami i rabusiami. Giermek z mieczem nie jest bezbronną ofiarą, jaką bandyci najbardziej lubią – szczególnie jeśli umie posługiwać się bronią. Musisz opanować tę sztukę, a to oczywiście oznacza, że będziesz zajęty...

–Przecież to może robić Theoluf, milordzie. A ja...

–Ponadto przejmiesz wiele innych obowiązków Theolufa – ciągnął Jim, nie zwracając uwagi na słowa skrzata. – Będziesz musiał czyścić moją zbroję i ostrzyć broń, sprawdzać, czy Gorp nie potrzebuje nowych podków. Doglądać i naprawiać, w razie potrzeby, moje siodło oraz ekwipunek podróżny i inny rycerski dobytek, nauczyć się podawać mi do stołu, jak przystało giermkowi...

–Wybacz mi, milordzie, a co ze sługami i stajennymi, którzy robili to dotychczas? Czy nie mogliby nadal...

–Takie są obowiązki giermka! – rzekł surowo Jim. – I musi nauczyć się wszystkiego, aby wypełniać je jak najlepiej, kiedy znajdziemy się z dala od Malencontri. Niestety, przez te wszystkie obowiązki, plus ćwiczenia szermiercze z Theolufem lub innym zbrojnym, rzadko będę cię widywał i nie ma mowy o tym, żebyś mógł zawsze mi towarzyszyć.

Jim zniżył głos o pół oktawy i ciągnął ze smutkiem:

–Nie wiem, jak poradzę sobie bez ciebie, szczególnie podczas takich wypraw jak ta ostatnia. Nie wyobrażam sobie, gdzie zdołam znaleźć drugiego takiego, który potrafi dostać się wszędzie razem z dymem i zna wszystkie kominy, nie mówiąc już o umiejętności jazdy na smużce dymu i zanoszenia z dowolnego miejsca na świecie pilnych wieści dla milady. Kogoś, kto potrafiłby schować się pod moją kolczugą i... Chyba poszukam innego skrzata...

–Milordzie! – prawie krzyknął Hob. Jim przestał mówić do siebie i z udawanym zdziwieniem spojrział na rozmówcę. – Milordzie, proszę... błagam, nie czynń tego zbyt pochopnie – rzekł zrozpaczony Hob. – Nie mówię niczego złego o innych skrzatach. Wszystkie są zacne. Jednak uwierz mi, milordzie, że ja – znając wiele z nich osobiście – nic widzę żadnego, który potrafiłby służyć ci tak dobrze jak ja, szczególnie kiedy opuszczasz Malencontri. Możesz mi wierzyć, milordzie, że mam szczęście być najdzielniejszym i najbardziej pomocnym skrzatem, jakiego znajdziesz. Chcesz mianować mnie giermkim i zmarnować takie doświadczenie? Teraz, kiedy zacząłeś o tym mówić, zrozumiałem, jaka to byłaby strata. Nie, nie mogę...

Hobowi zabrakło tchu.

–Nie musisz mi o tym mówić, Hobie – rzekł łagodnie Jim. – Rozumiem jednak, jak

bardzo chcesz być giermkim, i nie chciałbym stawać ci na drodze...

–Nie, nie! Chciałem powiedzieć – za pozwoleniem, milordzie – że wcale nie! Naszym obowiązkiem jest służyć tam, gdzie jesteśmy najbardziej potrzebni. Teraz, kiedy wszystko rozważyłem, zdaję sobie z tego sprawę. Uwierz mi, milordzie – nie potrzebujesz innego skrzata.

–I zrezygnujesz z okazji zostania giermkim? – spytał Jim. – To naprawdę szlachetnie z twojej strony, Hobie.

–Tak uważasz, milordzie? – powiedział Hob, prostując się, wypinając pierś i urastając o dobre trzy milimetry. – No cóż, uważam to... – dodał dziwnie sztucznym, scenicznym tonem, jakim przemawiał do rycerza, który wyjechał z zamku królowej Północnych Wichrów i zastąpił drogę Jimowi -...za mój obowiązek, szczodrobliwy i szlachetny panie. Nie myśl już o tym. Jestem twoim Hobem na wieki! Ach, z jakimż lekkim sercem będę teraz skakał i fikał koziołki!

Zniknął w kominie.

–I nie będę nigdy słuchał, kiedy nie powinienem... – doleciał stamtąd jeszcze jego głos, cichnący w oddali.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko bębnienie deszczu o szyby i trzask płonących na kominku drew. Jim spojrzał na Angie i zobaczył, że nie odrywała od niego oczu. Jakiś szczególny męzowski zmysł odpowiedział mu, że wszystko wróciło do normy.

–Wiesz co – powiedziała Angie – czasem jesteś naprawdę dobry.

–Ty też – odparł Jim.

**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-10-29**

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/